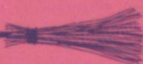


jaclyn
moriarty

mam łóżko z racuchów

SERIA Z MIOTŁA

SERIA Z MIOTŁĄ



Cath Murphy (nauczycielka, klasa druga B) trzyma jeden koniec wstęgi wyznaczającej linię mety i wzrokiem szuka Zingów w tłumie.

Rok temu nawet ich nie знаła. Dzisiaj dostaje nerwowego tikę na widok kogokolwiek z tej rodziny. (Podobnie jak na widok litery V).

Co więcej, straciła osobowość.

Straciła osobowość przed kilkoma miesiącami.

A właściwie jej osobowość spaliła się na popiół razem z ogrodową szopą Zingów.

Mam łóżko z racuchów to współczesna bajka dla kobiet i zarazem rozgrywająca się na przedmieściach historia kryminalna z tajemnicą z przeszłości w tle. Nasycona zmysłowymi opisami, magicznymi zdarzeniami oraz ironicznymi komentarzami powieść przywodzi na myśl znakomity francuski film *Amelia*.

Rzecz czarująca i zabawna, pełna niezwykłych zwrotów akcji.
„Vogue”

Pokochacie tę radosną opowieść o Zingach z krainy absurdu.
„Cosmopolitan”

w
ydawnie
ab
two

978-83-7414-327-1



9 788374 143271

Cena 44,90 zł

SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot
Kazirodztwo

Majgull Axelsson
Dom Augusty

Maryse Condé
Ja, Tituba, czarownica z Salem

Petra Hůlová
Czas Czerwonych Gór

Grażyna Jagielska
Fastryga

Alona Kimchi
Placząca Zuzanna

Melania Mazzucco
Tak ukochana

Marsha Mehran
Zupa z granatów

Mian Mian
Cukiereczki

Helen Oyeyemi
Mała Ikar

ZZ Packer
Pijąc kawę gdzie indziej

Halina Pawłowska
*Zdesperowane kobiety
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek
*Dziewczyny z Portofino
Pudełko ze szpilkami*

Ena Lucía Portela
Sto butelek na ścianie

Sonia Raduńska
Białe zeszyty

Ahdaf Soueif
Mapa miłości

Oksana Zabuzko
Siostró, siostró

jaclyn moriarty
mam łóżko z racuchów

przełożyła Elżbieta Zychowicz

w
yda
ab
two

balon wypełniony gorącym powietrzem

Dawno, dawno temu żył sobie malarz akwarelista, który myślał, że potrafi wynaleźć spadochron.

Było to w czasach pierwszych spadochronów.

Siedząc na łące ze sztalugami i pędzlami, dostrzegł spadochroniarza opadającego z nieba.

- Jak było? - zawołał, podbiegając do gromadzącego się tłumu.

- Och - wykrzyknął skoczek, zaplątany w czaszę i liny. - Niedobrze mi.

Ale działo się to w Paryżu, toteż mówili po francusku.

W tamtych czasach spadochrony były wadliwie zaprojektowane - nie opadały łagodnie na ziemię, lecz wirowały w powietrzu z zawrotną szybkością i skoczkiem zielenieli na twarzy.

Akwarelista wrócił więc do domu, nalał sobie kawy i pograżył się w myślach. „Co można zrobić, by ci dzielni mężczyźni nie mieli w powietrzu nudności?” - oto co myślał.

Po trzydziestu pięciu latach zastanawiania się znalazł odpowiedź. Odstawił kawę, wziął szkicownik i poszedł do żony.

- Popatrz - powiedział, pękając z dumy, gdy pokazywał jej swój rysunek.

Żona zmrużyła oczy i ściągnęła brwi, ponieważ jego spadochron był narysowany czaszą do dołu! Zamiast mieć kształt „n”, miał kształt „u”.

- Czy to odniesie odpowiedni skutek? - spytała poważnie.

- Oczywiście! - wykrzyknął.

Zrobił spadochron z jej chusteczki, by przeprowadzić dowód. Chusteczka sfrunęła na podłogę, ale zgodnie z jego przewidywaniem nie obracała się.

Akwarelista nabrał więc ostatecznie przekonania, że jest to rozwiązanie dla wpadającego w korkociąg spadochronu, i postanowił uszyć go sam. Wykorzystał do tego celu żoniną maszynę. Następnie namówił przyjaciela, by pozwolił mu skoczyć z gondoli jego balonu wypełnionego gorącym powietrzem i wypróbować wynalazek.

Był tak podekscytowany, że nie przeprowadził najpierw próby z manekinem (lub kotem), co było zwyczajem w owych czasach. Po prostu przypiął się i skoczył.

Runął w dół prosto na ziemię - niczym wazon strącony z półki - i zginął na miejscu.

Kiedy Maude Sausalito (mająca wtedy jedenaście lat) usłyszała po raz pierwszy tę historię, poczuła wielki smutek z powodu losu malarza. Potem zaczęła sobie wyobrażać (tęsknie) rozmaite rzeczy, które uratowałyby mu życie, gdyby na nich wylądował.

Stóg siana; jezioro; świeżo skopana grządka!

Kadź pełna owoców morwy!

Gigantyczny koktajl mleczno-bananowy.

Stos bułeczek z jagodami.

(Była głodna).

Gdyby tylko, pomyślała - i nadal często tak myśli, nawet teraz - gdyby tylko temu głupiemu, nadmiernie rozemocjonowanemu mężczyźnie w bezużytecznym spadochronie udało się złapać prąd wstępujący. Gdyby ów prąd poniósł go wysoko pod błękitne niebo, nad wzgórzem z bitej śmietany i stawem z syropu klonowego. I w końcu łagodnie złożył na łóżku z racuchów na maślance.

W dzisiejszej dobie spadochrony mają kominki w środku czaszy, co zapewnia stateczność spadochronu podczas opadania.

urywki z ogrodowej szopy ZingÓW (ocalałe z pożaru fragmenty)

**Wyobraź sobie, co by było, gdybyś nie miał kolan!
Kiedy schodzisz z góry, twoje ciało w naturalny sposób ciąży do przodu. Podświadomie odchylasz się w przeciwną stronę i uginasz kolana, napinając przy tym mięśnie czworogłowe. Dzięki kolanom nie przewracasz się.**

Teraz wyobraź sobie, że twoje mięśnie czworogłowe są tak słabe, że nie mogą utrzymać kolan, gdy już zaczną się one zginać. Jeśli kolana nie przestaną się zginać, upadniesz jak długi na twarz.

**Instytut Ortopedii
Dakota Południowa**

festyn sportowy

Cath Murphy (nauczycielka, klasa druga B) trzyma jeden koniec wstęgi wyznaczającej linię mety i wzrokiem szuka Zingów w tłumie.

Aha. Jedna z klanu Zingów wyciągnęła się w pozycji pólężącej na piknikowym kocu i sprawdza dźwięki dzwonek w komórce.

Tam! Mała Zing ustawia się w szeregu do wyścigu.

Pulchna kobieta niosąca bułeczkę z żurawinami może należeć do rodziny Zingów...

Nie.

Ona nie jest członkiem rodziny Zingów.

To panna Heather Waratah (nauczycielka, klasa czwarta C).

Rok temu nie znała nawet Zingów. Dzisiaj dostaje nerwowego tikę na widok kogokolwiek z tej rodziny. (Podobnie jak na widok litery V).

Co więcej, straciła osobowość.

Straciła osobowość kilka miesięcy temu.

A właściwie jej osobowość spaliła się na popiół razem z ogrodową szopą Zingów.

A więc taki jest mój los, myśli ponuro, gdy wstęga wyznaczająca linię mety wypada jej z rąk pod stopy beładnie nadbiegających dzieci.

Fancy Zing zatrzymuje się obok bieżni w południowo-wschodnim rogu boiska. Wyjęła właśnie plastry z opatrunkiem ze skrytki w samochodzie.

Ze swego miejsca widzi córkę ustawiającą się w rzędzie do biegu. Rozlega się wystrzał pistoletu startowego i Cassie zaczyna biec w rytm uderzeń serca Fancy. Inne dzieci, myśli Fancy, poruszają się jak oszalałe marionetki. Cassie gładko biegnie daleko przed nimi.

Fancy przesuwając spojrzenie na linię mety, gdzie czeka Cath Murphy. Włosy do połowy szyi, obcięte równiutko, idealna postawa, lekko poirytowana mina. Fancy czuje, jak ogarnia ją fala miłości do wstęgi w dłoni Cath. Ta wstęga ma taką władzę! Wystarczy, że dziecko zaledwie ją muśnie, a dorośli muszą ją natychmiast puścić.

Jej wzrok wędruje wzdłuż linii wyznaczających tory bieżni, poza metę, gdzie pojawiły się cztery grupy, każda innego koloru. Sprawiają wrażenie ogromnych klombów.

Zdumiona Fancy odwraca się, by podziwiać biegnącą córkę.

*

Marbie Zing słucha skandujących dzieci. Ubrane w stroje w kolorach swoich czterech zespołów ćwiczą do zawodów w kibicowaniu. Ona siedzi nieopodal na kocu, od czasu do czasu zatykając palcami uszy.

Jej siostrzenica właśnie ukończyła bieg i usiłuje złapać oddech, stojąc o jakiś metr od Cath Murphy. Cath twierdzi, że straciła osobowość. Kiedy Marbie usłyszała o tym, zadzwoniła do Cath i doradziła jej, by wybrała się na przejażdżkę samochodem.

- Mnie też się to czasem przytrafia - powiedziała.
- Utrata osobowości. Podczas rozmów kwalifikacyjnych i wieczorów panieńskich. Ale zawsze ją odzyskuję, wracając samochodem do domu.

Cath natychmiast odłożyła słuchawkę.

Na boisku dziewczynka czeka na swoją kolej w skoku w dal. Jest taka malutka, że ledwie ją widać, przynajmniej w ocenie Marbie. Ręce i nogi ma cieniutkie, niemal półprzezroczyste. Kapelusz od słońca nacisnęła tak nisko na uszy, że musi zadzierać brodę, by coś widzieć. Opodal rodzice uśmiechają się do siebie szeroko, zerkając na dziewczynkę. Ona jednak staje w rozkroku, rozpościera ręce. Potem kuca, rozciągając kolana. Patrzy spod przymrużonych powiek na piasek, obmyśla strategię-

Przyglądając się jej, Marbie myśli o tym, jak często dzieci wślizgują się do świata dorosłych, a potem - gdy nauczycielka śpieszy, by zmierzyć długość skoku dziewczynki - jak często my, dorośli, znajdujemy się w ich świecie.

Wzdryga się zaskoczona, gdy dwie pary stóp zatrzymują się z tupotem przy jej kocu. To jej siostra Fancy, która wraca od samochodu, oraz Cassie, która nadbiega z przeciwnej strony z trzepoczącą niebieską wstążką w ręce.

Cath Murphy

Rok temu Cath Murphy stała na galeryjce w drugiej klasie, mrużąc oczy i uśmiechając się w promieniach porannego słońca, z rękami w kieszeniach nowych luźnych spodni i szyją rozgrzaną pod krótkimi jasnymi włosami.

Był to pierwszy dzień semestru i na dole zbierały się dzieci.

Nowy nauczyciel, Warren Woodford, stał na drugim końcu galeryjki, przed salą drugiej A. Pochylił się nad balustradą i lekko kiwnął brodą, potwierdzając: „Tak, zbierają się”.

Cath odpowiedziała poważnym skinieniem głowy.

Nowy nauczyciel bez wątpienia będzie cieszył się ogromną popularnością wśród uczniów. Jest bardzo wysoki, toteż gdy wyciągnie rękę, zdoła dotknąć sufitu lub powiesić obrazy u góry na ścianie. Potrafi też opuścić kącik ust z jednej strony, podnosząc brew z drugiej. Dzieciaki uważają, że taka mina, zwłaszcza gdy się ją robi po to, by je rozśmieszyć, jest u dorosłych szczytem dobrego humoru.

Gdy Cath spojrzała znowu na Warrena, robił do niej taką właśnie minę.

Było to naprawdę zabawne i zaskoczyła samą siebie, naśladując go. Uśmiechnął się lekko, odwrócił wzrok, po czym zawołał coś, co brzmiało jak: „Nabój z ziębami”.

- Słucham?

- Nabój z ziębami?

- Tak - zgodziła się z wahaniem. Następnie, ponieważ naprawdę chciała dowiedzieć się, o co mu chodzi, podeszła kilka kroków w jego stronę. - Przepraszam, ale nie dosłyszałam.

Machnął ręką, dając jej do zrozumienia, że to nic ważnego.

- Pytałem tylko, czy nie boi się pani - powiedział.

- Nie ogarnia pani przerażenie?

- Jasne, że tak! A pana nie?

Wróciła szybko na swoje miejsce, by dalej czekać. Czuła się niezręcznie i głupio, ale też w dziwny sposób czuła się pewną siebie, drobną, zabawną, demoniczną i wyjątkową blondynką.

W rzeczywistości wcale nie była przerażona, raczej podekscytowana. Ale jak lubiła mawiać jej matka, wszystkie spotkania z nowymi ludźmi, nawet ze ślusarzami czy siedmiolatkami, mogą cię trochę onieśmielać.

Cath uczyła już od dwóch lat i dzieciaki uważały ją za bardzo miłą i ładną. Czasami potrafiła być wymagająca, lecz przeważnie była sympatyczna. Znano ją z tego, że hojnie obdziela dzieci złotymi gwiazdkami oraz pieczętami: ŚWIETNA ROBOTA!

Wśród nauczycieli cieszyła się opinią osoby pogodnej i sumiennej, może trochę nieśmiałej, lecz skłonnej do ataków śmiechu.

Codziennie zjadała na drugie śniadanie zielone jabłko Granny Smith i wierzyła w uśmiech trwający 5-4-3-2-koniec! po wymianie skinień na korytarzu. Miała błysk Mary Poppins w oku, nie miała natomiast rumieńców na policzkach ani dywanikowej torby podróźnej.

Teraz, gdy podekscytowane dzieci tłoczyły się na schodach, przepychając się, rozmawiając między sobą

i zagadując do niej, Cath odpowiadała: „Dzień dobry!”, jak również „Proszę bardzo!”, „Powieś torbę na wieszaku, o tak. Grzeczna dziewczynka!”, „Ojej! Trochę jeszcze za wcześnie, żebyś potykał się o własne sznurowadło, prawda?”.

Zauważyła jednak, gwarząc w ten sposób z dziećmi, że nowy nauczyciel, Warren, witał się ze swoją klasą w milczeniu. Trzymał jedną rękę wysoko w powietrzu, a drugą zaganiał wszystkich do klasy. Przypominał majestaticznego policjanta. Zauważyła też, że uczniowie posłusznie stosowali się do tego niemego polecenia, ze zdumienia otwierając szeroko oczy.

Później tego samego ranka, gdy spędzała czas z dziećmi na przyjemnej edukacyjnej zabawie (Imię Luke zaczyna się na tę samą literę co lew! Straszne!), była świadoma długich okresów ciszy w sąsiedniej klasie. Od czasu do czasu ciszę przerywały salwy śmiechu.

Nazajutrz, we wtorek, Cath miała okazję porozmawiać podczas przerwy ze swoimi przyjaciółkami, Lenny D'Souzą (nauczycielka, klasa szósta B, psycholog szkolny) i Suzanne Barker (nauczycielka, klasa pierwsza A).

Cath powiedziała im, że na początku letnich wakacji zerwała ze swoim ubiegłorocznym chłopakiem. Lenny i Suzanne zareagowały smutnym: „Ooch!”, lecz Cath roześmiała się tylko i stwierdziła, że nawet nie pamięta, jak się nazywał. Suzanne jej przypomniała. „Dzięki” - rzekła Cath. „Zawsze uważałam, że nie jest odpowiednim facetem dla ciebie - oznajmiła Suzanne. - Nie miałaś aury osoby prawdziwie kochanej”. „Dzięki” - powtórzyła Cath. Lenny zdradziła im, że była na kolacji, no, zgadnijcie z kim? Na to Cath spytała: „Z kim?”, a Lenny odparła: „Zgadnij” i tak dalej. Wtedy Lenny przyznała się, że był to Frank Billson (dyrektor szkoły).

Cath i Suzanne *zapiszczały*, a gdy Lenny pobiegła po swoją kanapkę, pochyliły głowy i uniosły brwi, wzdychając: „O mój Boże! Co ona sobie wyobraża?”. Lenny wróciła, one zaś wyprostowały się i zrobiły miny jak gdyby nigdy nic.

Lenny zaczęła sondować Cath, jaki jest ten nowy nauczyciel, Warren Woodford. Cath już miała odpowiedzieć, ale w tym momencie Suzanne wtrąciła, że dotarły do niej plotki, iż zanim został nauczycielem, studiował w szkole aktorskiej.

A Cath pomyślała: „Tak naprawdę, Suzanne, ten nowy facet jest MÓJ”.

Ponieważ to ona była nauczycielką w drugiej klasie.

W środę, po apelu klas od zerówki do szóstej, którego tematem były cele oraz wartości, Cath wróciła do domu późno. Rzucając na stół klucze i okulary przeciwsłoneczne, przelotnie dostrzegła w szybie okna jadalni odbicie swojej zaferowanej, zamyślonej twarzy. Przystanąła na chwilę, by się jej przyjrzeć.

- Nie dowiecie się - powiedziała do okna - że moje serce zostało niedawno złamane.

To, co mówiła do Lenny i Suzanne, było nieprawdą, serce złamał jej właśnie ubiegłoroczny chłopak. Został dla pracy w Nowym Orleanie. Pewnego wieczoru przyniósł do niej tę pracę w małej białej kopercie - ogromnie entuzjastyczną opinię na temat stopnia jego wiedzy o ochronie środowiska.

- Kiedy wyjeżdżasz? - Udawała, że jest równie zdumiona i podniecona jak on.

- W przyszłym tygodniu.

- A na jak długo?

- Na czas nieokreślony!

Następnie przesiedział cały wieczór, pochylony nad stołem w jadalni Cath, wodząc palcem po trasach widokowych na mapie samochodowej Luizjany.

- Jesteś pewien, że dobrze widzisz przy tym świetle? - spytała zimno Cath.

On jednak był zbyt zmęczony aligatorami i chyba ledwie o niej pamiętał na lotnisku. A potem oczywiście było za późno. Jego bagaż został odprawiony.

„Czy on rzeczywiście mógł ci złamać serce?” - odbicie Cath w szybie było wyraźnie sceptycznie nastawione. Potem jednak pomyślała o nocach po jego wyjeździe, o tym, jak wypłakiwała się w poduszkę w pustym mieszkaniu, jak kopnęła telefon przez całą długość pokoju, źle potraktowała kwiaty, które przysłał jej z Nowego Orleanu (zostawiła je, by zwiędły w opakowaniu), obcięła krótko włosy i zapisała się na zaoczne studia prawnicze. Czy był tego wart, czy nie, bez wątplenia złamał jej serce. (Założył do kwiatów z Nowego Orleanu bilecik ze słowami: „Rozchmurz się!”).

-Ale teraz - oznajmiła swemu kotu, Violinowi, który ocierał się o jej kostki - doszłam do siebie!

Dzwoneczek na szyi Violina zadźwięczał cicho.

Przejrzała się w okiennej szybie, myśląc o tym, jak dobrze być z nikim niezwiązaną. Na przykład wczoraj upiekła o północy kruche ciasteczka z kawałkami czekolady, żeby świętować początek roku szkolnego! A dzisiaj zamierzała zjeść na kolację grzanki z pastą drożdżową Vegemite i zapiekany serem. A potem oglądać MTV tak długo, jak będzie miała na to ochotę. (Większość chłopaków niecierpliwi się i chce przełączyć kanał na mecz krykieta). A potem położy się i będzie czytała książkę do późna w nocy. Cudownie!

A w dodatku, podszeptował jej cichutki głos wewnętrzny, a w dodatku jestem pewna, że będę miała no-

wego chłopaka, teraz, kiedy tak właśnie się czuję! Plekroć osiągam stadium szczęśliwej, samodzielnej niezależności, poznaję nowego faceta. To czyni mnie ATRAKCYJNA, kiedy jestem szczęśliwa sama ze sobą, wkrótce...

- Cśś - rzekła stanowczo do swego odbicia, odwracając się od okna. A potem, czując ogromne napięcie, musiała przejść się do pobliskiego sklepiku.

W czwartek pomyślała: „Lubię być sama!”, przechadzając się po klasie i chwalać uczniów za pompony, które robili. „Będę studiowała zaocznie prawo”. Niektóre dzieci również się do niej uśmiechały. Dziewczynka o imieniu Lucinda miała uśmiech przyklejony do buzi tak długo, że Cath spytała, czy wszystko w porządku.

- Nie, ponieważ nie wolno mi tak nazywać nauczycielki - odparła Lucinda.

- To znaczy jak?

Ale Lucinda kręciła tylko głową, nadal się uśmiechając i szepcząc coś do siebie. Cath przykucnęła obok niej, żeby usłyszeć, co mówi.

- Panna Murphy - cicho wybąkała dziewczynka.

- Nie wolno ci nazywać mnie panną Murphy?
- zdziwiła się Cath.

Lucinda pokiwała energicznie głową, aż zakołysał się jej koński ogon.

- Ale przecież tak właśnie się nazywam, Lucindo!

- Nie mogę mówić rrr - wyjaśniła Lucinda, otrząsając się, jak gdyby przeszła przez pajęczynę. - Niech mi pani nie każe wymawiać tego dźwięku! Nie mogę powiedzieć ani jednego słowa z tym dźwiękiem! Z tym rrr...
- Zachłysnęła się, mając znowu końskim ogonem.

Na szczęście w tej samej chwili dziewczynka siedząca obok Lucindy zawołała:

- Wagina, wagina, wagina.

Jak ta mała ma na imię? Jej identyfikator leżał niestety pod stołem.

-CASSIE POWIEDZIAŁA „WAGINA”! - krzyknął Marcus Ellison.

Cassie. Właśnie. Tego ranka Cassie spóźniła się pięć minut do szkoły, a jej matka napisała usprawiedliwienie, co było uprzejmym gestem. W zamian, pomyślała Cath surowo, powinnam zapamiętać imię jej córki!

Ale szczerze mówiąc, plakietka Cassie rzadko była widoczna, ponieważ dziewczynka wygłaszała dramatyczne przemowy, wymachując dla większego efektu rękami i zmiatając ołówki oraz identyfikatory na podłogę.

-Wagina, wagina, wagina - powtarzała w kółko Cassie.

- Dostyc, Cassie! - rzekła stanowczo Cath.

Cassie popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Ale ja muszę powtórzyć to pięćset razy!

- Kto ci kazał?

-Ja.

- Wobec tego nakaz sobie tego nie robić.

- Dobrze. - Cassie skinęła głową i wróciła do swojego pompona.

W piątek Cath siedziała na drewnianej ławce, czekając na Warrena Woodforda. Zamierzali odbyć naradę na temat programu nauczania w drugiej klasie, ale Cath miała dyżur na boisku. Stwierdzili więc, że równie dobrze mogą ją odbyć na dworze, na słońcu. Majtała nogami, grając w swoją sekretną grę - wyobrażała sobie, że potrafi wznieść się pod niebo. Jako nastolatka miała wypadek na nartach i chirurdzy użyli metalowych elementów do rekonstrukcji jej kolan. Od tamtej pory myślała o swych kolanach jako o magicznych lewarkach.

Wznosząc się w taki sposób, jednocześnie zawołała ze złością: „Hej, ty tam!” do chłopca, który wrzucił

kanapkę z sałatką do pojemnika na śmieci. Surowo: „No, no, no!” do dziewczynki, która uszczypnęła koleżankę w nos, i czule: „Och, kochanie” do chłopca, który podszedł do niej, pokazując obtarty łokieć. Gdy już go opatrzyła, oparła się plecami o ławkę, by mieć lepszy widok na całe boisko (dzisiaj była to przeważnie gra w gumę i głośne dyskusje na temat nowego elektronicznego pupilka o imieniu pan Valerio, którego karmi się za pomocą pilota) i by pomyśleć.

Wspaniale jest być samą! - myślała. Ale coś ją niepokoiło i przestała majtać nogami, by zastanowić się, o co chodzi.

Doszła do wniosku, że w posiadaniu chłopaka podoba jej się jedno - swobodna atmosfera, kiedy poznaje się nowego faceta. Rozmawiając z mężczyznami, z którymi ewentualnie mogła się zaprzyjaźnić, Cath lubiła trochę pozartować, może nawet poflirtować, przekonała się jednak, że stają się czujni i znajdują okazję, by napomknąć o swojej dziewczynie. Irytowało ją to, wyznaczało jej miejsce, miała ochotę wyjaśnić: „Nie podrywam cię, pragnę wyłącznie, byśmy zostali przyjaciółmi”.

Jest znacznie lepiej, gdy ma się chłopaka i można wspomnieć o nim, przywracając równowagę i utrzymując nadal dobre stosunki. Jeszcze lepiej nadmienić o nim wcześniej.

- Z mlekiem, bez cukru, tak? - usłyszała za sobą głos Warrena Woodforda.

Gdy się odwróciła, zobaczyła go w całej okazałości. Lewą ręką przyciskał niezręcznie do boku plik teczek, w wyciągniętej przed siebie prawej trzymał dwa kubki z kawą, oplatając długimi palcami uszka. Wpatrywał się w nie intensywnie, jak gdyby w ten sposób mógł zapobiec wylaniu się płynu.

Zauważył, jaką kawę lubię! Albo też ludzie zwykle Piją taką kawę.

Wzięła od niego kubek i część teczek, po czym Warren usiadł okrakiem na ławce, co spowodowało dziwną sytuację, ponieważ ona była zwrócona twarzą do przodu, on zaś patrzył na jej ramię. Jak gdyby ustawili się do zdjęcia. Albo jak gdyby on dosiadał konia normalnie, a ona po damsku. Miał dość długi nos i usta trochę za duże w stosunku do brody.

- Słyszałem, że studiujesz prawo - powiedział, jak gdyby w ogóle nie przejmował się tą dysproporcją.

Interesował się mną!

- Jeszcze nie studiuje - poprawiła go Cath. - Na razie tylko się zapisałam. Zajęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu.

- Aha. - Skinął głową, jak gdyby tak właśnie przypuszczał. - Skąd ten pomysł? To znaczy studiowania prawa?

- Żeby coś robić - wzruszyła ramionami Cath.

- Żeby coś robić - powtórzył powoli. A następnie wyskandował śpiewnie: - Żeby coś robić; żeby kogoś sądzić; żeby w szeregu się ustawić. Hmm. Ustawić się w szeregu. Przepraszam. - Odstawił kubek i dodał: - Ta kawa jest ohydna. I jeszcze jedno. Nie wiem, czy zdołam współpracować z tutejszym dyrektorem. Jak on się nazywa? Billson. Wydaje mi się nieco, bo ja wiem, nierozgarnięty?

- Ja uważam - odparła Cath - że jest błyskotliwy.

- Hm, błyskotliwy, jasne, oczywiście. Frank Billson, tak? Nadzwyczajny facet. - Upił w zamyśleniu łyk kawy. - A to jest doskonała kawa.

Do tej pory, w trakcie pięciu dni szkoły i trzech krótkich pogawędek na galerijce drugiej klasy, Warren ani razu nie napomknął o swojej dziewczynie. Cath była za to wdzięczna. Albo Warren nie miał dziewczyny, albo nie widział potrzeby, by o tym mówić. Tak czy owak, świadczyło to o jego szacunku dla niej.

Cath podobało się, że jest sama, ale pragnęła zaprzyjaźnić się z tym mężczyzną, z tym Warrenem Marzycielskim Woodfordem. (Jego oczy miały tęskny, marzycielski wyraz). Chciała się z nim zaprzyjaźnić, a żeby tak się stało, może będzie musiała z nim flirtować.

Fancy Zing

Telefon dzwonił niczym kogut, który uczy się piąć.
To była babcia. Dzwoniła na ich telefon bezprzewo-
dowy.

- Przecież to moja wnuczka Cassie! Jak się miewa
moja Cassie?

Miewała się dobrze.

- A jak minął pierwszy dzień w drugiej klasie? Był
emocjonujący?

Dosyć.

- Jak myślisz, z kim będziesz się przyjaźnić? Może
nadal z tym miłym chłopczykiem, który ma taką śmiesz-
ną krzywą nogę? Jak on się nazywał? Joey? Kaminsky?
Kamińska?

Raczej nie. I to od pierwszej klasy.

-A jaka jest twoja nowa nauczycielka? Panna
Murphy. Jest miła? Była dla ciebie dziś miła, kochanie?

Aha.

- A ty byłaś miła dla niej?

Aha.

- A inne dzieci też były dla niej miłe?

Raczej.

- No dobrze, Cassie, czy mogę porozmawiać z two-
ją mamusią? Jest tam gdzieś?

Aha.

Cassie zaniósła babcię przez hol, trzymając w ramionach niczym małe delikatne kaczątko, do pracowni matki. Mamy tam nie było. Położyła słuchawkę na kozetce i usiadła przy biurku mamusi, by przeczytać kilka słów na ekranie komputera.

Po chwili przypomniała sobie o babci, chwyciła słuchawkę i rzuciła nią przez hol niczym latawcem bez sznurka. Babcia odbiła się od ściany i w tym momencie Cassie dostrzegła mamę przy kuchennym zlewie.

- Dzwoni babcia - powiedziała.

-Dobrze - odrzekła mama, zdejmując gumowe rękawice, które wkładała do zmywania. - Połóż ją tam.

Cassie odłożyła delikatnie babcię obok dzbanka do herbaty i pokrywki rondla.

Biorąc słuchawkę z kuchennego blatu, matka Cassie, Fancy Zing, powiedziała:

- Dzisiaj, mamó, niebo było baaardzo niebieskie.

-Tak! Prawda? Wspaniała pogoda na pierwszy dzień szkoły! - wykrzyknęła na to jej matka. - Cassie wydaje się podekscytowana tym, że jest w drugiej klasie, prawda? Nie mogę się doczekać, by usłyszeć więcej! Założę się, że miałaś dzisiaj rano kłopot z obudzeniem jej. Cassie lubi sobie pospać, prawda? Posłuchaj, może to wariacki pomysł, ale zamierzam przygotować na kolację risotto z truskawkami.

Rozmawiały o zaletach risotta z truskawkami, lecz Fancy powędrowała myślami do tamtego dnia nad morzem, wiele lat temu, kiedy zbeształa dwie mewy. Mewy wyciągały szyje, strasząc się wzajemnie. „Przestańcie natychmiast! - krzyknęła. - Macie być dla siebie miłe”. O dziwo, ptaki spojrzały na nią, przestraszone, lecz również skruszone, i Fancy miała ochotę przytulić je i przeprosić: „Przykro mi, że na was nakrzyczałam, moje kochane, ale naprawdę nie wolno się bić”.

-A potem - oznajmiła jej matka - będzie boeuf Straganów. Stare, dobre żelazne danie, prawda?

-Rzeczywiście - zgodziła się Fancy - ale muszę kończyć, mam - przyszedł chyba Radcliffe.

Radcliffe był mężem Fancy i właśnie w tej chwili wołał z frontowej werandy: „Fancystycznie! Moja Fancy jest w domu!” Było to jego stałe powitanie z werandy, zanim jeszcze otworzył drzwi wejściowe.

-Jestem w pracowni! - odrzyknęła Fancy, przebiegła pędem z kuchni do swojego pokoju i usiadła przy biurku.

Wyjęła z szuflady notatnik i napisała u góry strony:

Rzeczy, które mnie irytują w moim mężu.

Następnie za pomocą linijki narysowała ramki.

Mąż wsunął głowę przez drzwi i cmoknął głośno, co było jego sposobem całowania jej na powitanie.

-Cześć - odrzekła, rysując jak szalona ramki. Uświadomiła sobie, że Radcliffe nadal tam stoi, oparty o framugę, podniosła więc głowę znad notatnika i spojrzała na niego. - Cześć - powtórzyła, poprawiając okulary na nosie.

Mąż skinął spokojnie głową i ruszył korytarzem, wołając:

- Co zrobiłaś z Cassie?

Fancy nie zareagowała i zaczęła wpisywać tekst w pierwszej ramce.

RZECZY, KTÓRE MNIE IRYTUJĄ W MOIM MEŻU, # 1

Cóż, rano ma ten okropny nawyk, kiedy goli się przy umywalce w łazience, a ja tymczasem biorę prysznic. Do golenia używa maszynki Valerio, którą trzyma na upačkanej pastą do zębów półeczce, i co trochę stuka nią o brzeg umywalki.

Pac, pac, pac, potem po chwili znowu: pac, pac, pac. Słyszę to mimo szumu prysznic i trzasku zakrętki flakonu z szamponem, rytmiczne pac, pac, pac. Nawet gdy owijam się ręcznikiem (który podaje mi z podgrzewanej suszarki, nie odrywając spojrzenia od swego odbicia w lustrze), nawet wtedy stuka: pac, pac, pac. Następnie odkręca mocno wodę, by umyć twarz i spłukać do umywalki zgolony zarost.

Wszystko to doprowadza mnie do szału!

We wtorek rano Fancy podrzuciła Cassie do szkoły i wróciła do zadowolonego z siebie, pustego domu. Westchnęła, wędrując po jego holach. Po jego holu, sprostowała sama. Jest tylko jeden.

Następnie przebrała się z powrotem w piżamę, wzięła filiżankę herbaty i racuszek z miodem i usiadła przy biurku. Zamierzała napisać powieść, która zdobędzie nagrodę literacką, i pomyślała, że może pisać ją kursywą. Kursywa jest zarazem odważna i pełna tajemniczości. Poza tym ostatnio krążyło jej po głowie konkretne wykursywione zdanie:

Jak się miewa twój bass wielkogębowy, kochanie?

Nie całkiem wiedziała, o co jej chodzi w tym zdaniu, ale było dla niej ogromnie poruszające. Przypuszczalnie zostanie wypowiedziane w restauracji.

RZECZY, KTÓRE IRYTUJĄ MNIE W MOIM MĘŻU, # 2

Jego rodzina miała kiedyś posokowca rasy Rhodesian Ridgeback, który podobnie jak ja nosił imię Fancy, i on nie potrafił przejść do porządku dziennego nad tym zbiegiem okoliczności.

W środę wieczorem Fancy i Radcliffe oglądali telewizję, gdy weszła Cassie w letniej koszulce nocnej, z włosami mokrymi po kąpieli.

- Jest nasze utrapienie! - Radcliffe mówił to, ilekroć Cassie wchodziła do pokoju. A nawet jeśli Cassie wyszła na moment do toalety w restauracji i wracała do stolika.
- Jest nasze utrapienie!

Cassie zawsze sprawiała wrażenie zmartwionej, gdy to słyszała, lecz Radcliffe tego nie zauważał. Fancy zastanawiała się, kiedy wreszcie zauważy. Przyglądała się przez chwilę badawczo mężowi, po czym powędrowała myślami do jego oświadczeń.

Oświadczenia odbywały się kilkanaście lat temu. Obecnie miała trzydzieści cztery lata, wtedy zaledwie dwadzieścia jeden. Szli wówczas błotnistym szlakiem w Górach Błękitnych po drugiej stronie Blackheath. Błoto było czarne jak pasta do butów, a głowa Fancy pełna niewróżących nic dobrego, choć zmysłowych myśli.

Radcliffe zdawał się skoncentrowany na fotografowaniu. Nie miał wprawdzie aparatu, lecz cofał się ostrożnie od polnych kwiatów i ubłoconych gałązek, układając palce wskazujące i kciuki w prostokąt, patrząc spod przy-mrużonych powiek w ten zaimprovizowany obiektyw i mówiąc: „Pstryk!”.

Po którymś z takich zdjęć opuścił nagle ręce i oświadczył normalnym tonem:

- Chciałbym się z tobą ożenić, Fancy.

- Doprawdy? - spytała z zaskoczeniem, a nawet z powątpiewaniem.

- Chciałbym ożenić się z tobą - potwierdził. - I ze wszystkim, co cię otacza.

Chciałabym ożenić się z tobą i ze wszystkim, co cię otacza.

Fancy wróciła duchem do salonu i wzięła do ręki pilota, by przewinąć szybko reklamy. Oglądali nagrany wcześniej odcinek serialu *Prawo i porządek*. Przewijając taśmę, zdała sobie jednak sprawę, że film się skończył. Przegapiła zakończenie i teraz już leciało coś zupełnie innego. Radcliffe i Cassie siedzieli w milczeniu, udając, że nic dziwnego się nie dzieje.

- Cóż! - powiedziała Fancy, wciskając STOP w pilocie.

- Nie! - wykrzyknęła rozpaczliwie Cassie. - Nie mów „cóż!” takim tonem! Nie lubię, kiedy mówisz „cóż!” w taki sposób!

- A jak chcesz, żebym mówiła? - spytała łagodnie Fancy. - Cóż? Cóż? Cóż!! - próbowała różnych tonacji. - Wybieraj, Cass.

- W ogóle nie chcę - wyjaśniła Cassie. - Bo to znaczy, że zamierzasz mnie wysłać do łóżka.

- Oho! - Radcliffe okręcił się na pupie. Siedział po turecku na podłodze. - Cassie-grimassi cierpi na klinofobię, prawda?

- Co?

Radcliffe uśmiechnął się szeroko do córki.

- Klinofobię - powtórzyła szeptem Cassie, wpatrując się w niego, po czym odwróciła się do matki i poprosiła: - Nie mów po prostu w taki sposób, jakbyś się z tego bardzo cieszyła, dobrze?

- Dobrze, kochanie, powiedz dobranoc tatusiowi.

- Moja malutka klinofobiczka! - Radcliffe uściskał córeczkę.

- To strach przed pójściem do łóżka - wyjaśnił później Radcliffe, zaglądając do pracowni Fancy.

- Usiłuję pracować, Radcliffe - zauważyła zimno Fancy.

RZECZY, KTÓRE IRYTUJĄ MNIE W MOIM MEŻU, » 3

Gdy uprawiamy seks, mówi do mnie tym niskim, chrapliwym głosem, który jest w ogóle niepodobny do jego głosu. Zupełnie jak gdyby ktoś ukryty w spiżarni dzwonił na policję, żeby zawiadomić o włamaniu, które właśnie ma miejsce.

Takim głosem mówi do mnie rzeczy w rodzaju: „Zrób mi to, kochanie”, co jest do przyjęcia, choć nie w moim guście. Ale tego samego tonu używa, by powiedzieć coś całkiem zwyczajnego, na przykład: „Czy mogłabyś przesunąć nogę, kochanie? Przyszczypałaś mi jądra”.

Kiedy się kochamy, zawsze odchrząkuję, żeby dać mu do zrozumienia, iż on również powinien odchrząknąć.

Fancy była autorką książek o tematyce erotycznej. Oczywiście zamierzała też napisać powieść, która zdobędzie nagrodę literacką. Proza erotyczna była jej nożem do smarowania masła, powieść będzie tomahawkiem.

W wieku czternastu lat pracowała w niepełnym wymiarze godzin w sklepie z towarami żelaznymi i nadal z czułością wspominała odliczanie reszty.

- Dwadzieścia dolarów? Dziękuję. Tak jest jedenaście, trzynaście, piętnaście i dwadzieścia. Czy zapakować w torebkę?

Mężczyźni odpowiadali najczęściej: „Nie, dziękuję”. Ale czasami Fancy nie dawała im wyboru, wkładając śrubokręty wprost do plastikowych reklamówek. Nigdy nie brali torebek za rączki, chwyтали je u góry niczym kureę za szyję.

W czwartkowy poranek Fancy stwierdziła, że nie ma nic złego w odwożeniu w pizamie córki do szkoły. Jak również w odwożeniu córki do szkoły, a następnie szybkim wyskakiwaniu z samochodu w drodze powrotnej do domu, by wrzucić dwa worki z używanymi ubraniami do niebieskiego pojemnika stowarzyszenia imienia świętego Wincentego a Paulo. Absolutnie nic złego.

Pomijając fakt, że jej sąsiad jadł właśnie śniadanie na frontowej werandzie swego domu, gdy ona wyskoczyła w pizamie, krzycząc: „CASSIE! RUSZAJ SIE! JESTEŚMY OKROPNIE SPÓŹNIONE!” i wysypując znoszone ciuchy z worków na śmieci, które kurczowo ścisłała pod obiema pachami.

Był jednym z tych nudnych Kanadyjczyków mieszkających po sąsiedzku, którzy mówią o wszystkim powoli i z uprzejmym, lekkim rozbawieniem.

- Widzę, że masz pełne ręce - zawołał z werandy z tym swoim uśmiechem, trzymając nóż i widelec nad bekonem.

Ich domy stały bardzo blisko siebie.

- Tak - przyznała Fancy i chcąc być uprzejma, przystanęła na chwilę, zanim krzyknęła znowu na Cassie.

Sąsiad wrócił do bekonu i racuchów - bekon i racuchy! - a Cassie wynurzyła się z holu, z grzebieniem i frotką do włosów wystającymi z ust, kluczami samo-

chodowymi okręconymi na palcu, włosami opadającymi na twarz, ciągnąc za sobą ogromny wór na śmieci.

- Co ty, u licha, robisz, Cassie, kochanie - w tym worku są książki! Ich nie zabieramy.

Cassie wyjęła z ust grzebień i frotkę.

- Dlaczego? \

- Kochanie, ten przeznaczamy na szkolny kiermasz, a nie dla stowarzyszenia świętego Wincentego a Paulo. Ale dziękuję ci, jest bardzo ciężki, musiało być ci trudno znieść go po schodach.

Cassie uniosła brwi i zawróciła, by wciągnąć worek z powrotem do środka.

- Nie! - krzyknęła spanikowana Fancy. - Zostaw go po prostu przy drzwiach. Nie musisz wnosić go na górę.

- Dobrze.

- Zabrałaś swoje drugie śniadanie?

- A co to jest?

- Masło orzechowe. Na drugiej półce w lodówce. Biegnij szybko i weź je.

- Masło orzechowe! - wykrzyknęła Cassie i tupnęła nogą.

Jeszcze wczoraj uwielbiała masło orzechowe, lecz czasami jej smak wykonywał nieoczekiwaną gwałtowną woltę.

- W Nowej Fundlandii - powiedział z werandy Kanadyjczyk - dzieciaki wymieniają się kanapkami z homarem za masło orzechowe.

Cassie wpatrywała się w niego bez słowa.

- Ojej! - rzekła uprzejmie Fancy.

-W Nowej Fundlandii - wyjaśnił Kanadyjczyk - homar jest czymś tak pospolitym.

- Cassie - poleciła Fancy po pełnej udręki pauzie, której wymagała uprzejmość - biegnij szybko, skarbie, i weź swoje śniadanie.

Gdy wjechały na pas autobusowy przed szkołą Cassie, w radiu zaczynały właśnie bębnić wiadomości.

-Wagina, wagina, wagina - powiedziała Cassie, licząc na palcach. - O-ho. - Wskazała na radio. - Wiadomości.

- Proszę... - Fancy spojrzała we wsteczne lusterko i odgarnęła córeczce włosy za uszy. - Podaj mi pióro ze skrytki. Chyba lepiej będzie, jeśli napiszę ci usprawiedliwienie.

Droga Panno Murphy!

Proszę o usprawiedliwienie dzisiejszego spóźnienia do szkoły mojej córki, Cassie Zing-Mereweather (bardziej znanej jako Cassie Zing - jej wybór).

Musiałam zawieźć trochę używanych rzeczy do stowarzyszenia świętego Wincentego a Paulo.

BARDZO serdecznie pozdrawiam, z poważaniem

Fancy Zing

W piątek wieczorem Radcliffe i Fancy udali się na Poufną Naradę Rodziny Zingów. Cassie siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, obłożona efektami pracy w pierwszym tygodniu drugiej klasy.

- Będą tym zachwyceni, prawda, mamusiu?

Cassie pochyliła się do przodu, naciągając swój pas bezpieczeństwa, i pomachała im rysunkiem motyla przed nosem, całkiem zasłaniając Radcliffe'owi widok drogi.

- Z pewnością, kochanie - zgodziła się Fancy.

- Na miłość boską! - warknął jednocześnie Radcliffe.

To sprawiło, że Cassie cofnęła się na moment na swoje siedzenie. Zaraz jednak ponownie się ożywiła.

-Najpierw pokażę mój zeszyt do arytmetyki, za który dostałam złotą gwiazdkę, następnie mój pompon, a potem rysunek i... nie, zaczekajcie...

- Chyba trzeba będzie niebawem zarezerwować stolik w Samsons i Bellamys, prawda? - zwrócił się Radcliffe do Fancy, poklepując kierownicę.

Miał zwyczaj zagłuszać Cassie, gdy zaczynała go nudzić.

- Tak - potwierdziła Fancy. - Ale zbliżają się wielkimi krokami urodziny Cassie.

- W takim razie, po szóste, zaśpiewam... Czy mówiłaś coś o moich urodzinach, mamusiu?

- Hej, Cass, dziecino - powiedział Radcliffe, spoglądając we wstecznym lusterku na córkę. - Miejmy nadzieję, że nie cierpisz na alektorofobię, co?

Na chwilę zapadła cisza.

- Słucham?

- Alektorofobię.

- To coś na moje urodziny?

Radcliffe zaśmiał się sam do siebie. Zatrzymał się pod czerwonym światłem. Cassie siedziała spokojnie, czekając.

- To strach przed kurczętami - wyjaśnił Radcliffe Fancy zniżonym głosem. - Alektorofobia. Strach przed kurczętami. Przynajmniej dziś na kolację będą pieczone kurczęta, prawda?

- Wobec tego wytłumacz to Cassie! Cassie, kochanie, nie przejmuj się tatą. On się tylko wygłupia.

- Daj spokój - rzekł Radcliffe, ruszając pełnym gazem, gdy światło zmieniło się na zielone. - Ona się w ten sposób uczy.

- Uczy czego?!

- Elektra - mruzczała Cassie na tylnym siedzeniu.

- Elektro? Elektro?

Fancy poczuła się, jak gdyby komar ugryzł ją właśnie w brodę. Postanowiła się uspokoić - przenieś się na plażę, uspokój rozzłoszczone mewy, Fancy! Przenieś się! Radcliffe włączył radio.

Marbie Zing

Po północy mieszkanie czekało, wciąż skąpane w blasku księżycy i rozprażone upałem. Przesunęło się lekko, próbując znaleźć chłodniejszą pozycję. Ćma musnęła skrzydłem lampę na frontowej werandzie i mieszkanie głośno odkaszlnęło.

Wewnątrz panował senny nieład - wszędzie walały się pudła, puszki z farbą, papier ścierny, wiadra i banany. Drewniana drabina, leżąca na płask, zajmowała całą długość korytarza.

Młoda kobieta, w wieku może dwudziestu ośmiu lat, wynurzyła się z sypialni na końcu korytarza. Szła, stawiając stopy między szczeblami drabiny, ostrożnie, krok za krokiem, wydając się unosić w powietrzu, w mgiełce długich włosów i białej koszuli nocnej. Gdy dotarła do wejścia do salonu, przystanęła. Na czole miała bliznę w kształcie krokusa.

Srebrny promień księżycy podążał za kobietą, zaintrygowany, gdy weszła do kuchni.

Potem w holu pojawił się młody mężczyzna. Miał zwichrzone włosy, zaspane oczy i był prawie nagi, jeśli nie liczyć bokserek. On również zatrzymał się w drzwiach do salonu, ale tylko po to, by ziewnąć i się przeciągnąć. Przy tym ruchu mięśnie ramion i klatki piersiowej naprężyły się i uwydatniały. Zniknął w kuchni.

Kiedy stamtąd wyszedł, prowadził pod rękę tamtą kobietę, przemawiając do niej łagodnie:

- Nie, Marbie, w kuchni nie ma zielonego żółwia.

Kobieta podniosła na niego wzrok, on zaś pokiwał zachęcająco głową.

- Już dobrze? Już dobrze? Jesteś gotowa, by wrócić do łóżka?

Ona jednak patrzyła gdzieś poza nim, w drugi koniec holu.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptwała. - Znowu! Ile to już nocy?

- Co takiego? - Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie. - Nie śpisz? Rozbudziłaś się?

- Uważaj na oczy, Vernon - poleciła. - Ja się tym zajmę. - Pomaszrowała przez hol, mrużąc pod nosem: - Och, wydaje ci się, że możesz tak zwyczajnie sobie wpaść? Małe statki kosmiczne! Ustawiające swoje szyby windowe na naszych... - Umilkła, gdy dotarła do ściany, i wpatrzyła się w jej jasną gładką powierzchnię. - To było właśnie tutaj... - Odwróciła się do swego chłopaka, który cierpliwie czekał.

- Tak? Winda? - podsunął jej.

- Hmm - powiedziała wolno - nie ma szybu windowego.

- Teraz już się obudziłaś? - spytał mężczyzna.

- Przepraszam - odparła.

- Nie ma sprawy.

Stali wciąż oblani światłem księżyca.

- Gorąco, prawda? - odezwała się po chwili kobieta. - Zastanawiam się, czy powinniśmy...

- To zależy, czy Listen nie śpi - zgodził się mężczyzna, wyglądając na korytarz.

- Tak. - Kobieta podniosła lekko głos. - Ciekawe, czy się obudziła?

- CZY TO MOŻLIWE, ŻE SIĘ OBUDZIŁA? - zagrział mężczyzna.

-MAM NADZIEJĘ, ŻE JEJ NIE OBUDZILIŚMY! - krzyknęła jeszcze głośniejsza kobieta.

Oboje umilkli, nasłuchując z nadzieją.

Wreszcie w drzwiach salonu ukazała się dwunastoletnia dziewczynka, mrugająca w ciemności powiekami.

- Och, nie! - jęknęła głośno kobieta. - Chyba cię nie obudziliśmy, Listen?

- Gorąco, prawda? - powiedziała dziewczynka.

- Właśnie - potwierdził mężczyzna.

Po kilku chwilach cała trójka wyszła na werandę, potem na podjazd i na ulicę. Szli pod latarniami, pod grafitowym rozgwieżdżonym niebem, ich białe stopy kroczyły bezszelestnie po asfalcie. Mężczyzna strzepnął komara z ramienia kobiety. Dziewczynka boleśnie uderzyła się w duży palec u nogi, skakała przez kilka kroków na jednej nodze, po czym całkiem się rozbudziła.

Po dziesięciu czy piętnastu minutach minęli szeregi podmiejskich domów, z których każdy miał nieduży trawnik od ulicy. Obok pewnego konkretnego domku z jasnej cegły, który niczym szczególnym się nie wyróżniał, wszyscy troje skulili się i przemknęli pędem.

Tuż za tym domem nieduży trawnik kończył się wysokim ciemnym żywopłotem. W żywopłocie znajdowała się furka z kutego żelaza, na której wisiała czarno-biała tabliczka:

SZKOŁA ŚREDNIA BELLBIRD.

Dążyć do czegoś znaczy osiągnąć cel.

Prosimy o zamykanie furki.

Kobieta podniosła głowę i omiotła spojrzeniem ulicę, po czym skinęła głową na pozostałych. Wszyscy troje przeleźli górą przez furtkę.

Gdy znaleźli się na ciemnym trawniku przed szkołą, puścili się biegiem. Przemknęli przez dziedziniec i parking. Potem przez boisko do netballu i pod kamiennymi murami różnych budynków szkolnych. Tu i ówdzie migotały lampki systemu zabezpieczeń.

Na tyłach szkoły ciągnął się spadzisty trawnik, który przechodził w łąaty wysokiej trawy i kępy gęstych, splecanych zarośli. Wśród zarośli wiła się wąska polna dróżka, kończąca się przy bramce. Wdrapali się na tę bramkę i zeskoczyli.

Znaleźli się na brzegu basenu. Po jego drugiej stronie widać było rząd drewnianych ławek, przy nich kilka starannie ułożonych stert żółtych desek, na każdej białą odblaskowy napis: „Sprzęt treningowy. Nie usuwać”.

Obok ławek stał stojak z tablicą:

REGULAMIN OBOWIĄZUJĄCY NA BASENIE KĄPIELOWYM

- NIE BIEGAĆ
- NIE SKAKAĆ
- NIE RZUCAĆ NICZYM
- NIE CHLAPAĆ
- NIE PŁYWAĆ BEZ NADZORU NAUCZYCIELA (WYJĄTEK STANOWIĄ CZŁONKOWIE DRUŻYNY PŁYWACKIEJ STARSZYCH KLAS)

Wszyscy troje bez słowa skoczyli do wody.

Kobietą w basenie była Marbie Zing. Mężczyzną był jej chłopak Vernon. Dwunastoletnia dziewczynka, unosząca się na plecach na wodzie i wpatrująca się

w gwiazdy, była młodszą siostrą Vernona, Listen. Cała ta trójka właśnie zamieszkała razem.

Później tej samej nocy Marbie i Vernon leżeli sennie w łóżku, ich mokre splątane włosy rozsypały się na poduszkach, serca wciąż jeszcze tłukły im się w piersiach po niedawnej kąpieli.

- Pójdę chyba posadzić kwiaty w doniczkach - powiedziała Marbie.

Vernon przekreślił się na bok i spojrzał na nią.

- Nie śpisz? - spytał.

- Nie śpię - odparła.

- Przestań być taka piękna - wymamrotał i zasnął.

Tymczasem Listen Taylor siedziała na podłodze w holu obok swego łóżka. Jej nocną koszulę wysuszył lekki wietrzyk, gdy wracali do domu, ale z włosów jeszcze od czasu do czasu kapały na szyję krople wody.

Była trzecia nad ranem, lecz ona w ogóle nie była śpiąca, rozmyślała nad swoim nazwiskiem. „Listen Taylor” - wymówiła na głos, a potem zamiast tego spróbowała: „Listen Zing”. Tyle tylko, że w formie pytania: „Listen Zing?” Albowiem zastanawiała się: „Czy jestem teraz Zingówną?”

Skoro ty i twój brat zamieszkaliście z Marbie Zing, chodźcie na zakupy z Marbie Zing, malujecie ściany z Marbie Zing, kąpiecie się w nocy w basenie z Marbie Zing, co tydzień jeździecie razem z nią na Poufną Naradę Rodziny Zingów - czy siłą rzeczy sama stajesz się Zing?

Być może.

Trzeba uczciwie przyznać, że jedynie Vernon znał Sekret - zdradziła mu go Marbie, kiedy miesiąc temu kupili wspólnie mieszkanie. Toteż wyłącznie on miał wstęp do ogrodowej szopy na Poufną Naradę Rodziny Zingów. Listen zostawała w domu babci Zing i oglądała filmy z małą Cassie.

Także, co ważniejsze, imię Listen lepiej pasowało do nazwiska Taylor. Częstka „Taylor” łagodziła częstkę „Listen” lub stawiała przy niej aprobujący ptaszek. „Jak się nazywasz?”. „Listen Taylor”. „Aha. Fajnie. Cześć”.

„Jak się nazywasz?”. „Listen Zing”. Nieznajoma osoba, która już prześlizgnęła się po Listen, uderzy boleśnie głową w Zing. „Przepraszam, jak?”

Musi koniecznie przemyśleć te sprawy, skoro zacznie w przyszłym tygodniu uczęszczać do szkoły średniej.

Rok szkolny w szkole podstawowej już się rozpoczął - Zingowie byli podekscytowani, ponieważ Cassie poszła do drugiej klasy - Listen miała jeszcze tydzień wakacji. Zaledwie za tydzień, pomyślała, wszystko się zmieni.

Ale tak naprawdę już się zmieniło - wyprowadzili się z bratem z przyczepy kempingowej i zamieszkali razem z Marbie Zing w nowym mieszkaniu.

Wyprostowała się i rozejrzała po kartonach. Nie próbowała nawet żadnego otworzyć, ponieważ były tak porządnie oklejone taśmą, że bez nożyczek lub noża nie miała co marzyć, by się do nich dostać. Tymczasem nożyczki i noże znajdowały się wewnątrz pudeł.

Listen próbowała odgadnąć, który karton zawiera jej nowy mundurek szkolny. To byłby numer, gdyby nie udało im się rozpakować go przez następny tydzień. Vernon musiałyby napisać jej następujące usprawiedliwienie do szkoły:

Do wszystkich zainteresowanych.

Jest nam niezmiernie przykro, lecz Listen Taylor nie będzie mogła uczęszczać w tym roku do siódmej klasy. Jej mundurek szkolny utknął w pudle.

Pozdrawiam serdecznie,

jej starszy brat

Vernon

XXX

Właśnie w chwili gdy Listen uśmiechała się sennie, wyobrażając to sobie, zauważyła książkę leżącą na wierzchu pudła.

Była to cienka książka w żółtawozielonej okładce. Tytuł **MAGICZNA KSIĘGA** był wydrukowany dużymi białymi literami. Wyglądała jak jeden z tych zeszytów do ćwiczeń na początku szkoły, w których trzeba na przykład łączyć ukośnymi liniami słowa **ZIMNY** i **GORĄCY** czy **RUCHLIWY** i **SPOKOJNY**. Kiedy jednak otworzyła książkę na pierwszej stronie, okazało się, że jest to absolutnie coś innego.

**Gratulacje! Znalazłaś tę Magiczną Księgę!
Brawo dla ciebie!**

Listen przyjrzała się książce sceptycznie, zauważając przy tym u dołu strony adnotację o zrzeczeniu się odpowiedzialności.

Zrzeczenie się odpowiedzialności

Magiczna Księga zadziała wyłącznie wtedy, gdy będziesz **BARDZO SKRUPULATNIE** przestrzegać instrukcji. Po pierwsze, możesz przewrócić stronę dopiero wtedy, gdy ci na to pozwolimy. Jeśli nie zastosujesz się do polecenia, Księga **NIE SPEŁNI TWOICH OCZEKIWAŃ**. Teraz musisz włożyć ją pod poduszkę. Wolno ci przewrócić stronę dopiero w środę o piątej po południu.

W tym momencie Listen podskoczyła z przestraszenia, ponieważ Marbie zapukała do okna, wołając:

- Listen? Możesz mnie wpuścić?

Marbie Zing należała do osób, które włóczą się po dworze w środku nocy, by sprawdzić kwiaty w doniczkach, i zapominają wziąć klucze od domu. Marbie była też osobą, która się przechadzała, a w jej głowie bez przerwy kołatało się jedno zdanie:

To decyzja, której będzie żałowała do końca życia.

Ponieważ była ogromnie podniecona i szczęśliwa, że spotkała Vernona i jego młodszą siostrę Listen, obawiała się, że zrobi jeden fałszywy krok i utraci ich.

Na przykład: założmy, że Marbie jest już spóźniona do pracy, otwiera szafę i widzi, że jej krótka niebieska sukienka wisi obok długiej kwiecistej spódnicy. Którą z nich powinna włożyć? W pośpiechu wybiera długą spódnicę. To decyzja, której będzie żałowała do końca życia - albo - wiem później! W drodze do pracy? Przydeptuje spódnicę sandałem i potyka się! I łamie nogę w kostce! I musi jechać do szpitala! I Vernon odwiedza ją z kwiatami, a pielęgniarka mówi do niego: „Jakie śliczne żonkile”, na co on odpowiada: „Prawdę powiedziawszy, to są tulipany”, i ich oczy spotykają się. I zakochują się w sobie, i Vernon rzuca Marbie dla pielęgniarki.

Nazajutrz, we wtorek, już spóźniona do pracy, wybrała długą kwiecistą spódnicę (to decyzja, której będzie żałowała do końca życia), po czym ciarki przeszły jej po plecach i zamieniła ją na niebieską sukienkę.

- Vernon - spytała, budząc go pocałunkiem w nagie ramię - co pomyślałbyś o kobiecie, która nie potrafi odróżnić żonkili od tulipanów?

Vernon otworzył oczy i powiedział:

- Nie ma takiej kobiety.

Marbie pracowała w ubezpieczeniach, zajmowała się odszkodowaniami z tytułu odpowiedzialności cywil-

nej i wraz ze swymi koleżankami odtwarzała na brzegu swojego biurka wypadek samochodowy. Samochód uszkodzonym wjeżdża na rondo tutaj, samochód sprawców wypadku cofa się tutaj, stado słońi odwraca uwagę kierowców tutaj (te pączki to stado słońi), nasz samochód zmierza prosto przez środek i bum! Małe plastikowe ludziki śmigają w powietrze.

Czytała usprawiedliwienia żałosnych niewielkich stłuczek.

„Kichnąłem, straciłem panowanie nad kierownicą i wjechałem na płot”.

„Kichnęłam, nie zauważyłam wybojów i uderzyłam w drzewo”.

„Kichnąłem i wjechałem w zad słońia”.

Wysyłała przedstawicieli handlowych, by o północy pukali do drzwi sprawców (przedstawiciele handlowi nigdy nie dostawali ani centa). Groziła im, że ich zażyczy. Uciszała wściekłych klientów i kierowała w inną stronę wrogie nastawienie: „Proszę nie mówić do mnie w ten sposób... Odkładam słuchawkę. Za chwilę odłożę słuchawkę”.

We wtorkowy wieczór jedli wziętą na wynos rajską potrawę, siedząc na pudłach na podłodze w salonie. Potem Vernon znalazł wieżę stereo i Listen uczyła Marbie nowoczesnego tańca, on tymczasem przygotowywał im na deser banany w czekoladzie. Listen zgarnęła włosy z tyłu i splotła w jeden mającący wysoko przy każdym ruchu warkocz. Miała na sobie T-shirt oraz spodnie od dresu i była cierpliwą, wprawną nauczycielką tańca.

Później tego samego wieczoru Marbie zawołała „dobranoc” do Listen od progu swojej sypialni. Dziewczynka spojrzała w tamtym kierunku zaspanymi oczami, rozpuszczone teraz włosy sięgały jej do ramion, kołnie-

rzyk nocnej koszulki był chyba wystrzępiony. Marbie podszła i usiadła na brzegu jej łóżka jak matka.

Zasypiając tej nocy, Marbie ułożyła w myśli List do Redaktora.

Szanowny Panie!

Piszę w związku z moim chłopakiem. Ma młodszą siostrę, Listen, i gwoli wyjaśnienia, wszyscy troje mieszkamy razem.

Szczerze mówiąc, trudno jest oddać słowami magię rodzeństwa Taylorów - ich oczy przypominają syrop klonowy! Oboje są bardzo milczący, obserwują tylko świat tymi oczami, od czasu do czasu jednak wybuchają nieoczekiwanym potokiem słów. I są muzykalni - Vernon wtóruje każdemu wykonawcy piosenki nadawanej przez radio, bez względu na gatunek muzyki, a Listen uwielbia tańczyć, dokądkolwiek idzie.

Poza tym - i tu leży sedno mojego listu - Vernon jest nadzwyczajnym kochankiem. Kiedy się ze mną kocha, znajdują się w miejscach wypełnionych maleńkimi wibrującymi imperiami. Orgazmy atakują mnie ze wszystkich stron.

Z poważaniem,

Marbie Zing

Marbie Zing była "lliska. W restauracjach serwetki zsuwały się z jej z kolan na podłogę. Spinki nigdy nie trzymały się w jej włosach, zjeżdżały na ramiona, gdzie przysiadły niczym srebrne motyle. Buty zawsze spadały jej z nóg. (Działo się tak dlatego, że gdy miała niewiele ponad sześć lat, pszczoła ugryzła ją w palec. „Oczywiście biegając bez kłapek" - gderała jej matka, która zawsze była rozdrażniona, kiedy któremuś z dzieci stała się jakaś krzywda).

W środę rano spóźniona do pracy Marbie potknęła się i zgubiła jeden z pantofli na wysokim obcasach. Go-

nieć musiał przytrzymać drzwi windy otwarte, kiedy ona sięgnęła nogą w samej pończosze, by z powrotem włożyć bucik.

Później tego samego ranka, gotując wodę na swoją herbatkę imbirową, Marbie obserwowała bulgocący cicho czajnik przez przymrużone zmysłowo powieki (woda zawsze zaczynała wrzeć, mimo że się przyglądała). Patrzyła, jak wzbiera w nim podniecenie, a potem nastaje moment spokoju, punkt, w którym czajnik zdaje się zatracać głęboko w sobie. Po tej chwili spokoju następowała eksplozja wrzenia, po czym - pstryk! - czajnik się wyłączał. Wiem dokładnie, co czujesz, pomyślała Marbie.

Dzień okazał się jednym z tych doskonałych, wydajnych dni stemplowania dokumentów. Marbie upiła łyk herbaty, przybiła pieczętkę WERSJA ROBOCZA, później pieczętkę POUFNE, a w końcu sporządziła kserokopię i dodała pieczętkę KOPIA. Robiła to przez cały dzień, z rzadka przerywając, by porozmawiać z innymi pracownikami o tym, jak bardzo lubi stemplować dokumenty (uważali, że mówi to ironicznie, i śmiali się), a kiedy spojrzała na zegarek, była już prawie piąta.

Zadzwoniła do Listen, by wypełnić czymś ostatnie pięć minut.

Listen uprzejmie z nią gawędziła, wyjaśniając szczegółowo, co myśli o rozpoczęciu szkoły średniej w przyszłym tygodniu. Uważała, że będzie to fundamentalna zmiana we wszechświecie, lecz jej dawne przyjaciółki, Donna Turnbull i reszta z podstawówki, zawarły wieczny pakt przyjaźni, by utrzymać stabilność wszechświata.

- Hej - powiedziała Listen, przerywając własne filozofowanie - która to godzina, Marbie?

- Piąta! Koniec dnia pracy!

- Muszę lecieć - rzekła Listen. - Mam coś do zrobienia. - I odłożyła słuchawkę.

Brawo! Zaczekałaś do środy, do piątej po południu! Wyraźnie potrafisz stosować się do reguł i właśnie tak powinnaś postępować dalej, w przeciwnym razie bowiem Magiczna Księga nie odniesie zamierzzonego skutku.

A oto reguły:

1. Musisz wykonać kolejno, po jednym, każde Zaklęcie z Księgi. Nie wolno ci żadnego opuścić!

2. Na ogół nie będziesz nawet wiedziała, czy Zakłęcie poskutkowało, czy nie! Ale to nieważne. Zaufaj nam! Poskutkowało.

Teraz możesz odwrócić kartkę.

Dobrze!

Włóż Magiczną Księgę pod poduszkę i NIE WYJMUJ JEJ do czwartej po południu w PIĄTEK.

WTEDY UDA CI SIĘ RZUCIĆ PIERWSZY CZAR!!!

(Uwaga: bardzo się staraj, by do tamtej chwili nie powiedzieć słowa „orzech”).

*

W czwartek rano spóźniona do pracy Marbie omal nie wpadła pod ciężarówkę z naczepą. Ostrzegając ją samą porę sprzedawca ołówków.

Później tego samego dnia zadzwoniła do Vernona do baru Banana, by mu o tym opowiedzieć. Lubiła telefonować do Vernona do pracy, zwłaszcza gdy był bardzo zajęty, otoczony klientami. Jego ton stawał się wtedy chłodny i powściągliwy, taki jak wtedy, gdy go poznała.

W rzeczywistości, kiedy go spotkała po raz pierwszy, Vernon mówił do niej żartobliwym tonem, jak ktoś grający w tenisa. Poznali się w windzie hotelowej w Melbourne i przez kilka następných dni chodzili razem na kawę, a Listen tańczyła wokół ich stolika.

Dopiero gdy wszyscy wrócili do domu do Sydney, zaczął do niej dzwonić.

W rozmowach telefonicznych wyrobił sobie pewną ostrość w głosie, mówił chłodnym, powściągliwym tonem, który sprawiało, że przyciskała czoło do ściany, wstrzymując nawet oddech, żeby lepiej słyszeć.

-Jesteś tam? - pytał tym swoim nonszalanckim tonem.

- Aha. - I znowu natychmiast milkła, by pozostawić wolną drogę jego głosowi.

W piątek Marbie poznała inżyniera lotnictwa.

Tabitha (szefowa Marbie) umówiła inżyniera lotnictwa na spotkanie w małej salce konferencyjnej, tej z widokiem na port Darling i z miseczkami miętówek ustawionymi na niskim kredensie. Przyjechał tutaj, by zademonstrować tendencje unoszących się w powietrzu samochodów.

W pracy zawsze miały do czynienia z samochodami unoszącymi się w powietrzu. Samochody zdawały się odrywać od ziemi przy najlżejszej sugestii: lekki hałas przejeżdżającej ciężarówki z naczepą, szczekanie psa na poboczu. Jedna z osób występujących z roszczeniem powiedziała nawet, że jej samochód uniósł się w powietrze, gdy zmieniła stację radiową.

Marbie i jej koleżanki zazwyczaj szczerze wątpiły w zasadność tych roszczeń, „być może jednak - mawiały często - mylimy się”.

W piątki wszystkie dziewczyny w pracy były pewne siebie i radosne, mówiły wesołe rzeczy, przechylając głowy na bok. Inżynier lotnictwa o różowych pulchnych policzkach, z dyndającym krawatem w turecki wzór, natychmiast wyczuł ich piątkowy nastrój. Położył obie dłonie na niemal łysej głowie (którą w rzeczywistości pokrywała bardzo krótka szczecina) i powiedział: „Tak na początek.

Samolot!", po czym poprosił o kartkę z bloku biurowego Marbie i pokazał im, jak zrobić samolot z papieru.

Spędzili popołudnie na robieniu papierowych samolocików, papierowych wachlarzy lub papierowych łąbędzy. Wypili całe wino z lodówki w małej salce konferencyjnej, a inżynier lotnictwa krążył przez cały czas po sali z założonymi do tyłu rękami. Entuzjastycznie wychwalał wachlarz Marbie.

Toni zdobyła klucz do dużej sali konferencyjnej i wróciła z siedmioma niepełnymi butelkami białego wina. Inżynier lotnictwa pochwalił ją, co wzbudziło lekką zazdrość Marbie, toteż pokazała mu papierowego żółwia, nad którym pracowała. Nie rozumiał, co to jest, lecz mimo to ją pochwalił. Następnie przerwała im Rhamie, przynosząc kilka samochodzików, a inżynier lotnictwa przypomniał sobie, po co tu jest, i kazał im rzucać nimi w siebie nawzajem, by zademonstrować tendencje samochodów unoszących się w powietrzu.

To było wspaniałe.

O czwartej wszystkie stwierdziły, że dość się już dziś napracowały, zaprosiły więc inżyniera lotnictwa, by wybrał się z nimi do pubu Night Owi na piątkowego drinka. Inżynier powiedział, że musi pędzić i przestać samochód, ponieważ właśnie przypomniał sobie, że zaparkował na miejscu, gdzie można stać jedynie przez godzinę! „Och nie - wykrzyknęły - mogłeś przecież zaparkować przed naszym budynkiem”, on jednak zastanawiał się, czy ma to sens, ponieważ jest umówiony w Chatswood i może nie zdąży wypić drinka? Obiecał jednak, że spróbuje dołączyć do nich na parę minut, gdy tylko przestawi samochód.

Marbie pobiegła, by zadzwonić do Vernona, do baru Banana, i zawiadomić go, że wybiera się na drinka, lecz wróci na tyle wcześniej, by zdążyć na Poufną Naradę Rodziny Zingów.

- Nie wpadnij po drodze pod ciężarówkę z naczepą - pouczył ją Vernon.

-Dobrze - zgodziła się Marbie. - Gdzie jest Listen?

- Chyba w domu - odparł Yernon.

WITAJ PONOWNIE! UDAŁO CI SIĘ! JEST PIĄTEK, CZWARTA PO POŁUDNIU!

Możesz przystąpić do rzucenia Pierwszego Czar. Pierwszy Czar jest całkiem prosty. Prawdopodobnie już go znasz, mimo to musisz wypowiedzieć to zaklęcie. Wiesz, o czym mówię?

Zaklęcie: Jak sprawić, aby ktoś pojechał taksówką?

Oczywiście! Bardzo stare i ulubione. Znasz procedurę. Weź dwie cytryny i przekrój je na połówki, weź pięć bananów i obierz je. Napełnij wannę letnią wodą, wrzuć do niej cytryny i skórki bananów. **ZACZEKAJ DO GODZINY PIĄTEJ I WTEDY** wypowiedz magiczne słowa - „Bob jest twoim wujkiem” - i **BOB JEST TWOIM WUJKIEM!** Czar został rzucony.

Teraz włóż Magiczną Księgę z powrotem pod poduszkę. Nie przewracaj strony do czwartku w przyszłym tygodniu!

W pubie Night Owi wszystkie były lekko przygnębione, ponieważ inżynier lotnictwa się nie zjawił. Robiły samolociki z mokrych od piwa podstawek pod szklanki i chciały mu je pokazać. Ale Tabitha i Toni musiały już iść

na lekcje stepowania, a na Abi i Rhamie czekali mężowie, toteż Marbie pożegnała się z nimi i została, by dokończyć piwo i zaopiekować się samolocikami z podstawek. Potem zamierzała pójść do domu.

- Wszystkie poszłyście do domu! - Był to inżynier lotnictwa. Stał przy niej w pubie Night Owi.

- Czy ja poszłam do domu? - zadała mu retoryczne pytanie Marbie.

- Mogę?

Trzymał w rękę wypite do połowy piwo i wskazywał brodą na miejsce naprzeciwko.

- Jasne.

Usiadł i pokiwał głową, jak gdyby godząc się z jakąś myślą.

- Odholowano mój samochód - rzekł smętnie.

- Dlatego się spóźniłem. Muszę teraz pojechać do Chatswood pociągiem. I popatrz, nikogo już nie ma, ominęło mnie spotkanie ze wszystkimi.

Spojrzał ze smutkiem na puste szklanki po piwie i mokre samolociki.

- Czy ja nie jestem kimś? - obruszyła się Marbie.

- Która godzina? - spytał.

- Piąta.

- Tak późno! - wykrzyknął inżynier lotnictwa.

- Muszę pędzić!

Ale przysunął bliżej krzesło i uśmiechnął się.

Cath Murphy

Gdy Cath obudziła się o brzasku w dniu urodzin, dawno temu, kiedy była jeszcze mała, przy jej łóżku piętrzyła się sęta prezentów. Jeden z nich, krótki, pękaty, w kształcie beczułki, był opakowany w jasnoróżowy papier.

Wiem, co to jest, pomyślała. Podniosła głowę z poduszki, wyprostowała się, czując nagłe podekscytowanie. To na pewno łyżworolki!

Jedynie łyżworolki mogą być zapakowane w taki sposób. Pod różowym papierem kryje się beczułka. Bezczułka będzie srebrnego koloru. Cath podważy pokrywę palcami i znajdzie w środku owinięte w przezroczystą folię łyżworolki.

Cath nigdy dotąd nie próbowała jazdy na łyżworolkach, leżała więc w łóżku, zastanawiając się, gdzie będzie się tego uczyła. Najpierw na murawie przed domem. Może jej ojciec skosi trawnik, zostawiając szlak ściętej trawy, tak by mogła zbudować z niej zamki, na które by się przewracała?

Tego samego ranka, otwierając prezenty na werandzie, Cath zachowała domniemane łyżworolki na koniec. Ojciec jadł płatki z otrębami, a matka obierała palcami pomarańczę, wycierając od czasu do czasu lepkie ręce

w papierowy ręcznik. Oboje przyglądali się, jak Cath rozwija kolejno z papieru prezenty, aż wreszcie zostały tylko łyżworolki. Przez cały czas powściągała emocje, oszczędzając energię na ten konkretny prezent. Teraz przyglądała się różowemu opakowaniu. Co zrobi, gdy zobaczy łyżworolki? Najpierw zapiszczy głośno z radości. Potem wykrzyknie: „NIEMOŻLIWE!”. Zerwie się na równe nogi i zacznie tańczyć.

Gdy odpakowywała prezent, czuła ogromne zdenerwowanie. Wreszcie papier opadł.

To nie były łyżworolki. Nawet nie srebrna beczułka.

W środku znajdował się kosz na śmieci z różowymi plastikowymi motylkami przyczepionymi do słomy.

Cath przez moment trzymała kosz w obu rękach. Był w kształcie beczułki.

- Motyle - wyszeptwała.

Przeżywała jedną z tych chwil dysocjacji: czy to naprawdę się dzieje? Czy ja naprawdę jestem tutaj? A może to sen?

Następnie zmobilizowała się.

- Motyle! - wykrzyknęła. - Mamusiu, pamiętasz, że mam ptaszki na zasłonach w moim pokoju? I wiesz, co się stanie? Ptaszki sfruną z zasłon i będą się bawiły z motylkami na moim nowym koszu!

Rodzice roześmiali się radośnie.

Cath podeszła do nich do stołu, czując, że drżą jej kolana.

- Dobrze się czujesz? - spytał ojciec. - Jesteś trochę błąda.

Matka wyjaśniła, że to zapewne z emocji.

Cath siedziała w milczeniu, czując się dziwnie i mądrze zarazem. Została poddana próbie i przeszła ją zwycięsko. To była ważna życiowa lekcja, i to taka, której nigdy by się nie spodziewała:

„Czasami spotyka cię przykra niespodzianka, ale musisz zachować spokój i nie wolno ci okazać zdziwienia”.

Przez kilka pierwszych tygodni szkoły Cath miała wrażenie, że stoi na oświetlonej scenie. Zawsze osłaniała oczy od słońca, mrużąc powieki i uśmiechając się jednocześnie. Coraz to odrzucała głowę do tyłu, wybuchając głośnym śmiechem. Albo chwytła się za brodę, jak gdyby właśnie przyszła jej do głowy jakaś genialna myśl. Uśmiechała się do dzieci serdecznie lub ironicznie i opowiadała dziwne historyjki Lenny i Suzanne, które sprawiały jej przyjemność, wykrzykując: „Cath! Przestań!”

Kiedy przyjaciółki zanosili się od śmiechu - albo kiedy osłaniała oczy lub chwytła się za brodę czy też ustawiała wsteczne lustro w samochodzie - Cath rozglądała się szybko dookoła i czasami dostrzegała jego.

Warrena Woodforda.

Obserwował ją.

Często miewał uniesioną jedną brew.

Również podczas kilku pierwszych tygodni szkoły Cath i Warren zaprzyjaźnili się. Było to absolutnie naturalne - oboje uczyli w drugiej klasie i musieli odbywać narady związane z programem nauczania. W trakcie tych spotkań jedno lub drugie biegło w upale na drugą stronę szosy, by przynieść mrożoną cafe latte. Robili sobie przerwę i Warren pytał Cath o radę co do trudnych dzieci. Był to jego pierwszy rok nauczania, a jej trzeci, toteż mogła podzielić się doświadczeniem. Lubił też słuchać o jej zaocznych studiach prawniczych i Cath zapamiętywała najciekawsze przypadki, by mu o nich opowiedzieć. Gdy je opisywała, wydawał stłumione okrzyki przy zaskakujących faktach i zadawał naiwne pytania,

ona zaś tłumaczyła mu prawo, czując się elokwentna i inteligentna. Była to również dobra powtórka, takie relacjonowanie faktów procesowych.

Tymczasem Warren szybko zyskał wśród nauczycieli opinię czarującego i wesołego młodego człowieka, który natychmiast spoglądał badawczo na kogoś, kto powiedział coś głupiego.

-Ucina z miejsca, kiedy ktoś gada głupoty - oświadczyła Lenny, a Cath pokiwała głową, dumna, że jest jego przyjaciółką.

Wśród dzieci Warren miał reputację OGROMNIE zabawnego. Poza tym nigdy nie wiadomo, co zrobi za chwilę, i czasami nie zachowuje się rozsądnie, ale jest miły, jeżeli zrobisz sobie krzywdę.

Lenny i Suzanne przyjęły do wiadomości, że jeśli chodzi o informacje, Warren Woodford należy do Cath.

- Czy Warren pracował jako aktor, zanim został nauczycielem? - pytała na przykład Lenny. - Robi takie zabawne miny na zebraniach grona pedagogicznego.

- Nie - wyjaśniała Cath - ma za sobą jedynie dwa lata szkoły teatralnej, potem przeniósł się na pedagogikę.

- Jak to możliwe? - dziwiła się Suzanne.

- Cóż, pewnego dnia - odparła Cath - podczas ćwiczeń praktycznych z dramatu, które prowadził z grupą dzieci, uświadomił sobie, że po prostu uwielbia pracę z nimi. Pomyślał sobie: „A gdybym tak mógł zrobić coś więcej, niż tylko je bawić?”

- Aha - mówiły Lenny i Suzanne, obie pod wrażeniem, po czym przechodziły do innych tematów.

Czasami Cath obserwowała ich miny, czekając na jakieś napomknienie, że spodziewają się, iż między nią a Warrenem nawiąże się romans. Czy nie zauważyły, jak on na nią patrzy? Czy nie sądzą, że jest dla niego dość dobra?

Nigdy jednak nie uczyniły nawet najlżejszej aluzji na ten temat, rozmawiały natomiast wszystkie trzy

o romansie Lenny i Franka Billsona (dyrektora szkoły). Suzanne lubiła sugerować przyjaciółce nowe kolory włosów, by pomóc w uatrakcyjnieniu związku, i namawiała ją usilnie na ciemnorudy, który uwydatni kości policzkowe Lenny, Lenny jednak wolała blond oraz cukierkową szminkę. Czasami Cath myślała smętnie: „Czy ja umrę z nudy?” Ale cieszyła się szczęściem Lenny.

Późne popołudnia były duszne i upalne. Gdy wszyscy inni nauczyciele wychodzili, Cath i Warren wdychali w rozgrzanym pokoju nauczycielskim, pochyleni nad swoją pracą, łokcie rozjeżdżały im się w obie strony, tak że brody mieli tuż nad stołem. Ocierali pot z czoła i otwierali wszystkie okna. Albo dochodzili do zgodnego wniosku, że napływa przez nie gorące powietrze, i zamykali je.

Kiedyś Warren wodził kostką lodu po karku Cath, by ją ochłodzić.

W szkole wspólnie prowadzili lekcje śpiewu oraz zajęcia plastyczne ze wszystkimi uczniami drugich klas w okrągłej auli na piętrze. Warren śpiewał zaskakująco niskim głosem, co sprawiało, że dzieciaki gapiły się na niego i niekiedy chichotały.

Pewnego słonecznego czwartku Cath siedziała na brzegu biurka w swojej klasie, dyndając nogami i patrząc na salę pełną drobnych, wiercących się człowieczków. Jestem bardzo szczęśliwa, myślała. Jestem Panią Własnego Życia! Mam tak wiele małych królestw! Swoją klasę, pokój nauczycielski, samochód, mieszkanie! A poza tymi królestwami studium zaocznie prawo i chodzę z przyjaciółmi na mrożoną cafe latte.

- Porozmawiajmy o środowisku - powiedziała wesoło do uczniów. - Czy ktoś wie, co to jest środowisko?

Wszyscy pokiwali zgodnie głowami, a wiele osób odpowiedziało: „Tak”. Anthony McMasters powtórzył pogardliwie: „Środowisko?!” i zatkał uszy palcami.

- Wyjmij palce z uszu, Anthony.

- Ja wiem, panno Murphy - odezwała się Lucinda Coulton - a domyśla się pani skąd? Mój tata zajmuje się bioinżynierią.

- Podnieś rękę, Lucindo - skarciła Cath dziewczynkę. - Doprawdy?

- Mój tata jest astronautą - rzekł Marcus Ellison.

- Wcale nie. - Cassie Zing odwróciła się z wściekłością do Marcusa.

- Nie musisz podnosić obu rąk - wyjaśniła Cath Lucindzie.

- A właśnie że mój tata jest astronautą. Był już na Wenus, wystarczy?

Cassie Zing poderwała do góry klapę ławki i zatrzaskała z całej siły. Podmuchił zburzył jej włosy, głośny stuk sprawił, że oczy zaokrągliły jej się ze zdziwienia.

- Wobec tego porozmawiajmy o zawodach, dobrze?
- Cath zmieniła gładko temat, fantazjując, że jej głos, łagodny i rozsądny, przenika przez ścianę dzielącą klasy.
- Jedni zajmują się bioinżynierią, inni latają w kosmos. Czy ktoś zna jakiś inny zawód?

Podczas gdy dzieci wyliczały dla niej zawody, Cath wyobraziła sobie na tle stuknięcia spowodowanego przez Cassie, że to ktoś zapukał do drzwi klasy. Wyobraziła sobie, że pan Woodford zajrzał do sali, uderzając głową w futrynę (jest taki wysoki). „Au! - wydałby cichy okrzyk. - Czy mogę prosić panią na słowo, panno Murphy?” Ona skinęłaby głową, a następnie poleciałaby dzieciom pewnym, choć niedbałym tonem: „Zapiszcie to, dobrze? Muszę wyjść na moment”. Potem podeszłaby szerokim łukiem do drzwi, spojrzęłaby na Warrena, potrząsając krótkimi, modnie ostrzyżonymi włosami, i powiedziałałaby: „Cześć”.

Jaka byłaby jego odpowiedź?

Cassie Zing zostawiła klapę w spokoju i oznajmiła:

- Moja mama pisze książki erotyczne.
- Anthony - rzekła Cath - wyjmij palce z nosa.

W drodze do domu Cath zastanawiała się znowu, dlaczego Lenny i Suzanne nigdy nie wspominały o Warrenie jako o jej potencjalnym chłopaku. Nie zdawały sobie sprawy, jaki jest przystojny? Nie zauważyły, jaki jest seksowny?

A może, podobnie jak ona, po prostu czekały? Może wyczuły, że będzie to romans zupełnie innego rodzaju - romans tak subtelny, że aż kruchy jak kryształ, romans rozwijający się delikatnie jak jedwabisty pączek lub wykluwający się jak pisklą łabędzia. Trzeba go obserwować przez lornetkę trzymaną pewnie w rękach.

Cath dodała gazu, jej dłoń na dźwigni biegów wyraźnie drżała. Może kiedy tego nie widziała, Lenny i Suzanne spoglądały na siebie znacząco, przeciągle, milczące i opanowane, uradowane szczęściem ich młodej przyjaciółki, Cath.

Tego samego wieczoru, po powrocie do domu, Cath zadzwoniła do matki mieszkającej w drugim końcu Australii. Matka wykrzyknęła: „Kochanie!” i trochę sobie popłakała. Te łzy to był jej ostatni zwyczaj, prawdopodobnie o podłożu hormonalnym. Ale przecież to nie Cath, lecz jej rodzice przeprowadzili się do innego stanu, zostawiając Cath bez domu, bez mamusi, bez tatusia, bez jej pokoju, który stał się pracownią krawiecką, bez niedzielnych obiadków, bez niedzielnych popołudni z cappuccino.

Gdy już matka sobie popłakała, zawołała:

- Tatusiu! To Cath! Weź słuchawkę!

Cath nazywała rodziców „mama” i „tata”, nawet kiedy ich przy niej nie było. Wymazała ich imiona i teraz

istnieli tylko, dopóki istniała ona sama. Zbyt wielka władza jak na jedną dziewczynę, myślała czasami ponuro.

- Czytałam właśnie, że najbardziej kocha się dziecko, które jest daleko - powiedziała mama. - I czy nie jesteś daleko, Cath, kochanie?

- Owszem - przyznała Cath. - Toteż kochasz mnie najbardziej.

Cath była jedynaczką. Nie miała rodzeństwa. Ale tak czy inaczej...

- Cath, wszystko u ciebie w porządku, kochanie? Jak tam nowy rok szkolny? Nie masz w klasie żadnych małych potworów?

To był tata, który podniósł drugą słuchawkę. Jego głos brzmiał nieco wyraźniej niż głos mamy.

- Rzeczywiście - potwierdziła mama. - Czytałam też, że najbardziej kocha się dziecko, które jest chore.

- O co chodzi? - spytał tata.

- Cóż, jestem absolutnie zdrowa, na czym więc stanęło?

- Bo ja wiem!

- Złamałaś tam czyjeś serce? - zainteresował się tata.

- Jacyś młodzi mężczyźni na horyzoncie? - zawtórowała mu mama, wracając nagle do swojego bardziej znanego, rzeczowego tonu.

Łamanie czyjegokolwiek serca brzmiało zabawnie. Cath złamano serce tyle razy, że był to kompletny niewypał. Zawsze jednak badała horyzont, posłusznie, dla swoich rodziców, i na skraju nieba o zachodzie słońca pojawił się on - Warren Marzycielski Woodford, trochę zażenowany, mokry od mgiełki oceanu.

- Nie - odparła. - Właściwie nie.

Potrząsnęła lekko horyzontem, strącając Warrena z krawędzi. Pozwoli mu wdrapać się z powrotem we właściwym czasie.

- Cześć, Cath - wyszeptał Warren, wślizgując się do auli i siadając obok niej późnym rankiem w poniedziałek.

Pan Billson wygłaszał właśnie wykład na temat punktualności, toteż wiele dzieci pokazało Warrena palcami, mówiąc: „O-ho-ho!”.

- Cześć - odpowiedziała szeptem. - Jak ci minął weekend?

- Och, świetnie, świetnie. Sporo napięć, wiesz? Hej, uspokójcie się - skarcił surowo grupkę dzieci, które nie przestawały pokazywać go palcami, próbując zwrócić uwagę dyrektora.

- Sporo napięć?

Skinął z roztargnieniem głową, ona zaś uniosła brwi, przyglądając mu się. Jego koszulę znaczyły plamy potu - musiał biec od samochodu do auli. Zapewne miał jakieś kłopoty - „sporo napięć” - i wspomniał o tym w taki sposób, jak gdyby chciał porozmawiać. Cath znalazła taktowny sposób, by go później o to spytać.

Na razie spojrzała na teczkę papierów na kolanach. Na poniedziałkowych apelach zawsze udawała, że notuje to, co mówił Billson, w rzeczywistości jednak nadrabiała zaległości w sprawozdaniach klasowych. Odhaczała pozycje w ubiegłotygodniowym planie lekcji, gdy trafiła na słowo: „Środowisko”.

Postawiła przy nim ptaszek. Po namyśle zmieniła zapis na *Vi* • i dopisała na końcu listy: „Zawód: *Vi* /.

- Czy wiedziałeś - spytała cichym szeptem Warren, że matka Cassie Zing pisze książki o tematyce erotycznej?

- Wiedziałem, tak jak ty - potwierdził Warren.

- A tata Marcusa Ellisona jest astronautą.

Tym razem zrobiło to na nim wrażenie, pokiwał głową powoli, przechylając ją lekko.

- Doprawdy? - Popatrzył na Cath z podziwem, jak gdyby to ona była astronautą.

Cath wróciła do planu zajęć i odwróciła kartkę. W tym tygodniu chciała zacząć czytać dzieciom *Opowieści z Narnii: Lew, Czarownica i stara szafa*, a następnie dzieci będą budowały własną szafę i rozmawiały o światach, do których można dotrzeć przez drzwi szafy. Powiedzmy, że światy zawierają różnorodne środowiska: ocean, kanion itd. I powiedzmy, że w każdym świecie istnieją rozmaite zawody: żeglarz, ortodonta itd. Będzie mogła wtedy w obu wypadkach zmienić *Vi* / na /.

W tym momencie Warren oparł się lekko o ramię Cath, wyjął ołówek z jej ręki, przewrócił kartkę w jej notatniku i napisał:

**W TEN PIĄTEK ZESPÓŁ CAROTID STICKS
GRA W KLUBIE BORROWED CAT.**

(1) Czy Cath lubi Carotid Sticks:

- | | |
|-----------------|-----------------------|
| (a) Tak | <input type="radio"/> |
| (b) Nie | <input type="radio"/> |
| (c) Nie zna ich | <input type="radio"/> |

**(2) Czy Cath pójdzie z Warrenem
na występ Carotid Sticks:**

- | | |
|----------------|-----------------------|
| (a) Tak | <input type="radio"/> |
| (b) Nie | <input type="radio"/> |
| (c) Nie zna go | <input type="radio"/> |

Cath pochyliła się do przodu i zaznaczyła dwie odpowiedzi „tak”. Warren przyjrzał się jej odpowiedziom, po czym postawił ptaszek przy każdym „tak”. Pod spodem umieścił ocenę: „Celujący”.

Nazajutrz, we wtorek, przechadzając się po klasie między ławkami niczym jakaś królowa, Cath przypo-

mniała sobie, że w rzeczywistości nie zna zespołu Carotid Sticks. Pomyliła go z zespołem Clotted Creams.

Czuła się dziwnie zażenowana, lecz jednocześnie podekscytowana, jak gdyby ściągała na egzaminie. I przeżyła chwilę paniki powodującej przyśpieszone bicie serca, przypominając sobie, jak mało brakowało, by wszystko się wydało - omal nie napomknęła Warrenowi, jak bardzo podoba jej się złota rybka w niedużym kulistym słoju, który perkusista przynosił na swoje koncerty. (Oglądała Clotted Creams dwa lata temu). Omal nie narysowała złotej rybki na swoich notatkach i nie pokazała jej Warrenowi! Popisując się swoją wiedzą. Pomyśleć tylko, co by się stało! Warren zmarszczyłby brwi z zakłopotaniem, ona zaś próbowałaby mu to wyjaśnić i w tym samym momencie uświadomiłaby sobie swoją pomyłkę i zdenerwowałaby się.

Musi sprawdzić Carotid Sticks w HMV i posłuchać CD, by przygotować się na randkę. Jaką randkę? Wcale nie wiesz, czy to randka. Kto ci powiedział, że to randka?

- Moszna, moszna, moszna.

- Cassie?

Cassie Zing kolorowała cyferki, mruczając pod nosem: „moszna”.

-Cassie? Czy zechciałabyś uciszyć się dla nas? A może znalazłabyś jakieś nowe słowo?

Cassie podniosła głowę i zamrugła powiekami. Oparła się na łokciu i mówiła dalej do swojej piąstki.

Zdecydowanie powinnam wspomnieć o tym zwyczaju jej rodzicom, myślała Cath. To już trwa od kilku tygodni. A jej matka przysyła tyle liścików. Naprawdę zdumiewająca liczba listów od pani Zing. Nie zauważyłabym nawet, że Cassie się spóźnia, gdyby nie przynosiła usprawiedliwień od matki. Może nie powinnam była odpisać tamtego dnia? Prawdopodobnie zachęciłam ją tym

do dalszego pisania. Może jest stuknięta? Bez wątpienia jej komplementy są miłe.

Mam nadzieję, że nie spóźnię się w piątek. Muszę pojechać do Borrowed Cat prosto z zajęć na uczelni. Zaczekam do piątkowego wieczoru, by go zapytać, co miał na myśli, mówiąc, że podczas weekendu było „sporo napięć”. Otworzy się przede mną po kilku drinkach, ja zaś będę słuchała współczująco i rozśmieszę go żarcikami. Może nawet wypłacze się na moim ramieniu!

Dobra, ale to nie jest randka.

W jakie kolory powinnam się ubrać? Jaki kolor dominuje w Borrowed Cat? Mój strój nie powinien się kłócić z kolorem ścian.

Dla Cath, czekającej na piątek oraz na Clotted Creams był to dziwny tydzień. Gdy uświadomiła sobie, że to nie Clotted Creams, lecz Carotid Sticks, sprawdziła w HMV i dowiedziała się, że grają w stylu bluesowym. Nie lubiła bluesa, ale to nieważne. Znalazła się w centrum zainteresowania, lecz potajemnie, kameralnie, ponieważ nie wspomniała nikomu o zaproszeniu.

Nie wspomniała o nim ani Lenny, ani Suzanne, nawet wówczas gdy Suzanne zaproponowała, by poszły razem w piątek do kina.

- W piątek jestem zajęta - odparła tylko. - Co powiesz na sobotę?

Ponieważ chodziło właśnie o to - o zaproszenie. Pierwszy subtelny krok w rozwoju sytuacji. Nie wymówiła nawet szeptem jego imienia.

W środę po południu Cath i Warren pracowali nad planem zajęć.

- Jestem potwornie głodny - rzekł Warren, rozglądając się po sali.

Cath otworzyła lodówkę i znalazła swoją kanapkę z serem i ogórkiem konserwowym. Nie zjadła jej na drugie śniadanie, ponieważ kupiła sobie bułkę z kiełbasą.

- Możesz ją zjeść, jeśli masz ochotę - zaproponowała wspaniałomyślnie.

Rozpakowując kanapkę z papieru pergaminowego, Warren był tak zadowolony, jak gdyby to był prezent urodzinowy. W pewnej chwili przerwał jednak i powiedział:

-Wyobraź sobie, gdyby jeszcze była opieczona. - Wyciągnął ku niej rękę z kanapką.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że chcesz, bym ci ją opiekła? - spytała Cath. - Bo nie mam zamiaru.

- Jest za dziesięć piąta! - Warren odsunął się z krzesłem i zerwał się na równe nogi. - Kupimy opiekacz do chleba. Prędko! Idziemy!

*

Popędzili razem na drugą stronę Castle Hill Road, lawirując w powodzi samochodów. Wpadli do domu towarowego, przejrzeni katalog sprzętów kuchennych, zbiegli na dół po ruchomych schodach jadących w górę i udali im się zdążyć na czas.

Podzielili się po połowie kosztami opiekacza i zanieśli go w opakowaniu do szkoły. Byli spoceni z powodu upału i emocji, zachodzące słońce raziło ich w oczy.

- Będziemy go trzymali tutaj - zdecydował Warren, pokazując Cath drugą półkę w narożnym kredensie. - I będzie służył wyłącznie nam. Tylko my będziemy mieli grzanki na lunch. Czy to fakt? Czy to pakt? Czy to taktyka?

W czwartek wieczorem była roztrzęsiona i musiała pójść do pobliskiego sklepiku. Sprzedawczyni miała takie długie warkocze, że sięgały do jej bioder.

„Witam uprzejmie!” - mówiła zawsze do Cath, której wydawało się, że nigdy nie będzie godna tego powitania.

- Wiesz, co mi się śniło wczorajszej nocy? - spytała ekspedientka, sięgając po sześćdziesięciowatową żarówkę dla Cath. - Śniło mi się, że kąpię się w wannie razem z antylopą. A tobie co się śniło?

- Hmm - odparła Cath. - Nie pamiętam.

- Daj spokój! Zawsze masz najfajniejsze sny! I ostatnio jest tak gorąco! Czy to nie ma wpływu na to, że coś ci się śni? Na mnie wpływa. Spójrz, która godzina! Już tak późno, a ile jest stopni? Trzydzieści sześć? Żadnych koszmarów sennych?

- Cóż, miałam ten wspaniały sen, w którym doktor Carter z *Ostrego dyżuru* chciał mnie wyleczyć z choroby, wskutek której zbladłam i wypiękniałam, ja zaś miałam nadzieję, że pozostanę blada i piękna, nawet gdy zostanę wyleczona. Śniły mi się również często dodatkowe pokoje w moim mieszkaniu. W snach znajdowałam drzwi w korytarzu, za którymi znajdowały się sauny lub pokoje do szycia. Jestem taka szczęśliwa, kiedy się to zdarza. Może » uważam, że moje mieszkanie jest za małe? To tyle. Ale to chyba nie są koszmary senne.

- Jak twoje zdrowie, Cath? Zauważyłam, że wzięłaś z półki pastylki do ssania. Boli cię gardło?

- To tylko katar sienny - wyjaśniła Cath. - Przez to drapie mnie w gardle. A jak ty się czujesz?

Czasami ekspedientka z pobliskiego sklepiku lubiła pogawędzić, często jednak odpowiadała wymijająco i mierzyła rozmówcę lodowatym spojrzeniem, gdy pytanie dotyczyło jej samej.

Po powrocie do domu Cath nadal była roztrzęsiona, wyjęła więc ze schowka wiadro, windex oraz rolkę papierowego ręcznika i umyła wszystkie okna w mieszkaniu.

W piątek po południu sennie nadzorowała dzieci, które za karę zbierały po szkole ogryzki jabłek, skórki pomarańczy, papierowe torebki, papierki po lodach na patyku - czyli śmieci. Wkrótce im odpuści, ponieważ chce wrócić do domu, wziąć prysznic, przebrać się w letnią suknię, pojechać na zajęcia z prawa, a następnie na spotkanie z Warrenem w Borrowed Cat.

Minął ją Warren, jego ręce i nogi, poruszające się niczym szprychy koła, zwolniły do prędkości łopat helikoptera wiszącego w powietrzu.

- Rozumiem, że jesteście umówieni na dziś wieczór? - Spojrzał Cath prosto w oczy.

Poczuła ściskanie w żołądku.

- Jasne - odparła.

- Breanna może trochę się spóźnić - uprzedził.

Cassie Zing, która właśnie przechodziła, wymachując szkolną torbą, zatrzymała się obok nich.

- Panno Murphy?

- Słucham, Cassie? - I do Warrena: - Breanna?

- Chciałam powiedzieć pani coś ważnego - rzekła Cassie.

- Breanna - powtórzył Warren. - Moja żona.

- Doprawdy, Cassie? A co to takiego? - spytała spokojnie Cath.

- Jutro są moje urodziny - wyszeptła Cassie.

- Jeśli nie zdąży na pociąg z wybrzeża - dodał Warren - a przygotowuje mnie na to, że może się tak zdarzyć.

Cath pochyliła się do przodu, by słyszeć, co mówi Cassie Zing. Nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczynki, powiedziała:

-Jutro twoje urodziny! Jakie masz plany? Mama urzęda ci przyjęcie? Wszystkiego najlepszego! To takie ekscytujące!

Cassie pokiwała głową.

- Wiem. I moja ciocia urzęda dla mnie jutro przyjęcie u siebie.

-Cudownie! - Cath nadal stała pochylona nad dziewczynką. - Będziemy musieli zaśpiewać ci „sto lat” w poniedziałek, ale mogliśmy przecież zrobić to dzisiaj. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie wcześniej?

W tym momencie rozległ się dźwięk klaksonu i Cassie wykrzyknęła radośnie:

- Moja mama!

Po czym puściła się biegiem w stronę samochodu.

Cath wyprostowała się i spojrzała na Warrena.

- Twoja żona? - spytała z przyjaznym uśmiechem.

- Przez cały tydzień mieszka na wybrzeżu - odparł - toteż spotykamy się wyłącznie w weekendy. Co jest powodem napięć. Drenażem. Drenażem mózgu.

Cath przypatrywała mu się bacznie.

-Nie podoba ci się to, prawda? - powiedział. - I słusznie. Tak czy owak mam nadzieję, że ty nie zamierzasz się spóźnić?

- Nie, Warrenie, nie zamierzam.

- Świetnie! - ucieszył się. - Wobec tego do zobaczenia!

Fancy Zing

W blasku popołudniowego słońca, w letni dzień, Fancy, wówczas nastolatka, siedziała na ręczniku plażowym i obserwowała duży palec u nogi Radcliffe'a. Wyrastał z jego stopy jak mała okrągła rakiетка do ping-ponga. Był też pokryty włosami i przypominał zaniedbany żywopłot. Paluch pisał na piasku:

Radcliffe Mereweather

KOCHA

Fancy Zing

Zająłoby mu to dużo czasu.

Potem uwagę Fancy przyciągnęły dłonie Radcliffe'a. Były szczupłe i guzowate, chwyciły ją za opalone ramiona. Powinnam posmarować ramiona kremem do opalania, pomyślała Fancy. Ale teraz nie pora była na to.

Dłonie Radcliffe'a zaciskały się mocno na jej ramionach. Miał łzy w kącikach oczu.

- Nie chcę cię zranić - mówił. - Nigdy nie miałem zamiaru sprawić ci bólu.

Wpatrywała się w niego. Ścisnął ją boleśnie, ale poza tym, prawdę mówiąc, nie czuła się zraniona.

- Dziękuję, że mi powiedziałeś - rzekła, zadowolona z własnej dojrzałości.

Radcliffe pocałował inną dziewczynę. Poprzedniego wieczoru pojechał na przyjęcie w klubie surfingowym, zostawiając Fancy w domu z atakiem astmy.

- Poznałeś jakąś dziewczynę? - zażartowała sobie nazajutrz, siedząc obok niego na słońcu.

- Tak jakby - odparł zaniepokojony.

- Pocałowałeś ją? - Nawet przez chwilę nie pomyślała, że to zrobił.

- Cóż...

Zamilkł, a ona poczuła się dziwnie, twarz jej się wydłużyła, a w głowie zaświtało: może jednak to zrobił?

I rzeczywiście zrobił.

Radcliffe! Jej Pierwsza Prawdziwa Miłość! Jej chłopak o długich rękach, w tenisówkach i z gitarą! Radcliffe, który kupował jej marcepan i czekoladę, pocałował inną dziewczynę! Byli razem dopiero od miesiąca.

- Nie chcę cię zranić - powtórzył żarliwie, a jego paluch właśnie to udowadniał, ryjąc w piasku wyznaczenie: Radcliffe Mereweather KOCHA Fancy Zing.

Siedzieli poważni, z nogami wyciągniętymi ku słońcu, wpatrując się w słowa na piasku. Jakiś mężczyzna krzyknął:

- Indyk! Wygraj indyka na loterii fantowej!

Nieopodal Marbie strzepnęła ręcznik i tata warknął:

- Marbie! Piasek!

- Spójrzcie wszyscy! - zawołała mama. - Tam jest samolot piszący na niebie!

Było to ogłoszenie ostrzegające o niebezpieczeństwach prądu odpływowego.

- Gdybyś tylko potrafiła mi wybaczyć. - Radcliffe był pełen obaw. - Będę cię kochał po wieczne czasy.

Nawet kiedy będziesz stara i pomarszczona. Będę cię kochał, nawet jeśli zrobisz się taka gruba jak twoja matka.

- Nie nazywaj mojej matki grubą! - naskoczyła na niego ze złością Fancy.

- Przepraszam.

- Mówię poważnie. To idiotyczne, co powiedziałeś.

- Przepraszam, nie miałem pojęcia - wyjaśnił. - Nie miałem pojęcia, że jesteś taka przeczulona na punkcie tuzi twojej matki.

- Nie o to chodzi! Nic nie wiesz o mojej matce.

- Co masz na myśli? Co mam wiedzieć?

Dziwne, ale opowiedziała mu wtedy całą historię, jednym tchem. Patrzył na nią bez słowa, ramiona Fancy pokrywały się piegami od palącego słońca, a Rodzinny Sekret Zingów zderzył się z literami narysowanymi przez Radcliffe'a na piasku:

Radcliffe Mereweather

KOCHA

Fancy Zing

W pierwszych tygodniach roku szkolnego panował upał i jak zwykle, gdy słońce było rozpalone do białości, Fancy wracała myślami do tamtego dnia na brzegu morza, kiedy Radcliffe przyznał się, że pocałował inną dziewczynę, a Fancy przebiła tę rewelację, zdradzając mu Rodzinny Sekret Zingów.

Również podczas tych pierwszych tygodni Fancy napisała siedemnaście krótkich liścików do nauczycielki swojej córki drugoklasistki. Właśnie kończyła trzeci list...

Droga Panno Murphy!

Serdecznie dziękuję za to, że nauczyła Pani Cassie (jak również zapewne resztę uczniów) tej ślicznej piosenki o wróbelku i eukaliptusie itd., itp. Przez cały tydzień (z przerwami) zabawiała tą piosenką swego ojca i mnie, to taka niezwykła melodia!

Pomyślałam, że po prostu dam Pani o tym znać.

Z wyrazami szacunku,

Fancy Zing

...gdy do domu wrócił z pracy jej mąż, Radcliffe.

- FANCYSTYCZNIE! MOJA FANCY JEST W DOMU!

Fancy wyprostowała się na krześle i cierpliwie czekała na zgrzyt klucza w zamku frontowych drzwi, szuranie butów o wycieraczkę, następnie ciche, radosne „ha!”, gdy wstawiał parasol do stojaka. Radcliffe podarował jej ten stojak na urodziny i używał go wytrwale, codziennie nosząc parasol do pracy, nawet podczas fali upałów.

Kroki się zbliżały. Fancy odgarnęła kosmyk włosów, który wysunął jej się z koka.

Radcliffe emoknął, stając w drzwiach pracowni.

- Cześć - powiedziała. - Jak ci minął dzień?

Zajrzał z uśmiechem do pokoju, obrzucając spojrzeniem półkę na książki, skaner i tablicę korkową. Następnie popatrzył na drukarkę i roześmiał się cicho.

- Co zrobiłaś z Cassie? - zawołał, idąc dalej korytarzem.

- Nie zrobiłam niczego z Cassie - szepnęła Fancy.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła swój sekretny notatnik.

RZECZY, KTÓRE MNIE IRYTUJĄ W MOIM MĘŻU, #4

We wczesnym okresie naszej znajomości, gdy byliśmy jeszcze nastolatkami, lubił mnie dotykać wszędzie. Kolana, nos, koniuszki palców. Linia biegnąca od szyi przez dolinę między piersiami i kończąca się skokiem przez pępek. Jednakże z upływem lat zredukował swoje pieszczoty do najbardziej oczywistych miejsc. Jak gdyby skrócił mnie do trzech głównych punktów:

- Prawa pierś.
- Lewa pierś.
- Szczególne, intymne miejsce między nogami.

Na kolację zjedli tarte z mrożonki, obejrzeni *Gorące aukcje!*, a nazajutrz, w chwili gdy się obudziła, Fancy przypomniała sobie: można kogoś zmienić.

Fancy zawsze w to wierzyła, mimo że ludzie bez przerwy ją ostrzegali: nigdy sobie nie wyobrażaj, że uda ci się kogoś zmienić, ponieważ ludzie NIGDY SIĘ NIE ZMIENIAJĄ. Potem mówili o wilku, lesie i o naturze. Zapominając całkowicie o kameleonach. Lub o tej ośmiornicy, która żyje na dnie oceanu i potrafi zmieniać kształt - raz jest płaszczką, raz ukwiałem lub nawet węgorzem, zależnie od fantazji.

Co więcej, przypomniała sobie Fancy, ona sama też się zmieniała. Kiedyś po prysznicu, gdy wchodziła na matę łazienkową, zostawiała zasłonę ściągniętą, przyciśniętą do ściany łazienki.

Mniej więcej po miesiącu małżeństwa Radcliffe wyjaśnił jej, że to niehigieniczne.

-Zasłona prysznicowa powinna być zasunięta - poinstruował Fancy, demonstrując, że powinno się

ją zostawiać na metalowym drążku tak, jak gdyby ktoś brał właśnie prysznic. Miało to zapobiegać tworzeniu się pleśni.

Ot tak sobie, Fancy się zmieniała i zaczęła szczerle zasuwając zasłonę zgodnie z jego wskazówkami.

Wychodząc tego ranka spod prysznic i zasuwając zasłonę, Fancy popatrzyła na męża golącego się nad umywalką. Pac, pac, pac, zastukała jego maszynką.

-A więc w ten sposób pozbywasz się zgolonego zarostu, tak?

Odwrócił się do niej. Miał biały ręcznik obwiązany wokół bioder, białą smugę kremu do golenia na brodzie, mrużył oczy w zaparowanej przez Fancy łaźni.

- Może jest jakiś inny sposób pozbycia się go?

- Powinniśmy zmienić ten ustalony porządek - odparł, spoglądając z powrotem w lustro. - Ja się golę, ty bierzesz prysznic. W tym samym czasie. Spójrz tylko na lustro. Nic w nim nie widać.

Oparła się o niego, włączając górny wiatrak i łaźnienkę wypełniło brzęczenie.

- Co z tą wysypką na twoim ramieniu? - spytał, przekrzykując szum wiatraka.

- Wiem, czuję się jak ryba. - Sięgnęła po krem pielęgnacyjny. - Mam po prostu przesuszoną skórę. Zbyt wiele razy spiekłam się na słońcu, kiedy byłam nastolatką.

- To nie może być z tego powodu. To pewnie egzema. Albo co? Łuszczycyca?

- Nie - zaprzeczyła Fancy lodowatym tonem. - Na pewno nie.

Ale Radcliffe ujął ją za ramię, obracając w taki sposób, by padało na nie światło, i gwizdząc przez zęby.

- Proszę, Cassie, nie zapomnij oddać tego listu swojej nauczycielce, dobrze? Gdzie zamierzasz go włożyć, żeby nie zapomnieć?

- Do kieszeni.

Cassie stała na chodniku, przy otwartych drzwiach samochodu, pokazując matce odchyloną kieszeń.

- Grzeczna dziewczynka. Będiesz pamiętała, że go tu masz?

- Tak, ponieważ kichnę i będę musiała wyjąć chusteczkę, a wtedy znajdę list i pomyślę: MUSZĘ PAMIĘTAĆ, ŻEBY GO ODDAĆ PANNIE MURPHY.

- Brawo, córeczko - pochwaliła ją Fancy.

- Spójrz tam. - Cassie wskazała na ławkę tuż za szkolną bramą. - To Lucinda.

- Ach to ona! Powinnyśmy znowu ją do nas zaprosić któregoś dnia. Co ty na to?

- Dobrze - zgodziła się Cassie, kiwając głową.

Przeszła przez szkolną bramę i nie odwracając się, podniosła rękę w geście pożegnania.

- Egzema, egzema, egzema.

Cassie poznała nowe słowo. Była to choroba, która powodowała, że skóra łuszczy się i odpada, i wtedy wszędzie jest twoja krew, istna powódź. A następnie zamieniasz się w rybę. A potem umierasz.

- Egzema, egzema, egzema - podśpiewywała Cassie, jedząc kanapkę z pastą drożdżową Vegemite, zanim jeszcze zaczęły się lekcje.

- Egzema? - Lucinda szturchnęła Cassie łokciem.
- Ja mam egzemę.

- Nie, nie masz.

Cassie przewróciła oczami do wyimaginowanej osoby na ławce obok Lucindy. Następnie spojrzała na

Lucinę i zobaczyła, że jej koleżanka również je przed lekcjami swoje drugie śniadanie, składające się z ciemnego chleba z rozmiękłym pomidorem. Obrzydliwość.

Żeby zmienić temat, Cassie pokazała na ziemię i powiedziała:

- Widzisz? To patyczak.

- Nie - zaprzeczyła Lucinda. - To zwykły patyk.

Jednakże był to patyczak.

Lucinda zwróciła uwagę Cassie na swój nadgarstek.

- Widzisz? To egzema.

- Dalsza dyskusja nie ma sensu - oznajmiła Cassie.

- A właśnie, że ma.

- Egzema jest wtedy, gdy zamieniasz się w rybę, Lucindo.

- Czy ja wyglądam jak ryba? Nie. Nie sędzę. - Lucinda jadła kanapkę z pomidorem, mając nogami.

Zepsuła mi słowo, pomyślała Cassie.

-Egzema, egzema, egzema - powiedziała bez entuzjazmu.

Obserwowała patyczaka, który jednak właśnie zasnął.

Kiedy Fancy wróciła do domu po odwiezieniu Cassie do szkoły, zdała sobie sprawę, że powinna popracować nad swoją powieścią erotyczną. Obiecała na jutro redaktorce trzydzieści tysięcy słów, a napisała zaledwie jedenaście. A mianowicie:

Jego penis miał zapach pappadamu: dziwny, silny, słonawy, przypominający woń potu.*

Pappadam, poppadom - azjatycki przysmak, podpłomyki z soczewicy, o różnym stopniu pikantności, podgrzewane w głębokim oleju (wszystkie przypisy tłumaczki).

Redaktorka wytnie ten wers.

Sięgnęła po telefon i wybrała przycisk **MARBIE W DOMU**.

- Słucham - odezwał się głos Marbie.

- Jesteś w domu! Dlaczego nie poszłaś do pracy? Miałam właśnie zostawić ci wiadomość. Skoro cię zastałam, to może wybrałybyśmy się razem na kawę?

Marbie zgodziła się, wyjaśniając, że ona i Listen wzięły sobie dzisiaj wolne, ponieważ obie mają podrażnione gardło, co może być zapowiedzią przeziębienia.

- Albo kataru siennego - zasugerowała Fancy. - Zadzwoń do Radcliffe'a i dam mu znać, na wypadek gdyby zamierzał wpaść do domu na lunch. I zaraz jestem.

Marbie wyglądała świetnie, gdy Fancy ją zobaczyła, natomiast Listen wydawała się znużona. I zachowywała się dziwnie. Nie zdjęła ciemnych okularów w centrum handlowym i przez cały czas chodziła tyłem.

Marbie była rozemocjonowana kupnem rakiety tenisowej i chciała porozmawiać o czymś, co ma owa rakietka, a co jest nazywane „rozkoszonym miejscem”.

Po przerwie na kawę Fancy nie miała jeszcze ochoty wracać, zrobiła więc zakupy na urodziny Cassie, mimo że były dopiero za miesiąc. Po powrocie do domu stała chwilę przed komputerem, po czym zdecydowała, że powinna trochę posprzątać.

- Och, Cassie! - powiedziała do siebie na głos, wkładając rękawice do zmywania.

Cassie zawsze wpychała do nich mokre, namydłone dłonie, tak że zostawały potem wilgotne, zimne, ośliżłe i nieprzyjemne w środku.

Na szczęście, gdy skończyła zmywanie (w świeżych rękawicach), okazało się, że już czas odebrać Cassie ze szkoły.

Droga Panno Murphy!

Pragnę gorąco podziękować za to, że wczoraj po południu miała Pani oko na moją córkę (Cassie). Zauważyłam, że pełniła Pani dyżur w autobusie, jak również, że światnie daje sobie Pani radę, potrafi mieć jednocześnie wszystkie dzieci na swoim „radarze”. Zwróciłam na to uwagę, czekając na Cassie, i byłam ogromnie usatysfakcjonowana jako matka.

Mam nadzieję, że nasza Cassie jest grzeczna. Wiem, że potrafi być trochę nieobliczalna, ale ma dobre serduszko.

Serdecznie pozdrawiam,

Fancy Zing

Wieczorem, nie kładąc się do późna i siedząc nad swoją książką, Fancy czasami bała się trochę, idąc do łazienki. Myjąc ręce, spoglądała na kabinę prysznicową z zasuniętą szczelnie zasłoną i myślała: ktoś tam jest!

Spodziewała się, że zobaczy na tle zasłony cień, lecz była ona z grubego zielonego tworzywa, a Fancy, będąc krótkowidzem, nie nosiła na ogół okularów w łazience (wolała oglądać swoje odbicie w lustrze zamglone i bez skaz).

Czasami odsuwała szybko zasłonę, by przyłapać intruza. Ale dotychczas nigdy tam nikogo nie zastała.

ROZDZIAŁ 2

„Pieprzyki. Nazywają je plamkami urody” - powiedział, przyglądając się z przechyloną głową dwóm czy trzem znamionom na jej ramionach. Odchrząknął lekko, by jego głos był czysty i silny. Wodząc penisem po szczególnym, pulsującym miejscu między jej nogami, powiedział: „Pieprzyk”. Uniosła jedną brew i spytała prowokująco, kierując to pytanie do penisa: „Wchodzisz?”. „Żartujesz?”

- odparł za swój penis, kładąc się na jej nagim ciele. Nie wchodząc w nią, zaczął pieścić jej czoło, ramiona, brzuch, biodra, uda. Całe ciało. „Na pewno nie! Nie dzisiaj!”. Ona zaś śmiała się i jęczała, czując, jak penis niemal od niechcienia twardnieje na jej udzie, niczym uchwyt rakiety tenisowej. Miała nadzieję, że nie mówi poważnie.

O trzeciej nad ranem zauważyła, że Radcliffe zostawił dla niej światło w sypialni i spał przy nim. Dając do zrozumienia, jak jest już późno. A może po prostu zasnął przypadkowo.

Gdy wsuwała się pod prześcieradła, otworzył lekko usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale tylko zachrapał.

-Wyglądasz na zmęczoną - zauważył Kanadyjczyk ze swojej werandy w sąsiednim domu.

Dzisiejszego ranka jadł pokrojone w plasterki owoce mango i kiwi.

- Zabawne, że akurat teraz powiedziałaś - odparła Fancy - iż wyglądam na zmęczoną. Ponieważ kiedy spojrzałam przed chwilą na swoje odbicie w lustrze w holu, nie mając okularów na nosie, pomyślałam: „Wyglądam okropnie”, a następnie: „Czy to nie szczęście, że noszę okulary i nikt nie może zobaczyć moich oczu?” Włożyłam okulary i poczułam się bezpieczna. A potem wyszłam, a ty od razu zwróciłeś na to uwagę.

Kanadyjczyk upił w zamyśleniu łyk kawy.

-Cassie, kochanie! - zawołała jak zwykle Fancy przez siatkowe drzwi.

- Mamo, nie mogę znaleźć butów, gdzie są moje buty? Co zrobiłaś z moimi butami? - W głosie Cassie brzmiała lekka panika.

- Niczego z nimi nie zrobiłam. Są dokładnie tam, gdzie je zostawiłaś - przed frontowymi drzwiami.

- Szczerze mówiąc - odezwał się Kanadyjczyk ze swojej werandy - wcale nie twierdziłem, że wyglądasz okropnie. A jeśli wyglądasz okropnie - mówił dalej, zdejmując foliową pokrywkę z malinowo-jeżynowego jogurtu - to twoje okulary świetnie to maskują.

Fancy zerknęła na jego biały śniadaniowy talerz, na którym owoce przysiadły elegancko niczym motyle, i usiłowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, poza: „Ależ dziś gorąco”.

- Kiwi jest bardzo zdrowe - oznajmiła. - Zawiera witaminę C oraz cynk.

- Doprawdy?

Cassie, tupiąc nogami, zbiegła na dół, by włożyć buty stojące na wycieracze przed frontowymi drzwiami.

- Ja zasznurowuję ci jeden bucik, a ty drugi - zaproponowała Fancy.

- Nie, mamusiu. Ja zasznurowuję oba.

- Do zobaczenia - zawołała Fancy do sąsiada, zapinając paski tornistra Cassie i trzymając w pogotowiu kluczyki, by otworzyć samochód.

- Można być jednocześnie - odkrzyknął Kanadyjczyk, a jego głos tłumiły nieco szyby w samochodzie - piękną i zmęczoną. Na przykład, śpiąca królewna. Widzisz?

Fancy ustawiła wsteczne lusterko i wyjechała tyłem, jak zwykle uderzając zderzakiem o stromo nachylny podjazd, tymczasem Cassie odrobinę opuściła szybę, patrząc na Kanadyjczyka ze zdziwieniem.

Droga Panno Murphy!

Proszę uprzejmie o usprawiedliwienie dzisiejszego spóźnienia Cassie.

To wszystko moja wina! Pracowałam do późna w nocy i rano zasnęłam.

Z wyrazami szacunku,

Fancy Zing

Droga Pani Zing!

Dziękuję bardzo za list.

Jestem pewna, że Cassie spóźniła się nie więcej niż kilka minut - niektóre dzieci zjawiły się znacznie później i jakoś dajemy sobie radę. To bardzo uprzejme z Pani strony, że pisze Pani usprawiedliwienia, ale proszę nie robić sobie kłopotu.

Cieszę się z góry na spotkanie z Panią na wywiadówce, będziemy wówczas mogły szerzej omówić sprawę Cassie. Z pewnością ma dobre serce i jest lubiana (często widuję ją w otoczeniu innych dzieci, które zabawia różnymi śmiesznymi historijkami - ciekawa jestem, co im opowiada!).

Pozdrawiam serdecznie,

Cath Murphy

Pewnego dnia, skręcając na swój podjazd, Fancy zerknęła na werandę sąsiada i zobaczyła, że jest ich dwóch. Jej sąsiad się rozdziwił.

Wysiadła z samochodu i rzuciła tam okiem. Tak, teraz dwóch mężczyzn siedziało przy stole, krojąc owoce kiwi, pijąc kawę z kubków. Wyprostowała się i przebiegła pędem przez rozpalony podjazd na miękką, chłodną trawę. Nigdy nie prowadziła samochodu w butach.

- ...kojocie dymano - dobiegły ją słowa z sąsiedniej werandy w chwili, gdy dotarła do swoich drzwi. A potem chichot.

Nie potrafiła się powstrzymać. Odwróciła się i spoj-
rzała w tamtą stronę.

-Witaj, Fancy - rzekł sąsiad. - To mój przyjaciel
z Kanady, który przyjechał na kilka dni. Bill, poznaj
Fancy.

- Obraziłem cię? - spytał Bill z przyjaznym skinie-
niem głowy. - Słyszałaś, co właśnie powiedziałem? Kojoc-
cie dymanko?

Ależ bezpośredni są ci Kanadyjczycy.

- Cóż... - zaczęła.

-To taki potoczny zwrot: „kojocie dymanko”
- wyjaśnił. Jej sąsiad tymczasem siedział ze spuszczo-
nym wzrokiem, krojąc kolejne kiwi. - No wiesz, kiedy
podrywasz dziewczynę w barze - a w twoim przypadku,
chyba kiedy podrywasz faceta - w każdym razie, kiedy
w nocy podrywasz kogoś w barze, jesteś pijany w trupa
i nie wiesz, co robisz. Zabierasz ją do domu, przespiasz
się z nią, nazajutrz rano śpi sobie smacznie w twoim łóż-
ku, na twoim ramieniu, a ty myślisz: „Co, do kurwy nę-
dzy?” Myślisz: „Jak mam się stąd wydostać, nie budząc
tej laski?” Co zrobisz?

Fancy przechyliła głowę na bok.

- Co zrobisz? - spytała.

- Odgryziesz sobie rękę.

Gość pokiwał głową dla podkreślenia swoich słów
i włożył do ust plasterki kiwi.

Fancy czekała.

-Tak zachowują się kojoty, kiedy wpadną w po-
trząsk - tłumaczył, cmokząc owoc. - Odgryzają sobie
łapę, żeby się uwolnić. Kapujesz?

Sąsiad zaproponował jej filiżankę kawy.

- Nie, dziękuję za kawę. A tobie, Bill, za historyjkę.
Miło było cię poznać.

Otworzyła siatkowe drzwi do domu i wydała z sie-
bie długi, cienki pisk.

Droga Panno Murphy!

To bardzo uprzejme z Pani strony, że zechciała Pani mi odpisać. Ja również cieszę się na nasze spotkanie na wywiadówce.

To dla mnie niezwykle przyjemne, że Cassie jest lubiana! Mam nadzieję, że nie przyczynia Pani żadnych kłopotów.

Pomyślałam, że na pewno chciałyby Pani o czymś wiedzieć. Otóż przedwczoraj rozmawiałam z Barbarą Coulton - matką Lucindy - która powiedziała mi, że Lucinda jest teraz w szkole szczęśliwsza niż kiedykolwiek! Barbara zachwyca się poziomem i różnorodnością prac, które jej córka przynosi do domu, a szczególnie cieszy ją, że poprawia Pani błędy ortograficzne popełniane przez Lucindę - to taka rzadka rzecz we współczesnym nauczaniu.

Wszystkiego dobrego.

Serdecznie pozdrawiam,

Fancy Zing

*

- Zapisuj - rzekła Fancy do Radcliffe'a w niedzielne popołudnie. - Papier toaletowy. - Radcliffe zapisał. - Chodź za mną do holu - poleciła, wyjmując odkurzacz z szafy ściennej.

Radcliffe szedł posłusznie, uzupełniając listę zakupów.

- Odkurzacz jest zepsuty, wiesz o tym.

- Niepotrzebny mi odkurzacz - wyjaśniła cierpliwie Fancy. - Potrzebny mi kubek, który stoi za nim. Papierowe ręczniki. Postanowiłam umyć szklane drzwi. Ale jeśli Cassie nie zauważy ich i wpadnie na nie? Dobra: masło, mąka z dodatkiem proszku do pieczenia, ciasteczka Kangaroo, placek Yalerio.

- Myślę, że na nie wpadnie - zgodził się Radcliffe, zapisując skrupulatnie. - Nie myj ich. Lepiej chodźmy na spacer. Jeszcze coś? - spytał, trzymając w pogotowiu długopis.

-Tak. Spaghetti. W porządku. Dobrze. Chodźmy na spacer. Radcliffe, co miałeś na myśli, mówiąc, że jest zepsuty?

- Co jest zepsute?

- Odkurzac, przed sekundą powiedziałaś, że jest zepsuty. Kiedy się zepsuł?

- Och - odparł wymijająco - tydzień czy dwa temu. Wróciłem do domu w porze lunchu, żeby ci zrobić niespodziankę, ale ciebie nie było. Stłukłem szklankę, a potem próbowałem posprzątać szkło odkurzacem. Odkurzac zaszczrytał, a teraz jest chyba zepsuty.

- A więc stłukłeś szklankę? Ponieważ mnie tu nie było? Gdzie byłam?

- Wszystko wyszło na opak. Chyba wybrałaś się wtedy na kawę ze swoją siostrą do Castle Hill. Przypominaś sobie ten dzień? Mówiłaś mi, że Marbie przyprowadziła ze sobą Alissę. Obie były przeziębione. A przynajmniej Alissa. Tak to przedstawiłaś.

- Ona woli, żeby mówić na nią Listen, wiesz o tym doskonale.

- Tak czy owak chodźmy na spacer. I coś ci powiem - zaniosę odkurzac do tego nowego punktu naprawy przy sklepie żelaznym.

JEDYNA ZAŁĘTA MOJEGO MĘŻA # 1

Potrąfi wypluć pestkę czereśni z werandy naszego domu aż na samą drogę. Mnie udaje się plunąć nią załędwie do brzegu werandy.

W sobotę wypadały urodziny Cassie. Była to tajemnica, niemal przerażający, cudowny fakt, który Cassie codziennie nosiła ze sobą niczym szeroki uśmiech, mający za chwilę pojawić się na jej twarzy.

Dzisiaj jednak (w czwartek) zdała sobie sprawę, że kiedy była młodsza, bywało lepiej. Może gdy kończyła pięć lub sześć lat było to coś więcej niż tylko uśmiech - jak gdyby wszystko dookoła szeptało i podskakiwało. Teraz, kiedy kończyła już siedem, jej radosne podniecenie wydawało się odrobinę niestosowne.

To dlatego, że wiem, iż mogę przeżyć rozczarowanie, przyznała się przed sobą. Pewnego razu podczas urodzin wpadła w taki entuzjazm, że wskoczyła na stół, przy którym siedzieli dorośli. W pierwszej chwili się śmiali, później jednak przewróciła butelkę szampana, który wylał się na kolana jej tatusia, i Cassie wpakowała się w nie lada tarapaty. Wybuchnęła płaczem, a nigdy nie powinno się płakać w urodziny.

Był już czwartek, a nazajutrz, w piątek, miała sporo roboty w związku z wieczorną Poufną Naradą Rodziny Zingów. W sobotę są urodziny Cassie, toteż tak naprawdę został jej dzień dzisiejszy i niedziela na ukończenie kolej-

nych trzydziestu rozdziałów powieści erotycznej. Fancy w zdumieniu wpatrywała się w komputer.

Postanowiła napisać do nauczycielki Cassie.

Droga Panno Murphy!

Chciałam tylko zawiadomić Panią, że Cassie zgubiła ząb

Ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzyła drzwi i w cieniu markizy zobaczyła przed sobą przystojnego nieznajomego. Łzy napłynęły jej do oczu. Próbowała je powstrzymać.

Nieznajomy trzymał w dłoniach talerz przykryty ściereczką do naczyń. Był ubrany w luźny T-shirt i dżin-sy oraz zniszczone tenisówki bez skarpetek. Miał szerokie ramiona, mocno opaloną twarz, oczy błyszczały mu za niedużymi okularami w cienkich metalowych oprawkach.

- Cześć - powiedział, zmieniając się w jej sąsiada Kanadyjczyka.

Była tak zbita z tropu, że nie otworzyła siatkowych drzwi. Stała, gapiąc się na niego bez słowa.

- Nie chciałybym w żadnym wypadku się naprzykrzać - mówił dalej trochę oficjalnym tonem - ale upiekłem na przeprosiny ciasto. Mój kumpel z Kanady. Bill. Parę dni temu. Chciałem po prostu przeprosić za niego. To porządny facet, lecz nie należy może do najbardziej taktownych i omal nie umarłem ze wstydu, kiedy opowiedział ci tę swoją historyjkę. Omal nie umarłem i teraz jestem tutaj, by cię przeprosić.

-Ach! - wykrzyknęła Fancy. - Historyjka o „kocim dymanku"! Wcale się nie obraziłam! Nawet mi się spodobała! Piszę powieści erotyczne. To mój zawód. Jak

więc widzisz, nie przejmuję się takimi rzeczami. Taką mam pracę. Wiem, że musi to brzmieć dla ciebie dziwnie, ja, matka, kura domowa, piszę powieści erotyczne, a jedynym mężczyzną, z którym spałam w całym moim życiu, jest mój mąż!

Nastąpiła chwila milczenia.

Fancy otworzyła siatkowe drzwi, które jak zwykle zaskrzypiały.

- Mogę to naprawić - zaproponował sąsiad. Patrzył na drzwi.

- Nie, nie! Potrafię to zrobić sama! Wystarczy odrobina WD40.

- Rzeczywiście - przyznał z tym swoim dziwnym uśmiechem. - Nadal uważam, że mój przyjaciel postąpił niewybaczalnie, proszę, przyjmij zatem to ciasto z syropem klonowym. Dobrze?

Przytrzymał stopą drzwi, by się nie zamknęły, i podał jej ciasto. Fancy wzięła je od niego i Kanadyjczyk cofnął ręce. Przy tym ruchu zauważyła, że na wewnętrznej stronie dłoni ma stwardniałą skórę. Następnie zasalutował jej z tym samym błyskiem w oku, po czym zbiegł po stopniach werandy.

Zamiast skierować się prosto na swoją werandę, przeszedł podjazdem do ulicy, a potem ulicą do swojego podjazdu i dopiero do domu. Fancy uznała to za niezwykle ujmujące.

ROZDZIAŁ 3

Gdy odwróciła jego prawą dłoń, by ją pocałować, zobaczyła, że ma stwardniałą skórę. „Od rakiety tenisowej?” - spytała. Skinął twierdząco głową, po czym zaproponował, by zdjęła suknię.

„Nie podoba ci się moja sukienka?” - droczyła się z nim. Zaśmiał się cicho, po czym warknął z udawaną złością: „Do sypialni, dziewczko!” Sięgnęła po nasączoną płynem do zmywania ściereczkę, by najpierw wyczyścić rozbite jajko, które spływało do brzegu bufetu - pozostałość po ich próbach pieczenia ciasta - on jednak udaremnił jej zamiar, chwytając ją za rękę. „Niech sobie ścieka - rzekł spokojnie.—„Zostaw to. Zamierzam cię wziąć. Teraz, zaraz”. „Ja to zrobię - rzekł spokojnie. - Daj mi ściereczkę”. Potem, gdy już posprzątał całą kuchnię, powtórzył z szelmowskim błyskiem w oku: „Do sypialni, dziewczko!”.

Nazajutrz wieczorem, jadąc na Poufną Radę Rodziny Zingów, Fancy czuła się bardzo szczęśliwa. Była podekscytowana z powodu czekającej ich kolacji - jak zwykle będzie pieczony kurczak - jak również późniejszej narady (było mnóstwo spraw do omówienia i przygotowała pokaz przezroczy). Cieszyła się też na jutrzejsze urodziny Cassie. Cudownie, że Marbie i Vernon postanowili urządzić przyjęcie u siebie! Może zdąży wpaść jeszcze przedtem do siłowni. Obecnie, gdy regularnie chodziła do siłowni, była taka szczupła. Rozparła się wygodnie na siedzeniu pasażera, nucąc do wtóru melodię, którą śpiewała na tylnym siedzeniu Cassie.

A potem Radcliffe powiedział to, co powiedział.

- Pamiętasz Gemmę z działu księgowości? - spytał, zmieniając pas ruchu.

- Nie - odparła Fancy.

- Daj spokój! Musisz pamiętać Gemmę. To ona rozlewała swojego drinka po całym biurze na przyjęciu gwiazdkowym. Pamiętasz?

- Nie - powtórzyła Fancy.

- Dobra. - Wzruszył ramionami. - Wobec tego musisz mi uwierzyć na słowo, że jest taka Gemma, która pracuje u mnie w księgowości. Tylko po południu, szczęściara. W każdym razie okazuje się, że miała zabiegi laserowe na swoje znamiona. Ty nazwałabyś je piegami, ale to są naprawdę znamiona. Nieważne. To nadzwyczajne. Usunięto jej około dziesięciu.

Fancy nie mogła w to uwierzyć. Opuściła brodę, by obejrzeć piegi na swoich nagich ramionach: ładnie rozmieszczone, urocze piegi. Prawdziwe „plamki urody”.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - odezwała się po chwili lodowatym tonem.

Radcliffe odwrócił się szybko ku niej, z urażoną, zakłopotaną miną, po czym znów przeniósł spojrzenie na drogę przed sobą.

Marbie Zing

Gdy Marbie miała dziewięć lat, pewnego letniego dnia, w upalne południe, omal nie straciła życia przez parasol.

Była wtedy rozkojarzona.

Poprzedniego dnia jej siostra Fancy wkroczyła o zachodzie słońca do domu na plaży, oznajmiając, że zrobiła coś wręcz niewiarygodnego.

Marbie miała opłukać stopy z piasku, ale słysząc jej słowa, wbiegła do środka. Stała bokiem w wąskim przesmyku między przesuwanymi drzwiami z ozdobnego szkła, starając się być niewidoczna. Musiała wykręcić głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Fancy stała na środku salonu, podparta pod boki, czekając na rodziców. Mama wyjrzała z kuchni, gdzie przygotowywała sałatkę z buraków, a tata z łazienki, gdzie właśnie wziął prysznic.

- Co takiego niewiarygodnego zrobiłaś, kochanie?
- zawołała mama.

- Co się stało, Fancy? - spytał tata.

- Wyjawiłam Radcliffe'owi Sekret.

Rodzice w popłochu wpadli do salonu - mama wymachująca purpurowymi dłońmi, tata z ręcznikiem

kąpielowym obwiązany wokół pasa - i wzięli Fancy w dwa ognie. Tata poprawił zjeżdżający ręcznik.

- Nie wierzę! - wykrzyknęła mama.

- Ale to prawda - przekornie potwierdziła Fancy.

- Mówiłam, że to niewiarygodne. - Spojrzała na rodziców i skrzyżowała ramiona, lecz wargi jej drżały.

Przyczajonej Marbie przypomniał się odcinek serialu *Charles In Charge*, kiedy dobra siostra usiłuje być zła, ale jej się to nie udaje, ponieważ jest to przeciwne jej naturze.

- Kiedy? - ryknął tata.

- Och, kochanie - wyszeptała łagodnie mama.

Ręce Fancy opadły, usiadła przy stole.

Okazało się, że opowiedziała mu o wszystkim. Sama nie miała pojęcia dlaczego.

- Mów wszystko po kolei - powtarzał w kółko tata - dokładnie to co jemu.

- Dlaczego to zrobiłaś? - szeptała również bez ustanku mama, aż w końcu znudziło to Marbie, wdrapała się więc na jedno skrzydło drzwi, by na nich cichutko pojeździć.

- Marbie! - warknął tata. - Idź się natychmiast przebrać!

- Dobrze - zgodziła się Marbie, spoglądając na podłogę zachlapaną słoną wodą kapiącą z kostiumu kąpielowego. Weszła cicho do pokoju i usiadła na kanapie.

- Och, Fancy. - Głos mamy był niski i drżący.

- Mów dokładnie wszystko to co jemu - zażądał jeszcze raz tata.

- No, opowiedziałam mu o Irlandii i o placku z wiśniami...

- Och, nieważne - burknął tata.

Wymienili z mamą spojrzenia. Zapadła cisza.

Przycupnięta na kanapie Marbie wymruczała do siebie:

- Czy powinnam poinformować ich, że nigdy nie zdradziłam nikomu Sekretu? Czy powinnam oznajmić to na głos?

Wszyscy odwrócili się do niej.

- ZEJDŹ Z TEJ KANAPY! - krzyknął tata.

- Radcliffe zachowa dyskrecję. - Głos uwiązał Fancy w gardle, następne słowa rozpląnęły się w łkaniach. - Pyrzek, żenko muu nie powiiiiii.

Mama i tata w milczeniu usiłowali rozszyfrować jej słowa. Po chwili oboje westchnęli: „ach”, co oznaczało, że zrozumieli.

- No cóż - stwierdził tata - skoro przyrzekł, że nikomu nie powie, chyba musimy mu zaufać.

- Ale niech Bóg ma nas w swojej opiece, kiedy zerwiecie ze sobą! - westchnęła z niepokojem mama.

- Nie zerwiemy ze sobą - wyszlochała Fancy. - On mnie kocha! Obiecał, że będzie mnie kochał zawsze!

- No, już dobrze - powiedziała mama przeproszącym tonem. - Jasne, że cię kocha. - Objęła Fancy, pocieszając ją: - Oczywiście, że cię kocha, cicho, uspokój się, bez wątpienia cię kocha, skarbie.

Toteż nazajutrz, w samo południe, Marbie była rozkojarzona.

Fancy siedziała na ręczniku plażowym pod parasolem, obejmując jedną ręką kolana i ponuro wpatrując się w piasek. Tata usiłował nastawić radio tranzystorowe na stację transmitującą mecz krykieta. Mama czytała na leżaku „New Idea”. Szum morza, brzęczenie radia, szelest przewracanych stron czasopisma podkreślały tylko milczenie panujące w rodzinie.

Ze swojego ręcznika leżąca na słońcu Marbie mogła obserwować całą rodzinę, a zwłaszcza Fancy. Uważała, że Fancy, zwykle taka bystra, zachowała się podwójnie głupio. Po pierwsze, była głupia, zdradzając Sekret swojemu chłopakowi, a po drugie, mówiąc rodzicom, że zdradziła

mu Sekret. Prawdę powiedziawszy, i to właśnie interesowało Marbie, ta druga głupia rzecz była całkiem nowym stopniem głupoty.

Zapatrzyła się na morze, rozmyślając intensywnie nad tymi dwoma stopniami głupoty. Po chwili oba stopnie zaczęły migotać w powietrzu. Tuż nad linią horyzontu znajdował się pierwszy. Nieco wyżej przebijał przez chmury drugi. Marbie wpatrywała się w pierwszy stopień, potem powędrowała wzrokiem wyżej, żeby popatrzeć na drugi, znowu na pierwszy, znowu na drugi, w dół i w górę, w dół i w górę, dopóki parasol nie rąbnął jej w czoło.

Był to plażowy parasol, który przypadkowy podmuch wiatru wyszarpnął z piasku. Śmignął w powietrzu niczym oszczep, tymczasem jacyś mężczyźni rzucili się z okrzykiem: „Hej!” w pogoń za nim. Ostry koniec trafił Marbie w czoło, tak że straciła przytomność.

W szpitalu wiele mówiono o tym, jakie miała szczęście, że parasol nie uderzył jej trochę bardziej z prawej strony. Albo odrobinę wyżej. Lub ciut niżej. Albo minimalnie w lewo. A wyobraźcie sobie, co by było, gdyby ugodził ją w oko! Otarła się o śmierć, ale skończyło się tylko na dziesięciu szwach, dwojgu podbitych oczu i jednej nocy w szpitalu na obserwacji.

Fancy ogromnie się przejęła, toteż Radcliffe trzymała ją dla pokrzepienia za rękę i muskał nosem jej ramię. W piątek Radcliffe wziął po raz pierwszy udział w Poufnej Naradzie Rodziny Zingów, był milczący i uprzejmy, ale nie potrafił się powstrzymać, by nie spoglądać bez przerwy na leżącą wśród poduszek na kanapie Marbie, której fioletowe czoło przedstawiało opłakany widok. W następnym tygodniu rozluźnił się już na tyle, że zauważył, iż ciemne sińce pod oczami Marbie czynią ją podobną do szopa pracza. „Do zobaczenia, mały szopie”

- zawołał tamtego wieczoru, wychodząc z narady. Wszyscy się roześmiali.

Później Marbie przyjęła na siebie odpowiedzialność za ustawianie plażowego parasola będącego własnością ich rodziny. Ona jedna znała pełne rozmiary ryzyka. Ściśle przestrzegała ustalonego porządku. Najpierw kopała dołek na głębokość całej ręki; głębiej; tak głęboko, że musiała położyć się na boku, by dosięgnąć dna dołka i podrapać palcami mokry piasek; następnie brała dolną część parasola i zagłębiała ją w dziurze, po czym wkręcała, obracając w prawo i napierając na nią całym ciężarem ciała; potem zasypywała dołek piaskiem, ubijając go; wreszcie nagarniała kopczyk piasku wokół podstawy parasola, wkręcała jego górną część i zakopywała na szczęście trzy owoce kokoloby w wybranych na chybił trafił miejscach.

Została jej blizna na czole w kształcie krokusa, jak również lęk na całe życie, że długie ostre przedmioty (takie jak parasole czy paliki ogrodzenia) jakimś sposobem wylądują w jej oku.

*

Pewnego piątkowego poranka Marbie stała na werandzie ich nowego mieszkania z wyjściem do ogródka, pijąc jagodowo-bananowy koktajl i żegnając się z Listen.

- Nie idź zbyt szybko - radziła jej. - Musisz oszczędzać siły na dzisiejszy walkathon. Może pojechałabyś dziś do szkoły na łyżworolkach? Albo cię podwożę.

Listen tylko się roześmiała i pomaszerowała ze swoją zwykłą dużą szybkością.

-Świetnie wyglądasz - zawołała za nią Marbie.
- Po prostu wspaniale. Jak prawdziwy supermodny chodździarz.

Listen znowu się roześmiała i zmieniała na parę chwil krok, jak ktoś supermodny i kapitalny, po czym szła

dalej w swoim normalnym rytmie. Z powodu udziału w walkathonie nie miała na sobie szkolnego mundurka, lecz dżinsy biodrówki oraz top bez rękawów, eksponujący brzuch.

Marbie pozamykała wszystkie drzwi i ruszyła do samochodu zaparkowanego na ulicy. Gdy była w połowie drogi, czarny kot sąsiada przebiegł jej drogę.

Codziennie, od dnia kiedy się tu wprowadzili, czarny kot sąsiada przebiegał jej drogę. Czasami wkładał wiele wysiłku, żeby to zrobić - na przykład wykonywał potrójny przewrót do tyłu z drzewa, po czym następował skok wzwyż nad głową Marbie. Ale tego ranka nie musiał nawet specjalnie się starać, zwyczajnie przeszedł jej drogę.

- Och, na miłość boską - powiedziała głośno Marbie. - Nie przestraszysz mnie, wiesz o tym, Gary?

Kot wabił się Gary i prawdę mówiąc, samo imię ją przerażało.

Ale dzień w pracy minął całkiem przyjemnie - dużo pogaduszek, stemplowanie dokumentów, pełny talerz resztek sushi pozostałych po konferencji na innym piętrze. Toni poszła po materiały biurowe i wróciła z mnóstwem upominków, toteż sporo czasu zajęło Marbie montowanie nowego magnetycznego pojemnika na spinacze.

Trochę spinaczy wysypało jej się na wykładzinę, zebrała garstkę, resztę zostawiając na podłodze. „Była to decyzja, której będzie żałowała do końca życia”. (Dajmy na to, pewnego dnia Marbie przewraca wazon z kwiatami. Woda wylewa się na wykładzinę, a kwiaty toczą się pod biurko. Wpełza na czworakach pod biurko, by podnieść jeden czy drugi kwiatek, i nie zauważyła, że spinacz przyłgnął jej do kolana. Nie wiedząc o tym, wychodzi z pracy, jedzie do domu, spotyka się z Vernonem, żartobliwie szturcha go kolaniem w udo, spinacz jakimś sposo-

bem wbija mu się w ciało, Vernon zatruwa się ołowiem i umiera!). (Na tę myśl łzy napłynęły jej do oczu).

Wczołgała się więc pod biurko i pozbierała absolutnie wszystkie spinacze, otrzepując starannie kolana. Następnie odpisała na wszystkie maile z folderu: PRZYJACIELE - MUSZĘ ODPOWIEDZIEĆ.

Tego samego wieczoru w pubie Night Owi koleżanki zostawiły Marbie, która kończyła swoje piwo, kiedy zjawił się inżynier lotnictwa.

- Mam dość czasu, by wypić jedno piwo - poinformował ją, sadowiąc się naprzeciwko niej.

- Dlaczego sądzisz, że ja mam czas na jedno piwo?

- Na pewno masz! Po co ten pośpiech?

Powodem pośpiechu była Poufna Narada Rodziny Zingów.

- Dobrze. Ale tylko jedno.

- Gdzie są wszyscy? - zdziwił się inżynier lotnictwa, marszcząc brwi na widok pustych krzeseł.

- Wolałabym, żebyś przestał to robić - powiedziała Marbie.

Inżynier lotnictwa podszedł do baru i wrócił z dzbanem piwa, po czym usiadł i zaczęli je pić.

- Skrzydła samolotu powinny drżeć - oznajmił inżynier lotnictwa po chwili milczenia.

- W porządku - zgodziła się Marbie. On się na tym zna.

- Grasz trochę w tenisa? - spytał.

Jadąc pociągiem do domu, Marbie zachodziła w głowę, dlaczego zgodziła się zagrać w tenisa z nieznanym. Umówili się na spotkanie w przyszłą sobotę na kortach w pobliżu jej miejsca zamieszkania.

Gdy tego ciepłego wieczoru wysiadła na swojej stacji i szła do samochodu, zastanawiała się, czy jest wystarczająco trzeźwa, by prowadzić. Wdrapała się na ogro-

dzenie parkingu, uniosła jedną nogę jak baletnica i przez okamgnienie zdołała utrzymać się w tej pozycji, zanim spadła. To był dobry znak.

Jadąc do domu rodziców, wyobrażała sobie, że zdąży jeszcze przynajmniej na deser, przy odrobinie szczęścia będzie to może placek wiśniowy, i układała sobie w głowie usprawiedliwienia: „Tabitha opowiadała mi bardzo długą historię o swojej siostrze, która jest w ciąży i dostaje ataków. Była ogromnie przygnębiona. Pociąg włókł się jak zółw, zatrzymywał się na każdej stacji. Mój samochód znajdował się w zupełnie innej części parkingu, niż go rano zostawiłam! Jestem tego pewna. Jestem pewna, że ktoś go przestawił”. Wszystkie te rzeczy były prawdziwe, chociaż nie one stanowiły powód jej spóźnienia.

Gdy wreszcie tam dotarła, było już po kolacji i Narada się rozpoczęła. Listen i Cassie jak zwykle oglądały w salonie film.

- Cześć! - zawołała, biegnąc do ogrodowej szopy.
- Jak tam walkathon, Listen?

- Świetnie - odparła Listen, nie odrywając wzroku od telewizora.

W ogrodowej szopie Marbie usiadła obok Vernona i pochyliła się, by powiedzieć mu na ucho, że właśnie umówiła się na tenisa z nieznajomym. Zanim zdążyła cokolwiek szepnąć, Vernon ją pocałował. Podał jej spokojnie dodatkowy egzemplarz konspektu jej matki, z którego natychmiast zrobiła papierowy samolocik. Vernon wyjął samolot z jej rąk, podniósł go do góry i rzekł lekceważąco: „Phi!”, na co Marbie zachichotała, a siedząca z przodu matka syknęła: „Ćśś”.

Zawsze wpadali z Vernonem w kłopoty w czasie Narad.

Następnie Vernon sięgnął pod krzesło, gdzie trzymał schowany dla niej placek wiśniowy na talerzyku i łyżeczkę.

Po Naradzie wracali do domu samochodem Vernona. Marbie, siedzącą na miejscu obok kierowcy, zaczęła ogarniać senność, wyjęła więc z kieszeni papierowy samolocik, wygładziła zgniecenia i spytała:

- Co miało oznaczać twoje „phi”?

- On nigdy nie poleciał - oświadczył Vernon, rzucając okiem na samolot. - Rozbije się i spłonie.

- Poleciał.

- Udowodnij - powiedziała Listen, pochylając się do przodu, po czym wróciła do poprzedniej pozycji, mówiąc: - Vernon ma rację, Marbie. On nie poleciał.

- Inżynier lotnictwa pokazał mi, w jaki sposób. Właśnie, że poleciał.

- Rozbije się i spłonie - powtórzył Vernon. - Który inżynier lotnictwa ci to pokazał?

- Nie wiem. Zwyczajnie, jakiś facet.

Papierowy samolot miał ostry koniec, który uderzył Vernona w policzek.

- Poleciał - oznajmiła Marbie.

- Wcale nie.

- Uderzył cię w policzek!

- Ale nie poleciał.

- To niby w jaki sposób trafił cię w policzek?

- Rzuciłaś nim we mnie. To nie jest latanie.

Marbie poprawiła się na siedzeniu i zapięła pas.

- Hmm - mruknęła.

- Hej, Listen - Vernon zerknął na siostrę we wstecznym lusterku. - Jak dzisiejszy marsz? Zapomnieliśmy zabrać od Zingów twoje pieniądze na akcję charytatywną.

- Super - odparła Listen. - Po prostu super. - I więcej się już nie odezwała.

Walkathon polegał na okrażeniu bieżni pięćdziesiąt pięć razy, celem była zbiórka i przekazanie pieniędzy na międzynarodową akcję likwidacji min. Co okrażenie stawiano ptaszek na ich czerwonych kartach uczestnictwa. Co pięć okrażeń podawano uczestniczkom sok pomarańczowy, a co dziesięć musiały się zatrzymać, by schrupać kilka pełnoziarnistych krakersów Vita-Weat, a nauczyciele śmiali się i rzucali uwagi w rodzaju: „No, przędziej! Przyspiesz kroku! Ruszaj się!”

Maszerowały w grupkach z przyjaciółkami, Listen szła z Donna Turnbull i innymi koleżankami z podstawówki.

Po ośmiu okrażeniach Donna powiedziała:

- Zbieranie pieniędzy na miny? Jak sądzicie, co powinniśmy zrobić z minami, kiedy już je dostaniemy?

- To zależy, jakie będą - odparła Sia. - Jeśli grobowe, to się ich pozbędziemy. Jeśli wesołe, to będziemy pękać ze śmiechu.

Wszystkie się roześmiały.

- Powinniśmy podłożyć je w pracowniach fizyczno-chemicznych - zasugerowała Caro. - Nie musiałybyśmy mieć wtedy zajęć.

- Aha - dodała Gabrielle. - Byłoby super, pracownia przypominałaby pole minowe. Najpierw trzeba by kogoś tam wysłać, żeby sprawdził drogę do naszej ławki.

- Kazałabyś to zrobić Caro - podsunęła Donna.

- Nie ma mowy! - krzyknęła Caro, po czym wszystkie znowu wybuchnęły śmiechem.

- Pobiegnijmy teraz - zaproponowała Donna, kiedy wreszcie przestały się śmiać. - Macie ochotę trochę pobiegać?

Następnie odliczyła:

- Jeden, dwa, trzy, cztery. - Licząc, wskazywała kolejno na Joannę, Caro, Gabrielle oraz Się, a następnie na siebie: - 1 pięć.

Ominęła Listen.

- Tylko nasza piątka - oznajmiła, nie patrząc na Listen. - Biegnijmy.

W ich oczach pojawiły się dziwne błyski, a na wargach złośliwe uśmiešky, i puściły się biegiem przed siebie.

Listen przez chwilę była zdezorientowana. Pomyślała, że Donna zwyczajnie zapomniała pokazać na nią, i również zaczęła biec, potem jednak zobaczyła, że koleżanki biegną coraz szybciej i spoglądają na siebie znacząco, jak gdyby mówiły: „Ona biegnie z nami! Co zrobimy?!”

Zwolniła na moment, by sprawdzić, czy się zatrzymają.

Nie zatrzymały się, wręcz przeciwnie, oddaliły się jeszcze bardziej, po czym zmniejszyły szybkość do wolnego biegu, nie oglądając się za siebie. Następnie maszerowały dalej różnym krokiem.

Dobra, pomyślała Listen, pewnie chcą dołączyć do mnie przy następnym okrażeniu.

Obeszła bieżnię czterdzieści siedem razy, powoli, żeby dać im szansę, lecz one ani razu się z nią nie zrównały.

W poniedziałek po marszu Listen obserwowała kątem oka Donnę i pozostałe dziewczyny, czekając, co się wydarzy. Najpierw pomyślała: „Cóż, skoro nie chcą się ze mną zadawać, to mam to w nosie”, i poszła na przerwie śniadaniowej do biblioteki. W bibliotece nie wolno jeść drugiego śniadania, toteż zachowała je na drogę powrotną do domu. Na lekcjach postanowiła skoncentrować się na tym, co mówią nauczyciele. To przecież całkiem interesujące, wmawiała sobie, lecz prawdę mówiąc, wcale nie było.

Tymczasem życie innych dziewcząt toczyło się dalej zwykłym torem, rozmawiały ze sobą o zwykłych rzeczach.

To samo działo się we wtorek, lecz w środę rano Listen obudziła się z myślą: „To wszystko jedna wielka pomyłka! Uważają, że to ja je ignoruję!” Okropność! Ale poczuła taką ulgę, że praktycznie biegła przez całą drogę do szkoły, by wszystko naprawić.

Caro dotarła do szkolnej bramy w tym samym czasie co ona, Listen zawołała więc:

- Cześć!

Caro rozejrzała się dookoła i odparła: „Cze-e-eść”, odrobinę zabawnie i melodyjnie, jak gdyby zwracała się do dużego niebieskiego chrząszcza, który usiadł na jej talerzu podczas pikniku. Wszyscy parsknęliby śmiechem, a ona potrząsnęłaby talerzem i chrząszcz by odfrunął.

- Co się dzieje? - spytała Listen, idąc obok Caro.

-Ni-i-ic - odparła Caro, przyspieszając kroku.

- Sia!!! - krzyknęła nagle, machając do koleżanki stojącej na parkingu dla nauczycieli.

Sia odwróciła się, spoglądając na nie uważnie. Caro spieszenie odskoczyła od Listen i pędem puściła się przez podjazd, głośno tupiąc nogami. Listen stała w miejscu, patrząc, jak Caro podbiega do Sii, kuli się, chwytając z trudem oddech i gwałtownie wyrzucając z siebie słowa, a Sia obejmuje ją, jak gdyby chciała pocieszyć.

Wtedy Listen prędko ruszyła w przeciwnym kierunku.

Później tego samego dnia, gdy Listen szykowała się do domu, podeszła do niej Donna i powiedziała uprzejmym tonem:

- Czy mogłabym coś wyjaśnić?

- Jeśli chcesz.

- Po prostu wszystkie zgodziłyśmy się co do tego. Nie chcemy nikogo obrazić ani nic w tym rodzaju. Stwier-

dziłyśmy tylko, że sytuacja jest nieco inna teraz, gdy jesteśmy w siódmej klasie i trzeba podejmować trudne decyzje. Jeśli chce się przetrwać. Uważamy, że ty nie należysz do tych, co przetrwają. Dałaś tego dowód podczas marszu, kiedy my żartowałyśmy sobie na temat min, a ty, owszem, śmiałaś się, ale sama nie powiedziałaś nic dowcipnego. Ty w pewnym sensie brałaś, ponieważ śmiałaś się, ale nam nie dawałaś nic. I wiesz, sytuacja się zmienia, wszystkie zgodnie podjęłyśmy decyzję. Okay?

- O-ka-a-ay - odrzekła Listen, starając się wymówić to słowo trochę śpiewnym, komicznym tonem.

Nazajutrz Listen nie poszła do szkoły. Marbie została w domu, bo miała podrażnione gardło. Zasugerowała, że Listen również przydałby się wolny dzień. Odchrząknawszy kilka razy, Listen doszła do wniosku, że ją również boli gardło.

- Napiszę ci usprawiedliwienie, że dostałaś zapalenie płuc - rzuciła pomysł Marbie.

Tak więc sprawa została załatwiona.

Marbie czytała książkę w słonecznej części kuchni, a Listen powędrowała do swojego pokoju i rozejrzała się dookoła. Nagle przypomniała sobie: przecież dziś jest czwartek! Wolno mi rzucić kolejny czar!

Było to Zakłęcie: Jak sprawić, aby zepsuł się odkurzac.

- Cóż - rzekła do siebie - to dość głupie zakłęcie.

Potem jednak przypomniała sobie, że ich odkurzac był już zepsuty. Zepsuł się podczas przeprowadzki - pan Zing upuścił na niego szafę na platformie bagażowej pikapa. Może Zakłęcie: Jak sprawić, aby zepsuł się odkurzac wyrze odwrotny skutek? Nigdy nie wiadomo.

Instrukcje były następujące:

1. Noś przez cały dzień okulary przeciwsłoneczne. Idź zaraz szybko po okulary i włóż je.

2. Chodź tyłem, lecz co kilka kroków przeskakuj z nogi na nogę i mów „och!”, jak gdybyś właśnie coś sobie przypomniała.

3. Zadzwoń i zapisz się na zajęcia taekwondo, a po dziesięciu minutach zadzwoń jeszcze raz i odwołaj.

4. Obierz piętnaście ziemniaków i zlep z powrotem obierki taśmą klejącą.

TERAZ MUSISZ ODCZEKAĆ SZEŚĆ TYGODNI PLUS JEDEN DZIEŃ, ZANIM PRZEWRÓCISZ KOLEJNĄ KARTKĘ! (Lepiej zaznacz datę w swoim kalendarzu).

Wymagania były wysokie, ale Listen spełniła wszystkie co do joty. Nawet gdy ona i Marbie wybrały się z siostrą Marbie, Fancy, na kawę do Castle Hill. Trudno było nosić ciemne okulary wewnątrz centrum handlowego i chodzić tyłem, wyjaśniła to jednak swoją teorią na temat grypy - dzięki przebraniu zdoła się tak ukryć, że choroba jej nie znajdzie. Marbie i Fancy były pod wrażeniem.

Nazajutrz rano zajrzała do szafy w holu, lecz odkurzac nadal był zepsuty, tak jak się spodziewała.

*

W sobotni poranek Marbie zapowiedziała Vernono-
wi przez drzwi łazienki, że ma zamiar pojechać do domu
rodziców, by przejrzeć czasopisma dotyczące odnawiania
mieszkań.

- Hej, co za sportsmenka! - rzekł Vernon, wychodząc spod prysznica i widząc Marbie w jej sportowym
rynsztunku.

Udawał, że się z nią boksuje, lecz Marbie nie miała czasu.

W drodze do domu rodziców zatrzymała się, by kupić puszkę piłek tenisowych. Spędziła u rodziców dziesięć minut, a następnie udała się na kort. W bagażniku samochodu miała schowaną raketę.

Powietrze było nieruchome pod zamglonym niebem, unosiły się w nim tylko pyłki kwiatowe i roje drobnych czarnych owadów. Idąc w kierunku kortów, Marbie czuła, jak sucha trawa chrzęści jej pod stopami. Potem dostrzegła z daleka inżyniera lotnictwa. Stał już na korcie, wyjmował raketę z pokrowca i gapił się na Marbie. Był ubrany na biało, nie wyłączał białych skarpetek do kostki i białych tenisówek. Jedynym innym kolorem była czerń jego owłosienia na rękach i nogach. Chyba bardzo gęstego.

Marbie natomiast miała na sobie czarne lśniące szorty z lycry, cytrynowożółty T-shirt ze spłowiałym niebieskim napisem: NIEDŹWIEDZI UŚCISK, włosy ściągnięte w koński ogon różową elastyczną frotką, na nogach reeboki.

Z pewnej odległości inżynier lotnictwa wydawał się pulchny i zatroskany.

Gdy podeszła do niego, oznajmił:

- Zakręcę moją raketą.

- Aha!

Dlaczego on chce zakręcić raketą?

Inżynier lotnictwa zakręcił raketą, pytając:

- Gładka czy szorstka?

- Szorstka! - Marbie wpadła w panikę.

Pomachała rękami, odganiając chmarę drobnych owadów, i kichnęła: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć razy.

- Fiu, fiu! - zagwizdał (w związku z jej kichaniem) i rakietą upadła na kort z głuchym odgłosem. - Szorstka!

Marbie zaserwowała w siatkę, dwukrotnie, rozdrażniona przełknęła z trudem ślinę, odczuwając prężną potrzebę wydmuchania nosa. Owady kręciły się wokół jej nozdrzy, włożyły jej do ust, drapała się po uszach i po kolanach.

- Niezłe pudło - zawołał uprzejmie inżynier lotnictwa.

-Dziękuję. - Marbie tupnęła nogą, odpędzając owady, i przyznała: - Mnie też się podobało.

- Co? - zdziwił się inżynier lotnictwa, po czym roześmiał się krótko: - Cha.

Wróciwszy do domu, spocona Marbie wytłumaczyła Vernonowi, że po wizycie u rodziców postanowiła trochę pobiegać na boisku sportowym, dlatego spociała się i musi koniecznie wziąć prysznic.

- Listen poszła na zakupy - rzekł Vernon, idąc za nią korytarzem - ale prosiła, żebym ci coś powiedział od razu po twoim powrocie do domu. Chciała, żebym powtórzył ci, co wymyśliła. Dobra, zaraz sobie przypomnę. Otóż pomysł jest taki: Listen uważa, że powinniśmy wyprawić urodziny Cassie tutaj, łącząc je z naszą parapetówką. Podobno urodziny Cassie wypadają za parę tygodni.

- Naprawdę ci to podsunęła, naprawdę? - spytała Marbie, zdejmując przeпоcony kostium sportowy i wchodząc pod prysznic. - Moim zdaniem to przemiły pomysł, a Listen jest piękna i ty też. - Ostatnie słowa wybulgotała przez spływającą na nią wodę z prysznicą.

-Dziękuję - odparł Vernon, zdejmując koszulę przez głowę, rozpinając dżinsy i również spieszenie je ściągając, po czym wszedł do Marbie pod prysznic.

Marbie przyglądała się delikatnym ciemnoblonde włosom na jego piersi, kształtnym, muskularnym ramionom i rękom. Był dobrze zbudowany, ponieważ zawsze dźwigał pudła z bananami. Gdy pocałował ją w ciepłym

strumieniu wody płynącej z prysznicza, Marbie zaczęła pisać w myśli roboczą wersję Listu do Redaktora:

Szanowny Panie!

Piszę, by poinformować Pana, że właśnie dzisiejszego ranka miałam romans z inżynierem lotnictwa.

Pisałam wcześniej, by opowiedzieć, jakie spotkało mnie szczęście, że los postawił na mojej drodze rodzeństwo Taylorów i jakim fantastycznym kochankiem jest Vernon Taylor. Skoro już o tym mowa, mogę teraz potwierdzić, że Vernon doprawdy jest rewelacyjnym - absolutnie nadzwyczajnym...

W każdym razie romans przybrał formę meczu tenisa: 6:0, 6:1. Przegrałam. A mój jedyny punkt w drugim secie był rezultatem jego podwójnych błędów serwisowych. „A niech to szlag!” - mówił inżynier lotnictwa po każdym błędzie serwisowym i ocierał pot z baczków.

Byłam wstrząśnięta, że mam romans z takim mężczyzną. Prawdę mówiąc, okropnie się wynudziłam, toteż nie mogę pojąć, jakim cudem doszło do tego, co się potem zdarzyło.

A zdarzyło się, że w przyszłą środę umówiłam się z nim po raz drugi na tenisa podczas przerwy na lunch, na kortach uniwersytetu w Sydney. Podkreślam to, ponieważ zdumiewające, paradoksalne jest to - muszę jeszcze raz podkreślić - że Vernon jest wprost niesamowitym...

W następnym tygodniu Listen przyłączyła się do nowej grupy, grupy Angeli Saville, i przez cały poniedziałek oraz wtorek siedziała z nimi i zadawała pytania. Na przykład pytała po kolei dziewczynki, co robiły podczas weekendu, czy oglądały wczoraj film Nikolaiem Valerio, czy im się podobał, itd., itp. Słuchała uważnie ich odpowiedzi.

W środę zamówiła drugie śniadanie w przyszkolnym sklepiku. Przysłano je w koszyku, w brązowej papierowej torbie z jej nazwiskiem: LISTEN TAYLOR. KLASA

VIIA. Był to pasztecik z nadzieniem z mięsa i warzyw, gorący i wilgotny, oraz puszka sprite'a i czekoladka Fredo Frog.

Papierowa torba była tłusta i wypchana, Listen trzymała ją za zmarszczone zagięcie u góry, niosąc ją za balustradą galeryjki siódmej klasy. Na trawniku rozlokowały się grupki dziewcząt.

Zauważyła Angelę Saville w otoczeniu koleżanek i ruszyła do nich przez trawnik, uśmiechając się z daleka. Reakcja była dziwna. Angela i inne dziewczęta zobaczyły, że się zbliża. Spuściły głowy, wymieniając przebiegłe spojrzenia.

Gdy Listen znalazła się bliżej, dostrzegła, że krąg jest idealny i zwarty. Przystanęła. Nie podeszła do nich.

Stała na trawniku wśród wianuszków dziewcząt, czując się przez moment jak świąteczna choinka, z której opadają igły, tkwiąca jak zawalidroga pośrodku pokoju, chociaż Gwiazdka minęła już kilka tygodni temu. Jednocześnie rzucała się w oczy i była niewidzialna. Pomyślała, że kolorowe lampki migoczą wzdłuż jej nóg i zwisają wokół talii. Jej ramiona były niczym gałęzie, obwieszone rdzewiejącymi świecidełkami, na włosach dyndały sznury stęchłej kukurydzy.

Szanowny Panie!

Piszę, by zaktualizować posiadane przez Pana informacje.

Dzisiaj jest środa i, zgodnie z planem, miałam drugą przygodę miłosną z inżynierem lotnictwa.

Zdarzyły się trzy rzeczy, które są warte odnotowania.

Po pierwsze, kiedy I.L. przybył na uniwersyteckie korty, wspomniał, że przeczytał Madame Bovary w oryginale. „Do prawdy?” - zdziwiłam się. „Tak” - odpowiedział.

Po drugie, w połowie pierwszego gema I.L. przerwał grę i zdjął prawą tenisówkę oraz skarpetkę, żeby obejrzeć pęcherz. Pęcherz był tak fatalny, że I.L. musiał oderwać skarpetkę, od stopy. To było obrzydliwe. Zauważyłam, że ma okropnie owłosione palce u nóg.

Po trzecie i może najważniejsze, gdy już zakleił pęcherz plastrem i włożył z powrotem skarpetkę i but (i zawiązał sznurrowadło), wstał, odwrócił się do mnie i spytał: „Chcesz pojechać do mnie i, no wiesz, trochę się zabawić?”

Zabawić się!

„Mam chłopaka!” - odparłam.

Wzruszył ramionami. Nie jestem pewna, czy miało to oznaczać: „No to co?” - odnośnie do tego, że mam chłopaka, czy też: „No cóż, trudno” - odnośnie do tego, że nie chcę się zabawić.

Cokolwiek to miało oznaczać, zagraliśmy seta, przegrałam do zera, a potem, oczywiście, wróciłam do pracy.

Z poważaniem,

Marbie Zing

W następnym tygodniu Listen była wartowniczką.

Na większości lekcji udawało jej się znaleźć miejsca z daleka od Donny i innych, ale podczas zajęć w pracowni fizyczno-chemicznej nie wolno im było zmieniać ławek. Nadal więc musiała siedzieć z Donna i Caro, a gdy robiły wspólnie doświadczenia, koleżanki były bardzo uprzejme.

Podczas przerwy śniadaniowej wystawała pod drzwiami przyszkolnego sklepiku niczym wartowniczką. Wspinała się na czubki palców, badając wzrokiem tłum przy bufecie. Gdzie są moje przyjaciółki? - mówiła jej mina. Dlaczego tak powoli? Musiała rozpakować swoją kanpkę z pastą Yegemite i zjeść ją, przez cały czas obser-

wując i strzegąc drzwi. W końcu, gdy skończyła kanapkę, poddała się i poszła do biblioteki, gdzie siedziała, dopóki nie rozległ się dzwonek obwieszczający koniec przerwy.

Szanowny Panie!

Czy mogę być szczerą? Mam kompletnie po dziurki w nosie tenisa. Jestem w nim beznadziejna. Jak Pan myśli, co powinniśmy zrobić? Może zagrać w sausha lub w ogóle przestawić się na coś innego? Może nasza przygoda powinna mieć inny entourage? Może powinniśmy się wybrać na kolację lub do zoo? Tyle że ja nie cierpię zoo. Jest tam tak dużo zwierząt.

Od czasu gdy ostatnio pisałam, spotkaliśmy się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem na korcie tenisowym, i wynik był zawsze taki sam - 6:0, 6:0.

Pamięta Pan, że mój inżynier lotnictwa zaproponował, byśmy „się zabawili”? I pamięta Pan, jak dzielnie odmówiłam?

Cóż, od czasu gdy mu dałam odprawę, nigdy więcej o tym nawet nie napomknął. W dalszym ciągu przewidywałam, jakim tonem mu odpowiem (pełnym dezaprobaty; poirytowanym, lecz uprzejmym; rozdrażnionym, choć lekko rozbawionym; i tak dalej), ale wszystko na nic.

Dlaczego nie zadał mi jeszcze raz tego pytania? Sądzi Pan, że stracił zainteresowanie? A skoro tak, to dlaczego zaprasza mnie nadal na tenisa? Nie może chodzić mu o grę.

Z poważaniem,

Marbie Zing

- Myślisz, że powinniśmy się martwić, iż Listen nie opowiada teraz o szkole?

- Nie - odparł Vernon, podając zupę. - Zawsze była nieskora do rozmowy.

- Przy mnie nie jest milcząca - zaprzeczyła Marbie.
- Zazwyczaj. Ani przy mojej rodzinie.

- Cóż, być może jutro, kiedy cała rodzina zbierze się tutaj na urodzinach Cassie, Listen znowu zacznie mówić - rzekł Vernon.

- Pamiętasz jej pierwszy tydzień w siódmej klasie? Nie przestawała trąkotać - zauważyła nostalgicznie Marbie. - Pamiętasz? Opowiadała o nauczycielu geografii, który biegał dookoła sali, udając, że jest monsunowym wiatrem, i o nauczycielce biologii, która kazała im kroić żaby, a Caro powiedziała, że mama napisze jej usprawiedliwienie, by nie musiała tego robić, na co nauczycielka stwierdziła, że usprawiedliwienia się nie liczą, jednakże Caro obstawała przy tym, iż zawsze się liczą, a nauczycielka burknęła: „Czy ty...?”

W tym momencie weszła Listen i usiadła przy stole, mówiąc:

- Super, zupa dyniowa.

- Czytałeś *Madame Bovary*? - bez zająknięcia spytała Marbie Vernona. - W oryginale?

- Nie - odparł Vernon. - Widziałem tylko film.

-Ja czytałam książkę *Chanie i fabryka czekolady* - oznajmiła Listen. - Ale nie widziałam filmu.

- Nie widziałaś filmu! - wykrzyknęli chórem Vernon i Marbie, a Vernon odtańczył na rękach wokół stołu rytualny taniec mający sprowadzić deszcz.

Zadzwoił telefon i Vernon włączył do tańca odebranie go i rozmawiał, nadal odwrócony głową, w dół.

-Tak... tak, tutaj mieszka Listen Taylor, proszę pozwolić, że... w porządku, jasne, skąd pan dzwoni...? Z Kenthurst, szkoła... doprawdy? Aha. Aha. Zapisała się? Cóż, nic nie... to znaczy oczywiście! Bardzo mi przykro. Wie pan co? Za pięć minut do pana oddzwonię. Dobrze. Może mi pan podać swój numer? Tak jest, tak jest, na pewno zadzwonię.

Zapisał numer na odwrocie rachunku za prąd, który wyciągnął spod magnesu na lodówce, a następnie stanął z powrotem na nogach i odłożył słuchawkę.

- Hej, Listen - powiedział, siadając przy stole.
- Dlaczego nic nam nie mówiłaś, że chcesz trenować taekwondo?

- Ponieważ wcale nie chcę trenować taekwondo.
- Listen odgryzła kawałek bułki.

- Hm, facet, który właśnie dzwonił, twierdzi, że parę tygodni temu zapisałaś się do niego na zajęcia, a następnie po dziesięciu minutach zadzwoniłaś ponownie i zrezygnowałaś.

Oboje z Marbie patrzyli na Listen. Zanurzyła bułeczkę w zupie z dyni, studiując ją uważnie, po czym podniosła głowę i widząc, że jest obserwowana, spytała:

- Co?

- Czy to mogła być jakaś inna Listen Taylor? - zasugerowała Marbie. - Jest ich bez wątpienia całe multum. Listen to bardzo pospolite imię.

- Dobra, zamknij się. Masz gadane, Marbie Zing. Chciałam trenować taekwondo, a potem mi się odwidziało. Zmieniłam zdanie.

- W ciągu dziesięciu minut!

- Stwierdziłam, że to za droga impreza. Posłuchajcie, czy mam przetrzeć papierem ściernym szafki kuchenne? Przygotować je do malowania?

- Nie zmieniaj tematu. Vernon, oddzwon do tego faceta i zapisz Listen na jego zajęcia.

- A jak myślisz, co właśnie robię? - odparł Vernon, sięgając po telefon.

- Och nie, nie rób tego. Zmieniłam zdanie. Poważnie nie chcę uczęszczać na zajęcia taekwondo. Wystarczy nam papieru ściernego?

- Za droga impreza! - wykrzyknęła z oburzeniem Marbie. - Listen! Musisz robić wszystko, na co masz

ochotę. Powinnaś uczyć się portugalskiego, mechaniki samochodowej, ręcznej produkcji świec i zdecydowanie taekwondo! Kiedy Fancy była w twoim wieku, uczyła się gry na perkusji i teraz jest znacznie bardziej interesującą osobą ode mnie! Ponieważ ja nie gram na perkusji! Pieniądze nie grają roli, gdy w grę wchodzi zainteresowania! Chcesz się uczyć grać na perkusji?

- Cóż, mnie naprawdę nie interesuje...

- Ćśś, Listen, Vernon dzwoni.

- Nie musisz znowu stawać na rękach, Vernon.

- Czy to szkoła taekwondo w Kenthurst? Tak, przed chwilą rozmawialiśmy. Mam dla pana nową uczennicę! Wiem. Wiem! Wiem.

Szanowny Panie!

Minęła północ, a ja nie mogę zasnąć, leżę, przypatrując się Vernonowi i myśląc, jaki dobry jest dla swojej młodszej siostrzyczki. Dręczy mnie również myśl, że nigdy nie widziałam filmu Madame Bovary, nie mówiąc już o tym, że nie czytałam książki.

No i oczywiście musi pan wiedzieć, że nie mówiłam poważnie. Nie wdałam się w żaden romans. Grałam tylko w tenisa z nieznajomym cztery czy pięć razy. Absolutnie nic nieznaczącym nieznajomym. I pytał, czy chcę się z nim zabawić, ale być może chodziło mu o PlayStation.

Jedynym powodem, dla którego nazwałam to „romansem”, był fakt, że nie powiedziałam o tenisie Vernonowi. Lecz paradoksalnie, NIE powiedziałam o tym Vernonowi, ponieważ NIE jest to romans. Nie jest to nic, kompletnie nic, i może ja po prostu szukam przygody.

Jutro Vernon i Listen mają przez cały dzień zajmować się przygotowaniami do urodzinowego przyjęcia Cassie. I wiem, że Yernon uważa, iż Rodzinny Sekret Zingów jest niebezpiecz-

ny i godny potępienia, mimo to akceptuje tę część mojego życia i zjawia się w domu moich rodziców w każdy piątkowy wieczór, co więcej, jest bardziej punktualny ode mnie.

I nie uwierzy Pan, właśnie się obudził i zapytał, czy dobrze się czuję i czy nie mogę zasnąć. I czy nie wybralibyśmy się popływać na basenie w liceum Bellbird. Zaproponował mi to, chociaż jest przeziębiony i musi wstać wcześniej do pracy.

Powiedziałam, że piszę list do redaktora, a on pocałował mnie w łokieć.

Nigdy nie zrobię nic z I.L. poza grą w tenisa.

Postanowiłam, że więcej się z nim nie spotkam.

Z poważaniem,

Marbie Zing

przyjęcie urodzinowe Cassie

Dzieci z sąsiedztwa skakały na ulicy przez skakan-
kę. Od czasu do czasu przerywały zabawę, gdyż asfalt był
zbyt rozgrzany od słońca i jedno czy drugie dziecko nie
mogło wytrzymać, zaczynało krzyczeć i skakać na jednej
nodze, dopóki jakieś inne nie połało mu poparzonych po-
deszew wodą z węża ogrodowego. Wtedy zabawa zaczy-
nała się od nowa.

Po drugiej stronie ulicy Marbie mruknęła: „Hmm”,
Vernon pociągnął łyk piwa, a Listen pokręciła głową
i powiedziała: „Dlaczego nie mają butów?” Wszyscy troje
siedzieli obok siebie na frontowej werandzie, czekając na
urodzinowych gości.

- Gdyby ten podjazd od frontu należał do nas
- odezwała się Marbie - a nie do całego budynku miesz-
kalnego, co byście z nim zrobili?

- Ja założyłabym staw z kaczkami - odparła Listen.
- 1 pastwisko dla łagodnych koni.

- Ja zbudowałbym uniwersytet - rzekł Vernon. - By
kształcić okoliczną młodzież.

Nadjechały dwa samochody z gośćmi i dzieci z są-
siedztwa musiały ustąpić z drogi.

- Popatrzcie no tylko! - zawołała babcia Zing, zwa-
wo wyskakując z pierwszego samochodu. - Przyjechaliś-
my wszyscy naraz!

Dziadek Zing wysiadł stateczniej i przywitał się kolejno z gospodarzami.

- Jesteśmy! - wykrzyknęła Fancy, gramoląc się z drugiego samochodu. - A z nami dzisiejsza jubilatka!

Jubilatka otworzyła tylne drzwi, krzywiąc usta w uśmiechu i starając się mieć luzacką minę. Wysiadła, otrzepując sukienkę.

- WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, CASSIE! - wzniesli okrzyk Vernon, Marbie, Listen i babcia Zing, a Cassie popatrzyła na nich z promiennym uśmiechem.

- Przyjechała ze mną Lucinda - przypomniała, na co wszyscy westchnęli głośno: „Och!”, gdy jeszcze jedna mała dziewczynka wynurzyła się z samochodu.

- Co robi Radcliffe? - spytała babcia Zing, zaglądając przez szybę do samochodu Fancy. - Dlaczego on wciąż tam siedzi? Radcliffe! Co ty tam robisz?

- Próbuje rozgryźć klimatyzacj'ę - wyjaśniła Fancy. - Nie potrafił jej włączyć.

- Fancy, kochanie, dzisiaj jest dobry moment, między siódmą a dziesiątą. Mam nowy kod. Schowałam go pod miętą.

- Świetnie - odrzekła Fancy, ale matka już się odwróciła i stuknęła kluczykami w szybę samochodu.

- Za późno, Radcliffe! - zawołała. - Teraz jesteś tutaj!

W salonie wszyscy zgodnie zachwycali się wielkimi różnokolorowymi poduchami do siedzenia oraz smakołykami ustawionymi na stole. Były tam banany w cieście, banany w czekoladzie, tarty bananowe, chlebek bananowy, babeczki beżowe z bananami i bitą śmietaną oraz dzbany koktajlu mleczno-bananowego. Stała tam również duża misa z ponczem, w którym pływały truśkawki i plasterki bananów.

-Spójrzcie na te wszystkie truskawki w ponczu!
- wykrzyknęła babcia Zing. - Wiesz, Cassie, że omal nie zapomniałam przywieźć twoich prezentów? Możesz to sobie wyobrazić?

- Raczej nie - odparła Cassie.

- Wasze mieszkanie jest fantastyczne - powiedziała Fancy.

- Mieszkanie z wyjściem do ogródka to taki wspaniały wynalazek! - oznajmiła babcia Zing.

-Jaki macie system alarmowy? - dociekał Radcliffe.

- Czy tu jest łazienka? - spytała grzecznie przyjaciółka Cassie, Lucinda.

- Czy służby od zwalczania insektów przeprowadziły u was kontrolę? - zaniepokoił się Radcliffe.

- To, na co patrzysz, Radcliffe, nie jest sprawką termitów - wyjaśnił dziadek Zing. - To normalne zużycie.

- Prawda, jak ładnie to wymyślili? - zachwycała się babcia Zing. - Schowali wszystkie kontakty pod srebrnymi osłonkami. Czy nie miły akcent?

-1 kapitałnie pomalowane ściany - rzekł Radcliffe.

- Zatrudniliście fachowca czy...?

-O ile dobrze pamiętam - przerwała mu Cassie - to nie jest wyłącznie parapetówka, lecz głównie przyjęcie urodzinowe.

Gdy już Cassie rozpakowała prezenty, wszyscy dokładnie obejrżeli mieszkanie, kilkakrotnie ustalając, że: w budynku jest sześć lokali; ten znajduje się na parterze; prawie skończyli odnawianie; a Marbie tylko żartowała, mówiąc, że chcą wyburzyć zewnętrzną ścianę łazienki i kąpać się na świeżym powietrzu. Potem Cassie zaproponowała, żeby zagrali w głuchy telefon.

Zagrali w głuchy telefon, krzesła do wynajęcia i „przypnij ogon osiołkowi”, którym został dziadek Zing.

Cassie namalowała do tego celu portret dziadka Zing, a dziadek Zing potrafił przegrywać na wesoło.

Później usiedli, zdyszani po kolejnych grach, i zjedli bananowe smakołyki.

- Za nic nie uda mi się wstać z tej poduchy - mówiła od czasu do czasu babcia Zing.

Vernon zaprowadził Radcliffe'a i dziadka Zinga na dach budynku, żeby zobaczyli, gdzie wychodzą przewody wentylacyjne klimatyzacji. Babcia Zing przypomniała sobie, że zostawiła w samochodzie prezent na parapetówkę, i wróciła stamtąd z fikusem. Fancy również przypomniała sobie o prezencie i wróciła z samochodu z shakerem. Marbie podlała drzewko, a Fancy przygotowała koktajle. Zmieszała wódkę, wermut, sok jabłkowy i trochę startego jabłka, a następnie ozdobiła brzeg każdej szklanki spiralnie zwiniętą skórką jabłka.

- Spójrzcie - powiedziała, niosąc ostrożnie szklanki, żeby nie wychłapać ich zawartości. - Wynałazłam jabłkowe martini.

Listen zabrała Cassie i Lucindę do swojej sypialni, żeby zagrały w nową grę Cassie, Valerio Rock. Każdy kolejno komponuje melodię na keyboardzie, śpiewa do mikrofonu, następnie czeka, aż gra sama doda perkusję oraz chórki, i przez chwilę jest gwiazdą rocka. Potem gra staje się bardziej skomplikowana i trzeba tworzyć słowa, odgrywać pantomimę, rysować oraz robić różne hokus-pokus.

- Zaczekajcie momencik - poprosiła Cassie. Pobiegła do salonu, gdzie oznajmiła wszystkim: - Listen tak przepięknie tańczy! - po czym wróciła biegiem do sypialni. - Tańcz dalej, Listen - poleciła - dopóki tu nie przyjdą i nie zobaczą.

W głównej sypialni babcia Zing podziwiała zasłony, po czym zdjęła je, by przeszyć brzegi.

Dziewczynki zakończyły grę Valerio Rock.

- Cassie, leci ci krew z nosa - zauważyła Listen.

- Zaraz przestanie - odparła Cassie. - To z upału.

- Trzeba jej dać chusteczkę - odpowiedziała Lucinda - a ja muszę przyłożyć jej klucz do karku.

Listen podała Cassie chusteczkę i klucz od drzwi wejściowych, zostawiając dziewczęta, by zajęły się krwawiącym nosem.

W salonie Marbie włączyła płytę Red Hot Chili Peppers i poprosiła Listen, by nauczyła Fancy tańczyć. Listen podskakiwała w rytm muzyki, potrząsając szaleńczo głową, a Fancy posłusznie powtarzała te ruchy.

Dziadek Zing i Radcliffe wycofali się cicho na werandę.

W łazience Cassie, pochylona nad wanną, pozwałała, by krew płynęła jej z nosa. Próbowiła napisać swoje imię, ale wychodziło tylko: kap... kap... kap..., każda kropla ściekała w innym kierunku.

Lucinda siedziała na brzegu wanny, przykładając klucz do karku Cassie i przyglądając się z zainteresowaniem kropelkom krwi. Co pewien czas odkręcała kran i splukiwała krew.

Później babcia Zing wypytywała Listen, co myśli o swojej nowej szkole i czy ma jakieś nowe przyjaciółki.

- Ona lubi swoje stare przyjaciółki, prawda, Listen? - rzekł czule Vernon, kiedy Listen się zawahała. - Opowiedz wszystkim o swoich nauczycielach, Listen. Ma w zanadrzu kilka zabawnych historyjek.

- Cóż - wycedziła Listen. - Jest nauczyciel technologii żywienia, który nauczył nas robić lamingtony*. To nie jest zabawna historia, ale mogłabym teraz kilka upiec.
- Szła tyłem do kuchni.

- Ale potrzebne ci będą jajka? - spytała Marbie.
- Bo zużyłam wszystkie do beżowych babeczek.

- Tak. - Listen znów się zawahała. - Będą mi potrzebne.

Fancy spojrzała na zegarek.

- Ojej - jęknęła. - Już ósma. Chodźmy do pobliskiego sklepiku i kupmy parę jajek dla Listen. Marbie?

- Przez ten czas, kiedy ich nie będzie, opowiedz nam o drugiej klasie, Cassie - poprosiła babcia Zing.
- Jak tam twoja nowa nauczycielka, kochanie? Co o niej sądzisz?

- Ja wolę pana Woodforda od naszej nauczycielki - wtrąciła Lucinda. - On uczy w równoległej drugiej klasie. I jest bardzo zabawny. Wolałabym chodzić do jego klasy.

- Doprawdy? - Babcia Zing przyjrzała się Lucindzie, a następnie odwróciła się do Cassie.

- Ja lubię moją nauczycielkę - oświadczyła Cassie.
- Jest miła.

- Zuch dziewczynka - ucieszyła się babcia Zing.
- Chodź tutaj i uściskaj mnie.

Cassie uściskała babcię.

- To chwilę potrwa, dobrze? - powiedziała Fancy, wyjmując z torebki czarny szyfonowy szal. - Ponieważ będziemy chyba musiały pójść po jajka do Baulkham Hills, prawda, Marbie?

- Tak myślę - zgodziła się Marbie.

- Uważajcie, dobrze? - rzekł Vernon, sięgając po garść fistaszków.

* Lamingtons - australijski przysmak: kostki ciasta biszkoptowego nasączone czekoladą i oproszone wiórkami kokosowymi.

-Tam, za tym kombi - pokazała Fancy i Marbie zjechała na bok.

- Masz to? - spytała.

- Jest w moim szalu.

- A nowy kod?

- Podobno jest pod miętą. - Fancy otworzyła tylne drzwi i sięgnęła do wiklinowego kosza. - Mam.

Dogoniła siostrę.

- Ostateczny sprawdzian - rzekła Marbie, wyjmując pager i wystukując numer. Szły obok siebie, dopóki kot w kieszeni Marbie nie miauknął cicho. - O to chodzi - powiedziała. - Wszystko gra?

- No pewnie - odparła Fancy i rozdzieliły się.

Fancy odeszła na pewną odległość. Jej kolczyki skrzyły się w blasku księżyca.

Gdy Fancy i Marbie wróciły, Lucinda spała na kolorowej poduszce.

-Jesteśmy - zawołała Fancy, otwierając frontowe drzwi.

- W porządku? - spytał Radcliffe.

- W porządku - potwierdziła Fancy.

Listen wyciągnęła rękę po jajka.

balon wypełniony gorącym powietrzem

W czasie kiedy Maude leżała przez kilka tygodni w łóżku, strata i cierpienie wplotły się w jej życie. Złamane serca, pęcherze, skaleczenia, oparzenia. Ziarnka piasku przesypywały się w klepsydrze. Była do nich przyzwyczajona. Ale w wąskim kanalikule łączącym dwa szklane stożkowe naczynia utkwił ostry kamyk, zatykając przepływ. Nie ma czasu, brakuje oddechu, jest tylko monolityczny ból utrzymujący wszystko w bezruchu. Gdyby tak mogła potrząsnąć klepsydrą, uwolnić kamyk, pozbyć się bólu, tak jak straciła tamto życie.

Od czasu do czasu uciekała w snach od klepsydry do gondoli balonu wypełnionego gorącym powietrzem. Ale wtedy mogła wyłącznie przyglądać się bezradnie, jak odwrócony spadochron wypada z gondoli i rozbija się o ziemię.

Działo się to w wiele lat po tym, jak po raz pierwszy usłyszała historię o malarzu akwareliście.

Cath Murphy

W szkole podstawowej Redwood wszyscy doskonale wiedzieli, że Warren ma żonę na wybrzeżu. On po prostu nie wspominał o tym, zwłaszcza Cath.

Prawdę mówiąc, przez kilka tygodni po wizycie w klubie Borrowed Cat Cath miała wrażenie, że „żona Warrena, Breanna”, była tematem nieustannych rozmów w Redwood, nawet wśród jej przyjaciółek. Na przykład Suzanne mówiła do Lenny: „Co robisz w ten weekend, Len?“, na co Lenny odpowiadała: „Chyba pojedę na północ, na wybrzeże, do Terrigal”. Na co z kolei Suzanne wykrzykiwała: „Terrigal! Czy to nie tam mieszka żona Warrena, Breanna?” Którą to informację Lenny natychmiast prostowała: „Nie, żona Warrena, Breanna, mieszka w Avoca. To po sąsiedzku”.

Albo pan Bel Castro (nauczyciel, klasa piąta A) mówił: „Te bułeczki drożdżowe są pyszne!”, na co panna Waratah (nauczycielka, klasa czwarta C) odpowiadała: „Och dziękuję! Upiekłam je według przepisu żony Warrena, Breanny!”, a pan Bel Castro wołał: „O rety!”

Tak to wyglądało dla Cath przez kilka tygodni po wieczorze w Borrowed Cat. „Żona Warrena, Breanna” było niczym jedno z tych nowych wyrażen, których się

uczysz, a potem odkrywasz, że przewija się bez przerwy przez twoje życie.

Oczywiście, tamtego wieczoru w Borrowed Cat dowiedziała się jedynie, że Warren trzymał w tajemnicy fakt posiadania żony, a następnie ni stąd, ni zowąd radośnie wyskoczył z tą rewelacją niczym Filip z konopi. Jadąc po południu do domu, poczuła nagłe przerażenie na myśl, jaka była głupia. Następnie zaczerwieńiła się gwałtownie z odrazy do samej siebie, gdy uświadomiła sobie, jak BARDZO, BARDZO BYŁA GŁUPIA.

Rumieniec nie schodził z jej twarzy przez całą drogę do domu i stał się jeszcze intensywniejszy, gdy zobaczyła swoją ulubioną suknię, starannie rozłożoną na desce do prasowania, jak również naszyjnik z czarnych opali, figlarnie przewieszony przez uchwyt lodówki, co miało jej przypomnieć, by go włożyła. Otworzyła lodówkę i trzasnęła drzwiami tak mocno, że cała kuchnia się zatrzęsała.

Potem otworzyła lodówkę po raz drugi i nalała sobie szklanekę soku jabłkowego, by się uspokoić. Jest żona ty. I co z tego? Wielka rzecz. Powędrowała niespokojnie do jadalni, gdzie tupnęła nogą i chlusnęła sokiem w okno. Spłynął po szybie, zamazując jej odbicie.

Na zajęciach z prawa oczy zaszklily jej się łzami. Uświadomiła sobie, rysując małe esy-floresy w swoim notatniku, że dziś wieczorem nie będzie nieśmiały, znaczących spojrzeń ani rozmów w bluesowym stylu. Nie! Będzie Warren-i-jego-żona-Breanna. Będą siedzieli naprzeciwko niej, trzymając się za ręce.

Właściwie, gdy się teraz nad tym zastanowiła, to będzie więcej niż Warren-i-jego-żona. To będzie cała paczka!

„Wpadnij - napisał na swoim teście podczas poniedziałkowego apelu. - Przyjdź posłuchać Carotid

Sticks. Poznasz tam sympatyczne grono moich przyjaciół, a wśród nich moją żonę!"

To właśnie miał na myśli. Było to tak oczywiste, że łyżją oślepiły, zabrakło jej oddechu. Wykładowca, doktor Carmichael, pochylił się ku niej ze swego pulpitu, omal nie gubiąc turbanu.

Była pewna, że przyjaciele Warrena wstaną hałaśliwie, gdy wejdzie do klubu, zabręczą ich popielniczki i szklanki z drinkami. Będzie tam drobna kobieta w bluzce z dużym kołnierzem, która przełoży papierośsa do lewej ręki i uśmiechnie się do Cath, mrużąc oczy od dymu. Za nią podejda dwaj mężczyźni w sztruksach, obaj powiedzą jej „cześć” w żartobliwy, przyjazny sposób. Nieco później zjawi się zadyszana żona Warrena, Breanna, prosto z pociągu z wybrzeża.

Gdy Cath dotarła do Borrowed Cat, była wściekła na Warrena i jego paczkę. „Nie dmuchaj mi dymem w twarz” - rozkazała ze złością, otwierając drzwi. „Skąd te, sztruksy, chłopcy?” - parsknęła, gdy kelnerka podeszła, by ją przywitać.

Klub Borrowed Cat mieścił się w piwnicy. Niespodziewane światło reflektora przesunęło się po sali, lecz na ogół migotał jak przysłonięta abażurem świeca. Kelnerka zaprowadziła Cath do narożnego stolika, gdzie siedział Warren. Sam.

Cath uśmiechnęła się do niego zjadliwie, wieloznacznie, na co on rozpromienił się, wyciągając ramiona w powitalnym geście i radośnie szczerząc do niej olśniewająco białe zęby.

- Nie spóźniłaś się ani trochę! - powiedział.
- Owszem, spóźniłam się piętnaście minut.
- Nie szkodzi, zaczną dopiero za jakąś godzinę - uspokoił ją.

- A gdzie twoja żona Breanna? - spytała ironicznie.
- I cała reszta?

- Nikogo nie ma - rzekł przeproszającym tonem.
- A Bree właśnie dzwoniła. Nie uda jej się przyjechać i jest bardzo zawiedziona. Chciała cię poznać. Prosiła, żeby cię pozdrowić.

Cath była tak zaszokowana, że usiadła i wyrwała Warrenowi z rąk kartę dań.

Tamtego wieczoru ich kolana kilkakrotnie zetknęły się pod stołem i Cath za każdym razem odsuwała się gwałtownie. Lekko myśląco wypijała dzbanek sangrii i ulepiła małego potworka z bułki Warrena, tak że nie mógł jej zjeść. Zrelacjonowała mu również fakty z kilku spraw o brutalne morderstwa, przez cały czas patrząc na niego spod łba i piorunując go wzrokiem, on tymczasem słuchał pochylony ku niej, zachwycony.

Kiedy zespół Carotid Sticks zaczął grać, Cath obróciła się z krzesłem, żeby ich widzieć, i zasnęła oparta o ramię Warrena.

, Gdy się obudziła, powiedziała mu, że zespół jest do dupy, a nigdy nie używała tego słowa.

- Zgodziłam się przyjść wyłącznie dlatego, że myślałam, iż chodzi o Clotted Creams.

Wybuchnął głośnym śmiechem i zaproponował, by wybrali się na występ Clotted Creams innym razem.

- Nie - odparła - ponieważ masz kościste, niewygodne ramię i udało mi się zdrzemnąć zaledwie przez chwilę.

Znów wybuchnął śmiechem, po czym szczerze ją przeprosił.

Podczas gdy zespół zbierał instrumenty, Cath zadawała mnóstwo ironicznych pytań dotyczących jego żony. Czym się zajmuje? Och, a dlaczego mieszka na wybrzeżu? Aha, a gdzie się spotkali?

Żona była psychologiem i miała trudności ze znalezieniem pracy w Sydney, toteż mieszkała w ciągu tygodnia na wybrzeżu. Prowadziła tam poradnictwo małżeńskie. Poznali się przez przyjaciół czy w jakiś równie nieciekawym sposób. Breanna miała tego dnia spotkanie w późnych godzinach i przyjedzie jutro wczesnym pociągiem. Zwykle przyjeżdża w piątki pociągiem o siódmej pięćdziesiąt trzy wieczorem.

- Aha - pokiwała głową Cath - o siódmej pięćdziesiąt trzy. - Czuła się wspaniale złośliwa.

Nazajutrz, w niedzielę, była w tak złośliwym i mściwym nastroju, że zadzwoniła do Suzanne i odwołała ich wypad do kina. Ale Suzanne oddzwoniła po kilku minutach, mówiąc, że tak bardzo czekała na wieczór bez dzieci, jej mąż był gotów się nimi zająć, a w odtwarzaczu DVD czekał już film *Gdzie jest Nemo!* toteż Cath zgodziła się i przesiadła cały film z półprzymkniętymi oczami, wbijając paznokcie w dłonie i wyobrażając sobie, że jest to twarz Warrena. Siedząca obok niej Suzanne chrupała czekoladowy batonik.

Ale w następnym tygodniu, w szkole, Cath odkryła, że wszyscy wiedzą o istnieniu żony, i poczuła skruchę. To nie była wina Warrena. Z pewnością zakładał, że Cath wie o tym, iż jest żonaty! Po prostu nie rozmawiał z nią o Breannie.

Pogoda nieco się zmieniła - słońce świeciło ostrożnie i powściągliwie, powietrze nabrało pełnego dezaprobaty chłodu. Cath chodziła w kardiganach, osowiała, ukrywając uczucie poniżenia.

Wobec Warrena była łagodna i uprzejma, jak gdyby dowiedziała się raczej, że cierpi na śmiertelną chorobę, niż że ma żonę. Czasami próbował ją rozruszać, na przykład biegając w miejscu na boisku i krzycząc: „Cath! Co się dzieje z moimi nogami? Poruszają się zbyt szyb-

ko!" Ale Cath tylko uśmiechała się smętnie i szła dalej, tymczasem dzieci niemal wpadały w histerię ze śmiechu. Niektóre chwytaly Warrena za kolana, by pomóc mu się zatrzymać.

Często spoglądał na nią ze zdziwieniem, rozczarowany, jakby chciał spytać: „Co się stało z moją przyjaciółką?”

Ale on jest żonaty! - płakała w środku nocy. Jak mogę być nadal jego przyjaciółką? Jednocześnie ona też rozmyślała o tym, co się stało z ich przyjaźnią. Mogła tak zwyczajnie się skończyć?

Zbiegiem okoliczności po jednej z takich bezsen-nych nocy Cath była na wykładzie z prawa na temat:

Zasady ustawowej interpretacji. Wykład pierwszy

Zawsze zaczynała swoje notatki od emfaticznego nagłówka. Zaczynaj tak, jak zamierzasz kontynuować. Jednakże po chwili głos wykładowcy odpływał, obierając własną krętą drogę, a ona robiła notatki coraz sennie. Dzisiaj słuchała uważnie, przynajmniej pierwszej zasady ustawowej interpretacji.

Generalia specialibus non derogant: jeśli po akcie szczególnym następuje akt ogólny, akt szczególny pozostaje wyjątkiem od ogólnej zasady.

Doktor Carmichael wyjaśnił:

- Oto przykład. Dajmy na to, że parlament uchwała ustawę o ochronie świń. Zgodnie z nią wszystkie świny domowe mają być ufarbowane na krzykliwy odcień oranżu.

Umilkł, lecz na zajęciach z prawa nikt się nie śmiał.

Na przykład, zapisała Cath w swoich notatkach, ustawa o ochronie świń. Trzeba farbować świny na pomarańczowo.

-A miesiąc później - mówił dalej doktor Carmichael - parlament uchwała ustawę o ochronie zwierząt, która wymaga, by wszystkie zwierzęta domowe zostały ufarbowane na niebiesko. Dobrze, dajmy na to, że macie świnię. Na jaki kolor ufarbujecie swoją świnię?

I m-c później, zanotowała Cath. Ustawa o ochronie zwierząt. Trzeba farbować zwierzęta na niebiesko. Trzymała długopis w gotowości, czekając na podpowiedź wykładowcy.

- No, słucham, słucham - rzekł doktor Carmichael, rozglądając się po sali. - Spróbujcie zgadnąć! Czy ufarbujemy naszą świnię na pomarańczowo, czy na niebiesko?

Zapytaj świnię, pomyślała Cath, który kolor woli.

- Na pomarańczowo - sam sobie odpowiedział doktor Carmichael. - Musicie ufarbować świnię na pomarańczowo.

Ufarbuj świnię na pomarańczowo, zapisała Cath i narysowała małą świnkę.

-Widzicie? - Doktor Carmichael miał jasnoniebieskie oczy, a spod turbanu wymykały mu się kosmyki pomarańczowych włosów. - Pierwszy akt był szczególny, toteż pozostaje wyjątkiem od drugiego. Wasze psy, koty i żółwie muszą być niebieskie, ale wasza świnia ma pozostać pomarańczowa.

W tym momencie zapiski Cath urwały się na niedokończonych słowach - *pies, kot, żółw, nieb.* Następnie napisała: *Chyba w ogóle nie należy farbować świni na żaden kolor?*

Otoczyła kółkiem znak zapytania, po czym dorysowała płatki. Płatki sprawiły, że pomyślała o Warrenie. Kupiliśmy wspólnie opiekacz do chleba, wspomniała ze smutkiem. Skoro nie ma szans na romans, dlaczego nie może to być chociaż przyjaźń?

Wiedziała jednak, że ten mały szczególny akt, zakup opiekacza do chleba, został usunięty na drugi plan

przez jego komunikat: „Moja żona”. Nigdy już nie będzie mogła się z nim zaprzyjaźnić.

Generalia specialibus non derogant.

Aha! - uświadomiła sobie Cath z nagłym biciem serca: jeśli po akcie szczególnym następuje akt ogólny, akt szczególny pozostaje wyjątkiem od ogólnego! Czyli wszystko jest w porządku! Twarz jej płonęła. Opiekacz do chleba się liczy. Jest wyjątkiem od żony.

Cath z ulgą wróciła więc do żartobliwego zachowania wobec Warrena, a on chyba również odczuwał ulgę, że wszystko jest tak jak przedtem. Znowu pili cafe latte na wynos, a czasami gorącą czekoladę z syropem słazowym. Spędzali też mnóstwo czasu, klęcząc przed grzejnikiem w pokoju nauczycielskim i próbując go podkręcić.

Ponieważ od początku ich „opiekaczowej” przyjaźni nigdy nie poruszali w rozmowie tematu żony, Cath nie robiła tego i teraz. Podobnie Warren.

Pewnego środowego popołudnia pracowali w pokoju nauczycielskim, dopóki niebo całkiem nie pociemniało. Gdy szli na parking przez puste, rozbrzmiewające echem tereny szkolne, zimna mgła ocierała się o ich kostki.

- Jak mój kot - powiedziała Cath.

Warren zaśmiał się cicho i kopnął kamyk w stronę Cath, ona zaś kopnęła go z powrotem.

- Nie uważasz, że nasze samochody sprawiają wrażenie samotnych? - spytał Warren. - Powinniśmy parkować je obok siebie, kiedy pracujemy.

- Żeby się mogły poznać - zgodziła się Cath.

Byli teraz oboje na skraju parkingu - biały mercedes sports lśnił z daleka w prawym rogu; rdzewiejąca co-rola połyskiwała w lewym.

-Kurczę, twój samochód jest naprawdę super - wyszeptał z podziwem Warren. - Zdradzisz mi, w jaki sposób go zdobyłaś? Podarował ci go bogaty kochanek?

- Wygrałam go w konkursie.

-Szczęściara - gwizdnął Warren, po czym dodał szybko: - Kiedy zamierzasz wziąć mnie na przejażdżkę?

-Choćby zaraz - odrzekła Cath, składając ręce niczym Mary Poppins. - Nie masz żadnych planów, prawda?

- Plany - powiedział smętnie Warren. - Jestem dziś równie samotny jak nasze samochody. Szczerze mówiąc, wybierałem się do kina. Ale jaki idiota wolałby pójście do kina od przejażdżki twoim samochodem, Cath? Jaki idiota, co ma kota, kompletna durnota? He?

-Jeśli chcesz, mogę cię podrzucić do kina. Obejrzę film z tobą.

Warren podskoczył z radości. I tak był już wysoki - Cath wyobraziła sobie, że mógłby podskoczyć do gwiazd.

Nagle stanęła obok nich Katie Toby (nauczycielka, klasa zerowa A). Cath wydała cichy okrzyk, a Warren zaklął:

- Cholera jasna, kobieto, skąd ty się tutaj wzięłaś?

Oboje spojrzeli przeciągle na Katie Toby, malutką, z dołkami w okrągłej buzi, mającą wśród rodziców, nauczycieli oraz dzieci opinię słodkiej jak kandyzowane jabłko na patyku.

- Cześć - zachichotała. - Przykro mi, że was przestraszyłam. Właśnie wyszłam z klasy. Wybieracie się do kina, prawda?

Cath niepewnie skinęła głową.

- Na jaki film?

- Ach, na retrospektywę Nikolaia Valerio w Chauvel - odparł po krótkiej chwili Warren. - Dziś wieczorem idzie *Niebiańskie ciasto*.

- Och, super. Chętnie obejrzę to jeszcze raz. O której się zaczyna? Jedźcie tam teraz?

- O dziewiątej - rzekł Warren.

Zapadła cisza. Katie patrzyła na nich z uśmiechem, od którego robiły jej się dołki w policzkach.

- Chcesz się zabrać z nami? - spytał.

- Och, nie! - wykrzyknęła Katie. - Już mnie nie ma! Tam jest mój rower. Bawcie się dobrze! - I pobiegła, znikając w ciemności.

Cath i Warren podeszli w milczeniu do mercedesa Cath, lecz gdy tylko wsiedli do samochodu, Warren powiedział:

- Dzięki Bogu, że nie przyjęła zaproszenia.

Cath poczuła taką ulgę, że dostała ataku chichotu. Skręcała się ze śmiechu, nie mogąc trafić kluczykiem do stacyjki. Warren siedział obok niej, również śmiejąc się radośnie i wzdając spojrzaniem po tapicerce auta.

W momencie gdy Cath uspokoiła się na tyle, że wytarła nos i oczy, zadzwonił telefon Warrena.

- GDZIE JESTEŚ? - zabrzączał kobiecy głos.

Była to Breanna. W samochodzie Cath. Ciarki przeszły jej po plecach.

- Siedzę w pięknym mercedesie sports obok uroczej Cath. Wybieramy się do kina - wyjaśnił niezwłocznie Warren. - A ty?

- Jestem tutaj! W domu! Chciałam ci zrobić niespodziankę moim przyjazdem. Kupiłam świece i w ogóle! - Breanna trajkotała piskliwym głosem, niepotrzebnie donośnym, który wypełniał cały samochód.

Cath otworzyła okno po swojej stronie.

- Żartujesz - powiedział Warren. Jego głos stał się natychmiast głęboki i łagodny. - Naprawdę jesteś tutaj? Moja śliczna Bree zaledwie kilka minut drogi ode mnie? W zwykły wieczór, w dzień powszedni?

-Zaczynałam się o ciebie martwić! Myślałam, co on ma za pracę? Myślałam, że jest nauczycielem! Praca śmiechu warta! Myliłam się! Wracaj do domu! Prędko! Mam dla ciebie deser.

- Jestem za pięć minut.

Schował telefon do kieszeni.

- Przepraszam, Cath. Może innym razem?

Idąc do swego samochodu, posłał w jej stronę namiętny pocałunek, który niemal wzięła do siebie. W tej samej chwili jednak zdała sobie sprawę, że był adresowany do jej mercedesa.

W drodze do domu Cath minęła furgonetkę lodziarza, zaparkowaną zawsze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko bloku, w którym mieszkała. Przemknęło jej przez myśl: „Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby sprzedawali tu lody”. A gdyby miała teraz ochotę na lody? Nawet po ósmej, nawet w zimny, mglisty, wietrzny wieczór. Właściwie chętnie zjadłaby lody.

Weszła do swojego mieszkania. Otoczyła ją cisza, dokuczliwa jak naderwana skórka przy paznokciu.

*

Podoba mi się, jak chodzi, pomyślała Cath pewnego popołudnia, obserwując Warrena, idącego przez boisko. Podoba mi się, jak sady susami, wzbijając w powietrze opadłe liście. Podoba mi się sposób, w jaki jego głowa jest osadzona na szyi. Świetnie też wygląda w tej lnianej koszuli, z rozpiętym kołnierzykiem. Ciekawe, kiedy będę miała okazję pocałować go w obojczyk?

Oczywiście, nie myślałam serio. Wiem, że nic się nigdy nie wydarzy. Jest żonaty ze śliczną Bree.

Patrzyła, jak zbliża się do budynku szkoły. Przystanął, by się schylić i podnieść samochodzik.

Mimo to nie uważam, żeby myśleć o całowaniu się z nim była czymś zdrożnym. Zapewne jest to nawet całkiem zdrowe. Trzeba snuć fantazje seksualne na czyjś temat, prawda? Może to być na przykład Brad Pitt, i zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie pocałujesz go w obcojęzyk. Dlaczego więc nie marzyć o Warrenie?

W tej chwili Warren wbiegał po schodach na galerijkę drugiej klasy i Cath próbowała nakłonić go telepaticznie: skręć w prawo, skręć w prawo do mojej klasy.

Zrobił to. Zajrzał przez otwarte drzwi do sali lekcyjnej i powiedział:

- Tu jesteś! Wszędzie cię szukałem!

- Po co? - Odsunęła się od okna. - Zdejmuję te zdjęcia niedźwiedzi polarnych.

- Chciałem cię zaprosić dzisiaj na kolację - wyjaśnił Warren. - Zarezerwowałem stolik w Tetsuya. Miała specjalnie przyjechać Breanna, ale wyobraź sobie, przed chwilą zadzwoniła, że jej się nie uda. Nie możesz mi więc odmówić.

Cath przyglądała mu się.

- Poza tym - rzekł Warren - dziś są moje urodziny.

- Dobrze - zgodziła się Cath. - Przyjdę.

Po kolacji w Tetsuya pojechali na drinka do Shangri-La. Taksówka torowała sobie drogę w dużym ruchu, zbierały się deszczowe chmury, a Warren Marzycielski Woodford rozprostował swoje długie szczupłe ciało i spytał kierowcę: „Ile płacę za kurs?” Jego ciało i słowa są niczym transparent albo długi królewski dywan, pomyślała Cath, patrząc przez zaparowane okno taksówki. Stał na chodniku, czekając na nią, ona zaś siedziała w samochodzie, myśląc, że jego słowa są jak leśny dukt.

Gdy wzięła z siedzenia torebkę, otworzył przed nią drzwi, zabierając ze sobą zaparowaną szybę taksówki

i wpuszczając do środka hałas uliczny i chłód. Szła obok niego w milczeniu, jej nogi poruszały się płynnie niczym koła wozu po uginających się liściach paproci w lesie. (W Tetsuya degustowała dziewięć dań, a do każdego inne wino).

Koktajlbar był tak zatłoczony, że musieli nachylać do siebie głowy, by się usłyszeć. Rozmawiali przez jakiś czas o tym, jak niegodziwie postąpiła Breanna, nie przyjeżdżając na urodziny Warrena, mimo że zadzwoniło do niej dwoje jej pacjentów, by poinformować ją, że zawarli pakt o wspólnym samobójstwie i mają problem ze zdobyciem broni.

- Urodziny są raz do roku - stwierdziła surowo Cath - ale pakt o wspólnym samobójstwie? - Wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Na pęczki - przyznał Warren.

- Posłuchaj - Cath zmieniła temat, spoglądając na Warrena znad swego pieniacego się koktajlu truskawkowego (doszła do wniosku, że jej oczy będą błyszczały w tym oświetleniu). - Potrzebuję twojej pedagogicznej rady. Znasz Cassie Zing?

- Jak ktokolwiek mógłby nie znać Cassie Zing?

- Cóż, dzisiaj powtórzyła słowo na „c” pięćdziesiąt razy.

- Jakie słowo?

- Słowo na „c”.

Warren nachylił się do jej ucha i spytał szeptem:

- Cipa?

- Warren! Nie wolno ci szeptać tego słowa do ucha kobiety!

- Chyba nie chcesz, żebym powiedział je na głos, co? A więc...?

- No, tak - przyznała z wahaniem Cath. - Jak powinienam postępować z Cassie? Ona to robi przez cały czas. Wybiera sobie słowo i powtarza je pięćset razy. Czasami

wydaje mi się, że najlepiej to zignorować, a wtedy Cassie da sobie spokój, ale nic z tego. Dzisiaj zaś miał miejsce pewnego rodzaju kryzys, z którym nie bardzo potrafiłam sobie poradzić.

- Jakież inne słowa?

- No wiesz, brzydkie wyrazy. Na przykład, egzema, moszna czy słowo na „c” - odsuń się od mojego ucha! - a teraz gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że ona chyba rzuca na klasę coś w rodzaju uroku, mam na myśli dobry urok, kiedy skandując te słowa, odsuwa zło od świata, tak że zostaje w nim wyłącznie dobro. Może więc powinnam po prostu pozwolić jej na te czary. Albo może myślisz, że jestem wstawiona?

- Cóż, albo rzuca urok, albo cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, a ty jesteś zachwycająca, kiedy jesteś wstawiona. Czy chcesz, żebym zapytał Bree o Cas-sie? Pracowała z dziećmi, zanim zajęła się poradnictwem małżeńskim.

Dziś wieczorem Bree pojawia się zbyt często w naszej rozmowie, pomyślała zdegustowana Cath.

- Och, nie - odparła. - Pogadam z Lenny. Dobry pomysł! Fachowa porada! Ciągle zapominam, że Lenny jest szkolnym psychologiem i nauczycielką w szóstej klasie. Poradzę się jej.

- Będzie zdekoncentrowana - rzekł Warren, prosząc o rachunek. - Pieprzenie się z Frankiem Billsonem musi być bardzo... dekoncentrujące.

- Nie możesz płacić również za drinki, Warrenie. Tym razem ja zapłacę. To będzie mój prezent urodzinowy dla ciebie. Pozwól, że zapłacę, dobrze? I zaraz, zaraz, chwileczkę, SKĄD WIESZ O LENNY IBILLSONIE? TO PRZECIEŻ TAJEMNICA!

Warren wysunął rachunek spod jej dłoni i powiedział:

- Umówiłaś się ze mną dziś wieczorem? To jest mój prezent urodzinowy od ciebie. A wiem o Lenny i Billsonie, ponieważ romans Lenny i Billsona jest jasny jak słońce. Wszyscy o nim wiedzą, Cath Murphy.

- Doprawdy? - spytała Cath w zadziwieniu, rozkoszując się sposobem, w jaki wymówił jej imię i nazwisko, i drapiąc słomką po ściankach swojej koktajlowej szklanecki.

- Może z wyjątkiem Heather Waratah - przyznał Warren. - Heather Waratah przypuszczalnie nie wie o Lenny i Billsonie. Jest zbyt zajęta pieczeniem drożdżowych bułeczek. Nie zapomnij o kurtce. Pozwól, że cię wezmę pod rękę.

Później tej samej nocy Cath leżała bezsennie, w kółko powtarzając w myśli słowa Warrena: „Umówiłaś się ze mną dziś wieczorem? To jest mój prezent urodzinowy od ciebie”. Czasami zmieniała tekst na: „Spędzasz ze mną dzisiejszą noc? To jest mój prezent urodzinowy od ciebie”.

Jeszcze później, sennie, po pijanemu, szelmowsko odtwarzała w pamięci, jak szeptał jej do ucha słowo na c”

Nazajutrz Warren przekazał Cath od Bree wyrazy dozgonnej wdzięczności za to, zajęła się nim w dniu urodzin.

Pędząc ze szkoły na wykłady z prawa, a potem z wykładów na dyskusję feministek, Cath czuła, że żyje pełnią życia. Wycieraczki przedniej szyby chodziły w tę i z powrotem, próbując nadażyć za jej pełnym życiem.

Przebiegła w deszczu do kawiarenki i usiadła w wygodnym śliwowofioletowym fotelu.

- Cześć - przywitała się szeptem. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała również szeptem Leonie.

Leonie Marple-Hedgington była dawną koleżanką Cath z uniwersytetu. Miała fioletowe włosy, bladą cerę i utrwalone, błędne przekonanie, że Cath jest tego rodzaju osobą, która chciałaby brać udział w dyskusjach feministek. Cath nie miała ochoty wyprowadzać jej z błędu, toteż przychodziła na każde spotkanie.

Podwinawszy rękawy kardigana do łokci, Leonie pochyliła się do przodu.

-Pomyślałam, że dzisiaj... - zaczęła trochę nieśmiało. - Pomyślałam, że dzisiaj mogłybyśmy obmyślić sposób, jak poddać dekonstrukcji racjonalno-irracjonalną dwoistość.

Wszystkie pokiwały głowami, łącznie z Cath, ale jej w tym momencie przyszedł na myśl Warren Woodford i jego szczególne sposoby kiwania głową. Jego zamysłone kiwanie głową na boki, szybkie kiwanie, pełne wigoru, powolne kiwanie oznaczające „być może”, potakujące kiwanie „tak, tak”.

-Jak wiecie, istnieje grupa krytyczna, która nazywa siebie irracjonalistkami, żeby rekultywować słowo „irracjonalny” i włożyć w nie dobre i silne treści - mówiła dalej Leonie.

Irracjonalny, powtórzyła w myśli Cath i natychmiast nasunęło jej się słowo „romans”.

Jakże irracjonalny byłoby romans! Nawet jeśli, powiedzmy, Warren go planował. NIGDY nie dopuszczę, żeby coś takiego się wydarzyło! Byłoby to niewłaściwe, lecz przede wszystkim - IRRACJONALNE. Oglądałam filmy, czytałam książki i kąciki porad w czasopismach! Nie ma co sobie zwracać tym głowy. Będzie obiecywał, że zostawiżonę, lecz NIGDY, PRZENIGDY tego nie uczyni.

-Prawdę mówiąc, nie robią oczywiście nic poza badaniem granic mglistego pojęcia rozsądku.

A ja, oczywiście, nie chciałabym, żeby odszedł od żony! To nie ma SENSU. Ponieważ jeśli jest takiego rodzaju facetem, który zostawia żonę, to nie jest sympatycznym facetem, a na co mi niesympatyczny facet? W dodatku nigdy nie chciałabym zranić w ten sposób innej kobiety. Uczestniczę w dyskusji feministek! Gdybym wdała się w romans z Warrenem, zdradziłabym własny gatunek!

- Oto co musimy jeszcze zrobić - zdefiniować paradygmat zdolność/wiedza i skolonizować Foucaulta, uczynić go naszym. Rzecz jasna, pamiętając o bałkanizacji tematu - zakończyła Leonie.

- Hmm - zgodziła się Cath, kiwając głową wraz z innymi.

W ostatnim tygodniu szkolnego semestru Cath siedziała na podłodze salonu owinięta narzutą i dłubała językiem w dziurze, która zrobiła jej się w zębie. Było tak zimno, że okna pokryły się parą, a jej mały elektryczny grzejnik kompletnie się pogubił. Wydawał z siebie histeryczne syczące dźwięki.

Muszę wybrać się do dentysty, pomyślała. Wysunęła rękę spod narzuty, by zanotować ten fakt w swoim terminarzu, wybierając drugi wtorek ferii. *Wizyta u dentysty* - zapisała. Następnie energicznie zamknęła terminarz.

-Jestem pewien, że wszyscy państwo zauważyli, że tej zimy Sydney doświadcza rekordowego spadku temperatury - przerwał jej prezenter pogody.

Cath spojrzała na ekran telewizora i potwierdziła jego słowa skinieniem głowy i krótkim: „Aha”.

- Zapewne słyszeli państwo również plotki o tym, że w Sydney może spaść śnieg. I wiecie co? Ja również na to stawiam.

- Śnieg! - prychnęła pogardliwie Cath. - W Sydney nie pada śnieg.

A jednak wyobraźcie sobie, że spadł! Prezenter pogody wymachiwał ramionami nad swoją mapą i mówił o temperaturze przy gruncie, o nadchodzącym zimnym froncie i wilgoci.

- Albo - mówił dalej - pozwólcie, że postawię wszystko na jedną kartę - nie będę ani trochę zdziwiony, jeśli się okaże, że to marzący deszcz.

- Marzący deszcz - powtórzyła Cath, wyobrażając sobie niebo pełne długich, cienkich smużek lodu. Niebezpieczne. Ale co to jest marzący deszcz?

- Jeśli nie wiecie, co to jest - odpowiedział uprzejmie synoptyk - obejrzyjcie sceny z filmu *Burza lodowa* - zobaczycie wszędzie lód i sople. Podobno wykorzystano do tych zdjęć żel do włosów. Jeśli jednak zdarzy się to tutaj, w Sydney, nie będzie to efekt filmowych trików, lecz rezultat zerowych temperatur, jakie mamy. Widzicie, deszcz pada z cieplejszego nieba, dotyka chłodniejszej powierzchni ziemi i natychmiast zamarza. Może to być jakakolwiek powierzchnia - samochody, skrzynki na listy, dachy, drzewa, po prostu wszystko.

- Zero stopni! - wykrzyknęła Cath. - Nic dziwnego, że jest mi tak zimno!

- Brrr - zgodził się prezenter.

Przełączyła na MTV i czekała na piosenkę, która doprowadzi ją do łez. Płacz ją rozgrzeje. Jadła jabłko, ale to jedzenie sprawiało, że czuła, iż traci równowagę - lewy policzek bolał ją od żucia, podczas gdy prawy błagał o odrobinę jabłka. Gdyby jednak ustąpiła i pozwoliła prawej stronie ust na kawałek jabłka, bez wątpienia uraziłaby się w dziurawy ząb i pisnęłaby z bólu.

Położyła jabłko na dywanie.

Wokół niej leżały sterty Rzeczy-Do-Zrobienia, a jej kot Violin kroczył od jednej kupki do drugiej, lekceważący, pozbawiony skrupułów jak pogoda. Cath wzięła Violina pod pachę, przy tym ruchu zabrzączał dzwoneczek przy jego obrócce, i przystąpiła do przeglądu Rzeczy-Do-Zrobienia.

1. Przewracająca się sterta pojemników na jajka na pracę-technikę w szkole. (Wyciąć segmenciki, żeby dzieci mogły je pomalować na różne kolory i przykleić do patyczków po lodach. Wymyślić powód).

2. Sprawy i materiały dotyczące naruszeń prawa. (Przeczytać rozdział siódmy: *Bezprawne wtargnięcie i napasć*).

3. Listy z jej przegródki w pokoju nauczycielskim. (Otworzyć).

Postanowiła zacząć od listów z pokoju nauczycielskiego. Pierwsza koperta była zaadresowana różowymi zawijasami:

Cath Murphy, nauczycielka, klasa druga B,
Szkoła Podstawowa Redwood, Hillside Street,
Mount Montmart

Droga Panno Murphy!

Dziękuję za zainteresowanie zgubionym zębem mojej córki (Cassie). Właśnie jej wypadł! A dobra wróżka zabrała mleczny ząbek i zostawiła pieniążek.

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pani, iż tak szybko piszę do Pani znowu, ale chciałam prosić o drobną przysługę. Dowiedziałam się właśnie, że „kuzynka” Cassie będzie „uczęszczała” do Redwood w następnym semestrze - jest uczennicą siódmej klasy katolickiego żeńskiego gimnazjum St Carmel, gdzie, jak być może Pani słyszała, część budynku uległa zalaniu! Tak więc

po feriach ona i jej szkolni koledzy zostaną „wyprawieni” do Pani szkoły na miesiąc lub dwa.

Piszę „kuzynka” w cudzysłowie z następującej przyczyny: moja siostra Marbie mieszka z mężczyzną o imieniu Vernon i oboje zajmują się młodszą siostrą Vernona. Rozumie Pani? I to właśnie ta młodszą siostrą (Alissa Taylor, lepiej znana jako „Listen” Taylor) jest „kuzynką”, o której mówię.

W każdym razie zastanawiam się, czy mogłaby Pani zwrócić na nią uwagę? Jest spokojną, pogodną dziewczynką. Byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby zechciała Pani od czasu do czasu rzucić na nią okiem.

Jeszcze raz dziękuję, że jest Pani taką uroczą nauczycielką dla naszej Cassie, i jeszcze raz pragnę zapewnić, że z niecierpliwością oczekuję naszego spotkania na wywiadówce!

Z poważaniem,

Fancy Zing

t Hm, mruknęła Cath, czytając po raz drugi fragment mówiący o tym, jak „uroczą” jest nauczycielką. Słyszała coś o uczniach siódmej klasy, którzy mają korzystać z tymczasowych pomieszczeń szkolnych w Redwood w przyszłym semestrze, lecz pomyślała rozsądnie: „Billson nigdy nie pozwoliłby na to, gdyby nie fakt, że jest nieobecny duchem, ponieważ zaprzęta go tylko miłość do Lenny”.

Napisała na brudno uprzejmą odpowiedź na list Fancy Zing, zgadzając się dopilnować „Listen” i wspominając (żeby tylko coś powiedzieć), że ją właśnie dzisiaj boli ząb i bardzo żałuje, iż nie jest to powodem odwiedzin dobrej wróżki! (Kim TY jesteś, Cath Murphy? - zbeształa sama siebie, pisząc te słowa). Po czym wzięła następny list z kupki.

Cath Murphy

c/o Szkoła Podstawowa Redwood

Szanowna Panno Murphy,

Stypendium Haryeya K. Whatsmeyera i Dorothy P. Ruckleman - zaoczne studia prawnicze

Z ogromną przyjemnością pragniemy Panią poinformować, że zostało Pani przyznane stypendium Haweya K. Whatsmeyera i Dorothy P. Ruckleman na zaocznych studiach prawniczych.

Stypendium obejmuje pełną opłatę za Pani zaoczne studia prawnicze, w tym za podręczniki, jak również kieszonkowe na kserowanie potrzebnych materiałów.

Przyznawane jest tym studentom Wydziału Prawa Barhill University, którzy studiują zaocznie i są wybitnie zdolni. Gratulujemy! Cieszymy się, że dołączyła Pani do „prestizowego” i „ekskluzywnego” klubu stypendystów Haweya K. Whatsmeyera i Dorothy P. Ruckleman!

Z poważaniem,

Powiernicy

Stypendium Haweya K. Whatsmeyera i Dorothy P. Ruckleman na zaocznych studiach prawniczych

Cath przeczytała list pięć, może nawet sześć razy, zwracając uwagę, że papier jest gruby, krój czcionki wytworny, a do odwrotu kartki jest przypięty czek. Uśmiechała się tak radośnie, że aż ją zaczęły boleć policzki. Włączyła telewizor na cały regulator i wirując w tańcu ze swoim kotem, weszła do kuchni, by upiec kruche ciasteczka z kawałkami czekolady dla uczczenia tego wydarzenia. To cudowne, myślała, to cudowne!

Chociaż, podszeptował jej głos rozsądku, to wcale nie jest takie zaskakujące.

Deszcz czekoladowych wiórków posypał się na podłogę. Co ona przez to rozumie? Dlaczego nie ma to być zaskakujące? Z pewnością nigdy nie ubiegała się

o stypendium Harveya K. Whatsmeyera i Dorothy P. Ruckleman na zaocznym prawie. Nigdy nie słyszała o czymś takim.

Ale musiała przyznać, że właściwie co roku otrzymywała podobne stypendia w szkole średniej i na studiach pedagogicznych. Toteż kiedy parę dni temu rozmawiała z Warrenem i Suzanne, jak bardzo martwi się o czesne - nawet wtedy była raczej zniecierpliwiona niż naprawdę zaniepokojona.

Violin ślizgał się na czekoladowych wiórkach, a Cath doszła do wniosku, że takie podejście - niecierpliwość, że jeszcze nie dostała stypendium! - jest zarówno oznaką zarozumiałości, jak i rozpuszczenia. Co więcej, takie podejście - brak zaskoczenia, gdy je dostała! - może zepsuć radosne podniecenie z powodu niemal każdego szczęśliwego wydarzenia. Zmobilizowała więc ponownie swoje emocje, tańcząc, włożyła ciasteczka na górną półkę piekarnika i tanecznym krokiem wróciła do telewizora.

Czekał na nią jeszcze jeden list, którego nie dostarczyła poczta, koperta była zaadresowana znanym jej charakterem pisma i widniały na niej tylko dwa słowa: CATH MURPHY. Przez cały czas była świadoma, że tam leży, i po części starannie ułożone sterty Rzeczy-Do-Zrobienia oraz czekoladowo-wiórkowe podniecenie z powodu listu o przyznaniu stypendium - po części to wszystko było tylko narzuconym sobie suspensem.

Cath!

Przesyłam Ci coś śmiechu wartego, co zrobiłem dla Ciebie w ramach podziękii za to, że parę dni temu sprawiłaś, iż moje urodziny były tak wyjątkowe.

Co powiesz na wspólną kolację w czwartek? Uczymy koniec semestru. Znam uroczą marokańską restaurację, która

świetnie się do tego nadaje. Autobus 442 zawiezie nas pod same drzwi, jeśli nie zechcesz pojechać swoim mercem.

Warren

Cath przyjrzała się listowi jak prostokątowi papieru. Patrzyła nań jak na figurę geometryczną, a na charakter pisma jak na zbiór kątów i zawijasów, wreszcie przeniosła wzrok na załącznik. Była to wyszyta haftem krzyżykowym zakładka do książki (z wizerunkiem sierpa księżycy i trzech gwiazd na ciemnogramatowym tle).

Nie, oczywiście nie mogę pójść do marokańskiej restauracji! Też pomysł! Ten Warren Woodford ma takie długie chude nogi, że sięga głową chmur. Przez chwilę była na niego wściekła - co on sobie właściwie myśli, co to za gra z jego strony? Co on robi z jej twarzą, jej policzkami, jej rękami i miejscem pod kolanami, CO ON SOBIE MYŚLAŁ, wysyłając mi księżyc i gwiazdy?

Rzecz jasna, jej odpowiedź brzmi: NIE. Surowo i stanowczo: NIE.

Ale Warren Marzycielski Woodford ma długie chude nogi i złote marzycielskie plamki w smętnych oczach. Warren Marzycielski Woodford sam jest jak złoto, Warren Marzycielski Woodford ujął w swoje długie szczupłe palce igłę i kawałek materiału. Tymi długimi szczupłymi palcami ujął ją, Cath Murphy, i przewłókł ją niczym bawełnianą nitkę przez ucho igły. Wepchnął ją (Cath Murphy) prosto w materiał (wskutek szoku zacisnęła mocno powieki) - następnie te długie szczupłe palce przeciągnęły ją na drugą stronę. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, w górę i w dół, w górę i w dół, zawsze delikatnie, lecz pewnymi ruchami, owe palce zamieniły Cath Murphy w Księżyc i Gwiazdy.

Cath Murphy miała dużą poduchę do siedzenia i smukłego kota. Miała stypendium Harveya K. Whatmeyera i Dorothy P. Rucklemana na zaocznych studiach

prawniczych. Była zachwycająca, była wybitnie zdolna, była ulubienicą fortuny, a wszystko to zostało wyhaftowane na ciemnogrnatowym skrawku materiału.

Wzięła do ręki długopis, by odpowiedzieć na list.

W czwartek wieczorem, na kolacji z Warrenem, Cath pochyliła się ku niemu, oznajmiając, że jej przeznaczeniem jest zawód prawnika. Warren nalał jej kolejny kieliszek wina, ona zaś wyjaśniła mu, że co roku dostawała w szkole średniej specjalną nagrodę i zawsze okazywało się, że jest to książka o wymiarze sprawiedliwości lub o prawie.

- Absolutnie za każdym razem? - zdumiał się Warren.

- Absolutnie za każdym razem.

- No cóż - rzekł Warren. - Kto wybierał te książki? Pewnie wykładowca prawa albo ktoś w tym rodzaju.

- Nie mam pojęcia - odparła Cath z zakłopotaniem.

- Nie wiem, kto je wybierał, ale posłuchaj tego!

- Posłuchaj czego?

Nalał sobie trochę wina, po czym przytrzymał butelkę nad kieliszkiem, pozwalając kapkać kropłom kap, kap, kap, aż zobaczył to kelner i spytał:

- Czy mogę państwu podać jeszcze wina?

- Tak, proszę - odrzekli zgodnym chórem.

- Każdy doradca do spraw wyboru zawodu, z jakim kiedykolwiek rozmawiałam, mówił mi, że MUSZĘ studiować prawo!

- Hmm - mruknął Warren.

- I kiedyś chiromanta wywróżył mi, że zostanę prawniczką. Często mi to również mówi mój znak zodiaku. I chińskie ciasteczka z wróżbą - nie... Ale kiedyś moja trenerka pływania, chyba miała na imię Ella, była

mistrzyni olimpijska czy coś w tym rodzaju, stwierdziła, że pływam stylem grzbietowym jak prawniczka. „Zapomnij o pływaniu, dziecko - powiedziała - i wybierz studia prawnicze”. Miałam wtedy zaledwie dziesięć lub jedenaście lat. Aha, i właśnie sobie przypomniałam, że w ostatnim roku nauki w szkole średniej zaproponowano mi stypendium na wydziale prawa! Mimo że wcale się nie ubiegałam o nie! Co o tym sądzisz?

Zjadła trochę kuskusu.

- A mimo to zostałam nauczycielką - rzekł z podziwem Warren. - Wiesz, kim ty jesteś? Buntowniczką walczącą z przeznaczeniem.

- Dziękuję. - Cath zarumieniła się jak piwonia.

- I co takiego się wydarzyło? Co sprawiło, że jednak zaczęłaś studiować prawo w tym roku, Cath Murphy?

- To się nie liczy - wyjaśniła. - Miałam złamane serce. I znalazłam w korespondencji ulotkę o nowej szkole prawniczej. Zajęcia są o dogodnej porze, w dodatku tak łatwo było wypełnić formularz zgłoszenia. Ale wiesz, miałam złamane serce, więc to naprawdę się nie liczy.

- Nie można walczyć z przeznaczeniem, jeśli nie wkłada się w to serca - zgodził się Warren. - Ale chciałbym wiedzieć, co za dumny kretyń ci je złamał? Przyjrzyj się sobie! Po prostu się sobie przyjrzyj! I powiedz, kto mógł złamać to serce?

Roześmiała się i utkwiała wzrok w talerzu.

- Wierzysz w znaki? - spytała, zmieniając temat.

- Tak - przyznał. - A ty?

Ich spojrzenia spotkały się przelotnie, po czym przez długą chwilę nie odrywali od siebie oczu, aż wreszcie Cath poczuła, że drży na całym ciele.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Chodzi o to, że dziś wieczorem jechaliliśmy autobusem 442, który prowadził Życzliwy Kierowca.

- Życzliwy kierowca?
- Nie zauważyłeś, że gawędził ze mną, gdy wsiedliśmy do autobusu?
- Cath, przepraszam, ale kim jest życzliwy kierowca autobusu?
- Nie znasz Życzliwego Kierowcy Autobusu?! Zajeżdża do Redwood codziennie po południu - prowadzi autobus Glenorie. Zawsze się wychyla, by uciąć sobie ze mną pogawędkę, podczas gdy dzieciaki ładują się do środka, i jest taki życzliwy, Warrenie.
- I dlatego - powiedział Warren, wpatrując się w nią - dlatego to, że dziś jechaliśmy tutaj autobusem, który on prowadził, jest znakiem. Czego to ma być wróżba?
- Pochylił się do przodu, wsparty na łokciach, i patrzył na nią, czekając na odpowiedź. Ona również na niego patrzyła.
- , - Zgadnij - odparła, nagle spanikowana. - Zawsze wycinam z czasopism kupony konkursowe!
- Doprawdy? - spytał filuternie Warren, odchylając się z powrotem na oparcie krzesła i poprawiając serwetkę na kolanach.
- Tak, i wiesz co? Praktycznie zawsze wygrywam.
- Na przykład? W jakich konkursach?
- Na przykład w zeszłym roku wygrałam darmowy przelot do Perth i mogłam odwiedzić rodziców. Właśnie dzięki kuponowi wyciętemu z magazynu. Zawsze je wycinam, Warrenie. Rozumiesz? Nie mówię o wielkich gazetach jak „Herald” - nigdy nie wygrywam w tamtych konkursach - lecz o małych, jak „Podróże Sentymentalne”.
- Małych jak „Podróże Sentymentalne”?
- Właśnie. - Cath pokiwała entuzjastycznie głową.
- Albo „Drzemka”.

- Nigdy w życiu nie słyszałem o czasopiśmie „Podróże Sentymentalne”.

- Ani o „Drzemce”?

- Nie, prawdę mówiąc, o nim też nie.

- „Marzenia Skrzynek na Kwiaty”?

- Cath Murphy, jesteś nieoceniona. Jedź dzisiaj ze mną do mojego domu.

- A „Listy Elfów”? Wygrałam mikser. Nie dalej jak parę dni temu.

- Cath, jesteś piękna. Jedź ze mną do domu. Proszę.

Nazajutrz, ostatniego dnia semestru, Cath przyglądała się Warrenowi przez okno klasy, czując w piersi przejmujący chłód burzy lodowej. Przyczyna była prosta: a jeśli to była jej jedyna szansa?

Nie pojechała z nim do domu. Zignorowała jego zaproszenie. Pod koniec wieczoru z podniesioną wyniośle głową wsiadła do taksówki, on zaś obserwował ją przez zmrużone oczy. Potem powoli zamknął za nią drzwi, cofnął się o krok, odwrócił się bokiem do wiatru i przywołał taksówkę dla siebie.

W pierwszej chwili poczuła dumę z siebie, momentalnie jednak ogarnęło ją przerażenie. Wargi cierpiały z powodu braku pocałunków. Objęła się ramionami, by pocieszyć swoje ciało. Nazajutrz jest piątek! Z wybrzeża przyjedzie Breanna! Potem są całe dwa tygodnie ferii, podczas których Cath zostanie sama z pustym miejscem tam, gdzie powinno znajdować się jego ciało. Calutkie dwa tygodnie, podczas których Warren zapomni o ich flircie i przypomni sobie o swoim małżeństwie.

„Cath, jesteś piękna, jedź ze mną do domu, proszę”. To była jej ostatnia szansa. Gdyby wysiadła z tak-

sówki i pocałowała go, ten pocałunek mógłby zatrzymać go na ferie.

Teraz, podczas przerwy śniadaniowej, przyglądała mu się przez oszronione okno swojej klasy, jak stoi na boisku. Zgodził się chyba sędziować w grze w rounders*.

Marcus Ellison wziął do ręki kij, Severino ustawił się z piłką tenisową, gdy nagle, wypadając nie wiadomo skąd, zjawiła się Cassie Zing. Pędziła po oblodzonym asfalcie, ślizgając się w zastraszającym tempie w kierunku Marcusa. Stojąca za szybą Cath wstrzymała oddech.

Ale Warren Woodford z niezmałonym spokojem postąpił dwa długie kroki ku rozpędzonej dziewczynce. Pochylił się, złapał ją w locie, postawił prosto i otrzepał szron z jej włosów. Następnie, przykucnąwszy, powiedział coś do Marcusa. Cassie przestała zaciskać pięści, opuściła ręce. Marcus wzruszył ramionami i wrócił do gry. Cassie poskakała z powrotem do swojej przyjaciółki Lucindy, która zdążyła podtrzymać ją, by nie upadła.

Ze swego punktu obserwacyjnego Cath przyglądała się, jak Warren Woodford stoi, uśmiechając się niczym szlachetny król, po czym klaszcze jeden raz w dłonie, co miało oznaczać: „W porządku! Gramy dalej!”

Później, pełniąc dyżur przy szkolnym autobusie i kuląc się z zimna, Cath zaciskała palce w rękawiczkach, próbując wymyślić coś, co zatrzymałoby go aż do następnego semestru.

- Co robicie z Breanna dziś wieczorem? - spytała bezradnie.

- Tylko mi nie mów, że nie słyszałaś! - wykrzyknął Warren. - Jak mogłaś o tym nie słyszeć?

- Nie słyszeć o czym?

* Rounders - gra przypominająca baseball.

- Lenny D'Souza odchodzi i, zaczekaj, co więcej, odchodzi dzisiaj!

Cath wytrzeszczyła na niego zdumione oczy, a Warren wyjaśnił, że Lenny i Billson OKROPNIE się pokłócili o ABSOLUTNE GŁUPSTWO w obecności WSZYSTKICH, w POKOJU NAUCZYCIELSKIM, pod koniec PRZERWY.

- I Lenny zrezygnowała? - wyszeptała Cath.

- Zrezygnowała! Ale zostawiła wiadomość, że dzisiejszego wieczoru urządza u siebie przyjęcie pożegnalne i zaprasza wszystkich.

- Łącznie z Billsonem?

- Nie, Cath. Billsona nie zaprasza.

- Cóż - rzekła z powagą Cath. - Lenny jest moja przyjaciółką. Muszę natychmiast do niej pojechać. Na pewno zastanawia się, gdzie jestem. I na pewno nie zdaje sobie sprawy, że nie można urządzać przyjęcia pożegnawego, a potem zmieniać zdania na temat rezygnacji z pracy. Muszę ją powstrzymać!

- Nie rób tego - powiedział Warren. - Mam ochotę pójść dzisiaj na przyjęcie.

- Idziesz na przyjęcie? - wykrzyknęła Cath, zaskoczona i niemal oszołomiona, po czym dorzuciła lekkim tonem: - A więc przychodzisz z Breanna? Wreszcie ją poznam!

- Cath Murphy, gdzie właściwie byłaś przez cały dzień? - spytał Warren. Uszło twojej uwagi, że pogoda jest naprawdę upiorna? Ze to pierwsza burza lodowa, jaką zanotowano w Sydney? Że cały system komunikacji publicznej kompletnie przestał działać? Spójrz na te szkolne autobusy tutaj, Cath, i powiedz mi, co się stało z ich oponami. Mają łańcuchy na kołach. Wyłącznie szkolne autobusy są dziś dopuszczone do ruchu po to, by dowieźć dzieci do domu, i na tym koniec. Sądziysz, że pociągi będą kursowały? Jak twoim zdaniem Breanna ma tutaj dotrzeć z wybrzeża? I jeszcze jedno, jak udało ci się

dzisiaj skłonić twoich uczniów do tego, by rozmawiali o czymkolwiek innym niż pogoda? Jesteś bez wątpienia lepszym nauczycielem ode mnie.

Cath roześmiała się zadowolona, po czym powiedziała:

- Ciekawe, jak dostaniemy się na przyjęcie Lenny?

Potem napomknęła od niechcenia, że mieszka kawałek dalej na tej samej ulicy co Lenny i że Warren, jadąc taksówką, mógłby ją zabrać po drodze. Po przyjęciu on weźmie taksówkę do domu, a ona wróci piechotą do siebie.

Warrena wyraźnie ucieszył ten pomysł.

Lenny wypłakiwała się na ramieniu Cath.

- O mój Boże, Cath! Kochałam moją pracę! Kochałam tego faceta! Będzie mi ciebie tak bardzo brakowało!

Cath, siedząc na kanapie obok Lenny, próbowała utrzymać w równowadze dżin z tonikiem i jednocześnie obejmować dygocące od szlochów ramiona przyjaciółki. Na kanapie siedziała również, pijąc herbatę i przewracając kartki albumów fotograficznych Lenny, Heather Waratah (nauczycielka, klasa czwarta C).

- Lenny - szepnęła cicho Cath. - Wiesz, że możesz jeszcze zmienić zdanie i wrócić? Chcesz, żebym zaraz zadzwoniła do Billsona?

- Nie mogę - pociągnęła nosem Lenny, kręcąc głową. - Ale nie wolno nam stracić ze sobą kontaktu. - Zaszlochała znowu i napiła się piwa, razem z nim połykając łzy. - Musisz mi obiecać, że nadal będziemy utrzymywały kontakt.

- Ha! - wykrzyknęła panna Waratah, wskazując zdjęcie Lenny i jej braci, przebranych za renifery.

- Dobrze - powiedziała Cath. - Obiecuję.

Warren stwierdził, że jest zalany w pestkę. Cath przyznała, że ona również.

Spotkali się w kuchni i ułożyli na drzwiach lodówki kilka nieprzyzwoitych słów z namagnesowanych liter. Po chwili weszła tam również Katie Toby (nauczycielka, klasa zerowa A) i Jo Bel Castro (nauczyciel, klasa piąta A).

- Lód? Gdzie jest lód? - spytała Katie Toby.

Jo Bel Castro objął ją ze śmiechem i rzekł:

- A gdzie można znaleźć lód?

Warren otworzył zmywarkę do naczyń i wyjął z niej pojemnik na sztućce.

- Nie tutaj - odparł, wzruszając ramionami, po czym włożył go z powrotem do zmywarki.

Katie Toby patrzyła na nich nachmurzona.

- Dziękuję wszystkim - burknęła i wyszła z kuchni.

Jo Bel Castro uniósł brwi i poszedł w drugą stronę.

Cath zachichotała i straciwszy równowagę, mniej lub bardziej celowo, oparła się o Warrena stojącego obok lodówki. Warren podtrzymał ją, otaczając ją ramieniem i wtulając twarz w jej włosy. Coś wyszeptał.

- Co? - spytała, nie mając ochoty się odsunąć. - Co mówisz?

- Dziękuję - odrzekł cicho, stłumionym głosem. - Dziękuję ci za ostatni wieczór. Za to, że nie pojechałaś ze mną do domu. Cath? Nie odpowiadam za siebie w twojej obecności.

Cath milczała. Czują jego nos, przyciśnięty powyżej swego ucha, jego ciepły oddech we włosach.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - odezwała się w końcu.

- To, że polegam na tobie - odparł Warren. - Z nas dwojga to ty musisz być silniejsza, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Cath. - Dobrze.

Na moment przyłgnęła doń całym ciałem, tak mocno, jak tylko mogła, po czym całkiem się odsunęła.

- Dobrze - powtórzyła. - Idę do łazienki.

Łazienka Lenny była urządzona w tonacji morelowej, płytki miały wzór w stylu secesyjnym. Cath przyrzekała się sobie w lustrze, stwierdzając natychmiast, że jest pijana. Tak właśnie podejrzewała.

-Dziewięć razy siedem równa się sześćdziesiąt trzy - powiedziała do lustra.

A więc nie jest taka pijana. Nadal tam jest, w środku swojej głowy, przepytując samą siebie z tabliczki mnożenia. Ale tamta kobieta w lustrze? Kim jest tamta kobieta, Cath Murphy, kim ona jest?

Siedem razy dziewięć równa się...

W odwrotnej kolejności już nie poszło tak dobrze.

- W życiu nie złapiesz tutaj taksówki.

Na dworze padał śnieg.

-Dziwna pogoda! - wyszeptała Katie Toby, wyglądając przez okno. Potem odwróciła się do zebranych w pokoju: - Śnieg w Sydney! Może parę płatków, od wielkiego dzwonu! Ale taki gęsty śnieg! To znaczy, jest naprawdę gęsty? No wiecie? Jak zupa? Cha, cha!

- Obiecuj mi coś - rzekł Warren, który trzymał swój telefon komórkowy przy uchu. - Nie strać nigdy poczucia humoru.

- Dobrze - odparła Katie z uśmiechem, przy którym zrobiły jej się dołeczki w policzkach. - Postaram się. Dzięki.

-Warren próbuje zamówić taksówkę - wyjaśniła Cath z powagą.

- Nie ma mowy, żeby udało mu się w taką pogodę
- stwierdziła Lenny.

Ale Warren postanowił pojechać do domu, trzymał więc cierpliwie komórkę przy uchu. Lenny podniosła wzrok i powtórzyła:

- Nie ma mowy, żeby udało ci się zamówić taksówkę w taką pogodę!

Popatrzyli przez okno na skrzącą się biel, po czym Cath odwróciła się znowu, obserwując Warrena.

- Nikt nie odbiera - powiedział bezgłośnie, poruszając tylko wargami, ona zaś pokiwała poważnie głową, jej twarz i serce śpiewały bez ustanku: nie odbieraj, nie odbieraj, nie odbieraj!

Buty Cath stepowały po oblodzonym chodniku, gdy szli w stronę jej domu. Łup łup, klap klap.

- Mam rozkładaną kanapę - poinformowała dumnie Warrena. - Stoi w salonie. Mam też pościel. Sto procent bawełny. Może to nawet bawełna egipska, nigdy nie wiadomo. Poza tym mam zapasową puchową kołdrę.

Płatki śniegu wirowały wokół nich. Warren skulił się, chowając głowę w ramiona.

- Jestem głodny - stwierdził. - Chodźmy kupić coś do jedzenia.

-Już północ - odparła Cath - a ty jesteś zawsze głodny.

- Wstąpmy do pobliskiego sklepiku.

- Nie będzie otwarty - oznajmiła Cath.

Ale był. Kupili chipsy i pikantny sos pomidorowy na przekąskę o północy, a stojąca za ladą dziewczyna z długimi do bioder warkoczami przywitała Cath jak zwykle słowami: „Witam uprzejmie!”, Warrena zaś przyjaznym: „Cześć!”

-Cześć - odrzekł również przyjaźnie Warren, a Cath pomyślała: „Lubię mężczyzn, którzy są życzliwi

dla nieznanym i dla ekspedientek z miejscowych sklepików!".

- Słusznie - powiedziała na głos i zmieszana się.

Warren i ekspedientka spojrzeli na nią.

W tej chwili zadzwonił telefon komórkowy Warrena i Cath zamarła z przerażenia, myśląc, że być może dzwonią z firmy taksówkowej, by spróbować odwiedzić go do domu. Obie ze sprzedawczynią przyglądały się z napięciem, jak Warren podnosi telefon do ucha i mówi:

- Bree! Cześć! Nie martw się. Nie udało mi się złapać taksówki, toteż przenocuję dziś u Cath. Właśnie tam idziemy. U ciebie wszystko w porządku? Ubierasz się ciepło? Jutro ten cały śnieg stopnieje, możesz mi wierzyć.

Zakończywszy rozmowę, Warren uśmiechnął się do sklepikarki.

- Moja żona - wyjaśnił.

- Obłąd, co? - Cath wskazała ramieniem okno, płacząc za ich zakupy.

Ekspedientka zarzuciła warkocze na plecy.

- Kompletny! - zgodziła się. - Ale wiecie co? Mnie tu nie będzie!

Okazało się, że nazajutrz wyjeżdża na tygodniowe wakaq'e do kurortu Byron Bay.

- Szczęściara! - wykrzyknęli zgodnym chórem Warren i Cath, a sprzedawczyni zaczęła przytakiwać tak gwałtownie, że zatańczyły jej warkocze. Chciała chyba coś jeszcze dodać, ale zastygła nagle w bezruchu, wędrując gdzieś daleko myślami, jej spojrzenie stało się szkliste. Warren i Cath cichutko wzięli swoje zakupy i ruszyli ku wyjściu, gdy jednak znaleźli się przy drzwiach, dziewczyna zawołała:

- Wiecie co? Zamierzam wziąć stamtąd trochę morskiej wody i przywieźć ją tutaj!

- Doprawdy? - spytał Warren.
- Do mojego akwarium - wyjaśniła.

- Spójrz!

Cath pragnęła pokazać mu wszystko, natychmiast, naraz, gorączkowo. Zdjęcia matki, ojca i owczarka niemieckiego. Fotografie swojego kota Violina. Żywego Violina. („Violin! Chodź tutaj i poznaj Warrena! Violin!”). Nowe ceramiczne naczynie do zapiekaneek, które kupiła miesiąc temu. Zepsuty klawisz przewijania do tyłu w magnetowidzie. Nowy odtwarzacz DVD, który wygrała w konkursie w ubiegłym tygodniu. Warren poruszał się ostrożnie wśród jej książek i krzeseł. Przy każdej rzeczy, którą mu pokazywała, mruczał z zachwytem: „Mmm”, chrupiąc kukurydzianego chipsa.

- To okno jest całe usmarowane - zauważył Warren, stając przy niej w jadalni.

- Och, kilka tygodni temu chlusnęłam na szybę sokiem jabłkowym.

Stali, wpatrując się w brudne smugi.

- Zaczekaj - rzekł Warren.

Wszedł do kuchni, wrócił z kubkiem wody, chlapanął nią na okno, po czym wytarł szybę szmatką. Szkło pizzczało, ale po chwili było czyste i lśniące, i nieoczekiwanie zobaczyli w szybie swoje wyraźne odbicia, a za nimi, na zewnątrz, przymgloną, niesamowitą, białą krajinę śniegu.

- Ojej! - wykrzyknęła z nabożnym podziwem Cath.

- Może powinniśmy ulepić bałwana?

Spojrzała na Warrena, a następnie pobiegła do salonu i usiadła na kanapie, zostawiając dla niego miejsce obok siebie. On jednak wybrał fotel.

Cath zadarła nogę, kładąc stopę na kolanie, żeby sprawdzić, dlaczego jej buty robiły łup łup, klap klap.

- Spójrz!

Okazało się, że w gumowy obcas wbił się głęboko kamyk. Cath pokazała go Warrenowi, po czym spróbowała wydłubać kamyk paznokciem.

- Daj, ja to zrobię - zaproponował Warren.

Wsunął do ust kukurydzianego chipsa zanurzonego w pikantnym sosie pomidorowym, schrupał go błyskawicznie, a potem położył sobie jej stopę na kolanach i pracowicie zaczął wydrapywać kamyk.

- Zaczekaj - powiedziała po chwili Cath. Zabrała stopę, rozsznurowała but i zdjęła go. - Tak będzie łatwiej. Tak czy owak powinnam była zdjąć je od razu. Naniósłam śniegu do całego mieszkania.

Podawała mu but. Wziął go w jedną rękę, a w drugiej trzymał butelkę i popijał z niej piwo.

Odstawił butelkę, obok niej but, po czym położył sobie jej stopę na kolanach.

- Tak - uśmiechnął się - tak jest lepiej. - I zaczął masować podeszwę jej stopy.

- Nie - zaprotestowała Cath. - Nie to miałam na myśli.

Nie cofnęła jednak stopy, bezpiecznej w krótkiej skarpetce, i sama upiła łyk piwa.

- Posłuchaj! - wykrzyknęła nagle, wyszarpując mu stopę i gwałtownie wstając. - Chcesz zobaczyć moją pracę z prawa kryminalnego?

- Właściwie to nie - odparł Warren, marszcząc brwi. - Oddaj mi swoją stopę.

Cath przerzuciła papiery leżące na stole w jadalni.

- Warrenie, spójrz na moją pracę z prawa kryminalnego.

- Dobrze - zgodził się Warren.

Spojrzał.

STUDIA PRAWNICZE: WSTĘP

(ROZDZIAŁ: PRAWO KRYMINALNE)

„URZĄDZENIE PODSŁUCHOWE I APARAT FOTOGRAFICZNY Z TELEOBIEKTYWEM: DOPUSZCZENIE DO POSTĘPOWANIA KARNEGO NIELEGALNIE ZDOBYTYCH DOWODÓW”

CATH MURPHY (STUDENTKA NR 7893332)

„Obok głównych osiągnięć techniki, takich jak teleskop, soczewki i wiązka światła (...) istniały pomniejsze techniki wielokrotnej i krzyżującej się obserwacji, oczu, które widzą, same nie będąc widzianymi; (...) potajemnie przygotowujące nową wiedzę o człowieku”*.

- Ślicznie - rzekł Warren. - A gdzie reszta?

- To wszystko. Opracowałam tylko stronę tytułową. Parę tygodni temu.

- To wszystko - powtórzył Warren, odkładając kartkę. - Oddaj mi swoją stopę.

Cath usiadła i oddała mu stopę. Warren zabrał się do jej podbicia.

- Ale nie uważasz, że to kapitalne? - spytała po chwili. - Tytuł mi się prawie zrymował. „Urządzenie”, „dopuszczenie”, „nielegalnie”.

Warren wyznał, że nie zna się na rymach, ale zgodził się, że inni ludzie się znają. Przeszedł teraz do masowania jej palców, każdego po kolei.

- Wymasuj mi punkt, który odpowiada kolanu - poprosiła Cath. - Wiesz, że można się wyleczyć, masując pewne punkty na stopie? Na przykład jest punkt odpowiadający wątrobie i jelitom. Znajdź ten, który odpo-

* Foucault, *Nadzorować i karać. Narodziny więzienia* (przeł. Alan Sheridan, Penguin Books, Harmondsworth, 1977), str. 171.

wiada kolanu. - Zjadła chipsa kukurydzianego i dodała:
- Proszę.

Kiedy zignorował jej prośbę, zajmując się w dalszym ciągu palcami, wyjaśniła:

- Mam problem z kolanem. Przeszłam dwie operacje w szkole średniej i teraz w moim kolanie znajdują się metalowe gwoździe. Ale aparat rentgenowski na lotnisku nigdy ich nie wykrywa.

- Hmm - mruknął Warren. - Dobra, posłuchaj. Ja będę kolejno masował każde miejsce na twojej stopie, a ty mi powiesz, kiedy poczujesz, że twoje kolano zaczyna się kurować.

-Zgoda. Ale porozmawiajmy jeszcze o mojej pracy.

- To strona tytułowa! O czym tu rozmawiać?

- Foucault! - odparła Cath. - Nie zwróciłeś uwagi, że wykorzystałam cytat z Foucaulta? Nie muszę pisać ani słowa więcej. Ani jednego słowa. Tam chodzi o ważne rozróżnienie. Chodzi o drobne rzeczy. Jak mój mały palec, po prostu uciskaj mój mały palec, a kolano zostanie wyleczone.

Warren nie zareagował na prośbę Cath i ściągnął jej skarpetkę.

- Zapewne trzeba go i tak pocałować - stwierdził, całując palec.

- Warren! Miałam buty na nogach przez cały dzień. Nie całuj moich palców. Włóż mi skarpetkę.

- Może powinienem pocałować bezpośrednio kolano? - spytał Warren. - Może stopa nie wystarczy?

- Nie wiem - przyznała Cath.

- Ja wiem - rzekł Warren.

Przerwał masowanie i popatrzył na nią. Postawił jej stopę na dywanie, przeniósł się na kanapę obok niej i pocałował ją.

- To moje usta - powiedziała Cath, mrugając powiekami - a nie moje kolano.

Oddała mu jednak pocałunek z szaloną ulgą.

Fancy Zing

RZECZY, KTÓRE MNIE IRYTUJĄ W MOIM MEŻU, # 5

Dajmy na to, że jest zwykły wieczór w powszedni dzień, sprzątam kuchnię i prawie już skończyłam - zmywarka do naczyń załadowana, detergent znajduje się w swojej przegródce, została do spłukania, tylko duża blacha do pieczenia - gdy dokładnie w tym momencie wchodzi Radcliffe i przybierając wielkopańską pozę, oznajmia: „Zostaw to. Ja dokonczę”.

Fancy zamknęła swój sekretny notatnik i odchyliła się na oparcie fotela przy biurku. Spędzi teraz dwadzieścia minut nad swoją powieścią, za którą otrzyma nagrodę literacką. Była 10.23.

Fancy, która przeczytała kilka nagrodzonych książek, była przekonana, że zna na to przepis:

1. Wymyślić prostą historię.
2. Sporządzić długą listę.
3. Rozproszyć zawartość listy po całym tekście.

Na przykład w nagrodzonej powieści, którą Fancy właśnie przeczytała, autor zrobił, co następuje:

1. Wymyślił prostą historię, gdzie dwoje ludzi zakochuje się w sobie, potem mężczyzna zostawia kobietę, kobieta płacze.

2. Sporządził długą listę gatunków drzew.

3. Rozproszył liście tych drzew po całym tekście.

Tak więc zdanie: „Łzy popłynęły jej z oczu” brzmiało obecnie:

„Łzy w kształcie liści klonu cukrowego leciały gradem z jej oczu (niczym niezliczone liście dębu amerykańskiego w jesienny dzień).

Voilà! Powieść (która zdobędzie nagrodę) o bogatej fakturze literackiej, opowiadająca o miłości i rozstaniu.

Fancy doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli trochę poprzestawia składniki przepisu. (Twórcza wena dopisywała jej w kuchni). Zacznie od listy, a następnie rozwinie wokół niej narrację. Choć nie była jeszcze na etapie sporządzania listy, rozpoczęła już spisywanie rzeczy, które powinny się znaleźć na tej liście.

Pisała na odwrocie starego rachunku telefonicznego, który nosiła ze sobą w torebce wszędzie, dokądkolwiek poszła. Był cały poplamiony sokiem z żurawin.

LISTA EWENTUALNYCH LIST

- dźwięki
- rzeczy, które są gorące
- pyszne rzeczy do picia
- obce waluty
- ryby

- H m m - powiedziała, przesuając paznokciem po liście. - Ryby?

Ogarnęła ją lekkie podniecenie, wzięła pióro i szybko napisała:

„Łzy w kształcie pstrągów płynęły z jej oczu (niczym ławica owych szybkich szklistych rybek, które spotyka się w tropikalnych wodach)”.

Zadowolona, usiadła przy komputerze i wpisała słowo „ryba” do tezaurusa edytora tekstów. „Wędkować” - zasugerował natychmiast. I „trałować”.

- Nie, nie - skarciła go łagodnie. - Chodzi mi o rzeczownik.

Usiadła wygodnie, marszcząc brwi, mruknęła: „oczywiście!”, po czym wpisała słowo „ryba” do Google'a. Przez kilka minut bazgrała pośpiesznie nazwy ryb - diademkowate, zrosłoszczękie, błazenki, czyli amfipriony, promieniopłetwe - potem jednak odkryła niezwykle wyczerpującą witrynę internetową. Dzieliła ona ryby na kategorie (takie jak ryby morskie i słodkowodne), lecz potem rozszerzała jeszcze każdą kategorię na kilka innych. Podkategoria rozpadała się na podpodkategorie, one zaś na pod-pod-pod. Istny potop ryb. Ani jedna ryba nie pozostawała w bezruchu: nawet złota rybka stawała się welonem, lwią główką, teleskopem, kometa. Na miłość boską! Nie wspominając o nazwach łacińskich. *Carassius auratus*, przepisała starannie, po czym parsknęła: „phi!” i odłożyła pióro. Doprawdy, jest zbyt wiele ryb, by zmieścić się na odwrocie rachunku telefonicznego.

Było tam również za dużo odsyłaczy do strumieni, mokradeł, zatok i akwariów, co przypomniało jej o czymś. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do siłowni Castle Hill. Odebrał mężczyzna o ochrypłym głosie.

Odchrząknij, pomyślała Fancy, na głos jednak powiedziała:

- Dzień dobry. Dzwonię, by dowiedzieć się, w jakich godzinach można korzystać u was z basenu. Mam nadzieję, że może mnie pan poinformować, kiedy jest tam najspokojniej.

- Najspokojniejsze są godziny poranne w piątki od dziewiątej trzydzieści do jedenastej trzydzieści - odparł mężczyzna o ochrypłym głosie - ale wtedy...

Gdy mężczyzna mówił, Fancy zaznaczyła kółkiem pierwsze słowo na liście („dźwięki”) i postukała w nie piórem, marszcząc brwi. Ta kategoria, podobnie jak ryby, była o wiele za szeroka.

Mężczyzna po drugiej stronie linii śmiał się chrapliwie, nieprzyjemnie.

- Dobrze - zakończyła raptownie rozmowę - dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, przekreśliła słowo „dźwięki” i zastąpiła je hasłem „NIEPRZYJEMNE DŹWIĘKI!!!!” Spojrzała na zegar w swoim komputerze. 10.42. Gdy patrzyła nań przez chwilę, zrobiła się 10.43.

-A więc na tym koniec - oznajmiła z zadowoleniem.

Siedząca z tyłu Cassie zapięła środkowy pas, żeby móc się wychylać między oparciami przednich siedzeń i rozmawiać z tatusiem lub mamusią.

Mama prowadziła samochód, a tata zmieniał stacje radiowe. Przechylił głowę na bok, żeby uważnie wysłuchać wiadomości. Mamusia miała na nosie ciemne okulary i trudno było zgadnąć, czy też ich słucha, czy nie.

Cassie przyjrzała się zakupom w pudle stojącym obok niej, które właśnie zrobili w Coles. Były okropnie nudne. Seler naciowy, mleko, kalafior i papier toaletowy.

- Mamusiu? - powiedziała Cassie.

- Ćśś - skarcił ją tata, w dalszym ciągu słuchając wiadomości z przekrzywioną głową.

- Radcliffe - odezwała się mama - to tylko prognoza pogody.

- Prawdę mówiąc, chcę się dowiedzieć, czy będzie dobra pogoda na żagle w ten weekend - rzekł tata spokojnie.

- Absolutnie nie możemy wybrać się na żagle w ten weekend! - oświadczyła mama. - Państwo Samsonowie i Bellamy przychodzą w sobotę na kolację. Nie wspominając o niedzielnej wizycie twoich rodziców!

- Nie musimy spotkać się z Samsonami i Bellamy - zaprotestował tata. - Możemy odwołać kolację.

- Myślę, że sam dojdiesz do wniosku, iż musimy - stanowczo wyraziła swą opinię mama.

- Wiesz, że nie lubię rutyny, Fancy.

- To nie jest kwestia rutyny, Radcliffe. To kwestia dobrego wychowania. Nie można umawiać się z kimś na kolację, a potem odwoływać zaproszenie jedynie dlatego, że przyszła ci ochota pożeglować. Poza tym, co masz na myśli, mówiąc o rutynie? Samsonów i Bellamych od wieków nie zapraszamy!

- Co rozumiesz przez rutynę? - wtrąciła Cassie z tylnego siedzenia.

- Nie lubię też, kiedy mówi mi się, co mogę zrobić, a czego nie - rzekł lodowatym tonem tata.

- Radcliffe, nie bądź śmieszny, dobrze? Proszę.

- Nasza dalsza dyskusja nie ma sensu - odparł tata, wzruszając ramionami. - Po prostu robię coś albo czegoś nie robię, według własnego uznania. Dziękuję bardzo. - Wyłączył radio, by móc się złościć w spokoju.

- Jaka dyskusja nie ma sensu? - wycodziła mama.

Cassie pomyślała, że powinna siedzieć cicho, najpierw jednak musiała wymamrotać pod nosem:

- Co rozumiesz przez rutynę? Co rozumiesz przez rutynę? Co rozumiesz przez rutynę? Światło jest zielone, mamusiu - przerwała samej sobie.

-Dziękuję, Cassie. - Mama wcisnęła pedał gazu i samochód ruszył do przodu jak wystrzelony z procy.

RZECZY, KTÓRE MNIE IRYTUJĄ W MOIM MEŻU, # 6

Dajmy na to, że właśnie byli u nas w sobotę na kolacji państwo Bellamy i Samsonowie. Dajmy na to, że po wieczorze wypełnionym głośnymi rozmowami, gdzie panowie mieli na sobie koszule zapięte na ostatni guzik, a panie szeleszczące spódnice, Bellamy i Samsonowie wyszli. Zostały po nich: parafina ze świec, puste salaterki, noże do chleba, skorupki jajek, sterty talerzy i buraczki na podłodze. Cóż, kiedy już zamknę drzwi po takim przyjęciu, lubię wyjąć spod zlewu worek na śmieci i zacząć od brudnych serwetek.

Natychmiast czuję za sobą przesycony porto oddech! Radcliffe mruczy swoim chropawym głosem: „Zostaw to. Zostaw to teraz”. Jego ręce na moich ramionach sterują mną w kierunku łóżka.

Zostaw to! Jak gdyby był królem ofiarowującym mi najcenniejszy skarb - siebie.

Fancy gwałtownie otworzyła notatnik, zdjęła nasadkę z czarnego flamastra i poleciła:

-Radcliffe, wymień mi kilka nieprzyjemnych dźwięków.

- Zaraz. - Radcliffe odchylił się na oparcie swojego telewizyjnego fotela, by pomyśleć. Szły właśnie jakieś jazgotliwe reklamy. - Skrobanie paznokciem po tablicy - podsunął, gdy skończyły się dwie reklamy.

Fancy odłożyła flamaster.

- Tego nie zapiszę.

- Dlaczego?

- To bardzo pospolite, Radcliffe. Ja potrzebuję czegoś oryginalnego.

- Zbyt pospolite? No cóż. - Namyslał się przez chwilę, musiał jednak zrobić przerwę, by obejrzeć zabawną reklamę margaryny. - Ciężkie kroki - zaproponował w końcu - w pokoju nad nami.

- To jest fajny dźwięk - zaprotestowała Cassie siedząca na podłodze obok kanapy. Podczołgała się bliżej rodziców. - Myślę, że to fajny dźwięk, jeśli słyszy się odgłos kroków na górze, ponieważ zadajesz sobie wtedy pytanie: „Kto tam jest?” Zastanawiasz się, czy to przypadkiem nie duch, a może Święty Mikołaj lub babcia, lub jeszcze ktoś.

- Co babcia robi na górze? - spytał z powątpiewaniem Radcliffe.

- Zgadzam się z Cassie - poparła córkę Fancy. - Przykro mi, Radcliffe, musisz jeszcze pogłódkować.

- Ach! - westchnął z irytacją Radcliffe. - Dźwięk twojego głosu!

Fancy i Cassie wykrzyknęły chórem: „Phi!”, po czym Cassie oznajmiła z naciskiem:

- Mamusia ma piękny głos!

Radcliffe wzruszył ramionami.

- Skończyły się reklamy.

- Brakuje ci wyobraźni - oświadczyła Fancy, zamykając notatnik.

- Nie jest mi potrzebna - odparł uprzejmie Radcliffe, podnosząc do ust kieliszek z winem. - Telefon! - podsunął, gdy ten zaczął właśnie dzwonić.

Gdy Fancy podniosła słuchawkę, usłyszała: „Jego penis miał zapach pappadamu?”. Była to oczywiście jej redaktorka, Tanya.

- Wiedziałam, że nie spodoba ci się ten wers - rzekła beztróska. - To go wytnij.

- Poważnie, Fancy, czy on nie powinien wziąć prysznicu? Skoro jego penis śmierdzi? Jest brudny. Dopisz scenę pod prysznicem, jeśli chcesz.

Tanya zawsze pracowała w nocy, oglądając jednocześnie japońskie filmy kung-fu, toteż w słuchawce słychać było przyśpieszone oddechy i od czasu do czasu okrzyki.

- Mówiłam już, że możesz to wyciąć - powiedziała Fancy, siadając po turecku na podłodze i opierając się o ścianę.

- W porządku. Świetnie. Wytnę to, ale Fancy, kochanie, co z tym szczególnym, intymnym miejscem między twoimi nogami?

- Mamusiu - spytała szeptem Cassie, idąc do niej na palcach przez hol - chcesz, żebym przyniosła ci pulower?

W pokoju telewizyjnym był włączony grzejnik, ale w holu panował lodowaty chłód.

- Tak. - Fancy poruszyła bezgłośnie wargami, kiwając głową, który to gest Cassie uznała za przyzwolenie, by popędzić z tupotem przez hol.

- Nie chodzi o m o j e nogi - rzekła dobitnie Fancy.

- Zaraz, zaraz! - zawołała redaktorka. - Sprawdź to, Fancy. W twoim tekście facet wsadza łokieć innemu w usta, a ten łokieć jakimś sposobem wychodzi mu z tyłu głowy.

- Phi - prychnęła Fancy.

- Posłuchaj, a co się stało z futerkiem? To było twoje ulubione słowo. Zaczynam czytać maszynopis przygotowana na twoją słodką odmianę futerka i co znajduję? „Szczególne, intymne miejsce między jej nogami”. Czy nazwałabyś to - bo ja wiem - związłym określeniem?

- Nie - przyznała Fancy. - Ale jest rytmiczne, nie sądzisz?

- Jest to coś, co można nazwać pieprzoną bzdurą. Jeśli przestało ci się podobać futerko, wybierz coś nowego, a ja poznajdę wszystkie „intymne miejsca” w tekście i zmienię. No dalej, wybieraj! Masz na to dziesięć sekund. Dziesięć, dziewięć... o kurwa, to był jego paznokieć u nogi!

- Myślę, że powinnyśmy zrobić takie obracające się koło, jakie proponowała moja siostra - powiedziała Fancy. - Wiesz, niech recenzentka zdecyduje, co woli. Umieść wszystkie możliwe określenia intymnych części ciała na kole i obracaj nim, dopóki nie natrafisz na to, które ci się najbardziej spodoba.

- Ach tak, znakomity pomysł. Dobra, Fancy, książka bardzo mi się podoba. Tenista to gość, a scena z puszką na piłki tenisowe? No, no! Dlaczego nie chcesz wrócić do futerka? A może masz jakieś inne pomysły?

- Cóż - Fancy zniżyła głos. - Myślałam o cipie.

- Hola, hola! - wykrzyknęła Tanya, a Fancy czekała cierpliwie. - Hola, hola, Fancy - powtórzyła - to nie dla twoich czytelniczek. Nie możesz użyć tego słowa. Jest ordynarne, Fancy, to jedno z tych słów, które uderza w cały rodzaj kobiecy.

- Myślałam - rzekła Fancy - że może pora już, by je oswoić. Wiesz, uczynić je naszym własnym. Czy światowe kobiety nie mogą postanowić, że będą cwane i zaczną nazywać się nawzajem cipami?

- Będziesz musiała dać mi trochę czasu na przemyślenie tego.

- Chwileczkę - przeprosiła ją Fancy - mam sygnał rozmowy oczekującej. - Mogę cię na moment przeprosić?

- W porządku, odbierz. Zadzwoń. Na razie.

Fancy rozłączyła się z Tanya. Na rozmowę oczekiwała jej siostra Marbie.

i - Jesteś ubrana na czarno? - spytała Marbie.

- Och, doprawdy, dzisiaj? Dlaczego? Jest okropnie zimno! - Mówiąc to, podniosła wzrok i zobaczyła swoją córkę, trzymającą w rękach jej ulubiony czarny pulower. - Dziękuję, Cassie - powiedziała. - Marbie, czy znasz moją piękną, wielkoduszną i troskliwą córkę, Cassie?

- Ona mnie zna, mamusiu - zachichotała Cassie - jest przecież moją ciocią! - I ślizgając się, pobiegła z powrotem przez hol.

- Chodzi o konserwację - wyjaśniła Marbie. - Nie ma dobrej widoczności, pamiętasz? Możemy to zrobić bez przeszkód, jeśli od razu wyjdziemy. Spotkamy się przy furgonetce lodziarza?

Gdy Fancy przyjechała na miejsce, Marbie nie było przy furgonetce lodziarza. Była już na drzewie nad furgonetką.

Fancy udawała, że zastanawia się nad asortymentem lodów (pojedynczy rożek, podwójny rożek, pojedynczy w polowie czekoladowej, z wórkami itd.), po czym spróbowała, mrużąc oczy, przebić wzrokiem ciemność.

Marbie dała jej znak „wszystko gotowe” (obie dłonie na płask na głowie). Omal nie straciła równowagi i musiała złapać się z hałasem kępki liści.

Fancy zasygnalizowała „świetnie, i pamiętałam o wszystkich narzędziach” (figlarnie zakręciła torebką), po czym szybko przebiegła na drugą stronę ulicy do bloku mieszkalnego. Bez wahania, pewnie wstukała kod i weszła do budynku.

Obie z Marbie nauczyły się otwierać zamek wytrychem, kiedy miały zwinne i wypoczęte palce. Weszła do mieszkania po niespełna trzech sekundach, uśmiechnęła się do kota i przemknęła cicho po pokojach, sprawdzając szybko Pustkę. (Kiedyś Fancy zastała w łazience hydraulika, ale pomysłowo natychmiast go skaptowała. Obecnie był jednym z ich najlepszych).

W jadalni otworzyła torebkę, wyjęła z niej pilnik do paznokci. Przypadkiem wysunął się też rachunek telefoniczny. Kot miauknął.

- Hmm - mruknęła, siadając przy stole i spoglądając na swoje notatki na odwrocie. Trochę odsunęła rozrzucone niedbale papiery i zaczęła studiować swoją Listę Ewentualnych List.

- dźwięki NIEPRZYJEMNE DŹWIĘKI!!!
- rzeczy, które są gorące
- pyszne rzeczy do picia
- obce waluty
- ryby

Tyle tylko, że słowo „ryby” było teraz płataniną cienkich linii łączących je z różnymi gatunkami ryb. „Przedmioty w domu rodzinnym” dopisała Fancy do listy. Kot miauknął znowu i Fancy powiedziała: „Cześć”, po czym w błysku natchnienia dodała jeszcze pod spodem: „koty”. Obok nabazgrała: „w tym również lwy, tygrysy, pantery itd.!!!, koty domowe?”

„Miau, miau” - odezwał się kot.

-Jesteś głodny, tak? - mruknęła kojącym tonem Fancy, wyciągając lewą rękę, by pogłaskać kota, ale jego tam nie było.

Podniosła wzrok i zobaczyła kota stojącego po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach, dzwonek przy jego obróżce cicho pobrzękiwał.

- Jak...? - zaczęła Fancy.

Wciągnęła spazmatycznie powietrze, wyjęła pager (który miauczał, nawet gdy wcisnęła guzik odbioru wiadomości) i przeczytała: **ZMYWAJ SIĘ NATYCHMIAST!**

Właśnie w tej chwili szczęknął klucz w zamku.

W poniedziałkowy wieczór u Zingów, po kolacji, Fancy usiadła na dywanie obok Listen i poprosiła:

-Wymień kilka dźwięków, których nie lubisz słuchać.

-Zgrzyt karoserii zderzających się samochodów - podsunął Vernon siedzący przy stole.

- Nie ty - powiedziała Fancy, lecz zapisała jego propozycję w notatniku. - Pytam Listen, ciebie zapytam później.

Listen zastanawiała się w skupieniu.

- Musisz wymyślić coś nietuzinkowego - doradził oschłym tonem Radcliffe. - W przeciwnym razie dopieczę ci do żywego.

- Och! - wykrzyknęła babcia Zing. - Radcliffe! Czy ona była dla ciebie niedobra?

- Wręcz okrutna.

- Plusk kałuży - przerwała im Listen - kiedy niechcący wdepniesz w nią tenisówką.

- Świetnie! - Fancy zapisała szybko.

-Dźwięk, jaki wydaje komputer w naszej szkolnej bibliotece - dodała Listen. - Coś w rodzaju ohydnie brzmiącego pisku, kiedy oddajesz książkę i okazuje się, że przetrzymałaś ją za długo. Pasuje ci?

- Doskonale! - Fancy gryzmoliła jak szalona.

- Daj spokój, Fancy! - zawołała babcia Zing. - Idziemy wszyscy do szopy!

-Fancy - skinał na nią Radcliffe, stając obok jej matki - chodź, kochanie.

Siedząca na niewielkim podium w drugim końcu szopy babcia Zing popatrzyła ze zmarszczonymi brwiami na notatnik.

-Uwzględniłaś kwestię pagera? - spytała Fancy matkę, która potaknęła z uśmiechem, zwróciła się więc

do siostry, otwierając znowu swój notatnik. - Marbie, a ty jakich dźwięków nie lubisz?

- Myślę, że wasza matka chce rozpocząć naradę.

Radcliffe wyprostował się na krześle. Miał na nosie okulary do czytania i zdążył już wymienić dwie halogenowe żarówki w szynowym systemie oświetlenia.

- Nie, nie, nie przeszkadzajcie sobie - rzekła babcia Zing, przerzucając stertę dokumentów w pudle. - To jeszcze trochę potrwa.

-Niektórzy ludzie - odparła Marbie po krótkim namyśle - chrząkają w taki dziwny sposób. Brzmi to jak coś w rodzaju „hmm”. Nie wiedzą nawet, że to robią. Po prostu wydają ten dźwięk przy czytaniu lub rozmyślaniu.

Fancy zapisała słowo „hmm”.

-Wyobrażam sobie, że szcęk klucza w zamku może być odgłosem, którego wolałabyś nie słyszeć! - krzyknęła babcia Zing z figlarnym błyskiem w oku.

Podniosła się wrzawa, ponieważ wszyscy zaczęli się przekrzykiwać: „Tak, Fancy, co zrobiłaś?”, „Jak ci się udało uciec przez okno?”, „Mało brakowało, a...”, aż w końcu Radcliffe powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem:

-Powinniśmy porozmawiać o tym w odpowiednim momencie podczas narady, prawda?

- O Boże - jęknęła Fancy, zamykając notatnik. - Jak mogłam dopuścić, żeby coś takiego się stało? Musiałam chyba stracić sprawność!

Znowu podniosła się wrzawa, ponieważ wszyscy zapewniali ją zgodnie, że to nieprawda.

- Pomyśl sama, jak otworzyłaś okno, jak zamknęłaś je za sobą, jak skoczyłaś na drzewo i niezauważenie zsunęłaś się po gałęziach na dół! - zawołała Marbie. - Uważam, że jesteś wspaniała. Zresztą to wszystko moja wina,

Fancy - zauważyłam nadjeżdżający samochód dopiero w ostatniej chwili.

- Dlaczego go nie widziałaś? - spytał uszczypliwie Radcliffe.

- Byłam rozkojarzona.

- Z jakiego powodu?

- Całe szczęście - przerwała mu Fancy - że od razu włączyła telewizor i została w salonie. Gdyby tego nie zrobiła... to kto wie?

- Trzeba zmienić dźwięk pagera - uznał Radcliffe.

- I wszyscy myśleliśmy, że to było miauczenie kota - wtrącił Vernon.

W szopie rozległ się ogólny pomruk, a Marbie kopnęła Vernona w kostkę, zaraz jednak objęła go z dumą, gdy tymczasem babcia Zing spytała:

- Możemy zacząć naradę? Dziś mamy rozporządzenie!

- Zużyte klocki hamulcowe - szepnął dziadek Zing, nachylając się do Fancy - okropnie piszcza.

Wskazał na notatnik Fancy, a ona poruszyła wargami, mówiąc bezgłośnie: „Dzięki, tato”, i zanotowała jego propozycję.

-Ja, ja!

Cassie miała w górze siedemset rąk, jej ramiona były napięte jak struny. Zachodziła obawa, że jeszcze moment, a głowa jej odpadnie. Natomiast Marcus Ellison siedział z brodą opartą na dłoni, a jego druga ręka zwisała bezwładnie z ławki. Kiwał nią jak marionetka.

Panna Murphy skinęła już głową i uśmiechnęła się do Marcusa, kiedy Cassie niemal krzyknęła: „Ja, ja” i podniosła do góry siedemset rąk. Zaskoczona panna Murphy zmarszczyła nos.

- Cassie! - powiedziała, a w klasie rozległ się szmer głosów: „Cassie chce to zrobić”, „I co teraz?”

Panna Murphy z powagą zastanawiała się przez chwilę, po czym oznajmiła:

-Dziękuję, Cassie, to bardzo szlachetnie z twojej strony. Może jednak napiszesz sztukę na kolejny apel, a Marcusa poprosimy, żeby zrobił to na koniec roku. Biorąc pod uwagę, że właśnie się zgłosił na ochotnika i zawsze pisze dla nas takie świetne sztuki. Nie sądzisz?

- Nie - odparła stanowczo Cassie, opuszczając rękę.

- A właśnie, że tak - rozległy się w klasie okrzyki protestu.

- Panno Murphy? To jest dyskryminacja ze względu na płeć - oświadczyła Cassie. - Wybór Marcusa zamiast mnie. Dyskryminacja ze względu na płeć.

- Dyskryminacja ze względu na płeć - powtórzyła panna Murphy. - Interesujące, Cassie. Może wobec tego powinniśmy porozmawiać o dyskryminacji. Kto potrafi wyjaśnić, co oznacza to słowo?

Cassie podniosła blat ławki i zatrzęsnęła go z hukiem.

- Cipa - wymamrotała - cipa, cipa, cipa. - Następnie pochyliła się do przodu i zaczęła liczyć na palcach, szepejąc do siebie.

Panna Murphy stała sztywno, jak gdyby połknęła kij, utkwivszy wzrok w planszy przedstawiającej układ słoneczny.

- No, ktoś spróbuje odpowiedzieć? - spytała. - Dyskryminacja?

- Panno Murphy - zawołała Elaine Yin. - Czy pani nie słyszy, co mówi Cassie?

- Wiecie co? - wykrzyknęła panna Murphy. - Mam wspaniały pomysł! Myślę, że powinniśmy mieć sztukę składającą się z dwóch części - jedną napisze Marcus,

a drugą Cassie. Zgadzasz się, Marcus? Zgadzasz się, Cassie?

Zaskoczona Cassie podniosła wzrok, przestając gorączkowo liczyć.

- Chyba tak.

Na twarzy Marcusa Ellisona odmalowała się wściekłość, lecz panna Murphy udała, że tego nie widzi.

-A o czym chcesz napisać swoją sztukę, Cassie? - zainteresowała się Lucinda, gdy wychodziły z klasy na drugie śniadanie.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - rzekła Cassie.

Ale prawdę mówiąc, już się zdecydowała. Było to całkiem łatwe. Napisze sztukę o tematyce erotycznej.

-Dopadnę cię, Cassie Zing - zagroził szeptem Marcus Ellison.

- Ja cię dopadnę pierwsza - odparła Cassie, przechylając głowę.

Odwiesiwszy słuchawkę po rozmowie z siostrą, Fancy weszła do pokoju telewizyjnego i powiedziała do Radcliffe'a:

- My nigdy nie wyjeżdżamy.

- Gdzie oni teraz są? - Radcliffe póleżał rozparty w rozkładanym fotelu z chowanym sztruksowym podnóżkiem.

- Kto? - spytała Cassie. - Kto i dokąd jedzie?

- Marbie, Vernon i Listen. Jada w Góry Błękitne, żeby zobaczyć śnieg. Wiedziałaś, że w Katoomba pada śnieg? Dzwonili z pociągu, są w drodze. O tej porze. W środę wieczorem! Pamiętasz, Radcliffe, kiedyś chodziliśmy po Górach Błękitnych?

-Jak powiedziała aktorka do biskupa - mruknął Radcliffe.

Fancy wytrzeszczyła na niego oczy.

- CO TAKIEGO?

- Jasne, że pamiętam! - wziął się w garść Radcliffe, a Fancy wyjaśniła Cassie:

- Tam właśnie oświadczył mi się twój tatuś!

-Zaraz zacznie padać tutaj - zauważyła Cassie siedząca na podłodze przed telewizorem. - Szkoda tracić pieniądze na bilet kolejowy.

- Kochanie, siedzisz za blisko ekranu, wiesz o tym.

- Tutaj nie będzie padał śnieg, Cass.

- A właśnie, że tak, tatusiu. Będzie padał. Słyszałam w wiadomościach.

- W Sydney nie ma opadów śniegu, dziecko.

- Cassie, skarbie - odezwała się z niepokojem Fancy. - Czytałam gdzieś o takim eksperymencie, gdzie stawiali fasolę w doniczkach tuż przed ekranem telewizora, tak blisko jak ty siedzisz, i kazali roślinkom oglądać telewizję. Roślinki rosły blade i wątłe i prawie nie rodziły fasolek.

- Ja nie jestem fasolą.

- Cassie nie jest fasolą - zgodził się Radcliffe.

- Owszem, ale i tak siedzi zbyt blisko telewizora.

-Popsuje sobie oczy, przyznaję. Kiedyś zapłacimy majątek za wizyty u okulisty. Cassie, będziesz płaciła sama za okulistę?

-Tak.

-Dobra, wobec tego załatwione. Przestań marudzić. Fance, i usiądź.

Cassie rosła blada i wątła, była świetną biegaczką, ale nie miała żadnych fasolek.

W piątek wieczorem, przy stole w jadalni Zingów, kiedy do ferii został już tylko jeden tydzień, Fancy, która przez długi czas rozmawiała z Listen, oświadczyła, że wszyscy muszą pomóc jej w pracy domowej.

- „Wybierz dwa morskie stworzenia” - recytowała Fancy, a Listen kiwała zachęcająco głową. - „Mogą to być stwory mityczne i niekoniecznie ryby”.

- Nie muszą być rybami - powtórzyła szeptem babcia Zing, wyraźnie zachwycona.

- Dorada i pstrąg tęczowy - podsunął natychmiast dziadek Zing.

- Barwena i syreny - zaproponowała babcia Zing.

- Kolcobrzuch i płaszczka - powiedział Vernon.

- Ryba i frytki - zachichotała Cassie.

- Dorsz i... - Radcliffe kilkakrotnie pstryknął palcami.

- Śledź marynowany i homar w sosie mornay - zasugerowała Marbie. - Ostrygi i małże.

- Myślałam o tym, żeby może wziąć przeciwieństwa - wtrąciła Listen. - Na przykład jedna rzecz bardzo, bardzo duża, a druga bardzo, bardzo mała.

- No to wieloryby - rzekł Vernon.

- Zdecydowanie wieloryby - przytaknęła Listen.

- I pasują tu glony morskie - wtrąciła Cassie - albo owoce morza.

- Świetny pomysł, Cassie, ale ja myślałam raczej o konikach morskich.

- Ty już wiesz, co wybrałaś - zauważyła babcia Zing. - Wieloryby i koniki morskie. Widzicie? Wieloryby i koniki morskie. To po co ona nas pyta?

- Nie wiedziałam aż do tej chwili - wyjaśniała Listen. - Po prostu pomogliście mi podjąć decyzję. Bardzo dziękuję.

Rozejrzała się dookoła, wszyscy pokiwali głowami, z wyjątkiem Fancy, która się zastanawiała.

- Czy to muszą być zwierzęta morskie? - spytała Fancy. - Nie mogą to być, powiedzmy, smoki i krowy?

- Nie wydaje mi się - odparła przeprasza jąco Listen. - To na lekcje o oceanie. Ale kilka dni temu, na zajęciach taekwondo, dowiedzieliśmy się o Wielkim Mistrzu, który pierwszy przewrócił krowę zwinnym kopnięciem w bok. Mogłabym wspomnieć o tym w pracy domowej, gdybym pisała o smokach i krowach.

- Przewrócił krowę! Dlaczego miałby to robić?

- To nie była krowa - przypomniała sobie Listen.
- To był byk.

- Vernon - poprosiła szeptem Marbie - przeczytaj list. Proszę wszystkich o ciszę. Masz go ze sobą, Vernon? Świetnie. Wszyscy słuchają. Vernon będzie czytał.

Vernon, nie wypuszczając widelca z jednej ręki, drugą wyjął z kieszeni złożoną kartkę. Odkasznął, rozkładając ją.

- Ale byk jest chyba krową - powiedziała do siebie Listen. - A może nie?

Fancy pochyliła się w stronę sosu.

- Mogłabyś...? - spytała. - Sos?

- Ciii - ofuknęła ją Marbie i podała jej sos. - Vernon usiłuje czytać.

Vernon uśmiechnął się uprzejmie do Fancy, by pokazać, że jej wybacza, jak również zdaje sobie sprawę, że nie zaczął jeszcze czytać. Następnie odchrząknął i przeczytał:

- „Drodzy Rodzice”. Powiniennem dodać, że jest to list ze szkoły Listen.

Powiódł spojrzeniem po siedzących przy stole, wszyscy pokiwali głowami, z wyjątkiem Listen, która wycedziła lodowatym tonem:

- Vernon, dlaczego czytasz list z mojej szkoły?

- Ćśś - rzekł Vernon, patrząc znowu na list.

- Uzbrój się w cierpliwość, Listen. Uzbrój się w cierpli-

wość. Dobra. „Z przykrością informujemy, że w naszym żeńskim katolickim gimnazjum St Carmel nastąpił nieoczekiwany kryzys”.

- Kryzys! - wykrzyknęła z przejęciem babcia Zing.

- „Z powodu wadliwego podłączenia - czytał dalej Vernon, kiwając głową, tak, kryzys - z powodu wadliwego podłączenia pękła rura wodociągowa i wiele pomieszczeń siódmych klas zostało zalanych”.

- Rura wodociągowa! - zawołał dziadek Zing, cofając się z krzesłem, jak gdyby chciał pochwalić się rozłożoną na kolanach serwetką. - Czy twoja szkoła nie zabezpiecza rur wodociągowych przed pękaniem?

Wszyscy popatrzyli na Listen, czekając na odpowiedź.

- Cóż, domyślam się, że nie! - zagrmiał Radcliffe.

- Ponieważ jedna z nich właśnie pękła!

Wszyscy krzykali, z wyjątkiem Listen, która przez krótką chwilę uśmiechała się uprzejmie, po czym zamrugała powiekami.

- Widziałas, jak pęka? - spytała Fancy. - Przemoczyłaś sobie nogi?

Listen wyjaśniła, że stało się to w ubiegły czwartek, kiedy ona była w Górach Błękitnych, toteż nie przemoczyła sobie nóg. Dodała, że od tamtej pory lekcje odbywały się w pracowniach fizyczno-chemicznych lub na dworze, mimo lodowatego chłodu.

- Powinnaś nosić ze sobą mały dywanik pod kolana - zasugerowała babcia Zing.

- „Niestety - czytał uroczyście Vernon - fachowcy nie zdołali przybyć na czas, by zapobiec dewastacji tych pomieszczeń. Lekq'e klas siódmych odbywają się obecnie w pracowniach fizyczno-chemicznych i, kiedy to możliwe, na boisku szkolnym...”.

- To już wiemy - przerwał mu dziadek Zing. - Listen właśnie nam powiedziała.

- „Postanowiliśmy jednak przenieść uczniów siódmych klas na zimowy semestr, dopóki awaria nie zostanie usunięta. Proszę dopilnować, by od pierwszego dnia po feriach wasze córki zgłosiły się do...”.

Vernon zawiesił dramatycznie głos.

- Żeby zgłosiły się gdzie? - Babcia Zing poprawiła się na krześle. - Marbie? Dlaczego on nie kończy czytać?

- Ponieważ mu przerywacie. Vernon, powiedz im gdzie.

- „Do szkoły podstawowej Redwood” - przeczytał Vernon.

- Coś takiego! - wykrzyknął Radcliffe, a pozostali patrzyli po sobie w milczeniu.

- To szkoła Cassie! - zauważyła zbytecznie babcia Zing.

- Ale ja chodzę do szkoły podstawowej. - Cassie była zaskoczona. - A Listen jest w gimnazjum.

- Właśnie - potwierdziła Listen. - Jak mogę się tam przenieść? To niemożliwe.

- Mamusiu - zaprotestowała głośno Cassie. - Listen jest w siódmej klasie!

- Chyba po prostu nie powinnam uczęszczać do szkoły w następnym semestrze - powiedziała Listen, po czym dodała znacznie sympatyczniejszym tonem, kierując swoje słowa do Cassie: - Chociaż bardzo chciałabym chodzić z tobą do szkoły, Cassie.

Fancy rozejrzała się dookoła i spostrzegła gazetę na kredensie. Wzięła ją i oderwała róg.

- Czy ktoś ma coś do pisania? - spytała.

- Mamo! - nie ustępowała Cassie. - Listen nie może chodzić do mojej szkoły, prawda?

- Prawda - zgodziła się Listen.

- Radcliffe, podaj mi pióro.

Radcliffe sięgnął do marynarki wiszącej na krześle i wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni.

- Nie zapomnij mi go zwrócić - przykazał.

- Czy to nie zdumiewające? - Marbie podskoczyła na krześle. - Listen idzie do szkoły Cassie!

- Mamusiu! - nudziła Cassie. - Mamusiu!

Fancy zanotowała na skrawku gazety: „Groszek na widelcu może czasami wyglądać jak abakus!” Złożyła papierek i położyła go obok talerza.

- Mamusiu - zawyła Cassie.

- Cicho - zgromiła ją Marbie.

- Kochanie? - powiedziała Fancy.

Wszyscy rozmawiali o zalaniach i o fachowcach, o szkołach podstawowych i średnich, o nauczycielach i o wozach strażackich. Babcia Zing i Radcliffe zaczęli zbierać talerze.

Radcliffe szybko pozgarniał zgniecione serwetki. Zgarnął jednocześnie skrawek gazety z notatką Fancy: „Groszek na widelcu może czasami wyglądać jak abakus!”, który leżał teraz na talerzu, mokry od sosu. Zeskrobał wszystko z talerza do pojemnika na śmieci.

Później, tego samego wieczoru, Fancy usiadła przy biurku i zabrała się do pisania listu.

Droga Panno Murphy!

Dziękuję za zainteresowanie zgubionym zębem mojej córki (Cassie). Właśnie jej wypadł! A dobra wróżka zabrała mleczny ząbek i zostawiła pieniążek.

Przerwała i cmoknęła. Musiała mieć pretekst, by napisać.

Pisała już o astmie Cassie, jej alergii na uządlenia pszczoł, awersji do kraciastej bawełny, większym upodobaniu do pasty Vegemite niż Marmite. Co jeszcze pozostało?

Cassie siedziała za nią na podłodze, nawlekając na sznurek plastikowe koraliki i zadając co jakiś czas to samo pytanie:

- Mamusiu? Czy Listen naprawdę będzie chodziła w przyszłym semestrze do mojej szkoły?

Fancy obróciła się z krzesłem i popatrzyła na Cassie.

- Nie zgubiłaś więcej ząbków, skarbie?

- Nie - odparła ze smutkiem Cassie. - Zaczekaj.

- Sprawdziła kolejno zęby językiem. - Nie. Nie zgubiłam zębów.

- Zębów! Cassie, zdarzyło się coś interesującego w szkole?

- Nie - zapewniła z przekonaniem Cassie.

- Hmm.

Fancy wróciła do swego listu i wpatrywała się przez chwilę w kartkę papieru, gdy tymczasem Cassie nadal powtarzała śpiewnie:

- Ma-amusiu, czy Listen naprawdę będzie chodziła po feriach do mojej szkoły?

- Próbuję właśnie pracować - powiedziała nagle Fancy. - A ty, Cassie, powinnaś już leżeć w łóżku! - Następnie przebiegła wzrokiem różowe plastikowe koraliki, rozsypane na podłodze pracowni niczym landrynki. - Przepraszam, Cassie! Tak. Będzie chodziła do twojej szkoły. Po feriach Listen będzie chodziła przez jeden semestr do twojej szkoły. Ponieważ jej szkołę zalało.

- Dziękuję - odparła poważnie Cassie i natychmiast wstała, gotowa, by położyć się spać.

Fancy miała szczęśliwy przebłysk natchnienia i zaczęła pisać dalej:

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pani, iż tak szybko piszę do Pani znowu, ale chciałam prosić o drobną przysługę.

Cassie gramoliła się do łóżka, a jej mama zbierała z podłogi ubrania.

- Cassie. To twoja bluza sportowa! Powinnaś była dać ją do prania!

- Ojej! - jęknęła Cassie, wślizgując się pod kołdrę z kolorowym wizerunkiem Harry'ego Pottera i wtulając policzek w poduszkę.

Matka strzepnęła bluzę, marszcząc brwi. Włożyła ją pod pachę, zaciągnęła szczelnie zasłony, wygładziła Harry'ego Pottera i zgasiła światło.

Leżąc w łóżku, Cassie wyobrażała sobie, że to jej szkołę zalało. Myślała o papierach, nauczycielach, ławkach i buteleczkach korektora płynących rzeką. Panna D'Souza na tratwie ratunkowej, pan Woodford w łodzi wiosłowej, panna Murphy utrzymująca się pionowo w wodzie. Myślała o ścierkach do tablicy, o białych tablicach i różowej kredzie; o rzutnikach, wazonach na kwiaty, tekturowych pudełkach. Myślała o szkolnym zółtuiu, wymiecionym sadzawki, który płynie pieskiem, wydając okrzyki przerażenia.

Cała sprawa wydawała się Cassie podejrzana i zdecydowanie dziwna.

*

W poniedziałek ostatniego tygodnia semestru Fancy znalazła w kieszeni sportowej bluzy Cassie fioletowy mazak bez nasadki. Fioletowy motyl wykwitł na bluzie na wysokości biodra, lecz Fancy zaatakowała go odplamiaczem i przyglądała się, jak skrzydełka zaczynają się powoli rozpląwać.

Następnie zapisała fioletowym flamastrem na kawałku bibułki:

PRZEDMIOTY W DOMU RODZINNYM - PRALNIA

Domestos

mydło owsiane

niebieskie wiadro z różową gąbką i ajaxem w spreju

mała kałuża pod pralką

pralka

We wtorek ostatniego tygodnia semestru Fancy znalazła filtr wypełniony starymi fusami, spokojnie zasychającymi w ekspresie do kawy.

- Och, Radcliffe - powiedziała na głos, a następnie:
- Faj! - wynosząc filtr i wrzucając go do pojemnika na śmieci.

W notatniku obok telefonu zanotowała:

PRZEDMIOTY W DOMU RODZINNYM - KUCHNIA

zegar

kalendarz ze zdjęciami kanadyjskich Gór Skalistych

kolaż rodzinnych zdjęć w srebrnej ramce

zeszyt ćwiczeń

nalepki z imionami

bielizna lalki

karafka porto

kolekcja kart urodzinowych

na stole: plamy wosku ze świecy

również na stole: ceramiczna misa wypełniona tym i owym

W środę ostatniego tygodnia semestru Fancy usiadła przy kuchennym stole, by zeszkrobać z blatu wosk. Po chwili sięgnęła po notatnik i długopis i sporządziła listę:

**PRZEDMIOTY W DOMU RODZINNYM: CERAMICZNA
MISA WYPEŁNIONA TYM I OWYM,
A KONKRETNIE ZNAJDUJĄ SIĘ TAM:**

pinezki
recepturki
pusty pojemnik po rolce filmu
wizytówka
płyn do płukania gardła Valerio
wata
bateria alkaliczna
spinka do włosów
hongkońska dwudolarówka
duży czarny guzik
niebieska skuwka od długopisu
klej w sztyfcie
pilnik do paznokci
próbka perfum Musk
agrafka
spinacz do papieru
żeton do szafki w bibliotece rady okręgu Baulkham Hills
pochłaniacz wilgoci w opakowaniu z białego papieru:
NIE NADAJE SIĘ DO JEDZENIA, NIE NADAJE SIĘ DO
JEDZENIA, NIE NADAJE SIĘ DO JEDZENIA

W czwartek ostatniego tygodnia semestru Fancy poczuła, że w żaden sposób nie zdoła dalej tego ciągnąć. Sięgnęła do torebki, by wybrać coś nowego do wyliczania - wykreśli Przedmioty w Domu Rodzinnym.

Listy Ewentualnych List nie było w torebce.

-Ach - westchnęła, przechodząc do pracowni i szukając na biurku. Tam też jej nie znalazła. Ani w żadnej z szuflad biurka. „Hmm!” - mruknęła, marszcząc brwi.

Nie przejęła się specjalnie, ponieważ dokładnie pamiętała, co znajduje się na liście. Bez trudu zapisze wszyst-

ko od nowa na innym rachunku telefonicznym. Mimo to zaczęła drobiazgowo, niefrasobliwie przeszukiwać cały dom: kuchnię, pralnię, sypialnię, garaż, samochód. Biegała w górę i w dół po schodach, szukając na chybił trafił w takich miejscach jak szuflada na sztućce i barek.

Pewnie włożyłam do którejś kieszeni, uprzytomniła sobie. Zaraz, kiedy miałam ją po raz ostatni?

I nagle dotarło do niej. Po raz ostatni miała listę w ręku podczas Wtargnięcia. Wtargnięcia, które omal nie zakończyło się katastrofą - kiedy to nie zauważyła, że Marbie wywołuje ją pagerem, o mały włos nie została przyłapaną i jakimś cudem zdołała uciec przez okno. A zatem, pomyślała, rachunek musi znajdować się w kieszeni moich czarnych spodni, w...

Ale nagle poczuła się tak, jak gdyby automatyczne drzwi powoli zamykały się jej przed nosem. Albowiem jej czarne spodnie nie miały kieszeni.

¹ Zostawiła Listę Ewentualnych List w tamtym mieszkaniu, na stole jadalnym przy oknie. A przecież pisała ją na odwrocie swojego rachunku telefonicznego.

Gdy już drżącymi palcami wykrciła numer matki i płaczącym głosem wyjaśniła, co się stało, pani Zing zachowała się niezwykle profesjonalnie.

- Na stole leżała sterta papierów? - spytała.

- Tak - odparła niepewnie Fancy.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że rachunek leży nadal tam, gdzie go zostawiłaś - rzekła z zadowoleniem matka. - Zaraz wystąpię z Wnioskiem o Pilne Odwrócenie Uwagi. Zawiadam Marbie, co się dzieje. I przed końcem dnia zorganizujemy Wtargnięcie, zapamiętaj moje słowa, kochanie.

- Będę siedziała przy telefonie - obiecała Fancy.

- Nie przejmuj się tak bardzo, skarbie. Rób wszystko, co sobie zaplanowałaś, ale noś przy sobie pager. Musimy mieć pełną rezerwę.

Oczywiście Fancy w żadnym wypadku nie mogła wyjść z domu. Przez cały dzień była wzburzona i rozhisteryzowana, podskakiwała na każdy dzwonek telefonu i ilekroć usłyszała szelest liści (taki był nowy brzęczyk pagera). Zadzwoiła do Radcliffe'a i poprosiła, by odebrał Cassie ze szkoły, ponieważ była zbyt podenerwowana, by prowadzić. Radcliffe starał się ją uspokoić, lecz Fancy złościło podniecenie grożącą katastrofą, wyraźnie słyszalne w jego głosie. Telefonowała kilkakrotnie do Marbie, by upewnić się, że wyjdzie wcześniej z pracy. Na początku, gdy Fancy powiedziała jej o wpadce, Marbie śmiała się i była zupełnie spokojna, ale nawet ona po czwartym telefonie od siostry zaczęła się irytować.

Kiedy matka uruchomiła wreszcie swoje pogotowie, serce Fancy miaotało się, jak gdyby tańczyło w rytm jakiejś ostrej rockandrollowej piosenki.

Ale wszystko poszło zdumiewająco gładko.

W pobliżu nie było nikogo. Marbie bezpiecznie wdrapała się na drzewo, kod zadziałał. W mieszkaniu było pusto i ciemno. Lista Ewentualnych List leżała sobie spokojnie na stole w jadalni pod jakąś pracą pisemną z zakresu prawa. Gdy Fancy schowała Listę do torebki, poczuła taką ulgę, że postanowiła wykonać wszystkie zabiegi konserwacyjne, których nie zdążyła dokończyć podczas ostatniego Wtargnięcia.

- Spij dobrze - powiedziała serdecznie Marbie, kiedy podrzuciła siostrę do domu. - 1 życzę ci jutro miłego, relaksującego dnia, biedactwo. Idź na masaż aromaterapeutyczny.

Ale nazajutrz, w piątek ostatniego tygodnia semestru, Fancy obudziła się w stanie takiej trzęsionki, że przez długą chwilę musiała głęboko oddychać. Wszystko w porządku, wszystko w porządku, wszystko w porządku, recytowała monotonna.

Jej ręce trzepotały jak ptaki, chwyciła się to za usta, to za łokcie, to za uszy, a czasami tylko zawisały w powietrzu.

-Dobrze się czujesz, mamusiu? - spytała Cassie, gdy Fancy odwoziła ją do szkoły.

-Tak, kochanie, po prostu fantastycznie! Miłego dnia w szkole. To już ostatni! Od jutra masz ferie! Hurra!

Cassie przyjrzała jej się podejrzliwie.

Wracając do domu, Fancy zdała sobie sprawę, że musi podjąć kroki, by zaradzić tej hysterii. W przeciwnym razie przejawia się ona w jakiś fizyczny sposób - na przykład w postaci ataku serca lub pokrzywki. Musi poćwiczyć - jest o wiele za zimno na jogging, ale może pójść do siłowni. Pływanie - oto czego jej potrzeba. Spokoju, jaki daje ślizganie się po wodzie.

I tak się złożyło, że był piątek rano, a tamten mężczyzna, z którym rozmawiała przez telefon, powiedział jej, że to najspokojniejszy czas na basenie. Weźmie z domu kostium kąpielowy i pojedzie prosto do siłowni.

Kanadyjczyk stał na werandzie.

- Nie widziałam cię od jakiegoś czasu! - zagadnęła go, gdy dotarła do swoich drzwi. - Chyba jest zbyt zimno na śniadanie na werandzie. Nie miałam okazji podziękować ci za przepyszne ciasto! Nawiasem mówiąc, Cassie była zachwycona. Zamroziłam kilka kawałków, żeby mogła zabierać je do szkoły jako wyjątkowy przysmak.

- Dla mnie nigdy nie jest za zimno na śniadanie na werandzie - odparł. - Wyjaśnienie jest proste, musiałem wyjechać. A to, że Cassie wzięła do szkoły kawałek mojego ciasta jako wyjątkowy przysmak, jest najsympatyczniejszą rzeczą, jaką usłyszałem od bardzo dawna. Dziękuję.

- Powiedz mi - spytała nieoczekiwanie Fancy - liść klonu cukrowego można uznać za rodzaj kanadyjskiego liścia, prawda?

-Klony cukrowe rosną również gdzie indziej - rzekł oficjalnie Kanadyjczyk. - Ale rzeczywiście, liść klonu znajduje się na naszej fladze. Można więc uznać, że jest kanadyjski.

- Wobec tego powiedz mi - powtórzyła Fancy - czy łąza może przypominać kształtem liść klonu?

Kanadyjczyk zastanawiał się przez chwilę.

-Powiedziałbym... powiedziałbym, że gdybym chciał opisać łązę, wybrałbym inny rodzaj liścia. O bardziej tradycyjnym kształcie. Jak na przykład liść tutejszego eukaliptusa. Myślę, że gdyby łąza chlapnęła na kartkę papieru - przypuśćmy, że czytasz książkę i trochę sobie popłakujesz - twoja łąza mogłaby upaść na kartkę i, jeśli masz szczęście, zostawić plamkę przypominającą kształtem liść klonu cukrowego. W przeciwnym razie jednak powiedziałbym - nie.

Fancy poczuła nagły przyptyw miłości do mieszkającego po sąsiedzku Kanadyjczyka.

- Dziękuję.

Czerwieniąc się, weszła do domu.

Jadąc na basen, Fancy czuła się spokojna i szczęśliwa. Pozwoliła sobie na fantazję, że zaprosiła Kanadyjczyka, by się z nią tam wybrał, a on oświadczył: „Pływanie! Uwielbiam pływanie!”. „Ja też!” - zgodziła się ochoczo, on zaś wbiegł do domu i wrócił z kąpielówkami. Może nawet miał je na sobie! Żeby udowodnić, że jest Kanadyjczykiem i może chodzić z nagim torsem nawet w taką pieską pogodę, w taki ziąb. (Było około zera, tak usłyszała przez radio). A potem prowadziła samochód, gawędząc z sąsiadem przez cały czas, jej naga dłoń na dźwigni biegów tak blisko jego nagich, owłosionych nóg! (Włosy na jego nogach będą delikatne, nie szorstkie). Później, na basenie, nie będzie nikogo poza nimi! Tylko ich dwoje!

I Kanadyjczyk będzie kręcił głową, zdumiony gracją jej ruchów.

Fancy, w przeciwieństwie do Marbie (która była w wodzie istną błyskawicą), pływała wyjątkowo wolno, lecz z wdziękiem. Tak wolno, że wstrzymywała nawet najbardziej niemrawych pływaków, jeśli poruszali się tym samym torem. Dlatego też wcześniej zadzwoniła, dowiadując się o najspokojniejsze godziny na basenie.

Powoli weszła do siłowni i powiedziała, że chce popływać.

- Przykro mi - rzekł mężczyzna stojący za kontuarem (a był to ten sam mężczyzna o ochrypłym, nieprzyjemnym głosie, z którym rozmawiała przez telefon) - ale niestety basen jest nieczynny, ponieważ w każdy piątek między dziewiątą trzydzieści a jedenastą jest czyszczony.

- Nie - odparła kategorycznie Fancy. - Nie. Dzwoniłam kilka tygodni temu i poinformowano mnie, że są to najspokojniejsze godziny, kiedy można popływać. - Postanowiła, że się nie podda.

- To pani dzwoniła z tym pytaniem? Poinformowałam panią wtedy - oznajmił mężczyzna z chytrym uśmiechem - że w tych godzinach na basenie panuje największy spokój! I to jest prawda! Nie ma tam nikogo! Basen jest czyszczony!

Fancy wpatrywała się w niego bez słowa. Że też ktoś mógł zrobić taki kawał! Czuła się uprawniona do mierzenia go zdumionym, oskarżycielskim spojrzeniem, jak długo będzie jej się podobało.

- Wyjaśniłem pani - bronił się - naprawdę próbowałem wyjaśnić, dlaczego jest wtedy najspokojniej. Musiała mnie pani nie słuchać.

- Skoro basen jest właśnie sprzątny - oświadczyła Fancy, odrzucając dumnie głowę - nie sądzę, żeby było tam najspokojniej. Przypuszczam, że sprzęt do czyszcze-

nia robi okropny harmider! - Po czym ostentacyjnie wymaszerowała z siłowni.

Gdy Fancy wsiadła z powrotem do samochodu, czuła się tak idiotycznie, że musiała trochę sobie popłakać. Deszcz na przedniej szybie był jakiś dziwny - zdawał się lądować na niej z poślizgiem, raczej jak lód niż zwyczajne krople w kształcie liści klonu cukrowego.

Szczególnie głupio poczuła się na myśl, że Kandyjczyk mógł tam być razem z nią. Jakże zmarnowałyaby jego czas, gdyby go ze sobą przywiozła. Złodowaciała z przerażenia. Oczywiście mógłby uznać jej pomyłkę za uroczą i w zamian zaprosić ją na gorącą czekoladę. Samochód zarzucił i wpadł w poślizg na drodze, a jej częściowo wróciła trzęsionka.

Po powrocie do domu dzień dłużył jej się straszliwie. Próbowwała jakoś zabić czas i zatelefonowała do matki. Przez chwilę deliberowały, czy z powodu złej pogody nie odwołać dzisiejszej wieczornej Poufnej Narady Rodziny Zingów, i w końcu doszły do zgodnego wniosku, że jednak powinny ją odwołać, toteż matka musiała przerwać rozmowę, żeby zawiadomić resztę zainteresowanych. Fancy wędrowała z pokoju do pokoju, podnosząc z podłogi różne przedmioty, a następnie pozwalając im upaść w innym miejscu. Wyjmowała książki z półek i wstawiała je z powrotem na miejsce, przeglądała albumy ze zdjęciami. Robiąc to wszystko, znowu sobie popłakała - z powodu mężczyzny o okropnym głosie, który tak okropnie potraktował ją w siłowni; z powodu tego, że omal nie została przyłapana podczas ostatniego Wtargnięcia; z powodu tego, że zachowała się jak idiotka i podczas panicznej ucieczki zostawiła w tamtym mieszkaniu swój rachunek telefoniczny! Z powodu swego męża Radcliffe'a, pełnego najlepszych intenq'i (spójrzcie, jaką ma zatroska-

ną minę na tym zdjęciu; a gdyby się zabił, wracając samochodem do domu?). Z powodu swej ślicznej córeczki Cassie. (Jest taka malutka. Spójrzcie na nią w tych ciepłych czerwonych rękawiczkach!).

I przez cały czas tłukło jej się po głowie jedno zdanie: *Jak się miewa twoja dorada, kochanie? Jak się miewa twoja dorada?*

Tymczasem Cassie poprosiła swoją przyjaciółkę Lucinę, by pottrzymała jej drugie śniadanie, i sunęła teraz w kierunku drugiego końca boiska. Lucinda przyglądała się z zainteresowaniem, jak Cassie poprawia rękawiczki.

Boisko było tak śliskie, że nadawało się idealnie do jej celu. Musiała po prostu biec najszybciej, jak tylko potrafi, z tak dużej odległości, a oblodzone podłoże dokona reszty. To było lepsze niż parking Castle Towers, gdzie można biec i ślizgać się prawie przez całą drogę.

Cassie pochyliła się do przodu, koncentrując się, podskoczyła w miejscu i puściła się pędem. Była szybsza niż kiedykolwiek. Lodowaty wiatr towarzyszył jej z podnieconym świstem. Marcus Ellison był małą ciemną postacią z kijem krykietowym i ściągniętymi wargami, która jednak stawała się coraz większa. Cassie wpadła w sam środek grających, widziała jak przez mgłę dzieci wokół niej.

I wtedy pan Woodford ją złapał. Przez minutę dyszała, starając się uspokoić oddech. Otaczające ją zamazane kształty zaczęły nabierać ostrości.

-Cassie - powiedział poważnym głosem pan Woodford - biegłaś tutaj susami tak długimi jak sprinter na olimpiadzie. Rozumiesz, co mówię? Rozumiesz, że taki bieg, w takim tempie, jest początkiem kariery olimpijskiej? Rozumiesz?

Wszyscy przywykli do żartów pana Woodforda, toteż czekali na ciąg dalszy. W tym samym momencie zdali sobie jednak sprawę, że mówi całkiem serio, i słuchali uważnie.

Cassie zerknęła na Marcusa - wpatrywał się w nią, blady i drżący, świadomy tego, co chciała zrobić. Zamierzała biec po lodzie prosto na niego w tym olimpijskim tempie i gdyby pan Woodford jej nie powstrzymał... Spuścił wzrok, patrząc na swój kij krykietowy.

- Rozumiesz? - powtórzył pan Woodford.

Cassie pokiwała twierdząco głową, po czym wróciła, ślizgając się, do Lucindy. Dopadła Marcusa Ellisona, wyczytała to z jego twarzy. Czyli sprawa zakończona.

Natomiast niedokończoną sprawą, uświadomiła sobie, gdy Lucinda oddała jej drugie śniadanie, jest bieg. Jej nogi muszą dokończyć ten bieg.

*

Tylko nie to. Fancy poderwała się z podłogi w salonie, potykając się o stertę albumów, i pomaszerowała przez hol do frontowych drzwi, otwierając je z impetem.

Gdy wyszła na werandę, coś uderzyło ją w twarz niczym skórzana rękawiczka - tak było zimno. Oblodzona wycieraczka zachrząściła pod jej stopami. Przeszył ją dreszcz, mróz szczypał ją w łopatki. Niebo, blade i smętne niczym Cassie, kiedy coś zmalowała, zdawało się wisieć nisko nad ziemią. Na werandzie Kanadyjczyka nie było nikogo.

Cofnąwszy się do środka, Fancy zamknęła szczelnie drzwi, by odgrodzić się od chłodu, i obrzuciła wzrokiem hol. A może by tak upiec piernik? Albo spróbować ułożyć mozaikę? Albo połatać niektóre rzeczy Cassie? Albo...

Nie, nie, pomyślała z przerażeniem i wróciła zamaszystym krokiem do drzwi. Niebo nadal było ponure,

a weranda Kanadyjczyka ziała pustką. Przez chwilę trzymała drzwi otwarte, gdy przejmujący wiatr miótł drobnymi gałązkami po trawniku, zasypując werandę zeschłymi liśćmi.

- Och nie! - powiedziała Fancy, w jej oczach pojawiły się gniewne błyski, gdy kilka liści przesmyknęło się obok jej kostek do domu. - Teraz będę musiała odkurzyć!

Nagle przypomniała sobie, że jej odkurzacz jest w naprawie.

Ciekawa jestem, czy Kanadyjczyk ma odkurzacz, który mogłabym pożyczyć? - pomyślała niespodziewanie z całą powagą. I właśnie w tym momencie w jej podjazd skręciła furgonetka z punktu naprawczego. Z lodowatą uprzejmością Fancy odebrała swój odkurzacz i zamknawszy drzwi, natychmiast go włączyła.

Odkurzyła hol, salon, pokój telewizyjny, pokój Cassie, następnie przeszła do głównej sypialni. Rozbolał ją krzyż, pokój wypełniał ryk odkurzacza, kolanami odepchnęła łóżko na bok i zajęła się listwami przypodłogowymi. Kucnąwszy na podłodze, wsunęła rurę pod łóżko, ale raptem odkurzacz się zadławił. Wyłączyła go. W otworze wlotowym tkwiło coś, co delikatnie usunęła.

Była to zakurzona wiśniowa skarpetka. Z naszytą na kostce prostą wiśniową stokrotką.

Podniosła ją w dwóch palcach do góry i zmarszczyła brwi. To nie była jej skarpetka. Ani też skarpetka Cassie. Z pewnością nie należała do Radcliffe'a. Czyja więc skarpetka mogła leżeć tak głęboko po ich łóżkiem?

W ciszy, jaka zapanowała w sypialni po wyłączeniu odkurzacza, Fancy odchyliła się do tyłu na piętach, wodząc spojrzeniem od skarpetki do okna, od okna do sufitu, od sufitu do odkurzacza. Odkurzacz nie udzielił jej odpowiedzi, lecz pokój zdawał się wybałuszać oczy.

Ta skarpetka jest własnością innej kobiety, pomyślała Fancy. Radcliffe ma romans.

Wciąż kucając obok łóżka, wybuchnęła głośnym śmiechem. Radcliffe i romans! Było to tak nieprawdopodobne, że natychmiast otoczyła w myślach słowo „romans” wianuszkami dowcipnych karteczek. Każda karteczka zawierała retoryczne pytanie w rodzaju: „Fancy, niby kiedy miałyby romansować, skoro ty codziennie pracujesz w domu?”

Wiem, wiem! Kiedy? (Śmiała się przez cały czas). Ale ja (przyznała uprzejmie) często wychodzę - choćby w sprawach związanych z Rodzinnym Sekretem Zingów lub na kawę z Marbie czy z mamą. Radcliffe ma bardzo blisko do pracy, zaledwie dziesięć minut drogi, i często wpada do domu na lunch, by mi zrobić niespodziankę. Z łątwością mógłby przemycić tutaj ładną kobietę.

Ale Fancy, jaka ładna kobieta chciałaby uprawiać seks z Radcliffe'em? Mówię serio.

Choćby ja (pomyślała cierpko). Nie jest taki zły. Ma zaskakujący wdzięk. A pracuje z nim wiele kobiet. Na przykład Gemma z księgowości, która rozlewa swoje drinki na gwiazdkowych przyjęciach i usuwa sobie znamiona z ramion.

Tak, ale wiśniowa skarpetka? Dlaczego miałyby zapomnieć wiśniowej skarpetki?

W tym miejscu Fancy się zawahała. Nigdy ani przez moment nie wierzyła w części koronkowej bielizny czy brylantowy kolczyk. Żadna kobieta romansująca z cudzym mężem nie uciekałaby taksówką bez bielizny i kolczyka. Żadna kobieta! Wiatr ziębiłby jej pośladki! Nie wspominając o jej pozbawionym kolczyka uchu.

Ale wiśniowa skarpetka... W to mogła uwierzyć.

Powiedzmy, że Gemma (równie dobrze mogła to być Gemma) - powiedzmy, że Gemma pracuje tylko popołudniami (Gemma rzeczywiście pracuje tylko popołu-

dniami - Radcliffe wspomniał o tym). Dobrze, a więc powiedzmy, że pewnego ranka Fancy dzwoni do Radcliffe'a i mówi: „Wybieram się dzisiaj na kawę z Marbie, toteż nie będzie mnie w domu!”

Radcliffe dzwoni potajemnie do Gemmy: „Jesteś jeszcze w domu, kochanie? Nie wyszłaś do pracy? Moja żona pojechała do miasta. Spotkajmy się u mnie za dziesięć minut”.

Gemma, ubrana w elegancki poranny strój, składający się z szortów, tenisówek i wiśniowych skarpetek, przybiega bez tchu. Ciuszki, w których chodzi do pracy, ma schowane w sportowej torbie przewieszanej przez ramię. Wmykają się na górę, by zaznać kilku chwil namiętności. Gemma bierze prysznic, zaparowując całą łazienkę, potem szybko ubiera się odpowiednio do pracy (pończochy, spódnica; szminka) i w pośpiechu jada do biura. Tak łatwo zapomnieć wiśniową skarpetkę!

Hm, ale doprawdy, dlaczego w ogóle uważasz, że Radcliffe ma romans? Nigdy wcześniej nie przeszło ci to przez myśl.

Pytanie (chłodno), dlaczego wcześniej nie rozważałam takiej możliwości? Zwłaszcza że Radcliffe zdradził mnie, kiedy mieliśmy po piętnaście lat i dopiero zaczęliśmy się spotykać. Skoro nie potrafił wytrwać jeden miesiąc, dlaczego mam złudzenia, że będzie mi wierny przez całe życie?

Teraz słowo „romans” świeciło dumnie, otoczone leżącymi karteczkami. Czekąco czekało, by uzupełniła szczegóły.

To była Gemma! Jasne, że tak! Przypomnij sobie, jak Radcliffe mówił o niej. Z taką ogromną czułością. „Musisz pamiętać Gemmę” - powiedział kiedyś. „Nie” - odparła. A potem wyjaśnił, że Gemma usunęła sobie znamiona z ramion. Skąd o tym wiedział? Dlaczego Gemma z księgowości opowiada Radcliffe'owi o swoich pieprzykach?

Czy pracownicy działu księgowości nie pozostają za zamkniętymi drzwiami, wkładając do kopert wynagrodzenie?

Musiał sprowadzić ją do domu w dniu, kiedy Fancy umówiła się na kawę z Marbie i Listen w Castle Hill. Tamtego dnia Radcliffe przyjechał do domu na lunch, żeby zrobić żonie „niespodziankę”. Ale przecież, uświadomiła sobie, wcześniej zadzwoniła do niego, by go zawiadomić, że jej tam nie będzie. Przyjechał do domu, PONIEWAŻ jej nie było. Ściągnął Gemmę w wiśniowych skarpetkach! I również tamtego dnia, przypominała sobie w pośpiechu, stłukł szklanę. Zepsuł odkurzacz, próbując posprzątać szkło. Próbując usunąć dowody świadczące o tym, że ma romans!

Nie! To Gemma stłukła szklanę. Gemma jest niezdarą. Rozlewa drinki na gwiazdkowych przyjęciach. Radcliffe napomknął o swoim pobycie w domu i o tym, że popsuł odkurzacz, dopiero po kilku tygodniach. To była wpadka! Jak dziwnie się zachowywał i jaki był skonsternowany, kiedy jej o tym mówił. A później jaki miły i kochający, gdy odwozili odkurzacz do naprawy.

Przez cały czas odkurzacz próbował powiedzieć jej o romansie. Najpierw zatkał się potłuczonym szkłem, następnie spowodował, że Radcliffe popełnił błąd i zdradził się, iż był w domu tamtego dnia, a dzisiaj wrócił do niej z naprawy. Celowo, by połknąć wiśniową skarpetkę.

Fancy położyła się na wznak na łóżku i stwierdziła z niezbitą pewnością: Radcliffe ma romans.

- Och, przestań - wykrzyknęła.

W końcu usiadła, czując przypływ pogardy. To tylko skarpetka! Przyjrzała się skarpetce leżącej na dłoni, takiej cienkiej, wiotkiej. Jak mogłaby oznaczać coś tak ogromnego jak romans?

Ale wtedy pomyślała o swoich przepisach: niezamierzona odrobina żółtka w jej bezie, jedna ósma łyżeczki pieprzu cayenne w sosie z mango - takie drobiazgi mają ogromny wpływ! Drobiazgi, zdała sobie sprawę, mogą oznaczać coś ogromnego.

Nagle wydało jej się, że skarpetka w jej ręku jest wilgotnym, pokrytym łuskami stworem z kosmosu, rzucała ją z obrzydzeniem na podłogę. Patrząc na nią, miała wrażenie, że skarpetka trzepocze się niczym ryba, zbyt mała, by nadawała się do jedzenia.

Marbie Zing

W poniedziałek po przyjęciu urodzinowym Casie czarny kot sąsiadów przebiegł drogę Marbie w taki sposób, że musiała przejść pod drabiną. Drabina była rozmyślnie oparta o ścianę domu sąsiadów. Marbie stała pod nią przez chwilę, drżąc na całym ciele. O ile sobie przypominała, to była pierwsza drabina, pod jaką kiedykolwiek przeszła. Nie było sensu iść do pracy.

- Jesteś tam jeszcze? - zawołała, pukając do okna sypialni Listen.

Ostatnio Listen wychodziła do szkoły coraz później. Wyrzała w swojej postrzępionej piżamie, przecierając oczy.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła Marbie.

- Dopiero się obudziłam - wyjaśniła Listen.

- Tak czy owak - powiedziała Marbie - potrzebujesz odrobiny wytchnienia. Pozwól, że zabiorę cię nad morze i kupię ci sarong. W tym tygodniu zacznie się jesień i słońce będzie coraz niżej, aż w końcu spadnie z drzew i stanie się małym cieniem u twoich stóp. Powinnyśmy chodzić w sarongach, dopóki tak się nie stanie.

- Dobrze - odparła Listen. - Świetny pomysł.

- Napiszę ci usprawiedliwienie, że dostałaś wścieklizny.

Gdy Listen szukała swego ręcznika plażowego, Marbie zadzwoniła do pracy i poinformowała szefową o wypadku z kotem i drabiną. Tabitha była bardzo wyrozumiała.

- Zostań tam, gdzie jesteś - poleciła. - Nie rób nawet kroku w kierunku biura.

Następnie Marbie zatelefonowała do inżyniera lotnictwa i zawiadomiła go, że nie może spotkać się z nim po pracy dzisiejszego wieczoru.

- Nie możesz? - spytał I.L. dziwnie brzmiącym głosem. - I tak jestem chory. Słyszysz? Ssę pastylkę na gardło. Lepiej więc będzie, jeśli się nie zobaczymy, ale czy inicjatywa spotkania nie wyszła od ciebie?

Rzeczywiście, to ona zaaranżowała spotkanie po to, by móc oficjalnie zapowiedzieć: koniec z tenisem. Tak czy owak, zamiast zapraszać go na drinka, mogła zmienić wymowę całej tej sytuacji: „Pozwoli pan, Inżynierze Lotnictwa, chciałam, żeby poznał pan Vernona i Listen! I.L. jest kimś w rodzaju mojego kolegi. Listen! Pokaż panu jakiś chwyt taekwondo. Prawda, jaka jest naturalna? Chyba dlatego, że świetnie tańczy”.

Później I.L. by odjechał, a ona stałaby w progu, trzymając Vernona za rękę i rozmawiając z nim już kompletnie o czym innym, na przykład o kolacji.

Marbie milczała ze słuchawką przy uchu, wyobrażając sobie tę sytuację, toteż po chwili I.L. powiedział, chrupiąc coś głośno:

- Au! Odgryzłem kawałek pastylki, ma ostre brzoگی. Co powiesz wobec tego na środę?

- Może być środa - zgodziła się Marbie i odłożyła słuchawkę.

Miała zwyczaj odkładać po prostu słuchawkę, zamiast czynić jakąś ostateczną uwagę w rodzaju: „Świetnie! Wobec tego do zobaczenia. Nie martw się!”

W środę I.L. zjawił się w pubie w niezwykle gadatliwym nastroju i oświadczył, że wyleczył przeziębienie pastylkami mentolowymi.

Usiadł, śmiejąc się do siebie, wziął swoje piwo i niosąc je do ust, wydał dźwięk przypominający „brmm”. Piana przelała się przez brzegi.

- Oto nadlatuje samolot! - powiedział. Po czym wyjawiał Marbie, że jego ojciec był pilotem.

- Aha - przyjęła do wiadomości Marbie.

- W taki sposób zawsze mnie karmił, kiedy byłem dzieckiem. I właśnie dlatego studiowałem inżynierię lotniczą!

- Hmm - mruknęła Marbie, zastanawiając się, czy powinna wspomnieć, że dzieci na całym świecie są karmione łyżeczkami-samolocikami.

Zamiast tego, kierując się względami uprzejmości, napomknęła, że była na kilku świętach balonów wypełnionych gorącym powietrzem. I podniosła swój kufel do ust płynnym, szybkim ruchem przypominającym lot takiego balonu. I.L. zachichotał, po czym zauważył, że owe balony „mają kapitalne znaczenie” w rozwoju zasad lotnictwa. Na co Marbie powiedziała, że słyszała kiedyś, iż Leonardo da Vinci wyjaśnił je wszystkie, wszystkie zasady aeronautyki, pięćset lat temu w swoich szkicownikach. I.L. odparł, że to zwykła legenda, podobnie jak legendą jest mniemanie, że William Szekspir napisał swoje sztuki.

Na co z kolei Marbie stwierdziła, że była przekonana, iż mit jest prawdą i William Szekspir naprawdę napisał swoje sztuki. A jeśli nawet napisał je ktoś inny, jakie to ma znaczenie. Kto w dzisiejszych czasach naprawdę zna Williama Szekspira? Niech sobie będzie kompilacją ludzi, a mimo to pozostanie Williamem Szekspirem.

- No, no! - prychnął inżynier lotnictwa, w jego oczach pojawił się błysk - chciał w ten sposób pokazać,

jaki jest zafascynowany i równocześnie zakłopotany jej opinią.

Ona sama, mówiła dalej Marbie, nawiązując do Williama Szekspira, również pochodzi z literackiej rodziny. Na przykład jej ojciec wyjechał kiedyś na rok do Irlandii, by napisać powieść (mimo że wrzucił potem rękopis, po jednej kartce, do oceanu). I jej siostra Fancy jest pisarką.

Inżynier lotnictwa zachował się niemal pokrętnie na wieść o jej literackiej rodzinie. Nie wyraził niepokoju z powodu zanieczyszczenia środowiska naturalnego, kiedy usłyszał o tym, że ojciec Marbie wrzucił swoją powieść do morza. (Zwykle reagował w taki właśnie sposób). I nie zainteresował się, jaki rodzaj pisarstwa uprawia Fancy, co również było dla niego nietypowe. Zamiast tego poprawił się na krześle (jakoś podejrzanie), utkwił spojrzenie w piwie (smutne), po czym łypnął na Marbie (ostro) i oznajmił:

- Nie wiem, czy powinienem ci o czymś powiedzieć, czy nie.

- Oczywiście, że powinieneś - odparła z naciskiem Marbie.

- Nie wiem - rzekł, kręcąc głową. - Nie wiem - powtórzył, próbując wyjąć sobie coś z oka.

- Zwyczajnie policz do dziesięciu, a potem mi powiedz - zaproponowała Marbie.

Sprawa miała wrażenie zakłopotanego, wpatrywał się w nią zaskakująco bezbronnymi oczyma dziecka.

- Ja sam jestem pisarzem - wyszeptał w końcu, spuszczać wzrok.

- Słucham? - spytała, chociaż dobrze słyszała, co mówi.

I wtedy właśnie odkrył przed nią swoją tajemnicę. Podobno wynalazł nową formę poetyckiej autoekspresji, którą nazwał „wizją”. Miał na swoim koncie dokładnie tysiąc czterysta czterdzieści dziewięć owych „wizji” i za-

mierzał je wydać jako tomik, gdy już dojdzie do dwóch tysięcy. Nigdy przedtem nikomu o tym nie mówił. Ma w tej chwili przy sobie zbiór swoich ulubionych.

- Czy mogłabym zabrać je do domu i przeczytać?
- poprosiła uprzejmie Marbie.

- Dobrze, ale obiecaj mi, że ich nie zgubisz - odparł.

- Nie mogę tego obiecać - wyjaśniła Marbie - ponieważ w mojej naturze leży gubienie rzeczy.

I w związku z tym zasugerowała, żeby przed pożyczaniem najpierw je skserował.

- To już są kserokopie - przyznał. - Po prostu boję się, że gdyby się zgubiły, ktoś ukradłby mi pomysły, no wiesz, i wydałby je.

- Nie martw się, pomysłów nie można kraść, to sprzeczne z prawem - pocieszyła go Marbie.

Wobec tego pozwolił jej, by wzięła wizje ze sobą do domu.

- Przy okazji - rzekła, wciskając wizje do torebki - jest coś, co chciałam powiedzieć...

W tym momencie jej torebka miauknęła i Marbie drgnęła z zaskoczenia.

„GOTOWA DO OBSŁUGI TECHNICZNEJ? - To była wiadomość od matki. - NA RAZIE POTWIERDZONY MARGINES 3 GODZIN”.

- Przepraszam, ale muszę lecieć. - Spojrzała na inżyniera lotnictwa. - Muszę zadzwonić do mojej siostry, a potem wyjść! - Wstała i odfrunęła od stołu.

Porzucony inżynier lotnictwa przez chwilę przyglądał się, jak Marbie podchodzi do automatu telefonicznego, po czym leniwie wrócił do swego piwa.

Marbie przeczytała pierwszą z wizji I.L. później tego samego wieczoru, siedząc na drzewie nad furgonetką lodziarza. Obserwowała, jak Fancy wchodzi bezpiecz-

nie do budynku, i przez kilka minut lustrowała wzrokiem pustą ulicę. Ostatnio nigdy nie było żadnych problemów podczas Wtargnięć i nudziła się na swoim posterunku.

Otworzyła więc torebkę, by wyjąć batonik Mars, a jej dłoń przypadkowo natrafiła na rulon wizji I.L. Pierwsza, zwinięta u góry i u dołu, była wizja # 263.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 263

Głęboko wewnątrz mojego mózgu, przypominającego jajko sadzone, widzę:

To! Widzę to, widzę to.

widzę płot (z żelaznych prętów) wzdłuż pobocza, pręty mają zakończenia w kształcie ostrych grotów strzał,

I głęboko od środka mojego wysmażonego mózgu widzę:

To! Widzę to, widzę to,

Widzę ten płot z wierzchołkami prętów w kształcie ostrych grotów strzał,

potykam się o własne sznurowadło

i nadziewam się okiem na ostre zakończenie pręta!

Prosto na grot strzały żelaznego ogrodzenia!

ALE:

Głęboko od środka mojego wysmażonego waniliowego mózgu widzę:

To! Widzę to, widzę to.

Widzę siebie, jak biegnę spokojnie

wzdłuż płotu

I odłamuję jeden po drugim wierzchołki w kształcie ostrych grotów strzał,

a one pękają z trzaskiem

niczym świeże szparagi.

Marbie poczuła się dziwnie. Pokręciła głową, próbując pozbierać myśli. Przeczytała wizję ponownie i zaciekawiała się jeszcze bardziej. Albowiem nigdy nie wspominała inżynierowi lotnictwa o tym, że przez całe życie boi się, by ostry przedmiot (w rodzaju parasola lub pręta ogrodzeniowego) nie wylądował w jej oku. Nigdy też nie zająknęła się ani słowem o swojej przygodzie z latającym parasolem plażowym.

A mimo to miała w dłoni „wizję”, zawierającą nie tylko jej obawy, lecz również sposób na nie. Zamierzała poobłamywać ostre zakończenia prętów ogrodzenia! Niczym końcówki świeżych szparagów.

Ręce drżały jej tak silnie, że malutka latarka, którą trzymała, wyslizgnęła jej się z palców i objając się z szelestem o gałęzie, spadła na ziemię. Marbie spojrzała w dół i zobaczyła samochód skręcający do garażu pod budynkiem.

ZMYWAJ SIĘ NATYCHMIAST - wystukała na swoim pagerze trzęsącymi się palcami. Wysłała wiadomość trzy-naście razy, zanim Fancy wreszcie ją odebrała. Po paru chwilach ujrzała, jak Fancy pośpiesznie zeskakuje z okna na drzewo i zwinnie schodzi na dół po gałęziach.

Nazajutrz Marbie zadzwoniła z pracy do inżyniera lotnictwa i wyraziła podziw dla jego wizji. Nie wydawał się tym zaskoczony. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie przybitego, bo jak się okazało, nienawidził tworzenia swoich wizji. Powiedział, że czuje wewnętrzny przymus pisania, na tej samej zasadzie jak niektórzy ludzie muszą wydzierać sobie włosy z głowy. Dałby wszystko za to, żeby nie być pisarzem, ponieważ pisarze mają w duszy ekspresję, która gwałtownie usiłuje wyrwać się na zewnątrz! Gorzej, znacznie gorzej jest wyrwać coś z duszy niż tylko z głowy.

Była to jego skrywana udręka, pisanie wizji, i owa udręka zdumiewała go, jako że generalnie był praktycznym, obiektywnym, logicznym człowiekiem, takim, jaki powinien być inżynier, naukowiec! Niestety, w środku był artystą.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 1232

Głęboko w katakumbach piezoelektrycznej płytki
widzę to, widzę to, widzę to.
Widzę laminowane belki wypełnione talerzami
i muszlami,
na poddaszu w stodole na podwórzu w lesie.

I.L. powiedział również, że odkrył, iż miewa najlepsze wizje tuż przed zaśnięciem. Toteż co noc, kiedy wskakiwał do łóżka, nastawiał minutnik na dziesięć minut. Następnie, zasypiając, pozwalał, by wizje wydostawały się na zewnątrz (męczarnia!), a minutnik gwarantował, że te najnowsze nie zagubią się na zawsze w snach.

Pomysł z nastawianiem minutnika zapożyczył od pewnego geniusza z przeszłości, którego nazwiska nie może sobie przypomnieć, a który przywiązywał sobie dzwoneczki do palców i sadowił się wygodnie, by się przespać. Dzwoneczki budziły geniusza, gdy tylko zaczynał drzeć, a on wtedy spieszenie notował pomysły, które przychodziły mu do głowy podczas zapadania w sen.

Marbie odrzekła, że pewien słynny kompozytor przywiązywał ciężarki do małych palców po to, by je wzmocnić do gry na fortepianie, co jednak często kończyło się ich złamaniem.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 47

Głęboko w pajęczynie mojego dipu z awokado
widzę to, widzę to, widzę to.
Widzę siebie jako dziecko z rzyptulaną i lataw-
cem,
widzę, jak przytulam moją rzyptulanę!
Och, nie wiesz, co to jest rzyptulaną?
Ja też nie!
Nie masz pojęcia, jak przytulam moją rzyptulanę,
jak mój latawiec kołysze się wysoko na drucie tele-
graficznym,
jak moja rzyptulaną smakuje sokiem pomarańczo-
wym
mlekiem pod znakiem zapytania,
jak czule ściskam rzyptulanę i latawiec!
Ty głupcze!

Po rozmowie telefonicznej Marbie przez dwa ty-
godnie nie miała od niego wiadomości. Przeczytała inne
wizje, które jej dał, żadna jednak nie przemówiła do mej
w tak bezpośredni sposób jak ta o ostrych prętach ogro-
dzenia. Tę szczególną wizję przypięła do korkowej tablicy
nad biurkiem i czytała ją codziennie rano jak mantrę.

Ona mnie leczy, pomyślała ze zdumieniem. Obec-
nie ilekroć bała się jakiegoś długiego ostrego przedmiotu,
zamykała oczy i wyobrażała sobie inżyniera lotnictwa,
pulchnego, maszerującego wzdłuż płotu i obłamującego
jedną po drugiej ostre końcówki. W jej rojeniach odwracał
się do niej z naręczem tych końcówek przyciśniętym do
piersi, czerwienił się i spuszczał głowę.

Pewnego wtorkowego popołudnia Marbie popa-
trzyła na stojący na jej biurku telefon, myśląc: cóż! Bo
właściwie dlaczego nie zadzwonił?

Nie miała okazji, by zapowiedzieć mu: koniec z tenisem, dlaczego więc on postanowił z tym skończyć? I to absolutnie z własnej inicjatywy. (Czyżby miał wizję, że ona zamierza go ubiec?). Oczywiście pogoda się zepsuła, zrobiło się szaro i zimno, może więc gra w tenisa nie była już odpowiednią rozrywką. Mimo to mógł przecież zatelefonować po prostu, by porozmawiać.

Marbie wyszła ze swojego pokoju i spotkała na korytarzu Tabithę i Toni. Obie nie mogły złapać tchu ze zdumienia. Wyszło na jaw, że Abi i Rhamie wstąpiły do zaawansowanej drużyny netballowej*, opuszczając ich firmowy zespół.

- Możesz nazwać mnie staroświecką - powiedziała stanowczo Toni - lecz Abi nie jest najlepszą netballistką!

- Napijmy się trochę wina, które jest w lodówce w małej salce konferencyjnej - zaproponowała Marbie - i przedyskutujmy to.

Wśliznęły się do sali konferencyjnej, pojedynczo, i spuściły żaluzje, żeby nie wypatrzyły ich Abi i Rhamie. Następnie obgadały Abi, która ich zdaniem była marną netballistką, przyznały jednak, że Rhamie od czasu do czasu grywa świetnie.

Później przeniosły się do pubu Night Owi, gdzie znalazły je Abi i Rhamie.

- Co się dzieje? - spytały.

Toni wyjaśniła silnym, lecz drżącym głosem, że czują się z Tabithą zdradzone. Abi i Rhamie były wstrząśnięte. Okazało się, że zaszło wielkie nieporozumienie! Ponieważ Abi rozesłała wszystkim maile z informacją o zaawansowanej drużynie netballowej, zapraszając Tabithę i Toni, żeby również do niej wstąpiły. Ale Tabitha i Toni skasowały wiadomość, myśląc, że krąży jakiś wirus. Tak

* Netball - gra podobna do koszykówki, uprawiana zwłaszcza przez dziewczęta.

więc nie była to niczyja wina. Wszystkie pogratulowały sobie wzajemnie, że są takimi dobrymi netballistkami, a Toni się rozplakała.

Sama Marbie nie należała do drużyny, toteż mogła być obiektywna. Podziękowały jej za to, gdy spór został zażegnany.

- Jesteś taka wysoka - zauważyła jak zwykle Rhamie. - Byłabyś wspaniałą zawodniczką!

Lecz pozostałe dziewczyny wybuchnęły śmiechem, ponieważ piłka zawsze wyślizgiwała się Marbie z palców.

Na to Marbie odstawiła irlandzkie ale z pianką i powiedziała:

- Nie czuję się najlepiej.

- To dlatego, że piłaś wino przed piwem - oświadczyła Abi, po czym wyrecytowała: - Po winie piwo i czujesz się niezdrowo, po piwie wino i czujesz się bombowo.

- To prawda?

- Oczywiście, że to prawda - odparła Rhamie. - To się rymuje.

Potem Abi i Rhamie przypomniły sobie o mężach, wzięły swoje torebki i rzuciły jeden czy dwa żarty na temat netballu.

W chwilę po ich wyjściu Marbie zdała sobie ze zdumieniem sprawę z pewnej rzeczy i spytała szeptem koleżanki:

- Skąd Abi wiedziała, że piłam wino przed piwem?

Tabitha i Toni również się zdumiały, ponieważ ich spotkanie w małej sali konferencyjnej było tajemnicą.

Po przeanalizowaniu jej słów Tabitha i Toni musiały pędzić na lekcję stepowania, a Marbie kończyła w zamysleniu irlandzkie ale z pianką. Miała właśnie wziąć torebkę i pośpieszyć się, by nie uciekł jej ekspres do domu, kiedy dwie owłosione dłonie spoczęły na jej ramionach.

Szanowny Panie!

Piszę ten list, jadąc autobusem numer 73. Obok mnie siedzi potężny spocony mężczyzna, jego pośladki zajmują na siedzeniu więcej miejsca, niż powinny. Jest środa, druga po południu, i powinnam wrócić do pracy. Ale to niemożliwe. Wracam do domu.

Oto co się wydarzyło.

Wczoraj wieczorem wybrałam się do pubu Night Owi z koleżankami z pracy. Było dużo okrzyków zaskoczenia i łez w związku z ich drużyną netballową, ale wszystko się wyjaśniło i poczułam się pokrzepiona na duchu. Dziewczęta w końcu wyszły - Rhamie i Abigail do swoich mężów, Tabitha i Toni na lekcje stepowania. Ja kończyłam moje irlandzkie ale, siedziałam więc w pubie jeszcze przez pewien czas, i co? Na moich ramionach oparły się dwie owłosione dłonie, na policzku poczułam czyjś przesycony piwem oddech. Inżynier lotnictwa.

Nie widziałam go przynajmniej od dwóch tygodni. Od czasu gdy dał mi do przeczytania swoje wizje. Prawie o nim zapomniałam.

W każdym razie był tutaj, w pubie Night Owi.

- Cześć - powiedział, pochylając się nade mną z lekkim uśmiechem na wilgotnych od piwa wargach.

- Cześć - odparłam.

- Mam propozycję - rzekł.

- Koniec z tenisem - oświadczyłam.

Udawał, że jest zaszokowany. Odegrał na migi scenę, jak gdyby dostał w brzuch piłeczką tenisową, lecz szybko doszedł do siebie, a uśmiech na jego wargach stał się już wyraźny.

- Dobrze - zgodził się - nie będziemy grać w tenisa.

Mam inną propozycję.

Następnie pochylił się i szepnął mi do ucha:

- Przyjdź do mnie do domu jutro o pierwszej. Wiesz, co będziemy robili?

- Co? - spytałam również szeptem.

-Zdejmujemy ubrania - odpowiedział niskim, cichym głosem. - Zdejmujemy ubrania, położymy się na moim łóżku i wiesz, co dalej? Będziemy patrzyli. Nie będziemy się dotykali. Będziemy leżeli obok siebie nie dłużej niż przez trzy minuty, po czym z powrotem się ubierzemy!

Wpatrywałam się w niego przez chwilę, po czym spytałam:

-Doprawdy?

- Nie będziemy się dotykali - powtórzył. - A zatem nie ma mowy o zdradzie. Wiem, że masz chłopaka, ale przecież nie stanie mu się w ten sposób żadna krzywda. A ja obejrzę twoje ciało bez tego wszystkiego. - Dotknął mojej bluzki, machnąwszy pogardliwie ręką.

I najdziwniejsza sprawa - zgodziłam się na to.

- Dobrze - powiedziałam. - Spotkajmy się.

- Wsiądź do autobusu numer 73 o 12.45. Zatrzymuje się dosłownie przed drzwiami mojego domu.

I tak właśnie zrobiłam; i tak właśnie zrobiliśmy; i to się właśnie wydarzyło; to znaczy, nic się nie wydarzyło; nic poza nagością; a teraz wracam do domu.

Prawie na niego nie patrzyłam. Muszę wyznać, że było mi bardzo zimno. Byłam bardzo blada i czułam się dziwnie. Zastanawiałam się, co ja tu robię.

Ustawił radio z budzikiem dokładnie na trzy minuty, a następnie, gdy ten czas upłynął i z radia popłynęła reklama pasty do zębów, usiadł i sięgnął po koszulę.

Rozumie pan więc, że nie mogłam wrócić do pracy.

Jadę do domu, żeby to naprawić.

Z poważaniem,

Marbie

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 1450

Zamknięty wewnątrz golfowych piłeczek mojego
umysłu pełnego inwencji

widzę to, widzę to, widzę to.

Widzę piłki tenisowe odbijane w fosforyzujące nocą
chmury

(As serwisowy! Równowaga! Czterdzieści tysięcy
do zera!),

widzę grad kamieni stukoczących o psie budy!

(„Ratunku! - krzyczy szczeniak. - Ubezpiecze-
nie!”)

Widzę, jak moje palce wciskają guziki na bluz-
kach,

widzę, jak mój język jest niczym bukiet, który się
budzi,

widzę, jak mój język jest niczym wąż w moich
spodniach.

(Nieszkodliwy. Pyton rombowy. Ruchome piaski!
Grzechotnik!)

Powstrzymaj mnie! Powstrzymaj mnie! Czuję się
dziś wspaniale! Niech ktoś postawi mi drinka!

W środy, przed dużą pauzą, miały technologię ży-
wienia. Podczas przerwy Listen przeżywała najtrudniej-
sze chwile, ponieważ musiała wypełnić czymś piętnaście
minut, a nie wolno było wchodzić do biblioteki. Nigdy
też nie wolno było wchodzić do klasy. Pozostawało sie-
dzieć na trawniku, chociaż ostatnio zrobiło się tak zimno,
że dziewczęta tuliły się do siebie lub rozcierały sobie na-
wzajem dłonie, by je rozgrzać, a niekiedy wstawały grup-
kami i tańczyły w szeregu kankana.

Problem polegał na tym, że nie było się gdzie schować, żeby jakoś przetrwać piętnaście minut.

Czasami Listen przychodziło do głowy, by zwyczajnie przyłączyć się do którejś grupki stłoczonych dziewcząt. Gdyby zachowywała się cicho, może by jej nie zauważyły.

Od czasu do czasu myślała też, by pójść na trawnik, między wianuszki koleżanek, i po prostu usiąść na murawie. Mogła siedzieć sama, jeść jabłko, czytać książkę - kogo obchodzi, co myślą inni?

Nigdy się nie zdarzyło, by ktokolwiek jadł drugie śniadanie na trawniku sam. Jestem jedyną osobą w całej szkole, która nie ma przyjaciółek, uprzytomniła sobie. A jeśli nie, to gdzie się podziały? Gdzie są inne samotne dziewczynki? Dlaczego nie możemy się połączyć i zaprzyjaźnić?

W tym tygodniu, w środę, przyrządzały na zajęciach z technologii żywienia suflet i Listen była pełna nadziei. Kiedy zadzwieczał dzwonek na przerwę, nie zdążyły nawet pozmywać! Inne dziewczęta jęknęły, tymczasem Listen spokojnie, powoli napełniała swój zlew ciepłą wodą z detergentem.

-Nieważne, dziewczynki! - zawołała wspaniałomyślnie nauczycielka. - Wyjdźcie na dwór! Posprzątam tutaj później!

Listen udawała, że nie słyszy, i skoncentrowała się na resztkach sera, które pozostały na tarce.

- Daj spokój, Listen, jestem pewna, że tarka jest już czysta - powiedziała nauczycielka, wyprowadzając z sali ostatnie uczennice. - Idź z nimi i zaczerpnij trochę świeżego powietrza!

Za drzwiami klasy Listen spojrzała na zegarek. Była dziesiąta czterdzieści sześć. Pozostało całe czternaście minut, które trzeba było jakoś wypełnić. Schyliła się, rozwiązała sznurowadła i zawiązała je na nowo, przeszła

na koniec korytarza i zawiązała je jeszcze raz. Następnie poszła do toalety, wybierając jak najdłuższą drogę. Spiesznie okrążyła tył budynku, wzdychając i spoglądając na zegarek. Gdyby ktoś ją zobaczył, pomyślałaby, że biegnie spotkać się z koleżankami.

W toalecie starannie umyła ręce mydłem i równie starannie wysuszyła je nad grzejnikiem. Była już dziesiąta pięćdziesiąt jeden. Ale zostało jeszcze dziewięć minut. Staneła niepewnie przed toaletą, rozglądając się w obie strony pustej galeryjki. Jedna zaprowadziłaby ją do działu administracyjnego, gdzie mogłaby udawać, że coś zgubiła, i wypełnić odpowiedni formularz własności. Druga do klas siódmych, gdzie nie powinno być uczennic. Jej wzrok powędrował ku zamkniętym drzwiom klas siódmej A, siódmej B, siódmej C i siódmej D, po czym zatrzymał się na następnych. Nigdy ich przedtem nie zauważyła.

Miały ciemniejszy odcień szarości niż pozostałe i nie były oznaczone numerami ani literami. Gdy im się przyglądała, powoli się otworzyły. Wszedł z nich szkolny majster do wszystkiego, trzymając przed sobą w rękach duże kartonowe pudło. Kiedy znalazł się na zewnątrz, popatrzył w obie strony, zamknął za sobą drzwi kopnięciem i chrząknął. Następnie zniknął na prowadzących w dół schodach pożarowych. Nie podjęła nawet decyzji. Po prostu ruszyła galeryjką, otworzyła szare drzwi i weszła do środka.

Pomieszczenie było ciasne, ciemne i cuchnęło grzybami. Dostrzegła ciemne kształty niebezpiecznie ustawionych w sterty pudeł, łopaty, grabie i pojemniki z chemikaliami w aerozolu. W drugim końcu mała żarówka oświetlała tablicę rozdzielczą z przełącznikami. Skrzynka bezpiecznikowa, pomyślała, zadowolona z siebie. Dorastając w przyczepie kempingowej, jedynie ze starszym bratem, nauczyła się wymieniać bezpieczniki, koła w sa-

mochodzie i żarówki halogenowe. Kiedyś pomogła Veronowi zainstalować zmywarkę do naczyń.

Po chwili jednak zadowolenie zgąsło jak lampka sygnalizacyjna w piecyku gazowym. A jeśli złota rączka wróci? Jak Listen wyjaśni swoją obecność tutaj? Może ćwiczyć taekwondo. Może powiedzieć, że tuż po przerwie czeka ją egzamin kwalifikacyjny, a to jest jedyne miejsce, gdzie ma warunki, by potrenować.

Aby uwiarygodnić ten pomysł, wypróbowała uderzenie stopą z wyskoku i pełnego obrotu. Okręcając się, zaplątała się w gąszcz przewodów. Upadła na skrzynkę bezpiecznikową i osunęła się na ziemię. Rozległ się taki dźwięk, jak gdyby ktoś pstryknął kartami do gry. Podniosła się przerażona i szybko przesunęła spojrzeniem po bezpiecznikach. Jedne znajdowały się w pozycji WYŁ, inne w pozycji WŁ - które z nich przestawiła kopnięciem?

Prawdopodobnie wszystkie powinny być włączone. Włączyła je więc, oddychając z trudem, i wycofała się z pomieszczenia gospodarczego, zamykając za sobą drzwi.

Na galeryjce nie było nikogo. Z oddali dobiegały głosy dziewcząt śmiejących się i plotkujących na trawniku. Gdzieś rozmawiali też nauczyciele, niższymi, bardziej ironicznymi głosami. Ostatnie pięć minut Listen spędziła, stojąc przy wieszaku na torby przed siódmą B i grzebiąc w swoim szkolnym plecaku.

Tego samego dnia, gdy Listen wracała do domu, kuląc się przed zimnym deszczem zacinającym z szarego, ponurego nieba, nie opuszczała jej pocieszająca myśl: „Nie przejmuj się, do końca tygodnia zostały już tylko dwa dni”. I jeszcze jedna: „Nie przejmuj się, wkrótce znajdziesz nowe koleżanki”.

Obchodząc dookoła błotniste kałuże, Listen jeszcze raz spróbowała odtworzyć w pamięci różne grupki kole-

żanek ze swojej klasy, zamiast tego jednak przypomniała sobie pewien weekend sprzed kilku lat. Tamtego dnia wybrali się z Vernonem na przejażdżkę promem po porcie. Na nabrzeżu zauważyła wtedy duży żółty znak, na którym czerniał napis:

UWAGA:

PODWODNE KABLE.

Czytając ten znak, Listen zadrżała z zachwytu. Tuż pod nią jest łódź podwodna! Wyobraziła sobie, że musi być wysmukła i srebrzysta, a wewnątrz siedzą pochyleni nad długimi niskimi stołami znękanymi marynarze, popijając czarną kawę i studiując mapy. Łódź podwodna jest przymocowana do dna morskiego kablem, w który można się zaplątać.

Później Vernon wyjaśnił, że słowo „podwodny” oznacza po prostu „znajdujący się pod wodą”. Znak ostrzegał przed podwodnymi kablami.

Wchodząc na werandę, Listen myślała: „W świecie nie ma nic magicznego. Nie ma latających motocykli, tylko samoloty. Nie ma spadających gwiazd, tylko satelity. Nie ma łodzi podwodnych, tylko podwodne kable. Nie ma wiecznych paktów”.

Potem, wyjmując z kieszeni klucz, pomyślała: „Nie sądzę, by udało mi się dotrzeć do końca tygodnia”.

Za drzwiami musiała przystanąć, ponieważ ciężar szkolnego plecaka stał się wręcz nieznośny. Z drugiego końca korytarza dobiegł ją jakiś hałas.

- Halo! - usłyszała głos Marbie. - To Listen czy włamywacz?

Marbie siedziała przy kuchennym stole, u jej stóp szumiał grzejnik. Pomieszczenie było tak ciepłe, że Listen poczuła się, jak gdyby otuliła ją wełniana kołderka.

-To moja śliczna Listen! - wykrzyknęła Marbie, zrywając się z krzesła i wyciągając ramiona. - Spójrz, jaki przygotowałam dla ciebie podwieczorek! - Pokazała szerokim gestem stół, nakryty koronkowym obrusem, czekały na nim kawałki czekoladowego batonika ułożone na spodeczku, cząstki pomarańczy w miseczce, parujący placek z wiśniami.

-Jejku! - powiedziała Listen, upuszczając plecak na podłogę. - Dlaczego nie jesteś w pracy?

-Myślisz, że mogłabyś odpuścić sobie szkołę na resztę tygodnia? - spytała Marbie, ignorując pytanie Listen i podsuwając jej talerzyk z czekoladą. - Zamierzam zadzwonić do Vernona i zorientować się, czy nie mógłby zamknąć baru Banana. Zgadnij dlaczego! Usłyszałam w wiadomościach, że w Górach Błękitnych pada śnieg! Zarezerwowałam więc luksusowy pobyt w Hydro Majestic. Na powitanie będą kwiaty i czekoladki! I w pokojach są kominki! I będziemy lepili bałwany ze śniegu, zjeżdżaliśmy na toboganie z łagodnych stoków, a po powrocie do ośrodka będziemy się kąpać w wannie z hydromasażem, pili gorącą czekoladę, jedli cukierki ślazowe i grali, w co tylko zechcesz. Co ty na to? Chciałabyś mieć wolną resztę tygodnia? Napiszę ci usprawiedliwienie, że masz guz mózgu.

Listen wybuchnęła takim niepohamowanym śmiechem, że aż jej łzy pociekły z oczu.

W następnym tygodniu Listen wróciła do szkoły z zimową opalenizną i dowiedziała się, że sale siódmych klas zostały zalane. Wszystkie dziewczynki były podekscytowane jak w czasie wakacji. Lekcje musiały odbywać się w pracowniach fizyczno-chemicznych lub nawet na trawniku. Nauczyciele rozłożyli na trawie plastikowe płachty, żeby uczennice nie przeziębily sobie nerek.

Vernon włożył rękę pod fotel kierowcy, by ustawić wysokość.

- Musisz być niższa, niż się wydajesz - powiedział do siedzącej obok Marbie.

Jechali do domu po Pufnej Naradzie Rodziny Zingów.

- Jak tam narada? - spytała Listen z tylnego siedzenia.

- W porządku - odparł Vernon. - A jak ci się podobał film, który oglądałaś z Cassie?

- Fajny - przyznała Listen. Reflektory przejeżdżających samochodów znaczyły kolejno całą trójkę w paski. - Vernon, dlaczego odczytałeś na głos tamten list z mojej szkoły?

- Przepraszam. - Vernon spojrzął we wsteczne lusterko. - Myślałem, że nie masz nic przeciwko temu. Zrobiłem to dla zabawy.

W samochodzie zapanowała cisza, słychać było wyłącznie tykanie kierunkowskazu, gdy czekali na pasie skrętu w prawo.

- A jak tam w szkole, Listen? - zaciekała się Marbie.

- Świetnie.

Vernon i Marbie lekko westchnęli. Rozmawiali już wcześniej na temat ostatniego zwyczaju Listen, która odpowiadała w taki sposób na wszystkie pytania, i doszli do wniosku, że obecnie jest ona nastolatką mającą swój nowy własny świat.

- Bardzo już czekasz na ferie? - spróbowała jeszcze raz Marbie.

- Tak - odrzekła Listen.

Gdy Vernon skręcił w prawo, zaskoczyła ich oboje, prosząc:

-Marbie, czy mogłabyś jeszcze raz opowiedzieć swoją historię o pływalni?

-Cóż - odparła natychmiast Marbie. - Miałam pięć lat, był upalny letni dzień. Bujałam się na huśtawce, którą zawiesił dla nas tata w prezencie pożegnalnym, kiedy wyjeżdżał do Irlandii. Wiesz, tej na wielkim eukaliptusie na końcu ogrodu. A więc, huśtałam się w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, usiłując choć odrobinię się ochłodzić, wzlatywałam w powietrze coraz wyżej, a im wyżej wzlatywałam, tym więcej mogłam ogarnąć wzrokiem - grządki kwiatowe mamy, nasz stary batut, wierzchołki niskich drzew, wierzchołki wyższych drzew oraz dach ogrodowej szopy. Huśtałam się coraz mocniej, wzlatywałam coraz wyżej, aż zobaczyłam nawet dach naszego domu, a potem, oczywiście, zaczęłam dostrzegać sąsiedztwo - puste boisko szkoły średniej Bellbird, boisko do netballu ze słupkami bramki, korty tenisowe, stare kamienne budynki, trawnik na spadzistym terenie na tyłach szkoły, miejsce gdzie stykał się z zaroślami i lasem. Ostatni, bardzo mocny wymach nóg, i znalazłam się wyżej niż kiedykolwiek. I wtedy dojrzałam w gęstwinie przebłysk czegoś niebieskiego. Tamtego wieczoru odczekałam, dopóki wszyscy nie zasnęli, po czym wygramoliłam się przez okno sypialni i przemknęłam na tyły naszego domu. Znalazłam dziurę w ogrodzeniu między naszą posesją a szkołą i pobiegłam w stronę zarośli. Kamienie i sucha trawa raniły mnie w bose stopy, ale nie zwracałam na to uwagi, ponieważ chciałam jak najprędzej dowiedzieć się, co tam jest. A był to, rzecz jasna, nowy szkolny basen. Byłam rozgrzana i brudna po biegu przez chaszczki, toteż wskoczyłam do wody i trochę popływałam. Później wróciłam do domu i położyłam się spać.

-A potem przez resztę lata... - odpowiedziała sennie Listen.

-A potem przez resztę lata, co noc, po północy, przesmykiwałam się przez dziurę w płocie i pływałam sobie w basenie. Uważałam go za mój prywatny potajemny basen. Oczywiście, po kilku latach nie udawało mi się już przesmyknąć przez tę dziurę, dlatego też...

Obejrzała się na tylne siedzenie, ale Listen spała już snem sprawiedliwego.

*

Szanowny Panie!

Piszę do Pana z mojego biura. Miło mi Pana poinformować, że jest środa po południu. Już niedługo weekend! Tabitha i Toni omawiają coś bez tchu za szybą z pleksiglasu i za chwilę dołączą do nich, by dowiedzieć się najnowszych szczegółów netballowego dramatu.

Ale przede wszystkim pragnę Pana poinformować, że nie widziałam się z I.L. od czasu niewypału z nagością. Ten incydent zapadł mi w pamięć jako senny koszmar i wolę myśleć o nim właśnie w taki sposób - że mi się to tylko śniło. Nigdy nie zdarzyło się naprawdę.

Trwało to zaledwie trzy minuty i nie obejmowało dotykania ani słów (w każdym razie prawie nie mówiliśmy) - coś tak przelotnego z pewnością można wymazać?

Nie spotkam się z nim nawet, by mu powiedzieć: „Korniec z tenisem”. Tak czy owak nie moglibyśmy grać, jest tak zimno, jak gdybyśmy mieszkali w innym kraju.

Poza tym wkrótce będę bardzo zajęta. W piątek zaczynają się ferie i prawdopodobnie zechcemy z Vernonem wziąć jeszcze trochę wolnego i zabrać Listen w kolejną podróż.

A więc! Nie mam czasu dla inżyniera lotnictwa!

A propos, zamierzam zdjąć jego wizję z mojej tablicy korkowej. Wie Pan, co to jest? Zwykły zbieg okoliczności. Nie ma to nic wspólnego z moim wypadkiem z parasolem ani z moim lękiem przed ostrymi przedmiotami. Absolutnie nic!

*Szanowny Panie, muszę Pana na chwilę przeprosić - do-
ręczyciel rzucił mi właśnie na biurko intrygującą różową koper-
tę z moim imieniem, wypisanym fioletowym atramentem!*

Zobaczę, co to jest.

Serdecznie pozdrawiam,

Marbie

W środku intrygującej różowej koperty znajdował się arkusz papieru z dwiema samoprzylepnymi karteczkami. Na pierwszej I.L. nagryzmolił: „Właśnie to napisa-łem i przyszłaś mi na myśl Ty. A więc postanowiłem Ci to przesłać”.

Na arkuszu była starannie wydrukowana wizja # 1451.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 1451

Głęboko w soplach błotnistej, lepkiej przestrzeni
widzę to, widzę to, widzę to:

o rety!

Widzę Twoją twarz! Twoją drogą twarz!

Widzę czarne koty, parasole i strugi rozlanego
mleka.

Widzę pękniętą płytę w chodniku, piekące ucho,
drabinę i drewniane drzwi...

Zameczek naszyjnika błyska pod brodą z dołecz-
kiem!

Na drugim samoprzylepnym karteluszką widniały
słowa: „Dziś wieczorem. U mnie. Pójdźmy na całość”.

Nazajutrz, w czwartek, Marbie siedziała przy biurku i rozginała spinacze do papieru. Na blacie piętrzył się mały stos odkształconych drucików. Co jakiś czas Marbie brała jeden z nich i próbowała przywrócić mu kształt spinacza. Ani razu jej się to nie udało.

Na jej korkowej tablicy znajdowała się żółta samo-przylepna kartka: „Dziś wieczorem. U mnie. Pójdźmy na całość”. Za każdym razem, gdy ją czytała, czuła w głowie chłodny powiew: „Nie wolno ci tam iść! Nie wolno ci tam iść! Nie wolno ci tam iść!”

Oczywiście, że nie! Roześmiała się lekceważąco, ale rozginała dalej spinacze. W tym momencie zadzwonił telefon. Była to Fancy.

- Marbie! - powiedziała Fancy bez tchu, wyraźnie zdenerwowana, a Marbie natychmiast poczuła, że siostra wie.

„Nie wolno ci tam iść!” - pouczy ją Fancy. „Oczywiście, że nie”, odpowie Marbie.

-Marbie, zdarzyło się coś okropnego! Zostawiłam mój rachunek telefoniczny na stole podczas ostatniego Wtargnięcia! Właśnie to sobie uprzytomniłam! Muszę tam wrócić i go zabrać! A jeśli jest za późno? Nie mogę oddychać! Dzwoniłam do mamy, która wystąpiła z Wnioskiem o Pilne Odwrócenie Uwagi. A więc jeśli wszystko zostanie załatwione, to czy dzisiejszy wieczór ci pasuje?

-Jasne - zgodziła się Marbie. - Wyjdę wcześniej z pracy i będę czekała na telefon od ciebie. Z pewnością nie jest za późno, wiedziałybyśmy już o czymś. Uspokój się, oddychaj głęboko i wymasuj sobie stopy.

Cóż, pomyślała, odkładając słuchawkę po kilku minutach uspokajania Fancy. Wobec tego sprawa załatwiona. Ale rachunek telefoniczny! Dlaczego ona miała przy sobie rachunek telefoniczny podczas Wtargnięcia?

Wysłała krótkiego SMS-a do I.L. („Nie dam rady”), zdjęła z tablicy żółtą samoprzylepną kartkę i wrzuciła zniekształcone spinacze do kosza.

Po czym zabrała się do pracy.

*

Listen otrzymała pozwolenie, by rzucić kolejny czar, w ostatni piątek szkoły przed feriami. Zrobi to natychmiast po powrocie do domu. To będzie nagroda na rozpoczęcie ferii. Tamtego dnia miały najpierw lek'ę w pracowni fizyczno-chemicznej i nauczycielka ogłosiła:

- Wiecie, dziewczynki, właśnie otrzymałam wiadomość, że wszystkie uczennice siódmych klas mogą pójść do domu po zakończeniu tej lekcji.

Dziewczęta wydały okrzyki w rodzaju: „Co-o-o-o takiego?!” i „Niemożliwe!”, na co nauczycielka wyjaśniła:

- Nie ulega wątpliwości, że jest za zimno na to, by lekcje odbywały się na dworze... - W tym miejscu przerwały jej głośne okrzyki potwierdzające tę opinię. - Pogoda, jak z pewnością zauważyłyście, zrobiła się, nazwijmy to, dość dziwna. Firmy autobusowe napomykają, że być może zawieszą kursy za kilka godzin, toteż - cicho, cicho, nie ma powodów do hysterii - organizujemy, że rodzice będą was odbierać sukcesywnie w ciągu dnia, a wy, nieszczęsne siódmoklasistki bez dachu nad głową, tak, tak, wiem - wy, nieszczęsne siódmoklasistki, będziecie odbierane pierwsze!

Po tej wiadomości, rzecz jasna, lekcja była optymistyczna i hałaśliwie wesoła i nikt właściwie nie zwracał uwagi na nauczycielkę. Przy ławce Listen Donna i Caro podawały sobie w tę i z powrotem zeszyty z pracą domową, pisząc nazwiska wymyślonych gwiazd filmowych w dużych czerwonych sercach. Potem jedna pokazywała drugiej to, co napisała w zeszycie, a tamta piszcziała i pró-

bową zamazać nazwisko. Cóż, doprawdy, pomyślała Listen, dlaczego pozwalacie sobie nawzajem wpisywać cokolwiek, skoro wiecie, że obie wymyślicie coś idiotycznego?

- Poczekaj, poczekaj - powiedziała Caro. - Obiecuję, naprawdę obiecuję, że tym razem napiszę coś normalnego.

Donna podsunęła jej z powrotem swój zeszyt, a Caro nagryzmoliła wielkimi literami: „Bądź ostrożna. Światu potrzeba więcej stróżów”.

Listen, która czytała Caro przez ramię, zachichotała. Caro skrzywiła się, jak gdyby kazano jej spreparować żabę. Zamknęła zeszyt i przesunęła go po ławce w stronę Donny, która poklepała ją ze współczuciem po ramieniu.

- Przepraszam, że żyję - mruknęła Listen i odsunęła się od nich z krzesłem.

Gdy lekcja zbliżała się do końca, nauczycielka podniosła znowu głos, żeby być słyszana:

- Dobrze, dziewczęta, zaraz będzie dzwonek, toteż dopóki jeszcze mnie słuchacie, dwie sprawy! Oczywiście, nie muszę wam przypominać, że na początku przyszłego semestru macie się zgłosić do szkoły podstawowej Redwood! Wiem! Wiem, że to szkoła podstawowa, ale spodziewam się, że jakoś przeżyjecie. I spodziewam się również, że tego samego dnia zobaczę wasze prace domowe! Zakładam, że są już mocno zaawansowane.

Jej słowa powitał ogólny śmiech.

- Miałyście na to okrągły tydzień! Kto przypomni mi temat pracy? Nikt? Wybierz dwa morskie stworzenia. Mogą to być stwory mityczne i niekoniecznie ryby!

Donna podniosła rękę i spytała:

- Jak stworzenia morskie mogą nie być rybami?

Nauczycielka westchnęła teatralnie.

- Donno Turnbull - powiedziała - czy to możliwe, żebyś nie słyszała ani słowa z tego, co dzisiaj mówiłam?

-Całkiem możliwe - odparła Donna, wzruszając ramionami, a siedząca obok niej Caro prychnęła głośno. Donna zachowała powagę, ale nozdrza jej drżały.

- Donno - spytała nauczycielka - czy mówiliśmy na tej lekcji o wielorybach?

- A mówiliśmy?

- I, Donno, czy wieloryb to rodzaj ryby?

Donna gapiła się bez słowa na nauczycielkę, tymczasem Caro szarpnęła ją za rękę. Ostro dzwiek dzwonka ogłosił koniec lekcji.

- Dobrze! Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie powiecie Donnie, jakim rodzajem zwierzęcia jest wieloryb!

Wówczas połowa klasy krzyknęła: „To ssak!”, Donna rozdziawiła usta ze zdumienia, a Caro ześlizgnęła się z ławki, chichocząc jak szalona. Po chwili wszystkie szurały krzesłami, wsuwając je pod ławki, rozmawiały, sięgały po szkolne plecaki i schylały się po długopisy, które spadły na podłogę.

Listen Taylor natomiast siedziała jeszcze przez pewien czas w swojej ławce, jak gdyby zapomniała, gdzie jest. Przyglądała się koleżankom szykującym się do wyjścia oraz obserwowała, jak Donna i Caro opuszczają razem klasę, skrecając się ze śmiechu.

Marbie stała na korytarzu z Tabithą, Toni, Abi i Rhamie, słuchając, jak Tabitha opowiada o swojej ciężarnej siostrze. Pozostałe dziewczyny wydawały ochy i achy, kręciły głowami, toteż Marbie przyłączyła się do nich, ale w istocie myślała: „Jestem naprawdę fartowną dziewczyną. Mam mnóstwo szczęścia, że Fancy zadzwoniła wczoraj, ponieważ konieczne okazało się ponowne Wtargnięcie wczoraj wieczorem, żeby mogła odzyskać swój rachunek telefoniczny. Wykluczyło to bowiem wizy-

tę u I.L. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle brałam to pod uwagę. Tylko dlatego, że przysłał mi wizję na temat moich przesądów. Mnóstwo ludzi wierzy w zabobony. Mam WIELKIE szczęście".

- To dzwoni twoja komórka, Marbie, prawda?

- Przepraszam - powiedziała Marbie, wracając do swojego pokoju.

Nie zdążyła odebrać telefonu i nie było wiadomości. Kiedy jednak wpatrywała się w komunikat „NIEODEBRANA ROZMOWA”, nadszedł SMS: „Zatem dzis, moje mszkanie, 13. Ms wys zz”.

Gapiała się przez chwilę na wyświetlacz. „Ms wys zz”. Ms wys zz. Co to miało oznaczać? Miłość wszystko zwycięży? Ale o co chodzi?

Masz wyjść zaraz, zrozumiała nagle.

W tym samym momencie Tabitha wsunęła głowę do jej pokoju i powiedziała:

- Idź do domu, Marbie! Podają to we wszystkich wiadomościach! Spodziewają się marznącego deszczu lub śniegu i jeśli nie wyjdziemy natychmiast z pracy, nie dostrzemy do domu! Transport publiczny nie będzie działał.

WITAJ ZNOWU! - głosił napis w Magicznej Księdze.

- Cześć - odparła machinalnie Listen, po czym zaczęła czytać.

Czy nie minęły wieki? Jak się dzisiaj czujesz? Mam nadzieję, że dobrze. Ja się czuję po prostu świetnie. A oto następne zaklęcie.

Jak sprawić, aby dwoje szczęśliwych ludzi OKROPNIE się pokłóciło o ABSOLUTNE GŁUPSTWO!

Oto instrukcję:

1. Zrób dwadzieścia ćwiczeń gimnastycznych - pajacyków.
2. Weź kartkę, napisz tytuł: „Rzeczy, które sprawiają mi przykrość”, następnie wymień wszystkie rzeczy, które sprawiają ci przykrość.
3. Włóż kartkę na dno pudełka z chusteczkami higienicznymi (schowaj ją starannie pod wszystkimi chusteczkami!).

Zamknij księgę, zołóż ją pod poduszkę, a zobaczymy się znowu JUTRO. Wtedy rzucisz kolejny czar.

Listen dwukrotnie przeczytała zaklęcie, leżąc na boku na łożku. Pomyślała, że to zaklęcie jest łatwym i całkiem dobrym ćwiczeniem. Pomyślała, że nie ma nic przeciwko temu, by wypisać rzeczy, które sprawiają jej przykrość, i schować je na dnie pudełka z chusteczkami higienicznymi. Pomyślała, że do jutra to wyjątkowo krótki okres oczekiwania na następne zaklęcie.

Ale tak naprawdę myślała, dlaczego ktoś miałby rzucać czar, by dwoje szczęśliwych ludzi się kłóciło?

Zanim jeszcze zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, robiła już pajacyk numer pięć.

Rzeczy, które sprawiają mi przykrość. Listen nalała sobie szklankę soku, usiadła przy biurku w sypialni i utkwiała wzrok w nagłówek, który napisała na czystym arkuszu formatu A-4. Następnie zabrała się do roboty.

„Donna ma stół do ping-ponga w suterenie swojego domu - zanotowała. - A kiedyś matka Sii poczęstowała nas spaghetti z kabaczkim. Po pierwsze, sprawia mi przykrość to, że nigdy nie zagram już w ping-ponga w domu Donny. Byłyśmy z Caro najlepsze w deblu. Po drugie, smuci mnie to, że nigdy więcej nie zjem u Sii

spaghetti z kabaczkim, mimo że, prawdę mówiąc, wcale mi nie smakuje".

Pisała, dopóki nie zapełniła całej kartki. W końcu dotarła do ostatniego punktu: „Trzydziestą trzecią rzeczą, która sprawia mi przykrość, jest to, że nie widzę żadnego sensu życia”.

*

Inżynier lotnictwa przywitał Marbie w progu czerwona różą i pocałunkiem. Stał na frontowej werandzie, machając w stronę autobusu numer 73. Marbie ślizgała się po oblodzonej ścieżce prowadzącej do drzwi. Czerwona róża powiewała w jego dłoni, chwytając się deszczu i gnąc na wietrze. Pocałunek był szybki i prosto w usta.

Za wcześniej! - pomyślała Marbie. Za wcześniej!

Inżynier lotnictwa wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do holu, gdzie Marbie powiedziała: „Chwileczkę” i zdjęła płaszcz. Usiadła na chłodnej posadzce holu, by rozsznurować lodowato zimne buty. Kucnął przy niej i ujął jej obie dłonie.

-Okropnie zmarzły ci ręce, Marbie, moja księżniczko!

Księżniczka, pomyślała Marbie, cóż!

- Przemarzaś, moja księżniczko, chodźmy do kominka! - szepnął jej do ucha, łaskocząc je wargami.

- Och, zaraz - zaprotestowała Marbie - nie zdjęłam jeszcze całkiem butów, widzisz? - Pokazała mu jeden but na nodze, drugi na posadzce.

Szarpnął ją za rękę.

-No, chodź ze mną! - ponaglił ją, energicznie wzruszając ramionami na widok jej jednego buta, i poprowadził, potykającą się, do kominka, po czym posadził ją na podłodze.

Za wcześniej! - pomyślała Marbie.

Wyczuł chyba jej sowie usposobienie i pochylił się nad jej stopami. Marbie siedziała skromnie, obejmując ramionami kolana. Rozsznurował jej drugi but, przeciągając sznurowadło przez oczka. Zapędził się za daleko i wyciągnął całe sznurowadło, które wypadło z buta.

- Nie rozumiesz, jak działają sznurowadła? - spytała zaskoczona Marbie.

On jednak nie zwracał uwagi na jej słowa. Zsuwał jej but, co było łatwe bez sznurowadła. Wziął z gzymsu kominka kieliszek zmrożonego szampana i płynnym ruchem wsunął go jej do ręki.

- Szampan? - zdziwiła się Marbie. - Co on robi na twoim kominku?

Upiła łyk szampana, tymczasem inżynier lotnictwa włączył odtwarzacz CD.

- Jazz - powiedziała Marbie. - Wiele osób lubi jazz. Ja szczególnie. Nie można by mnie nazwać amatorką jazzu. Fancy uwielbia jazz. Moja siostra Fancy. Nie podejrzewałbyś jej o to, ponieważ...

-W porządku - przerwał jej inżynier lotnictwa, przechylając się z powrotem do odtwarzacza. - Wobec tego nie będzie jazzu.

Szufladka odtwarzacza wysunęła się powoli, podając płytę kompaktową niczym kelner na tacy.

- Och, dobrze - zawołała Marbie - włącz z powrotem. Ten rodzaj jazzu naprawdę lubię. Fancy raczej nie. To chyba nie jej ulubiony...

I.L wsunął z powrotem płytę.

- Urocze - oznajmiła Marbie. - Jazz.

- Marbie - spytał inżynier lotnictwa, siadając obok niej ze skrzyżowanymi nogami. - Ile masz czasu?

- Tylko godzinkę na lunch, naprawdę - skłamała. - Muszę wracać do pracy.

Wybijała rytm nogą w samych rajstopach.

- To trudne, prawda? - zagadała. - Stepowanie do jazzowej muzyki? Może stąd tego nie lubię. Jak myślisz?

Przybliżył się do niej, sunąc po dywanie na siedzeniu.

Marbie wpadła w popłoch.

- Zdejmujemy te rajstopy, prawda?

Marbie nie była pewna, czy jest to możliwe.

- To znaczy bez zdejmowania najpierw spódnicy?

- Połóż się - zaproponował.

Obawiała się, że przewróci kieliszek z szampanem, trzymała go więc w powietrzu, dopóki go od niej nie wziął i nie postawił z powrotem na gzymsie kominka.

Leżąc teraz płasko na dywanie, nagle kichnęła, jeden raz.

- Może mam alergię na ten dywan - zauważyła.

Rozpiął jej z boku spódnice.

- Tak - zgodziła się. - W ten sposób będzie łatwiej.

Wsunął jej obie dłonie pod spódnice, patrząc na jej twarz, i skoncentrowany, z przechyloną głową, wędrował dłońmi wzdłuż jej bioder, niczym włamywacz pracujący w ciemności, który szuka przewodów, by wyłączyć alarm. Dotarł do talii i zaczął bardzo ostrożnie ściągać jej rajstopy przez biodra, potem z ud, kolan, wreszcie stóp.

- Zrobione! - powiedział, trzymając w górze zmięte rajstopy.

Marbie uniosła głowę i popatrzyła na swoje nogi, białe na tle dywanu.

- Czy mam usiąść?

- Nie.

Z kolei zapragnął zdjąć jej bluzkę. Zaczął rozpinąć guziki, jeden po drugim, aż w końcu odsłonił jej sterczące piersi w staniku. Marbie znowu uniosła głowę i przyjrzała się im.

- Czyż mój stanik nie jest śliczny? Dostałam go od siostry na ostatnie urodziny. Noszę go wyłącznie na

specjalne okazje, takie jak piątki. Dużo mówię o Fancy, prawda?

- Twój stanik jest piękny.

Postanowił zedrzeć z niej spódnicę, co nie nastąpiło z powodu trudności, ponieważ była już rozpięta, Marbie musiała jednak dźwignąć biodra, by mu pomóc.

- Usiądź - poprosił ją.

- Och, teraz znowu chcesz, żebym usiadła? Czuję się trochę jak u dentysty.

I.L. wybuchnął śmiechem i oświadczył, że to nie było pochlebne.

Marbie spełniła jego prośbę i zsunęła także bluzkę z ramion.

- Połóż się z powrotem.

- No dobrze. - Posłuchała go, mimo że dywan drapał ją w plecy i obawiała się, że zaraz zacznie znowu kichać. Drapało ją również w gardle i przełknęła nerwowo ślinę. - A moje majtki nie są ładne? Pasują do stanika, widzisz?

- Rzeczywiście.

Podnosił się powoli, patrząc na jej blade ciało w białym staniku i białych majtkach, rozciągnięte na dywanie. Miał na sobie spodnie od dresu i T-shirt, których pozbyć się było bardzo łatwo. W mgnieniu oka został w samych tylko bokserkach.

- Ojej! - jęknęła raptem Marbie .

- Co się stało? - I.L. sięgał właśnie po kieliszek szampana, ale zatrzymał się w pół gestu.

- Nie będziemy bawić się w tę samą grę, prawda? Kiedy nic nie robimy, tylko leżymy nadzy?

-Może tak - odparł spokojnym tonem, sącząc szampana. - Może nie.

-Jeśli tak - powiedziała Marbie - to wracam do biura. Nie chcę.

- No to dobrze. Nie będziemy. Widzisz?

Wziął leżący na gzymsie kominka mały niebieski kwadracik, którego Marbie wcześniej nie zauważyła. Prezerwatywa. Poczuli się, jak gdyby jej wizję upstrzyły plamki. Co ja tu robię? - pomyślała nagle. Do tej chwili wszystko jakimś sposobem było tylko grą. Teraz zrozumiała, że to rzeczywistość.

- W porządku?

- W porządku - wyszeptła, po czym dodała głośniej: - W porządku, ale na miłość boską, po prostu to zrobmy! Pośpiesz się!

I.L. upuścił niebieską kwadratową paczuszkę na dywan i powoli ukląkł obok Marbie. Ujął jej rękę i pocałował w zgięcie łokcia.

Interesujące, pomyślała Marbie, czując ulgę, że odwróciło to jej uwagę.

Ale wtedy I.L. uniósł się i położył na niej, jego pierś opierała się na jej staniku, jego bokserki ocierały się o jej uda.

- Cóż... - zaczęła Marbie.

On jednak pochylił się i stłumił jej słowa pocałunkiem.

Miał wannę i prysznic w jednym. To zwykła rzecz, powiedział, Marbie nie zna czegoś takiego?

- Mogę popatrzeć, jak się myjesz?

- Och, gdyby to był normalny prysznic. Ale to jest prysznic w wannie...

- W takim razie może przygotuję dla nas omlet lub jajka na bekonie?

- To byłoby śniadanie - odparła - a jest już popołudnie.

- Aha - zgodził się, po czym spytał: - Naprawdę musisz wracać do pracy?

-Tak, wiem, to okropne - odrzekła. - Masz dla mnie ręcznik?

Owszem, miał, duży, miękki, biały ręcznik, ciepły i puchaty hotelowy ręcznik, taki, o jakim Marbie zawsze marzyła, w którym mogłaby ukryć twarz lub się nim wytrzeć.

- Czyli nie mogę patrzeć, jak się myjesz?

- Och, raczej nie - odpowiedziała Marbie i zamknęła za sobą drzwi.

Weszła do wanny i po chwili cała różowa łazienka wypełniła się parą.

- Spójrz tylko na drzewa.

Stał w drzwiach, z ręcznikiem owiniętym wokół tłustawego pasa i owłosioną piersią.

- To marznący deszcz, oto co na nich jest - zauważył.

- Lepiej wejdź do środka - poradziła mu Marbie.

- Zamarzniesz.

- Zobacz, te drzewa są oblodzone. Czy widziałaś kiedykolwiek taką zimę w Sydney? Nie, z pewnością nie. Nikt nie widział. O, jest twój autobus, na światłach na skrzyżowaniu. Uważam, że powinni odwołać kursy autobusów. Założę się, że niebawem je odwołają.

-Lepiej wejdź do środka - powtórzyła Marbie.

- Co się stanie, jeśli marznący deszcz spadnie ci na pierś? Włosy zamienią się w poskręcane sopelki lodu i będziesz musiał je odłamywać.

- Będę patrzył, jak idziesz do autobusu - odparł.

- Uważaj na tej ślizgawicy, dobrze? Zrobiło się istne lodowisko. Niebezpiecznie.

- Nie czekaj, aż wsiądę do autobusu. Lepiej wejdź do środka - powiedziała po raz trzeci Marbie.

- Pocałuj mnie - rzekł na to.
I wypadło to zrobić.

Marznący deszcz szeleścił w gałązkach, wgryzał się rekinowymi zębiskami w wypukłości i wklęsłości. Lód na drzewach przypominał koronkę lub hiszpański mech albo dmuchane szkło.

Później tego samego dnia Marbie siedziała przy kuchennym stole i czekała na powrót Vernona, który odwiózł Listen na zajęcia taekwondo. Kiedy wróci, wszystko mu powie. Była zdziwiona, jakie to proste. Wcześniej wydawało jej się, że będzie pełna udreki rozterka - powinienam mu powiedzieć czy nie, powinienam czy nie? Ale gdy tylko stanęła pod prysznicem w różowej łazience, w tym samym momencie, gdy całe pomieszczenie wypełniło się parą, w tym samym momencie, gdy sięgnęła po drobne na autobus, gdy wysiadła z autobusu na pokrytą cienką warstwą lodu kałużę i kompletnie przemoczyła buty - w tym samym momencie! - wiedziała, jak ma postąpić.

Siedziała przy kuchennym stole nad czekoladowym batonem Twix i szklanką lemoniady, które miały być dla Vernona.

Nie wytrzymała długo, rozdarła opakowanie i zjadła batonik. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się zjeść całego naraz, łapczywie, dużymi kęsami, niczym wygłodzony Charlie przed fabryką czekolady. Potem wypijała szklankę lemoniady jednym chciwym haustem. Tego również nigdy dotąd nie robiła. Kiedyś na pewno powstrzymałoby ją to, że napój był gazowany. Teraz czuła w ustach czekoladową słodycz, oczy miała zaczerwienione z przestrawienia. Była tak przerażona, że ogarniał ją histeryczny chichot.

Wyjęła z szuflady korkociąg i zaczęła się nim bawić, obracając uchwytem w taki sposób, że jego dźwi-

gienki wznosiły się i opadały, w górę i w dół, w górę i w dół, niczym ramiona człowieka wzywającego pomocy. Poddaje się, krzyczy, poddaje się, krzyczy, długie, szczupłe ciało, w udreće bezustannych obrotów.

Klucz zazgrzytał w zamku. Marbie upuściła z brzękiem korkociąg. A potem w holu rozległy się głosy - Listen była w domu.

- Co się stało? - zawołała Marbie. - Co z treningiem taekwondo?

- Odwołany - krzyknęła Listen.

Tańczyła w podnieceniu, Vernon również był wyraźnie podekscytowany.

-Trener zostawił wiadomość na drzwiach - wyjaśnił, otwierając lodówkę. - Należało to przewidzieć. Podróż samochodem była koszmarna. Rzuciło nim po całej jezdni. Na dworze jest prawdziwe lodowisko. Musisz to sama zobaczyć, Marbs. Mimo to nie byliśmy jedyni, prawda, Listen? Pętało się tam sporo chłopaków. Czekali na zajęcia, ponieważ nie zauważyli kartki. Wszyscy przystawiali się do Listen. O, twix! Uwielbiam twixy. - Patrzył na opakowanie leżące na stole.

- Wiem o tym. - Marbie poczuła straszliwe wyrzuty sumienia. - Przepraszam. Zjadłam cały. Kupię ci jutro rano.

- Ach, trudno - rzekł Vernon, odwracając się z powrotem do lodówki.

-Jestem głodna. - Listen wciąż tańczyła. - Oni wcale się do mnie nie przystawiali, Vernon.

- Hm, tamten chłopak z wytatuowaną na nadgarstku żyrafą na pewno tak - odparł Vernon, przysuwając sobie do stołu kuchenne krzesło. - Zakochał się w tobie po uszy, dziecino. - Vernon pokazał Marbie, w jaki sposób szyja żyrafy biegła od nadgarstka chłopca aż do łokcia.

-To Carl Vandenberg. Chce zdobyć czarny pas. Mowy nie ma, żeby mnie lubił.

- Co powiecie na kolację w mieście? - spytał Vernon. - Moglibyśmy pójść do tej nowej indyjskiej restauracji, żeby to uczcić.

- Uczcić co?

-Burzę lodową. I odwołanie Poufnej Narady Rodziny Zingów. Nie dlatego, bym nie przepadał za tymi spotkaniami, Marbie. To po prostu dobry powód. Jak również odwołanie zajęć taekwondo.

Listen wykonała piruet.

- Ale ja lubię taekwondo.

Gdy Marbie została znowu sama w kuchni, pomyślała smętnie o tym, by kupić twixa Vernonowi, ale na dworze było zbyt ciemno i zbyt ślisko. Nie pojechała z nimi do restauracji pod pretekstem, że jest jej strasznie zimno, teraz jednak była za bardzo przerażona, by zrobić cokolwiek. Nie potrafiła nawet zmusić się do tego, by przygotować sobie kanapkę z jajkiem w sosie curry na kolację.

- Chodź do łóżka.

Vernon siedział oparty o poduszkę, Marbie zaś stała w nogach łóżka, wpatrując się w niego.

-Wiesz, że Arnold Schwarzenegger potrafi zabić człowieka, naciskając odpowiednie miejsce na jego szyi? - spytała w końcu.

- On jest tylko aktorem, Marbie - odparł łagodnie Vernon.

- Owszem, ale grywa takie postacie. Rzecz w tym, Vernonie, że czasami robię ci masaż karku i ramion, prawda?

- Niezbyt często.

- Ale czasami cię masuję i chodzi o to, co stałoby się, gdybym przypadkiem nacisnęła właśnie to miejsce i niechcący cię zabiła? - Głos jej się załamał.

- Marbie, ostrzegłbym cię, że zaczynasz mnie zabić, i wtedy mogłabyś przestać. Zgoda? Nie ma powodu do płaczu. Może byś wyjrzała przez okno? Chyba pada śnieg. Wydaje mi się, że widzę coś białego. Jeśli mam rację, powinniśmy obudzić Listen i wyjść na dwór.

- W Sydney nie pada śnieg - powiedziała Marbie tragicznym tonem. Łzy spływały po jej policzkach. - Za to ja mogłabym niechcący zabić cię jednym małym naciśnięciem palca. Albo gdyby samorzutnie rozwinęła się u ciebie alergią na owoce morza, a ja dałabym ci znaczek do przyklejenia na kopercie, co spowodowałoby u ciebie reakcję uczuleniową, ponieważ polizałbyś znaczek, na którego odwrocie znajduje się klej z drobkami rybich ości. Do wyrobu tego kleju wykorzystuje się rybie ości, Yernonie, naprawdę, czytałam o tym. A w każdym razie wykorzystywało się. I mogłoby się zdarzyć, że umarłbyś z powodu znaczka pocztowego.

- Jestem pewien, że pada śnieg. - Vernon pochylił się do przodu. - Rozsuń zasłony.

- W Sydney nie pada śnieg - apatycznie powtórzyła Marbie.

W końcu Vernon zauważył, że coś jest nie tak.

- O co chodzi, Marbie? Powiedz mi, co się stało.

- Dobrze, powiem ci - odrzekła Marbie przez łyżę.

I tak też zrobiła.

urywki z ogrodowej szopy ZingÓW (ocalałe z pożaru fragmenty)

(Z protokołu Poufnej Narady Rodziny Zingów)

- Pani Z. pyta: „Jak się jej pozbędziemy?”.
- Radcliffe żartuje sobie: „Zwichnięta kostka lub nadgarstek załatwi sprawę” (ogólny śmiech).
- Ogólna rozmowa.
- Podjęto decyzję, że zostanie powołana podkomisja w składzie

śnieżyca

Pierwszy dzień ferii zimowych. Cath obudziła się w zmiętej pościeli, w pustym łóżku, i pomyślała: „Oczywiście już wyszedł”. Była ciekawa, czy znajdzie na poduszce obok jedną czerwoną różę, smutne pożegnanie, ale nic tam nie było. Natomiast wodząc spojrzeniem po pokoju, zwróciła uwagę na dziwne, niemal wyjątkowe światło.

Gdy się tak rozglądała, w progu stanął Warren Woodford. W brwiach skrzyły mu się srebrzyste płatki.

- Byłem na spacerze - rzekł z wahaniem. - Trudno w to uwierzyć, ale cała ziemia jest pokryta warstwą śniegu-

Trzymał w ręku kartonową tackę z dwiema kawami na wynos. Twarz miał poszarzałą i przestraszoną.

-To nie ma żadnego znaczenia - uspokoiła go Cath, siadając oparta o wezgi łóżka. - Byliśmy pijani i to naprawdę nie miało znaczenia.

Warren uniósł brwi.

Następnie wszedł do sypialni, zamykając nogą drzwi. Postawił kubeczki z kawą na nocnym stoliku i usiadł na brzegu łóżka. Położył zimną dłoń na jej czole, jak gdyby sprawdzał, czy nie ma gorączki, z twarzą tak zatroskaną i wzrokiem tak badawczym, że Cath uświadomiła sobie, iż jego zdaniem miało.

Pierwszego dnia ferii zimowych Fancy obudziła się, gdy Cassie wskoczyła na jej łóżko.

- Na dworze jest śnieg! NA DWORZE JEST ŚNIEG! MAMUSIU! ŚWIAT JEST CAŁY BIAŁY!

- Cassie, kochanie, połóż się i jeszcze trochę prześpij - mruknął Radcliffe stłumionym przez poduszkę głosem.

Zawył, ponieważ Cassie wskoczyła mu z całej siły na kostkę.

Fancy mrugała powiekami w dziwnym, niemal tajemniczym świetle, które zalewało pokój. Czy to naprawdę możliwe, żeby na zewnątrz był śnieg? Okrzyki jej córeczki stały się osobliwie odległe. Fancy wyciągnęła ramiona jak baletnica. Dlaczego czuje się taka żałosna i zarazem taka pełna wdzięku? W tym momencie przypominała sobie: mój mąż ma romans.

Nie rozmawiała jeszcze o tym z Radcliffe'em. Wczorajszego wieczoru wrócił do domu wcześniej i zastał ją siedzącą na podłodze w sypialni ze skarpetką ukrytą bezpiecznie w kieszeni.

- Jeśli pracujesz nad pomysłem książki - rzekł scenicznym szeptem - to nie będę ci przeszkadzał. - I wyszedł na palcach z pokoju.

Pewnego dnia, wkrótce, powie mu, że wie o jego romansie. Tymczasem zastanowi się nad swoim nastrojeniem. Prawdę mówiąc, zdiagnozowała go. Było to takie samo dziwne, pełne dystansu uczucie, jakiego doznawała we wszystkich ważnych, choć trzymanyh w tajemnicy chwilach swego życia: *nie jestem już dziewczicą; jestem na diecie Atkinsa; chyba będę miała dziecko.*

-CHODŹ NA DWÓR I POBAW SIĘ NA ŚNIEGU, MAMUSIU! - zaczęły dobiegać do niej krzyki Cassie. - MAMUSIU, MOGĘ IŚĆ DO LUCINDY? BĘDĘ RZUCAŁA W NIĄ ŚNIEŻKAMI, A ONA WE MNIE!!!

- Cóż - zaczęła Fancy, powoli i z wdziękiem, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

Pierwszego dnia ferii zimowych Marbie obudziła się w dziwnym, niemal niesamowitym świetle, które ma- ciło jej wzrok. Przez chwilę leżała płasko na wznak, pró- bując coś zobaczyć.

Buczący dźwięk napełnił ją krótkotrwałą nadzie- ją: „To wszystko mi się przyśniło! Nigdy nie uprawiałam seksu z inżynierem lotnictwa! Nigdy nie powiedziałam o tym Vernonowi! Vernon i Listen poszli do kuchni, by przygotować koktajle mleczne-bananowe!” Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że jest to hałas odkurzacza do liści, dobiegający z dworu.

Przeszła się niespiesznie po mieszkaniu, zatrzy- mując spojrzenie na pustych miejscach: klamka, na której zawsze wisiała kurtka Listen, półeczka w łazience, gdzie powinien stać szampon Vemona. Jak starannie spakowali się w środku nocy!

Otworzyła drzwi wejściowe i zachłysnęła się ze zdumienia na widok dziwnego małego płatu bieli na we- randzie. To pewnie wiadomość od Vernona. Ale co ona oznacza? Przykucnęła i dotknęła go - był lodowato zim- ny. Czyżby Vernon wyrąbał lód w zamrażarce, zeskro- bał go do wiaderka, a następnie rozsypał na werandzie? Chcąc przez to dać jej do zrozumienia... co? Że jej serce jest zimne jak lód? Że wróci, kiedy lód stopnieje?

Rozejrzała się po okolicy i dopiero teraz zauważy- ła, że białe płaty są wszędzie. Na słupkach ogrodzenia, na skrzynkach na listy, na gałęziach drzew. Śnieg pokrywał dachy i maski samochodów, leżał na trawnikach przed domami, zwisał z brzegów rynien. Po drugiej stronie uli- cy dwie małe dziewczynki próbowały zbierać śnieg od- kurzaczem do liści.

Spanikowana Marbie cofnęła się do holu i chwyciła telefon. Palce jej drżały, gdy wybierała numer siostry.

- Możesz spotkać się ze mną u mamy w domu?
- spytała szeptem. - Natychmiast?

W kuchni babci Zing Marbie z trudem łąpała oddech, jej matka piekła ciasto z marchwi, a Fancy sączyła mądrość z filiżanki z kawą.

- On wróci. - Taka była mądrość Fancy. - I to niebawem.

- Chyba tak. - Babcia Zing odmierzyła łyżeczkę imbiru. - A jak ty myślisz, Marbie?

- W tym rzecz. - Marbie odchyliła się na oparcie krzesła, wybałuszając oczy. - Nie wydaje mi się, żebym myślała.

- Ktoś tak wyjątkowy jak Vernon...

- Przestań, mamó - przerwała jej Fancy. - Vernon w końcu wróci, Marbie.

- Nie, nie wróci - wymamrotała Marbie, patrząc na siostrę. - Nie widziałaś jego oczu. Był taki spokojny. Wysłuchał tego, co mu mówiłam, po czym wstał z łóżka, wyjął walizkę i spakował się. Składał ubrania, jak gdyby miały pójść na wystawę sklepową. Potem przespał się na kanapie, a rano, kiedy się obudziłam, nie było ani jego, ani Listen. I wszędzie leżał śnieg.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją babcia Zing - ciasto z marchwi będzie już niedługo. Zaraz wkładam je do piekarnika. - Zerknęła na termometr, żeby sprawdzić, czy piekarnik jest odpowiednio nagrany. - Zostawimy tatę na trochę w pokoju telewizyjnym. Uwielbia ten swój teleturniej. Poza tym spędził cały ranek w szopie.

- Posłuchaj - powiedziała Fancy stanowczym tonem. - Przecież zdarzyło się to tylko raz, prawda, Marbie?

- Tak - przyznała Marbie. - Tylko raz.

- I nie zamierzasz zobaczyć się z nim więcej? Tym swoim inżynierem lotnictwa?

- Nie - rzekła z naciskiem Marbie. - Nigdy więcej.

- No więc! - Sprawa została załatwiona. - Vernon wróci.

- Nie, nie wróci. - Marbie pokręciła głową, łzy zamgłiły jej wzrok. - Nie wróci. - Wytarła oczy i po chwili zastanowienia dodała: - Podziwiam jego determinację.

- Ojej! - jęknęła Fancy. - On wciąż tu jest!

Stały w progu, przyglądając się śniegowi, przypominającemu lukier na torcie weselnym. On też na nie patrzył, trochę wyzywająco, jak gdyby wiedział, że nie powinno go tam być.

- Szczerze mówiąc - powiedziała babcia Zing - uważam, że rozsądniej byłoby, gdybyście obie się stąd nie ruszały. Wasza podróż do mnie była niebezpieczna. Usprawiedliwiłaby ją wyłącznie sytuacja awaryjna. - Spojrzała na obie córki i dodała uprzejmie: - Oczywiście, rozumiem, że to jest sytuacja awaryjna, Marbie.

- Przekonałam się, że jeśli jedzie się wolno, to jest całkiem niezłe - zauważyła Fancy. - Ale samochodem rzucało po całej drodze. Dosłownie po całej.

- Jest bezpiecznie - oznajmiła Marbie - bo nikt inny nie jeździ.

- Tak, ale w wiadomościach wciąż powtarzają, że powinno się zostać w domach i wychodzić na dwór jedynie po niezbędne zakupy, takie jak latarki, koce i tak dalej - nie ustępowała babcia Zing.

Wszystkie trzy stały w milczeniu na werandzie, rozważając tę radę, tymczasem wszędzie na ulicy dzieci bawiły się razem z dorosłymi na śniegu, wydając radosne piski. Lepiły bałwany, toczyły wojnę na śnieżki, kilka osób chodziło po swoich ogrodach na nartach.

- Może rzeczywiście zatrzymam się u ciebie na jakiś czas - zgodziła się w końcu Marbie.

- No cóż, ja umówiłam się z Radcliffe'em na lunch - oświadczyła Fancy.

- Pójdę się położyć - rzekła Marbie.

- Co my zrobimy z tą dziewczyną? - spytała babcia Zing na podjeździe przy samochodzie Fancy.

- Spójrz tylko! - wykrzyknęła Fancy ze zdumieniem. - Przednia szyba jest kompletnie zamrożona! Wycieraczki nie dają rady! Przypuszczam, że ludzie w zimnych krajach mają jakieś urządzenia do skrobania szyb w podobnych sytuacjach.

- Poczekaj, zobaczę, co uda mi się zdziałać paznokciami - zaofiarowała się babcia Zing. - Och, włącz wycieraczki, kochanie, dobrze? Fance, kim, u licha, jest ten inżynier lotnictwa? I Vernon jej wybaczy, prawda?

- Nie wiem - przyznała Fancy. - Vernon jest taki miły i wrażliwy, więc... ale z drugiej strony mężczyźni potrafią dziwnie się zachowywać, jeśli idzie o przygody miłosne.

- Mimo wszystko - powiedziała jej matka z krótkim śmiechem - przynajmniej nie musimy martwić się o Vernona i Sekret.

Fancy manipulowała przy wlotach powietrza, ale słysząc słowa matki, podniosła głowę.

- Kompletnie zapomniałam o Sekrecie! Ale masz absolutną rację. Vernon nie jest człowiekiem tego pokroju.

- A tak dobrze szło - westchnęła babcia Zing - z Projektem 78 w toku. Och, Fancy, chyba nie powinnam mówić o tym teraz, ale wiesz, to się znowu wydarzyło. Wczorajszej nocy,

- Znowu! - wykrzyknęła Fancy. - Znowu nieostry obraz?

- Nie, po prostu wypadła. Nie sędzę, byście obie z Marbie były obecnie zainteresowane kolejnym Wtargnięciem w celach konserwacyjnych.

- Z pewnością nie podczas śnieżycy - rzekła stanowczo Fancy. - Zaczekamy, aż śnieg stopnieje.

Fancy oddalała się od domu rodziców, co chwila wpadając w poślizg i słuchając radia. A mówiono właśnie, że w Sydney nastąpił stan klęski żywiołowej, na drogach i w transporcie publicznym panuje chaos. W niektórych dzielnicach nie ma prądu i istnieją obawy, że bezdomni mogą zamarznąć na śmierć. Mimo to sy tuaq'a jest pod kontrolą, ponieważ mieszkańcy Sydney nie poddają się łatwo. „Gdybym chciał w krótkich słowach określić mieszkańca Sydney - mówił premier w nagrany przesłaniu do obywateli - to nazwałbym go konsekwentnym bojownikiem. Nie zaślepionym uparciuchem, który bije głową w mur. Nie jesteśmy zbyt dumni, by zwrócić się o radę do innych Australijczyków - naszych rodaków, którzy mieszkają w zimniejszym klimacie. Do Tasmańczyków. Do mieszkańców Canberry. Nie jesteśmy zbyt dumni, by wykorzystać także doświadczenia innych krajów. Norwegii. Finlandii. Zaufajcie mi. Panujemy nad sytuacją”.

„Słyszeliście państwo - powiedział spiker, wracając na antenę. - Myślę, że przesłanie jest jasne! I pozwólcie, że powtórzę jeszcze raz: bawcie się najlepiej, jak potraficie, ale we własnych ogrodach. Trzymajcie się z dala od ulic!”

- Och, ple-ple! - mruknęła Fancy, wyłączając radio.

Cztery centymetry śniegu! Co muszą myśleć imigranci o tej wrzawie! Zaczerwieniła się na myśl o mieszkającym po sąsiedzku Kanadyjczyku - zapewne śmieje się szyderczo, krojąc owoc kiwi.

Fancy trzymała swój własny sekret w zapiętym pod szyję kardiganie. Nie zdradziła go do tej pory nikomu, ale

oddziaływał na jej sposób poruszania się. Na przykład gdy zaciskała dłonie na kierownicy podczas poślizgu samochodu, jej łokcie sterczały pod dziwnym kątem.

- Co się stało? Co się stało?

Radcliffe był podekscytowany, gdy kelner prowadził ich do stolika. Z restauracji wysypywały się tłumy ludzi, którzy przyszli tam zjeść lunch. Była to jedyna czynna restauracja w okolicy, a wiele osób miało ochotę znaleźć się gdzieś w miejscu publicznym i pogadać z nieznanymi o śniegu.

- Fantastyczne, nie? - zaczęli Radcliffe'a jakiś mężczyzna, wskazując głową widok za panoramicznymi oknami.

Ale Radcliffe zbył go niedbałym kiwnięciem głowy. Nie mógł się doczekać rewelacji Fancy. „Coś się stało”, oznajmiła tajemniczo, dzwoniąc z domu rodziców i proponując, by się spotkali na lunchu.

- No cóż! - zaczęła Fancy, po czym umilkła, gdy kelner zabierał od niej płaszcz, milczała też, gdy przysuwał jej krzesło, gdy chwycił w locie serwetkę, która jej upadła. - Cóż! - powtórzyła.

W tym momencie kelner podsunął jej kartę pod nos i musiała znowu przerwać.

- Czy mogę zaproponować państwu na początek drinka?

Radcliffe zamówił szampana.

Kelner oddalił się po szampana, dając jej chwilę na to, by mogła wreszcie coś powiedzieć.

- Niczego nie świętujemy! - zaprotestowała Fancy.
- Stało się coś okropnego!

- Nie miałem pojęcia - burknął Radcliffe. - Nie wyjaśniłaś mi, o co chodzi. Przez telefon wydałaś mi się

bardzo podekscytowana. Poza tym będziemy świętowali śnieg. Spójrz, jak pięknie skrzy się w promieniach słońca! Jak lody o brylantowym smaku! Nie uważasz?

- Hmm. - Fancy poprawiła serwetkę na kolanach i odgarnęła włosy za uszy. - Vernon oszedł od Marbie!

- Niemożliwe!

Był o tym tak absolutnie przekonany, że Fancy również zwątpiła.

-A właśnie, że tak! - wykrzyknęła, przypominając sobie. - Marbie płakała przez całe rano. Okazuje się, że miała romans.

- Ach - rzekł Radcliffe. - W to akurat wierzę.

- Radcliffe!

Lecz Fancy musiała przerwać, ponieważ wrócił kelner i spytał, co chcą zamówić do jedzenia. Radcliffe wybrał jagnięcinę duszoną w sosie ostrygowym. Fancy zażyczyła sobie krewetki atlantyckie.

- Właściwie to nie był nawet romans - powiedziała Fancy, gdy tylko mogła kontynuować. - Zdarzyło się wyjątkownie jeden raz, wczoraj. Z inżynierem lotnictwa, dasz wiarę? I natychmiast wyznała wszystko Vernonowi, tego samego wieczoru. Wczoraj.

- Słusznie postąpiła - zauważył Radcliffe.

- Tak - zgodziła się Fancy, przyglądając mu się bawczo. - Bardzo słusznie. Należy powiedzieć. Zawsze powinno się mówić.

Radcliffe uśmiechnął się lekko i spuścił wzrok. W pierwszej chwili Fancy ogarnęła panika („Zamierza się przyznać!”), lecz zaraz zdała sobie sprawę, że jej mąż wrócił myślą do przeszłości. Zawsze był dumny z siebie, że kiedy byli nastolatkami, przyznał się Fancy, iż pocałował inną dziewczynę.

- Ale on ją zostawił! - zawołał Radcliffe. - Dlaczego, u licha?

Fancy zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

- No wiesz, przyznanie się to nie wszystko.

Radcliffe pokiwał głową.

-Wyprowadził się natychmiast. - Fancy entuzjastycznie rozerwała kromkę chleba na pół. -1 Marbie myśli, że zamieszkali z powrotem w przyczepie kempingowej, wiesz, tej na tyłach baru Banana.

- Dobry Boże! - Radcliffe był wyraźnie wstrząśnięty. - W przyczepie kempingowej?

- Tak - odrzekła Fancy. - Właśnie kiedy praktycznie zakończyli remont mieszkania.

Przerwał im kelner, który przyniósł zamówione dania.

Nieco później Fancy spytała od niechcenia:

-Jak sądzisz, z kim będziesz pracował w poniedziałek?

Radcliffe miał usta pełne chrupiącego groszku cukrowego, lecz przechylił głowę na bok, zakłopotany.

-Chyba jak zwykle - odparł, gdy już przełknął na tyle, że mógł wydobyć głos.

- Z Gemmą? - sondowała Fancy, nadal świdrując go wzrokiem.

- Gemma? - Zmarszczył brwi. - Gemma.

Fancy zmrużyła pogardliwie oczy.

- Ta, która kazała usunąć sobie pieprzyki - przypomniała mu, przyglądając się jego ustom, jego policzkom, jego oczom.

-Ach, Gemma, tak. Z księgowości. Zwykle nie pracuję z nikim z księgowości, Fance. Pieprzyki! Pamiętam. Leczyła też oczy. Wiesz, miała zabieg laserowy, taki, kiedy otwierają ci gałki oczne i wyskrobują to, przez co jesteś krótkowzroczna, a potem nie musisz już nosić okularów.

Ta rozmowa nie była, prawdę mówiąc, częścią planu Fancy. Nagle stała się irytująca, Fancy umilkła więc i rozejrzała się za kelnerem.

- Chyba wpadnę do baru Banana - zmieniła temat - i sprawdzę, jak się miewają Listen i Vernon. A może jest zbyt wcześnie?

- Aha - kiwnął głową Radcliffe - przypomnij Vernonowi o jego obowiązku co do Sekretu, dobrze? Przypomnij o wszystkich dokumentach poufności, które podpisał.

- Nie, Radcliffe, Vernon z pewnością nie jest mściwy. Nie martwimy się o to, że zdradzi Sekret. Chcę tylko zobaczyć, jak się czuje.

Uniosła brwi, dając znak kelnerowi, i napisała w powietrzu swoje nazwisko, łącznie z zawijaszem, którym zawsze kończyła „g” w Zing.

- Cha, cha, cha - zaśmiał się Radcliffe - nie martwicie się? Dlatego że wydaje się takim sympatycznym, wyluzowanym, wyrozumiałym facetem? Zapamiętaj moje słowa, Fance, to właśnie tych spokojnych należy się obawiać. Pod tą łagodnością kipi ogromna uraza.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Fance zgromiła go wzrokiem, marszcząc surowo brwi, lecz poczuła również odrobinę niepokoju.

- Nie będziesz jadła deseru? - spytał Radcliffe.
- Myślałem o kawie, ale jest już za późno. Poprosiłaś o rachunek.

- Nigdy nie jest za późno - rzekła tajemniczo Fance. - Na nic nie jest nigdy za późno, Radcliffe.

- Dobrze - zgodził się, po czym gdy kelner położył na stole wąską skórzaną okładkę zawierającą dwie czekoladki o smaku miętowym i rachunek, Radcliffe powiedział: - Jak pan sądzi, czy mógłbym dodać do tego jeszcze białe bez bąbelków?

- Nie ma sprawy - odparł kelner, zręcznym ruchem zabierając rachunek.

Fancy podwiozła Radcliffe'a do domu i teraz, w popołudniowym słońcu, jechała zarzucając bez przerwy samochodem. Słuchała dwóch spikerów radiowych, którzy przekazywali podnieconymi głosami informacje o odwołanych z powodu śniegu samolotach, pociągach, promach, przyjęciach, najrozmaitszych uroczystościach. Zamknięto tras spacerowe na moście Portowym (na czas nieokreślony), lecz zastąpiły je przejażdżki saniami po obu stronach gmachu Opery (przezabawnie). Współczuli słuchaczce, która nigdy nie widziała śniegu i chciała zachować to doświadczenie na swoje czterdzieste urodziny - teraz jest za późno! Zobaczyła go! („Przebież - zauważył kolejny dzwoniący - mogła chyba zostać w domu i nie odsłaniać okien!"). Wzruszyła ich kolejna słuchaczka, która zatelefonowała po to, by poinformować, że otworzyła drzwi domu dla nieznanym, ponieważ ma brzuchaty piec, który - jak się pochwaliła - ogrzewa cały dom. Niepokoił się, do czego może dojść, gdy śnieg stopnieje. Będą zalania, prawda? Zaprośili słuchaczy, by dzwonił i wyrażali swoją opinię w tej sprawie.

- Cześć! - zawołała Fancy, wparowując do baru Banana i otrzepując płatki śniegu z kurtki. - Dużo masz dziś klientów? - spytała od niechcienia, wesoło.

- Nie - odparł Vernon. - Ani jednego. Pewnie z powodu pogody.

- Cóż - (nie potrafiła się powstrzymać od radosnego tonu) - wobec tego będę twoim pierwszym gościem! Poproszę o koktajl mleczno-bananowy.

- Na koszt firmy.

- Nie! Nie!

W tym momencie Fancy spojrzała na niego znacząco, żeby dać mu do zrozumienia, że wie. Vernon wzruszył ramionami.

- A więc - mówiła dalej Fancy, wciąż patrząc znacząco - wpadłam, by zobaczyć, jak się czujesz... czy jest coś, co mogłabym zrobić. No i czy trochę nie za zimno, by mieszkać w przyczepie kempingowej?

- Nie będziemy spali w przyczepie. Mamy w barze generator, prześpiemy się więc na zapleczu. I jeśli twoja matka się obawia, mam na myśli Sekret. Rodzinny Sekret Zingów. Ja nigdy bym...

-Vernon! Nie! Oczywiście, że się o to nie martwimy. Mam po prostu nadzieję, że wszystko się ułoży. Chodzi o to, że Marbie... - Zamierzała wygłosić opinię, że Marbie jest głupią smarkulą, idiotką, wstrętną wiedźmą, lecz o dobrym sercu, ale dostrzegła coś w wyrazie oczu Vernona na dźwięk imienia „Marbie” i zmieniła szybko temat. - Gdzie jest Listen? Jak się czuje?

- Jest nieszczęśliwa.

- To znaczy, że powiedziałeś jej o... o Marbie... o...

- Tylko że się pokłóciliśmy i nie sądzę, by kiedykolwiek udało nam się rozwiązać ten problem. Nasz spór. Że właśnie to zdarzyło się między Marbie a mną.

Zabrał szklanekę Fancy, choć nie dopiła jeszcze koktajlu, i wrzucił ją do zlewu.

- Aha - wybąkała Fancy.

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym oboje szybko przenieśli spojrzenia na ogromny plastikowy banan zawieszony pod sufitem.

- Jest teraz chyba w przyczepie. Ćwiczy taekwondo.

- No dobra. - Fancy wstała i wzięła torebkę. - Miło mi było zobaczyć się z tobą, Vernonie. Koniecznie zadzwoń, gdybyś czegokolwiek potrzebował. Albo gdybyś chciał pogadać... I ucałuj ode mnie Listen, dobrze? Powiedz jej, żeby...

Nie wiedziała jednak, co przekazać Listen, więc machnęła tylko ręką.

Trzeba lat treningu, żeby udało się wykonać boczny cios stopą z wyskoku i obrotu. Carl Vandenberg to potrafił, ale Carl miał czarny pas, a nawet on wyglądał bezładnie w powietrzu. Kilka dni temu Listen wraz z trójką innych trenujących kucała w jednym rządku na podłodze, aby Carl mógł przeskoczyć nad nimi i kopnąć deskę trzymaną przez mistrza.

Listen postanowiła, że w tajemnicy będzie uczyła się tego ciosu. Wyszła na mróz, pobiegła, skoczyła i upadła na twarz. Miała bosc nogi i była w letniej piżamie. Pobiegła, skoczyła z podwiniętą nogą i wylądowała twarzą w śniegu. Skakała i padała. Skakała i padała.

Kiedy wstała, nie czuła twarzy, poza nosem, który ją strasznie bolał. Ręce miała sine, palce ją piekły, kolana i łokcie były posiniaczone lub obtarte, a przez cały czas w jej głowie kołatała się jedna myśl: „Zasługuję na to”.

Ponieważ to ona zniszczyła wszystko. Była głupia i samolubna. Tupnęła bosą nogą w śnieg dla podkreślenia tej prawdy i również tupiąc, weszła po schodkach do przyczepy z zamiarem spalenia księgi.

ZAKŁĘCIE: JAK SPRAWIĆ, ABY DWOJE SZCZĘŚLIWYCH LUDZI OKROPNIE SIĘ POKŁÓCIŁO O ABSOLUTNE GŁUPSTWO.

Nie mogła uwierzyć, że wymówiła takie zaklęcie. Nie mogła uwierzyć, że dotyczyło Vernona i Marbie. Nigdy nie przeszło jej nawet przez myśl, że te zaklęcia w ogóle działają.

Wyjęła Magiczną Księgę z plecaka i z pogardą uderzyła otwartą dłonią w żółtawozieloną okładkę. Nigdy więcej jej nie otworzy. Przepraszam, ale dlaczego się tym przejmuje? Zaklęcia są beznadziejne. Na przykład to, jak sprawić, aby ktoś pojechał taksówką. Czy to o psuciu odkurzacza. I nagle, pierwsze zaklęcie, które rzeczywiście

zadziałało, było niegodziwym zaklęciem, by skłócić dwoje szczęśliwych ludzi.

Miała rzucić kolejny czar dzisiaj, ale teraz zamierzała cisnąć księgę w ką, spalić, podrzeć, a może po prostu wyrzucić do pojemnika na odpady do recyklingu.

Utopi księgę. Cisnęła ją do malutkiego zlewu. Księga wpadła do niego z cichym trzaskiem, a nie z GRZMOTNIĘCIEM, jakiego pragnęła. Odkręciła kurek, lecz woda oczywiście nie pociekła. Zamarzły rury.

Właśnie wtedy, zaglądając do zlewu, dostrzegła skrzydełko na tylnej stronie okładki. Nie widziała go wcześniej, ponieważ uważała, by nie odwracać kartek. Ale teraz skrzydełko otworzyło się w zlewie i Listen mogła przeczytać słowa napisane tłustym drukiem:

Ta Księga naprawdę działa! Rzecz jasna, musisz wykonać wszystkie zaklęcia, ale o kurczę! Zanim rzuciłam te czary, byłam najnieszczęśliwszą dziewczyną w całym stanie. Wydawało mi się, że nie zdołam przetrwać kolejnego dnia! Miałam ochotę przypiąć się klamerkami do sznura na bieliznę i wisieć tam, dopóki nie wyschnę. Chwała Magicznej Księdze, tylko tyle mogę powiedzieć - uratowała mi życie!

Elinor Daisy Weaver, Jacksonville, Alabama

Listen wyjęła księgę ze zlewu i przeczytała adnotację jeszcze raz. I wtedy zauważyła krótki napis drobną srebrną kursywą:

Ta Księga sprawi, że będziesz fruwać, uczyni cię silną, przyniesie ci zadowolenie. Co więcej, ta Księga zagoi twoje złamane serce.

Twarz pulsowała jej z zimna, rękawy piżamy drażniły ręce pokryte gęsią skórką. Otworzyła Magiczną Księgę i przeczytała kolejne zaklęcie.

Zaklęcie: Jak sprawić, aby ktoś podarował drugiej osobie różę.

Przyłóż palec do nosa i powiedz: „Ojej!”

Zaklęcie zacznie działać mniej więcej za osiem tygodni.

Następne wolno ci wypowiedzieć w przyszłą sobotę!

- Cassie, kochanie, wiesz, że nie potrzebujesz poduszek ani niczego, kiedy padasz na śnieg. Jest miękki.

Fancy tłumaczyła to córeczce, wioząc ją do domu od Lucindy. Jechała przez cały czas na niskim biegu, od czasu do czasu samochód zarzucało na niewłaściwą stronę drogi.

- Nie dość miękki. Zobacz, jest zbyt mało śniegu, trzeba zebrać poduszki z łóżka i z kanapy, rozłożyć je na nim dookoła, żeby można było na nie upaść.

- Hmm. Jestem pewna, że się mylisz.

- Wykorzystałyśmy tortownice i patelnie jako sanieki, ale trzeba odpychać się nogami, ponieważ w ogrodzie Lucindy nie ma żadnej górki. - Cassie narysowała palcem na zaparowanej szybie, jak ślizga się na tortownicy. - Wiesz, mamusi? Właśnie tak się odpychałyśmy.

- Aha! - powiedziała Fancy, zerkając na szybę, a następnie dodała: - Chyba tortownicom nic się nie stało, prawda?

- Nie, ale chyba popsułyśmy magnetowid.

- Och, Cassie, myślałam, że przez cały czas bawiłyście się na dworze.

- Bo tak było. Popsułyśmy magnetowid, kiedy na nim jeździłyśmy.

- Cassie! Czy mama Lucindy wie o tym?

- Nie - odparła Cassie. - Lucinda schowała magnetowid pod łóżkiem. I tak powinni kupić odtwarzacz DVD.

- Cóż - mruknęła Fancy - chyba tak.

Przez chwilę słuchały razem radia: w całym mieście ludzie przewracali się, jeździli na toboganach, parkowali narty i zostawiali kijki przed sklepami.

- Brrrrrrrr - zaszczekała zębami Cassie, gdy weszły do domu.

- Jest nasze utrapienie - zawołał ojciec. - Cass, wnosisz śnieg do pokoju, dziecko. Chyba powinnaś zdjąć buty. Możesz mnie nazwać staroświeckim.

- Chodź i usiądź obok mnie na stopniu - zaproponowała mama. - Założę się, że tak właśnie robią w zimnych krajach. Zdejmują buty na schodkach. Radcliffe, czy nie należałoby założyć łańcuchów na koła?

- Zadzwonię do infolinii „Życie ze śniegiem” - zgodził się Radcliffe.

- O rany - zdziwiła się Fancy - to jest taka infolinia? Czyli przewidują, że śnieg może poleżeć dłużej?

- Chyba powinniśmy zjeść na obiad rosół z makaronem - zasugerowała Cassie - a potem pieczeń wołową, pieczone ziemniaki, a na koniec placek z wiśniami. A potem powinniśmy usiąść przy płonącym kominku, jeść ciasteczki śląskie i grać w różne gry. Tak robią w zimnych krajach, kiedy pada śnieg.

Przez następne kilka dni śnieg powoli topniał, lecz nadal było wyjątkowo zimno i wszyscy spodziewali się dalszych opadów. Na wszelki wypadek władze Sydney zamówiły serię telewizyjnych reklam pod hasłem „Życie ze śniegiem”, które doradzały w takich sprawach jak odśnieżanie podjazdów czy unikanie butów na śliskich

podeszwach. Zwracały też uwagę, że śnieg powinien być „zabawą”, toteż nie należy panikować, jeśli się znowu zdarzy.

Tymczasem specjaliści z Instytutu Meteorologii oświadczyli, że dalsze opady są „bardzo mało prawdopodobne”, ponieważ śnieg w Sydney jest „niespotykanym zjawiskiem”. Jednakże nie mogli się powstrzymać, by nie dodać: „ale nigdy nie wiadomo”.

Każdego ranka Kanadyjczyk siadywał na swojej werandzie, w płaszczu i czarnej wełnianej czapce, pijąc kawę i wypuszczając z ust obłoczki pary, gdy odpowiadał na pytania Fancy na temat mrozu.

»

Każdego ranka Marbie budziła się w domu rodziców, skulona w swoim dzieciennym łóżku. Nie potrafiła zmusić się do powrotu do domu ani do pracy. Zażywała długich kąpeli, siedziała pod prysznicem, zostawiała Vernonowi wiadomości na automatycznej sekretarce w barze Banana i wypytywała rodziców, czy przypadkiem nie dzwonił, kiedy była w kąpeli. Nie zadzwonił ani razu.

*

W pierwszy piątek dwutygodniowych ferii Fancy wpadła do rodziców na poranną herbatkę.

-Marbie jeszcze śpi - poinformowała ją matka, siadając przy stole i wyjmując torebkę ekspresowej herbaty z filizanki. - A tata jest w szopie. Ciężko przeżywa to zerwanie Marbie - wiesz, jak bardzo lubił Vernona - i naprawdę, co ta Marbie sobie myśli...

W tym momencie Marbie weszła do kuchni, miała na sobie różowy szlafrok matki i papucie.

-Cześć - przywitała się z siostrą. - Przywiozłaś Cassie?

Fancy wskazała brodą w kierunku okna. Marbie obejrzała się. W ogrodzie Cassie i jej przyjaciółka Lucinda brodziły po błocie.

- Och, chciałabym z nią porozmawiać - powiedziała z roztargnieniem Marbie.

- Mniejsza o to, kochanie. Zjedz z nami trochę piernika. Jest jeszcze ciepły.

- A właściwie dlaczego nie jesteś w pracy? - chciała wiedzieć Fancy.

- Cóż - wyjaśniła Marbie - zadzwoniłam w poniedziałek do Tabithy, mojej szefowej, i opowiedziałam jej, co się stało. Pozwoliła mi wziąć tyle wolnego, ile potrzebuję.

- Nie możesz przestać pracować - wtrąciła Fancy, grożąc Marbie filizanką - tylko dlatego, że masz złamane serce. To nie jest żadne usprawiedliwienie. To tak jak gdybyś miała kaca. Nawet wtedy musisz chodzić do pracy.

- Myślę, że w biurze Marbie raczej panuje teraz spokój - łagodziła dyskusję matka - z powodu tej dziwnej pogody.

- Prawdę mówiąc, ostatnio jest mnóstwo rozszczeń w związku z licznymi stłuczkami z powodu ślizgawicy - przyznała w zamyśleniu Marbie.

- Cassie i Lucinda codziennie bawią się na dworze - oznajmiła Fancy. - Przyzwyczaiły się do chłodu. Uważam, Marbie, że są pewne rzeczy, które po prostu musisz robić.

- Idę się wykapać - powiedziała Marbie do matki.
- Może tobie uda się dowiedzieć, co się dzieje z Fancy. Zrobiła się cholernie prawicową protestantką.

- Cóż - zauważyła Fancy - skoro dzieci potrafią żyć dalej normalnie...

- Vernon? To ty? Mówi Marbie. Dzwonię z kąpieli.
- Marbie, lepiej przestań do mnie dzwonić, dobrze? Marbie milczała.
- Marbie? Słyszysz mnie?
- Wolisz, żebym nie dzwoniła?
- Właśnie. Przestań zostawiać wiadomości, dobrze?

Nic z tego nie będzie.

- Nie mogę nawet zostawiać wiadomości, jak bardzo jest mi przykro?

- Nawet takich.

- Ale dzięki temu czuję się lepiej.

- To naprawdę nie moja sprawa.

- Mogę wobec tego rozmawiać z Listen?

- Nie, nie możesz. Jest w bibliotece. Pracuje nad zadaniem domowym.

- Wybierz dwa morskie stworzenia?

-Tak.

-I nadal zamierza wybrać koniki morskie i wieloryby?

- Odkładam słuchawkę, słyszysz?

- Naprawdę?

- Marbie, rozłączam się.

KONIKI MORSKIE

Konik morski należy do rzędu igliczniokształtnych. Wiele osób nie wie o tym, ale koniki morskie są „monogamiczne”. To słowo oznacza, że spędzają całe życie ze swoją jedyną prawdziwą miłością. Codziennie koniki morskie splatają się ogonami

i spacerują po dnie oceanu. Wtedy samiec konika morskiego zachodzi w ciążę.

WIELORYBY

Ogólnie wiadomo, że wieloryb jest ssakiem, nie rybą. Niektórzy naukowcy nawet uważają, że wieloryby mieszkają kiedyś na lądzie, miary łapy i sierść, niczym ogromne wilki. Weszły do wody, ich tylne łapy zamieniły się w ogony, a przednie łapy w płetwy piersiowe. Jeśli to prawda, to wieloryby nie podjęły najlepszej decyzji - nie mogą oddychać pod wodą i muszą przez większość życia o tym myśleć. Gdyby kiedykolwiek zasnęły, zapomniałyby oddychać i umarłyby.

W piątek wieczorem Marbie pojechała do pubu Night Owi, ale jedyną osobą, którą tam zastała, była Toni.

Toni wyjaśniła, że Tabitha nie mogła przyjść, ponieważ jej siostra właśnie urodziła dziecko. A Rhamie i Abigail miały nazajutrz halowe finały i musiały trzymać formę.

Słuchając wyjaśnień Toni, Marbie uświadomiła sobie, że spotkanie się z koleżankami z pracy w pojedynkę nie ma sensu. Są skuteczne wyłącznie jako zespół. Ale zmobilizowała się i powiedziała optymistycznym tonem:

- Mogę ci postawić drinka?

- To ja zamierzałam postawić ci drinka! - odparła Toni. - Ale dobrze. Dżin, cytryna i sok z limonki. Nie mogę uwierzyć, że Tabitha wymiękła. Rozumiem Abi

i Rhamie, były wczoraj wykończone, a finał jest dla nich ważny. Ale przecież dziecko nigdzie nie ucieknie, a ty nas potrzebujesz teraz, prawda?

- No tak - odparła Marbie - ale dziecko...

Wzięła drinki i wróciła do stolika, nerwowo szukając wzrokiem inżyniera lotnictwa. Żałowała, że nie może szukać wzrokiem Vernona, ale on nigdy nie był w pubie Night Owi.

Gdy tylko Marbie usiadła, Toni zaczęła snuć swoją opowieść, wsparta łokciami na stole, trzymając w palcach słomkę od drinka. Marbie natychmiast straciła wątek.

- ...a więc on szedł i ja szłam, natomiast Abi chciała dojść aż do mostu...

- Mmm.

- ...to znaczy, kocham ją nad życie, jest naprawdę kochana, ale poważnie, po prostu nie znoszę, kiedy...

- Nie-e.

- ...chodzi o to, że być może nie powinnam była się wycofać, ale trzeba było zwyczajnie przyjść i pogadać.

- Jasne!

- ...a Leila najwyraźniej nie jest na poziomie.

Kim jest Leila?

- Absolutnie! - zaryzykowała Marbie.

Na co Toni pokręciła lekko głową.

- Nie Leila, lecz oczywiście Katerina.

- Oczywiście - przytaknęła inteligentnie Marbie.

Gdy Toni paplała, Marbie przypomniała sobie, że Vernona nie będzie dziś wieczorem na Naradzie. Listen nie będzie też oglądała filmu z Cassie.

Zamiast do rodziców pojechała do swojego mieszkania. Jej skrzynka na listy była przepełniona, na automatycznej sekretarce znalazła dziesięć wiadomości. Wszystkie od Tabithy i Toni, które chciały się dowiedzieć, jak się czuje.

Zatelefonowała do matki i zawiadomiła ją, że dziś wieczorem nie może przyjechać na Naradę.

- Ależ kochanie - zaprotestowała matka - przecież nadal nie zrealizowałyście z Fancy Wtargnięcia w celach konserwacyjnych. I Projekt 78...

Ale Marbie była nieugięta. Potem usiadła na wielkiej podusze i oglądała telewizję przez całą noc.

*

Jest sobota! Czyli wolno ci rzucić kolejny czar. Bravo za to, że wytrzymałaś do tego czasu!

Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

Jest to Zaklęcie: Jak sprawić, aby ktoś znalazł w pralce coś niespodziewanego!

Pójdź na spacer i krzycz: „HURA!”, ilekroć zobaczysz coś dziwnego, ślicznego lub pomarańczowego-

Zaklęcie zacznie działać mniej więcej za siedem tygodni. Następne wolno ci wypowiedzieć w następną sobotę.

*

W drugim tygodniu ferii synoptycy obojga płci dali za wygraną i przestali mówić o nadziei na dalsze opady śniegu. Nadal jednak panował rekordowy ziąb.

Fancy i Cassie nabrały zwyczaju późnego wstawania, potem zjadały w kuchni płatki owsiane z brązowym cukrem, planując, gdzie wybiorą się w ciągu dnia. Obejrzały już w pierwszym tygodniu wszystkie świąteczne filmy, w dodatku Cassie zaczynała skarżyć się na Lucindę, toteż musiały nieźle się natrudzić, żeby wymyślić coś nowego.

Oczywiście, codziennie gdy wychodziły z domu, Kanadyjczyk już dawno skończył śniadanie i nie było go nigdzie widać.

W piątkowy wieczór, podczas Poufnej Narady Rodziny Zingów, Fancy przyznała się Marbie, że wczoraj po południu wpadła na Vernona w Coles. Kupował mandarynki. Sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Miał włosy utlenione na jasny blond, z ciemnymi odrostami przy skórze, fryzurę krótką, postrzępioną. Ubrany był w długi czarny płaszcz, który opadał smętnie aż do sznurowadeł trzewików.

- Okropność - rzekła Marbie, mając na myśli blond fryzurę. - Kochałam jego włosy.

- Wcale nie - odparła Fancy w zamyśleniu. - Efekt jest świetny. Wygląda absolutnie sexy.

- Vernon? To ja.

- O, cześć.

- Nie odkładaj słuchawki, proszę. Chciałam tylko poinformować cię, że będę spłacała pożyczkę na hipotekę naszego mieszkania. Będę to robiła, dopóki nie wrócisz, dobrze? Na wypadek, gdybyś się martwił. Wiesz, że następna płatność wypada w przyszłym tygodniu?

-Tak.

- Wszyscy za tobą tęsknią. Wczorajsza narada bez ciebie była okropna, okropna... Fancy mówiła mi, że spotkała cię w Coles i że zmieniłeś fryzurę. Podobno bardzo ci w niej do twarzy.

- Dobra. Dwie rzeczy. Po pierwsze, zapewniłem twoją siostrę, że nie musi obawiać się o Sekret, i teraz powtarzam to również tobie. Jest u mnie całkowicie bez-

pieczny. Po drugie, co do mieszkania: kiedy stać cię będzie na to, by zwrócić moją połowę depozytu, prześlij mi czek, a ja przekażę ci moje udziały. Wszystko inne możesz zatrzymać.

Vernon do tego stopnia opanował swój głos, że był zimny niczym narzędzie dentystyczne. Marbie mimowolnie zacisnęła powieki.

- Aha - wymówiła szeptem, z zamkniętymi nadal oczami. - Skoro tak uważasz.

- Tak właśnie uważam.

Karłowaty konik morski ma zaledwie około trzech centymetrów długości. Czyli tyle ile mój mały palec. Płetwal błękitny może osiągnąć długość dwudziestu ośmiu metrów. Czyli jest trzykrotnie większy od naszej szkolnej biblioteki.

- Cześć, Vernon, to ja.

Cisza w słuchawce.

- Vernon, słyszysz mnie? To ja. Marbie.

- Wiem kto.

- Po prostu zapomniałam coś ci powiedzieć, kiedy dzwoniłam wcześniej.

- O czym zapomniałaś powiedzieć?

- Zapomniałam powiedzieć, hmm, szczęśliwej soboty. Dziś jest sobota.

- Tak, Marbie, jest sobota.

- Mogę porozmawiać z Listen?

- Jest zajęta.

- Chciałam życzyć jej szczęścia w poniedziałek w szkole Cassie.

- Jest w przyczepie. Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

- Vernon? Mogę się z tobą zobaczyć? Chciałam, byś wiedział, jak bardzo mi przykro.

-Nie.

Marbie wciąż wpatrywała się w telefon, zastanawiając się nad jego władzą, kiedy zadzwonił znowu. Był to inżynier lotnictwa.

- Przyjdiesz do mnie lunch? - spytał. - Dzisiaj? Przygotowałem dla nas piknik!

- Nie dawałeś znaku życia od dwóch tygodni - stwierdziła.

- Wiem!

Zakłęcie: Jak sprawić, aby ktoś zjadł kawałek czekoladowego tortu

1. Zajmij się wspinaczką!

2. Przestań zajmować się wspinaczką!

3. Znowu zajmij się wspinaczką!

Zakłęcie zacznie działać mniej więcej za sześć tygodni.

Następne wolno ci wypowiedzieć za DWA MIESIĄCE!

Inżynier lotnictwa przywitał Marbie w drzwiach swego domu słowami:

-Nareszcie! Nareszcie znowu cię widzę! To już dwa tygodnie!

Nie próbował jej pocałować, lecz zachowywał pełen szacunku dystans.

- Muszę ci coś powiedzieć - wypaliła z miejsca.

- Co musisz mi powiedzieć?

Wprowadził ją do salonu, gdzie był rozpostarty piknikowy koc, na którym znajdowały się, elegancko rozłożone, następujące rzeczy:

pikle
suszone pomidory
dwie duże rzodkiewki
krakersy i ser
woda mineralna
kanapki z peklowaną wołowiną
jajka na twardo
sałatka ze szpinaku, rozdrobnionego bekonu i anchois

- Mnóstwo jedzenia - zauważyła Marbie, lustrując wzrokiem koc.

- Co musisz mi powiedzieć? - powtórzył I.L., zdejmując jej płaszcz.

- To dotyczy mojej rodziny - wyjaśniła pośpiesznie, po czym zmarszczyła brwi, słysząc wewnętrzny głos, który pytał przyjaźnie: „Marbie, czyś ty postradała rozum?” Podniosła głos, żeby go zagłuszyć. - MUSZĘ ZDRADZIĆ CI NASZ RODZINNY SEKRET! - krzyknęła, cofając się o krok. - DOBRA, SŁUCHAJ UWAŻNIE, OTO ON: szpiegujemy nauczycielkę drugiej klasy, która nazywa się Cath Murphy! ZAINSTALOWALIŚMY KAMERĘ W OKNIE JEJ JADALNI, a ona nie ma o tym pojęcia. - Umilkła, sama zdumiona swoim zachowaniem.

- Ho, ho! - Uśmiechnął się do niej szeroko, zasłaniając dłońmi uszy niczym komik na estradzie, po czym wskazał gestem, by usiadła obok niego po turecku na podłodze.

- Tak, tak. - Posłuchała go. - A więc mamy kamerę w jej jadalni i jeszcze jedną kamerę, lecz... w każdym razie wcześniej w tym roku zniszczyła kamerę podczas

mycia okien, musiałyśmy więc zakraść się do jej mieszkania i ją wymienić. Potem znowu zachlapała ją sokiem jabłkowym i obraz był niewyraźny, toteż musiałyśmy ponownie się tam zakraść. Dwa tygodnie temu, na początku ferii, kamera znowu wypadła, dlatego nie wiemy, co Cath Murphy porabiała w ostatnim czasie.

- Marbie! Marbie! Dlaczego tak długo zwlekałem z telefonem do ciebie?

- A ja nie mam ochoty na kolejne Wtargnięcie, żeby ją naprawić.

- Jesteś przezabawna, a ja nic z tego nie rozumiem! Jedz, moja księżniczko! Wcinaj!

- Nie - odparła Marbie, patrząc na rzodkiewkę toczącą się po kocu. - Muszę zdradzić ci więcej szczegółów Sekretu.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Dawno, dawno temu żył sobie pewien fizyk, który myślał, że potrafi wynaleźć balon. Było to w 1783 roku, a fizyk nazywał się profesor Charles. Profesor obiecał swojej żonie:

- Skonstruuje balon z tafty, o średnicy trzy i pół metra, pokryty warstwą kauczuku i napełniony wodorem!

-Ach! - powiedziała żona, nie rozumiejąc, o co chodzi, aż do pewnego deszczowego marcowego poranka, kiedy to profesor wraz z przyjaciółmi przedelfował ulicami Paryża, wioząc balon na wozie.

Napełnili go wodorem i pozwolili mu wzlecieć na imponującą wysokość, wśród okrzyków osłupiałego tłumu, w deszczu, na Polu Marsowym.

Wieść niesie, że wśród tłumów na Polu Marsowym znajdował się także Benjamin Franklin (wówczas stary już człowiek). Jak powszechnie wiadomo, Benjamin Franklin wynalazł takie rzeczy, jak okulary dwuogniskowe, cewnik moczowy oraz „długie ramię” do zdejmowania książek z górnych półek. Wynalazki były jego pasją.

- Jaki jest z tego pożytek? - zawołał z pogardą jakiś przechodzień, mając na myśli balon.

- A jaki jest pożytek z nowo narodzonego dziecka?
- zapytał jak zawsze mądry Benjamin.

Maude rozumiała, że chciał przez to powiedzieć, iż nowo narodzone dzieci w końcu dorastają, podobnie jak po balonach nastaną odrzutowce.

Maude Sausalito miała szesnaście lat, a księżyc przypominał tego wieczoru skrawek wymydlonego mydła. Biegła z wdziękiem, trzymając w ręku szpilki, nogi w samych tylko rajstopach miała mokre od pokrytej rosą trawy. Z okien każdego mijanego domu dobiegały ją dźwięki programu *Mickey Mouse Show*. Zwolniła nieco, ponieważ ostry kawałek żwiru uraził ją w palec.

Nie była wcale tak mocno spóźniona, ale jej nowy chłopak miał przyjść dzisiaj na koloq'ę do jej rodzinnego domu i chciała zrobić zapiekankę z ziemniakami. Ostatnio ulubionym zajęciem Maude było obieranie i krojenie ziemniaków, układanie ich warstwami w żaroodpornym naczyniu i posypywanie solą, pieprzem oraz serem, a następnie pieczenie przez czterdzieści pięć minut.

Maude zauważyła w tej chwili, że mały biały sierp księżyc w rzeczywistości tkwi przytulony do wewnętrznej krawędzi dużego ciemnego koła. Nie była z tego zadowolona, ponieważ przeczyło to teorii nowych i zmieniających się księżyców. Najwyraźniej był tylko jeden księżyc, pokazujący się niczym nudny zestaw slajdów pod różnymi kątami światła. Ale przynajmniej wyglądał jak czekoladowe ciasteczko z kremem, krzywizna białego kremu stanowiła jego brzeg.

Obecnie Maude oszczędzała pieniądze, żeby kupić sobie pianino. Zapuszczała też swoje kędzierzawe włosy (które teraz zakładała za uszy), chciała bowiem, by sięgały jej do ramion. Spodziewała się, że dzięki temu będzie

jej cieplej podczas zimnych nocy, włosy będą niczym tani szalik, którego nigdy nie zgubi.

Miała w kieszeni torebkę lizaków o różnych smakach. Zamierzała podzielić się nimi ze swoim nowym chłopakiem, gdy już zjedzą zapiekankę z ziemniaków.

Nowy chłopak miał na imię David. Był ekspedientem w sklepie z niezwykleymi korkociągami tuż obok piekarni, w której pracowała. Pełen werwy, żywotności, energii, skakał przez życie niczym ogon latawca. Ale jego rodzina! Rodzina była absolutnie niezwykle. Sięgając do prapraprzodków i jeszcze dalej, każdy był wynalazcą. Każdy centymetr powierzchni domu Davida zajmowały świadectwa patentowe.

Chociaż rodzina nie zrobiła na wynalazkach majątku, Maude i David z niecierpliwością oczekiwali pierwszego wynalazku Davida. Zastanawiali się, co też to będzie.

Maude czytała wtedy dużo o balonach i w cichości ducha marzyła, że może David dokona wynalazku związanego w jakiś sposób z balonami.

Spędzała również wiele czasu na planowaniu podróży balonem wypełnionym gorącym powietrzem w ramach miesiąca miodowego po ślubie z Davidem.

David, kiedy już dorośnie i wynajdzie jedną czy dwie rzeczy, prawdopodobnie zostanie dyplomata, a następnie się jej oświadczy. Lecąc w podróż poślubną balonem, będą długimi godzinami grali leniwie w szachy. Każdego wieczoru o zachodzie słońca David będzie powoli, starannie mieszał koktajle pałeczką, nie spuszczać z niej wzroku. Przygryzie uwodzicielsko wargę, a potem mrugnie niespodziewanie, jeden raz.

Co do balonu profesora, to wylądował na polu, gdzie znaleźli go wieśniacy i podziabali widelcami. Czując ohydny smród wodoru, wpadli w panikę i zatłukli go na śmierć.

W konsekwencji tego zdarzenia rząd francuski wydał „Ostrzeżenie dla narodu w sprawie porywania balonów”. *Jeśli zobaczycie na niebie czarny księżyc, głośiło Ostrzeżenie, nie wpadajcie w panikę! To nie potwór, lecz jedynie worek jedwabiu.*

Cath Murphy

Pierwszego dnia semestru, po feriach, kiedy Cath przyjechała do szkoły, niebo było błękitne, a powietrze rześkie. Przystąpiła przez zwały błota na parkingu i obejrzała się, słysząc swoje imię.

- Cath! Cath! Jak się masz? Jak udały ci się ferie? Co powiesz na pogodę? Nie marzłaś?

Była to Suzanne, która wołała do niej przez spuszczoną szybę, parkując właśnie na swoim miejscu. Cath zaczęła, aż Suzanne wysiadł z samochodu, po czym uściskała ją na przywitanie.

- Ależ było zimno! - wykrzyknęła Suzanne, idąc obok Cath. - W moim dużym starym domu można było zamarznąć! A jak u ciebie w mieszkaniu?

Cath wyjaśniła, że właściciel domu, w którym mieszka, zainstalował jeszcze przed feriami gazowe centralne ogrzewanie, z otworami wentylacyjnymi w każdym pokoju.

- Szczęściara!

- Dzień dobry. - Niski głos wionął na kark Cath niczym ciepłe tchnienie wiatru w słoneczny dzień.

Obie się odwróciły i zobaczyły uśmiechniętego Warrena Woodforda.

-Warren! - zawołała Suzanne. - Jak spędziłeś ferie?

Warren odparł, że przez całe dwa tygodnie był w Bowral na konferencji na temat kognitywnego uczenia się, toteż właściwie trudno to nazwać feriami, po czym przerwał okrzyki Suzanne pytaniem o jej wakacje.

- Ja? Och, ja spędzałam wiele czasu z Lenny, biedną pocziwą Lenny - a w ogóle jak to mogło się stać? Wydawali się tacy szczęśliwi. Jestem kompletnie zdruzgotana ich kłótnią. O rety, zostawiłam teczkę w samochodzie!

Suzanne wzniosła oczy do góry, z politowaniem dla swojej słabej pamięci, i pobiegła z powrotem w stronę parkingu. Podniosła rękę do góry, sygnalizując, by na nią poczekali. Warren i Cath stali posłusznie obok siebie, obserwując ją.

- Cóż - rzekł szeptem Warren, nie odwracając głowy. - Ja osobiście nie jestem zdruzgotany tą kłótnią. Ja osobiście jestem podekscytowany tą kłótnią.

- Nie możesz być zadowolony - zareagowała natychmiast Cath, nie spuszczać wzroku z Suzanne - z tego, że dwoje ludzi się pokłóciło.

- A ja się cieszę. Cieszę się, że się pokłócili, ponieważ Lenny urządziła później przyjęcie, a potem poszedłam do ciebie i wtedy... spójrz, kto już wraca!

Suzanne biegła ku nim, szczerząc zęby w uśmiechu i wymachując teczką.

W klasie, czekając, aż dzieci zajmą miejsca, Cath patrzyła przez okno na boisko. Z auli wynurzał się długi szereg idących parami dziewcząt. Co się dzieje?

Jasne! To uczennice siódmych klas z St Carmel, które przybyły tutaj z powodu zalanych pomieszczeń szkolnych. Kompletnie o nich zapomniała. A jednak coś ważnego wiązało się z ich bytnością tutaj - ona sama miała coś zrobić... ale co? Nie pamiętała.

Marcus Ellison stukał ją w łokieć.

- Proszę pani, napisałem już moją szkolną sztukę.
- Podał jej porządną szarą teczkę. - Ale możemy zacząć ćwiczyć najpierw sztukę Cassie, jeśli pani woli - dodał oficjalnie.

- Jesteś naprawdę wspaniałym chłopcem, Marcusie! Dziękuję ci bardzo. Nie mogę się doczekać, żeby ją przeczytać! - Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że Cassie rozpakowuje plecak. - Cześć, Cassie, jak tam twoja sztuka?

Cassie popatrzyła na nią, przechylając głowę. Zamknęła powoli klapę ławki, mówiąc z zaskoczeniem:

- Zapomniałam!

- Och, nie szkodzi, Cassie, napiszesz ją, kiedy będziesz mogła, dobrze? Mamy jeszcze dużo czasu.

- Podczas ferii padał u mnie śnieg - powiedziała Cassie tytułem wyjaśnienia.

- I co z tego? - uśmiechnęła się Cath. - U mnie też!

Później, tego samego ranka, mieli godzinę dydaktyczną i każdy mógł opowiedzieć o tym, jak spędził ferie. Okazało się, że większość dzieci wierzyła, iż śnieg przytrafił się wyłącznie im. Podczas gdy każde dziecko relacjonowało niezwykłą historię o tym, jak się obudziło pierwszego dnia ferii, a ha dworze padał śnieg! - reszta klasy marzyła o niebieskich migdałach.

Cath przypomniała sobie pierwszy dzień swoich ferii, kiedy obudziła się w pustym łóżku, w zmiętej pościeli.

- Cóż - rzekł wtedy Warren, siadając na brzegu łóżka i kładąc jedną dłoń na jej czole. W drugiej trzymał kawę. - Obiecuję, że gdy będę planował rozstanie, zostawię ci jedną różę. Ale za żadne skarby cię nie opuszczę. Żeby nie wiem co.

A potem razem uciekli. Wyjechali do Bowral na konferencję na temat kognitywnego uczenia się. Warren zaplanował to już wcześniej, ponieważ, jak się okazało,

Breanna sama uczestniczyła w seminarium psychologicznym. Niespotykana pogoda sprawiła, że wiele osób zrezygnowało, toteż Cath nie miała najmniejszych trudności z zapisaniem się na konferencję.

Chodzili na te same wykłady, siedzieli na nich ramię w ramię i pisali do siebie listy na marginesach konpektów. Jedli razem lunch i pili kawę. Spacerowali ulicami Bowral, szukając ogrodów i sklepów ze słodyczami, które stanowiły inspirację dla *Mary Poppins*.

Nigdy nie dotykali się publicznie, z wyjątkiem pewnego popołudnia, kiedy złapała ich ulewa i musieli przytulić się do siebie pod jednym parasolem, gdy biegli, by schronić się w kawiarni. W kawiarni jakaś kobieta powiedziała ze smutkiem:

- To tylko deszcz.

Wieczorami, w obecności innych uczestników konferencji, żegnali się na dziedzińcu słowami: „Do zobaczenia jutro”, po czym udawali się oddzielnie do swoich pokoi. Pokój Warrena znajdował się w północnym skrzydle, a Cath we wschodnim. W piwnicy mieściła się pralnia, do której można było zejść z każdego skrzydła.

Co wieczór Cath schodziła do pralni w piżamie i, kiedy nikt nie patrzył, wbiegała po schodach do północnego skrzydła. Co wieczór przechodziła obok tej samej wywieszki:

ZASADY KORZYSTANIA Z PRALNI W BOWRAL

- PROSZĘ PAMIĘTAĆ, ŻE AUTOMATY PRALNICZE SĄ PRZEZNACZONE DO UŻYTKU *WSZYSTKICH* UCZESTNIKÓW KONFERENCJI.

- AUTOMATY PRALNICZE SĄ PRZYSTOSOWANE DO PRZYJMOWANIA WYŁĄCZNIE MONET DWUDOLAROWYCH, RECEPCJA NIE ROZMIENIA PIENIĘDZY.

• PROSIMY O CZYSZCZENIE SUSZAREK PO KAŻ-
DYM UŻYCIU.

Była to najsympatyczniejsza, najbardziej wymowna tabliczka, jaką kiedykolwiek widziała.

Uśmiechając się do uczniów, Cath stwierdziła, że powinna posłuchać przez jakiś czas tego, co mówią. Cassie Zing stała przed całą klasą, opowiadając kolegom o zaczarowanych pingwinach i lodach. Powiedziała też, że mama pozwoliła jej trzymać trochę śniegu w zamrażalniku. Otworzyła pokrywkę pojemnika na kanapki, by pochwalić się małą kałużą wody.

Mama Cassie zawsze pisała listy. Cath była ciekawa, czy dzisiaj również jakiś dostanie - może o tym, jak Cassie nabrała śniegu do pojemnika na kanapki. Może brzmiałyby w taki sposób: „Przepraszam! Nie potrafiłam się oprzeć! Mam nadzieję, że Cassie nie zalała całej podłogi!”

Oczywiście! Dlatego miałam pamiętać o uczennicach siódmych klas z St Carmel. Jeszcze przed feriami prosiła mnie, bym zwróciła uwagę na jedną z nich. Jakaś kuzynka Cassie? O niezwykłym imieniu. Zaraz, zaraz, jak ona ma na imię...?

Nie rozmawiali z Warrenem o tym, co się stanie, kiedy wrócą do rzeczywistego świata. Breanna będzie przyjeżdżała na weekendy, poza tym popołudniami oboje będą mieli dużo pracy związanej ze szkołą. Może wszystko się skończy? Może było to tylko dwutygodniowe interludium? Ale to niemożliwe.

Później tego samego dnia Cath wracała do domu z wizyty od dentysty na Round Corner, kiedy ulicą przejechał obok niej samochód o karoserii przeźartej rdzą. Podniosła wzrok. Ktoś otworzył od środka drzwi po stronie pasażera.

-Wskakuj - powiedział Warren, patrząc prosto przed siebie niczym jakiś tajny agent.

Następnie zawiózł ich do niej na noc.

Przez następne kilka tygodni ich życie toczyło się według utartego schematu. W ciągu dnia praktycznie traktowali się nawzajem jak powietrze, z wyjątkiem przelotnych koleżeńsko-przyjacielskich pogawędek. Ale codziennie późnym wieczorem, od poniedziałku do czwartku, Warren trafiał do mieszkania Cath. Wracał do siebie nazajutrz wczesnym rankiem. Kiedy grał w piłkę nożną, przyjeżdżał ubłocony, w stroju do gry, i brał prysznic, a tymczasem Cath szykowała kolację. Jeśli Cath miała zajęcia z prawa, Warren sam otwierał sobie drzwi i on przyrządzał coś na kolację, czekając na jej powrót. Lubił owijać różności w cienko wałkowane ciasto - mięso kurczaka, bakłażan, kozi ser - a następnie piec to z pomidorami. Oglądali filmy, słuchali muzyki i przygotowywali lekcje, siedząc obok siebie przy stole. Przeważnie jednak spędzali czas w łóżku.

Będąc u Cath, Warren wyszczerbił sobie lekko ząb.

W poniedziałek wieczorem gotowali wspólnie w kuchni Cath, pełnej najrozmaitszych ingrediencji. Zmusiła go, by z nią zatańczył w rytm jej ulubionej piosenki Suzanne Vega, tymczasem składniki czekały. Byli senni, siedzieli w szlafrokach i pili czerwone wino, zagryzając od czasu do czasu oliwkami.

Cath opowiadała jakąś historyjkę, parodiując dyrektora szkoły, Billsona. Rozśmieszyła Warrena tak bardzo, że nagryzł niechcący pestkę oliwki i ukruszył sobie ząb.

Później tego samego wieczoru Cath pokazała Warrenowi swoje albumy z rodzinnymi fotografiami. Był bardzo uprzejmy i zwracał uwagę na takie rzeczy, jak zdrowa sierść jej psa czy podobny kolor włosów Cath i jej matki.

Wtedy Cath otworzyła swoją sekretną kasetkę i wyznała mu, że została adoptowana. Miała jedyną fotografię

swoich biologicznych rodziców - zginęli w pożarze, podczas którego spłonął ich dom w buszu. Fotografia była zamglona, jak gdyby dym przesaczył się przez jej brzegi. Warren wpatrywał się w nią przez długą chwilę, wreszcie powiedział, że od razu widać, iż jej rodzice się kochali.

Poza tym Cath miała jedynie zdjęcie strażaka, który uratował ją, śpiące dziecko, z płonącego domu.

- Uważasz, że powinniśmy z tym skończyć? - pytała od czasu do czasu Cath o brzasku, kiedy Warren zapinał koszulę.

Warren zawsze rozważał to pytanie z ponurą miną i zawsze odpowiadał tak samo:

- Masz rację. Powinniśmy z rym skończyć. Powinniśmy skończyć niedługo. Ale nie potrafię.

A w ciszy, która potem następowała, oboje myśleli to samo:

Ten romans ma swoje parametry. Ogranicza się wyłącznie do dni powszednich i do mieszkania Cath. Stanowi tajemnicę, nikt o nim nie wie. Dużo mówimy o poczuciu winy, o małżeństwie, o straconych okazjach i o przeznaczeniu („Gdybyśmy spotkali się wcześniej!”, „Jesteśmy dla siebie stworzeni!”, „Nigdy nie przeszłoby mi nawet przez myśl, że zrobię coś takiego!”). Ten romans jest skazany na przegraną! Wkrótce się zakończy! Kiedy tylko Breanna dostanie pracę w Sydney, damy sobie spokój. Ale na razie, dlaczego mamy z tym skończyć? Zdrada już się dokonała: tamtej nocy, kiedy Lenny urządziła przyjęcie, małżeństwo zostało rozbite. Skoro już zostało rozbite, to dlaczego mają ze sobą zerwać? Jeśli będą przestrzegali parametrów, to dlaczego?

Kilkakrotnie Breanna dzwoniła do Warrena późno w nocy na komórkę, a on udawał, że jest w domu.

- Coś jest nie w porządku z telefonem staq'onarnym - wyjaśnił. - Nie słyszę, kiedy dzwoni, nie mam pojęcia, co się stało. Ale nie martw się, zawsze możesz zadzwonić na komórkę.

Potem rozmawiał z Breanna, a Cath czekała w łóżku, przyglądając się jego nagim plecóm w ciemności korytarza. Słyszała trajkotanie Breanny, mówiącej rzeczy w rodzaju: „Nie mogę doczekać się weekendu! O Boże, jak ja za tobą tęsknię!”

Potem oboje milczeli. Warren siadał na brzegu łóżka, obejmując głowę rękami. Cath, spięta, trzymała się na dystans.

W końcu Warren mówił: „Lepiej pójdę do domu”, a Cath odpowiadała: „Tak”, po czym on ubierał się w grobowym milczeniu i wracał do domu.

W czwartki pili zwykle grzane wino z korzeniami, żegnając się na weekend. Warren przeżywał kryzys, a Cath godziła się natychmiast, by zakończyć tę żenującą sytuację. Warren zawsze był taki przybity i rozdarty.

Wtedy podejmował decyzję.

- Nie. Nie rezygnujmy, dopóki nie dostanie pracy w Sydney. Dlaczego mamy rezygnować teraz, gdy już zaszliśmy tak daleko? Zerwiemy ze sobą, kiedy Breanna dostanie pracę w Sydney. Ale na razie po prostu nie mogę.

Cath odpowiadała zawsze:

- Jesteś pewien?

- Jestem - potwierdzał Warren.

Wtedy z kolei Cath przeżywała kryzys. Co on sobie właściwie myśli? Zdradza swoją żonę! A co weekend zdradza ją, Cath! Ale najgorszy był głos Breanny. Gdy słyszała go z oddali, z korytarza, gdy Warren rozmawiał z nią przez telefon komórkowy, wydawał jej się ostry jak

gilotyna do cięcia papieru. Ale gdyby Breanna wiedziała, iż Warren pozwala swojej kochance słuchać tych rozmów! To był najgorszy rodzaj zdrady, gorszy od zdrady fizycznej. Breanna wierzyła, że jej głos jest bezpieczny w domu jej męża, bezpieczny w ich intymnym małżeńskim świecie - a tymczasem był tutaj, w holu, wystawiony na niepowołane uszy.

Warren słuchał w napięciu każdego jej słowa, kiwając głową na znak, że się z nią zgadza. Cath kładła szczególny nacisk na słowie „kochanka”, pieszcząc je, rozkoszując się nim.

Wysłuchiwał tego, co miała do powiedzenia, a potem zapewniał ją w kółko, że jest mu ogromnie przykro, że bardzo szokuje go jego własne zachowanie, że nie mógłby skrzywdzić swojej żony, że gdyby jej wszystko wyznał, to by ją zabiło.

- NIE CHCĘ, żebyś powiedział o nas swojej żonie!
- wybuchła Cath. - NIE CHCĘ, żebyś ją zostawił, nigdy cię NIE PROSIŁAM, żebyś ją zostawił.

- Tak, ale nasze małżeństwo już prawie leży w gruzach - zaklinał się Warren.

Przekonywał ją, że to małżeństwo nie przetrwa już długo, że się naprawdę rozpada, ona zaś ustępowała, spoglądali na siebie i mówili: „To wszystko jest idiotyczne, ponieważ ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni”. I: „Na pewno nam się uda”.

Cath spędzała weekendy, przemierzając w tę i z powrotem swoje mieszkanie, próbując nie myśleć o Warrenie i Breannie, o bliskości ich ciał i rąk. W nocy budziła się w ciemności, ogarnięta paniką i pełna wątpliwości. W zimnym świetle dnia kręciła głową, dziwiąc się własnemu zachowaniu. Zawsze była przeciwna kochankom. Jest jędzą, podłą kreaturą, zdradziła własną płęć. Niszczy małżeństwo!

Naprawdę jednak nie odnosiła tych kazań do siebie i szybko przechodziła do własnej obrony:

Skoro Breanna o tym nie wie, to jak może cierpieć z tego powodu?

Nie powiedziałam o tym absolutnie nikomu!

Skoro nikt nie wie, to tak jak gdyby nic się nie działo!

Poza tym ja mam go tylko w dni robocze, a ona w weekendy, czyli zbiera śmietankę.

Zresztą czy ma do niego prawa jedynie dlatego, że spotkała go pierwsza?

I przez cały czas Cath czekała z utęsknieniem na poniedziałek, a z podniecenia serce waliło jej jak młot, wiedziała bowiem, że wszystko się uda. Jakimś sposobem uda się i ostatecznie nikt nie będzie cierpiał.

Zczasami oczywiście niepokoiła się odrobinę z powodu ewentualnej pracy Breanny w Sydney. „Podaruję ci różę na smutne pożegnanie - żartował Warren - kiedy Breanna dostanie pracę”. A jeśli faktycznie ją dostanie? Ale przecież szuka jej już od miesięcy. Prawdopodobnie zbytnio się o to nie starała. Prawdopodobnie nawet nie chciała spędzać z Warrenem dni roboczych! Poza tym to był żart. Pomysł rozstania! Też coś!

Tymczasem robiło się coraz cieplej i jedyną pozostałością po śniegu w Sydney były kijki do nart, które od czasu do czasu fale wyrzucały na plażę Bondi.

Dziwne, ale Cath w ogóle nie skojarzyła tego z ich umową co do róży, gdy znalazła w czwartek w przegródce na korespondencję małą różyczkę. Spłoniała się tylko, myśląc: „To ryzykowne!” Ludzie będą się zastanawiali, skąd ją ma. Potem usiadła przy stole gotowa do zebrania grona pedagogicznego. Wsunie różyczkę do torebki zaraz po zebraniu, gdy nikt nie będzie patrzył.

Billson rozpoczął od żartu na temat uczennic siódmej klasy z St Carmel, mówiąc, że nikt się nie spodziewał, że zabawią tutaj aż tak długo! Jedyna obecna na zebraniu nauczycielka szkoły średniej uśmiechnęła się ostrożnie.

Cath ani razu nie spojrzała na Warrena. Świetnie potrafiła udawać, że nic się nie dzieje (zawsze jej to powtarzała).

Billson zaproponował nowy format biuletynu szkolnego i kilkoro nauczycieli miało o wiele za dużo pomysłów w związku z tym tematem.

Cath marzyła, aby Billson sprawniej prowadził zebranie. Był czwartek i mieli pojechać z Warrenem do jej mieszkania pić grzane wino z korzeniami i przeżywać swoje kryzysy.

- Tymczasowo znaczy tymczasowo, podobnie jak tymczasowo była pani Roary.

Billson skinął głową w stronę nauczycielki szóstej klasy, przyjętej awaryjnie za Lenny. Cath przyglądała się badawczo jego twarzy, szukając oznak złamanego serca, gdy wymawiał imię Lenny. Wydawał się absolutnie spokojny. Może był dobrym aktorem, tak jak Cath?

- I jak wszystkim wiadomo - mówił dalej Billson - musieliśmy stanąć na głowie w tej konkretnej sprawie.

- Stanąc na głowie - jęknął scenicznym szeptem Warren siedzący w drugim końcu pokoju nauczycielskiego - au! - co dało Cath pretekst, by spojrzeć na niego i uśmiechnąć się.

- I pani Roary zgodziła się zostać u nas na stałe! Jak wszystkim wiadomo, ma duże doświadczenie, można na niej polegać i cechuje ją ogromne poczucie humoru!

Pani Roary uśmiechnęła się skromnie, a zebrani pogratulowali jej chórem.

- A zatem uczniowie szóstej klasy mają zapewnioną opiekę! - podsumował Billson, zbierając papiery. Poza tym - rzekł, podnosząc ręce, by uciszyć szum, który po-

wstał w pokoju - mam dla państwa nowinę! - Wyraźnie nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Pamiętacie, że Lenny była nie tylko nauczycielką w szóstej klasie, lecz również psychologiem szkolnym? Cóż! Nigdy nie pozwolimy, by mówiono, że my tutaj w Redwood tracimy czas!

Nauczyciele zastygli w miejscu, trzymając w pogotowiu torby i płaszcze.

- Nie uwierzycie! - Teraz Billson wręcz promieniał.
- Podjęliśmy decyzję, by zatrudnić odrębnie szkolnego psychologa. Na pełnym etacie! I zgadnijcie, kogo wybraliśmy?

Nikt się nie domyślał.

- Kobietę o imieniu Breanna! - Billson niemal piał z radości, demonstrując zebranym swoje zadowolenie.
- Z wykształcenia psycholog, żona naszego kolegi Warrena Woodforda!

- Naprawdę? - rozległy się okrzyki. - Gratulacje, Warren!

Warren odchylił się do tyłu i skłonił głowę.

Fancy Zing

Gdy pierwszego dnia po feriach Fancy odwiozła Cassie do szkoły, po powrocie stanęła w progu i obrzuciła pytającym spojrzeniem odkurzacza. Specjalnie zostawiła go w holu obok stojaka na parasole jako zakamuflowaną wiadomość dla Radcliffe'a, że wie o jego romansie.

Odkurzacza również na nią popatrzył, jego rura leżała z boku, porządnie zwinięta. „Pewnego razu mnie zepsuto - mówił. - Zakrztusiłem się odłamkami rozbitego małżeństwa. Szklanką stłuczoną przez kochankę męża. Mąż użył MNIE do posprzątania szkła. Ale nie, ja zakrztusiłem się jego zdradą. Obecnie mechanik mnie naprawił - czy można to samo powiedzieć o małżeństwie?" Wygląda na to, że na razie Radcliffe tego nie słyszał.

Fancy wypchnęła odkurzacza trochę bardziej na środek holu. Jeśli Radcliffe się o niego potknie, niewątpliwie zrozumie aluzję. Ale oczywiście miała znacznie bardziej konkretny plan i teraz, gdy Cassie była znowu w szkole, mogła go zrealizować.

Najpierw wbiegła na górę i okrążyła na czworakach łóżko, zaglądając pod nie w poszukiwaniu dalszych śladów wskazujących na romans. Jak zwykle niczego nie znalazła. Wróciła na dół do holu i podniosła słuchawkę telefonu, serce biło jej powoli.

-Radcliffe! - powiedziała, gdy odebrał. - Chciałam cię uprzedzić, że nie będzie mnie przez cały dzień. Wybieram się do miasta. Właśnie wychodzę. Obiecałam pomóc w czymś mamie. Nie przyjeżdżaj na lunch. Nie będzie mnie przez cały dzień - powtórzyła z naciskiem.

Radcliffe podziękował jej za wiadomość i Fancy odłożyła słuchawkę, wyszła na werandę i usiadła.

Idąc tam, stąpała z dziwnie przechyloną głową, wyprostowana, jak gdyby była baletnicą. Mój mąż ma romans. Uśmiechnęła się łagodnie, obejmując ramionami kolana. Mogłaby mieć na sobie suknię z materiału cienkiego jak pajęczyna.

Kanadyjczyka nie było na werandzie. Tęskniła za śniegiem, pragnęła, żeby znowu zaczął padać. Wyobraź sobie, myślała, wyobraź sobie, że miasto jest zasypane śniegiem. Wyobraź sobie, że wszystko się zmieniło: są renifery, karibu, niedźwiedzie polarne i wiewiórki. Niestety, w rzeczywistości Cassie zostawiła w błocie na trawniku ślady stóp, które prawie przypominały ślady pazurów. Niedźwiedzich pazurów!

Wyobraź sobie, myślała Fancy: niedźwiedzica czarna, poruszająca się z wdziękiem, jak gdyby cierpiała na mononukleozę zakaźną albo jak gdyby jej mąż miał romans, idzie ulicą. Mija podniesione zasłony, zaparkowane samochody, tabliczki: „Na sprzedaż”. Szturcha pyskiem skrzynki na listy, ostrzy pazury na słupach telegraficznych. Porusza się cicho na śniegu. Od czasu do czasu zatrzymuje się, słysząc dobiegające z oddali dźwięki: warkot ciężarówki na szosie, skrzypienie czyichś drzwi.

Marzenia nieco się skomplikowały, uświadomiła sobie Fancy, za sprawą mężczyzny w jasnoszarym T-shircie i džinsach, który w niewyjaśniony sposób, niepostrzeżenie, pojawił się przed sąsiednim domem. Koniecznie trzeba go ostrzec przed zbliżającą się niedźwiedzicą.

Był to Kanadyjczyk, oglądający ścianę swego domu.

- Dzień dobry! - zawołała.

Odwrócił się powoli i pomachał jej.

-Sprawdzam, czy nie nastąpiło przypadkiem uszkodzenie konstrukcji budynku - wyjaśnił. - Miałem przed chwilą mały wybuch w piwnicy. Słyszałaś?

-Nie!

- To dobrze!

Odwrócił się znowu do ściany, badając ją uważnie, znowu pomachał i uśmiechnął się, po czym zniknął w domu.

Fancy czekała na werandzie do trzeciej po południu, ale Kanadyjczyk już się nie pokazał. Skoro o tym mowa, nie doczekała się również Radcliffe'a ani jego kochanki.

Przez następne kilka tygodni życie Fancy toczyło się utartym torem. Odwoziła Cassie do szkoły, wracała do domu, dzwoniła do Radcliffe'a i mówiła, że nie będzie jej przez cały dzień, a potem siadała na werandzie. Po kilku dniach przypomniała sobie, że Gemma-z-księgowości pracowała popołudniami, toteż stwierdziła, że może dać sobie spokój w porze lunchu. Romans musi być konsumowany rano.

Dobrze się składało, bo po południu potrzebowała czasu na pisanie powieści, która zdobędzie nagrodę literacką, albo na sprawy związane z Rodzinnym Sekretem Zingów lub też na pójście do siłowni. Tymczasem jej siostra Marbie stale zjawiała się nieoczekiwanie w porze obiadu i gorączkowo zasypywała ją pytaniami w kwestiach prawnych.

Bardzo rzadko podczas jej porannego czuwania Kanadyjczyk wychodził na swoją werandę, by zjeść śniadanie. Obecnie jadał do kawy jagodzianki i owoc chle-

bowca. Nigdy nie okazał, że dziwi go obecność Fancy na werandzie, po prostu gawędził z nią o tym i o owym, ona zaś czuła, że jej szyja jest smukła, a dłonie, kiedy mówi, trzepoczą się jak motyle.

Pewnego dnia Kanadyjczyk postawił mały przenośny odtwarzacz stereo obok jagodzianki.

- Cześć, Fancy - zawołał - mogłabyś mi w czymś pomóc?

- Jasne! - odkrzyknęła radośnie.

Okazało się, że poproszono go z jakiegoś powodu, by porównał dwie różne wersje piosenki pod tytułem *Love Cats*. Jedną wersję, oryginalną, wykonywał zespół The Cure. Drugą, nowszą, facet o pseudonimie Tricky. Mieszanina tajemniczych słów i nazw! Fancy poczuła zdenerwowanie i podniecenie.

- Jak sądzisz, która wersja jest bardziej udana? - spytał. - Która jest bardziej dynamiczna? Która piękniejsza? Która sprawia, że masz ochotę tańczyć? Którą uważasz za bardziej zmysłową?

Odtwarzał w kółko obie wersje piosenki, przestrzeń między ich domami wypełniło dudnienie bębnow. Fancy z całą powagą odpowiadała na jego pytania, on zaś notował jej słowa, kiwając z zainteresowaniem głową.

- Obie bardzo mi się podobają - stwierdziła Fancy.

- Wiesz co - zaproponował Kanadyjczyk - przeagram ci je.

- Dzięki! - powiedziała Fancy ze łzami w oczach.

Ani razu samochód Radcliffe'a nie pojawił się na podjeździe, nie przyjechała też Gemma, by odzyskać własną skarpetkę. Tymczasem praca nad powieścią, za którą zdobędzie nagrodę literacką, utknęła w martwym punkcie. Przeczytała jeszcze raz książkę o miłości i rozstaniu i dokonała pewnego odkrycia. Otóż autor nie tylko sporządził listę liści, lecz również zawarł w tekście infor-

macje o nich - całe fragmenty książki były poświęcone pigmentacji i fotosyntezie.

Fancy zdała sobie sprawę, że konieczne są nie tylko listy. Chodzi o język. Zanim czytelnik dotrze do końca tej wspaniałej książki, musi poznać nowy język. Na przykład język fotografii, geografii, topologii. Język łowienia ryb na muchę, język maltański, język pieczenia chleba.

Fancy nie była pewna, czy zna jakiegokolwiek języki, których warto uczyć, i czuła, że sama powinna nauczyć się jednego. Tymczasem każda nowo wydana powieść zasługująca na nagrodę literacką zabierała kolejny język - lepsze książki, zdobywające prestiżowe nagrody Booker, często używały czterech lub pięciu. Rzecz jasna, musiał to być łatwy język, ponieważ Fancy była bardzo zajęta. Antarktyka odpada. Nie miała ani czasu, ani chęci, by płynąć do Antarktyki.

Pewnego dnia Fancy zabrała Cassie ze szkoły i zaprowadziła ją na kontrolę do dentysty.

-Tędy nie jedzie się do dentysty - powiedziała Cassie, gdy Fancy skręciła w prawo.

- Co za doskonała pamięć, kochanie - pochwaliła ją Fancy. - Masz rację. Nie tędy. Ale wypróbujemy nowego dentystę przy Round Corner. A po drodze opowiesz mi, co tam w szkole.

- Dobrze - zgodziła się Cassie. - Po pierwsze, miałam napisać szkolną sztukę, a ciągle zapominam.

- Chcesz, żebym ci przypominała?

- Dzięki.

-A jak tam panna Murphy? Nadal ją lubisz?

- Aha. Jest naprawdę całkiem miła.

- Mmm. Myślisz, że przyjaźni się z kimś z innych nauczycieli w twojej szkole?

- Hm - odparła w zamyśleniu Cassie, wyglądając przez okno. - Ma dwoje przyjaciół. Panią Barker i pana Woodforda.

- Pan Woodford, tak? Również uczy w drugiej klasie, prawda? Jaki on jest?

- Bardzo zabawny - oświadczyła Cassie, odwracając się od okna. - Wszyscy zawsze śmieją się z jego żartów.

U dentysty matka Cassie wyjęła jej szczoteczkę do zębów.

- Proszę, kochanie - powiedziała. - Biegnij do toalety w korytarzu i wyczyść zęby.

Cassie wzięła szczoteczkę, a recepcjonistka spytała:

- Cassie? Chcesz dostać prezent?

Przez prezent kobieta rozumiała małą plastikową zębę, którą trzymała w ręku. Cassie wcale nie chciała małej plastikowej zębry, ale powiedziała: „Tak”. Być może zebra była podstępem, a recepcjonistka miała w drugiej ręce czekoladowy herbatnik Tim Tam.

Fancy usiadła w poczekalni u dentysty i wyjęła telefon komórkowy. Wybrała numer matki.

- Jestem tutaj - rzekła przyciszonym głosem. - Poza mną w poczekalni nie ma nikogo. Idealna sytuacja. Dobry moment. - Rozłączyła się.

Niemal natychmiast zadzwonił telefon w recepcji.

- Poradnia stomatologiczna Round Corner - powiedziała recepcjonistka. - W czym mogę pomóc? Aha? Ojej! Proszę zaczekać. Nie, ja... chwileczkę, zaraz tam będę!

Wstała i wybiegła na korytarz. Drzwi rozsunęły się i zamknęły.

Fancy zakradła się za kontuar, otworzyła górną szufladę srebrnej szafki na dokumenty i przerzuciła akta. Jej palce zatrzymały się na teczce z napisem: MURPHY

Cath. Wyciągnęła ją i rozejrzała się dookoła. Otworzyła teczkę i przytrzymała nad pierwszym dokumentem zegarek, naciskając go z boku. Błysnął flesz. Następnie pstryknęła nad drugą stroną. Zamknęła teczkę, włożyła ją do szuflady i znów usiadła w poczekalni.

Czytała kolorowy magazyn, gdy wróciła recepcjonistka.

- Dzwoniła właśnie kurierka - wyjaśniła recepcjonistka, siadając za kontuarem - informując mnie, że wjechała tyłem w nasze służbowe wejście i zaklinowała się. Ale kiedy zeszedłem na dół, jej już nie było. Widocznie poradziła sobie sama.

- Ach, pewnie tak - zgodziła się Fancy.

Cassie czuła się malutka w fotelu dentystycznym, ponieważ dentysta był wielkoludem.

- No dobrze - zagrzmiał, przyciskając guzik, który z buceniem i rżeniem przechylił oparcie fotela do tyłu. Chodzenie do dentysty byłoby przyjemnością, gdyby jego samego tam nie było i można by się bawić fotelem. - No dobrze - powtórzył, wciskając inny guzik, który równie hałaśliwie podniósł fotel z wolna do góry.

Podjechał tak wysoko, że prawie dotknął punktowego światła na suficie. Cassie zauważyła, że sam sufit jest ładny. Zielonego koloru, niczym dżungla, z mnóstwem słoni, małp, lwów i żyraf. Przynajmniej jest na co patrzeć.

Cassie przyszło na myśl, że mogłaby podarować dentyście kolcobrzucha. Ale wtedy włożyłby go do ust.

- Ile masz lat, Cassie? Siedem, osiem, dziewięć?

- Siedem - odparła Cassie, przyklejona do fotela.

- Siedem! - Z jakiegoś powodu dentyście wydało się to zabawne. - Zajrzyjmy tutaj, dobrze? - rzekł, chichocząc, i pochylił się nad nią z lusterkiem dentystycznym.
- Otwórz szeroko buzię.

Teraz dentysta, zamiast fotelem, zaczął bawić się jej zębami.

Cassie zastanawiała się nad szkolną sztuką.

O czym miała być? W tym właśnie tkwiło sedno.

- Wypłucz - polecił doktor.

Cassie zupełnie nie miała na to ochoty, ponieważ woda u dentysty była różowa i ciepła, musiała jednak posłuchać polecenia.

- Pani Zing? - Dentysta stanął w progu, wycierając dłonie w ręcznik.

- I jak tam? Wszystko w porządku? - spytała wesoło jej mama.

- Jedna mała dziurka, tylko jedna - odparł tubalnym głosem doktor, śmiejąc się cicho, pewnie ciągle na myśl o jej wieku.

- Ach, to dobrze - powiedziała mama. - Nie szkodzi. Umówię się na następną wizytę.

- Jeśli pani chce, mogę zrobić to od razu - zaproponował dentysta. - To zajmie tylko chwilę. Czy zastosować gaz rozweselający? A potem fluoryzacja i po kłopotcie.

- Fluoryzacja - odezwała się z fotela Cassie. - Mamusi, wiesz, że zawsze po tym płaczę.

Mama roześmiała się tylko, zgodziła się na gaz rozweselający i chętnie wróciła do poczekalni.

Cassie, pólężąc na fotelu, powoli wdychała gaz i wpatrywała się w dzunglę namalowaną na suficie. Na chwilę przeniosła się do niej z fotela, po czym wróciła.

Donośny głos dentysty przypominał teraz brzęczenie robota kuchennego i Cassie przestała zwracać nań uwagę. Pomyślała znowu o swojej sztuce. Postanowiła osunąć się z fotela na podłogę, a następnie podniosła się z niej i poszybowała pod sufit. Para gepardów biegła obok siebie ku brzegowi sufitu, inne zwierzęta ignorowały je, wiodąc swoje własne życie.

I tam właśnie była. Historia do szkolnej sztuki. Była na suficie przez cały czas.

Przez kilka pierwszych tygodni nowego semestru, kiedy Fancy spędzała ranki na werandzie, zaistniały pewne trudności, jeśli idzie o Rodzinny Sekret. Konkretnie były związane z Marbie, która nie chciała brać udziału w naradach ani też wykonywać żadnych prac konserwacyjnych. To oznaczało, że kamera w oknie jadalni Cath Murphy w dalszym ciągu nie działała. Druga kamera, ukryta w mieszkaniu, nigdy nie była wykorzystywana.

Tymczasem Marbie ciągle zjawiała się u Fancy w porze obiadu i gorączkowo zadawała mnóstwo pytań w kwestiach prawnych.

- Ona jest prawniczką - powiedziała, stając w progu podczas jednej z takich wizyt. - Dlaczego nigdy nie braliśmy tego pod uwagę?

- Ona nie jest prawniczką - sprostowała Fancy, odsuwając się na bok, by Marbie mogła wejść do środka. - Jest nauczycielką. Tylko studiuje prawo, i to zaocznie.

- Co za różnica - oświadczyła Marbie, wręczając siostrze butelkę wina. - I tak może nas zaskarżyć. Pozwolisz mi znowu zostać na obiedzie?

- Ona o niczym się nie dowie - odparła Fancy - to też nas nie zaskarży. Zostań, oczywiście.

- Jeśli się dowie, poda nas do sądu.

- Za co? - zainteresował się Radcliffe, wyglądając zza ramienia Fancy, a właściwie wbijając się w nie brodą. - Za co poda nas do sądu? Pod jakim zarzutem?

- Cześć - przywitała się z nim Marbie, nie odpowiadając na pytanie i wchodząc do kuchni, gdzie Fancy puszczała muzykę z magnetofonu. - Hej, znowu słuchasz *Love Cats*. Uwielbiam tę piosenkę.

Innego wieczoru, przy szpinakowym suflecie, Marbie zauważyła:

- Pozwie nas, gdy tylko zostanie prawniczką.

- Pod jakim zarzutem? - spytał, jak było do przewiedzenia, Radcliffe. - Pod jakim zarzutem?

- Kto nas pozwie? - Cassie niosła właśnie do ust szklanę z truskawkowo-pomarańczowym sokiem.

- Nikt, kochanie - odparła Fancy, rzucając Marbie znaczące spojrzenie. - Co sądzisz o soku, Cassie? To nowa odmiana.

- Zaczekaj - odpowiedziała Cassie - zaraz spróbuję.

- Słyszeliście kiedyś o konwencji dającej każdemu człowiekowi prawo do ochrony przed automatycznym przetwarzaniem danych osobowych? - wtrąciła Marbie.

- Rety! Naprawdę istnieje coś takiego? - zdziwiła się Fancy.

- Ta konwencja - rzekł pogardliwie Radcliffe, oskrobując przypieczone kawałki sera z brzegu półmiska - dotyczy komputerowego przetwarzania danych. Rządowych banków danych, tego typu sprawy. Dotyczy dużych korporacji. Nie ma nic wspólnego z nami.

- Och - mruknęła Marbie. - Doprawdy? Ale chyba naruszamy prawo, włamując się do...

- Kto mówi, że się włamujemy? - przerwał jej Radcliffe. - Jesteśmy właścicielami, wszystkie mieszkania są wynajęte. Przyznaję, że jest to napisane drobnym drukiem, ale: „powinien być zapewniony dostęp i tak dalej, i tak dalej, prace konserwacyjne i tak dalej, i tak dalej”, miło i niejasno.

- Całkiem niezły - stwierdziła Cassie, odstawiając szklanę na stół i wycierając truskawkowe wargi. - Spróbujcie.

Fancy, Radcliffe i Marbie sięgnęli po swoje szklanki.

Nikt z nich nie wiedział, co się dzieje z Marbie, ale podejrzewali, że wiąże się to z Vernonem. Niezaprzeczalnym faktem było, że dotąd jeszcze do niej nie wrócił. Wszystkich to zdumiewało i zdawali sobie sprawę, że pod Marbie musiały uginać się nogi. Pewnie martwiła się, że Vernon może jakoś wykorzystać Sekret przeciwko nim. Cała rodzina zgodziła się z zażenowaniem, że nigdy by tego nie zrobił.

Radcliffe zaproponował, że zastąpi Marbie podczas Wtargnięcia w celach konserwacyjnych, lecz Fancy niezbyt spodobał się ten pomysł. Były z Marbie ogromnie zgrane. Poza tym, dodała grzecznie, ostatnio Radcliffe siedzi godzinami przy biurku, zajmując się sprawami wydawniczymi. Wszyscy przyznali, że ostatni numer „Listów Elfów” wyglądał fantastycznie. Na lśniąącym papierze!

- Mimo wszystko - oznajmił Radcliffe - dziwię się Vernonowi. Mógłbym przysiąc, że do tej pory jej wybaczy.

- A ty byś wybaczył? - spytała lodowatym tonem Fancy.

- Hm, a ty nie? - odparł pytaniem na pytanie Radcliffe, łuskając orzeszki pistacjowe i układając skorupki na udzie.

- Brakuje mi rozmów z Listen - westchnęła nieoczekiwanie Fancy.

Przypadek zrządził, że już nazajutrz Fancy spotkała Listen w siłowni, kiedy ćwiczyła od pół godziny na stepperze.

- Jeszcze dwie minuty - poinformował ją automat. Mam nadzieję, pomyślała Fancy.

Automat wyświetlił podsumowanie treningu, zwalniając ją. Wpadła na Listen przy fontannie z wodą do picia.

- Witaj, kochanie!

- Cześć, Fancy! - Listen była spocona, oczy jej błyszczały, wyglądała uroczo w spodniach od dresu i topie bez rękawów, ze srebrną bransoletką na nadgarstku.

- Chyba nie ćwiczysz w siłowni?

- Nie - odparła Listen. - Ćwiczę wspinaczkę w ramach zajęć szkolnych. Widzisz tę sztuczną kolorową skałę? Właśnie się na nią wspinałam.

- Ha! Fantastycznie! Mission Impossible! James Bond! - Przez chwilę uśmiechały się do siebie.

- Tak czy owak muszę już iść - powiedziała Listen. - Vernon ma po mnie przyjechać. Pozdrów Cassie, dobrze? Czasami widuję ją w Redwood, ale zawsze wydaje się taka zajęta.

- Dobrze. Wszyscy za tobą bardzo tęsknimy, Listen, zwłaszcza Cassie. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Listen zbiegła po schodach do drzwi wyjściowych, koński ogon majtał się za jej plecami. Obejrzała się i uśmiechnęła dziwnie.

*

Wreszcie, po kilku tygodniach wysiadywania na werandzie, Fancy uznała, że potrzebna jest jej nowa taktyka. Było oczywiste, że Radcliffe przeniósł się ze swoim romansem gdzie indziej - może incydent z odkurzaczem wystarczył, by go przestraszyć? Przecież przyprowadzanie do domu takiej niezdary jak Gemma jest niebezpieczne. Pewnie spotykają się teraz w mieszkaniu Gemmy - tłukąc jej naczynia stołowe.

Zdała sobie z tego sprawę pewnego czwartkowego popołudnia, siedząc na werandzie i machając do listonosza, który właśnie podjechał na rowerze i wpychał garść listów do ich skrzynki. Fancy wstała z miejsca i, nie przestając machać, pomyślała: „Muszę zastosować nową

taktykę", po czym poszła przez trawnik, by wyjąć korespondencję ze skrzynki. W tym momencie uświadomiła sobie, że straciła swój wdzięk. Poruszała się teraz niezdar- nie, niepewnie, gorączkowo, niczym marionetka na nierównych sznurkach. Zamrugała powiekami, ale nawet to mruganie przypominało nerwowy tik.

I tu leży cały problem, pomyślała, próbując opa- nować się, gdy otwierała skrzynkę. Straci kontrolę nad ich romansem. W ostatnim tygodniu bywały dni, kiedy zastanawiała się, skąd w ogóle przyszedł jej do głowy ten pomysł. Kiedy indziej nachodziły ją wątpliwości, czy zwykła wiśniowa skarpetka z naszytą stokrotką może na- prawdę oznaczać aż tyle. Czasami całkiem zapominała, że jej mąż ma romans.

Musi się skupić, musi poświęcić romansowi właś- ciwą uwagę, przyszpilić go, przycisnąć workami z pia- skiem, ponieważ czuła, że w przeciwnym razie wyslizg- nie jej się z rąk, znajdzie się poza jej zasięgiem i uniesie w powietrze niczym balon wypełniony helem.

Spoglądając na listy, nagle ujrzała rozwiązanie. Było na ulotce reklamowej, na wierzchu stosu kopert.

PORADY MAŁŻEŃSKIE

- Dostępne
- Dyskretne
- Poufne
- Gwarantowane

Winston Hills, Ośrodek Poradnictwa Rodzinnego
(adresy i telefony na odwrocie)

Oczywiście! Nagle stanął jej przed oczami cały plan: umówi ich na kilka sesji z terapeutą, zaskoczy tym Radcliffe'a. Powie mu, że to coś w rodzaju bonu towa- rowego, prezent dla ich małżeństwa, tak jak wyjazd do

sanatorium. W rzeczywistości pomysł polegał na tym, by zapewnić oparcie, organizację, kontrolowane środowisko. W tym środowisku będzie mogła powiedzieć Radcliffe'owi, że wie o jego romansie. Terapeuta będzie gwarancją, że romans nie ujdzie uwagi. To było „gwarantowane"! Weszła spieszenie do domu, by umówić wizytę na przyszły wtorek.

Czując ulgę, odzyskawszy wdzięk i lekkość ruchów, Fancy postanowiła rozwiesić pranie. Dzień był słoneczny i wietrzny, chłód niemal całkiem minął. Schylała się i przypinała pranie klamerkami na sznurze, schylała się i przypinała, aż w końcu przeszła na drugi koniec sznura, aby zebrać wczorajsze, suche już ubrania.

Zakwitły krzewy grewilli, Fancy zauważyła to, zdejmując ze sznura swoje morelowe bawełniane majtki, wysuszone na słońcu. Bez wątpienia nastąpiła wiosna. Powrót uczucia grafi i zwiewności oznaczał, że jej dłonie nie trzymały przedmiotów zbyt pewnie, toteż podmuch wiatru bez trudu wyrwał majtki z jej palców i cisnął je w powietrze. Szast! Wysoko pod niebo! Szast! Nad ogrodzeniem na podwórko sąsiada.

Podbiegła do płotu dokładnie w chwili, gdy majtki wylądowały na twarzy jej kanadyjskiego sąsiada. Oblepły mu twarz, po czym sfrunęły na ziemię. Był zdziwiony, lecz zdołał je złapać, zanim dotknęły trawy. Fancy dostrzegła, że sam ma przygotowaną klamerkę i wieszka własne pranie.

Okazało się, że są tam między innymi trzy pary damskich stringów - malutkich, różnokolorowych, niczym barwne jaszczurki. Odwrócił się do niej z uśmiechem, trzymając w górze jej majtki.

- Ty - zawołała ze skruchą - i cała ta śliczna bielizna! - W tym momencie dotarło do niej, co powiedziała.

On jednak roześmiał się i ciężko stąpając przez trawnik, podszedł do płotu.

- Twoje majteczki? - spytał uprzejmie.

Wzięła je od niego, myśląc, że jeszcze nigdy słowo „majteczki” nie brzmiało tak intymnie jak w jego ustach. Ona, pisarka erotycznych książek.

- Przykro mi, że wiatr zwiął ci je na twarz - odparła.

Roześmiał się cicho, opierając się o płot, oboje popatrzyli w stronę sznura z jego praniem, gdzie wisały stringi z falbankami. I wtedy Fancy ją zobaczyła. Jedną wiśniową skarpetkę, przypiętą klamerką na brzegu sznura, trzepoczącą lekko na wietrze.

- Przepraszam, ale czy mogłabym zobaczyć tę skarpetkę?

- Jasne - zgodził się i począpiał z powrotem do swojego sznura.

Z pogodnym uśmiechem zdjął z niego skarpetkę i przyniósł ją Fancy.

Tak, to była ona. Od pary. Wiśniowa skarpetka z naszytą stokrotką.

- Skąd ją masz? - spytała, zdając sobie sprawę, że jej głos drży melodramatycznie.

- Dziwne pytanie - odrzekł nadal pogodnym tonem. - Znalazłem ją dzisiaj na dnie mojej pralki. Niespodziewanie. Jest własnością mojej eks-dziewczyny. Prawdę mówiąc, eks-eks-dziewczyny. Zostawiła chyba u mnie jakieś swoje rzeczy i skarpetka musiała tkwić na dnie pralki przez pewien czas. Wiesz, jak to bywa ze skarpetkami.

- Cóż, chodzi o to - powiedziała Fancy - że kilka tygodni temu znalazłam drugą taką skarpetkę w mojej sypialni.

- Naprawdę?

Stali przez chwilę w milczeniu, a wiatr muskał ich włosy i ubrania. Oboje zdali sobie sprawę, że wpatrują

się w bawełniane majtki w lewej dłoni Fancy i wiśniową skarpetkę w prawej.

- Przypuszczam - rzekł w zamyśleniu Kanadyjczyk - że skarpetkę Tammy mógł któregoś dnia zwiać wiatr przez ogrodzenie, podobnie jak dzisiaj twoje majteczki. Pewnie powiesiłem ją do suszenia, zostawiając drugą w pralce, podmuch wiatru przeniósł ją na twoją stronę, gdzie zaplątała się w twoje pranie.

Fancy miała wątpliwości. Zamotała się w znacznie bardziej niepokojących wytłumaczeniach, na przykład: trójkąt pomiędzy Radcliffe'em, jego flamą i ową Tammy. Albo: perwersyjny Kanadyjczyk zakrada się w środku nocy do jej sypialni i ukrywa pod jej łóżkiem skarpetkę swojej dziewczyny.

- Chyba mogło tak być - przyznała w końcu. - Zdarza mi się segregować pranie w sypialni, toteż może rzeczywiście skarpetka spadła na podłogę, kiedy to robiłam, i została przypadkiem kopnięta pod łóżko.

Znowu milczeli przez moment, czując na sobie ciepły dotyk słońca.

- Zabawne, że znalazłem skarpetkę w pralce akurat w dniu, kiedy wiatr przerzucił twoje majteczki przez płot - zauważył Kanadyjczyk.

- Może przyniosę ci brakującą skarpetkę? - zaproponowała Fancy. - Żebyś mógł odesłać ją... Tammy?

- Ach, nie ma potrzeby. - Rozbrajająco wzruszył ramionami. - Tammy przeżyje chyba bez swoich wiśniowych skarpetek. Okazało się, że wcale nie była taka sympatyczna. A teraz Gina... - mówił dalej, oglądając się na bieliznę trzepoczącą na jego sznurze. - Ale musiała pilnie wrócić do Neapolu. Odsyłam jej wartościowe przedmioty - dodał z roztargnieniem.

- No to na razie - powiedziała ni z tego, ni z owego Fancy.

- Na razie - podporządkował się natychmiast. Wracając do swojego sznura z praniem, obejrzał się jeszcze i zawołał: - Naaazie! - mrugając do niej przyjacielsko.

Nie ma wiśniowej skarpetki, myślała Fancy, uśmiechając się z wdzięcznością do Kanadyjczyka. Nie ma wiśniowej skarpetki z naszytą stokrotką, należącej do księgowej z biura Radcliffe'a. Romans Radcliffe'a - dotarło do niej z dziwnym cichym stukiem, jak gdyby książka spadła z nocnej szafki - romans Radcliffe'a jest skończony.

Mój mąż nie ma romansu.

Marbie Zing

Nazajutrz po pikniku na podłodze salonu Marbie wyłączyła budzik dosłownie w chwili, gdy zadzwonił telefon. Był to inżynier lotnictwa.

- Nie dzwoń do mnie do domu! - syknęła, udając, że Vernon i Listen wciąż tam są.

- Gdyby odebrał twój chłopak, natychmiast bym się rozłączył. Słyszysz? Uspokój się, dobrze? Możesz rozmawiać?

- Nie.

- Wobec tego możesz przez chwilę posłuchać? Marbie, jesteś naprawdę przezabawna. Co to było wczoraj? Zjawiasz się u mnie, opowiadasz mi historyjkę o szpiegowaniu nauczycielki drugiej klasy, po czym ulatniasz się, nie tknąwszy nawet poczęstunku! Pomyślałem sobie, kto to był?

- Cóż, to byłam ja - odparła Marbie.

- Dobra, nieważne, chcę tylko powiedzieć jedno. Chcę powiedzieć, że jesteś cudowna i że jestem szczęśliwy z powodu decyzji, jaką podjąłem, kiedy poznałem cię w pubie Night Owi.

- To już więcej niż jedno. I nie poznałeś mnie w pubie Night Owi. Poznaliśmy się w pracy.

- Hm. Tak, to również pamiętam. Twoje papierowe samolotki! Ha! Ryzykowne! Ale ja mówię o mojej decyzji.

W pubie Night Owi. Kiedy zobaczyłem cię tam. Wszystkie twoje kumpelki już sobie poszły, a mój samochód odholowano. Spytałem cię, która godzina, ty zaś odpowiedziałas: „Piąta” tym swoim głosem - i w tym momencie podjąłem decyzję. Najlepszą w moim życiu.

- Mianowicie jaką?

- Żeby wezwać taksówkę. Pomyślałem - ni stąd, ni zowąd, *shazam** - „Wezwę taksówkę!” Wiedziałem, że nie zdążę na autobus, jeśli zostaną dłużej, byłem już trochę spóźniony. Zamierzałem powiedzieć ci: „Do zobaczenia”, ale wtedy pomyślałem: „*Shazam*”, pomyślałem: „Taksówka, taksówka załatwi sprawę!” I to była najlepsza decyzja, jaką podjąłem kiedykolwiek w życiu.

- W porządku. No cóż, świetnie. Chyba powinnam teraz odłożyć słuchawkę.

- Oczywiście. To wszystko, co do ciebie miałem. Tylko tyle.

- Dobrze.

- Aha, i Marbie, musisz przyjść do mnie dziś wieczorem i wyjaśnić, o czym wczoraj mówiłaś. Nie możesz opowiadać szpiegowskiej historii, a potem zostawiać mnie w zawieszaniu. Słyszysz mnie?

- Nie mogę?

- Nie.

- A ja myślałam, że mogę. Myślałam, że zapomnisz o tym, co mówiłam, i będziesz żył dalej. Zgoda?

- Nie, ponieważ słyszałem każde słowo i żądam wyjaśnień, w przeciwnym razie nie wiadomo, co może się zdarzyć. Do zobaczenia dziś wieczorem. I jeszcze jed-

* *Shazam* - zaklęcie z komiksu pod takim samym tytułem, składające się z pierwszych liter imion bogów i bohaterów antycznego świata. Wypowiadającemu je Salomon daje mądrość, Herkules siłę, Atlas wytrwałość, Zeus moc, Achilles odwagę, Merkury szybkość.

no, jeśli ktoś tam jest teraz z tobą, udaj po prostu, że to pomyłka.

- To głupota.

- Dobra, moja śliczna. Do zobaczenia.

Marbie rozłączyła się i mocno przytuliła poduszkę do piersi. Po prostu zupełnie nie rozumiała, dlaczego przespała się z I.L., a tym bardziej dlaczego wyjawiała mu Rodzinny Sekret. Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru wydało jej się nagle jasne, że musi mu go wyjawić i to będzie rozwiązanie. Ale jak mogło być? Oto ona, Marbie Zing, wiodąca irracjonalne życie. Spojrzała na poduszkę w swoich ramionach i pomyślała: „Moje życie jest jak poduszka”. Nie wiedziała nawet, co chce przez to powiedzieć.

Odrzuciła poduszkę na bok i wybrała numer Vernona, nikt jednak nie odebrał telefonu. Zostawiła wiadomość, że chciała tylko życzyć Listen wszystkiego dobrego pierwszego dnia w szkole podstawowej Redwood i zapewnić, że gdyby Listen potrzebowała czegokolwiek, to ona, Marbie, czeka na nią tutaj, w mieszkaniu, oczywiście poza godzinami, kiedy jest w pracy.

Siódmoklasistki z St Carmel maszerowały ścieżką wiodącą przez teren szkoły podstawowej Redwood. Po powitaniu w auli musiały przejść do tymczasowych pomieszczeń, które miały służyć im za klasy.

- Parami! - wołali nauczyciele. - Proszę maszerować parami!

Ale szczerze mówiąc, nauczycieli wcale nie obchodziło, czy maszerują parami, czy nie, i Chloe, idąca obok Listen, wycofała się do dwóch koleżanek za nimi. Listen spytała właśnie: „Jak minęły ci ferie?”, lecz akurat w tej samej chwili ktoś krzyknął: „ODDAJ MI CZAPKĘ”, toteż Chloe nie usłyszała.

W oknach szkoły stali uczniowie Redwood i gapi-
li się na nie z otwartymi ustami. Listen próbowała wcis-
nąć się obok idących przed nią dziewczynek, by nie
pomyśleli sobie, że jest samotna. Niestety, nie udało jej
się, ponieważ koleżanki umyślnie zajęły całą szerokość
ścieżki.

Gdzie się dwoje bawi, tam trzecie przeszkadza, po-
myślała ze smutkiem. Nagle słońce błysnęło w sprzączce
jej plecaka i Listen powtórzyła w myśli: gdzie się dwoje
bawi, tam trzecie przeszkadza! Oczywiście! Dajmy na to,
że gdzieś w jej klasie jest grupka trzech przyjaciółek. Cóż,
gdzie dwoje się bawi, tam trzecie przeszkadza, potrzebują
więc czwartego. Ona będzie czwarta.

Nauczyciele próbowali prowadzić lekcje tak jak
każdego zwykłego dnia, lecz dziewczęta wygłupiały się,
jak gdyby wciąż trwały ferie. Powinny trwać ferie. Był
to pierwszy dzień po ich zakończeniu, i to w dodatku
w szkole podstawowej.

- To nie znaczy, że macie zachowywać się jak uczen-
nice podstawówki - powtarzali w kółko nauczyciele.

Kiedy rozległ się dzwonek na przerwę, miał zupeł-
nie inny dźwięk niż u nich w szkole, dziwny, brzęczący.

Na błotnistym trawniku przed tymczasowym po-
mieszczeniem klasowym Listen ukryła dłonie w rękaw-
kach pulovera i powiedziała:

- Cześć, Kelly.

Przechodząca obok niej Kelly Favoloro była wyraź-
nie zaskoczona, lecz przywitała się z nią również:

- Cześć.

- Pozwolicie, że się do was przyłączę, może tylko
na dzisiaj? - spytała Listen obojętnym tonem.

Kelly popatrzyła na swoje obie przyjaciółki, Amber
Tang i Sashę James, wszystkie trzy uniosły brwi, po czym
Kelly odrzekła:

- Jasne, tak, dobra.

Szybko i uprzejmie pozostałe dziewczynki także się zgodziły:

- Jasne, Listen, oczywiście!

- Jeśli nie macie ochoty, nie krępujcie się, tylko mi powiedzcie - poprosiła poważnym tonem Listen.

- Nie bądź głupia. - Kelly okręciła koński ogon Listen wokół dłoni. - Dlaczego miałybyśmy się nie zgodzić?

Musiała pojechać do inżyniera lotnictwa, żeby zacząć naprawiać swoje błędy. Może powinna zawołać: „Prima aprilis!” i udawać, że to wszystko było kawałem? Ale to nie był kwiecień i kiedy dotarła na miejsce, zrozumiała, że jest za późno, by cokolwiek udawać.

Jego oczy, gdy otworzył drzwi, błyszczały pożądliwie.

Toteż siedząc prosto w fotelu u niego w salonie, wyjawiała mu ponownie Rodzinny Sekret, tym razem zwięźlej, kładąc nacisk na poufność. Mówiła cicho, poważnie, by dać do zrozumienia, że szacunek będzie właściwszą reakcją od gorączkowego podniecenia. I.L. dostosował się, robiąc również poważną minę. Zakończyła stwierdzeniem, że dopuszczenie do Sekretu jest niezwykle rzadkim zaszczytem. Uśmiechnął się i zapewnił ją, że zasługuje na ten zaszczyt.

Następnie podał lasagnę i sprawy przyjęły zły obrót.

Tego samego wieczoru Listen, siedząc w przyczepie, czuła, że serce jej wali z przestrawu i ze szczęścia. Plan może się powieść. Spędziła przerwę z Kelly i po-

zostałymi dziewczynkami, a Kelly podziwiała jej włosy. Zachwycała się, że są takie miękkie i błyszczące. Potem wyraziła ochotę, by zapleść je we francuski warkocz. Amber opowiedziała długą historię o tym, jak jej ojciec stracił podczas ferii pracę, ale potem przekonał swego szefa, by zamiast go wyrzucić, dał mu awans. Sasha prawie nie mówiła, ale Listen pomyślała, że może zadać jej kilka pytań na temat baletu. Sasha kochała balet tak bardzo, że przez cały czas nosiła ze sobą baletki, niczym długą, zwisającą bransoletkę.

*

Marbie miała pełne usta lasagni, gdy zauważyła, że I.L. marszczy brwi. Wpatrywał się w swój widelec, na jego czole pojawiło się co najmniej trzynaście różnych bruzd i zmarszczek. Bruzdy i zmarszczki w takiej obfitości były absolutnie zbyteczne.

- Czyli w zasadzie szpiegujecie tę kobietę bez żadnego urzędowego upoważnienia czy zezwolenia albo, bo ja wiem, ochrony policyjnej, tak?

- Tak. Robimy to na własną rękę. Ale „szpiegowanie” to niewłaściwe...

- I w zasadzie ta kobieta jest nie tylko nauczycielką drugiej klasy, lecz również prawniczką, tak mówiłaś?

- Nie jest prawniczką. Studiuje zaocznie prawo.

Mars na jego czole przypominał stłuczone chwile temu lustro.

- Studiuje zaocznie prawo? Posłuchaj, Marbie, naprawdę igrasz z ogniem. Co będzie, jeśli się dowie? Nie myślisz chyba, że prawnik będzie oszczędzał przeciwnika, co?

- Kto mówi, że w ogóle się o tym dowie?

- Hm - mruknął I.L. z irytującym wzruszeniem ramion. Potem spytał, nabierając więcej lasagni: - Pójdiesz ze mną do łóżka?

- Nie - odparła Marbie - ale dziękuję.

Następnego dnia nowego semestru Listen była przerażona i jednocześnie czuła się bezpieczna. Na przerwie śniadaniowej siedziała na dworze, w promieniach późnozimowego słońca, rozmawiając z Kelly Favoloro, a Amber i Sasha siłowały się na rękę. Poczęstowała wszystkie trzy miodowo-musztardowymi chipsami Valerio.

Nazajutrz, gdy nauczycielka historii czytała im z podręcznika, Judith Sierra, z krótko obcięta grzywką i aparatem ortodontycznym na zębach, odwróciła się i szepnęła:

- Listen?

- Tak? - spytała również szeptem Listen.

- Z kim się trzymasz? - Judith przyglądała się jej bacznie.

- Z Kelly Favoloro, Sashą i Amber.

Judith miała wyraźnie zatroskaną minę.

- Hmm - mruknęła. - Bo właśnie rozmawiały ze mną przed lekcjami i były naprawdę zmartwione. Myślały, że chcesz się do nich przyłączyć na jeden dzień - a nie na zawsze.

- To było tylko do dzisiaj - wyjaśniła Listen. - Nie muszą się martwić, to było tylko do dzisiaj.

Na twarzy Judith odmalowała się wyraźna ulga.

- Powiem im. Były autentycznie zaniepokojone. Widzisz, Kelly cię lubi, natomiast Amber i Sasha nie są tego takie pewne, toteż Kelly miała wyrzuty sumienia, że zgodziła się na to, byś do nich dołączyła.

- Okay - powiedziała Listen. - Dzięki.

Uśmiechnęła się uspokajająco, a Judith odwzajemniła uśmiech.

*

Przez następne kilka tygodni życie Marbie toczyło się utartym torem. Wracała po pracy do domu, dzwoniła do Vernona, nagrywała się na jego automatyczną sekretarkę, po czym jechała do inżyniera lotnictwa. I.L. zadawał jej trudne pytania na temat Sekretu i próbował namówić ją, by poszła z nim do łóżka. Nazajutrz udawała się do Fancy, by znaleźć odpowiedzi na pytania I.L., po to, by z kolei nazajutrz móc znowu pojechać do niego.

Było to męczące, lecz nie potrafiła przerwać tej sztampy. I.L. znał Sekret i wzniecał małe pożary podszycia. Musiała widywać się z nim, by je gasić.

*

Gdy późnym popołudniem Listen zmywała mopem podłogę w barze Banana, w jej głowie uparcie brzęczało porzekadło: „Gdzie dwoje się bawi, tam trzecie przeszkadza! Gdzie dwoje się bawi, tam trzecie przeszkadza!” na wesołą, skoczną nutę. Trudno, pomyślała, plan się nie powiodł. Nie musisz o tym śpiewać.

Spojrzała na Vernona, który liczył pieniądze przy kasie, i znowu powtórzyła w myśli: „Gdzie dwoje się bawi, tam trzecie przeszkadza”. To dlatego Vernon i Marbie się rozstali! Ponieważ to ja byłam tą przeszkodą!

Przez kilka chwil ze łzami w oczach machała zawzięcie mopem, po czym uspokoiła się, wiedziała bowiem, jak zareagowałby Vernon, gdyby mu o tym napomknęła. Zdawała sobie sprawę, że jest głupia. Nie zamierza marnować czasu Vernona i zwracać mu tym głowy.

Ale jeszcze raz zapyta go o coś.

- Vernon - spytała, on zaś spojrzął na nią, mrużąc pod nosem: „Dwadzieścia trzy”. - Vernon, o co pokłóciliście się z Marbie?

- O absolutne głupstwo - odparł Vernon z uśmiechem i wrócił do liczenia pieniędzy.

Wykreśliła mop w wiadrze. To zbyt duży zbieg okoliczności. Zaklęcie: Jak sprawić, aby dwoje szczęśliwych ludzi OKROPNIE się pokłóciło o ABSOLUTNE GŁUPSTWO. I choć przypominała sobie, że nie istnieje taka rzecz jak czary i że, o ile jej wiadomo, pierwsze dwa zaklęcia nie zadziałały (jak sprawić, aby ktoś pojechał taksówką oraz jak sprawić, aby zepsuł się odkurzacz) - i tak zbieg okoliczności wydawał się zbyt duży.

Jedyną nadzieją była obietnica na skrzydełku książki: „Ta Księga sprawi, że będziesz fruwać, uczyni cię silną, przyniesie ci zadowolenie. Co więcej, ta Księga zagoi twoje złamane serce”. Gdy tylko wypowie ostatnie zaklęcie, Księga jakimś sposobem naprawi własny błąd.

Zastanawiała się, czy następne trzy zaklęcia odniosą skutek - z jej obliczeń wynikało, że wszystko ma się wydarzyć w tym samym czasie, za kilka tygodni. Jak sprawić, aby ktoś podarował drugiej osobie różę (może to Vernon podaruje różę Marbie?). Jak sprawić, aby ktoś znalazł w pralce coś niespodziewanego (hmm). Jak sprawić, aby ktoś zjadł kawałek czekoladowego tortu (może Marbie wpadnie na coś słodkiego do baru Banana?).

Jeśli te zaklęcia zadziałają, przynajmniej nie skrzywdzą nawet muchy.

- Igracie z ogniem - rzekł inżynier lotnictwa, chcąc znowu rozmawiać o Sekrecie. - Zwali się na was jak domek z kart.

- O czym ty właściwie mówisz? - Marbie kroїła cebulę. - Domek z kart się spali? Czy też domek z kart zwa-li się na nasze głowy? Ponieważ nie uwierzysz! - domek z kart nie skrzywdzi nawet muchy.

I.L. siedział na kuchennej ławie, bębniąc piętami w szafki i przyglądając się, jak Marbie kroї cebulę. Brwi miał znowu ponuro ściągnięte.

- No to tona cegieł - poprawił się. - Zwali się na was jak tona cegieł. Nie sądzicie chyba, że prawnik będzie oszczędzał przeciwnika, co?

-A jaki jest zarzut? - Ton Marbie był wyraźnie agresywny. - Jaki zarzut? - Zepsuła efekt, kichając siedem razy.

- Katar sienny? - spytał inżynier lotnictwa.

- No więc? - naciskała zjadliwie Marbie.

- Pewnie wcale nie masz kataru siennego, tylko się przeziębiłaś. A co do zarzutów - mówił dalej - to czy sły-szałaś o konwencji dającej każdemu człowiekowi prawo do ochrony przed automatycznym przetwarzaniem da-nych osobowych? He?

- Skąd, u licha, przyszło ci do głowy, że kiedykol-wiek słyszałam o czymś takim! - wykrzyknęła Marbie, wznosząc tuman cebulowych łusek.

Inżynier lotnictwa tylko westchnął.

- Wymyśliłaś to sobie - powiedziała Marbie.

I.L. rozłożył ręce.

- Czyżby?

Pobyt w szkole podstawowej Redwood wiązał się z pewnymi niedogodnościami. Na przykład nie było tam pracowni ani urządzeń kuchennych, co oznaczało, że na zajęciach z technologii żywienia uczyły się wyłącznie teorii. Wiele dziewcząt skarżyło się na to i na skut-

ki, jakie to może mieć w przyszłości. Poza tym, chociaż z St Carmel do Redwood było zaledwie pięć minut jazdy samochodem, niektórzy nauczyciele nie mogli zdążyć na czas, toteż często zdarzały się zastępstwa. Kiedyś nawet w ostatniej chwili zjawił się nauczyciel z Redwood, bo poprowadzić zajęcia z handlu. Nazywał się Bel Castro. Jego klasa, poinformował je, ma teraz gimnastykę.

- Przepraszam pana - rzekła Donna Turnbull, udając uprzejmość. - Czy mogłabym o coś spytać?

- Oczywiście - odparł również uprzejmie pan Bel Castro.

- W której klasie zwykle pan uczy?

- W piątej.

- A więc - wycedziła Donna - proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chciałabym po prostu wiedzieć, czy ma pan jakiegokolwiek doświadczenie w nauczaniu licealistów - to znaczy takich jak my.

Rozejrzała się niespokojnie po klasie, jak gdyby martwiła się losem klasy. Siedząca za nią Caro zachichotała.

- W nauczaniu licealistów takich jak wy? - powtórzył pan Bel Castro, milknąc na chwilę, gdy sięgał po flaster. - Cóż, o takich wiem niewiele. Zanim zacząłem uczyć w Redwood, wykładałem ekonomię w Riverview w jedenastej i dwunastej klasie. Tak więc nie mam pojęcia, kto według ciebie jest bardziej do was zbliżony - uczniowie ostatnich klas z Riverview czy moi tutejsi piątoklasiści?

Wszystkie dziewczynki wybuchnęły śmiechem, a któraś powiedziała:

- Ha, Donna, dostałaś nauczkę.

Następnie pan Bel Castro napisał swoje nazwisko na białej tablicy i przeszedł od razu do lekcji. Potem wszystkie stwierdziły zgodnie, że jest lepszy od ich stałego nauczyciela w St Carmel. Prawdę mówiąc, miał chy-

ba cały temat zmagazynowany w głowie, a przekazywał wiedzę drogą zadawania pytań.

-Przerabialiście problemy reklamy? - zaczął.
- Świadomość konsumenta i tak dalej? A kto uważa, że imperium Valerio miesza nam w głowach?

Uśmiechnął się, gdy rozległo się ogólne: „Cooo?”, a po chwili dziewczęta przekrzykiwały się, wymieniając produkty Valerio w ich domach, wliczając w to zabawki, ciasta, samochody, komputery, programy telewizyjne i środki czyszczące. Czekał, one zaś recytowały slogany reklamowe Valerio oraz fragmenty najnowszej biografii Nikolaia Valerio, która w ciągu pierwszych dwóch tygodni od wypuszczenia na rynek sprzedawała się lepiej od serii o Harrym Potterze.

- Dobrze, a więc w waszych głowach brzęczą dzingle reklamowe Valerio, na waszych półkach stoją książki Valerio. Oglądacie na ekranach waszych telewizorów filmy Valerio, w skrzynkach ha listy znajdujecie niezamówione przesyłki reklamowe. Kto uważa, że imperium Valerio zakłóca nawet nasze życie prywatne?

To doprowadziło do dyskusji, czy wolno zakłócać czyjeś życie prywatne, wbijając mu do głowy słowa i produkty. Albo czy to cokolwiek zmienia, jeśli ludzie postanawiają kupić te produkty i oglądać filmy. Kelly Favoloro zauważyła, że czasami nie ma wyboru, ponieważ programy Valerio są jedyną rzeczą wartą oglądania w telewizji.

- Słuszna uwaga - rzekł pan Bel Castro.

- Ale czy tak naprawdę nie jest odwrotnie? - spytała Angela Saville. - Może to my zakłócamy życie prywatne rodziny Yalerio?

- Aha! - powiedział pan Castro. - Interesujące! Cóż, zobaczymy, jak wiele wiemy o rodzinie Valerio. Zacznijmy od tego, kto należy do rodziny.

Oczywiście, wszystkie znały rodzinę Yalerio: Nikolai, jego żona Rebekka oraz trzej przystojni, dorośli synowie. Nikolai i Rebekka zakończyli już karierę, lubią teraz grać w tenisa i remika w swojej rezydencji w Dakocie Południowej. Mają własną kręgielnię! Nikolai był pięknym młodym mechanikiem samochodowym ze smugami smaru na nosie, pracującym w Nowym Jorku, kiedy odkrył go producent filmowy. Jego siedem filmów wszyscy uważali za najlepsze, jakie kiedykolwiek nakręcono. Stał się symbolem seksu oraz idolem natychmiast po swoim pierwszym filmie. Zaprojektował serię bielizny Valerio, która błyskawicznie podbiła rynek. Kiedy poślubił Rebekkę, rumuńską modelkę, wkrótce po swoim pierwszym filmie, kobiety na całym świecie rzucały się z dachów budynków. Była słynna ślubna fotografia Nikolaia i Rebekki, tańczących boso weselnego walca na łące pełnej jaskrów. Pszczoły brzęczały obok ich bosych stóp, ale żadna z nich nie użądliła szczęśliwej pary.

Synowie Nikolaia i Rebekki, choć nadal jeszcze bardzo młodzi, zarządzali teraz rodzinnym imperium. Wszyscy trzej mieli w przeszłości kłopoty z narkotykami i kradzieże sklepowe na koncie, przeszli jednak terapię w szwajcarskim uzdrowisku i zostali wyleczeni. Najstarszy syn miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale wciąż zostawał Kawalerem Roku.

- A więc - mówił dalej pan Bel Castro - jak sądzicie, czy Rebekka może pomalować paznokcie u nóg tak, by nikt tego nie zauważył? Czy Nikolai może kupić sobie hamburgera? Czy któryś z synów może zainteresować się grą na gitarze tak, byście się o tym nie dowiedziały?

- Tak, owszem - przyznała Donna. - Ale zgodziłabym się być pod ciągłym obstrzałem, mając zaledwie cząstkę ich kasy.

- Dzieje się tak, bo oni są dla świata jak rodzina królewska - stwierdziła Angela - ponieważ Nikolai nakręcił siedem filmów w siedmiu różnych krajach, tym samym niejako „rozsmarował się” na całym świecie niczym masło orzechowe i teraz wszyscy go kochają.

- Ale nie każdy lubi masło orzechowe - słusznie zauważyła któraś.

Listen dotąd milczała, myśląc, jak wiele wysiłku wymaga ukrywanie się przed oczami dziewcząt z jej klasy oraz nauczycieli. Musiała się ukrywać, ponieważ ilekroć na nią patrzyli, widzieli jedno: dziewczynkę, która nie ma przyjaciół. A skoro już raz wywarła takie wrażenie, nigdy już nie będą postrzegać jej inaczej. Nie mogła tego zmienić. Nie mogła tego powstrzymać.

- A ja uważam, że nie warto tak żyć - oświadczyła, nie podnosząc nawet ręki. - Zapomina się, jak być sobą.

- Tak - zgodziła się Angela. - Ale Nikolai zdecydował, że zostanie gwiazdorem filmowym.

- To był tylko jeden wybór - powiedziała Listen. - Potem świat uznał Rebekkę i Nikolaia za doskonałych ludzi, których nie może nawet uządlić pszczoła, i to świat nie pozwolił im się zmienić. Byli jak król i królowa, ponieważ wszyscy tego chcieli. Następnie mieli trzech synów, tak jak w bajce. A teraz są rodziną z bajki i nie zdołają zrobić niczego, by położyć temu kres.

Dziewczęta milczały zaskoczone. Listen Taylor rzadko odzywała się na forum klasy.

- Ty jesteś... - rzekł pan Bel Castro - ...przepraszam, ale nie znam waszych nazwisk...

- Listen Taylor - zawołała szybko Angela.

- Naprawdę wcale nie ma na imię Listen - sprostowała Donna.

- Tylko Alissa - dodała Caro. - Po prostu sama nazywała siebie Listen.

Pan Bel Castro popatrzył na Angelę, potem na Donnę i Caro, i z powrotem na Listen.

- Po prostu sama nazwała siebie Listen? Podoba mi się to. - Uśmiechnął się do niej i skinął głową, jak gdyby jej gratulował.

*

Pewnego wieczoru inżynier lotnictwa, oglądając *Prawo i porządek. Zbrodniczy zamiar*, zaśmiał się z czegoś, co powiedziała właśnie Marbie, i powiedział cicho:

- Maribelle, jesteś przezabawna!

- Kto to jest Maribelle? - spytała Marbie z podłogi, skąd lubiła oglądać telewizję.

I.L. gapił się dalej w ekran telewizora, rozparty na kanapie.

- Nie masz na imię Maribelle? - odezwał się po chwili.

- Nie, nie mam na imię Maribelle.

- No to od czego może być zdrobnieniem Marbie?

- Od czego? I ty nazywasz siebie wizjonerem? To zdrobnienie od Marbleweed.

- Marbleweed! - Śmiał się tak głośno, że zagłuszył telewizor. - Dlaczego masz na imię Marbleweed?

Marbie wyjaśniła, że ich matka pragnęła ofiarować im z imionami jakiś dar. Fancy - dar wyobraźni*, a Marbie - szczęście.

- Szczęście! - wykrzyknął inżynier lotnictwa. - Jak się ma imię Marbleweed?

Marbie wyjaśniła, że zgodnie z czarodziejską księgą, która należała kiedyś do jej matki, „marbie”** jest symbolem fantastycznego szczęścia. Gdyby pieniło się jak

* *Fancy* - (ang.) - wyobraźnia, fantazja.

** *Marbie* - (ang.) - marmur, także roślina, żabienica marmurkowa.

chwasty , tak przynajmniej uważała jej matka, człowiecuj, w końcu miałyby nadmiar szczęścia. f |

-I - dodała Marbie - to się sprawdziło. Miałyby przez całe życie fantastyczne szczęście. >>

Zmarszczyła na moment brwi, zastanawiając się nad tym, po czym odchrząknęła.

- Marbleweed - wyszeptał I.L., kręcąc głową, potem zachichotał i zaczął podśpiewywać jej imię, w kółko, żartobliwie.

Kilka dni później inżynier lotnictwa zasnął, leżąc na wznak na kanapie, tymczasem Marbie oglądała z podłogi powtórkę *Survivor All-Stars*. Kiedy się skończyło, spróbowała go obudzić, by mu powiedzieć, że konwencja dająca każdemu człowiekowi prawo do ochrony przed automatycznym przetwarzaniem danych osobowych nie odnosi się do rodziny Zingów. Jest bez związku.

A gdyby nawet z formalnego punktu widzenia odnosiła się, pomyślała z irytacją Marbie, próbując sformułować tę myśl, to co wspólnego ma prawo czy dokumenty prawne z jej rodziną i spotkaniami w szopie? Rodzinny Sekret Zingów dotyczył wyłącznie ich rodziny, był problemem zbyt złożonym, emocjonalnym, prywatnym i delikatnym, by stosować wobec niego jakieś reguły.

- Hej - zawołała. - Hej, obudź się.

- Co? Co? - wymamrotał przez sen i przekręcił się na bok. Poduszka spadła z kanapy.

- Obudź się.

Uczynił gigantyczny wysiłek, by odwrócić się do niej tyłem. Cała ta demonstracja wydała się jej afektowana.

- Och, zresztą nieważne - mruknęła Marbie i poszła do domu.

Weed - (ang.) - chwast.

Pewnego wieczoru, po kolacji u Fancy, Marbie wierciła siostrze dziurę w brzuchu, kiedy wróci Vernon.

- Twierdziłaś, że wróci - rzekła oskarżycielskim tonem.

- Cóż - spytała pogodnie Fancy - czy Vernon miał kiedyś romans?

Marbie gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Ponieważ - wyjaśniła Fancy - teraz ma do tego prawo. I nie sądzę, by wrócił, dopóki sam nie przeżyje przygody.

- Ale przespałam się z I.L. tylko jeden raz! - wykrzyknęła Marbie.

- I już się z nim nie widzisz, prawda?

- Nie - skłamała Marbie.

- Mimo wszystko, to jedynie szczegół formalny. Gdy przespałaś się z tym twoim inżynierem lotnictwa, dałaś Vernonowi prawo do tego, by też się z kimś przespał. Takie są zasady.

Chociaż Marbie błagała Fancy, by zmieniła zdanie, siostra uparcie przy nim trwała.

- On musi to zrobić - oznajmiła łagodnie - w przeciwnym razie nie będzie równowagi. Nie zdajesz sobie z tego sprawy?

- Umarłabym, gdyby Vernon w ogóle dotknął innej kobiety.

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

- Przestań, Fancy, to nie jest zabawne. Nie chcę, żeby Vernon miał romans. Daj spokój, proszę.

- To nie zależy ode mnie. Ma prawo do rewanzu.

O Boże! - pomyślała Marbie, z przerażenia tracąc oddech. Dłonie Vernona na dłoniach innej kobiety, uda Vernona na udach innej kobiety! Vernon udający astronautę spacerującego po Księżycu na łożku innej kobiety! Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Skoro musiał wziąć na niej rewanż - a Marbie przypuszczała, że musiał, ponieważ Fancy na ogół miała słuszność - to czy nie mógłby wymyślić innego sposobu?

Nazajutrz Marbie po raz drugi przespała się z inżynierem lotnictwa. Przez wiele tygodni w zupełności wystarczało mu, że pytał od czasu do czasu, czy zechciałaby „jeszcze raz spróbować”. Za każdym razem Marbie uprzejmie udawała, że rozważa tę możliwość, po czym odpowiadała: „Nie. Ale dziękuję”. Jednakże tego dnia, gdy przyjechała do niego, miał na sobie tylko bokserki i muszkę: W rękę trzymał butelkę szampana.

- Marbie - powiedział, gdy weszła do mieszkania i uniosła ze zdziwieniem brwi, patrząc na niego. - Marbie, tak dalej być nie może.

- Nie może? - powtórzyła.

- Nie, moja śliczna. Nie możesz przespać się ze mną jeden raz, a potem wcale. Nie możesz opowiadać mi, wydymając swoje urocze usteczka, o waszym smakowitym rodzinnym skandalu, a potem nie dawać mi ich dotknąć. Nie możesz przychodzić co wieczór, z tymi seksownymi nogami i ochrypłym głosem, i nie kochać się ze mną znowu.

Marbie wpatrywała się w niego przez kilka chwil.

- Dobrze - odezwała się w końcu. - Ale nie na podłodze w salonie.

Tak więc „spróbowali” w sypialni.

Przy tej okazji Marbie odniosła wrażenie, że I.L. był zdecydowany zademonstrować swoją sprawność seksualną. Owa sprawność polegała na mistrzowskiej choreografii - elegancki, tradycyjny rytm przeplatały zaskakujące wybuchy aktywności. Na przykład obrócił ją, zeskoczył na podłogę i przywołał ją skinieniem do szafy ściennej. Och, pomyślała, było mi wygodnie tam gdzie przedtem.

Ale przystała na to. Robił to prawie przez dwie godziny, często przygważdżając jej dłonie w nadgarstkach lub patrząc jej dziko w oczy.

Rozumiała, że I.L. odczuwa potrzebę popisania się. Tamtego dnia, za pierwszym razem na dywanie w salonie, kiedy na zewnątrz zaczynała szaleć burza lodowa, nie był szczególnie skoordynowany. Szczerze mówiąc, jej również zabrakło wtedy zwykłego wigoru, ponieważ dywan wywoływał u niej kichanie.

A więc, usprawiedliwiała się bez przekonania, gdy I.L. tańczył wokół niej, zgodziłam się to zrobić, żeby dać nam drugą szansę.

Zresztą, z rozdrażnieniem dodała w myśli, jaki sens miałyby przychodzenie co drugi dzień do I.L. i wysłuchiwanie krytycznych uwag na temat jej imienia, jej rodziny oraz Sekretu, gdyby przynajmniej nie uprawiała z nim seksu? Zwłaszcza teraz, gdy wiedziała, że Vernon musi mieć romans.

Przez następne kilka dni Marbie nie ruszała się z domu. Wyjaśniła inżynierowi lotnictwa, że musi przygotować sto czterdzieści siedem sprawozdań z działalności biznesowej rozmaitych korporacji związanych z Rodzinnym Sekretem Zingów. (To akurat była prawda - świetnie orientowała się w sprawach organizacyjnych firm i wszelkich formalnościach). Zatelefonowała do Vernona z propozycją, że jak zwykle przygotowuje sprawozdanie finansowe dla baru Banana, ale on odparł, że znalazł już księgową.

Następny raz zobaczyła inżyniera lotnictwa w pubie Night Owi, kiedy jej przyjaciółki już sobie poszły. Nawet nie usiadł. Szepnął jej do ucha: „Wypij drinka za nasz drugi raz” i postawił przed nią kufel piwa. Potem wyjął zwitek papieru przewiązany różową wstążeczką i dodał: „Jedna z moich nowych wizji”, po czym odszedł. Marbie

rozwinęła kartkę i przeczytała wizję. Przejęła ją lekkim chłodem.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 1562

Uwięziony w pajęczynie mojej sprzecznej z intuicją brody,

widzę to, widzę to, widzę to.

Widzę z przerażającą jasnością, przez jedno mgnienie oka:

Dwukierunkową Ewolucyjną Optymalizację Strukturalną.

Kolejny czwartek był dla Marbie trudnym dniem. Bez przerwy zdarzały się następujące rzeczy: zadzwoniła, by zdobyć czyjś numer, zanotowała go na samoprzylepnym karteluszk, po czym zgubiła razem z całym bloczkiem tych kartek. Zamówiła na lunch kanapkę z sałatką, a kiedy dziewczyna za ladą spytała: „Sól i pieprz?“, odparła: „Poproszę tylko pieprz“. Dziewczyna rzuciła jej zrezygnowane szklane spojrzenie, które znaczyło: „Tak mówią wszyscy“. Przy pierwszym kęsie kanapki Marbie niechętnie przygryzła sobie od wewnątrz policzek, a potem ciągle urażała się w to samo miejsce. Poza tym swędziały ją oczy i nos, ciągle zbierało jej się na kichanie.

Poczuła niemal ulgę, kiedy po południu zadzwonił inżynier lotnictwa i poprosił, by wymknęła się z pracy i spotkała się z nim w pobliskiej kawiarni.

Aby zmienić charakter dnia, Marbie zamówiła kawałek tortu czekoladowego.

- Phi, phi - zagwizdał I.L., kiedy podano tort. Kelnierka uśmiechnęła się, jak gdyby powiedział jej komplement. - Zjesz to wszystko? - Sam poprosił tylko o kawę z ekspresu.

- Mogę się z tobą podzielić, jeśli masz ochotę - zaproponowała uprzejmie Marbie.

- Kolosssalny - wycodził przez zęby inżynier lotnictwa, po czym pokręcił przecząco głową. - Nie, dziękuję.

Marbie poprawiła się na krześle i wzięła łyżeczkę.

- Nie jest wcale taki duży - rzekła po chwili, na co on roześmiał się cicho.

- Lepiej bierz się do tego tortu. Nie mamy przed sobą całego dnia. Oczywiście, gdybyś chciała podzielić się nim z głodującym narodem, możesz po prostu...

Dotknęła lekko jego uda, żeby go powstrzymać.

- Ho, ho! - powiedział, patrząc z szerokim uśmiechem na jej rękę na swoim udzie. - Ho, ho!

Kiedy Marbie wróciła do pracy, dzień toczył się tak samo fatalnie jak poprzednio, a nawet gorzej. Jeden z panokci u nogi zadarł jej się i wbijał się ostrym brzegiem w sąsiedni palec, ilekroć szła do kserokopiarki.

Później, wieczorem, pojechała do I.L. oglądać telewizję.

- Jestem głodna - oświadczyła w czasie przerwy na reklamy.

- Po takim wielkim kawałku tortu czekoladowego?!

- Jadłam go wiele godzin temu - zauważyła Marbie.

- Ja nie jestem głodny - rzekł, unosząc brwi.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - syknęła zjadliwie Marbie - że fakt, iż ty nie jesteś głodny, nie czyni cię lepszym człowiekiem ode mnie?

**Roześmiał się i odchylił na oparcie kanapy, wy-
ciągając rękę, jak przy parkowaniu tyłem. Marbie wstała
i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.**

**- Co jest? - spytał, krzywiąc się lekko. - Marnie się
dziś czujemy?**

- Odchodzę - oznajmiła oficjalnym tonem Marbie.

- Przykro mi, ale musimy natychmiast to zakończyć.

**- Daj spokój - uśmiechnął się cierpko I.L. - Zry-
wasz ze mną z powodu kawałka tortu czekoladowego?**

**- Z powodu kawałka tortu czekoladowego - zgo-
dziła się, chwytając buty i torebkę.**

Fancy Zing

Kiedy Fancy Zing miała jedenaście lat, jej ojciec wyjechał na rok do Irlandii. W dniu, kiedy miał wrócić, usiadła przy kuchennym stole, by napisać dla niego wiersz:

„Dzisiaj! Dzisiaj! Mój tatuś wraca do domu!
Nareszcie! Nareszcie! Przywiezie ser i plastry miodu!”

Stół zachwiał się i gruby czarny grafit ołówek HB ześlizgnął się i „s” z „sera” wjechało na „wraca” .

Fancy przyjrzała się badawczo stołowi. Był popękany i zabazgrany słowami w rodzaju: „MARBIE ZING” i „KROWA!”. Położyła dłonie płasko na blacie i rozkołysała stół, by określić miejsce kiwania, oderwała kawałek kartki, na której pisała wiersz, i przykucnęła obok stołowej nogi. Kucając, okręciła się, tak że spódnica opadła na podłogę jak spadochron. Była to nowiuteńka spódnica kupiona na powitanie tatusia.

- Nowe dzinsy? - spytała mama.
- Chyba wolałabym spódnicę - odparła Fancy.
- Spódnicę! - wykrzyknęła mama. - Czyżbyśmy dorastały?

Następnie wzięła większą część pieniędzy ze stojącego na lodówce pudełka z wizerunkiem świętego Wincentego a Paulo, wzięła za rękę Fancy oraz jej młodszą

siostrę Marbie, po czym wszystkie trzy pojechały autobusem do Castle Hill.

Matka Fancy kupiła sobie jasnozielony szal, który trzepotał w powietrzu, gdy go podrzucała. Nie mogła się zdecydować, czy go wziąć, czy nie (nachyliła się do ucha Fancy, mówiąc: „Jasnozielony szal i szminka różowa, a dla każdego mężczyzny będziesz niczym królowa!” „Doprawdy?” - Fancy nie bardzo jej dowierzała). Kupiły wiśniowy T-shirt dla Marbie, a dla Fancy spódnicę, tęczo-
wą jak piórka papużki loriki.

Teraz Fancy wstała z podłogi, wdzięcznie jak flaming, czując, jak spódniczka owija jej się wokół nóg.

Kiedy z powrotem usiadła i wzięła do ręki ołówki, stół się już nie kiwał. Miała jednak problem. Nie może skończyć wiersza zbyt szybko, ponieważ musi być tutaj i pisać go, kiedy przyjedzie jej ojciec. Musi siedzieć przy kuchennym stole, wyczarowując ołówkiem poezję, marszcząc brwi podczas pracy nad kilkoma ostatnimi słowami.

Tatuś wejdzie przez drzwi i zawoła:

- Fancy! Witaj! Odrabiasz lekcje?

Ona zaś odpowie:

- Piszę wiersz na twoje powitanie.

Wstanie, jej papuzia spódniczka zawiruje tęczą kolorów, a tata się zdumieje:

- Jesteś już całkiem dorosła!

- Witaj w domu, tatusiu. - Ukłoni się z wdziękiem i wręczy mu wiersz.

Siedziała więc przy stole i rysowała małe kwiatki między linijkami wiersza. Potem wykaligrafowała nagłówek: „WITAJ, TATUSIU” wielkimi literami, cieniuając je w taki sposób, że powstał efekt trójwymiarowości.

Zadzwoił telefon i mamusia krzyknęła z pralni: „Odbierz, Fancy, dobrze?”, ale przez tylne drzwi wpadła Marbie i wyrwała jej słuchawkę z ręki.

- Halo? - odezwała się.

- Dzień dobry. Marbie Zing przy telefonie - poprawiała ją surowym szeptem Fancy.

Marbie wykrzywiła brudną buzię i odwróciła się do ściany.

- Tak - powiedziała do słuchawki. A zaraz potem:

- Ta-a-a-a-k! Oczywiście. -1 następnie: - Aha, aha. Dobrze. Pa.

- Jesteś cała ubłocona, Marbie - zbeształa ją Fancy.

- Kto to był?

- Nikt - odparła Marbie, przemykając obok niej i biegnąc korytarzem.

- To nie mógł być nikt - mruknęła do siebie Fancy.

Podążyła za młodszą siostrą stateczniejszym krokiem.

- Kto to był? - spytała mama.

- Zgadnij.

Mama wstała powoli z kosza na brudną bieliznę, trzymając w ręku szorty Marbie. Włożyła dłonie do obu kieszeni naraz i wyjęła z nich pomięte i brudne chusteczki, zarówno papierowe, jak i płócienne.

- Spójrz na siebie, Marbie - powiedziała, kręcąc głową. - Spójrz na swój śliczny nowy T-shirt.

Marbie popatrzyła w dół i jęknęła: „Ojej!” na widok wiśniowego T-shirtu zachlapanego błotem.

- Właśnie, ojej, młoda damo. - Mama wyjęła z kieszeni szortów Marbie ogryzek jabłka.

- Kto to był? - domagała się odpowiedzi Fancy.

- Kto dzwonił?

Marbie popluła na palce i usilnie próbowała zdrapać plamki błota z bluzki.

- Przestań - skarciła ją mama. - Tylko pogarszasz sprawę. Zdejmij to natychmiast, upiorę razem z innymi rzeczami. Marbie, kochanie, kto dzwonił?

Marbie ściągnęła T-shirt przez głowę, jej głos tłumiła wiśniowa szmatka.

- Tatuś.

- Tatuś? - wykrzyknęła Fancy.

- Chwileczkę - powiedziała mama. Dostrzegła coś na dnie pralki. Schyliła się i sięgnęła do środka. Marbie i Fancy czekały. - No proszę. - Wyjęła z niej skarpetkę, wrzuciła do kosza i odwróciła się, by wziąć T-shirt od Marbie.

-Tak - potwierdziła Marbie. - Tatuś. Mówi, że wciąż jeszcze jest na lotnisku, bo spóźnił się samolot, i że niedługo przyjedzie do domu.

- Dobrze. - Mama pochyliła się znowu nad koszem.

- Możemy usiąść do obiadu. Nie ma sensu, żebyśmy głodowały, prawda?

-Ja wstawię obiad, mamusiu - zaproponowała Fancy.

Kurczak i frytki leżały na ławie w dużym białym zawiniątku. Fancy wzięła srebrną blachę do pieczenia ze śladami po przypalonych ciasteczkach, wyłożyła na nią frytki i kurczaka, po czym wstawiła ją do piekarnika.

Uroczyście podeszła do stołu, podniosła swój ołówek HB i zmarszczyła czoło, wymyślając wiersz dla taty.

Marbie Zing

Kiedy Marbie Zing miała pięć lat, jej ojciec wyjechał na rok do Irlandii. Każdej nocy, kiedy go nie było, Marbie zakradała się na sąsiadujący z ich posesją teren szkoły i kapała się o północy w basenie. Podczas nieobecności taty polewała wodą z węża batut, żeby móc skakać, rozbryzgując wodę.

W dniu, kiedy jej ojciec wrócił do domu, Fancy napisała wiersz, mamusia uprała zasłony, a Marbie zaczęła podlewać wężem warzywnik.

To Marbie odebrała telefon, kiedy zadzwonił z lotniska.

- Marbie, prawda?

-Tak.

- Pamiętasz jeszcze swojego staruszka?

- Ta-a-a-a-k! Oczywiście!

Zjadły na obiad kurczaka z frytkami, po czym mama powiedziała:

-Doprowadźmy dom do porządku na przyjazd waszego taty!

Fancy wyrzuciła do śmieci kości z kurczaka, a Marbie przez przypadek wyrzuciła wiersz Fancy.

Mama zawiesiła świeżo wyprane zasłony w oknach kuchni i cofnęła się, pytając:

- Dziewczynki, co tym myślicie?

- Pięęęęęęękne - odparła Fancy.

Zdaniem Marbie zasłony były pogniecione.

- Czy ktoś czytał mój wiersz? - spytała Fancy, przeglądając czasopisma.

Mamusia cofnęła się jeszcze o krok i wpadła na Fancy.

- Może masz rację. Powinam je wyprasować.

- Wyglądają ślicznie, mamusiu - zapewniła ją Fancy. - Zostaw je. Ale nie mogę znaleźć mojego wiersza. Czy ktoś widział mój wiersz?

- Tylko nie wiem, czy jest na to czas. - Mama spojrzała na kuchenny zegar, na zasłony i na zamknięte drzwi wejściowe. - O Boże.

- Może powinnaś po prostu wyrzucić te zasłony - podsunęła jej Marbie.

- To nie jest wyjście, skarbie - odparła mama, po czym zawołała: - Fancy! Co ty robisz?

Fancy wyróciła do góry dnem kubełek ze śmieciami. Siedziała pośród kości z kurczaka, blaszanych puszek, papierowych ręczników, resztek tuńczyka, obierek marchwi i ogryzionych kolb kukurydzy.

- Mój wiersz! - krzyczała Fancy. - Nie mogę znaleźć mojego wiersza!

- Podłoga! - krzyczała mamusia.

Na podjeździe rozległ się warkot silnika samochodu i snop światła reflektorów przedarł się przez zasłony.

- Przyjechał! - pisnęła Fancy, a mamusia i Marbie aż podskoczyły. - A ja jestem załamana i nie mogę znaleźć mojego wiersza, i... - W tym momencie znalazła wiersz. - Mój wiersz! - Teraz już płakała na cały głos. - Jest zniszczony, cały wyszmelcowany tłuszczem z kurczaka, i SPÓJRZCIE NA MOJĄ SPÓDNICZKĘ.

Właśnie dlatego pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę tatuś po powrocie z Irlandii, była nowa spódniczka Fancy.

- Masz na spódnicy chyba tuńczyka czy coś w tym rodzaju, tak, Fancy?

Takie były jego pierwsze słowa. Trzymał w ręku dużą brązową walizę, a jego twarz, pomyślała Marbie, przypominała pękaty różowy balon. Fancy podniosła się z góry śmieci i ze szlochaniem wybiegła z kuchni.

- Mam nadzieję, że nie jesteś głodny - odezwała się. - Zjadłyśmy całego kurczaka i frytki.

- Masz dla nas prezenty? - spytała Marbie.

- Jasne, że mam - odrzekł tatuś. - Zniosę walizkę i pójdziemy wszyscy usiąść do salonu.

- Chodź tu, Marbie. - Mama zaczęła zbierać odpadki z powrotem do kubła. - Pomóż mi.

W salonie tatuś dał im prezenty: pudełka czekoladowych drażetek Smarties i paczuszki chipsów. Czekwały z nadzieją, ale nic więcej nie było, toteżabrały się do jedzenia Smarties. Tatuś rozglądał się po pokoju, podnosił rozmaite przedmioty i odkładał je z powrotem.

- Tego nie ruszaj - powiedziała niespodziewanie mama, lecz tatuś zdążył już odstawić fotografię w ramce i wziął do ręki jakieś czasopismo. Przy tym jego ruchu spadł na podłogę suszony kwiatek.

- Och, przepraszam - rzekł zakłopotany, próbując zebrać resztki kwiatka.

- Daj spokój, zostaw to - powstrzymała go mama.

Tymczasem Fancy siedziała na dywanie w ubrudzonej spódnicy, pociągając nosem.

- Napisałam dla ciebie wiersz - odezwała się w końcu - lecz ktoś go wyrzucił i teraz jest zniszczony.

- Chodź do mnie na kolana - zaproponował tatuś. - Możesz napisać dla mnie jeszcze jeden wiersz, jeśli masz ochotę!

- Nie mogę, bo... - reszta jej słów rozplynęła się w łzach i nikt nie zrozumiał, co mówi.

- Nie słyszymy cię - poinformowała ją Marbie. -
Musisz przestać płakać.

Ale Fancy płakała w dalszym ciągu i mamusia pochylała się, by pogłaskać ją po głowie.

- No już, cicho, cicho - rzekła uspokajająco.

- Nie mogę ci usiąść na kolanach, tatusiu. - Tym razem wszyscy usłyszeli Fancy wyraźnie. - Mam okropnie brudną spódniczkę.

- Głupstwo! - wykrzyknął tatuś.

-Wcale nie - wtrąciła swoje trzy grosze Marbie.

- Cała jest w tłuszczu.

-No, chodź tutaj. - Tatuś poklepał swoje nogi.

- Myślę, że w takim szczególnym dniu możesz mi usiąść na kolanach, co?

Fancy posłuchała go.

-Gdzie byłeś przez cały rok, tatusiu? - spytała, ocierając łzy.

-Pojechałem na archipelag wysp u zachodniego wybrzeża Irlandii.

- A ile jest tych wysp, tatusiu?

-Trzy.

- Jak się nazywają?

- Inishmore, Inishmaan i Inisheer.

- Jakie one są? Ładne?

-Ziemia jest niemal wybrukowana kamieniami.

- Tatuś odchrząknął i mówił dalej: - W niektórych miejscach nie widać nic, tylko duże głazy, a między nimi szczeliny, gdzie było łamie sobie nogi. Przeważają skały wapienne i marmur na nagrobki. Pośród tych gładów są bardzo dobre pastwiska, toteż wołowina, cielęcina i baranina są tu lepsze niż gdziekolwiek.

- Interesujące - zauważyła mamusia.

- Owszem - zgodził się tata.

- Co robiłeś na tych wyspach, tatusiu?

- Pisałem moją powieść, Fancy.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Nie. Kiedy już ją skończyłem, brałem kolejno kartki, robiłem z każdej papierową łódkę i puszczałem na morze. Ponieważ moja powieść, Fancy, rozłączyła mnie z rodziną. Rzuciłem więc wszystkie kartki na wodę, by je porwała.

- Tatusiu - wyszeptała Fancy. - Witaj w domu. - Rozpłakała się znowu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Malutka Fancy - wymówił również szeptem tatuś. - Malutka Fancy.

Marbie siedziała na dywanie, jedząc Smarties, i mrugała powiekami, by zmusić się do płaczu.

- O co chodzi, Marbie? - zirytowała się mama. - Tylko mi nie mów, że dostałaś alergii na ten dywan.

czwartkowy wieczór

Późnym wieczorem w czwartek Cath zamknęła drzwi za Warrenem i usiadła na kanapie, by wszystko przemyśleć.

Tego dnia wróciła z zebrania grona pedagogicznego prosto do domu, nie dotykając róży w przegródce na korespondencję, i czekała bez tchu na przyjazd Warrena. Kiedy się zjawił, otworzyła szeroko drzwi i spytała:

- Co się dzieje?

Potem rozeźmiała się z własnego melodramatycznego zachowania - z pewnością Warren ma na to wszystko wytłumaczenie.

Okazało się, że nie miał. Prawda była wypisana na jego poważnej twarzy - Breanna od poniedziałku zaczęła pracę w szkole podstawowej Redwood. Jeśli idzie o ścisłość, nie mógł nawet zostać dziś na noc - musiał jechać do domu i posprzątać. Meble przyjadą jutro. Romans został oficjalnie zakończony.

- Dlaczego nie uprzedziłeś mnie wcześniej? - spytała Cath.

- Nie wiedziałem do dzisiaj, że sprawa jest ostatecznie załatwiona.

- Ale dlaczego musiałam usłyszeć o tym od Billsona?

- Próbowałem cię ostrzec. Zostawiłem ci różę.

- Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

-Przepraszam - rzekł Warren. - Masz absolutną rację. Ale do dzisiejszego ranka wszystko stało pod znakiem zapytania, a ja nie chciałem, żeby do tego doszło. Naprawdę. Zostawiłem ci różę.

-Ale w naszej szkole! Dlaczego temu nie zapobiegłeś?

- Nie mogłem temu zapobiec - jak to by wyglądało? Kiedy ta sprawa wynikła parę tygodni temu, nie myślałem, że to na poważnie. Uwierz mi, nie przypuszczałem, że coś z tego wyjdzie.

Spędzili wieczór, siedząc na kanapie, a Cath próbowała się rozpłakać, lecz jej się nie udało. Nie ma powodu do płaczu. Warren siedzi obok niej. Pomysł, że go tu nie będzie, jest absurdalny.

- Po prostu myślę, że cię kocham - wymamrotała w końcu, wtulając twarz w jego ramię.

W tym momencie ogarnęło ją przerażenie. Nigdy dotąd nie mówili sobie tego. Nigdy dotąd nie powiedziała tego pierwsza.

- Ja też myślę, że cię kocham - odparł, głaszcząc jej włosy.

- To mi się wydaje niemożliwe.

Warren pokiwał głową.

- Mogę ci obiecać, że pewnego dnia będziemy razem - rzekł smutnym, lecz rzeczowym tonem. - Pewnego dnia, niebawem, wszystko się ułoży.

-Jesteś żonaty - przypomniała mu łzawym głosem, uśmiechając się.

- Tak - odparł - ale moje małżeństwo już prawie leży w gruzach.

Potem wyszedł, przystając na chwilę w drzwiach. Wpatrywali się w siebie namiętnie, po czym roześmiali się oboje, a Warren położył dłoń na czole Cath, jak gdyby sprawdzał jej gorączkę.

Cath wróciła na kanapę i wyobrażała sobie, że romans się skończył. Chcąc to sobie ułatwić, próbowała zobaczyć w wyobraźni pociąg, który zatrzymuje się ze zgrzytem hamulców, a potem następuje cisza. (W tym momencie otwiera się z piskiem okno i pasażer wrzeszczy: „Co teraz?”). Ale w jej rojeniach pociąg ruszał niemal natychmiast. Nie dopuszczała myśli, że może zwyczajnie zastygnąć w bezruchu.

To będzie intelektualnie intrygujące, pomyślała, lecz prawdopodobnie bezbolesne. On jej nie opuszcza, ale jedynie wraca tymczasowo do żony.

Będzie jej oczywiście brakowało nocy z Warrenem, no i seksu. Zawsze byli zgodni, że ich kontakty urwą się wraz z przeprowadzką Breanny do Sydney. W przeciwnym razie musieliby przemykać się chyłkiem jak ludzie mający romans. I choć będzie tęskniła za jego ciałem, tym razem jest inaczej niż z jej złamanym sercem w przeszłości. Przecież ona i Warren się kochają. Oboje się do tego przyznali. Wkrótce małżeństwo się rozpadnie.

Warren nadal pozostanie w pobliżu. Będzie mogła go widywać, rozmawiać z nim, opowiadać mu o swoich tajemnicach.

- Wszystko się ułoży, prawda? - zażądała potwierdzenia od swojego kota Yiolina.

Późnym wieczorem w czwartek Fancy stała przy długim wąskim oknie obok drzwi frontowych i wyglądała na pogrążony w ciemności trawnik.

Radeliffe pojechał do pobliskiego sklepu po mleko, a Cassie już spała. Po raz pierwszy tego dnia Fancy miała chwilę dla siebie, by się zastanowić nad swoimi uczuciami wobec faktu, że jej mąż nie ma romansu.

Zamiast tego myślała o hotelowych holach.

Ach, hotelowe hole! Łagodna integracja drzwi wind, marmurowych posadzek, granitowego kontuaru recepcji!

Recepcjonista w nieodzownych małych okularach, które lśnią w świetle żyrandola. Przeszkłone wystawy sklepów, z roślinami w doniczkach oraz zgrabnymi, eleganckimi napisami: *Armani, Gucci, Dolce & Gabbana*. Wiśniarnia, w krzywiznach nierdzewnej stali, z akcentami metalicznego błękitu (kieliszki do martini!). I łazienki, zwłaszcza łazienki! Matowe szkło, zmyślnie krany, schludne stosy białych ręczników, zasuszone kwiaty i czujniki! Wszędzie czujniki! Suszarki do rąk, spłuczki toaletowe, drzwi!

Jak to się zwykle zdarzało, kiedy myślała o hotelowych holach, Fancy zaczynała oddychać wolno, miarowo. Uspokoiła się na tyle, by wrócić do holu we własnym domu. Twój mąż nie ma romansu, przypomniała sobie. Ale przyglądając się trawnikowi przed domem i słysząc od czasu do czasu, jak kierowcy przejeżdżających samochodów dodają gazu, znów błyskawicznie się przeniosła do wyimaginowanego hotelu.

Natychmiast wpadła na mężczyznę w jasnoszarym T-shircie. Nigdy przedtem nie zdarzyło się to w jej hotelu.

Pomyślała, że mogłaby pocałować go namiętnie. Nie! Nachyliłaby się ku niemu, by go pocałować, a on odwróciłby się do niej tyłem! Widziała go, owego mężczyznę (nie tyle jego twarz, ile T-shirt), i marzyła o jego dotyku; proszę, weź mnie za rękę! Ale on nie chciał.

Wstrząśnięta, znowu znalazła się we własnym domu. Wzruszyła ramionami, boleśnie odczuwając brak pieczyoty nieznajomego, gdy musnęła czubkami palców swoje ręce.

Czyżby to był on? Czy przybył tu za nią z jej marzenia? Usłyszała warkot samochodu!

Starła się przebić spojrzeniem ciemność. Na podjazd wjeżdżał samochód. Rozległo się krótkie pstryknięcie wyłączanych przednich świateł. Cichł warkot silnika. To był on! Mężczyzna z hotelowego holu! To jego silne dłonie rozpięły pas, jego kciuk naciskał pilota przy kluczyku: pip-pip!

Kroki na żwirowym podjeździe - cichy chrzęst, kilka szybkich kroków po schodach - i teraz zapuka! „To ty byłaś w hotelowym holu” - powie zagadkowo, oskarżycielskim tonem.

„Wejdiesz na drinka?” - spyta Fancy bez tchu i...

Fancy drgnęła z przestraszenia, gdy ktoś zastukał kluczykami w okno.

- Fancystycznie! - wykrzyknął męski głos. - Moja Fancy jest w domu!

Radcliffe opierał się z uśmiechem o framugę drzwi. W rękę trzymał kartonik mleka.

*

Późnym wieczorem w czwartek Marbie wróciła do domu od inżyniera lotnictwa, czując ulgę, że wreszcie zakończyła ten romans.

Szła przez puste mieszkanie, zapalając światła i sprawdzając za drzwiami pokoi, czy nie ma tam przypadkiem nieproszonych gości. Następnie usiadła w salonie na jednej z poduch, by pomyśleć.

I.L. nie był ani przystojny, ani miły, ani inteligentny, ani romantyczny czy interesujący. Prawdę mówiąc, przeważnie ją irytował. Mimo to przespała się z nim dwa razy, zdradziła mu Sekret i spędziła kilka nocy w jego domu. Przez cały czas łagodny, lecz uparty głos wewnętrzny zadawał jej pytanie: „Przepraszam, ale gdzie się podział twój rozum?” Traktowała ów głos w taki sam sposób, jak traktuje się czasem osobę pytającą: „Co to za swąd?”

Spogląda się odruchowo w stronę kuchni, po czym wraca spojrzeniem do ekranu telewizora.

Teraz będzie musiała ponieść konsekwencje swojego postępowania. Co rano będzie budziła się ze świadomością, że nawet nie zauważyła, kiedy jej dom spłonął.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Dawno, dawno temu żył sobie pewien mężczyzna, monsieur Blanchard, który zakochał się w balonach wypełnionych gorącym powietrzem. Szczęśliwy traf zdarzył, że zakochał się również w kobiecie (madame Blanchard), która sama uwielbiała balony. Rzucali więc swoje balonowe czary, dokonując podniebnych pokazów jak Franq'a długa i szeroka.

Madame Blanchard była wrażliwą duszyczką, która nie znosiła hałasu. Często wzbijała się wieczorami balonem w niebo i pozostawała tam, w blasku księżyca, aż do świtu.

Niestety, madame Blanchard zginęła w katastrofie balonu podczas pokazu sztucznych ogni nad ogrodami Tivoli w Paryżu. Rozsypywała z gondoli swojego balonu kaskady złocistych i srebrzystych gwiazd, ku uciesze zebranych w dole tłumów, aż nagle buchnął wielki płomień. Tłum wiwatował radośnie, nie rozumiejąc, że ta eksplozja jest błędem i oznacza katastrofę - to balon stanął w płomieniach.

Madame Blanchard runęła na dach jednego z domów na rue de Provence i skręciła kark.

Maude Sausalito, obecnie już starsza i zamężna (i właściwie już nie Sausalito), nosiła włosy długie i gładkie, jak szal. Opowiadała swojemu mężowi o Blanchardach, legendach baloniarstwa, podczas gdy on czyścił do połysku buty. Ona sama lukrowała babeczki na wolnym rogu kuchennego stołu; mąż rozłożył gazetę na pozostałej części i kiwał przytakująco głową, gdy zanurzał szczotkę w paście. Dostał właśnie awans na zastępcę kierownika w sklepie z odzieżą męską, gdzie pracował, dlatego lśniące buty były takie ważne.

Kiedy Maude mówiła o tym, jak madame Blanchard wzbijała się w niebo nocą, jej mąż David roześmiał się cicho sam do siebie i powiedział:

- Niezły pomysł!

Oboje popatrzyli na swoje pierwsze dziecko, Fancy, które spało w wiklinowej kołysce. Ostatnio Fancy ząbkowała, toteż nie sypiali w nocy dłużej niż huśtawka w momencie zawieszenia. Płacz niemowlęcia był tak rozpaczliwy, że sami niemal czuli wyrznanie się zęba.

Maude i David pobrali się dwa lata temu i pojechali w podróż poślubną do Hunter Valley. Maude załatwiła w tajemnicy przejażdżkę balonem o świcie drugiego dnia pobytu, lecz podczas przyjęcia weselnego brat Davida zażartował kilkakrotnie na temat jego akrofobii.

- Co to jest akrofobia? - spytała szeptem Maude.

- Lęk wysokości - odparł również szeptem David.

Nigdy jej o tym nie napomknął nawet słowem! W tajemnicy odwołała przejażdżkę balonem.

Nigdy więcej nie wspominali o jego lęku wysokości, lecz oboje przyjęli go bez słowa do wiadomości. Na przykład kiedy latawiec Maude zaczepił się o komin, to

ona wdrapała się na dach, żeby go zdjąć, tymczasem David przyglądał się, blady i drżący.

Na ogół David z przyjemnością słuchał jej historii o balonach, kiedy jednak Maude skończyła opowieść o Blanchardach, powiedział surowo:

- Zginęła w katastrofie balonu? To nie jest przyjemna historia, Maude. Po co mi ją opowiedziałaś?

- Dobrze, znam przyjemniejszą - zgodziła się natychmiast Maude. - O monsieur Blanchardzie. Jej mężu. O tym jak przeleciał balonem nad kanałem La Manche. Tylko pokołyśz trochę Fancy stopą, dobrze? Może znowu zaśnie?

Gdy Maude opowiedziała już historię o locie monsieur Blancharda, wyobrażała sobie podróż, jaką odbyliby balonem z Davidem, gdyby wyleczył się z akrofobii. (Jeśli opowie mu więcej o balonowych przygodach, wtedy chyba...?).

Pilot będzie miał długie kręcone włosy prawie do ramion. Pewnej nocy, w skrzypiącym koszu balonu, pokaze im potężną sowę. „Czy to naprawdę ptak?” - spyta David. - Czy to nie zwyczajna chmura pyłu?” Ale pilot pociągnie muskularną ręką linę i sprawdzi wiatr, kiwając lekko głową, a następnie postępuje balonem bliżej w kierunku chmury pyłu, która zmieni się w potężną sowę. Zerknie na nią, ciekawy reakcji Maude, przez chwilę obawiając się jej, potem jednak uśmiechnie się szeroko, psotnie, i zajmie się swoim balonem.

Rumieniąc się, Maude utkwi wzrok w plasterku limonki, zatkniętym na brzegu szklanki z jej martini.

Cath Murphy

W następnym tygodniu Cath zrozumiała, jakie to uczucie, koniec romansu.

Było: pełne napięcia, przerażające, zaskakujące, dezorientujące, oczywiste, szokujące i w końcu bliskie rozpacz. Wszystkie te emocje pojawiały się oddzielnie lub gromadnie i niekiedy jedna muskała przez chwilę powierzchni, po czym wtapiała się w kolejną. Pierwszego dnia, w poniedziałek, odczuwała przede wszystkim NIEPEWNOŚĆ i LĘK.

Tego dnia miały miejsce trzy ważne zdarzenia:

1. zobaczyła po raz pierwszy Breannę;
2. przedstawiono ją Breannie; i
3. piła kawę z Breanna.

Na poniedziałkowym apelu siedziała na swoim zwykłym miejscu, biorąc niepewność i lęk za uczucie podniecenia, jakie zwykle towarzyszy wyjściu do teatru. Warren wpadł jak zwykle spóźniony i usiadł obok niej z przyjacielskim, lecz powściągliwym „cześć, cześć”. Twarz miał pobladłą i ponurą, Cath poczuła, że jej podniecenie narasta. Nie słuchała wstępnych uwag Billsona, po chwili jednak zwróciła na niego uwagę, ponieważ zdała sobie sprawę, że przestał mówić, tylko nieprzyjemnie sapie do mikrofonu.

-Czekam - powiedział, ponosząc lewy kciuk, a następnie wskaźnik. Zamierzał liczyć na palcach do dziesięciu. Podczas gdy dzieci szeptały i chichotały. - Dobrze - rzekł, coraz bardziej znudzony zabawą. - Pokażmy naszej nowo przybyłej, jak jesteśmy dobrze wychowani tutaj, w Redwood. Powitajmy oklaskami naszego nowego psychologa szkolnego, Breannę Woodford!

Wreszcie zobaczyła żonę Warrena. Breanna szła w kierunku podium, na pozór wesoła i rozpromieniona, ale Cath uświadomiła sobie, że jest ona wyraźnie zdenerwowana tym, że ma tam stanąć. Cath ogarnęło bardzo dziwne uczucie. Odwróciła wzrok.

Po apelu, gdy Cath szła przez boisko do swojej klasy, przeraziła się na widok zbliżającego się do niej Billsona, który zachęcał skinieniem Breannę, by podążyła za nim. Breanna niewątpliwie wyczyta prawdę z jej oczu! Albo usłyszy ją w jej głosie? Albo wyczuje z napięcia ramion?

- Och, to ty jesteś Cath Murphy - uśmiechnęła się do niej przyjaźnie Breanna. - Tyle o tobie słyszałam!

Wyciągnęła rękę do przodu, jak gdyby chciała się przywitać, ale zamiast tego klasnęła w dłonie, jakby była ogromnie podekscytowana.

-Ja też wiele o tobie słyszałam! - nieostrożnie wyjawiała Cath.

- Naprawdę nie mogłam doczekać się, by cię poznać na występie Carotid Sticks! - oznajmiła Breanna. - Pamiętasz? Szkoda, że nie udało mi się przyjechać.

- Wiem! - wykrzyknęła Cath, lecz Billsona znudziła ich paplanina i chciał zabrać jak najprędzej Breannę, by jeszcze kogoś poznała.

-Może wybierzemy się dziś na kawę po szkole? - zawołała przez ramię Breanna.

- Świetny pomysł! - odparła Cath.

Odprowadzając Breannę wzrokiem, Cath znowu poczuła się dziwnie. „Wiem!” - powiedziała o tamtym wieczorze, kiedy omal się nie poznały. I: „Świetny pomysł!” na propozycję wspólnej kawy. To wszystko było tanie i kłamliwe.

W kawiarni Breanna wybrała kanapę, zamiast siadać na krześle z twardym oparciem, i osunęła się na nią, jak gdyby chciała odpocząć. Były w centrum handlowym naprzeciwko szkoły, po drugiej stronie ulicy, z widokiem na autostradę.

- Ulżyło mi, że dostałam tę pracę - wyznała Breanna, mieszając kawę. - Nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrzymam bez Warrena w zwykłe dni tygodnia. Rozumiesz, o co mi chodzi? Przede wszystkim nie jest to z pewnością dobre dla małżeństwa.

Cath wstrzymała na **chwila** oddech, jej myśli cofały się w głąb mózgu, gorączkowo usiłowała wymyślić jakąś stosowną odpowiedź. Co powiedziałabym w tej sytuacji, gdyby wszystko było jak należy?

- Hmm - mruknęła i spróbowała zmienić temat. - A więc pracowałeś już wcześniej z dziećmi, tak?

- Kilka lat temu - odparła Breanna. - I prawdę mówiąc, przeważnie z nastolatkami. Ale pisałam dysertację o dzieciach w przedziale wiekowym od dziewięciu do dwunastu lat.

Cath przedłużała ten temat, jak długo się dało, wpytując najpierw o szczegóły dysertacji Breanny, następnie o uniwersytet, który ukończyła, kim byli jej ulubieni wykładowcy, czy robiła dobre notatki. Rozmowa sprawiała jej przyjemność. Niemal zapomniała, kim jest Breanna, lecz przez cały czas w jej podświadomości czaiły się OBAWA i NAPIĘCIE.

- W każdym razie Warren mówi mi...

- Och, chwileczkę - przerwała jej spanikowana Cath. - Słyszałaś, że są u nas siódmoklasistki z miejscowej szkoły średniej? Ich klasy zostały zalane. Myślisz, że będziesz również ich psychologiem?

Breanna wiedziała o siódmoklasistkach, nie miała jednak pojęcia, czy doradzanie im będzie należało do zakresu jej obowiązków. Prawdopodobnie mają własnych psychologów.

- Chodzi o to - powiedziała Cath - że obserwowałam jedną z tych dziewczynek, ponieważ jest jakoś tam spokrewniona z uczennicą z mojej klasy. I za każdym razem kiedy ją widzę, jest sama. Myślę, że chyba nie ma żadnych przyjaciółek.

- Cóż - odparła Breanna - nie widzę powodu, dla którego miałabym nie spróbować jej pomóc. Znasz jej nazwisko?

O mój Boże, pomyślała Cath, nie ma w niej nic antypatycznego. Jest miła i uczynna, ma ładne oczy i nerwowe dłonie, nie ma w niej nic, nic, kompletnie nic, co mogłoby się nie podobać.

Ale Breanna wróciła znowu do wątku Warrena.

- Warren jest równie podekscytowany jak ja moją przeprowadzką do Sydney. Zachowuje się jak mały chłopiec. I wiesz co? Kupił nawet w tajemnicy nowe łóżko na moje powitanie! Zrobił mi niespodziankę! Z baldachimem! Zawiesił na nim transparent: „WITAJ W DOMU!” Czy on nie jest cudowny?

Po tych trzech ważnych wydarzeniach reszta tygodnia utonęła we mgle i Cath snuła się o krok lub dwa za samą sobą.

Dwukrotnie widziała, jak Warren bierze Breannę za rękę i przebiegają razem na drugą stronę ulicy. Raz zobaczyła, jak stojący na szkolnym boisku Warren przywołuje Breannę gestem, a następnie przechyla małą torebkę

sułtanek w czekoladzie i wysypuje garść na dłoń Breanny. Podpatrzyła kiedyś, jak demonstrował żonie ekspres do kawy w pokoju nauczycielskim. Breanna stała obok niego, skoncentrowana tak bardzo, że wybuchnął śmiechem i powiedział jej, że nie jest to sprawa życia i śmierci. Breanna też się roześmiała, zakłopotana, i wzruszyła ramionami, by się rozluźnić.

Tymczasem inni nauczyciele przestali mówić o „Warrenie” i zaczęli mówić o „Warrenie-i-Breannie”. Wciąż powtarzali Cath, jak sympatyczną osobą wydaje się Breanna i jak przyjemnie było poznać „drugą połowę” Warrena.

Cath poczuła, że grunt usuwa się jej spod nóg i że niebo nie jest już przynależne do ziemi. No i kim ja jestem? - myślała, starając się zachować spokój. Gdzie jest moje miejsce? Jakich mam jeszcze przyjaciół?

Przyszły jej na myśl trzy przyjaciółki z liceum, które, o dziwo, wyjechały do odległych, egzotycznych miejsc: Lucy do Nepalu, Kristin do Mongolii, a Sara na Saharę. Postanowiła napisać do nich długi e-mail, opowiadając całą historię i opatrując ją nagłówkiem: „POMOCY!” Ale Lucy, Kristin i Sara rzadko miały dostęp do Internetu, toteż nie spodziewała się odpowiedzi wcześniej niż za miesiąc.

W jej pamięci powracał wciąż obraz mężczyzny, który w telewizyjnym programie kulinarnym ostrzył wzajemnie o siebie dwa noże. Ekran wypełniała burza błysków i szczęku. Wieczorem nie kładła się do łóżka, lecz siadała na kanapie, oglądając telewizję, dopóki wreszcie nie zasnęła.

Próbowała studiować swoje notatki z wykładów prawa, nie mogła się jednak skupić. Na przykład kiedy czytała rozdział na temat kradzieży, postanowiła ukraść Warrena żonie.

„A poprosił B, by pożyczył mu szylinga (czytała). B zgodził się i wręczył A monetę. Obaj myśleli, że jest to szyling, ale później okazało się, że był to suweren. A zatrzymał suwerena”.

Aha! (podniosła wzrok znad książki). Poprosi Breannę, by pożyczyła jej suwerena, a ona przez pomyłkę wręczy jej Warrena. Cath uwięzie go na białym koniu, śmiejąc się złośliwie. Gdy Breanna odkryje swą pomyłkę, będzie już za późno!

Pewien dzień w tygodniu - chyba środa - stał się dla niej, jak go nazwała, Dniem Listów. Pierwszy list dotarł do niej na szkolnym boisku, przed lekcjami. Cassie Zing, przebiegając obok niej, zatrzymała się nagle, mówiąc: „Zapomniałam dać pani list od mamy!” Wyjęła z kieszeni kopertę i podała jej.

Droga Panno Murphy!

Piszę ten krótki liścik wyłącznie po to, by powiedzieć, że ogromnie cieszę się na nasze spotkanie na piątkowej wywiadówce.

Serdecznie pozdrawiam.

Z poważaniem,

Fancy Zing

Cath podniosła wzrok znad kartki. List był taki ciepły i taki bezinteresowny! Taka miła uwaga nieznanego, bez konkretnej intencji! Przepełniało ją uczucie ulgi - wszystko będzie dobrze. Ale wtedy zobaczyła, jak Breanna uśmiecha się do niej, i musiała zmiąć list w dłoni. Nie zastęgujesz na tyle życzliwości, pomyślała.

Potwierdziło się to, kiedy zajrzała do swojej skrzynki mailowej. Dostała odpowiedź od Kristin z Mongolii: -CATH!! BIEDACTWO, NIE MIEJ WYRZUTÓW SUMIENIA. TO NIE TWOJA WINA. TO ON DOKONAŁ WYBORU I ON PONOSI ZA TO CAŁĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ. WKRÓTCE

NAPISZĘ DO CIEBIE DŁUŻSZY LIST. KOŃCZĄ MI SIĘ PIENIĄDZE!!!!!!".

Właśnie że to moja wina, powiedziała do monitora. Nigdy nie próbowała powstrzymać Warrena. Prosił ją, by była silna.

Potem znalazła w przegródce na korespondencję w pokoju nauczycielskim dużą różową kopertę, zaadresowaną zamasyżycie fioletowym atramentem. W pierwszej chwili ogarnęło ją podniecenie, ale potem otworzyła ją i przeczytała.

Szanowna Panno Murphy!

Wiem coś o Pani.

Znam pewien sekret, coś niewybaczalnego.

Spotkajmy się w piątek o pierwszej po południu w Valerio Couch Potato Cafe naprzeciwko szkoły, w której Pani pracuje.

Nieznamy

A więc to prawda. Jest zła i nie można jej wybaczyć. Poczła wstręt do siebie.

Potem przeczytała list jeszcze raz i przeraziła się: 0 co w nim chodzi? Czy zapowiada szantaż? Byli z Warrenem tacy pewni, że nikt o nich nie wie! Byli nawet dumni ze swego kamuflażu! Jak dali się przyłapać?

To musi być ktoś ze szkoły. Kto inny mógłby się dowiedzieć? Pochyliła się nad przegródką, uważnie oglądając list, po czym rozejrzała się ukradkiem po pokoju. Heather Waratah jadła jagodziankę. Jo Bel Castro czytał gazetę. Oboje sprawiali wrażenie niewinnych.

Pomyślała, że powinna poszukać Warrena i pokazać mu list, lecz zrezygnowała. Jedyńm, co pozostało jej i Warrenowi, była ich tajemnica. Poza tym nie zniosłaby widoku Warrena, panikującego z obawy, że dowie się o nich Breanna. Ona, Cath, sama poradzi sobie z szantażem.

Tamtego wieczoru, po powrocie do domu, Cath znalazła w skrzynce czwarty list. Był od właściciela mieszkania, zawierał informację o tym, że zakupił on dwa mieszkania przylegające do mieszkania Cath. Zamierzał rozebrać ściany między wszystkimi trzema, tworząc jeden ogromny apartament z pokojem do szycia i sauną. Rzecz jasna prosi, by Cath nadal tam mieszkała. W dalszej części list zawierał propozycję:

Oczywiście, remont może być hałaśliwy i powodować wiele niedogodności! Dlatego też oferujemy Pani na czas remontu zakwaterowanie w luksusowym apartamentowcu w Winston Hills Tudor Arms.

Zapewniam Panią, że mimo dodatkowych wygód, które zapewnimy dzięki tej przebudowie, utrzymamy Pani czynsz w takiej samej wysokości jak dotychczas, podobnie jak pozostałe warunki najmu.

Cath przeczytała list jeszcze raz. Pokój do szycia! Sauna! Na co jej takie rzeczy?

Ale było to emocjonujące, sięgnęła więc po telefon, by zadzwonić do Warrena. Natychmiast oczywiście uprzytomniła sobie, że nie może.

Przyszło jej na myśl, że wszystkie zerwania mają jedną cechę wspólną - rzeczy, których nie wolno robić. Przypomniała sobie, że jak w przeszłości chłopcy łamali jej serce, najgorzej przeżywała to, że nie wolno jej było ich dotknąć. Nie mogła przygłodzić im brwi ani wziąć za rękę, przechodząc na światłach, ani dotknąć czubka nosa. Nie mogła zadzwonić i powiedzieć: „Słuchaj, nie uwierzysz, co się stało!” Zamiast tego należało się tłumaczyć. Należało mówić: „Cześć, tu Cath, jak się masz?” Zakładając, że w ogóle wolno było ci dzwonić.

Rzecz jasna, nigdy nie miała prawa trzymać publicznie Warrena za rękę - ale teraz nie wolno jej było wi-

dywać go wieczorami w dni powszednie, jak również nie wolno jej było dzwonić do niego.

Ponownie przeczytała list, by poprawić sobie nastrój - przynajmniej właściciel chyba ją lubił - i w trakcie czytania zauważyła stopkę napisaną drobnym bladym drukiem w dolnym prawym rogu strony. „Projekt 78”.

Projekt 78. Z czym jej się to kojarzyło?

Pobiegła do kuchni, otworzyła kilka szuflad, przekartkowała książki kucharskie i znalazła: list, który otrzymała kilka miesięcy temu, proponujący jej bezpłatny kurs zdrowego i smacznego gotowania dla osób młodych oraz młodych duchem. (Nie skorzystała z oferty, lecz zostawiła ją w szufladzie z przepisami kulinarnymi).

I była tam - stopka napisana drobnym bladym drukiem w dolnym prawym rogu strony. „Projekt 75”.

Przez chwilę miała dziwne, przerażające uczucie - w jaki sposób właściciel jej mieszkania jest powiązany ze szkołą gastronomiczną? - ale potem uśmiechnęła się: co za zbieg okoliczności!

Ten zbieg okoliczności napełnił jej serce otuchą. Wskazywał na to, że w świecie wszystko jest połączone ledwie widocznymi przerywanymi liniami, wszystko przebiega zgodnie z wyższym planem, z łagodnym, nadzorującym przeznaczeniem. Życie jest serią projektów - projekt 75, gotowanie; projekt 78, remonty.

Wróciła do stołu w jadalni i kolejny raz przeczytała list zawiadamiający o remoncie. Przesunęła palcami po literach *Projekt 78*: rzeczy, które mają nastąpić. Pewnego dnia, jakimś cudem, wszystko się uda.

Omam nie sięgnęła po telefon, by zadzwonić do Warrena i powiedzieć mu o tym.

Po Dniu Listów Cath poczuła, jak przez resztę tygodnia zaczyna w niej narastać WŚCIEKŁOŚĆ

- Co się dzieje? - spytała Warren na początku przerwy w jego pustej klasie.

Przypinał pinezki dziecięce malunki do ścian, szykując się do jutrzejszej wywiadówki.

- Myślę - odparł - myślę, że to już długo nie potrwa. Nasze małżeństwo się rozpada. Zarówno Bree, jak i ja czujemy, że coś jest nie tak.

- Mmm - mruknęła Cath, po czym widząc, że Warren nie przestaje wieszać malunków, dodała: - Skoro wasze małżeństwo się rozpada, to dlaczego kupiłeś nowe łóżko? I zawiesiłeś na nim transparent: „Witaj w domu!”?

- Powiedziała ci o tym?

-Aha.

Warren milczał, utkwivszy wzrok w pinezce leżącej na jego dłoni.

Tego samego dnia Breanna znalazła Cath w pokoju nauczycielskim podczas przerwy śniadaniowej i poinformowała ją z ożywieniem:

- Mam dla ciebie wiadomość. Rozmawiałam z tamtą siódmoklasistką, o którą się martwiłaś. Listen Taylor. Wczoraj.

- Jejku. Szybka jesteś - zauważyła Cath.

Breannie najwyraźniej jej komplement sprawił przyjemność, toteż Cath chwaliła ją dalej.

-Poważnie, bardzo ci dziękuję, że to zrobiłaś. To naprawdę miłe z twojej strony. I jesteś taka profesjonalna.

- W każdym razie - rzekła Breanna, rozpakowując swoje śniadanie - myślę, że miałaś rację. Wydała mi się nieszczęśliwa - nie przyznała się jednak, że nie ma przyjaciółek. Wychowuje ją starszy brat - widocznie jej rodzice zmarli, gdy była malutka. Biedne dziecko.

W tym momencie Breanna złapała nerwowo oddech i powiedziała szeptem:

- Och, Cath, strasznie mi przykro. Zdaje się, że to samo spotkało ciebie? Twój rodzice zginęli, kiedy byłeś dzieckiem, prawda? W pożarze domu?

-Tak - potwierdziła Cath, marszcząc lekko brwi i starając się pokryć grymas uśmiechem. - Ale mnie nie wychowywał brat - zostałam adoptowana.

-I jedyną pamiątką, jaka pozostała ci po prawdziwych rodzicach, jest wyblakła fotografia? Tak?

- Mmm - przytaknęła Cath, po czym przypomniała sobie, że musi wracać do klasy, by przygotować się do wywiadówki.

Widząc Cath w progu swojej klasy, Warren spytał:

- Dobrze się czujesz?

-Jasne - warknęła z wściekłością Cath. - Powiedziałaś jej, że zostałam adoptowana. Powiedziałeś o zdjęciu moich rodziców.

- Przepraszam, Cath. Nie wiedziałem, że to tajemnica.

- Nie wiedziałeś, że to tajemnica? Wyjawiłam ci ją o trzeciej nad ranem. Wyjęłam fotografię moich rodziców z zamykanej na klucz kasetki na biżuterię. Oboje płakaliśmy. I to według ciebie nie była, bo ja wiem, poufna sprawa?

- Cath, jedyne, co mogę zrobić, to przeprosić cię.

- Przestań wymieniać moje imię! - podniosła głos Cath. - Oboje ciągle je powtarzacie. Ty i twoja żona, ona również. - Warren sprawiał wrażenie zdziwionego, toteż Cath dodała: - Nie możesz tego robić... - Głos jej zadrżał. - Nie możesz mieć romansu ze mną, a potem wracać do żony, nie możesz mówić, że wasze małżeństwo się rozpada, a potem kupować łóżko z baldachimem. Tak nie wolno. - Wyciągnęła rękę w jego stronę i Warren cofnął się o krok.

- Przepraszam, okay? Teraz nic na to nie poradzę - to zabiłoby Breannę. Wiem, że zabrzmiało to arogancko, lecz faktem jest, że ona mnie naprawdę kocha.

- Och, przestań - przerwała mu Cath. - Ona cię nie kocha. Ona nawet cię nie zna.

- Cóż - rzekł łagodnie Warren - jesteśmy małżeństwem od trzech lat.

- Ona cię nie zna - powtórzyła Cath. - Jesteś facetem, który zdradził swoją żonę. Ona o tym nie wie, zatem wcale się nie zna.

Spuścił głowę, a Cath oddychała głośno, urywanie.

- Nie mogę jej zostawić - wyszeptał po chwili.

- Nie proszę cię, żebyś ją zostawił! - Cath niemal krzyczała. - Lubię ją, jest miła. Nie chcę, żebyś od niej odszedł. To ty powiedziałeś, że wasze małżeństwo się rozpada.

- Bo to prawda - odparł. - Przysięgam, musimy tylko poczekać.

- Tak, a przez cały czas tego oczekiwania musisz jej dotykać? Musisz trzymać ją za rękę? Widziałam, jak masujesz jej stopy. Pomyślałeś, jak ja się czuję?

- Nie płacz, błagam - poprosił.

- To mnie nie doprowadzaj do łez! - rzekła wyniosłe i wymaszerowała z sali.

Po południu próbowała uczyć się prawa karnego, lecz w końcu, zamiast tego, postanowiła zamordować Warrena Woodforda. Udusi go zakładkami do książek z krzyżykowym haftem lub będzie się przyglądała z pełnym wyższości uśmieszkiem, jak tonie w syropie swoich słów. Z góry wybrała swoją linię obrony. Prowokacja (rozdział piąty). Oskarżona, porwana namiętnością, po prostu nie była panią siebie.

Później, nocą, gdy przysnęła na kanapie, śniło się jej, że Warren oświadczył, iż znowu zakochał się w Breannie.

- Między nami wszystko skończone! - rzekł ciepło, radośnie. - Jestem znowu zakochany w mojej żonie!

- Nie kochasz swojej żony! - krzyczała Cath, uderzając go pięścią w pierś. - Kochasz mnie! Warrenie, czy ty tego nie rozumiesz? Wydaje ci się, że ją kochasz, ponieważ jest taka szczęśliwa, taka promienna, taka wrażliwa i taka urocza, podczas gdy ja... Spójrz na mnie! Jestem okropnie zimna, okropnie zła, okropnie rozgoryczona i okropnie smutna, ale nie będę taka, Warrenie, jeśli tylko wrócisz do mnie, będę tą szczęśliwą osobą, której pragniesz, jeśli tylko, jeśli tylko... wcale nie jestem szorstka, to... to się nie liczy, Warrenie.

We śnie była przekonująca, namiętna, ostra, elokwentna, pomysłowa. Jej argumenty cięły powietrze niczym lśniące noże. On jednak miał wciąż na wargach ten swój zadowolony uśmiech i kręcił głową.

W piątek Cath poddała się ROZPACZY.

Patrząc rano przez okno swojej klasy, dostrzegła Warrena i Breannę idących od strony parkingu. Nienawidzę cię, pomyślała. Był odwrócony do niej tyłem. Spójrz na mnie, prosiła go w myśli, obejrzyj się.

On jednak przywołał żonę skinieniem dłoni, a Breanna spieszenie podbiegła do niego.

Kocham cię, tęsknie pomyślała Cath. Warren trzymał Breannę za rękę.

Tego samego dnia w porze lunchu Cath siedziała spokojnie w Valerio Couch Potato Cafe i czekała na szantażystę. Upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę na stół, myśląc: „Nie cierpię tych barów kawowych w domach towarowych! Dlaczego szantażysta nie mógł spotkać się

„e mną w PRAWDZIWEJ kawiarni?” Ale naprawdę w jej głowie tłukła się jedna myśl: „Jak Warren śmiał zdradzić moje sekrety żonie?”

Wspominała tamtą noc, kiedy powiedziała mu o tym, że została adoptowana. Tego popołudnia Warren grał w piłkę nożną i przyjechał do niej prosto z boiska, chude nogi miał ubłocone, skarpetki marszczyły mu się na nagolennikach. Przyniósł dwa zimne piwa, otworzył jedno i podał je Cath, potem otworzył drugie dla siebie i usiadł na kanapie. Następnie wstał, by zademonstrować, jak źle stąpnął podczas blokowania przeciwnika, nadwężając kolano.

- Widzisz? - spytał, przyciskając ubłocone kolano do jej kolana. - Rozumiesz, jak to się stało?

Potem gotowali razem makaron, a Warren ukruszył sobie ząb na pestce oliwki. Później w nocy pokazała mu fotografię swoich biologicznych rodziców. Gdy delikatnie przesuwiał palcem po zarysach ich postaci, a następnie dzielnego krzepkiego strażaka, który ją uratował, łzy zakreściły mu się w oczach.

Wzrok jej się zamglił, gdy patrzyła na zegarek. Była druga godzina, a szantażysty ani śladu.

Później, kiedy jej uczniowie mieli lekcję muzyki, próbowała przeczytać notatki z wykładu na temat zasad ustawowej interpretacji.

Eiusdem generis (czytała), „tego samego rodzaju”, a pod spodem zagadkowa notatka: „czy łom jest tym samym co maska, przebranie lub list?”.

Do notatek nie było żadnych wyjaśnień, lecz przechodziły w rysunki. Były to: elegancka maska, fałdzista peleryna, list z woskową pieczęcią i łom. Łom narysowała nieco z boku, z dala od innych, bardziej romantycznych przedmiotów.

To jest łom, pomyślała Cath ze smutkiem. Nigdy nie będzie należał do tego samego klubu co maska, przebranie czy list z pieczęcią woskową. Od początku wierzyła, że jej romans jest czymś cudownym i sekretnym - powieścią detektywistyczną, sensacyjną tajemnicą. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że jest oczywisty i pospolicity jak łom.

Tego samego popołudnia siedziała w pokoju nauczycielskim, poprawiając prace domowe i czekając na rozpoczęcie wywiadówki. Dalej, przy tym samym stole, Warren i Breanna przeglądali prospekt Ikea, chichocząc nad zdjęciami mebli.

- Nie - powiedziała szeptem Breanna. - Nie pasują nam żadne chromy w salonie - mamy sosnowy stół, pamiętasz?

- Masz rację - zgodził się Warren. - Po prostu podobają mi się te półki.

- Wiesz co - zaproponowała Breanna - możemy kupić je do pracowni.

- Nie są za duże?

- Nie! Spójrz, tu są podane wymiary.

„CELUJĄCA PRACA” - napisała Cath w zeszycie, „BRAWO!” I postawiła wielki ptaszek na całą stronę.

- Hej, Cath - zawołał Warren, odwracając się z krzesłem. - Zaraz będziemy musieli przez to przejść, co?

Cath przyznała mu rację - zbliżała się piąta i wkrótce zaczną schodzić się rodzice.

- Och, Cath, zanim wyjdiesz - zatrzymała ją Breanna - chciałam ci coś powiedzieć. Dziś po południu oprowadzałam po szkole nową siódmoklasistkę i poznałam ją z Listen Taylor. Nigdy nie wiadomo. Może zostaną przyjaciółkami?

- Aha - odparła Cath - świetnie, Breanno. Dzięki.
- Do zobaczenia w domu, Warren - rzekła Breanna, biorąc torebkę. - Wpadnę do sklepu z artykułami żelaznymi i zaskoczę cię kółkami do zasłon!

Wywiadówki dla rodziców drugoklasistów odbywały się w klasie Cath - drugiej B. Warren ustawił stolik w końcu sali, a Cath korzystała z własnego biurka.

Pierwszy zjawił się mężczyzna, który przedstawił się jako Radcliffe.

- Jestem ojcem Cassie Zing! - oznajmił już od progu sali, czyszcząc buty na wycieracze. - Proszę mi mówić Radcliffe. Zapewne mam przyjemność z panną Murphy.

- Rzeczywiście - potwierdziła Cath i spojrzała pytającym wzrokiem na Radcliffe'a. - Pańska żona? Nie przyjdzie? Píše do mnie wiele listów...

- Doprawdy? - wykrzyknął Radcliffe. Umilkł na chwilę, wspierając dłonie na biodrach, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu i wszedł do sali. Stał przed Cath, nie przestając się uśmiechać i kręcąc powoli głową. Potem przypomniał sobie: - Ach tak, Fancy, moja żona. Niestety, coś się stało i biedna Fancy nie mogła przyjść. Cassie... cóż, mieliśmy mały wypadek z Cassie, ale wszystko będzie dobrze. Fancy zabrała ją do lekarza.

Mówił szybko, nadmiernie ożywionym tonem. Wziął krzesło, okręcił je i usiadł, obejmując ramionami oparcie.

- No cóż - powiedziała Cath, podnosząc głos. - Wobec tego dziękuję panu... ach, Radcliffe, za przyjście. Wszyscy uwielbiamy Cassie, naprawdę ma charakter. Z czytania... - Przerwała, ponieważ mężczyzna wpatrywał się w jej twarz, huśtając się lekko na krześle.

- A więc jest pani nauczycielką Cassie? - spytał nagle, jak gdyby nie mówiła nic przedtem. - Cath Murphy, tak? Ogromnie miło mi panią poznać. - Wyciągnął rękę, jakby chciał się przywitać, ale Cath była zbyt zaskoczona,

by podać mu swoją. - Mam nadzieję, że córka nie sprawia pani kłopotu? - dodał, huśtając się znowu beztrudnie na krześle.

- Kłopotu? - powtórzyła z trudem Cath. - No cóż, nie, niespecjalnie.

- Niespecjalnie! - uśmiechnął się promiennie Radcliffe.

- Po prostu trochę się martwię - wyjaśniła Cath. - Cassie wydaje się czasami... zła na cały świat? I używa... nieodpowiednich słów. Skanduje nieodpowiednie słowa.

- Och, to taka jej zabawa - zgodził się Radcliffe. - Wiem! Wybiera jakieś słowo i w kółko je powtarza? Nie mamy z żoną pojęcia, co z tym począć.

- Próbowałam kilku różnych strategii - oznajmiła Cath (ktoś musiał zachować się profesjonalnie) - ale jak dotąd żadna nie odniosła skutku. Czytałam również trochę na ten temat i dowiedziałam się, że niekiedy dzieci dostają czegoś w rodzaju obsesji na punkcie rzeczy, które wydają się zakazane, jeśli dzieci są wyłączone z... jeśli jest... przepraszam, nie sugeruję, że to odnosi się do pańskiej rodziny... ale czasami tak się zdarza, jeśli istnieje jakiś zakazany teren w rodzinie, jakaś tajemnica.

Radcliffe wpatrywał się w nią bez słowa.

- W każdym razie - dodała zakłopotana - takich właśnie słów użyto w artykule, który czytałam, i trafiło to do mnie... te słowa... zakazany, tajemnica...

- Tak jest faktycznie? - przerwał jej Radcliffe, wyraźnie zafascynowany. - Mówi pani, że dzieci, wychwytyjąc jakieś rodzinne sekrety, dostają... jak to pani ujęła? Obsesji na punkcie zakazanych rzeczy? Czy tak właśnie jest w tym przypadku?

- Nie chcę przez to, broń Boże, powiedzieć - wykrzyknęła Cath - że pańska rodzina ma jakiś sekret, zastanawiałam się jedynie... - Spróbowała zmienić temat. - Byłam zadowolona, kiedy Cassie zgłosiła się na ochot-

nika do napisania dla nas klasowej sztuki. Robi postępy, jeśli idzie o pisanie, choć o ile wiem, jeszcze nie zaczęła pracować nad sztuką...

Ale mężczyzna po prostu nadal się w nią wpatrywał. Cath spuściła wzrok, szukając gorączkowo w myślach innych tematów, lecz kiedy spojrzała na niego, podniósł się już z krzesła, jak gdyby wszystko zostało ustalone. Albo jak gdyby był zbyt podekscytowany, by zachować spokój. Wielkie nieba! - pomyślała Cath i wstała również.

- Proszę - rzekł Radcliffe, sięgając do kieszeni - oto moja wizytówka. Kiedy tylko zechce pani porozmawiać o naszej małej Cass, proszę zadzwonić do mnie do pracy. Radzę nie mieszać w to mojej żony. W tej chwili przeżywa głęboki stres - toteż najlepiej, na razie najlepiej będzie, jeśli zadzwoni pani do mnie. Dobrze? - Wcisnął jej wizytówkę do ręki. - Ogromnie się cieszę, że panią poznałem!

I po chwili znalazł się za drzwiami klasy, lecz zwrócony twarzą do Cath. Szurając znowu butami o wycieraczkę, rzekł z zakłopotaniem: „Ha, ha”, po czym obrócił się, machając ręką i wołając: „Zanosi się na deszcz!”, a następnie zniknął w ciemności.

- Boże drogi - wyszeptała Cath i zerknęła w drugi koniec sali.

Do Warrena nie przyszedł jeszcze nikt z rodziców. Siedział z pochyloną głową, przysłuchując się rozmowie. Teraz uśmiechnął się do niej, otwierając szeroko oczy. Cath odpowiedziała mu tym samym, na co on zrobił jedną z tych swoich min, lewy kącik ust podjechał mu do góry, prawy zjechał w dół.

O Boże, pomyślała Cath, wybuchając śmiechem. Wciąż go kocham. I on wciąż mnie kocha.

Następnie gromadnie przybyli rodzice.

Później, gdy ostatni rodzice otwierali w drzwiach parasole, szykując się do wyjścia na deszcz, Warren stanął obok niej. Na zewnątrz panowała ciemność i lało jak z ce-

bra. Tutaj, w środku, było ciepło, salę wypełniało dziwne pomarańczowe światło. Cath czuła bliskość ciała Warrena oraz jego oddech i wierzyła, że zamierza ją pocałować. Gdy tylko ucichną głosy rodziców, przytuli ją do siebie.

Lecz głosy ucichły, a Warren stał w pewnym oddaleniu, patrząc w deszcz.

- Nie mam pojęcia, co robić - rzekł powoli, poważnym tonem.

- Wiem - zgodziła się Cath.

Ale w głębi ducha myślała: „Przytul mnie, Warrenie, to wszystko”.

Warren stał w milczeniu, blisko, lecz nie dotykając jej, a Cath stała obok z opuszczonymi rękami i czekała.

Fancy Zing

Pomysł znajdował się w dżungli na suficie denty-
sty, ona jednak nie potrafiła wymyślić zakończenia.

- Mogę pójść jeszcze raz do dentysty, mamusi?

- Ale po co?

Był poniedziałek. Fancy zatrzymała właśnie samo-
chód przed szkolną bramą, nie wyłączając silnika.

- Po nic - odparła Cassie. - Ale mogę?

- Boli cię ząb, kochanie? Musisz mi powiedzieć, je-
śli tak jest.

- Który ząb? - spytała Cassie.

-Którykolwiek, Cassie. W ogóle ząb. Masz para-
sol? I list dla panny Murphy?

- Tak - apatycznie odrzekła Cassie.

- Tak, parasol? Tak, list? Nie zapomnij o liście, do-
brze? Daj go pannie Murphy, jak tylko ją zobaczysz, pa-
miętaj. Kochanie, przekrzywił ci się mundurek.

Cassie, stojąc na chodniku obok samochodu, po-
prawiała mundurek, aż w końcu uzyskała akceptację
matki. Gdy Fancy odjechała, przekreśliła go z powrotem.
Tak było ciepłej.

W poniedziałek po południu, przed sklepem spożywczym, Fancy przyglądała się grubasowi w ciemnoszarym garniturze, który krocząc zamasyżuje ulicą, dostrzegł nadchodzącego z przeciwnej strony chudego mężczyznę. Grubas uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona, zatrzymując się na środku chodnika. Jednocześnie chudzielec zawołał: „Cześć!”, mimochodem, bez zaskoczenia, choć dość przyjaźnie, i szedł dalej. Prawdę mówiąc, szedł tak dziarskim krokiem, że musiał obejrzeć się przez ramię, by usłyszeć odpowiedź na swoje przywitanie. Dopiero gdy się odwrócił, zauważył, że grubas stoi z rozłożonymi ramionami, gotowymi do uścisku. Chudy mężczyzna zdecydował jednak, że się nie zatrzyma, choć rozważał taką ewentualność, i maszerował dalej z uśmiechem, trochę przepaszającym, trochę kpiącym. Grubasowi opadły ramiona i ruszył przed siebie.

Jadąc ze sklepu spożywczego do domu, Fancy płakała z żalu nad grubasem.

Zdaniem Fancy trzeba dokonać wyboru, jeśli mąż powiedział coś niemiłego, a zwłaszcza: być brutalną, być silną lub stroić fochy.

„Być brutalną” i natychmiast odgryzać się w równie nieprzyjemny sposób.

„Być silną” i kategorycznie postanowić nie zwracać na to uwagi. Ale do tego będziesz musiała zużyć odrobinę miłości, którą darzysz swojego męża. Będziesz musiała okroić wystarczająco dużo miłości, by wybaczyć. Po jakimś czasie ten kawałek może odrosnąć, czasami jednak nie odrasta. A jeśli zetniesz wszystkie łagodne krzywizny, zostanie ci miłość o ostrych krawędziach.

„Stroić fochy”, czyli się dąsać. Ale dąsanie się jedynie opóźnia decyzję bycia brutalną lub bycia silną.

Oglądając telewizję w piątkowy wieczór, Fancy stwierdziła:

- Sposób, w jaki to robią, jest nieszczerzy.

Miała na myśli gospodynię telewizyjnego talk-show, która udawała przestraszoną pojawieniem się na planie małego żółwia. Za żółwiem podążał jego właściciel, dumny, lecz rozemocjonowany, gotowy, by opowiedzieć o żółwiu.

- Wiesz, co zauważyłem? - spytał Radcliffe. - Kiedy wymawiasz słowo „nieszczerzy”, masz taką komicznie zadowoloną z siebie minę. Jesteś bardzo z siebie dumna, kiedy wymawiasz to słowo, co?

Być brutalną, być silną czy stroić fochy? Fancy zwykle wybierała dąsanie się.

We wtorek rano, gdy Fancy się obudziła, przypomniała sobie, że umówiła ich do terapeuty. Przez chwilę leżała smętnie w łóżku, uświadomiwszy sobie, że powinna była odwołać wizytę - teraz nie miało to najmniejszego sensu. Radcliffe nie ma romansu. A jednak dziwne, pomyślała, że tak długo w to wierzyła.

I niemal natychmiast wyobraziła sobie rozmowę z psychologiem.

- Umówiłam się na to spotkanie, ponieważ zaczęłam podejrzewać mojego męża, że ma romans. Idiotyczne, prawda? Nie miałam absolutnie żadnego powodu, by tak myśleć, ale nie mogłam się powstrzymać!

- Och, Fancy - rzekł psycholog, wzdrygając się lekko - przykro mi to mówić, ale kobiety wiedzą, kiedy mężowie je zdradzają. Nawet jeśli na pozór nie ma na to żadnych dowodów, kobieta to czuje.

- Doprawdy? - spytała Fancy ze łzami w oczach.

- Doprawdy - potwierdził terapeuta.

-Radcliffe! - zawołała Fancy z iskierką nadziei do męża biorącego właśnie prysznic. - Mam ci coś do powiedzenia. Jesteś dziś zajęty? Muszę z tobą porozmawiać.

Radcliffe przyjął wiadomość o wizycie u psychologa zaskakująco ochoczo, mimo że Fancy zawiadomiła go o niej w ostatniej chwili.

- Hm - powiedział, nagi, trzymając obie dłonie na kurkach prysznicza. - Kurs doskonalenia małżeństwa, co? Czemu nie?

Ale w jasnozielonym gabinecie w Ośrodku Poradnictwa Rodzinnego w Winston Hills nic nie poszło zgodnie z planem Fancy. Na początek okazało się, że terapeuta jest bladym, chudym, łysym mężczyzną, który siedział ze skrzyżowanymi i dziwnie wykręconymi w kostkach nogami. Wyglądało to tak, jak gdyby chciał zapleść je w warkocz.

- Cóż - rozpoczęła odważnie Fancy - umówiłam się na to spotkanie, ponieważ zaczęłam podejrzewać mojego męża, że ma romans. Idiotyczne, prawda? Nie miałam absolutnie żadnego powodu, by tak myśleć...

Siedzący obok niej Radcliffe stracił na chwilę oddech.

- Fance, co ty u licha...

Rozplatając nogi i uśmiechając się życzliwie do Fancy, psycholog wtrącił:

- To jedna z rzeczy, nad którymi musimy popracować. Przede wszystkim, Fancy, zapewniam cię, że takie nieuzasadnione obawy są czymś normalnym na tym etapie małżeństwa. Zbliżasz się do wieku średniego i przypuszczam, że obawiasz się, iż przestaniesz być atrakcyjna dla swego męża. Niepokoisz się, że może się znudzić i szukać gdzie indziej... mam rację?

Radcliffe i terapeuta patrzyli na nią, czekając na odpowiedź.

-Zbliżam się do wieku średniego? - wyszeptwała.

- Przecież ja mam dopiero trzydzieści cztery lata.

Obaj mężczyźni uznali to za żart i roześmiali się z uznaniem..

Terapeuta pytał Fancy przez pewien czas o to, jak wyglądają jej dni, i o jej mechanizmy obronne.

- Mechanizmy obronne?

- Co robisz, kiedy zaczynasz panikować, że zbliżasz się do wieku średniego?

Fancy przyznała się, że lubi wyobrażać sobie, iż uspokaja dwie rozżłoszczone mewy. I że lubi również wyobrażać sobie hotelowy hol. I na koniec, że lubi wspominać oświadczenia Radcliffe'a.

Panowie nie odzywali się, gdy wymieniała „mechanizmy obronne”, a kiedy dotarła do oświadczeń, poczuła rękę Radcliffe'a na swoim ramieniu. Odwróciwszy się, zobaczyła, że ma zamglone oczy.

- To dopiero pierwsza sesja - przypomniał im terapeuta. - Nie oczekujcie, proszę, że wszystko będzie rozwiązane dzisiaj. Fancy, popracujemy nad twoimi stresami, możesz być tego pewna, jak również nad mechanizmami radzenia sobie z nimi. Na razie tylko wykładamy karty na stół.

Następnie dał im obojgu notatniki i długopisy i poprosił, by napisali do siebie nawzajem listy wyjaśniające, czego u siebie nie lubią.

- Nie lubimy? - wykrzyknęła Fancy.

- Właśnie tak. Zaufajcie mi, dobrze?

Fancy i Radcliffe usiedli obok siebie w gabinecie terapeuty, z notatnikami na kolanach. Radcliffe zastanawiał się chwilę, gryząc końcówkę długopisu, zaśmiał się cicho i zaczął pisać. Fancy wahała się. Nie może przecież tak po prostu pisać o rzeczach, których nie lubi. Czy psycholog nie zdaje sobie sprawy, jakie mogą być tego konsekwencje? Radcliffe będzie musiał wybrać, czy ma być brutalny, silny, czy stroić fochy? Podobnie jak ona. Jeśli oboje postanowią być brutalni, cykl będzie ciągnął się w nieskończoność.

Należy zapewne odpowiedzieć inteligentnie, udając, że wymienia się *rzeczy*, których się nie lubi, a tak naprawdę odsłaniając głębię miłości. Tak jak w rozmowie kwalifikacyjnej, kiedy pytają cię o twoje słabe punkty.

Z drugiej strony terapeuta chciał, by „wyłożyli karty na stół”. Może chodziło mu o to, by „wyrazili” to, co ich irytuje, dla własnego dobra? Bardzo dobrze, wyrazi swoje uczucia, ale zrobi to w taki sposób, że Radcliffe nigdy nie zdoła zrozumieć.

Drogi Radcliffe!

W kółko! W kółko!

Zostaw to! Zostaw to! Ja to zrobię.

Pac, pac, pac.

Pac, pac, pac.

Fancy! Ha! Mój pies...

Fancy! Grrr, po prostu odchrząkuję!

Zostaw to! Zostaw to! Ja to zrobię!

Pac, pac, pac.

Pac, pac, pac.

W kółko! W kółko!

Ściskam serdecznie,

Fancy

Droga Fancy!

Zdecydowanie wolałbym napisać o rzeczach, które w tobie lubię, ale niestety mamy za zadanie wymienić te, które nas irytują. A więc:

- Szczerze mówiąc, nie bardzo lubię twoje pieprzyki.

- Prawie nigdy nie pytasz mnie, jak minął mi dzień.
 - Nie powinnaś tyle wzdychać podczas zmywania. Rób to lub nie, ale nie wzdychaj.
 - Nie lubię twojego ciasta z rodzynkami.
 - Marnotrawisz wino, które nalewam ci do kieliszka, nie pijąc do dna. Czy higienicznie jest wlewać je z powrotem do butelki? Nie.
 - Czasami jesteś trochę nudna i się powtarzasz.
 - Bardzo rzadko budzisz mnie minetką.
- Ucałowania,
Radcliffe

*

W środę Fancy zostawiła swój samochód w serwisie Valerio Auto do wyważenia kół i ustawienia zbieżności, po czym wróciła autobusem do domu.

Czekając na stopniach autobusu, by zapłacić za przejazd, dostrzegła zdjęcie na identyfikatorze kierowcy zawieszonym na wstecznym lusterku. Przedstawiało mężczyznę po pięćdziesiątce, o przystojnej twarzy i ujmującym uśmiechu. Kiedy jednak przyszła jej kolej płacenia, Fancy ujrzała innego człowieka. To znaczy był to ten sam mężczyzna o przystojnej twarzy - tyle że wykrzywił ją gniewny grymas niezadowolenia.

Przez całą drogę Fancy obserwowała kierowcę. Jego mina nie zmieniła się ani na chwilę. Wyobrażała sobie czas, kiedy zostało zrobione zdjęcie: jak być może mężczyzna był zadowolony z tego, że dostał pracę, jak być może przez całe życie pragnął zostać kierowcą autobusu i oto spełniło się jego marzenie! Otrzymał uniform

i zrobiono mu zdjęcie. Żartował z fotografem i uśmiechał się radośnie.

I co się potem stało? Jakaś tragedia osobista? A może uprzykrzyło mu się codzienne zmienianie biegów, otwieranie i zamykanie drzwi, brzęczyki nakazujące mu się zatrzymać, bilety, kontrolerzy, nastolatki udające, że mają mniej lat, by kupić taniej bilet, ludzie pochylający się nad nim, by zapytać, gdzie wysiąść, włożenie z butami na siedzenia, porozrzucone puste puszk po coca-coli. Czy znużyła go właśnie codzienna monotonia?

Fancy płakała przez całą drogę do domu.

W środę po południu Fancy pracowała nad swoją powieścią, która zdobędzie nagrodę literacką. „Szukaj postaci do swojej książki w życiu codziennym”. Pamiętała, że przeczytała gdzieś tę radę.

Przyszedł jej na myśl nachmurzony kierowca autobusu i zastanawiała się, czy on mógłby być taką postacią. Byłby to rodzaj powieści o publicznych środkach komunikacji. Komunikacja byłaby językiem, którego nauczy swoich czytelników! Z podnieceniem wpisała słowo „komunikacja publiczna” do wyszukiwarki internetowej. Zapisała sobie adresy rozmaitych, jej zdaniem przydatnych witryn internetowych: dlaczego by nie wymienić odpowiednich URL na początku każdego rozdziału? Dlaczego by nie - i tu ogarnęło ją jeszcze większe podniecenie - dlaczego by nie odesłać czytelników do Google'a? „Jeśli interesuje cię którykolwiek z tematów poruszonych w powieści, wprowadź do wyszukiwarki Google następujące hasła: autobus, pociąg...”.

-Hmm... - Fancy przerwała gorączkowe zapisywanie i podniosła głowę, marszcząc brwi.

Cichy dźwięk przyciągnął jej uwagę. Uświadomiła sobie, że od pewnego czasu w progu jej pracowni stoi Cassie, pukając delikatnie w drzwi.

- Cześć, Cassie! - powiedziała.

- Cześć, mamó - odparła Cassie, kiwając głową.

- Czy mogę pomalować sufit w mojej sypialni? Proszę.

- Na jaki kolor chciałabyś go pomalować? - zainteresowała się Fancy, odwracając się do niej ze swoim biurowym fotelem.

- Na wiele kolorów - wyjaśniła Cassie. - Musi wyglądać jak dżungla. Mają tam być małpy, słonie, gepardy... - Cassie wyliczała zwierzęta na palcach, lecz jej głos gdzieś odpływał.

- Cóż - rzekła Fancy - czemu nie?

Pojechały razem z Cassie do sklepu i kupiły farbę, pędzle oraz małą drabinkę. Następnie spędziły bardzo przyjemne popołudnie, stojąc obok siebie i malując. Fancy namówiła Cassie, by umieścić dżunglę raczej na ścianach niż na suficie, żeby nie trzeba było wykręcać szyi.

Stała na górnym stopniu drabinki, ozdabiając gwiazdami niebo nad dżunglą, a Cassie siedziała po turecku na podłodze i malowała samice żuków w trawie, gdy Radcliffe wrócił do domu.

Usłyszały warkot samochodu na podjeździe, a następnie głos Radcliffe'a od drzwi:

- Fancystycznie! Moja Fancy jest w domu!

Cassie odłożyła na chwilę pędzel i podniosła głowę.

- Mamusiu, dlaczego on nigdy nie mówi: „Fancystycznie, moja Cassie jest w domu”?

Fancy popatrzyła w dół na córkę.

- Albo - mówiła dalej Cassie, wracając do malowania - „Cassistycznie, moja Cassie jest w domu”?

- Dobre pytanie, Cassie - odparła Fancy.

W każdy piątkowy poranek Fancy zawoziła dokumenty związane z Sekretem Rodzinnym Zingów do punktu ksero w centrum handlowym Castle Hill, by je skopiować.

Młody brodaty mężczyzna o zapadniętych policzkach i sztywnych od lakieru włosach, który siedział za kontuarem, uśmiechnął się entuzjastycznie, gdy Fancy weszła do środka.

- Pierwszy klient! - oznajmił.

- Dziękuję - odparła ni w pięć, ni w dziewięć Fancy, po czym dodała: - Chciałabym skopiować te dokumenty.

- Nie ma problemu - rzekł mężczyzna. - Proszę za mną.

Ku zdumieniu Fancy zaprowadził ją po schodkach na górę, otworzył zamknięte na klucz drzwi i wpuścił ją do małego ciemnego pomieszczenia. Zaczął pstrykać wyłącznikami, mrużąc pod nosem:

- Co, u diabła? Gdzie jest światło?

Fancy ogarniało już zdenerwowanie, ale mężczyzna znalazł w końcu właściwy kontakt i pokój napełnił się światłem. Stało tu, zauważyła Fancy, kilka kserokopiarek. Mężczyzna podszedł do jednej z nich i włączył ją.

- Może trochę potrwać, zanim się rozgrzeje - wyjaśnił przepaszającym tonem. - Będę przychodził do pani co jakiś czas i sprawdzał. Ma pani dużo do skopiowania?

- No cóż - wycedziła Fancy - prawdę mówiąc, nie zamierzałam zajmować się tym sama. Zwykle ktoś tutaj robi dla mnie kserokopie.

Na twarzy młodego mężczyzny odmalowało się okropne, nieoczekiwane zakłopotanie. Wyłączył maszynę, zgasił światło i wypchnął Fancy z pomieszczenia. Zeszli z powrotem po schodach.

- Przepraszam - rzekł nieco chłodnym tonem, gdy znów zajął swoje miejsce za kontuarem - ale to mój pierwszy dzień tutaj.

Przez resztę dnia Fancy płakała nad mężczyzną z punktu ksero. Wszystko w porządku, pocieszała go w myśli, to zwykła pomyłka. Nie wolno ci tracić entuzjazmu. Ciesz się swoim życiem.

Próbowała poprawić sobie nastrój perspektywą spotkania z Cath Murphy. Po raz pierwszy będą rozmawiała osobiście z Cath Murphy. Ale tylko rozpląkała się jeszcze żałośniej.

Tego samego popołudnia Fancy przymierzała kolczyki, które chciała włożyć na wywiadówkę, kiedy Cassie stanęła w progu jej sypialni, cichutko pociągając nosem.

- Cześć, Cassie! - powiedziała Fancy, widząc ją w lustrze. - Myślałam, że bawisz się na dworze.

- Cześć, mamó - odparła Cassie i zakasłała.

Fancy nadal przymierzała najróżniejsze kolczyki.

- Mamusiu? - odezwała się Cassie po chwili.

- Tak, kochanie?

- Czy mogę ci pokazać moją stopę?

- Widziałam już twoją stopę! - zażartowała Fancy, po czym, gdy Cassie pominęła jej uwagę milczeniem, odwróciła się i spojrzała na córkę. - No, dobrze, zobaczmy twoją... mój Boże, Cassie, coś ty zrobiła?

Prawa stopa Cassie była wielkości dużego bochenka chleba.

- Użądliła mnie pszczoła - wyjaśniła Cassie. - A ja mam alergię na pszczoły, prawda, mamusiu? - Następnie powoli osunęła się po futrynie drzwi na podłogę, szepcząc: - Trudno mi oddychać.

Radcliffe przyjechał z pracy właśnie w chwili, gdy Fancy wynosiła córkę z domu.

- Użądlenie pszczoły - zawołała, biegnąc podjazdem do samochodu. - Muszę ją zawieźć do szpitala.

Radcliffe zatrzasnął drzwi swojego auta.

- Zrobiłaś jej zastrzyk? - spytał.

-Tak, i dałam jej wapno - potwierdziła Fancy.
- Czuje się już lepiej. Prawda, kochanie? Ale na wszelki wypadek musi obejrzeć ją doktor.

Radcliffe podszedł i otworzył przed nią drzwi jej samochodu.

- Ale jej oczy! Cassie, co się dzieje z twoimi oczami?

- Trochę ją swędzą - odparła pogodnie Fancy, domykając drzwi za córką.

- Już mniej - krzyknęła Cassie przez okno.

-Odpręż się trochę, Cass - zasugerowała Fancy, siadając za kierownicą.

Radcliffe zawahał się, pełen niepokoju.

- Zostanę tutaj, co? A może pojedę z wami?

Fancy włączyła wsteczny bieg i wcisnęła gaz do dechy.

Kiedy wróciły, była dziesiąta wieczorem i Cassie spała jak suseł. Fancy zaniósła ją do sypialni, przebrała w piżamę, po czym usiadła na brzegu łóżka, przyglądając się śpiącej córeczce.

Radcliffe zajrzał do sypialni, pytając:

- Jak ona się czuje? Już dobrze?

Fancy skinęła twierdząco głową.

Przeszli do kuchni, by napić się herbaty.

-A tak przy okazji - rzekł Radcliffe, napełniając wodą czajnik - pewnie martwisz się, że nie byłaś na wiadówce?

- Och - jęknęła Fancy, przypominając sobie.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość! - pocieszył ją Radcliffe. - Zadzwońiłem do szkoły i udało mi się porozmawiać z Cath. Wyjaśniłem, że nie mogłaś przyjść, i spytałem, czy mogłaby się spotkać z tobą w innym terminie. Obiecała, że oddzwoni i ustali z tobą dzień.

- Rozmawiałaś z nią?!

- Tylko przez moment i tylko przez telefon - stanowczo zapewnił ją Radcliffe. - Nie przejmuj się, Fancy. Tak jak wszyscy ustaliliśmy, będziesz pierwszą osobą, która spotka się z Cath osobiście. Dobrze? I zrobisz to na własną rękę.

- No cóż! - Fancy się wzruszyła. - Bardzo ci dziękuję, Radcliffe.

Radcliffe zrobił poważną minę.

-Zgadzam się z twoją matką - oświadczył - że powściągliwość, jaką okazywałaś w tym roku, jest godna najwyższego uznania. Łatwo byłoby ci znaleźć pretekst, by się z nią spotkać. Ale nie. Zachowałaś ostrożność i czekałaś, aż nadejdzie właściwy czas. Teraz musisz jedynie poczekać trochę dłużej, a ona do ciebie zadzwoni.

Fancy zamrugała powiekami. Łzy zakreśliły jej się w oczach.

- Ale opowiedz mi o tej szpitalnej wpadce - poprosił Radcliffe. - Kazali wam czekać aż tyle czasu?

- Tak - odparła Fancy. - Uwierzyłybyś w coś takiego?

Marbie Zing

W poniedziałek, podczas przerwy śniadaniowej, Listen błąkała się bez celu, udając, że dokądś idzie, lecz w myśli wspinała się po zewnętrznej ścianie głównego budynku Redwood. Widziała na całym murze punkty oparcia dla rąk i nóg - gzymsy nadokienne, wystające cegły, rury wodociągowe - i robiła szybkie postępy w ćwiczeniach ze wspinaczki.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: pierwszoklasistka została uwięziona wysoko na parapecie okiennym. Listen wspina się po ścianie i błyskawicznie ratuje dziecko, a większość siódmoklasistek przygląda się temu z podziwem z dziedzińca szkolnego.

Następna sytuacja: po przerwie śniadaniowej, podczas zajęć w pracowni fizyczno-chemicznej, zaskakuje ich napastnik, który zamierza wziąć dziewczynki jako zakładniczki. Listen wyslizguje się z ławki. „Bez paniki!” - szepcze, a dziewczęta garbią się nad pulpitemi, oczy mają przerażone. Listen biegnie przez całą klasę i zadaje boczny cios stopą z wyskoku i obrotu! Uderza z głuchym łomotem w białą tablicę, która wpada w korkociąg niczym bojer na lodzie. To odwraca uwagę intruza i Listen daje mu łupnia, wykonując serię ciosów z pełnego obrotu, kopnięcia piętą, kopnięcia boczne, stosując blok przy użyciu obu rąk, z otwartymi dłońmi.

Zdyszana, z jedną stopą na piersi zdumionego nastpnika (teraz leżącego na plecach na podłodze), Listen spogląda na koleżanki. Szlochają ze strachu i z ulgi, lecz również biją jej brawo.

I jeszcze jedno: ten nauczyciel z Redwood - pan Bel Castro - przypadkiem prowadzący lekcję, patrzy na nią z podziwem i mówi: „Bardzo mi się to podobało”.

Drogi Vernonie!

Piszę tylko po to, by Ci coś powiedzieć, ponieważ w dalszym ciągu rzucaś słuchawkę, kiedy dzwonię do Ciebie.

Oto co chcę Ci powiedzieć: jesteś zabawny, miły, inteligentny i atrakcyjny, a kiedy marszczysz brwi, między Twoimi oczami robi się jedna maleńka zmarszczka w kształcie litery Y.

Ściskam Cię serdecznie,

Marbie

Po wysłaniu listu do Vernona Marbie siedziała jak zwykle na jednej ze swoich poduszek i rozmyślała, z narastającym niepokojem, o tym, jak bardzo za nim tęskni.

Wspominała, jak kiedyś umówiła się z Vernonem i Listen w Castle Hill, lecz na pół godziny przed ustaloną godziną przypadkowo dostrzegła ich z daleka. Vernon również ją zauważył i stanął jak wryty, upuszczając torby z zakupami na ziemię, uśmiechając się ujmująco i otwierając szeroko ramiona, kręcąc głową, jak gdyby mówił: „Spójrz, kogo my tutaj mamy!”, a stojąca obok niego Listen chichotała jak szalona.

Pamiętała, ile cierpliwości okazywał, kiedy dręczyły ją koszmary senne i kiedy chodziła we śnie. Jak przerażona budziła się ze złego snu, a Vernon, leżący przy niej w ciemności, mówił spokojnie swoim „dziennym” głosem: „Marbie? Dobrze się czujesz?”

Pamiętała, że gdy dotykała jego kolana czy przedramienia, nie przerywał rozmowy, lecz od niechcienia nakrywał jej dłoń swoją i bardzo delikatnie pieścił ją kciukiem.

Pamiętała też przyпіływy miłości, gdy patrzyła, jak garbi się nad papierami, opracowując pomysły dla baru Banana. Albo gdy widziała, jaki dobry jest dla swojej siostry - jak poważnie podchodzi do jej edukacji, jak zna wszystkie imiona i ulubione zajęcia jej koleżanek. Był ogromnie rozczarowany, że w tym roku Listen przestała opowiadać o szkole i o koleżankach, lecz zastanawiał się nad tym kiedyś późnym wieczorem i doszedł do wniosku: „Chyba po prostu dorasta i muszę pogodzić się z tym, że ma swoje własne życie. Nawet jeśli naprawdę brakuje mi jej opowieści, to musi być jej decyzja, czy zechce coś mówić, czy nie”.

Teraz Marbie wiedziała, że nadszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z samą sobą. Dlaczego wdała się w romans z inżynierem lotnictwa? Usadowiła się wygodniej na poduszce i zamknęła oczy. (Ktoś kiedyś powiedział jej, że pomysły i odpowiedzi rodzą się podczas snu).

Mimo że I.L., obiektywnie biorąc, nie był atrakcyjny, z pewnością istniało między nimi osobliwe iskrzenie, które, jak przypuszczała, było „chemią”. Dlaczego zabrakło jej siły, by je zignorować? Trzeba było tylko odczekać, trzymać się z daleka, a to wzajemne przyciąganie w końcu by przeminęło. Musiał być jakiś inny powód.

Zaczęła się zastanawiać nad teorią Toni, która twierdziła, że powodem był fakt, iż zamieszkała z Vernonem i jego siostrą. Czy mogło chodzić o Vernona? Czy podświadomie zareagowała na wszelkie znaki na niebie i ziemi, że będzie z nim przez resztę życia? Przecież kupiła wspólnie z nim mieszkanie i wyjawiała mu Rodzinny Sekret Zingów. Stopień zaangażowania był imponujący i być może przytłaczający.

To zwykła bzdura, pomyślała, zachwycało mnie wspólne życie z Vernonem. Widziałam w nim ideał. Byłam przerażona, że mogę go stracić! Uważałam, że muszę skoncentrować się na chronieniu szczęścia - miałam obsesję na punkcie drabin i czarnych kotów! Lękałam się podejmować najprostsze decyzje - jak się ubrać do pracy; czy zostawić spinacze pod biurkiem - w obawie że jedna taka drobna rzecz może to szczęście zniszczyć. Z przerażenia ledwie mogłam oddychać! Węszyłam katastrofę na każdym kroku, stan napięcia mnie dobijał.

I stało się.

Powieki Marbie zatrzepotały, poprawiła się na poduszce. Przez chwilę było to dla niej jasne. Jeśli miała stracić Vernona w jakimś nieznanym momencie swego życia w przyszłości, wolała, żeby stało się to od razu. Jeśli katastrofa zbliżała się do niej z wielką prędkością, zrobi ruch, by znaleźć się dokładnie na jej drodze.

Poczuła, że morzy ją sen. Jej odkrycie rozpadało się, w głowie miała zamęt. Szukała odpowiednich słów, lecz w głowie nie znajdowała nic poza małymi ostrymi przedmiotami, czubkami malutkich spinaczy do papieru, szybujących w powietrzu.

W środę rano, gdy nauczycielka odczytywała listę obecności, kobieta w rozpinanym swetrze i drewnianych koleczykach wywołała Listen.

- Czy mogłabym wypożyczyć Listen Taylor? - poprosiła od drzwi.

- Czemu nie? - odparła nauczycielka.

Kobieta przedstawiła się Listen, gdy szły do jej pokoju. Nazywała się Woodford i była psychologiem szkolnym w Redwood. Jej gabinet był bardzo mały - rozmiarów pakamery sprzątaczek - lecz każdy skrawek powierzchni

zajmowały papierowe lampiony, papierowe łabędzie, papierowe niedźwiedzie i przyciski do papieru. Na ścianie wisiało zdjęcie lisa.

Chociaż pani Woodford sprawiała wrażenie miłej osoby, Listen była zdezorientowana, nie miała pojęcia, po co ją do siebie zaprosiła.

Po krótkiej pogawędce o pogodzie, jak ciepło się robi, zbliża się lato, jak trudno w ogóle pamiętać, że padał śnieg, pani Woodford spytała, czym zajmują się jej rodzice. Listen wyjaśniła, że zginęli w wypadku, gdy była małą, i że wychowuje ją starszy brat, który prowadzi bar Banana. Mieszkali razem z dziewczyną brata, Marbie, dodała, gdy pani Woodford wyraźnie oczekiwała na szczegóły, lecz ostatnio musieli przeprowadzić się z powrotem do przyczepy kempingowej.

- Och! - wyraźnie zmartwiła się pani Woodford.

Prawdę mówiąc, była tak bardzo zmartwiona, że Listen musiała ją uspokoić:

- Wszystko jest w porządku. Nie mam nic przeciwko mieszkaniu w przyczepie. Po prostu tęsknię za Marbie. Ale poza tym jest dobrze.

Pani Woodford bawiła się prostokątem kolorowego brystolu, z którego wyczarowała różę.

- Super - powiedziała Listen. - Jak pani to zrobiła?

- A więc - pani Woodford pominęła jej pytanie milczeniem - jak się czujesz w szkole?

- Świetnie - odparła Listen, nie odrywając wzroku od róży.

-Aha. Czyli masz wiele koleżanek, z którymi się wygłupiasz?

Wygłupiam się? - pomyślała Listen. Co to znaczy?

- Tak - odrzekła, patrząc na papierową różę, która wydała jej się teraz podobna do kapusty. - Po szkole chodzę na taekwondo i uprawiam wspinaczkę. Toteż mam tam kilkoro dobrych przyjaciół.

- A w tej szkole?
- Cóż, to szkoła podstawowa, a więc wszystko wygląda inaczej - wykręciła się Listen.
- Ale mnie chodzi o koleżanki z twojej klasy.
- Tak, mnóstwo - potwierdziła Listen.

Potem pani Woodford ucięła sobie z nią pogawędkę, opowiadając, jak bardzo jest szczęśliwa, że dostała pracę psychologa szkolnego w Redwood. Zachęciła Listen, by wpadała do niej, kiedy tylko zechce, i wreszcie pozwoliła jej wrócić do klasy.

Listen mówiła prawdę o pozaszkolnych przyjaciotach - zyskała dwoje nowych. Na zajęciach taekwondo rozmawiała czasami z Carlem Vandenbergiem, który miał czarny pas. Któregoś dnia zauważyła emblemat szkoły średniej Bellbird na jego torbie i powiedziała mu, że bywała w domu sąsiadującym z Bellbird w każdy piątkowy wieczór. Carl zaproponował, by rozglądała się wtedy za nim, ponieważ w piątki zostaje w szkole dłużej - ma lekcje gry na skrzypcach. Nie miała okazji wyjaśnić mu, że obecnie nie chodzi już do Zingów, albowiem wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem, szydząc, że posiadacz czarnego pasa gra na skrzypcach.

Poza tym podczas wspinaczek poznała dziewczynę z końskim ogonem, Samalię Janz, która zawsze wołała: „Cześć” i „Na razie”, jak gdyby uważała Listen za równą kumpelę. Listen była całkiem pewna, że wkrótce zostaną przyjaciółkami.

Tego samego dnia po szkole Listen wyjęła korespondencję z ich skrytki pocztowej, ale były tam jedynie dwa listy do Vernona.

Idąc z listami do baru Banana, nie wcisnęła guzika w sygnalizatorze świetlnym, lecz wyskoczyła na ulicę, zatrzymała się, przepuszczając ciężarówkę, po czym pobiegła dalej.

Vernon siedział sam, jedząc banana w czekoladowej polewie. Siedział na ladzie baru, mając nogami.

- Co tam masz? - spytał, zerkając na listy.

- Nic - mruknęła Listen, siadając obok niego na kontuarze.

Vernon odchylił się do tyłu i podał również siostrze czekoladowo-bananowy przysmak.

- O, to z twojej szkoły - rzekł, otwierając pierwszą kopertę. - Wiedziałaś o tym?

- O czym?

- O tym, że zamierzają zorganizować obóz. Wyremontowali już wasze klasy, będziecie mogły tam wrócić za dwa tygodnie. Zabierają was w góry w przyszły weekend, ponieważ równe z was dziewczyny. Równe dziewczyny. Tak tu jest napisane. Widzisz?

- I co z tego?

- Zawsze uważałem cię za równą dziewczynę, Listen - powiedział Vernon. - A teraz jest to tutaj, czarno na białym. Zaczekaj sekundę. Piszą dalej, że zamierzają przeprowadzić tam dodatkowe lekcje, byście mogły nadrobić zaległości. Zatem obóz jest obowiązkowy.

- Obowiązkowy? - zdziwiła się Listen. - To niemożliwe.

- Co to ma być? - zdenerwował się Vernon. - Spełnalna nagroda za to, że jesteście takimi równymi dziewczynami, czy też obowiązek nadrobienia zaległości? - Podniósł list do góry i potrząsnął nim. - Zdecydujcie się!

- Od kogo jest ten drugi list?

Vernon wziął do ręki drugą kopertę - była brązowa, w papierze tkwiły dziwne kawałki kory i sznurka.

- Od nikogo - odparł i schował ją do kieszeni.

Drogi Vernonie!

Mam nadzieję, że otrzymałeś mój ostatni list. Jak również, że spodobają Ci się te „naturalnie” wyglądające koperty. Niesamowite, prawda?

Piszę, by Ci po prostu przypomnieć, jak bardzo jest mi przykro, że Cię zdradziłam, i że naprawdę gorzko żałuję swojego postępu. Jesteś taki niezwykły, że doprowadza mnie to do łez.

Ucałowania,

Marbie

*

Znalazła na wycieracze dużą różową kopertę, zamasyżuje zaadresowaną jedynym słowem: „Marbie”. Kolejne poezje, pomyślała, marszcząc brwi, poznała bowiem charakter pisma inżyniera lotnictwa.

W środku, jak słusznie podejrzewała, znajdowała jeszcze jedna z wizji inżyniera lotnictwa.

WIZJE INŻYNIERA LOTNICTWA WIZJA # 1563

Głęboko wewnątrz rogatek mojej kruchej aromatycznej kaczki,

widzę to, widzę to, widzę to

CIERPIENIE, ZŁAMANE SERCE!

Porzucenie!

Widzę też mężczyznę w kapeluszu na głowie.

I kota siedzącego na kapeluszu,

i wycieraczkę na...

Nie. Zaczekaj. To nie moje.

Posłuchaj. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

- No cóż - powiedziała na głos Marbie - to tyle, jeśli idzie o jego złamane serce.

Wtedy znalazła krótki liścik, napisany na maszynie i przyklejony na odwrocie kartki z wizją.

Marbleweed! Tęsknię za Tobą! Wróć do mnie!

W przeciwnym razie przeczytaj, co następuje:

RE: WASZ RODZINNY SEKRET.

UMÓWIŁEM SIĘ NA SPOTKANIE Z CATH MURPHY W PIĄTEK O PIERWSZEJ PO POŁUDNIU. ZAMIERZAM POWIEDZIEĆ JEJ NA TYM SPOTKANIU O WSZYSTKIM, CO WIEM!

DOSTARCZ 50 000 DOLARÓW W GOTÓWCE DO MOJEGO DOMU JUTRO W POŁUDNIE, A JA WYSTAWIĘ JĄ DO WIATRU.

JEŚLI ICH NIE DOSTARCZYSZ, GRA SKOŃCZONA!!!!!!!!!!!!!!

WYBÓR NALEŻY DO CIEBIE.

- Och! - powiedziała Marbie z kichnięciem typowym dla kataru siennego.

Spodziewała się, że płonne są jej nadzieje, iż będzie mogła tak po prostu odejść od I.L. i od jego małych pożarów podszycia.

Stała w drzwiach, czytając jeszcze raz list. Z pewnością nie pozwoli szantażować się w taki sposób. To jest jasne. Prawdopodobnie będzie zmuszona wrócić do swoich wieczornych wizyt w jego domu. Będzie zmuszona oglądać z nim telewizję, jeść jego chrupiącą lasagne i sprzeczać się z nim na temat Sekretu. Ale nie chce więcej z nim sypiać - stwierdziła stanowczo.

Wtedy jednak przeżyła wstrząs, uświadamiając sobie, że będzie musiała z nim spać. Jeśli zacznie znowu go odwiedzać, w końcu przywita ją znowu w bokserkach i muszce, mówiąc: „Marbie, tak dalej być nie może”.

- Nie - oznajmiła, unosząc brwi - nie może!

Szantażował ją. A ona zwyczajnie tego nie zauważyła.

Cofnęła się do domu, klaszcząc cicho w dłonie, co było u niej oznaką głębokiego namysłu. Następnie usiadła przy komputerze i zaczęła pisać.

Szanowny Panie!

Piszę do Pana w kwestii mojej pacjentki (Marbleweed Zing). Panna Zing poinformowała mnie ostatnio, że nawiązała z Panem „stosunek”. Byłem uszczęśliwiony, dowiadując się o tym -jej choroba odstrasza wszystkich jej chłopaków.

Otóż musi Pan wiedzieć, że panna Zing cierpi na poważne urojenia paranoidalne, generalnie obracające się wokół szopy ogrodowej jej rodziców. Cierpiąc na owe urojenia, wierzy w następujące rzeczy: szopa pokazuje się tylko gdy pada deszcz; szopa wykorzystywana jest jako baza do szpiegowania pewnej nauczycielki drugiej klasy; istoty pozaziemskie zjadły szopę (zarejestrowane urojenia: #32, #49 i #102) - i tak dalej.

Mam nadzieję, że panna Zing nie uległa żadnemu z tych urojeń w pańskiej obecności; jednakże może być roztargniona I czasami zapomina wziąć lekarstwo.

Przyszło mi na myśl, że może zechciałby Pan jej pomóc w pewien sposób. Niekiedy łagodne upomnienia potrafią wiele zdziałać -jak Pan bez wątpienia się orientuje, ona trochę wstydzi się swoich pigułek (nie rzucają się w oczy, są małe i czerwone) i udaje, że bierze je na katar sienny. Niech Pan wyjmie je z opakowania! Macha nimi dobrotliwie przed jej nosem! Niech Pan postuka ją opakowaniem po głowie! Drobne rzeczy, takie jak te, mogą tylko pomóc.

I jeszcze jedno, panna Zing wspomniała, że pisze Pan „wizje”, ponieważ siedzi w Panu rodzaj artystycznej „bestii”, która rozdziera Pańskie wnętrze. Moja fachowa rada - proszę rzucić poezję i zająć się raczej sportem. Myślał Pan kiedyś o polowaniu?

Proszę skontaktować się ze mną, gdyby miał Pan jakieś pytania co do panny Zing. Razem uda się nam rozgryźć ten orzech!

Z poważaniem,

*Doktor Arthur G. Graoestein, psychiatra, dr med., członek RACS, członek ACS, członek HKAM **

Na szczęście Marbie miała wystarczające oprogramowanie, poprzednie nagłówki firmowe, grubą białą papeterię oraz autorytatywne pieczęcie, by list wyglądał na autentyczny. Zingowie posiadali cały arsenał podobnego wyposażenia.

Także na szczęście przywykła do włamywania się do cudzych mieszkań. Prawdę mówiąc, Wtargnięcie w celach konserwacyjnych było domeną Marbie, dopóki Cath nie kupiła sobie kota, na którego Marbie była uczulona, i kichanie przeszkadzało jej w pracy.

Mimo że I.L. był kłopotem, Marbie z przyjemnością myślała o jeszcze jednym włamaniu, przez wzgląd na dawne czasy. Pojechała o drugiej w nocy do jego dzielnicy, zaparkowała przecnicę dalej, dostała się do jego domu przez okno łazienki i włożyła do szuflady szafki pudełeczko po tabletkach na katar sienny. W pudełeczku ukryła dwie małe czerwone pigułki.

Z sypialni po drugiej stronie korytarza dobiegało mamrotanie i chrapanie inżyniera lotnictwa.

* RACS - Royal Australian College of Surgeons;

ACS - American College of Surgeons.

HKAM - Hong Kong Academy of Medicine (przyp. tłum.).

- Phi - prychnęła pod nosem i wydostała się z powrotem na ulicę.

Wróciła do domu o drugiej piętnaście.

Później, gdy poziom adrenaliny opadł, Marbie leżała samotnie w łóżku, zastanawiając się nad sobą. Już dostatecznie głupie było angażowanie się w związek z I.L., dlaczego jednak zaplątała się dalej, wyjawiając mu Sekret? Nigdy nie zdradziła go nikomu poza Vernonem. Prośba o pozwolenie wyjawienia mu Sekretu stała się chyba punktem zwrotnym. Matka i Fancy powołały podkomisję, która zdecydowała, w trybie przyśpieszonym, że Marbie jest wystarczająco oddana Vernonowi, że Vernon jest wystarczająco w niej zakochany, że jest pod każdym względem fantastycznym facetem, toteż może go wtajemniczyć.

Było zupełnie tak, jak gdyby ogłosiła swoje zaręczyny. Wszyscy jej gratulowali, a Radcliffe rzekł zagadkowo:

- Teraz zatrzymasz go na zawsze, wiesz, Sekret ma wielki wpływ na przeciętnego faceta.

Mniej wyraźnie pamiętała okoliczności wyjawienia Sekretu I.L. Przypominała sobie uczucie naglącej potrzeby, wewnętrzny przymus, by mu powiedzieć. A przecież musiała wiedzieć, jakie ryzyko to niesie. Mógł wykorzystać tę wiedzę, by zniszczyć jej rodzinę. Czy chciała zniszczyć swoją rodzinę?

Jej senny umysł zaczął przywoływać różne obrazy: matka zamykająca wrota szopy; ojciec zerkający przez sprzęt monitorujący; Fancy zwinnie skacząca z okna na drzewo. Miała mętlik w głowie. W tych obrazach było coś wyjątkowo kruchego. Wydało jej się teraz, że jej rodzina zawsze znajdowała się na skraju katastrofy.

Oczywiście, że tak było. Całe ich życie opierało się na Sekrecie. Jedno przejęzyczenie i zachwieje się w posa-

dach. Dobijał cię ten stan napięcia, podpowiedział umysł Marbie.

To było coś znajomego. Uprzedzenie katastrofy przez wyjście jej naprzeciw. Być może, stwierdziła, bezustanne napięcie z powodu Sekretu wdarło się do każdego zakątka jej życia.

Myśli Marbie zaczęły się znowu rozrywać: zobaczyła jeżowce pogrążające się w piaszczystym dnie oceanu; zobaczyła nastoletnią Fancy w domku na plaży, oznajmiającą, że zrobiła coś niewiarygodnego. Tablica szkolna stała na dworze przed restauracją z jedzeniem na wynos, deszcz padał na nią leniwie, zmywając nazwy dań dnia.

Najdroższy Vernonie!

Opiszę Ci jedną z wielu rzeczy, które w Tobie kocham.

Sposób, w jaki potrafisz wyjąć jedną ręką dwie puszki coli z lodówki w barze, zanieść je i postawić na kontuarze. Potrafisz trzymać dwie puszki coli, jedną dla mnie i jedną dla siebie, w jednej wyciągniętej ręce.

Ucałowania,

Marbie

Wczesnym rankiem w piątek Listen przypomniała sobie, że może rzucić kolejny czar. Vernon był już w barze Banana, toteż miała przyczepę dla siebie. Zorientowała się, że w księdze zostało zaledwie kilka kartek, a zaklęcie rozpoczęło się od informacj, że jest trzecie od końca.

Tak, dalej, zostały już tylko dwa zaklęcia! A potem? Wszystko będzie dobrze! Być może masz ochotę zapytać dlaczego? Nie zadawaj pytań, a ja nie od-

powiem ci kłamstwami. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, tak brzmi to porzekadło? Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem? Absolutnie nie! No dalej, do roboty! A propos, po rzuceniu tego czaru, następne zaklęcie możesz wypowiedzieć w przyszły czwartek!!!

Co się dzieje z Magiczną Księgą? Zaczyna być nadpobudliwa.

Tak czy owak, oto Zaklęcie: Jak sprawić, aby użądliła kogoś pszczoła.

Listen zawahała się. Była absolutnie zdecydowana nie rzucać już ani jednego czaru, który komukolwiek mógłby wyrządzić krzywdę, a użądlenia pszczół są bolesne.

Ale zostały już tylko dwa zaklęcia i potem „wszystko będzie dobrze”. A ludzie często bywają użądleni przez pszczoły - to nic takiego.

Składniki

- Ty
- Zupełny Nieznajomy

Metoda

Przedstaw się Zupełnemu Nieznajomemu, ściskając mu dłoń, mówiąc: „Cześć!” i podając swoje imię i nazwisko. Następnie zadawaj Nieznajomemu następujące pytania w następującej kolejności:

- Czy jesteś czarodziejem?
- Czy masz może latający dywan?
- Czy masz może pod ręką składniki do ciasta z marchwi?
- Pomyśl, Nieznajomy: przed chwilą dowiedziałam się, jak masz na imię, a mimo to czuję, że znam każdą twoją myśl. Co to może znaczyć?

- Och, daj spokój - powiedziała Listen na głos i rzuciła księgę na podłogę przyczepy.

Później tego samego dnia, ledwie odezwał się dzwonek zwiastujący koniec lekcji, pani psycholog szkolny, Breanna Woodford, wsunęła głowę przez drzwi do klasy Listen i zawołała:

- Mogę jeszcze raz wypożyczyć Listen Taylor?

Listen poszła za nią przez boisko, tym razem jednak nie wchodziły do gabinetu, lecz zatrzymały się przed biblioteką. Biblioteka szkoły podstawowej Redwood mieściła się w niedużej sali za szybami ze szkła walcowanego, przez które było widać tekturowe hipopotamy przyklejone do ściany. Duża pluszowa żyrafa objadała liście z drzewa z krepiny, otwarte książeczki z obrazkami leżały wyeksponowane.

Przed drzwiami biblioteki stała dziewczynka. Miała długą grzywkę, która niemal zasłaniała jej oczy, wystrzępione dżinsy i mały złoty kolczyk w brodzie.

- A, tutaj jesteś - ucieszyła się pani Woodford, uśmiechając się do dziewczynki, jak gdyby nie miała złotego kolczyka w brodzie. - Listen Taylor, chciałabym, żebyś poznała nową uczennicę siódmej klasy - Annie Webb. Właśnie przeprowadziła się do tej dzielnicy i zacznie uczęszczać do waszej szkoły w przyszłym tygodniu! Oprowadziłam ją trochę, myślę jednak, że może ty opowiedziałabyś jej, jak wygląda życie tutaj, w Redwood, nie wspominając już o St Carmel. Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się uprzejmie Listen.

Pani Woodford uśmiechnęła się do nich obu i pośpiesznie ruszyła w stronę pokoju nauczycielskiego.

Annie Webb cofnęła się od drzwi biblioteki, tak że obie stały teraz na ścieżce, mierząc się nawzajem wzrokiem.

- No to - odezwała się nowa dziewczynka i podrapała się w brodę obok kolczyka.

Odwróciły się obie, odprowadzając wzrokiem panią Woodford idącą przez boisko.

- Mmm - zgodziła się Listen.

- Właśnie - przyznała nowa.

Obie się roześmiały.

- Jaka była twoja ostatnia szkoła? - spytała Listen.

- Zastrana dziura - odparła Annie.

- Aha - powiedziała Listen. - No cóż, ta również. Jesteśmy tu tymczasowo z powodu zalania klas w gimnazjum, ale nie chcę przez to powiedzieć, że w St Carmel jest lepiej.

Nowa pokiwała powoli głową i okręciła się na pięcie.

- Jeszcze nie wiem, czy będę chodziła do waszej szkoły - oznajmiła. - Nie mówiłam tego tamtej nauczycielce, ale sprawdzamy dzisiaj z mamą kilka szkół w tej dzielnicy, żeby móc podjąć właściwą decyzję. Zaraz, jak ona mówiła, że masz na imię?

Hm, pomyślała Listen, nie mam nic do stracenia.

- Cześć. - Wyciągnęła rękę, by uścisnąć dłoń nowej koleżance. - Jestem Listen Taylor. Czy jesteś czarodziejką? Masz może latający dywan? Masz pod ręką składniki do ciasta z marchwi? Pomyśl, Nieznajoma: przed chwilą dowiedziałam się, jak masz na imię, a czuję, że znam każdą twoją myśl. Co to może znaczyć?

Annie Webb wpatrywała się w nią bez słowa. Wreszcie wyszeptwała:

- Czy spytałaś mnie właśnie o składniki do ciasta z marchwi?

Listen przygryzła dolną wargę.

- O rety! - Annie pokręciła głową. - Naprawdę wydaje ci się, że znasz każdą moją myśl?

Listen nie miała pojęcia, co odpowiedzieć lub jak jej wyjaśnić, nie niszcząc czar. Spróbowała zrobić tajemniczą minę.

- Muszę już iść. - Annie odsuwała się od niej, idąc tyłem. Wydawało się, że nie obchodzi jej, dokąd idzie. Co-fając się w ten sposób, ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Listen. - Mama czeka na mnie, muszę lecieć. Może zobaczymy się w przyszłym tygodniu, jeśli zdecyduję się na tę szkołę. Chociaż muszę powiedzieć, że prawdopodobnie jej nie wybiorę. Mundurek jest do dupy.

Listen pokiwała głową.

»

Wstrząs anafilaktyczny, pomyślała Marbie. Był późny wieczór, piątek, i Fancy zadzwoniła do niej ze szpitalnego automatu z informacją, że Cassie została użądlnona przez pszczołę.

-Przecież ona wie, że cierpi na alergię - powiedziała Marbie. - Co robiła boso na dworze?

Fancy wyjaśniła, że Cassie miała na nogach sandałki, ale jej zdaniem pszczoła c h c i a ł a ją użądlić.

-Zupełnie nie rozumiem - zauważyła Marbie - dlaczego pszczoła miałaby chcieć kogoś użądlić. Czy one nie umierają natychmiast po użądleniu?

Fancy przyznała, że to dziwne, lecz zasugerowała, że pszczoła może o tym nie wiedzieć.

Teraz Marbie siedziała na wielkiej poduszce, myśląc o pszczołach, osach, pyłkach kwiatowych i pająkach snujących pajęczynę, ukrytych w tenisówkach. Myślała o tym, jak można potknąć się o przewód elektrycznej kosiarki lub poślizgnąć się na kostce lodu i stracić przytomność albo przypadkowo zostawić gaz i zapaść w śpiączkę. Plażowy parasol może ugodzić cię w czoło. Możesz udu-sić się właśnie na tej poduszce.

czwartkowa noc

Dwa tygodnie później, w czwartek, około północy, Cath Murphy leżała pod puchową kołdrą i czekała.

- Musimy po prostu poczekać - obiecał znowu Warren tamtego ranka. - Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny - Breanna i ja już się nie kochamy. To koniec. Miłość się skończyła.

Cath usiadła na brzegu łóżka i z nagłą wściekłością tupnęła nogą w podłogę. Po chwili uspokoiła się i wsunęła z powrotem pod kołdrę. Leżała spokojnie, cierpliwie.

Walec parowy przetoczył się od dużych palców jej nóg, klekocząc po kolanach, spłaszczając z kolei jej uda i brzuch, aż do szyi i twarzy, które zostały całkowicie zmiążdżone.

*

Prawie o północy w ten sam czwartek Fancy Zing siedziała na podłodze w salonie, ostrożnie przewracając stronicę powieści, która zdobędzie nagrodę literacką.

Do pokoju wszedł Radcliffe, w bokserkach i krótkich skarpetkach, kiwnął do niej głową i podniósł z kanapy szydełkowy koc.

- Tego mi właśnie trzeba! - Położył się na kanapie, starannie nakrywając się kocem, i zamknął oczy.

- Odezwała się już do ciebie Cath czy nie? - spytał po chwili.

- Nie - odparła, przewracając kolejną kartkę. - Wciąż czekam.

- Hm, obiecała, że zadzwoni. Jestem pewien, że zadzwoni. Dobranoc. - Wtulił się w kanapę.

Fancy czytała dalej jeszcze przez chwilę, potem spojrzała na Radcliffe'a, na jego skarpetki, prążkowane na kostkach, i na dziurę, przez którą wystawał duży palec. Jego łokcie rozpychały koc, oczy miał chyba świadomie zamknięte.

- Kocham cię, Fancy - rzekł niespodziewanie, przeciągając sennie samogłoski i nie otwierając oczu.

-Dziękuję - odpowiedziała uprzejmie, po czym odetchnęła głęboko i dodała: - Ja ciebie też.

Radcliffe zachichotał i odwrócił się twarzą do ściany. Koc zsunął się nieznacznie na podłogę.

Tymczasem Cassie leżała w łóżku i rozmyślała nad dziwactwami, których tak wiele było dookoła, że mogła je usłyszeć.

Pierwsze wydarzyło się w szkole: panna Murphy mówiła do nich z teatralnym uśmiechem, jak gdyby reklamowała pastę do zębów.

- A teraz - oznajmiła - porozmawiajmy, powiedzmy, o dinozaurach!

-Powiedzmy, przyprowadźmy kilka dinozaurów na pokaz i porozmawiajmy! - wtrącił Mark Baxter.

Panna Murphy krzyknęła, jak gdyby Mark pokazał jej tarantulę. Ale okazało się, że był to śmiech.

W domu jej ojciec przez cały wieczór rozprawił o przejściach dla pieszych. Matka ustawiła wszystkie kubki po jednej stronie zmywarki do naczyń, rzuciła ściereczkę na podłogę i przesunęła kubki na drugą stronę.

Teraz Cassie słyszała skrzekliwy, gniewny dźwięk owych dziwactw, który czepiał się krawędzi innych dźwięków. Kiedy na przykład przewracała się z boku na bok na łóżku, pościel szeleściła i materac trzeszczał zbyt głośno. Nawet dźwięki, które sama wydawała - chrząknęła i klasnęła w dłonie, by to sprawdzić - nawet one były głośniejsze niż zwykle, zbierały wokół siebie dziwactwa. Było tak jak kiedyś, gdy miała astmę i w pierwszej chwili jej nie zauważyła - chodziła sobie radośnie i dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że dodatkowy dźwięk, dźwięk jej własnego rżenia, czepia się krawędzi jej oddechu.

*

Prawie o północy w ten sam czwartek Marbie wzdrygnęła się przez sen i mlasnęła. Śnił jej się list, który pisała w pracy - przedostatni akapit oderwał się od reszty listu, a wszystkie wyrazy rozsypały się ze stukotem, niczym kulki po podłodze.

Stukot obudził Marbie, która zachłysnęła się z przestachu, próbując przebić wzrokiem głęboką wiosenną ciemność panującą w pokoju. Czekala, by cienie przybrały kształty.

*

W przyczepie kempingowej za barem Banana Listen leżała bezsennie, rozmyślając: o przerwie śniadaniowej, o końcu lekcji, o czasie przed szkołą, o wyborze koleżanki, o podziale na zespoły, i - najgorsze ze wszystkiego - myślała o szkolnym obozie.

Szkolny obóz zacznie się jutro rano. Będzie trwał przez cały weekend oraz pół poniedziałku. Próbowała przekonać Vernona, by usprawiedliwił jej nieobecność, lecz on traktował zbyt serio kwestię jej wykształcenia.

- Mogłabym zostać i pomóc ci w barze - zaoferowała się - i nadrobić zaległości w zadaniach domowych. Na dłuższą metę to będzie lepsze dla nas obojga.

- Nie pozwolę, byś straciła obóz tylko dlatego, że chcesz mi pomagać w barze - odpowiedział spokojnie Vernon. - Jaki byłby ze mnie brat? Nie martw się, na pewno świetnie spędzisz czas. Donna i inne koleżanki będą tam również, prawda?

Teraz głowa ciążyła jej tak bardzo, że aż dziw, iż poduszka wytrzymała to brzemień. Listen pomyślała, że mogłaby wyjść na dwór, wdrapać się na słup telegraficzny i dać się porazić prądem. Albo wczołgać się pod piętrowe łóżko w przyczepie, gdzie mógłby ukąsić ją jadłowity wąż. Wszystko było lepsze od weekendu najeżonego siedzeniami w autobusie, domkami kempingowymi, wolnym czasem, porą nocną.

- Siedzenia w autobusie - będzie szła przejściem między siedzeniami szkolnego autobusu, obok koleżanek usadowionych z podwiniętymi nogami i trzymających przy sobie torby, co miało znaczyć: to miejsce jest zajęte, zarezerwowane dla przyjaciółki.

- Domki kempingowe - dziewczęta będą tłoczyły się przed tablicami ogłoszeń, wpisując dziesięć nazwisk, dziesięć przyjaciółek do każdego domku.

- Czas wolny - „Dobra - powiedzą nauczyciele - wszystkie jesteście wolne, macie nas z głowy na cały dzień!”, a dziewczęta pobiegną do buszu, do łazienek, nad jezioro.

- Pora nocna - „Dobra - powiedzą nauczyciele - gasimy światło, obowiązuje cisza nocna!”, a dziewczęta zbijają się w gromadkę, będą robiły seanse spirytystyczne albo paliły czy też wymykały się na dwór przez okno.

Radio z budzikiem, które trzymali na zlewie w przyczepie, pokazywało 23.56. Położyła się spać

o dwudziestej drugiej i wciąż nie mogła zasnąć. Do piątku zostały już tylko cztery minuty, pomyślała ze smutkiem.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że zostały zaledwie cztery minuty czwartku, a ona nie wypowiedziała kolejnego zaklęcia. Przedostatniego zaklęcia w księdze. Była tak zdenerwowana wyjazdem na szkolny obóz, że kompletnie o tym zapomniała. Teraz będzie za późno. Nigdy nie uda jej się rzucić czaru w ciągu czterech minut.

No chyba że jest to jedno z tych krótkich zaklęć. Wyjęła księgę spod poduszki i wzięła z podłogi latarkę, której używała do czytania.

*

Cath czekała we śnie, z nadzieją.

Fancy podniosła wzrok znad swojej powieści, wspominając jedną z najbardziej ulubionych rozmów z sąsiadem Kanadyjczykiem. Odbyła się tuż po śnieżycy.

- Czy mówiłam ci, że moja matka wymiotła cały śnieg ze swojej werandy, używając do tego zmiotki i szufelki? - spytała go pewnego ranka. - Wrzucała go do kubła na śmieci.

Kanadyjczyk parsknął śmiechem.

- Muszę napisać o tym do domu - powiedział.

- A tak przy okazji, to gdzie jest twój dom?

- W Kanadzie.

- To wiem, ale gdzie konkretnie?

- Gdzie jest Kanada? - Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Nie, nie. Gdzie w Kanadzie?

-Aha - rzekł z wyraźną ulgą. - W dzieciństwie mieszkalem tu i tam, ale moim ostatnim miastem był Montreal.

- Montreal? A czy w Montrealu pada śnieg?

Kanadyjczyk roześmiał się znowu.

- Czy w Montrealu pada śnieg? - powtórzył cicho, z uczuciem.

- No dobrze - poprawiła się Fancy - jak to jest w Montrealu, kiedy pada śnieg?

Posłusznie zastanowił się nad tym.

- Czasami - odparł po chwili - tworzą się dwumetrowe zasy. Kiedy tak się dzieje, to już przestaje być dekoracją. Zmienia wszystko. Zmienia teren.

-Teren - zgodziła się z zadowoleniem Fancy - zmienia teren. - Po czym dodała, ponieważ to słowo przypomniało jej o czymś: - Zrobiłam wczoraj wieczorem czekoladowy *terrine*. Chciałbyś kawałek do kawy?

Był zaskoczony, ale chętnie przystał na propozycję i oboje siedzieli na swoich werandach, jedząc czekoladowy *terrine* i przyglądając się topniejącemu śniegowi.

Oczywiście było to dawniej, w czasach kiedy Radcliffe miał romans z kobietą w wiśniowych skarpetkach z naszytymi stokrotkami. Teraz wszystko się skończyło.

Fancy wróciła do swojej powieści. Dotarła do ostatniej strony. Książka opowiadała o starszym małżeństwie i było w niej wzruszające zakończenie, kiedy to staruszek wyznaje żonie, że ją kocha mimo jej starczej demencji, a ona, w rzadkim przebłysku świadomości, odpowiada, że również go kocha.

Był to smutny i piękny moment, jeśli zna się postaci, tak jak znała je Fancy.

Wstała i przeszła przez pokój, nie patrząc na Radcliffe'a na kanapie. Słyszała, że dzisiejszej nocy oddycha bardzo głęboko, zużywając wszystkim tlen.

Cassie wstała z łóżka, zapaliła światło i wyjęła zeszyt ze szkolnego plecaka. Napisała zakończenie klasowej sztuki, leżąc na podłodze w sypialni, jej ołówek, gdy sunęła nim po stronie zeszytu, wydawał dziwne dźwięki.

Marbie zasnęła znowu, myśląc nieoczekiwanie o małych ostrych ptasich dziobkach, o pinezkach i wapiennych muszelkach mątwy.

Kichnęła i mlasnęła językiem przez sen.

Zaklęcie: Jak sprawić, aby ktoś się przeziębził!

Po prostu włóż Księgę pod poduszkę i intensywnie myśl o trzech małych ostrych przedmiotach.

Możesz wypowiedzieć kolejny czar - Ostatni Czar - jutro rano!

Listen zdążyła zrobić to, co nakazywała jej Magiczna Księga, tuż zanim zegar wskazał północ. Potem zasnęła, myśląc o ptasich dziobach, pinezkach, wapiennych muszelkach mątwy, siedzeniach w autobusie, domkach kempingowych, wolnym czasie, porze nocnej, ptasich dziobach, pinezkach, wapiennych muszelkach mątwy.

Fancy Zing

Wkrótce po powrocie ojca z Irlandii rodzina Fancy wyjechała na miesiąc nad morze. Zatrzymali się w domu na wzgórzu.

Każdego ranka rodzina brała ręczniki, wiaderka, łopatkę, emulsję do opalania, T-shirty oraz parasole plażowe i turlała się ze wzgórza na plażę.

Co wieczór Fancy stała tyłem do lustra, wykręcając głowę, by obejrzyć ramiona. Miała fioletowy sarong, który wiązała na różne sposoby: między nogami, przez ramię lub wokół talii, tak że zwisał nisko, dotykając srebrnego łańcuszka na nodze. A jej ramiona nabrały złocisto-brązowego koloru.

Ale pewnego dnia rodzice Fancy polecieli jej, by zabrała młodszą siostrę na plażę sama.

- Musimy po prostu trochę posprzątać dom - powiedziała mama. - Nie martw się o nas.

- Pływajcie tylko między chorągiewkami - dodał tatuś.

- Albo w zatoczce wśród skał? - dodała Marbie.

- Właśnie - zgodziła się mamusia. - I przygotowałam dla was kilka kanapek z masłem, możecie kupić sobie frytki na lunch. Daj im trochę drobnych, Davidzie.

- Zostańcie na plaży, dopóki nie opuszczą chorągiewek - przypomniał im tatuś.

Dwaj ratownicy w czerwono-żółtych czapkach przemaszerowali obok dziewczynek, niosąc na ramionach maszty chorągiewek.

- To znaczy, że teraz flagi są opuszczone? - spytała Marbie.

- Owszem - przytaknęła Fancy, która drapowała ręcznik Marbie w turban. - Chodźmy. - Zmarszczyła brwi, patrząc na swoje złociste ramiona, z których płatami schodziła skóra.

- Mogę oskubać ci trochę skóry z pleców? - poprosiła Marbie, kręcąc głową w turbanie.

Fancy pozwoliła jej zdjąć trzy płatki skóry.

Opłukały piasek ze stóp i kostek, po czym ruszyły zwirową drogą do domu. Fancy niosła emulsję do opalania, płetwy oraz plażowy parasol, a Marbie swoje japonki.

- Włóż japonki - poleciła Fancy - bo uderzysz się w palec.

- Nie - sprzeciwiła się Marbie - bo mam mokre nogi i japonki robią się śliskie. Czyj to samochód?

Widziały z dołu wzgórze swój dom, lecz wyglądał jakoś dziwnie i obco. Na podjeździe stał długi srebrzysty samochód. Gdy powoli zbliżyły się do niego, zobaczyły, że ma lśniącą karoserię i przyciemniane szyby. Na tylnej szybie miał nalepkę: „LEW MORSKI”. Druga nalepka, na zderzaku, ostrzegała: „Jeśli potrafisz przeczytać ten napis, cofnij się”.

Wbiegły po schodkach na werandę i zatrzymały się pod oknem salonu. Wewnątrz widziały matkę siedzącą na kanapie, wyprostowaną, z lekko przechyloną na bok głową. Obok niej siedział ojciec, a na kuchennych krzesłach, ustawionych rzędem, tyłem do okna, trzech mężczyzn w czerni. Fancy zauważyła, że jeden z nich stuka czarnym, wyczyszczonym do połysku butem w podłogę.

Fancy i Marbie stały przy oknie i patrzyły. Tatuś zakasłał, zasłaniając dłonią usta, mama roześmiała się,

mężczyźni w czerni podnieśli swoje teczki z podłogi. Zaszurały krzesła, wszyscy podali sobie dłonie na pożegnanie, otworzyły się drzwi frontowe, na werandę padł snop światła, dały się słyszeć głosy.

- Och! - Mamę wyraźnie zaskoczył widok dziewczynek.

-Czekałyśmy, dopóki nie opuszczą chorągiewek
- usprawiedliwiła się Marbie.

Trzej mężczyźni wyszli na dwór. Jeden z nich powiedział: „Cześć, dziewczynki”, skinąwszy głową Fancy i Marbie, lecz pozostali jakby ich nie zauważyli. Drugi odblokował pilotem drzwi auta, a następnie uprzejmie otworzył je przed tamtymi. Mężczyźni wsiedli do samochodu.

Rodzina Zingów stała na werandzie, oganiając się od komarów i patrząc, jak limuzyna sunie podjazdem.

- Kto to był? - spytała Fancy.

- Nikt - odparł ojciec.

Marbie Zing

Wkrótce po powrocie ojca z Irlandii rodzina Zingów wyjechała na miesiąc nad morze.

Codziennie siostra Marbie, Fancy, zawijała plażowy ręcznik w turban lub koronę. Marbie musiała trzymać głowę sztywno, w przeciwnym razie ręcznik opadał jej na oczy i świat stawał się miękką, nakrapianą bielą. Jeśli lekko drgnęła, muskał jej ramiona niczym długie włosy.

Pewnego dnia rodzice pozwolili im pójść samym na plażę i zostać tam, dopóki chorągiewki nie będą opuszczone. Innym razem obudziły się, a mamy nie było w domu.

Ojciec siedział u szczytu stołu, czekając na nie. Postawił na środku pudełko Coco-Pops, a obok mleko. Znajdowały się tam również trzy miseczki i ułożone równo przy nich łyżki.

- Mamusia musiała wyjechać na kilka dni - wyjaśnił oficjalnym tonem. - Będzie za wami bardzo tęskniła.

- Wyjechała do Irlandii? - spytała Marbie, a jej ojciec roześmiał się cicho.

Wszyscy troje wybrali się jak zwykle na plażę i zjedli na lunch rybę z frytkami. Tatusz pragnął uczestniczyć w ich zabawach - pomagał im budować zamek z piasku, lecz chciał wznieść wyższy, niż to było konieczne, i ozdobić go owocami kokoloby i papierkami po lo-

dach na patyku. Dziewczynki szybko się znudziły i poszły popływać.

Gdy tego samego dnia wracali razem do domu w zapadającym zmroku, Marbie spytała:

- Czy mamusia będzie w domu, kiedy wrócimy?

- Nie. Przyjedzie za kilka dni.

W kuchni Fancy nakrywała stół do kolacji, a tymczasem Marbie kręciła się w kółko jak bąk. Wpadła na krzesło, odbiła się od niego i wylądowała na rozstawionych nogach, łapiąc równowagę. Pokój wirował jej przed oczami, okna tańczyły, kanapa przewracała się do góry nogami, a wieszak, na którym wisiały kostiumy kąpielowe, podskakiwał.

Osunęła się na krzesło, które runęło z trzaskiem na podłogę.

- Marbie! - krzyknęła Fancy.

-Przestań, Marbie - powiedział tatuś, stając w drzwiach kuchni. - Zrobi ci się niedobrze.

Ale nigdy nie robiło jej się niedobrze.

Na koloq'ę jadły kiełbaski, które tatuś smażył w oparach dymu, przepasany ścierką do naczyń, marszcząc brwi. Wzięły krzesła i usiadły cichutko. Tatuś nałożył kiełbaski widelcem na talerze, a następnie podzielił pomidora na trzy części. Fancy i Marbie popatrzyły na siebie znacząco.

Tamtej nocy Marbie, leżąc w łóżku, brała szum fal za warkot silnika samochodu, który przywoził mamę do domu. Tatuś był w kuchni, brzęczał talerzami, mył pod kranem noże i widelce, zamiatął podłogę, w końcu zgasił światło i poszedł spać.

Kilka następnych dni upłynęło im w podobny sposób. Na plaży wolno im było jeść herbatniki, serca w czekoladzie i paszteciki Chiko Rolls. Tatuś budował coraz to wyższe i wyższe zamki z piasku. Dziewczynki pływały

w wyznaczonym miejscu, ale od czasu do czasu wracały, by podziwiać zamek tatusia.

Pewnego dnia, w porze śniadania, mama wróciła do domu taksówką.

Fancy i Marbie wybiegły na dwór w koszulkach nocnych, tatuś wyszedł powoli za nimi. Kierowca taksówki był podekscytowany bardziej od nich. Otwierał drzwi samochodu, trajkocząc jak najęty i śmiejąc się.

Mamusia powiedziała coś, nie wysiadając z taksówki.

- Dziewczynki, zaczekajcie chwilę - polecił tatuś.

Pochylił się do mamusi. Kiedy się z powrotem wyprostował, trzymał w ramionach coś, co przypominało różową torbę na zakupy. Marbie pomyślała, że może to prezenty.

- Jesteśmy na miejscu! - wykrzykiwał taksówkarz.

- Patrzcie, co my tu mamy! Spójrzcie, dziewczynki, co mamusia przywozła wam do domu! Tutaj jest pani torba, tutaj karton, proszę bardzo. Popatrzcie, co my tu mamy!

Fancy zbliżyła się o krok.

- To dziecko! - rzekła ze zdumieniem.

- Nie jakieś tam dziecko! - zawołał taksówkarz, musiał jednak przerwać swoje zachwyty, ponieważ tatuś chciał mu zapłacić za kurs.

- Czyje to dziecko, mamusiu? - spytała Marbie.

- Skąd je masz?

- Chwileczkę, kochanie - odparła mama.

Kierowca taksówki nie przestawał trajkotać, wsiadając z powrotem do auta.

-...moje gratulacje...! Wszystkiego najlepszego...! Zajmijcie się teraz mamusią! - Wciąż jeszcze chyba mówił, odjeżdżając spod ich domu.

- Dacie radę zanieść razem to pudło, dziewczynki?

- spytał tatuś.

Fancy i Marbie niosły karton, tatuś niósł maleństwo, a mama szła, nie niosąc niczego.

W domu Fancy i Marbie usiadły na kanapie i kolejno trzymały dziecko. Marbie szybko się znużyła: niemowlę po prostu leżało w kocyku i nie można było nawet podrapać się w kolano. Ale Fancy zmrużyła oczy i nuciła: „Witaj, maleństwo, witaj, śliczne maleństwo, witaj, słoneczko”. Mama siedziała obok niej, nachylona nad dzieckiem, patrząc.

Tatuś i Marbie otworzyli karton. Okazało się, że jest w nim nowa wiklinowa kołyska dla dziecka. Tatuś wyjął z szafy niemowlęcą pościel i pieluszki. Marbie nigdy wcześniej ich tam nie zauważyła.

- Nie wiedziałam, że jesteś w ciąży, mamusiu - rzuciła mimochodem Fancy, dorosła dwunastolatka.

- To dlatego, że w ogóle jestem dość pulchna - wyjaśniła mama. - Nie było prawie nic widać, prawda? Nikt nie wiedział, kochanie. Nie martw się.

- Czy to jest nasze dziecko? - spytała Marbie.

- Cóż - odparła mamusia - i tak, i nie. A teraz słuchajcie obie bardzo uważnie.

Fancy siedziała na kanapie, tuląc do siebie dziecko. Marbie przykucnęła obok pustego pudła na podłodze, a tatuś stał w drzwiach kuchni ze skrzyżowanymi ramionami.

- To dziecko - oznajmiła mamusia, bacznie obserwując dziewczynki - jest naszą tajemnicą. Rozumiecie?

Fancy i Marbie potwierdziły, że rozumieją.

- Nie - powiedziała mamusia. - To jest bardzo ważne. Ważniejsze niż cokolwiek przedtem. To szczególny sekret rodziny Zingów. Zgoda?

Fancy i Marbie pokiwały głowami.

- To dziecko - mówiła dalej mamusia - może zostać u nas tylko przez tydzień.

- Nie! - wykrzyknęła Fancy. - Tylko przez tydzień?!
- Pocałowała maleństwo w czoło.
- Mam nadzieję, że pomożecie zajmować się nim przez ten tydzień - rzekła mama.
- Oczywiście - chętnie zgodziła się Fancy.
- Dobrze - odezwała się Marbie, myśląc: „A co z plażą?”
- Jak ona ma na imię? - spytała Fancy. - Jak ta ma-
lutka ma na imię?
- Mamusia popatrzyła na dziecko i wygładziła ko-
cyk.
- Postanowiłam podarować temu dziecku normal-
ne życie - odpowiedziała po chwili. - Będzie więc miała
na imię Catherine.
- Tak? - wyszeptała Fancy.
- Tak - potwierdziła mamusia.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Maude wyrabiała właśnie ciasto, kiedy jej mąż David poinformował ją, że odchodzi.

Nie było nic zaskakującego w tym, że wyrabiała ciasto - obecnie stale się tym zajmowała. Została oficjalną dostawczynią ciast do lokalnej cukierni, trzech pobliskich barów kawowych i dwóch restauracji. Nie potrafiła już patrzeć na okrągłe przedmioty, nie myśląc o ich wykorzystaniu w charakterze foremek do wykrawania ciasta: spodki, miseczki, kierownice, gondole balonu.

- Hmm - mruknęła z roztargnieniem, gdy David obwieścił swoją decyzję.

Zagniała masło z mąką. Była to jej ulubiona czynność przy wyrabianiu ciasta, szybkie poruszanie palcami, aż nie było już oddzielnie ani mąki, ani masła, tylko drobne kawałki masy.

- Bardzo mi przykro - rzekł cicho Dawid. (Było już po północy i dziewczynki spały).

Dopiero teraz Maude zwróciła uwagę na jego słowa.

- Nie możesz odejść! - wykrzyknęła.

Wyjaśnił jej, że nie ma wyboru, a gdy mówił - o tym, że potrzebuje czasu, żeby przemyśleć pewne spra-

wy, że ma nadzieję, iż nie potrwa to długo, że ma także nadzieję, iż kiedy już przeanalizuje sytuację, ona, Maude, przyjmie go z powrotem, ale że on zrozumie, jeśli się na to nie zgodzi - gdy mówił o tym wszystkim, Maude osunęła się powoli na kuchenne krzesło, myśląc: „Oczywiście”.

Pieczenie ciasta musiało odwrócić jej uwagę. Mąż przygasł, stał się nikim. Gdzie podział się ten energiczny, pełen życia chłopak z wielkimi oczekiwaniami i planami co do wynalazków? Przypomniała sobie, jak biegał kiedyś alejkami w supermarketach, szukając inspiracji, a później zaczął spacerować wolniej, w zamyśleniu. Robił się coraz bardziej apatyczny, a w końcu w ogóle przestał spacerować, nie licząc korytarza w domu. Od czasu do czasu podnosił którąś zabawkę Fancy czy Marbie, obracał ją z roztargnieniem w palcach, po czym odkładał na dywan.

Nigdy nie zatracił swego talentu do elektroniki i gadżetów ani życzliwości w życiu. Wykorzystywał swoje gadżetowe umiejętności do naprawiania radiodiodników z budzikiem oraz do instalowania zamków antywłamaniowych w drzwiach. Jeśli idzie o życzliwość, to na przykład parę dni temu, kiedy Maude zachorowała na gripę, po obudzeniu się znalazła na dywanie krótką wskazówkę skreśloną ręką Davida: „TĘDY NA ŚNIADANIE”, ze strzałką wskazującą na drzwi sypialni. Wyszła na korytarz, gdzie kolejne strzałki „TĘDY” zaprowadziły ją do kuchni. „ZNAKOMICIE!” - mówiła wiadomość na kuchennej podłodze - „JESTEŚ PRAWIE U CELU”. I na koniec triumfalne „ŚNIADANIE!” obok tacy na stole, na której znajdowały się: jajko na miękko, talerz z truskawkami oraz krótki liścik z informacją, że sok pomarańczowy jest na drzwiach lodówki.

Dla Maude stało się w tym momencie jasne, że to życie rodzinne zniszczyło talent Davida. I proszę, oto on, dorosły Zing, który nie ma na swoim koncie żadnego wy-

nalazku. Jego rodzice i krewni czynili od czasu do czasu uwagi na ten temat, ale przyjaźnie i wyrozumiale. Pomyślność gdzieś musi mieć swój kres! - mówili. Dlaczego nie ma się skończyć na Davidzie? Przecież stworzył dwie śliczne córeczki. To w zupełności wystarczy!

Ale David siedział godzinami przed telewizorem albo nad grą Fancy Donkey Kong. Jego lęk wysokości zamiast się zmniejszyć, jeszcze się pogłębił - obecnie David nie mógł nawet chodzić do kina. Twierdził, że fotele są ustawione zbyt stromo i obawia się, by nie wpaść do filmu.

Gdy David mówił i usprawiedliwiał się, Maude rozważała każde jego słowo, bawiąc się ślubną obrączką pokrytą mąką. Wreszcie zdjęła ją z palca i rzuciła na stół, między nimi. David wciągnął gwałtownie powietrze, wciskając głowę w ramiona. Maude wpatrywała się w obrączkę, wyobrażając sobie, że posłuży jej jako foremka do wykrawania ciasta. Tysiący małych krążków ciasta, z których powstaną tysiące placuszków z wiśniami czy śliwkami.

- Cóż - powiedziała, zaskakując go przyjaznym tonem głosu. - Rozumiem, że musisz odejść. Ale powiemy, że wyjeżdżasz do Irlandii, że zamierzasz malować obrazy lub pisać wiersze, a może powieść.

Dlaczego do Irlandii? David był zdziwiony.

Maude uważała, że jest to romantyczne miejsce, dokąd ludzie uciekają, by coś stworzyć.

- W ten sposób - wyjaśniła - gdybyś przypadkiem niczego nie wynalazł, możesz do nas wrócić bez...

- Ale po powrocie ludzie będą mnie pytali o Irlandię - zauważył David, zmieniając temat.

- Możesz poczytać o tym w bibliotece - zasugerowała Maude.

Wstała znowu i wróciła do bufetu, gdzie czekało ciasto. Po czym zmieniła zdanie i usiadła na podłodze, by sobie popłakać.

W prezencie pożegnalnym dla córek David zawiesił huśtawkę na najwyższych gałęziach powykrzywianego eukaliptusa rosnącego w ogrodzie na tyłach domu. To drzewo nie miało nisko zwisających gałęzi. Przystawił do niego drabinę, by dosięgnąć najbliższej gałęzi, po czym dalej wdrapał się po konarach. To była najodważniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek dokonał.

Fancy, która była małą jedenastoletnią damą, pomachała mu na pożegnanie, gdy siedział w taksówce, i życzyła szczęśliwej podróży do Irlandii. Miała nadzieję, że napisze dobrą powieść i że wkrótce wróci do domu. Będzie bardzo za nim tęskniła. Marbie miała zaledwie pięć lat i nie życzyła mu niczego.

Podczas nieobecności Davida Maude rozkręciła swój ciastkarski interes. Przypinała ogłoszenia na miejskiej tablicy informacyjnej i odwiedziła kilka cukierni. Ale to przypadek zdarzył, że pewnego dnia, szukając nowego odkurzacza, znalazła ogłoszenie w „Trading Post”: „POSZUKUJE SIĘ: dwunastu cukierników krótkoterminowo/w pełnym wymiarze godzin”.

*

Ogólnie wiadomo, że drugi film Nikolaia Valerio, *Niebiańskie ciasto*, kręcono w tajemnicy na zachodnich przedmieściach Sydney. Mimo że pilnie strzeżono owej tajemnicy, nastąpiły przecieki i wieść o zdjęciach przedostała się do prasy, i gdy filmowanie dobiegało końca, zaczęły napływać tłumy rozhisteryzowanych wielbicielek. Aby dokończyć zdjęcia, trzeba było szybko przewieźć ekipę na wyspę Lord Ho we.

Ten film jest ponadczasowym arcydziełem - ciepły, lecz ambitny; niebezpieczny, lecz niebывale sympatyczny. Jak to zwykle bywało w przypadku filmów Nikolai, odniósł wielki sukces w Cannes oraz został nagrodzony kilkoma Oscarami, wielu krytyków uznało go za jego najlepszy film. Od czasów pierwszego filmu Nikolai nabrał ogłady i zahartował się, lecz mimo to zachował naiwność umazanego smarem mechanika samochodowego. Później stracił część owej naiwności i choć jego aktorstwo nadal było znakomite, *Niebiańskie ciasto* to Valerio w najlepszym wydaniu.

Oczywiście Maude wiedziała, kim jest Nikolai Valerio, i jak większość kobiet oglądała kilkakrotnie jego pierwszy film. Również jak większość kobiet snuła potajemne fantazje. Wyobrażała sobie Nikolai'a ze słynną smugą smaru na nosie, witającego ją w warsztacie samochodowym. Kiedy jednak starała się o posadę cukiernika, nie miała pojęcia, że chodzi o film Nikolai'a Valerio - nadal było to trzymane w tajemnicy. Myślała, że chodzi o serię reklam telewizyjnych Mama's Frozen Desserts.

O tę pracę starało się osiemdziesiąt kandydatek, z czego wybrano dwanaście. Maude została sprawdzona przez służby bezpieczeństwa i kazano jej podpisać pięć różnych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Zaczęła podejrzewać, że kryje się za tym coś więcej niż tylko seria reklam telewizyjnych Mama's Frozen Desserts.

*

Maude miała we włosach srebrną opaskę. Jej córeczki spały, ona zaś siedziała w salonie, patrząc przez okno. Jej mąż David wyjechał (do Irlandii, pisać powieść), nie było go już prawie od roku, ona zaś miała romans. A ściślej mówiąc, miała romans z Nikolaiem Valerio.

Formalnie rzecz biorąc, Nikolai Valerio również miał z nią romans - niedawno ożenił się z Rebekką. Ale doprawdy, myślała Maude, kiedy jest się takim sławnym, obowiązują inne zasady.

Romans składał się z przypadkowych fragmentów: wiadomości przesyłane szyfrem; kominek w pubie z piaskowca; otrząsanie wody z mokrych włosów; komplement na temat placka z wiśniami; kwiat uroczymi czerwonego, który włożyła między strony czasopisma; pocałunki w wannie na pokracyjnych nóżkach; jedwabna pościel; płaszcze kąpielowe z egipskiej bawełny.

Teraz, siedząc w salonie, Maude przypominała sobie swoje pierwsze dni na planie filmowym. Cukierniczki - wszystkie dwanaście - były ogromnie stremowane i przejęte, dopóki nie okazało się, że ich dni będą wyglądały jednakowo i zupełnie nieatrakcyjnie - siedziały razem wokół długiego stołu, przed każdą z nich były ustawione przybory kuchenne oraz potrzebne składniki, doskwierało im gorąco buchające od rozgrzanych piekarników.

Podczas przerw stawały kręgiem na suchej, zakurzonej trawie, usiłując wypatrzeć Nikolaiia. Okazało się jednak, że gwiazdy filmowe rzadko bywają tam, gdzie robi się film. Przez większość dnia członkowie ekipy filmowej apatycznie snuli się po planie, coś tam mierząc, rozmawiając między sobą, ustawiając sprzęt, spoglądając w papiery, a potem ze zmarszczonymi brwiami w niebo, komenderując głośno - jak gdyby budowali wyimaginowany drapacz chmur.

Nikolaiia wraz z innymi gwiazdami przywożono błyskawicznie na plan limuzynami o przyciemnionych szybach, dopiero gdy wszystko było przygotowane. Nawet wtedy nie widziało się ich w całości, lecz tylko fragmenty - czubek głowy, wyciągniętą rękę - za skupiskami kamer i asystentów.

Dopiero trzeciego dnia zdjęciowego Maude zobaczyła twarz Nikolai'a. Poproszono ją, by pomogła ustawić słodkie placki w zasięgu kamery - *Niebiańskie ciasto* wymagało ogólnego tła najróżniejszych wypieków. Każdy student filmówki powie wam, że były tam szarlotki, ciasto dyniowe, placki z wiśniami, torty orzechowe, wszystkie ze złocistą kruszonką, pomysłowo rozproszone w dalekim tle, w zasięgu każdego ujęcia kamery.

Maude niosła po parującym placku z wiśniami w każdej ręce, kiedy limuzyna zatrzymała się tuż przy niej i ktoś opuścił szybę. Nikolai Valerio uśmiechał się do niej.

Siedząca obok niego kobieta nachyliła się w stronę okna.

- On chciałby spróbować kawałek pani ciasta - zapytała. - Może go pani poczęstować?

Wszyscy w samochodzie roześmiali się, tymczasem Nikolai nie przestawał uśmiechać się do Maude.

- Przepraszam - rzekł ze swoim filmowym akcentem. - Przepraszam, ale gdzie tylko spojrzę, widzę te ciasta. To pani piecze je wszystkie?

Maude wyjaśniła, że jest tylko jedną z dwunastu cukierniczek. Przechylił głowę na bok, zaciekawiony, i spytał:

- Myśli pani, że mógłbym spróbować kawałek pani placka? Nie ma w nim włoskich orzechów, prawda? Jestem alergikiem i po chwili miałbym wargi jak balony!

Pokręciła przecząco głową, nie, nie dodała orzechów włoskich, ale nie bardzo wiedziała, co zrobić - nie miała noża, by odkroić ciasto, ani łyżeczki, ani talerzyka, na którym mogłaby położyć kawałek ciasta.

- Proszę - powiedział, wyciągając rękę przez okno. - Odłamię po prostu rożek, jeśli pani... au, okropnie gorące... i ja tylko... Och, to placek z wiśniami, nie potrafię powiedzieć, jak szczęśliwy... Boże, jaki to piękny placek...!

- A teraz wyrównam trochę ten brzeg, i proszę! Wygląda tak idealnie... jak gdyby nikt go nie dotknął.

Ludzie w samochodzie w milczeniu przyglądali się tej scenie, po czym parsknęli śmiechem i spytali:

- W porządku, Nikolai?

-W porządku - odparł Nikolai, uśmiechając się znowu do Maude. - Nigdy w życiu nie jadłem tak pysznego placka z wiśniami. Piekła go pani sama czy któraś z pozostałej jedenastki?

- To ja go piekłam - przyznała Maude.

- A nazywa się pani?

- Maude. Maude Zing.

Po czym samochód odjechał.

Przez kilka dni znowu widywała go jedynie fragmentarycznie, aż do pewnego wieczoru, kiedy odjechała już większość aktorów i ekipy. Pozostali tylko Nikolai i odtwórczyni głównej roli kobiecej, kręcono długą, leniwą scenę na łodzi o północy. Została również Maude - dziewczynkami opiekowała się wieczorem sąsiadka - wraz z inną cukierniczką, i obie były ogromnie zajęte. Trzeba było ustawić rzędami ciasta po obu brzegach rzeki. W dodatku każde z tych ciast miało wyglądać, jak gdyby świeżo wyjęto je z piekarnika, z każdego miała się unosić spiralna smużka pary.

To filmowanie z udziałem jedynie dwojga głównych aktorów oraz zredukowanej do minimum ekipy było wyjątkowo kameralne. Po raz pierwszy Maude mogła przyglądać się powolnemu rozwojowi sceny i słuchać. Co więcej, sama była częścią tej sceny. Dobięły do niej słowa asystenta: „Ta kawa ma wspaniały aromat”, a dotyczyły one kawy, którą sama właśnie zaparzyła! Wtedy dwoje aktorów oraz kilkoro członków ekipy filmowej zbliżyło się do miejsca, gdzie Maude układała placki z owocami.

- Witaj, Maude Zing - powiedział Nikolai.

Pamiętał jej imię i nazwisko. Przez mgnienie oka słyszała, jak wymawia je z tym swoim akcentem.

Odtwórczyni głównej roli kobiecej była mniej sympatyczna i zdaje się, skarżyła się na coś reżyserowi.

- Podejdz tu na chwilę - odrzekł cicho reżyser.

Nikolai i charakteryzatorka próbowali namówić Maude, by pozwoliła im zjeść jeden z jej placków, ona zaś wesoło im odmawiała. Odkryła, że nie denerwuje się już w obecności Nikolai'a. Był najzwyczajszym człowiekiem, mówiącym z obcym akcentem. Rozmawiała z nim! Rozśmieszała go!

W tym momencie rozległ się gniewny okrzyk odtwórczyni głównej roli kobiecej, po czym odeszła zamasztywanym krokiem w dal.

- Och, przestań! - zawołał reżyser. - Przecież to głupstwo. Kłócimy się o głupstwo! Daj spokój, chyba naprawdę sobie żartujesz!

Lecz aktorka nawet się nie odwróciła i zniknęła w długiej czarnej limuzynie.

Reżyser był zrozpaczony. Poświata księżycy srebrzyła rzekę, warunki do kręcenia sceny były idealne, a do końca zostało już naprawdę niewiele.

Maude usiłowała pozbierać swoje wypieki, by trzymać je w ciepłe, w piekarniku, kiedy zdała sobie sprawę, że reżyser patrzy na nią.

- Odwróć lekko głowę w prawo - polecił. - Teraz do tyłu, teraz w lewo, teraz w prawo.

Okazało się, że włosy Maude, jej kark, łagodna krągłość policzka, idealnie pasują do wyglądu odtwórczyni głównej roli. Poinformowano ją, że zostanie dublerką.

W ten sposób Maude spędziła większą część nocy w długiej smukłej łodzi, pływając z Nikolaiem Valerio. Nikolai popychał łódź żerdzią, przez cały czas zagadując ją z tym swoim rozbrajającym akcentem. Wypytywał o córeczki Maude, o jej życie, opowiadał krótkie, dowcip-

„e anegdoty o hollywoodzkich aktorach, którzy byli jego bliskimi przyjaciółmi.

Zrobiło się chłodniej, więc reżyser pozwolił im napić się dla rozgrzewki porto. Po kilku kieliszkach ich ruchy stały się niezdarne, toteż gdy Nikolai próbował przejść do Maude po dnie łodzi, by poprawić niesfor-ny kosmyk jej włosów, przewrócił łódź do góry dnem. W efekcie otrząsali wodę z mokrych włosów, przytulali się do siebie pod kocami, chichotali, dygocząc z zimna. Reżyser wraz z ekipą przyglądali się temu z wyrozumiałym rozbawieniem, pakując sprzęt, by wrócić do domu.

Nikolai zaproponował, by Maude pojechała z nim limuzyną do jego pokoju hotelowego, wzięła kąpiel, usiadła w płaszczu kąpielowym przy kominku i wysuszyła włosy jego ręcznikiem. W taki właśnie sposób zaczęła się ich romans.

Teraz, po upływie kilku tygodni, siedząc w fotelu w swoim domu, Maude miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Nikolai zjawi się lada chwila. Spędzili kilka nocy w jego hotelowym apartamencie, dokładając starań, by to ukryć. Kapała się w jego wannie na pokranych nóżkach, odkręcając kran z gorącą wodą palcem u nogi, a on się przyglądał. Wysłuchiwał jej opowieści o balonach wypełnionych gorącym powietrzem i obiecywał, że pewnego dnia zabierze ją na przejażdżkę balonem przystrojonym złotymi ozdobami.

Teraz nalegał, by spotykali się u niej w domu. Sunąc dłońmi po okrągłościach jej ciała, powiedział, że pragnie wiedzieć o niej wszystko. Chyba naprawdę kochał jej ciało.

Przyjeżdżał do niej furgonetką hydraulika, z napisem: AWARIE - USŁUGI HYDRAULICZNE 24 GODZINY NA DOBĘ, żeby sąsiedzi nie nabrali podejrzeń. Prowadził ją

sam. Nosił sztuczne wąsy i blond perukę. Maude smażyła mu naleśniki w swojej kuchni, kiedy jej córeczki spały.

Byli w sobie zakochani, ona i Nikolai, lecz oboje zdawali sobie sprawę, że ich romans nie ma przyszłości. Często mówili z zachwytem o fenomenie ich romansu. Był ogromnie ważny, lecz nierealny. Musi się skończyć, ponieważ między ich realnymi światami nie da się przetrzymać mostu. On miał swoją karierę oraz piękną żonę. Ona swoje cukiernictwo, córeczki i męża Davida, który niedawno zadzwonił i spytał, czy go przyjmie z powrotem.

Chociaż Maude starała się powstrzymać łzy, wiedząc, że koniec romansu jest nieunikniony, nie wierzyła, że kiedykolwiek się to stanie. To wszystko było takie wyjątkowe. Przecież Nikolai w każdej chwili może przyjechać, by pomóc jej w smażeniu naleśników - będzie przyglądał się w nabożnym skupieniu, jak rozbija jajka i odmierza mąkę. Tylko tyle wymagał ich świat. Takich chwil, z nim, w jej kuchni. Kochała go tak bardzo, że czuła, iż razem staliby się ciastem naleśnikowym. Nierozdzielnie związani, wylani na patelnię, oddychaliby razem, powoli tworząc nowe bąbelki.

Teraz, czekając na Nikolaia, zabawiała się, porównując go do mężczyzny, o którym częstokroć czytała, bohatera sportu balonowego, Vincenta Lunardiego.

Vincent Lunardi był pełnym wigoru sekretarzem Ambasady Królestwa Neapolu w Londynie, jak również, mniej więcej, pierwszym człowiekiem, który wzbił się pod angielskie niebo. Odbył swój lot niebiesko-czerwonym balonem piętnastego września 1784 roku. Miał w gondoli gołębia (który mu uciekł), kota, psa, butelkę wina i udko kurczaka.

Jego odwaga, jego piękne rysy, sukces tego lotu oraz jego zdolność latania - wszystko to sprawiło, że Vincent Lunardi stał się obiektem marzeń tysięcy kobiet. W całej

Anglii drżały kobiece serca, zamykały się oczy, a kobiety zaczęły nosić spec*alnie zaprojektowane czapki o nazwie „Lunardi”.

Podbijając serce Nikolaia Valerio, Maude czuła się, jak gdyby w gruncie rzeczy podbiła serce wielkiego pilota balonowego, Lunardiego. Było to równie doniosłe i równie nieprawdopodobne.

Ona, Maude, przytulona do ramienia Lunardiego (w marzeniach jego twarz była oczywiście twarzą Nikolaia), oparta prawą ręką o brzeg gondoli (później na ręce zostały odgniecenia), lewą machała do kobiet stojących na dole, zalewających się łzami tęsknoty i mających na pocieszenie wyłącznie swoje czapki.

Księżyc dzisiejszej nocy, myślała leniwie Maude, żeglując z Nikolaiem w balonie po wygwieźdzonym niebie, jest okrągły jak srebrna moneta. Nadawałby się świetnie do wykrawania ciasta. Prawdę mówiąc, nadawałoby się do tego także koło Fancy do hula-hoop, które widziała leżące na trawniku. Albo cyferblat jej zegarka, który nosiła na rękę, pokazujący, że Nikolai jest już spóźniony o godzinę.

Nazajutrz otrzymała krótki list od głównego scenografa. Był przypięty do sztucznej róży i zawiadamiał ją, że realizacja *Niebiańskiego ciasta* została przeniesiona do okrytego tajemnicą pleneru. Chociaż będzie im bardzo jej brakowało (mówił dalej list), jej ciasto nie jest już potrzebne.

piątkowy poranek

Wczesnym rankiem w piątek, gdy słońce zaledwie muskało niebo, Listen przy latarce przeczytała ostatnie zaklęcie.

Oto ono!

Ostatnie Zaklęcie!

Kiedy już rzucisz ten Czar, wszystko będzie dobrze!

Jest to Zaklęcie: Jak sprawić, by dwoje ludzi znowu się w sobie zakochało

Zgromadź następujące przedmioty:

- Torbę podróżną
- Cztery świece
- Kwiaty
- Butelkę wina
- Chleb, ser, oliwki i orzechowe ciasteczka w czekoladzie

Na tym koniec! Wystarczy, że zgromadzisz te przedmioty, by Zaklęcie odniosło skutek. (Nawiasem mówiąc, będziesz wiedziała, kiedy nadeszła pora, by je wykorzystać!).

Zatem żegnaj. To była świetna zabawa.

(Gdy rzucisz ten ostatni Czar, w ciągu kilku godzin powinnaś pozbyć się tej Księgi, tak byś już nigdy więcej jej nie ujrzała).

Listen wysunęła się cichutko z łóżka, by nie obudzić śpiącego Vernona, zgromadziła wszystkie przedmioty z listy, po czym zapakowała je do torby podróżnej. Szczęśliwym trafem znalazła chleb, ser i oliwki w lodówce baru Banana, orzechowe ciasteczka w czekoladzie w szafce w przyczepie, butelkę wina w skrzynce pod stołem. „Magiczną Księgę” włożyła do torby podróżnej, żeby pozbyć się jej później tego samego ranka, po czym wróciła do łóżka, próbując zasnąć, choć serce biło jej jak szalone.

Kiedy się znów obudziła, Vernon już wyszedł. Była taka rozemocjonowana, że ledwie zdołała się ubrać i umyć zęby. Może jej brat jest już z Marbie! Może od razu pojechał prosto do niej!

Idąc z przyczepy do tylnych drzwi baru Banana, usiłowała zachować spokój, lecz czuła ciepłe promienie słońca na karku, widziała jasnoblękitne niebo. Pomyślała: „To początek wszystkiego!”

Gdy weszła do baru, dzwonił telefon, chciała więc podnieść słuchawkę, ale stojący za kontuarem Vernon zawołał:

- Zostaw to.

Włączyła się automatyczna sekretarka i rozległ się, jak przewidywała Listen, głos Marbie. Jeszcze raz sięgnęła po słuchawkę, lecz Vernon przywołał ją do porządku ostrym: „Listen!”

Stali więc oboje, nie odzywając się, tymczasem Marbie nawijała:

- Vernon! Przepraszam, to ja. Przepraszam, że zwracam ci głowę. Przepraszam, że pociągam nosem, ale przeziębiam się i właśnie dlatego dzwonię, nie, właściwie wcale nie dlatego. Ale uznałam, że nie powinnam pójść

dzisiaj do pracy, a potem zadzwoniła mama i poinformowała mnie, że wyjeżdżają z tatą na weekend, na Święto Balonów gdzieś w Hunter Valley, pomyślałam więc, że skoro nie idę do pracy, równie dobrze mogę wybrać się tam z nimi. Przyszło mi do głowy, cóż! - może Vernon i Listen chcieliby tam pojechać również! Wydało mi się, że byłaby to dla was niezła zabawa, oglądanie balonów, dajcie mi znać, gdybyście reflektowali. Wyjeżdżamy za jakąś godzinę, decyzja była spontaniczna. Dobrze? Super. Mam nadzieję, że wkrótce się odezwiecie.

Automat pstryknął i cofnął z terkotem taśmę. Listen spojrzała na brata, czy jej błyszczały. Tutaj, teraz, to się wydarzy.

- Spakowana? - spytał Vernon.

Listen podniosła torbę podrózną i pomachała nią lekko.

- Musisz już jechać czy zdążysz zjeść śniadanie?

- Chyba muszę już jechać - odparła Listen. - Ale mam jeszcze chwilę, jeśli chcesz oddzwonić do Marbie.

-Dobra - powiedział, przekręcając tabliczkę na drzwiach baru Banana na: WRACAM ZA DZIESIĘĆ MINUT.

- Zaczekaj chwilę. Zostawiłem kluczyki w przyczepie.

Listen stała na chodniku przed barem Banana, gorący powiew wiatru muskał jej twarz. Oparła się o szklane drzwi i czekała.

Kiedy Vernon znowu energicznie otworzył drzwi i brzęknął kluczykami przed jej nosem, Listen spytała:

- No to zamierzasz zadzwonić do Marbie?

-Nie.

Patrzyła na jego plecy, gdy otwierał drzwi samochodu.

- Co to znaczy „nie“?

-Listen, przykro mi, ale nie zadzwonię do niej.

- Stał przy otwartych drzwiach, czekając, by wsiadła do środka.

- Powinieneś pojechać na Święto Balonów - powiedziała, wpadając w panikę. - Musisz pojechać na Święto Balonów. Nie rozumiesz tego? Vernon, to idealna sytuacja. Ja wyjeżdżam na obóz, to co będziesz robił, jeśli nie wybierzesz się na Święto Balonów?

-Przede wszystkim pracował w barze Banana - odparł. - Listen, przykro mi, dziecinko, myślałem, że rozumiesz. Nie wrócę do Marbie. Nigdy. To skończone. Finito. - Zatrzęsnał drzwi samochodu.

Jechali do szkoły podstawowej Redwood, skąd instruktorzy mieli zabrać dziewczęta na obóz w górach. Listen obserwowała profil brata, lecz jego rysy były spokojne, niewzruszone. Nie mogła zrobić nic, by to zmienić.

Zajrzała do swojej torby podróźnej. Miała w niej piżamę, szorty, T-shirty, kostium kąpielowy, a pod spodem ukrytą butelkę wina, słoik oliwek, białe lichterzyki.

Nie pojedzie na szkolny obóz.

Wiedziała, dokąd się uda. Jest dokładnie tak, jak przepowiedziała Magiczna Księga. Człowiek wie, kiedy nadchodzi pora, by wykorzystał te przedmioty.

A pora właśnie nadeszła. Listen miała usłyszeć wiadomość od Marbie, nie dlatego, że oznaczało to, iż Marbie i Vernon znowu się w sobie zakochają, lecz dlatego, żeby dowiedziała się o wyjeździe Zingów. Spędzi ten weekend u Zingów. Ukryje się w ich ogrodowej szopie. Przeżyje te kilka dni na oliwkach, chlebie, serze i orzechowych ciasteczkach w czekoladzie.

Ale na co jej świece, kwiaty i wino? Sugerowały pewien rodzaj rytuału. Czy musi odprawić jakiś rytuał? Wyobraziła sobie ogród na tyłach domu Zingów: duża zielona szopa, zapadnięty batut, powykrzywiany eukaliptus ze starą huśtawką zawieszoną na sznurach. Myślała o tej starej huśtawce, jak czasami kołysała się, biała, na tle nocnego mroku, kiedy Listen patrzyła przez kuchenne okno u Zingów. Myślała o rytuałach ze świecami i kwiatami.

Myślała: „Gdzie się dwoje bawi, tam trzecie przeszkadza”.

Myślała: „Będziesz wiedziała, kiedy nadejdzie właściwa pora”.

Myślała: „Ta księga uczyni cię silną”.

I wszystkie elementy się dopasowały.

- Jest dziewięćdziesiąt stopni w cieniu, tato.

- Dziecinko, chyba zdajesz sobie sprawę, że mocno przesadzasz.

- Wcale nie, tato, słyszałam przez radio, że właśnie tyle jest.

- Nie, kapitanie Cassie, nie słyszałaś.

- Miałam rację co do śniegu. Pamiętasz, kiedy padał śnieg?

- Miałaś rację co do śniegu, Casso, ale w tym wypadku się mylisz. Jest gorąco, przyznaję, ale nie aż tak, jak ci się wydaje.

- Cóż, w każdym razie skończyłam mój erotyczny utwór.

- Skończyłaśco?

- Moją klasową sztukę. Skończyłam ją wczoraj wieczorem. Chcesz przeczytać, tatusiu?

- Nie mogę teraz czytać, Casso-grimasso. Prowadzę samochód.

-A właściwie dlaczego to ty odwozisz mnie do szkoły?

Fancy stwierdziła, że w kuchni jest zbyt gorąco, i wyszła ze śniadaniem na werandę w nadziei, że będzie tam odrobina przewiewu.

Usiadła na stopniu werandy, podłoga parzyła ją w uda, i ostrożnie ustawiła obok siebie miseczkę z płatkami śniadaniowymi, sok pomarańczowy i kawę. Radcliffe ofiarował się, że jadąc do pracy, podwiezie Cassie do szkoły, co zdarzało się niezwykle rzadko. Spodziewała się go jednak lada chwila. Zapomniał drugiego śniadania, zauważyła je przed chwilą w lodówce.

Rozmyślała z roztargnieniem o swojej powieści, która zdobędzie nagrodę literacką. Książka, którą skończyła czytać poprzedniej nocy, o starszym, kochającym się małżeństwie, była napisana w tonie lirycznym. Z kolei tamta, którą przeczytała w ubiegłym tygodniu - z przerażającą wulgarnością. Uświadomiła sobie, że trzeba wybrać swój styl. To jedna z zasad. Wybierasz przekleństwa, wulgarność, komedię ślapstickową, sielankę, melancholię, tajemniczość, liryzm, poezję lub patos. Ale zastanawiała się, czy zwiększyłyby jej szanse na nagrodę, gdyby połączyła niektóre z tych stylów?

Zaczęła tworzyć zdanie: „Wciskając swoje delikatne kopyto w wilgotną od rosy trawę, jelen zionął odorem powstałym wskutek zapalenia dziąseł...”, lecz właśnie wtedy samochód Radcliffe'a skręcił w podjazd i mąż zawołał do niej przez otwarte okno:

- Hej, Fance! Możesz podać mi moją kanpkę z tuńczykiem?

Kiedy otworzyła siatkowe drzwi, trzymając jego kanpkę w brązowej papierowej torebce, miała gotową minę: „Czy nie jesteś głuptasem?” Ale Radcliffe stał na werandzie.

- Och - powiedziała. - Zamierzałam zanieść ci ją do samochodu.

Jego sylwetka była ciemna na tle słońca.

-Aha. Ale, Fancy, muszę ci coś powiedzieć. Nie mogę znieść tego oszustwa.

Poczuła znajomy gwałtowny przypływ emoq'i - on ma romans! - ale tak była już tym znużona, że rozwiąła je kpiącym prychnięciem.

- Ta-a-ak? - spytała niemal szyderczo.

- Możemy usiąść?

Posłusznie usiadła obok niego na stopniu werandy.

Obrócił się do niej i rzekł z wahaniem:

-Zaofiarowałem się, że podwiozę dziś rano Cas-sie do szkoły, ponieważ... pewnie pomyślałaś, że to miło z mojej strony, ale powód był taki, że...

- Ta-a-ak?

Wtedy pośpiesznie, bez tchu, wyznał jej swoją tajemnicę.

- Powód był taki, że nie chciałem, byś spotkała się z Cath Murphy! Ponieważ czekasz na telefon od niej i być może napomknęłabyś jej o tym, a ona nigdy nie zadzwoni. Fancy, wszystko zmyśliłem. Poszedłem zamiast ciebie na wywiadówkę! Kiedy Cassie uządliła pszczoła i zabrałaś ją do szpitala, cóż, wtedy to zrobiłem. Po prostu tam poszedłem. Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. Nie mogę przestać myśleć, że to uządlenie było z jakiegoś powodu. A powód był taki, że to mnie było przeznaczone, bym spotkał się z Cath. Ja. Nie członek rodziny Zingów, lecz ja miałem spotkać się z nią pierwszy. Chciałem z nią porozmawiać, zobaczyć się z nią, chciałem, żeby ona mnie zobaczyła, żeby ona spotkała się ze mną! Fancy, tak mi przykro.

Fancy przez chwilę wpatrywała się w męża, po czym odsunęła się odrobinę od niego.

- A zatem nie spotkałam się pierwsza z Cath. I Cath nie zadzwoni do mnie. Tak?

- Tak - przyznał Radcliffe. - Naprawdę ogromnie mi przykro.

- Świetnie - powiedziała Fancy - wszystko świetnie, Radcliffe. Ale czy mogłabym upewnić się co do jednej

rzeczy? Kiedy Cassie uządliła pszczoła - naszą Cassie, naszą Cassie, która jest uczulona na jad pszczele, naszą Cassie, która mogła umrzeć z tego powodu - kiedy to się stało, Radcliffe, ty myślałeś wyłącznie o tym, by pójść na wywiadówkę?

- Mmm - przytaknął ponuro.

*

Marbie zostawiła wiadomość dla Vernona, rozłączyła się i wciągnęła głęboko powietrze. Dźwięk odwiezanej słuchawki uświadomił jej smutną prawdę. Vernon nigdy nie oddzwoni. Marbie może wysyłać setki listów, może zostawiać wiadomości z setkami przeprosin, wiadomości zapraszające go na Święto Balonów, może nawet zaprosić go, by poleciał z nią na Księżyc, ale nie zmieni to sytuacji. Vernon nie wróci.

Musiała przerwać ten tok myśli, ponieważ zaczęła kichać. Kichała dramatycznie, głośno, przejmująco. Pomysłała, że może wróci na chwilę do łóżka, zanim spakuje się na weekend z rodzicami.

Zobaczyła swoje odbicie w lustrze w sypialni - potargane włosy, zapuchnięte oczy, zaczerwieniony nos - i otuliła się kołdrą.

Zużyła w nocy całe pudełko chusteczek higienicznych, lecz macała dłonią po tekturowym dnie w nadziei, że pozostała tam chociaż jedna. Znalazła coś dziwnego i trzeszczącego.

Co ten zmięty kawałek papieru robi na dnie pudełka z chusteczkami higienicznymi?

*

Cath przyjechała do szkoły wczesnym rankiem w piątek i usiadła na ławce, na słońcu.

Pogoda przypominała jej pierwsze spotkania z Warrenem - dzień, kiedy stali na przeciwnych końcach galerijki drugich klas, a on zrobił swoją zabawną minę; dzień, kiedy przyniósł jej kawę, mówiąc: „Z mlekiem, bez cukru, tak?”

Taki łagodny, ciepły powiew, takie subtelne, błękitne niebo. Było wczesne lato i pogoda złagodniała, obiecując miłe niespodzianki. Ciepło sprawiło, że zatęskniła za dotykiem dłoni Warrena i po raz pierwszy od dawna unfie patrzyła w przyszłość, wiedziała, że się go doczeka. A to kiedyś może być przecież dzisiaj!

Podeszła do niej Cassie Zing, wymachując szarą papierową teczką.

- Proszę pani, wczoraj o północy skończyłam pisać klasową sztukę.

Cath uśmiechnęła się sama do siebie, myśląc: „Widzisz, wszystko się dziś może zdarzyć! Dzisiaj jest dzień nowych początków”.

- Panno Murphy, słyszała pani, co mówię? To ja, Cassie.

- Świetnie - roześmiała się Cath. - Dziękuję, Cassie. Nie mogę się doczekać, żeby ją przeczytać.

Wzięła tekturową teczkę, a Cassie poleciła jej surowo:

- Proszę przeczytać teraz.

Cath posłusznie otworzyła teczkę, a Cassie kiwnęła głową i odeszła. Zanim jednak Cath zdążyła przeczytać pierwsze zdanie, głos za nią spytał: „Z mlekiem, bez cukru, tak?”, i w powietrzu przed jej nosem pojawiła się kawa.

Warren Woodford usiadł okrakiem na ławce, jak gdyby dosiadał konia, i znalazł się przodem do jej ramienia.

- Dziękuję - uśmiechnęła się do niego, przechylając głowę i biorąc kawę z jego rąk.

Odwzajemnił uśmiech. Było w tym uśmiechu coś tak życzliwego, że Cath omal nie rozpląkała się z ulgi.

- Cath - zaczął Warren - muszę ci coś powiedzieć. Nadal ufała jego uśmiechowi.

- Dzisiaj rano coś się wydarzyło - oznajmił. - Coś niewiarygodnego. Bree i ja obudziliśmy się naprawdę wcześniej, jeszcze przed świtem, popatrzyliśmy na siebie i, przykro mi, Cath, ale od nowa się w sobie zakochaliśmy.

- Ach! - odparła uprzejmie, niczym dziecko, któremu pokazują sztukę magiczną.

-Przepraszam za to wszystko, Cath, ale muszę przyznać, że poczułem ogromną ulgę, nie mogłem dalej tak tego ciągnąć. A tu nagle, ni stąd, ni zowąd, stało się, znów się w sobie zakochaliśmy.

- Nie jesteś zakochany - rozpoczęła swą przemowę Cath ostrożnie, lecz stanowczo. - Nie jesteś zakochany, ponieważ ona nie wie, że ty...

-O to chodzi - rzekł Warren. - Wyznałem jej wszystko wczoraj wieczorem. Ona wie o nas, Cath. Była bardzo wytrącona z równowagi, ale rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, płakaliśmy oboje, było to takie wspaniałe. Mieliśmy oboje uczucie, że nigdy przedtem naprawdę ze sobą nie rozmawialiśmy. I dlatego dzisiaj, przed świtem, obudziliśmy się i na nowo się w sobie zakochaliśmy.

-Tak to wygląda, prawda? - wybuchnęła, nagle oburzona. - Lekcje Warrena Woodforda, jak uratować małżeństwo. Lekcja pierwsza, zdradź swoją żonę. Lekcja druga, powiedz jej o tym. Zakocha się w tobie po uszy! Po prostu rozmawialiście i rozmawialiście, potem płakaliście, a teraz, brawo, oboje jesteście znów w sobie zakochani, i szczerze, szczerze uważam, że powinniście zaufać temu uczuciu. Warrenie, to musi być takie prawdziwe. - Dostrzegła jego minę, wpadła w popłoch i opanowała się. - Warrenie, daj spokój, zastanów się poważnie. Wiem,

na pewno ci się wydaje, iż odczuwasz ulgę, ale Breanna nie może kochać cię teraz, kiedy wie. Musi nienawidzić nas oboje.

- Przepraszam - rzekł jeszcze raz Warren, teraz tonem nauczyciela, który jest zmuszony powtarzać prostą lekcję. - Przykro mi, ale stało się. To prawda. Serio myślałem, że nasza miłość odeszła, ale dziś rano wróciła. Tak bardzo mi przykro.

-W porządku, Warrenie, wiedziałam, co robię. - Spróbowała mówić energicznie. - Nigdy nie chciałam, żebyś zostawił żonę, chyba że między wami wszystko byłoby naprawdę skończone. I chyba tak jest, Warrenie, a ty karmisz się jakąś próżną nadzieją. Będę tutaj nadal. Będę nadal czekała, ale na Boga, proszę, nie mów mi tylko, że Breanna jest dzisiaj w szkole. Albowiem skoro nie wini ciebie, to bez wątpienia szykuje się, żeby mnie wydrapać oczy.

- Przykro mi - powtórzył znowu. - Breanna jest w pokoju nauczycielskim. Prawdopodobnie przygląda się nam teraz. Jest zła, Cath, ale nie sędzę, by zrobiła ci krzywdę. - Wstał i zaczął się wycofywać.

- Co się stało z tymi gruzami? - zawołała.

- Co takiego?

- Nieważne - odparła. - Próbuję pracować.

Cath otworzyła sztukę Cassie i udawała, że czyta.

sztuka Cassie

**Sztuka klasowa
Cassie Zing**

SZTUKA O TEMATYCE EROTYCZNEJ: DYMANKO

Odsłona 1

Nauczyciel: Dzień dobry, chłopcy i dziewczęta.

Klasa: Dzień dobry, panie Wort.

Nauczyciel: Melindo. Ty odpowiadasz za wszystko. Idę na spotkanie z moją pszyjaciółką. Będziemy uprawiać seks.

Melinda: Tak, proszę pana.

Klasa: PSZYJACIÓŁKĄ! DYMANKO.

Nauczyciel: Do zobaczenia, chłopcy i dziewczęta.

Klasa: Do zobaczenia, panie Wort.

Odsłona 2

Nauczycielka: Dzień dobry, chłopcy i dziewczęta.

Inna klasa: Dzień dobry, panno Mop.

Nauczycielka: Mindy. Ty uczysz klasę. Idę na spotkanie z moim pszyjacielem. Będziemy uprawiać seks.

Mindy: Tak, proszę pani.

Inna klasa: PSZYJACIEL! CIPA.

Odłona 3

Wychodzą. Znajdują łóżko i idą razem do łóżka.

Nauczyciel: Kocham cię, kocham cię.

Nauczycielka: Kocham cię.

Nauczyciel: To mój penus.

Nauczycielka: Co to jest cipa?

Nauczyciel: Co będziemy robili?

Nauczycielka: Uciekniemy na sófid.

Odłona 4

Uciekają razem na sófid.

Odłona 5

Wchodzi nowa nauczycielka.

Nowa nauczycielka: DZIECI, gdzie jest pan Wort?

Dzieci: Uciekli na sófid.

Wracają.

Nauczyciel: Ratunku! To moja żona.

Chowa się.

Nowa nauczycielka bije nauczyciela. Wszyscy troje skaczą razem w górę i w dół na łóżku.

Wchodzi klasa.

Klasa: Hura!

KONIEC

pościg

Siedząca na brzegu drewnianej ławki Cath widziała słoneczne odbłaski na szybach okien w pokoju nauczycielskim, każde okno wpatrywało się w nią uporczywie. Pragnęła być widziana, a teraz przeżywała wstrząs z powodu zdemaskowania. Cienie dzieci przeszły przez jej ciało. *Oto nauczycielka, która zakochała się w innym nauczycielu, mówiły cienie, dość łagodnie. Oto nauczycielka, która zamierzała z nim uciec, ale przyjechała jego żona i nauczycielka musiała wrócić na sófid.*

Co to jest „sófid”? Jakieś dziwne przypieczętowanie jej losu? Cała szkoła wiedziała skądś o ich romansie i cała szkoła obserwowała ją. Dziecko, Cassie, wzięło na siebie zadanie ostrzeżenia jej za pośrednictwem tej sztuki.

Tymczasem Żona krążyła od okna do okna, śledząc ją, osądzając ją, gardząc nią, a do wszystkiego absolutnie miała prawo. Słońce nie było wcale miłe i łagodne, przypominało reflektor punktowy. Pochyliła się nad sztuką Cassie, nie mogąc zmusić się do tego, by podnieść oczy.

Na galerijce przed drugą klasą stała Cassie, obserwując boisko. Panna Murphy czytała jej sztukę. Pannie Murphy sztuka spodobała się tak bardzo, że tuliła ją

do siebie. Dzwonek obwieścił początek lekcji, a panna Murphy nawet nie drgnęła.

- Idź do klasy - powiedziała Cassie do Lucindy.
- Ja zostanę tu jeszcze przez chwilę.

Fancy, znowu sama na werandzie, z kolejną filiżanką kawy, wsłuchiwała się w cichnący warkot silnika samochodu Radcliffe'a. Pojechał do pracy, po raz ostatni błagalnie ją poprosiwszy, by mu wybaczyła. Czy to możliwe? - zastanawiała się.

Przez całe życie pragnęła poznać swoją młodszą siostrę - matka obiecała jej, że będzie pierwsza - a Radcliffe jej to ukradł.

Czy to ma znaczenie? - zadała sobie mimo wszystko pytanie. Może poznać Cath kiedy indziej. Niemal wstydziła się za Radcliffe'a, jak gdyby przyznał się, że zjadł ostatnie czekoladowe jajko wielkanocne Cassie, i ukrywał to starannie, poczuwając się do winy. Było to dziecinne i zachłanne, ale czy warto robić z tego wielkie halo?

Pomyślała, że mogłaby mu wybaczyć, lecz ogarnęły ją wątpliwości: co jeszcze mogłaby odpuścić? Na przykład gdyby Radcliffe miał romans, czy przebaczyłaby mu? Czy powinna byłaby mu przebaczyć? Czy nie należałoby się zemścić?

Być brutalną, być silną czy stroić fochy?

Oczywiście! Zapomniała. Zemsta była tylko jedną z możliwości. Reguły są bardziej skomplikowane.

Przez cały ten czas, czekając na potwierdzenie, że Radcliffe ma romans, by móc odpłacić mu pięknym za nadobne, zapomniała o ewentualności bycia silną. Prawdę powiedziawszy, bycie silną to właściwsza reakcja, kiedy jest się dorosłą osobą, ma się dom, samochód, wąż ogrodowy oraz dziecko. Popijała kawę, czując, że kubek drży w jej dłoni.

Ale z kolei, pomyślała, gdy kawa rozchodziła się promieniście w jej głowie, jeśli wybierze się „bycie silną”, trzeba okroić kawałek miłości jako pożywkę dla tej siły. A jeśli potrzeba by wielkiej siły, mogłaby zużyć całą swoją miłość. Ale wolno by jej było...

Och, przestań, pomyślała ze złością i postawiła z trzaskiem kubek na werandzie, aż gorąca kawa się rozchlapała, parząc jej dłoń.

Zmięta kartka na dnie pudełka z chusteczkami higienicznymi była pokryta nierównym pismem Listen. Tytuł brzmiał: „Rzeczy, które sprawiają mi przykrość”, a tekst zaczynał się słowami: „Donna ma stół do ping-ponga w suterenie swojego domu. A kiedyś matka Sii poczęstowała nas spaghetti z kabaczkim”. Zanim jeszcze dotarła do końca strony, sięgnęła po telefon.

- Vernon - powiedziała do jego automatycznej sekretarki. - Przepraszam, że znowu dzwonię. Wiem, że nie wybierzesz się na Święto Balonów, w porządku, nie o to chodzi, chodzi o Listen. Nie mam pojęcia, kiedy napisała ten list, ale jego treść mnie przeraża, może wiesz o tym wszystkim, lecz jeśli nie, powinieneś się dowiedzieć. Mówi, że nie może znaleźć żadnych przyjaciółek, i mówi, mówi, że...

- Marbie?

Marbie podskoczyła na dźwięk głosu Vernona.

- Jestem tutaj - powiedział.

- Och, dobrze, cześć, Vernon, właśnie znalazłam ten list, który napisała Listen, to coś w rodzaju pamiętnika, czy wiedziałaś, że Donna i inne koleżanki, jeszcze te z podstawówki, wyeliminowały ją z grupy?

- O czym ty mówisz?

- Właśnie to czytam, pełno tu opisów, w jaki sposób starała się zawrzeć nowe przyjaźnie i jak chce prze-

chodzić na drugą stronę autostrady przed pędzącymi samochodami, jak chodzi przez wysoką trawę w nadziei, że zostanie ukąszona przez węża, jak dotyka urządzeń pod prądem mokrymi rękami. Vernon, boję się, że ona chce zrobić sobie krzywdę! Gdzie ona jest? Naprawdę muszę z nią porozmawiać.

- Dobrze - odparł Vernon. - Uspokój się. Właśnie podwoziłem ją do szkoły. Jedzie z koleżankami na obóz. Zaczekaj chwilę, mam klienta.

*

Kiedy Cath wreszcie podniosła głowę, by stawić czoło natarczywym spojrzeniom, okazało się, że nikt na nią nie patrzy. Dzieci biegły w stronę klas, nauczyciele rozmawiali w drzwiach pokoju nauczycielskiego, nawet okna miały pozbawiony wyrazu, niewidzący wygląd.

Uczucie bezbronności, obnażenia powoli ustępowało i Cath postanowiła zachowywać się rozsądnie. W gruncie rzeczy jest mało prawdopodobne, by wszystkie dzieci wiedziały. Cassie Zing musiała się jakoś domyślić, ale nawet gdyby powiedziała innym, nikt nie uwierzyłby ani nie zrozumiał. Większość z nich nie miała takiej orientacji w erotyce jak Cassie.

Teraz, gdy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że może nawet Cassie nic o nich nie wie. Pamiętała, że matka Cassie pisze powieści erotyczne - może dziewczynka po prostu zapożyczyła coś z jej tekstów i przeniosła to na szkolne podwórko?

Będzie musiała zniszczyć tę sztukę. Ale istnieje pewien realny problem, jeśli zamierza zachowywać się rozsądnie.

A jest nim obecność Breanny w szkole.

Przynajmniej dzisiaj musi ratować się ucieczką.

Warren wynurzył się znowu z pokoju nauczycielskiego, mówiąc coś do osoby znajdującej się w środku, i ruszył do ich budynku.

- Warrenie - zawołała - czy mógłbyś zająć się dziś rano moją klasą?

- Oczywiście - odparł ponuro, poważnie, przepraszająco i zarazem łagodnie.

- Mam coś do zrobienia - burknęła, a potem, gdy skinął jej dłonią i przyśpieszył kroku, Cath zauważyła, że dwaj instruktorzy wjeżdżają właśnie na szkolny podjazd, gdzie tłoczyły się dziewczęta ze śpiworami.

Dotarło do niej, że są to siódmoklasistki z St Carmel, wyjeżdżające na obóz w góry. I była wśród nich tamta dziewczynka - Listen Taylor - krewna Cassie Zing. Listen wyjęła coś ze swojej torby, kucnęła i wepchnęła to pod głaz w ogrodzie graniczącym z podjazdem. Dziwne. Czy to była książka? Teraz podała swoje nazwisko nauczycielowi sprawdzającemu obecność i wycofała się w tłum.

Obserwując Listen, Cath poczuła wyrzuty sumienia. Poprosiła Breannę o pomoc przy tej dziewczynce - teraz, kiedy Breanna wiedziała o romansie, proszenie ją o pomoc wydało jej się niewybaczalnym błędem.

Znowu poszukała wzrokiem w tłumie Listen, ale jej nie dostrzegła. Odwróciła się, by pójść na parking dla nauczycieli, lecz coś przyciągnęło jej uwagę.

Listen Taylor wymknęła się chyłkiem w stronę trawnika przed szkołą - i właśnie dała nura pod ogrodzeniem.

*

Ze swojej kryjówki pod wieszakiem na torby, na galerijce drugiej klasy, Cassie obserwowała przez chwilę siódmoklasistki. Ubrane w dzinsy, ciskały w siebie poduszkami.

Następnie znowu spojrzała w stronę panny Murphy.

Ale panny Murphy nie było na ławce. Wybiegała przez główną bramę szkolną. Próbowała uciec!

Cassie wygramoliła się spod wieszaka i popędziła w dół po schodach.

Przeستاń! - skarciła się w myśli Fancy. Daj spokój tym dziecinnyim grom i zasadom! Nie możesz czekać na pozwolenie, by mieć romans! Nie możesz czekać na pozwolenie, by odejść od męża! Musisz być dorosła i wziąć sprawy w swoje ręce. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy: nie pozostała między wami ani odrobina miłości.

Teraz, gdy stała drżąca na werandzie, usiłowała temu zaprzeczyć, wyciągając atuty za swoją miłością do Radcliffe'a. Ale widziała jedynie skaczące sobie do oczu mewy, hotelowy hol i złożone kursywą pytanie: *Jak się miewa twoja dorada, kochanie? Jak się miewa twoja dorada?*

*

Marbie przyciskała telefon do ucha, czekając na zakończenie transakcji - sprzedaż koktajlu z mleka w proszku i lodów. Słyszała krótką wymianę zdań na temat krykieta oraz brzęk kasy i wydawanej reszty.

-Marbie? - odezwał się znowu Vernon, a jej zabrakło tchu. - Marbie, wiem, że to wygląda źle, ale ona pojechała na szkolny obóz, więc... Możesz mi przesłać to, co napisała?

-Jasne - odpowiedziała szeptem Marbie, słysząc chłód w jego głosie.

- A właściwie - spytał jeszcze chłodniejszym tonem - dlaczego tak cię interesuje Listen? Jakoś nie myślałaś o niej do tej pory.

Połykała łyzy, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Marbie? - Tym razem jego głos brzmiał niemal opryskliwie.

- Przez cały ten czas ani na chwilę nie przestawałam myśleć o Listen. - Pozbierała się i zmusiła do mówienia, jej głos nabierał siły. - Nienawidzę siebie za to, co ci zrobiłam, ale pragnęłam być dla Listen jak matka i spójrz, co się stało. Nie zauważyłeś, że kocham twoją siostrzyczkę tak samo jak ciebie?

Teraz Vernon milczał, słychać było tylko jego cichy oddech.

- Wiesz, Marbie - rzekł w końcu. - Wybaczyłbym ci prawie od razu, gdyby nie chodziło o Listen.

Rozległ się daleki dźwięk dzwonka przy drzwiach i Vernon krzyknął: „BAR JEST ZAMKNIĘTY”. Gdy znowu usłyszała jego głos w słuchawce, był łagodniejszy i cichszy.

-Widzisz, dałbym ci nawet całe lata na podjęcie decyzji, czy chcesz być ze mną, i darowałbym ci twoje romanse, gdyby nie Listen. Nie mogę pozwolić na to, by żyła w takim braku poczucia bezpieczeństwa.

- Ale ja podjęłam decyzję - powiedziała bez tchu Marbie. - Wiem, że może na to nie wyglądać, ale ja naprawdę nie chciałam mieć romansu, zawsze byłam pewna, że zależy mi tylko na tobie. Gdybym ci mogła zobaczyć, spróbowałabym ci wyjaśnić, jak do tego doszło. Ale nie zrobię tego nigdy więcej. Nigdy. Aż trudno mi uwierzyć, jak bardzo za tobą tęsknię.

- Jesteś pewna, że powinnaś wyjechać w ten weekend? - spytał Vernon. - Jesteś chyba przeziębiona.

- Wiem - odparła Marbie - ale obiecałam mamie, że pojedę na to Święto Balonów, a ona tak się cieszy, jak okazujemy zainteresowanie balonami. Myślę, że ty również powinieneś pojechać.

W słuchawce panowała cisza.

- A więc spotkałaś się z tym facetem w pubie Night Owi?

- Poprosił mnie, żebym zagrała z nim w tenisa.

- W tenisa. I jaki był?

- Cóż, niezły, o niebo lepszy ode mnie. Twierdził, że gra tak na dostateczny. Ale ty grasz na piątkę, prawda?

Dziwny brzęk świadczył chyba o tym, że Vernon przestawia na kontuarze srebrne pucharki.

- Myślisz, że gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie odbywa się to święto twojej matki, jest kort tenisowy? - spytał po chwili.

Cath w pierwszym odruchu chciała zawołać Listen Taylor, lecz doszła do wniosku, że nie jest to dobry pomysł. Uznała, że lepiej, bardziej profesjonalnie się zachowa, jeśli wyjdzie za bramę i będzie śledzić dziewczynkę.

Listen przebiegła na drugą stronę ulicy, a Cath podążyła za nią w niedużej odległości.

Teraz dziewczynka szybko szła chodnikiem, po czym skręciła w przecznicę i zatrzymała się na przystanku autobusowym.

Cath ukryła się za żywopłotem.

Wyobrażając sobie rozzłoszczone mewy, Fancy myślała o Radcliffe, o jego dzieciennym zachowaniu i zachłanności.

Wyobrażając sobie hotelowe hole, myślała o sobie, o swojej ucieczce od Radcliffe'a, o tym, że zatrzymuje się we wspaniałych hotelach.

Myśląc: „Jak się miewa twoja dorada?“, oczyma wyobraźni zobaczyła nagle podstarzałe małżeństwo

w restauracji. Mężczyzna pytał żonę czułym, przejętym tonem: „Jak się miewa twoja dorada?”

I w tym momencie Fancy pojęła. Sama nigdy nie będzie częścią takiego związku, ponieważ Radcliffe'a nigdy nie będzie obchodziła jej dorada.

Wpadając w popłoch, przypomniała sobie oświadczenia Radcliffe'a: błoto czarne jak pasta do butów, powykrzywiane drzewa i Radcliffe robiący jej zdjęcie. „Chciałbym ożenić się z tobą i ze wszystkim, co cię otacza”. Czekwała na zwykły przypływ zadowolenia - jej mąż kocha ją i wszystko, co jest z nią związane! - lecz zamiast tego ogarnęło ją zdumienie. Jak mogło jej to nigdy przedtem nie przyjść do głowy?

„Chciałbym ożenić się z tobą i ze wszystkim, co cię otacza”.

Miał na myśli Rodzinny Sekret Zingów.

Chodziło mu o piątkowe wieczorne narady, o ukryte kamery, podmiejską szpiegowską siatkę. Fascynowały go rozporządzenia Nikolaia Valerio, zawiła jak labirynt struktura korporacji i romantyczny ideał Cath: piękniejszej, pieczołowicie wyrzeźbionej wersji samej Fancy. Kochał Sekret bardziej niż ją. Bardziej niż swoją własną córkę. Był taki podekscytowany perspektywą spotkania z Cath, że nie przejął się ani trochę tym, że Cassie uządliła pszczoła.

To postanowione. Fancy odejdzie od niego.

Podjechał autobus numer 382 i Listen wsiadła do niego. Cath wyskoczyła zza żywopłotu i zastukała w szybę zamykających się drzwi, które otworzyły się niechętnie, by wpuścić ją do środka. Wsunęła się na przednie siedzenie i spuściła głowę.

Cassie wybiegła przez szkolną bramę w samą porę, by dojrzeć pannę Murphy wsiadającą do autobusu, który ruszył z przystanku z dużą prędkością.

No, pięknie, pomyślała, kiwając ponuro głową, i puściła się pędem za nim.

Był to bieg godny Olimpiady. Taki jak kiedyś na oblodzonym boisku, wówczas go zaczęła, a teraz dokończy. Pobiegnie tak szybko, że dogoni autobus.

Tupała głośno po chodniku, nie spuszczać z oka autobusu. Czasem musiała przebiegać na skrótów na drugą stronę, przez trzy pasy ruchu.

*

Gdy Listen wysiadła z autobusu, Cath zrobiła to samo. Listen skrzyła truchcikiem za róg. Cath przystanęła przed agencją handlu nieruchomości, uśmiechając się do zdjęć na wystawie, ale po pełnej niepokoju chwili podjęła pościg.

Dostrzegła Listen przed domem z jasnej cegły, sąsiadującym z miejscową szkołą średnią. Ale dziewczynka nie podeszła do drzwi frontowych, lecz pochyliła się mocno i puściła się biegiem dookoła domu. Cath odczekała kilka minut i również skulona przemknęła na tyły domu.

Znajdował się tam duży ogród okolony drucianą siatką, przez którą widać było pusty teren szkoły. W jednym rogu ogrodu stał wysoki eukaliptus z zawieszoną na nim huśtawką. Kilka metrów dalej znajdowała się duża drewniana szopka pomalowana na oliwkowozielony kolor. Podwórze było puste. Dziewczynka musiała ukryć się w szopie.

Cath przebiegła przez trawnik. Zatrzymała się i z zakłopotaniem powiodła wzrokiem dookoła, po czym zapukała do drzwi.

Nikt nie odpowiedział, otworzyła więc drzwi. Wytarła nogi na wycieracze z napisem „WITAJ” i weszła do ogrodowej szopy Zingów.

ogrodowa szopa

- Ale ja właśnie dojechałem do pracy - zdroworozsądkowe rzekł Radcliffe.

Jednakże Fancy była nieustępliwa. Musi się z nim spotkać natychmiast w Muffin Break w pasażu handlowym Castle Hill. W końcu się zgodził.

-Poprosiłam cię o spotkanie - powiedziała Fancy, biorąc głęboki oddech - ponieważ chcę porozmawiać o nas. - Pomieszała swoje cappuccino, rozprawdzając smugi czekolady.

Przy sąsiednim stoliku dwie młode kobiety przeglądały stertę zdjęć.

-Były na Fidzi - zauważył Radcliffe, wskazując głową ich stolik. - Mają mnóstwo zdjęć z wysp tropikalnych.

- Skąd wiesz, że to Fidzi? Może być, na przykład, Tahiti.

Radcliffe spojrział na Fancy z zatroskaną miną.

- Chodzi ci o tę wywiadówkę, prawda? - spytał. - Pomyślałem, że rano zbyt prędko przeszłaś nad tym do porządku dziennego. Ale poważnie, Fance, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci to wynagrodzić.

- Nie chodzi o wywiadówkę. Ani o Cath...

- Widzisz? - przerwał jej Radcliffe. - Zrobiły kilka zdjęć panoramy. Czy Fidzi nie wygląda cudownie?

Vernon prowadził, a Marbie skuliła się na siedzeniu obok niego z nowym pudełkiem chusteczek higienicznych. Jechali za rodzicami Marbie i na każdym światłach matka machała im z podnieceniem we wstecznym lusterku.

*

Cath była odrobinę zaskoczona tym, co zobaczyła. Spodziewała się pajęczyn, zardzewiałych gwoździ, ubłoconych łopat. Może jeszcze czarnych wodno-łądowych węży o czerwonych podbrzuszach, które znalazły kryjówkę w gumiakach. Tymczasem okazało się, że szopa jest przestronnym, wysokim pomieszczeniem o wyfroterowanej na błysk podłodze. Pośrodku były ustawione drewniane krzesła, a w drugim końcu widniało niewielkie podium z mikrofonem i białym ekranem na stojaku. Pod ścianą ciągnącą się od wejścia stały szafy na akta w zaskakujących kolorach, na przykład lila czy różowym, natomiast wzdłuż przeciwległej - telewizyjne monitory. Tu i ówdzie dostrzegła również rośliny doniczkowe i wazony z żółtymi tulipanami.

Po obu stronach drzwi, w których się zatrzymała, znajdowały się smukłe, bogato zdobione regały z rzędami albumów na zdjęcia i stertami szarych papierowych teczek. Na najwyższych półkach regałów słabo migotały świece umieszczone na spodeczkach. Świece wyglądały dziwnie niepotrzebne, ponieważ sala była iluminowana jak plan filmowy, za pomocą szynowego systemu oświetlenia. Nie było w niej okien, z wyjątkiem jedyne światła w dachu, z którego padał promień słońca na odległą ścianę.

Pod tym świetlikiem, za podium, siedziała na podłodze ta dziewczynka, Listen Taylor, i wpatrywała się w Cath.

- Dzień dobry - zawołała Cath, patrząc na nią spod przymrużonych powiek.

- Dzień dobry - odparła Listen, przesuwając się lekko, tak że znalazła się w cieniu.

Cath pomyślała, że lepiej będzie, jeśli podejdzie do dziewczynki, lecz zbliżając się do niej, czuła się idiotycznie, jak ktoś, kto wychodzi na środek sceny, nie mając nic do zagrania.

Cassie biegła spokojnie. Dzieliło ją od autobusu kilka przecznic, ale nie była to jej wina. Samochód zataraśował jej drogę, gdy próbowała przebiec na drugą stronę autostrady, i musiała wycofać się na wysepkę.

Teraz nie miało to już znaczenia. Zauważyła, że kiedy autobus zatrzymał się przed chwilą, na przystanku wysiadły dwie osoby. Jedną z nich była panna Murphy. Widziała również, za który róg skręciła - była to ulica, gdzie mieszkali dziadkowie Cassie.

Cath zobaczyła na podłodze obok Listen jej torbę podróżną. Obok torby dziewczynka starannie umieściła: butelkę wina, bochenek chleba, ser, oliwki i orzechowe ciasteczka w czekoladzie.

- Dzień dobry! - powtórzyła z zakłopotaniem, stając naprzeciwko Listen.

Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Urządziłaś sobie przyjęcie?

Listen pokręciła głową.

- Jestem z twojej szkoły - wyjaśniła Cath, uświadamiając sobie nagle, że Listen może jej nie znać. - To znaczy z Redwood. Uczę Cassie, znasz Cassie Zing, prawda? Nazywam się Cath Murphy, jestem jej nauczycielką. I zobaczyłam... zauważyłam, że uciekasz.

Zdała sobie sprawę, że Listen nie patrzy na nią, lecz nad jej ramieniem, w stronę wejścia do szopy. Teraz milczały obie.

-To ty zapaliłaś te świece? - spytała po chwili Cath.

Listen przytaknęła.

- Nie zamierzam pić tego wina.

- Dobrze, wierzę ci. Masz się tu z kimś spotkać?

Listen pokręciła głową. Siedziała oparta o ścianę, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Wreszcie spojrzała Cath prosto w oczy.

- Planujesz spędzić tutaj weekend?

-Nie - odparła ledwie dosłyszalnym szeptem dziewczynka. - Nie zostanę tutaj, ja tylko... czy może mnie pani zostawić samą?

*

Fancy oznajmiła Radcliffe'owi, że chce przeprowadzić próbną separację. Dziewczęta oglądające zdjęcia z Fidzi uniosły znacząco brwi i skłoniły głowy na bok, podsłuchując.

-Bzdura - rzekł Radcliffe żartobliwym tonem. - Przecież cię przeprosiłem. Naprawię wszystko, Fancy. Załatwię jakoś spotkanie z twoją siostrą.

-Nie rozumiesz - odparła Fancy - to nie twoja wina.

- Wobec tego czyja? - spytał z rozdrażnieniem.

- Chyba powinniśmy pojechać do domu - powiedziałła Fancy, odsuwając się z krzesłem.

- Ja muszę jechać do pracy. - Radcliffe był wyraźnie zdenerwowany.

- Próbuję cię rzucić, Radcliffe.

- Właśnie, że nie.

*

- Nigdzie nie idę - oświadczyła Cath.

- Wszystko jest w porządku - tłumaczyła się Listen. - Wolno mi tutaj przebywać. Ta szopa jest własnością rodziny Zingów, którą znam. Są dziadkami Cassie. - Próbowała wzruszyć niedbale ramionami, lecz powstrzymała ją pukanie do drzwi.

W progu stała drobna postać, ciemna na tle słonecznego blasku.

- Tutaj pani jest! - wykrzyknęła, wskazując palcem na Cath, i w tym momencie obie ją poznały.

- Cassie! Co ty tu robisz?

- Nie wiedziałam, że jesteś w szopie, Listen. Chyba pamiętasz, że nie pozwalają nam do niej wchodzić?

Cassie wmaszerowała do środka.

-Wreszcie udało mi się to zobaczyć. - Powiodła spojrzeniem po suficie i ścianach. - Kim jest dziewczynka na tamtej fotografii? To ja?

- Cassie, czy ty uciekłaś ze szkoły? - spytała Cath.

- Czy ktoś widział, jak stamtąd wychodzisz? Jak się tu dostałaś?

Cassie podeszła do niewielkiej fotografii w ramce, stojącej na szafce na akta.

- Nie, to chyba nie ty, Cassie - zaprzeczyła Listen, również zbliżając się do szafki. - Ale ona trochę przypomina Fancy lub Marbie.

-Posłuchajcie - rzekła Cath, przyłączając się do nich. - Może złapiemy taks... powiedziałaś, że kim jest ta dziewczynka?

Po powrocie do domu, siedząc w salonie, Fancy usiłowała przekonać Radcliffe'a, by wyprowadził się na jakiś czas.

- Coś w rodzaju urlopu? - zażartował. Nie potraktował jej słów poważnie, patrzył na nią z uśmiechem, od którego tworzyły mu się małe dołki w policzkach. - Chcesz, żebym wziął sobie urlop? Fance, dziewczyno, czy to raczej nie ty potrzebujesz trochę odpoczynku?

- Muszę zostać i zająć się Cassie!

- Cóż... - Przyłożył palec do ust, skubiąc w zamysleniu dolną wargę. - Mógłbym chyba pomieszkać w przyczepie kempingowej Vernona za barem Banana. Nie! To nie jest dobry pomysł. Mieszka tam Vernon, prawda? Marbie i Vernon rozstali się. Marbie miała romans.

Fancy zrozumiała, że Radcliffe próbuje przekazać jej skomplikowaną wiadomość.

- Wiem, że nie miałeś romansu - oznajmiła. - Wiem, że nie ma powodu. Po prostu chcę, żebyś to zrobił.

- Spójrz - zauważyła Marbie - mama i tatuś chyba się zatrzymują.

- Masz głos okropnie przeziębionej dziewczyny - rzekł Vernon, zjeżdżając na pobocze za Zingami.

- Mama pokazuje na tamtą kawiarnię - powiedziała Marbie. - Musimy przejść na drugą stronę autostrady, żeby się tam dostać.

- Och, dobrze - zgodził się Yernon.

Cath wpatrywała się z napięciem w fotografię w ramce, tymczasem Cassie zaczęła otwierać szuflady w szafie na akta.

- Miałam identyczną dżinsową spódniczkę - zauważyła Cath. - I jestem pewna, że miałam takie same kolczyki... a tam, w tle, Listen, co tam jest napisane na tabliczce?

Listen uprzejmie przyjrzała się fotografii.

- Zwierzęta - czytała na głos Cassie. - Kolano. Złamane sre... złamane see-er... Złamane serce.

Cath i Listen popatrzyły na nią.

- Cassie, wolno ci ruszać te rzeczy? - spytała Cath, lecz równocześnie powoli zbliżała się do Cassie, grzebiąc w szafce. - Chodzi mi o to - mówiła, przesuwając spojrzeniem po teczkach na dokumenty - czy wiesz, do jakich celów twoi dziadkowie wykorzystują to pomieszczenie? Przypuszczam, że nie wszyscy mają tutaj wstęp!

Gdy zamykała szufladę, jej uwagę zwróciły dwie etykiety: „Koszmary senne” i „Potencjalni nowi pracownicy”.

Cassie, nic sobie nie robiąc z upomnienia Cath, otworzyła kolejną szufladę i wyjęła z niej plik papierów.

- Może mi to pani przeczytać? - poprosiła, podając Cath mały kartonik.

- Może nie powinna pani - mruknęła Listen.

- To jakaś reklama - wyjaśniła Cath belferskim tonem i zaczęła czytać: - „Czy nie byłoby dobrze wiedzieć, co się dzieje w twoim domu lub biurze przez cały czas? Teraz jest to możliwe! Nasze najwyższej klasy kieszonek odbiorniki radiowe gwarantują znakomitą czułość, tak że możesz słyszeć nawet szepty! Zasięg do pięciuset metrów”.

- Chyba nie powinnyśmy tego oglądać - odezwała się znów Listen.

- Są szpiegami czy co? - Cath, zafascynowana, wyciągnęła kolejną szufladę i prędko ją zamknęła. - Listen, myślisz, że mogłabyś dostać się do domu i zadzwonić do Redwood? Żeby ich zawiadomić, że Cassie jest tutaj? Na wypadek gdyby się niepokoiłi.

- Dobrze - zgodziła się Listen - ale myślę, że nie powinnyśmy na to patrzeć.

- Hej - zawołała Cassie, która podeszła do jednego z regałów. - Znalazłam właśnie mnóstwo zdjęć tamtej dziewczynki!

*

Radcliffe ziewnął, przeciągnął się i powiedział:

- Muszę chyba przynieść moją szczoteczkę do zębów.

Zerknął na Fancy, ona jednak pokiwała głową, po czym przez chwilę mierzyli się spojrzeniami spod zmrużonych powiek.

Radcliffe ruszył przez korytarz powolnym, miarowym krokiem matrony.

- To nie jest żart! - krzyknęła za nim Fancy.

- Oczywiście, że nie - przyznał Radcliffe, szerząc zęby w uśmiechu. - To urlop!

Przyglądała się, jak jej mąż pakuje kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, jak wkłada do niej pastę i szczoteczkę do zębów, krem oraz maszynkę do golenia, trzy waciki higieniczne do czyszczenia uszu, wyjęte z większego opakowania.

- Używałem tego do smarowania kurzajki na pięcie - powiedział Radcliffe, biorąc zmywacz do paznokci. - Masz coś przeciwko temu, żebym go wziął? Próbną separacja - mamrotał pod nosem, przechodząc do sypialni po torbę podróżną. - Przypuszczam, że zechcesz, bym

przestał zajmować się małą poligrafią komputerową, którą robię w pracy? - spytał głośno z głębi szafy.

Fancy stanęła w progu sypialni. Radcliffe wynurzył się spomiędzy ubrań i uśmiechnął się do niej.

- Ponieważ nie jestem pewien, czy powinienem pracować przy Sekrecie, kiedy będziemy w separacji - rzekł, unosząc brwi. - Jak myślisz?

Wreszcie do Fancy dotarło. Groził jej. Nie mógł poważnie traktować separacji, miał bowiem kartę atutową - znał Sekret. Nigdy jej się nie uda zakończyć ich małżeństwa, Radcliffe pójdzie z tym prosto do prasy. Oczywiście, że to zrobi. Nigdy nie będzie mogła od niego odejść.

- Hmm? - Radcliffe patrzył na nią, przekrzywiając głowę.

Cath szamotała się na podłodze szopy wśród powyciąganych szuflad i rozsypanych papierów, książek i tekturowych teczek. Na wszystkich zdjęciach, które znalazła Cassie, była ona, Cath. Gorączkowo otwierała i zamykała teczki, wyciągała papiery i rzucała je.

- To jest mój pies - krzyczała - moje świadectwo szkolne... moje prace ze sznurka!

Cassie, siedząc nieopodal na podłodze, przewracała kartki jeszcze jednego albumu ze zdjęciami, od czasu do czasu mierzając nauczycielkę baczным spojrzeniem, a następnie przenosząc je z powrotem na zdjęcia.

Radcliffe krążył po domu, starannie pakując przy-
padkowe przedmioty: CD z półki, owoc kiwi z lodówki.
Blefował. Był pewien, że za chwilę Fancy roześmieje się,
przeprosi go i powie, by zostawił to w spokoju.

Fancy czuła rosnącą bezradność. Drgnęła na dźwięk telefonu.

Wdrapawszy się do środka przez kuchenne okno, Listen pomyślała, że lepiej będzie, jeśli zadzwoni do kogoś z rodziny Zingów. Wcale nie do Redwood. W szopie działo się coś dziwnego i to ona to sprowokowała. Popatrzyła na starannie oznaczone przyciski samowybierania i przypomniała sobie, że Fancy mieszka w pobliżu. Wybrała więc przycisk z nalepką „FANCY”.

- Listen! Witaj, kochanie, jak się masz? - Głos Fancy miał dziwne brzmienie.

- Kto to? - spytał gdzieś z oddali Radcliffe.

- To Listen! Dzwoni do nas Listen!

- Fancy, muszę ci coś powiedzieć. Jestem w domu dziadków Zing, Cassie też tu jest.

- Och, kochanie. Ich nie ma w domu. Pojechali na jakiś pokaz balonów. Co ty powiedziałaś o Cassie... jak Cassie się tam dostała? Dlaczego nie jest w szkole? Możesz dać mi ją do telefonu, skarbie?

- Nie mogę - dzielnie odparła Listen. - Ona jest w ogrodowej szopie na tyłach domu. Ale wszystko w porządku, bo jest tam z nią jej nauczycielka. Chyba nazywa się Murphy, tak?

Fancy na moment odebrało mowę. Słysząc było tylko jej oddech, a potem stukanie paznokciami o słuchawkę.

-Powiedziałaś, że kto tam jest? - odezwała się w końcu.

- Panna Murphy. Nauczycielka Cassie. Jest w ogrodowej szopie z Cassie.

-Listen? Możesz je stamtąd wyprowadzić? Natychmiast?

Teraz Listen milczała przez chwilę.

- Cóż - rzekła w końcu - to będzie raczej trudne. Panna Murphy grzebie właśnie w szafkach z aktami. Próbowałam ją powstrzymać.

Fancy zaczerpnęła ogromny haust powietrza i wybuchnęła śmiechem.

- Cha, cha, cha! - Jej śmiech był przeraźliwie piskliwy. Roześmiała się jeszcze raz: - Cha, cha, cha!

- Co się stało, Fancy? - dobiegł znowu z oddali głos Radcliffe'a.

- No dobrze, Listen - śpiewnie powiedziała Fancy - koniec zabawy! Wiesz co, zadzwonię do matki i ściagnę ją tutaj z tego Święta Balonów. Nie ruszaj się stamtąd, zaraz przyjadę. Dziękuję, że zadzwoniłaś, kochanie!

Listen odłożyła słuchawkę i długo wpatrywała się w telefon.

pożar

Radcliffe stał na werandzie z przewieszoną przez ramię torbą, czekając na Fancy. Uśmiechnął się do niej szeroko, gdy podeszła do frontowych drzwi.

- Mam już jechać? - zawołał. - Zameldować się w hotelu?

- Dzwoniła Listen - odparła Fancy tym samym śpiewnym tonem. - A potem musiałam skontaktować się z mamą. Zgadnij, kto grzebie w szafkach na akta w ogrodowej szopie?

- Nie mam pojęcia.

- Spróbuj.

- Policja?

- Nie, Radcliffe. Lepiej! To Cath Murphy! Jest w ogrodowej szopie!

Radcliffe zszarzał na twarzy.

- Cath?

- Tak! - wykrzyknęła Fancy, ledwie widoczna w półmroku panującym w holu.

Radcliffe zmrużył oczy, by ją lepiej zobaczyć.

- Czyli Sekret się wydał?

- Tak! I, Radcliffe, chcę rozwodu!

Podmuch wiatru zatrzasnął z hukiem drzwi.

Wiatr rozwiewał włosy Marbie, zasłaniając jej oczy, toteż przez chwilę nic nie widziała. Ten sam powiew oślepił pana Zinga, który miał teraz wąskie szparki zamiast oczu, jak również lekko zagłuszył okrzyki pani Zing: „Musimy WRACAĆ!” Krzyczała do swojego telefonu komórkowego, gdy przebiegali przez trzy pierwsze pasy autostrady, teraz zaś machała nim nad głową, wołając: „To FANCY! Musimy WRACAĆ!” Wszyscy czworo stali rzędem na wąskim pasie zieleni między pędzącymi w obie strony samochodami.

- Ale kawiarnia jest tam! - powiedziała Marbie, z rozwianymi włosami zasłaniającymi jej widok, i postąpiła krok do przodu.

- Marbie!

Z przestraszu Vernon pociągnął ją tak gwałtownie z powrotem, że Marbie nie zatrzymała się na spłachetku zieleni rozdzielającym obie jezdnie, lecz potknęła się i upadła na pasmo za nią, pod nadjeżdżający sportowy samochód.

Porywisty podmuch wiatru przetoczył się przez podwórze i wdarł się do środka przez otwarte drzwi szopy. Porwał w powietrze papiery, zgasił trzy świece, a czwartą strącił na wycieraczkę z napisem „WITAJ”, gdzie rzadko tkane włókno natychmiast zajęło się płomieniem.

Cath i Cassie, w drugim końcu pomieszczenia, chwyciły fruujące papiery i zdjęcia, nie przerywając czytania.

Wśród papierów i teczek Cath znalazła: listę wszystkich filmów, jakie kiedykolwiek widziała; wykresy jej rozwoju od dnia urodzin; wydruki komputerowe w Excelu z wykazem jej ulubionych potraw, kolorów, kroków w tańcu i czasopism. Wszystko, czego dotykała, było związane z nią.

Były tam rysunki motyli, które robiła, mając sześć lat, dziesiątki zbliżeń jej twarzy, kiedy miała osiem lub dziewięć, wysoko spięty koński ogon, opadający na pulpit szkolnej ławki. Zdjęcia jej kostek. Zdjęcie, jak wraca ze szkoły do domu, wymachując plecakiem. A tutaj dwunastoletnia Cath, przemawiająca do konia o imieniu Buck i karmiąca go potajemnie marchewką. Znajdowały się tam również listy jej ulubionych książek wraz z jej uwagami na temat tychże książek. W jednej szufladzie odkryła całą kolekcję swoich ukochanych zabawek.

Choć bez przerwy wydawała stłumione okrzyki i mamrotała: „Kim są ci ludzie?” i „Co to za miejsce?”, szeptała również: „Zgadza się” i „Uwielbiałam tę lalkę!” Nieoczekiwanie poczuła, że przepełnia ją radosne uniesienie. Tutaj jest cała ona! W tej ogrodowej szopie!

Gdy Listen wygramoliła się z domu tą samą drogą, przez kuchenne okno, poczuła, że zaczynają szczypać ją oczy. Spojrzała w górę na niebo, które miało dziwnie żółtoszary kolor, jak gdyby patrzyła na nie przez pończochę. Z szopy wydobywały się przez otwarte drzwi smużki czarnego dymu.

Poszukała wzrokiem Cath i Cassie, lecz nie było ich nigdzie w polu widzenia, puściła się więc pędem przez podwórko.

- UCIEKAJCIE STAMTĄD! - Obiegła szopę dookoła, waląc pięściami w ściany. - UCIEKAJCIE STAMTĄD! SZOPA SIĘ PALI!

»

Cath zaglądała Cassie przez ramię, gdy dziewczynka przewracała kartki albumu fotograficznego.

- To ja na skuterze wodnym - powiedziała.

- Aha - zgodziła się Cassie.

- ...ja na kucyku... ja po zdobyciu medalu w zuchach... Tutaj jem lody... a tam chowam się za słonecznikiem... to ja na zajęciach z prawa... - kto robił te zdjęcia?

Cassie, która spokojnie przewracała dalej kartki, zakaszła i potarła oczy. Cath także poczuła, że coś ją drapie w gardle, i pomyślała z roztargnieniem, że powinna otworzyć okno. Podniosła wzrok, by sprawdzić, czy jest tu jakieś.

Drzwi do szopy zniknęły za kłębam dymu.

*

- Ratunku!

Listen przestała walić w ściany szopy. Gdzieś z głębi szopy dobiegał czyjś stłumiony głos.

- Pomocy! Listen, słyszysz mnie? Nie możemy dojść do drzwi! - Głos należał do nauczycielki drugiej klasy, panny Murphy.

- Wezwij straż pożarną! - To piszczała Cassie.

Listen cofnęła się, próbując ocenić sytuację. Szopa nie miała okien ani tylnego wejścia. Dziewczynka podbiegła znowu ku otwartym drzwiom i zobaczyła, że są spowite chmurą czarnego dymu. Słychać było tylko cichy szelest płomieni, odepchnął ją buchający ze środka żar.

Pomknęła więc do ogrodowego węża, starannie zwiniętego na bębnie obok zaworu na podwórzu. Wyszarpnęła go z bębna, odkręciła kran na pełny regulator i pognęła przez ogród, ciągnąc wąż za sobą. Skończył się na długo przed szopą i Listen upadła z rozpędu na trawę. Zresztą patrząc na cienki plastik i widząc wypływający z dyszy słaby strumień wody, zorientowała się, że i tak niewiele by zdziałała.

Podniosła się, mrużąc oczy i próbując dojrzeć przez dym płonącą szopę. Musi być z niej jakieś inne wyjście. Jej wzrok powędrował w górę i nagle dostrzegła refleks słońca na świetliku. Świetlik znajdował się zbyt wysoko, by uwięzionym udało się do niego dosięgnąć, gdyby jednak zdołała jakimś cudem dostać się na dach i opuścić im linę, mogłyby się uwolnić z pułapki. Skąd wziąć linę?

Prześlizgnęła się spojrzeniem do eukaliptusa i starej huśtawki na sznurach. Wespnie się na drzewo, rozwiąże sznury, a potem wejdzie na dach szopy.

Ale zdawała sobie sprawę, że ściany szopy są tak śliskie i wysokie, że nie ma mowy, by wdrapała się po nich na dach.

Będzie musiała tam skoczyć prosto z wierzchołka drzewa.

Drzewo było gładkie, lecz przydały się sznury huśtawki. „Wykorzystuj stopy”, mawiał zawsze instruktor wspinaczki. Tenisówki ślizgały się po korze.

Dysząc, usiadła okrakiem na gałęzi niedaleko wierzchołka drzewa, podciągnęła huśtawkę do swojego poziomu i zaczęła rozsypywać węzły. Były zawiązane w przeplecione wzajemnie ósemki, tak jak te, które stosowano przy wspinaczce. Okręciła sznur wokół siedzenia huśtawki i popatrzyła na szopę.

Czarny dym wydobywał się kłęбами przez drzwi i przedzierał przez szpary w dachu. Poza dachem szopy

widziała teren sąsiadującej z posesją szkoły, gdzie gromadzili się w grupkach uczniowie. Teraz ruszyli powoli przez dziedziniec, obserwując ją.

Nie było czasu do stracenia. Stała na konarze, wciskając pod pachę huśtawkę owiniętą sznurami. Liście wplątywały się jej we włosy, gałązki drapały ją w kark, ale wiedziała, że musi zacząć z właściwej pozycji: jedno kolano wyprostowane, drugie zgięte, jedna ręka do przodu, druga do tyłu.

Na konarze było miejsce na zaledwie dwa i pół kroku na rozbieg, ale wykorzystała tę przestrzeń, uderzając głową o wyższą gałąź, i skoczyła. Uniosła się w górę. Poczowała na twarzy pęd powietrza. Nogi miała pewne jak tancerka. Przez jedno mgnienie fruwała.

Wylądowała obok świetlika, ze świadomym kopnięciem kończącym we właściwy sposób boczny cios z wyskoku i obrotu.

Z jednego boku świetlika znajdował się mały metalowy uchwyt, który oparzył jej dłoń, gdy go dotknęła. Wyciągnęła rąbek T-shirta, złapała przezeń uchwyt i otworzyła szarpnięciem okno. Następnie, na czworakach, zajrzała do środka, próbując przebić wzrokiem ciemność.

*

Cath, przykucnąwszy pod ścianą w drugim końcu szopy, zasłaniała twarz T-shirtem i spódnicą, lecz nic nie było w stanie powstrzymać dymu. Kurczowo trzymała przy sobie Cassie, która miała buzię wciśniętą z całej siły w jej brzuch. Tak zginęli moi rodzice, przeleciała jej przez głowę przerażająca myśl. Rozejrzała się znów dookoła, szukając drogi ucieczki. Do świetlika jest zbyt wysoko, nie zdołają się wspiać. Ogień rozprzestrzenił się coraz bardziej, podsycony stertami rozsypanych papierów i te-

czek, plastikowymi okładkami albumów fotograficznych. Rozległ się głośny trzask, gdy belka spadła na podłogę. Żar zdawał się zaciskać wokół nich jak gumowa rękawiczka.

Nagle usłyszała z góry czyjś okrzyk.

Leżąc na płask na brzuchu, Listen opuściła przez otwarty świetlik siedzenie huśtawki w głąb szopy. Owinęła sznury wokół nadgarstków i ścisnęła je w dłoniach, nie wiedziała jednak, czy ma dość siły, by utrzymać huśtawkę.

Cath dostrzegła nad sobą huśtawkę i sięgnęła po nią, zatrzymała się jednak, by przyciągnąć do siebie z powrotem Cassie. Jedną ręką chwyciła drewniane siedzenie.

-Obejmij rękami siedzenie - krzyknęła Listen - i odbij się stopami od ściany.

Cassie miała zaciśnięte powieki, ponieważ dym gryzł ją w oczy, ale pokiwała głową i posłusznie oplótła ramionami deskę. Z pomocą Cath umieściła jedną stopę wysoko na ścianie i spojrzała w górę ku Listen.

Listen czołgała się do tyłu, ciągnąc liny z całej siły, na jaką było ją stać, i parząc kolana o dach szopy. Gdy liny się napięły, zaczęła wlec Cassie, najpierw posuwając się centymetr po centymetrze na brzuchu, następnie oparła się na łokciach i kolanach, aż wreszcie wstała i próbowała ciągnąć oburącz, odchyłona do tyłu. W dole, w szopie, było tak czarno od dymu, że Cath stała się ledwie widocznym cieniem.

Kiedy Cassie znalazła się dostatecznie wysoko, Listen złapała ją za rękę i pomogła jej wygramolić się na zewnątrz. Obie opadły na chwilę na dach i rozejrzały się dookoła. Kłęby dymu wydobywały się ze świetlika.

Cassie przykucnęła tuż obok, gdy Listen opuściła jeszcze raz huśtawkę. Cath, zepchnięta przez płomień w sam róg, złapała deskę i popatrzyła z powątpiewaniem w górę.

Ale tym razem Listen poczuła niesamowity przypływ sił. Ciągnęła linę obiema rękami, znowu odczołgując się na brzuchu od świetlika, i po kilku chwilach dłonie Cath pojawiły się na ramie.

Teraz wszystkie trzy przytuliły się do siebie, szukając sposobu w jaki mogłyby dostać się na dół. Słyszały syrenę wozu strażackiego. Widziały, że na podwórzu za domem Zingów tłoczą się uczniowie Bellbird, machają do nich i krzyczą:

- SKACZCIE! SKACZCIE!

Cassie wyprostowała się, zakaszła raz i skoczyła. Wyciągnęły się po nią dziesiątki rąk i pochwyciły ją.

Cath i Listen popatrzyły na siebie, potem na uczniów na dole i czując, jak wszędzie wokół nich bucha coraz większy żar, obie dały nura w tłum.

Listen czuła ręce na brzuchu, rękach i nogach. Zanimiono ją czym prędzej na trawnik od frontu, jak najdalej od płonącej szopy. Panował straszliwy zgiełk, wszyscy krzyczeli w podnieceniu. Położono ją na trawie. Uczniowie pytali, gdzie ją boli i czy się poparzyła.

- Odsuńcie się!

- Przynieście lód!

- Nie, nie lód!

- Dajcie wąż ogrodowy!

Młodzi ludzie cofnęli się, otaczając ją szerokim kręgiem. Umilkli na chwilę, obserwując ją, niepewni, co robić, gdy leżała na trawie, kaszląc i patrząc na nich.

Próbowała skupić na nich wzrok, sprawić, by przestali wymykać się jej z pola widzenia. Na chwilę

przedtem, zanim straciła przytomność, zobaczyła wyraźnie trzy twarze: Carla Vandenberg, posiadacza czarnego pasa w taekwondo; Samalię Janz, koleżankę z końskim ogonem, tę ze wspinaczki; i Annie Webb, nową uczennicę ze złotym kolczykiem w brodzie. Wszyscy troje byli w mundurkach szkoły średniej Bellbird.

Choć wiedziała, że to musi być sen, poczuła, że ogarnia ją łagodna radość.

sen

Cassie śniło się, że opieka myszy na patykach nad ogniskiem. Śniło jej się, że tłumaczy Lucindzie, bardzo powoli i precyzyjnie, że jej skóra spowieje, jeśli nie napije się jej fanty.

Listen musiała wspinać się w swoim śnie po ścianach szkoły podstawowej Redwood, które drapały ją w kolana jak kora na pniu.

- Wszystko będzie dobrze, jeśli puścisz ręce - poinformowała ją Samalia, jej koński ogon kołysał się na wietrze. - Widzisz? - Zatrzepotała dłońmi w powietrzu i pobiegła w górę po ścianie niczym Spiderman.

- Dzięki - rzekła z powątpiewaniem Listen.

Cath Murphy miała sen, w którym uczyła klasę nastolatków.

- Zjadliwe i pogardliwe odrzucenie - mówiła mądrze - małżeńskich umizgów kandydata.

Nastolatki poważnie kiwały do siebie głowami. Usłyszała, jak jedna mówi do przyjaciółki:

- Żadnego lodu, żadnego masła, żadnej pasty do zębów, żadnych pomidorów.

- I nie dotykaj rękami oparzeń - odparła przyjaciółka.

Gdy Fancy i Radcliffe przyjechali pod dom dziadków Zingów, zastali tam wozy strażackie z włączonymi syrenami, uczniów pobliskiej szkoły i dym. Karetki pogotowia parkowały pod dziwnym kątem i Fancy miała wrażenie, że gdziekolwiek się obróci, widzi dziewczynki na noszach. Niewysocy mężczyźni w mundurach energicznie pochylali się nad tymi noszami.

- Cassie? - wołała Fancy, lecz z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Patrzyła nieprzytomnie, jak Radcliffe przepycha się w tłumie, zadając pytania. Po chwili wrócił i kazał jej wsiąść do samochodu.

Dotarli do szpitala w tym samym czasie co pan Zing, pani Zing, Marbie i Vernon, zderzając się z nimi w obrotowych drzwiach, co spowodowało lekkie zamieszanie. To zamieszanie spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy w końcu weszli do środka i otrzymali sprzeczne informacje, kierowano ich na oddział urazowy, oddział dziecięcy, oddział oparzeń. I gdy dostrzegli, że krew sączy się powoli z obu kolan Marbie.

W windzie pan Zing powiedział do Radcliffe'a:

- Pojechaliśmy prosto do naszego domu, tak jak nam kazała Fancy, a potem za ambulansem tutaj. Co się dzieje?

- Rozmawiałem z sanitariuszem - odparł Radcliffe, przyglądając się z ponurą miną przyciskom windy.
- Podobno Listen i Cath Murphy wdrapały się na drzewo w waszym ogrodzie. Drzewo się zapaliło i Cassie musiała je ratować. Tyle dymu, co? Z jednego drzewa!

Na korytarzu pani Zing wyjaśniała Vernonowi:

- Nie sądzę, żeby Listen była w to zamieszana, Vernonie. Cassie miała atak astmy spowodowany dymem z ogniska na boisku szkoły sąsiadującej z naszą posesją, to wszystko. Czy idziemy w dobrym kierunku?

Na schodach Fancy spytała Marbie:

- Co ci się stało w kolana?
- Upadłam prosto pod sportowy samochód - odrzekła Marbie. - Ale gwałtownie skręcił i mnie ominął.

W poczekalni lekarz poinformował Fancy i Radcliffe'*

- Podejrzewamy, że Cassie mogła zatruć się wdychanym dymem.

- Co pan ma na myśli? - zaniepokoił się Radcliffe.

- Sądzymy, że została uwięziona w płonącym pomieszczeniu... szopie? A może w garażu? Tak czy owak, znalazła się w pułapce i tkwiła w niej przez jakiś czas. To jeszcze dziecko, niecałe dziesięć lat. Ma trudności z oddychaniem. I przebarwioną skórę. Te wszystkie objawy wskazują na prawdopodobieństwo zatrucia dymem. Oparzenia są nieliczne i rozpoczęliśmy już leczenie - w tych okolicznościach rokowania są dobre. Ale musimy państwa uprzedzić, że jej stan może być wyjątkowo poważny, a główną przyczyną... istnieje możliwość... musimy państwa prosić, byście przygotowali się... - Głos lekarza był to głośniejszy, to cichszy.

- Ona ma astmę - przez łzy wykrztusiła Fancy.

W małym gabinecie pielęgniarka rozmawiała z Vernonem, Marbie i panem Zingiem.

- Teraz jeśli chodzi o Listen, bo tak ma na imię, prawda? Cóż, tylko parę siniaków, skaleczeń, kilka niegroźnych oparzeń i otarć na dłoniach oraz kolanach. Jest

odwodniona i wyczerpana, obecnie odpoczywa, ale poza tym stan jest dobry. Trzymamy rękę na pulsie na wypadek, gdyby nawdychała się dymu, ale czy słusznie wydaje mi się, że nie było jej w szopie? To ona pomogła innym wydostać się stamtąd?

- Był pożar w szopie? - wyszeptał pan Zing. - Czy ktoś powiedział o tym mojej żonie?

Na korytarzu lekarz powiedział do pani Zing:

- Teraz śpi, ale leczymy oparzenia drugiego stopnia na jej rękach - obejmowała chyba małą, osłaniając ją od ognia... Mam wyjaśnić, co to są oparzenia drugiego stopnia? Nie?

*

Cassie śniła się owsianka.

- Nie wkładaj nigdy owsianki do nosa - poinstruowała Lucinę, która tylko zakasłała w odpowiedzi.

Listen śniło się, że wykonuje magiczną sztuczkę z naręczem balonów. Rodzina Zingów przyglądała się i biła brawo, tymczasem w tle Carl Vandenberg popisywał się manewrami, dzięki którym zdobył czarny pas.

Cath śniło się, że jej kot Violin jest zły i że musi go uratować. Było za późno. Violin kroczył po wyschniętej brązowej trawie w stronę gniazda siewek, które wydziobią mu oczy.

-Violin! - krzyknęła Cath, lecz jej kot prychnął z pogardą i powoli przejechał pazurami po jej rękach.

Śniło jej się, że broni Violina. Przedzierała się przez swoje notatki z zajęć prawa, pomijając brzemienne przekupki, żółtawobiałe czaszki, ślimaki w butelkach piwa imbirowego, i zakończyła z ulgą na obronie koniecznej.

-Ale dwanaście osób głosowało za skazaniem - rzekł przepaszająco pan Billson na szkolnym boisku -

a dwanaście za uniewinnieniem. Zabrakło większości do uchylecia wyroku, zostaje więc utrzymany.

To oznaczało: winien.

*

Przez pewien czas wszyscy członkowie rodziny krążyli między szpitalnymi salami i śpiącymi dziewczętami oszołomionymi i zdeorientowanymi, lecz w końcu się uspokoili.

Radcliffe i Fancy siedzieli przy Cassie, obserwując ją bez słowa. Raz Radcliffe odchrząknął i powiedział:

- Fancy, doktor wspomniał, że jej astma może teraz być gorsza niż przedtem.

- Na stałe? - spytała szeptem Fancy.

- Niż przedtem - powtórzył Radcliffe.

Potem już się nie odzywali.

Vernon, Marbie i pan Zing siedzieli rzędkiem przy łóżku Listen, wymieniając od czasu do czasu uwagi na temat szpitalnego jedzenia czy skrzypiących tenisówek Vernona. Pan Zing zasugerował, by stłuc je kijem lub moczyć w wiadrze z wodą przez parę dni. Zaklinał się, że te metody są skuteczne. Pielęgniarka zauważyła poranione kolana Marbie i udzieliła jej reprimendy, po czym starannie je obmyła i opatrzyła.

Tymczasem pani Zing siedziała sama przy śpiącej Cath, nie spuszczać z niej wzroku.

- Otóż, Cath - wyszeptała w końcu - jeśli prawdą jest, że szopa spłonęła, to nie wiem, ile mogło zostać z naszego ogrodu. Szkoda, bo myślę, że spodobały ci się ten ogród. Mamy tak wiele kwiatów! Niech pomyślę. Mamy pachnący groszek, begonie, bratki, petunie, przebiśniegi, cyklameny, stokrotki i orchidee. Ale nie hoduję róż, ze względu na kolce. Za to są magnolie, kamelie, dalie i azalie. Mamy również ogród warzywny, no wiesz, brokuły, marchew, fasola, groch, kukurydza, kalafior, sa-

łata, pietruszka, truskawki, pomidory, mięta i tymianek. I oczywiście nieduże drzewo cytrynowe Davida, może zauważyłaś?

*

Cassie śniły się zatęchłe płatki śniadaniowe na dnie pudełka. Usiłowała wytłumaczyć ojcu, jak przechylić pudełko, żeby nie nasypać do miseczki niedobrych płatków, on jednak był roztargniony.

Listen śniły się kawałki srebra, lśniące w stawie z żółwiami.

- To nagroda - rzekł radośnie dyrektor - za twoje wszystkie skrzypiące tenisówki!

- Brawo! - odezwał się czyjś głos. Była to Annie Webb.

- To srebro - wyjaśniła Listen.

- Brawo - powtórzyła Annie, tym razem ciszej.

Cath śnił się przerażający królik, stojący pośrodku drogi. Był normalnej wielkości i mimo to było w nim coś niewiarygodnie zatrważającego. A wokół niego piętrzyły się sterty brokułów, marchewek, fasoli, grochu, kukurydzy, kalafiorów, sałaty i pietruszki.

*

Cassie wydała z siebie jeden wysoki, rżący dźwięk, który ją zaskoczył. Spojrzała na matkę siedzącą przy łóżku.

- Potrafię biec tak szybko jak autobus - wyszeptła chrapliwie.

Matka wybuchnęła płaczem.

Listen otworzyła oczy i zobaczyła Marbie, Vernona i pana Zinga, siedzących przy jej łóżku.

- Przepraszam - powiedziała.

Pan Zing pochylił się ku niej i serdecznie poklepał ją po głowie szpitalnym jadłospisem.

Cath obudziła się. Przy jej łóżku siedziała pulchna kobieta.

- Dzień dobry - przywitała ją. - Jak się czujesz? Środki przeciwbólowe działają? Słyszałam, że widziałas naszą ogrodową szopę.

zupa ogórkowa

Od pożaru minęło sześć tygodni, zaczęły się wakacje i pan Zing wybudował altanę na miejscu spalonej szopy. To właśnie tutaj, z symbolicznych przyczyn, Zingowie zaprosili Cath na „wyjaśniający lunch”.

Leżąc w szpitalu, miała absolutny zamęt w głowie z powodu tego, co powiedziała jej pani Zing, toteż na koniec spytała tonem studentki prawa:

-Chyba powinnam zawiadomić policję o waszej szopie, prawda?

Pani Zing poprosiła, żeby zaczekała, aż poczuje się lepiej i wróci do domu, wtedy zaproszą ją na lunch i wszystko jej wyjaśnią. Potem jeśli zechce, może zadzwonić na policję. Tylko co im powie, jeśli nawet zdecyduje się zadzwonić (Zingowie mogą zaprzeczyć, że w ich ogrodowej szopie, w której wybuchł pożar, znajdowały się tego rodzaju rzeczy)? Tak naprawdę zależało jej na wyjaśnieniu. Przystała więc na prośbę pani Zing.

Cath Murphy siedziała u szczytu stołu po jednej stronie, a pan i pani Zingowie po drugiej. Stół był nakryty nowym białym obrusem, wokół niego stały eleganckie ogrodowe krzesła. W zaroślach za ogrodzeniem Zingów zanosiły się śpiewem miodożery szmaragdowe. Kukabura przysiadła na samym ogrodzeniu, milcząco obserwu-

jąc rodzinę, która z kolei przyglądała się ogórkowej zupie i sięgała po serwetki i łyżki.

Cath poznała wszystkich członków rodziny Zingów w drodze do ogrodu, teraz siedziała prosto, jakby kij połknęła, i kolejno lustrowała ich wzrokiem. Po jej prawej ręce siedziała Listen, dziewczynka, która uratowała ją z pożaru, dalej jej starszy brat Vernon oraz dziewczyna Vernona, Marbie. Po jej lewej ręce - Cassie Zing, następnie matka Cassie, Fancy, oraz mąż Fancy, Radcliffe. Od czasu do czasu Cassie mówiła jej do ucha jakieś uwagi. Zdążyła już poinformować Cath, że jej rodzice się rozwodzą i że jej mama tak naprawdę nie chciała, żeby tata był tu dzisiaj obecny. Teraz szeptała coś o miętowym sosie.

- A zatem - powiedziała pani Zing donośnym głosem i wszyscy cofnęli dłonie od łyżek. - Pomyślałam, że zacznę od ogólnych wyjaśnień, a następnie, jeśli będziesz miała jakieś pytania, postaramy się na nie wyczerpująco odpowiedzieć.

- Mmm - mruknęła cicho Cath.

Pani Zing westchnęła głęboko i rozpoczęła swoją opowieść, przerywaną jedynie pobrzękiwaniem łyżek, śpiewem miodożerów, od czasu do czasu głośnym chichotem kukabury lub dobiegającym z oddali trzaskiem wydawanym przez trzaskacza.

- Jakiś czas temu - pani Zing przechyliła lekko głowę, jak gdyby przypominała sobie szczegóły - mój mąż, pan Zing - (w tym miejscu pan Zing podniósł do góry rękę, przedstawiając się) - a więc, tu obecny pan Zing wyjechał do Irlandii w celu napisania powieści. Podczas jego nieobecności dostałam pracę na planie filmowym *Niebiańskiego ciasta*. Miałam romans z gwiazdorem, który grał w tym filmie, Nikolaiem Valerio - tak, Nikolaiem Valerio. Miałam romans i zaszłam w ciążę, tak, nosiłam jego dziecko. Potem odszedł, zostawiając mi jedynie sztuczną różę. Wtedy wrócił mój mąż.

Umilkła, a wszyscy spojrzeli na Cath, która uśmiechała się łagodnie.

- Kariera Nikolaia zależała, a przynajmniej on tak uważał, od dochowania wierności żonie, Rebecce. Jego wizerunek musiał być nieskazitelny. Już i tak krążyły plotki na temat jego przyjaźni ze mną - było ogólnie wiadomo, że mój mąż wyjechał - toteż ludzie Nikolaia niezwłocznie wysłali mnie, Davida oraz nasze córki, Fancy i Marbie - (Fancy i Marbie uroczyście podniosły ręce do góry) - to znaczy całą rodzinę, do utrzymanego w tajemnicy domu nad morzem. Tam zaproponowali nam układ.

- Układ? - powtórzyła Cath, wykazując zainteresowanie. Nie tknęła nawet zupy.

-Właśnie. Ludzie Valerio załatwią twoją adopcję - rozumiesz, oczywiście, że to ty byłaś tym dzieckiem - tak, otóż załatwią adopcję, a ja będę potajemnie prowadziła stałą obserwację twojego wychowania. Utworzyli specjalną strukturę firmy, dzięki której komunikowałam się z Nikolaiem, składałam mu sprawozdania z twoich postępów i zamawiałam wszystko, czego potrzebowałam. Korporacja płaciła panu Zingowi i mnie honoraria za naszą pracę. Zdaję sobie sprawę, że nigdy mi nie wybacysz tego, że cię oddałam, Cath, ale wierz mi, że zrobiłam to dla twojego własnego dobra. Pragnęłam, żebyś miała normalne życie. Gdyby ktokolwiek wiedział, kim jest twój prawdziwy ojciec...

- Moi prawdziwi rodzice - stanowczo przerwała jej w końcu Cath - zginęli w pożarze domu. Mam u siebie ich fotografię i ręczę, że moim ojcem nie jest Nikolai Valerio. Nikolai Valerio! Naturalnie - mówiła dalej głosem nabrzmiałym coraz większą złością - mam przybranych rodziców, których kocham jak rodzonych. Mieszkają w Perth i nic nie wiedzą o tym, co znalazłam w waszej ogrodowej szopie, ponieważ zdaję sobie sprawę, jak bardzo by ich to zdenerwowało. Nie myślcie jednak, że im

nie powiem, jeśli będę musiała! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na temat Nikolaia Valerio. Wiem, kim byli moi prawdziwi rodzice! Pokażę wam zdjęcie, jeśli chcecie. A teraz żądam, żeby jedna osoba przy zdrowych zmysłach natychmiast mi wyjaśniła, dlaczego zbieraliście wszystkie te informacje o mnie. I mówię serio, natychmiast! Albo dzwonię na policję. - Wyjęła swój telefon komórkowy i pomachała nim, żeby zrobić wrażenie.

- Ach! - machnęła ręką pani Zing. - Zdjęcia twoich „prawdziwych rodziców"! Prawie o tym zapomniałam. Tak, załatwiliśmy dwa zdjęcia. Jedno, jeśli dobrze pamiętam, przedstawiało młode małżeństwo o blond włosach, a drugie potężnego strażaka, który rzekomo cię uratował. Wszyscy troje byli statystami w filmach Nikolaia. Wymyśliliśmy historię o pożarze, żeby nigdy nie przyszło ci do głowy grzebać w przeszłości.

-Twoi przybrani rodzice wydali nam się bardzo miłymi ludźmi - powiedziała pani Zing. - Chyba dobrze, że nie denerwowałam ich tą sprawą.

- A co do szopy - uprzejmie wtrąciła Fancy - cóż, trzymaliśmy tam wszystkie nasze akta dotyczące ciebie, jak również fotografie. Dokumentację medyczną, dentyścyczną, edukacyjną...

Cath złapała powietrze tak gorączkowo, że omal się nie zachłysnęła.

- Och - współczująco pokiwała głową Fancy.

-To wyglądało w ten sposób - rzekł Radcliffe, opierając łokcie na stole. - Dam ci przykład. Pamiętasz swój wypadek na nartach, kiedy miałaś szesnaście lat czy coś koło tego?

- Potrzebny był zabieg rekonstrukcji kolana - przypomniała jej Marbie.

- O tak! - dodała pani Zing. - Wszyscy zbieraliśmy wszelkie informacje na temat operacji kolan! Staliśmy się

niemal ekspertami w tej dziedzinie! Te informacje w całości...

Ale Cath przestała słuchać.

- Skąd wiecie o fotografii moich rodziców? - spytała drżącym głosem. - Oni stracili życie w pożarze. Nie są statystami w jakimś filmie. Skąd wiecie o moich zdjęciach?!

Pani Zing zaproponowała, by weszli do środka i obejrzeni na DVD piąty film Nikolaia Valerio, *Problemy z gramofonem*. Gdy film się zaczął, Radcliffe zauważył, że Cath ma takie same wydatne kości policzkowe i garbek na nosie jak Nikolai. Zignorowała tę uwagę. Pani Zing zatrzymała film w momencie, gdy na ekranie ukazali się w tle jako statysci „matka” i „ojciec” Cath oraz „bohater-ski strażak”.

Film *Kłopoty z gramofonem* został nakręcony pięć lat po rzekomej śmierci „rodziców” Cath w płomieniach.

urywki z ogrodowej szopy Zingów (ocalałe z pożaru fragmenty)

Sugerowana lektura

Comito R.B. *Sposoby zespalania złamań stawowych za pomocą gwoździ*, Royal Bartholomew Orthopaedic Review, tom XII, nr 2, luty 1989.

POWTARZAJĄCY SIĘ KOSZMAR SENNY NR 4

Przeróżający królik stoi pośrodku drogi. Jest normalnej wielkości i ma normalny wygląd, a mimo to jest w nim coś niewiarygodnie zatrważającego.

Liczba zanotowanych powtórzeń: 3

Wiek obiektu: 11 lat

Informator: roznosiciel gazet

SPRZĘT DO INWIGILACJI - PRZESYŁKA

Temperówka do ołówków z ukrytą kamerą, nadajnikiem i odbiornikiem.

Cena detaliczna: 250 \$

Cena dla stałego klienta: 225 \$

pieczeń jagnięca, ziemniaki, zielony groszek i mięta

Cath wpatrywała się w Cassie, która nadziewała groszek na widelec. Miała po trzy groszki na jego każdym zębie i próbowała nabić jeszcze więcej.

- No dobrze - odezwała się w końcu, przesuając spojrzeniem po siedzących przy stole. - Założmy, że ta historia jest prawdziwa...

- Och, jest prawdziwa - przerwał jej Radcliffe, energicznie smarując kromkę chleba masłem.

- Założmy - powtórzyła surowo Cath, a pani Zing zachęciła ją skinieniem głowy. - Skąd mieliście wszystkie te informacje o mnie? Były tam moje zdjęcia w ławce w szkole podstawowej. Na wykładach prawa! W mojej jadalni! Były tam zdjęcia moich kostek. Moje akta z uczelni!

- Cóż, dobre pytanie - zauważyła pani Zing. - Korzystaliśmy z trzech głównych sposobów zdobywania informacji. Po pierwsze i najważniejsze, mieliśmy szpiegów. Po drugie, stosowaliśmy odpowiednie techniki zbierania informacji. Po trzecie, dysponowaliśmy dwiema ukrytymi kamerami. - Podniosła lekko głos, by móc udawać, że nie słyszy wybuchu wściekłości Cath: „Szpiegzy? Ukryte kamery?” - Co do szpiegów, wybieraliśmy osoby na

obręczach twojego życia. Twój listonosz, asystentka dentysty, szkolna sekretarka, miejscowa kwiaciarka, kole-dzy, znajomi i tak dalej. Ich zadaniem było wciąganie cię w rozmowy, zadawanie rutynowych pytań, robienie ci zdjęć z ukrycia, et cetera, et cetera. Werbowaliśmy ich, sugerując, że to tajemnica najwyższej wagi, lecz organiza-cja jest nieco podejrzana - wiesz, schlebialiśmy ich żądzy przygód. Rzecz jasna, nie mieli pojęcia, że w jakikolwiek sposób dotyczy to Nikolaia Valerio. I musieli podpisać zobowiązanie do bezwzględnego zachowania tajemnicy. Płaciliśmy im tak dobrze, że trudno im było odrzucić tę propozycję. Łatwo natomiast bagatelizowali wyrzuty su-mienia...

- Mama werbowała większość szpiegów - wtrąciła Fancy. - Zawsze potrafiła znaleźć właściwe osoby. Nigdy jej nie odmówiono.

- Co do technik zbierania informacji, to Fancy i Marbie udoskonalili najróżniejsze metody uzyskiwa-nia dostępu do kancelarii szkolnych, do dokumentacji pacjentów w gabinetach dentystycznych, lekarskich, fi-zjoterapeutycznych w celu sfotografowania twoich akt. Byliśmy bardzo skrupulatni, jeśli idzie o uaktualnianie informacji. Cath, naprawdę powinnaś jeść. Potrzebujesz białka i węglowodanów, żeby szybciej dojść do siebie po oparzeniach, czytałam o tym. Vernonie, podaj sos Cath, dobrze?

- Oczywiście - odparł uprzejmie Vernon.

- A co z ukrytymi kamerami? - spytała zimno Cath, nie zwracając uwagi na sosjerkę, wobec czego Vernon po-stawił ją na stole obok niej.

- Tym się zbytnio nie przejmuj - uspokoiła ją pani Zing. - Nigdy nie były wyposażone w urządzenia do na-grywania dźwięku, nie słyszeliśmy więc, co mówisz. Mie-liśmy zainstalowanych kilka kamer wokół twojego domu, kiedy byłaś malutka.

- Musisz wiedzieć, że twoi przybrani rodzice nie mieli z tym nic wspólnego - wtrącił pan Zing.

- Tak, zgadza się - powiedziała pani Zing. - Rzeczywiście, nie mieli o niczym pojęcia. Naprawdę nigdy nie mieli z tym nic wspólnego. To była żelazna zasada. W każdym razie ograniczyliśmy liczbę kamer, gdy byłaś starsza, by nie naruszać twojej prywatności. Na przykład gdy skończyłaś dwanaście lat, trzymaliśmy się z dala od sypialni - przestałam wchodzić do sypialni Fancy i Marbie, gdy były w tym wieku, toteż wydawało mi się to właściwe.

- Ograniczyliście liczbę kamer, by nie naruszać mojej prywatności? - wycodziła Cath.

Wszyscy utkwili wzrok w talerzach, poza Listen i Cassie, które w milczeniu wpatrywały się w Cath.

urywki z ogrodowej szopy ZingÓW (ocalałe z pożaru fragmenty)

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z INWIGILACJI

AGENT: ELLA HIETZKE (TRENER PŁYWACKI, ZDOBYWCZYNI MEDALU OLIMPIJSKIEGO)

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 11 LAT

Och, to urocza dziewczynka, lecz z pływaniem u niej słabiutko. Zawsze wydaje mi się, że tonie, ale to tylko tak wygląda jej żabka. Dzisiaj spytałam ją znowu: „Chcesz zostać prawnikiem? Czemu nie? Będziesz zarabiała kupę kasy!”, a ona na to, że chce mieć konia. „Konia? - pytam. - Po co ci koń?” Była lekko przeziębiona, ale niezbyt po

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z INWIGILACJI

AGENT: LEONIE MARPLE-HEDGINGTON (KOLEŻANKA ZE STUDIÓW)

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 19 LAT

Nawiązałam dzisiaj dalszy dialog z Inwigilowaną, aby wywieść/wysnuć wnioski/przypuszczenia co

do obecnego [bezjstano jej umysłu. Inwigilowana rozprawia o „lęku” i „niepokoju” w związku z nieuchronnie zbliżającymi się końcowymi egzaminami i jej pierwszą praktyką pedagogiczną. Inwigilowana [podświadomie akceptuje nakazy patriarchy (na przykład: „Jak należy się ubierać, gdy jest się nauczycielką w drugiej klasie?”). Zaprosiłam

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z INWIGILACJI

AGENT: SUZANNE BARKER (NAUCZYCIELKA, KLASA I A)

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 23 LATA

Tak jak sugerowaliście, zaprosiłam do siebie Cath i jej nowego chłopaka na obiad w czasie weekendu. Pieczeń mi wyszła palce lizać, ale ziemniaki były zbyt mączyste i może trochę rozgotowałam marchewkę. Cath wydawała się dość "szczęśliwa, ale jej chłopak niezbyt mi się spodobał. Jest kimś w rodzaju ekologa i w kółko gada o bagnach i innych takich, a ja pomyślałam: „Dobra, chwileczkę, czy to interesuje pozostałych?” Moje dzieciaki robiły miny za jego plecami, co jest dobrym znakiem - dzieci mają chyba szósty zmysł w takich sprawach. Facet jest po prostu chorobliwie zainteresowany bagnami i bez wahania za chwilę zostawi dla nich Cath.

Zauważyłam, jak Cath spogląda z nadzieją na koszyk na chleb, podczas gdy on bez przerwy nawijał. Kto inny z pewnością by zauważył i podał jej chleb, ale nie, nie on. W każdym razie uważam, że ona nie ma aury osoby prawdziwie kochanej i

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z INWIGILACJI

AGENT: DOKTOR DAVID CARMICHAEL

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 23 LATA

Dzisiaj na moich zajęciach Inwigilowana była pełna emocji i odrobinę niezrównoważona. Oczywiście mogła po prostu śmiertelnie się nudzić, ale ja staram się zawsze ożywić swoje wykłady. W załączeniu zdjęcia Inwigilowanej (wykonane aparatem ukrytym w turbanie) i, jak ch

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z PNWIGILACJI

AGENT: KATIE TOBY (NAUCZYCIELKA, ZERÓWKA)

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 23 LATA

To sprawozdanie dotyczy czegoś **NIEZWYKLE WAŻNEGO**, co zdarzyło się dzisiaj!!! Będąc na szkolnym parkingu, zauważyłam CATH MURPHY i drugiego nauczyciela drugiej klasy, WARRENA WOODFORDA. Muszę dodać, że on jest żonaty! Tak czy owak, wybierali się razem do kina i sprawiali wrażenie **BARDZO** zdenerwowanych. Czy to możliwe, że coś jest między nimi?!!! Bądźmy w kontakcie, będę informowała na go

WSTĘPNE SPRAWOZDANIE Z INWIGILACJI

AGENT: DEBBIE HARLAND (EKSPEDIENTKA W MIEJSCOWYM SKLEPIKU)

INWIGILOWANA: CATH MURPHY

WIEK INWIGILOWANEJ: 24 LATA

Nie ma żadnych nowych informacji na temat snów. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam w zagraniczną

podróż, ale... (pełen napięcia werbel)... chciałam tylko opowiedzieć o pewnym zdarzeniu wczorajszego wieczoru. Otóż Cath przyszła do mojego sklepu z jakimś mężczyzną, około północy, w samym środku śnieżycy. „Co my tu mamy?“, pomyślałam, okazało się jednak, że jest nauczycielem z jej szkoły i właśnie wracają z przyjęcia. Kupili chipsy i pikantny sos pomidorowy. Gdy byli w sklepie, wyjął swój telefon komórkowy i powiedział coś w rodzaju: „Breda! Cześć! Nie martw się. Nie udało mi się złapać taksówki, toteż przenocuję u Cath. Właśnie tam idziemy. Ubierasz się ciepło?”

Potem uśmiechnął się radośnie i wyjaśnił całkiem dumnie, że to była jego żona.

W tej sytuacji - on rozmawiał szczerze i czule z żoną, a Cath wydawała się bardziej zainteresowana śniegiem niż nim, i tak dalej, i tak dalej - nie wyczuwam między nimi romansu i chyba nie mają nic do ukrycia. I to by było tyle!

deser

- Teraz - powiedziała pani Zing - spróbuj przynajmniej słynnego czekoladowego *terrine* Fancy!

Kroiła *terrine* i przekazywała dalej deserowe miseczki w obie strony stołu.

Cath siedziała blada i milcząca.

- Na koniec muszę wyjaśnić - podjęła wobec tego pani Zing - po co zbieraliśmy te informacje. Były dwie przyczyny, Cath, jedna mniej ważna, druga bardziej. Ta pierwsza była następująca: może trudno ci to sobie wyobrazić, ale twój ojciec, Nikolai, uwielbiał cię i był żądny wszelkich informacji o tobie - jesteś przecież najstarszym z jego dzieci i w dodatku jedyną córką. Sporządzaliśmy więc regularne raporty, przyklejając do nich zdjęcia i dołączając zapotrzebowania na pewne fundusze - a on był szczęśliwy.

- I z radością przysyłał nam pieniądze na dalszą działalność - wtrącił Radcliffe.

- Nikolai Yalerio - przerwała mu nagle Listen. W jej głosie brzmiało wyraźne niedowierzanie.

- Właśnie - zgodziła się Cath, kiwając głową.

- Ale główna przyczyna była taka, że chcieliśmy, byś miała wspaniałe życie - mówiła dalej pani Zing. - Chcieliśmy obsypywać cię prezentami. Chcieliśmy, żebyś miała perspektywy. Chcieliśmy, żebyś była szczęśliwa

i żebyś wykorzystała swój potencjał. No więc! Niech każdy pomyśli o jakimś przykładzie!

- Cóż - rzekła nieśmiało Fancy. - Marbie świetnie pływa, ale nikt nigdy jej nie trenował, kiedy była dzieckiem. Przyszło nam na myśl, że może masz ten sam talent, i postanowiliśmy zrobić wszystko, żeby się nie zmarnował. Znaleźliśmy więc sposób, by pozbyć się twojej przeciętnej trenerki pływackiej i zastąpić ją zdobywczynią medalu olimpijskiego.

- Za każdym razem kiedy byłaś smutna - dodała Marbie - próbowaliśmy wymyślić, jaki prezent mógłby ci rozweselić - na przykład wycieczka do Disneylandu, nowy pies, stała wejściówka do kina czy modne okulary przeciwsłoneczne. Podobnie działo się, kiedy przychodziły twoje urodziny.

- Nikolai również dawał ci prezenty urodzinowe - powiedziała pani Zing - ale prawdopodobnie nigdy tego nie zauważyłaś. Zawsze kazał nam dowiadywać się, kto jest twoim ulubionym piosenkarzem, a potem pisał dla ciebie piosenkę, zlecał, żeby skomponowano do niej melodię i puszczano ją po raz pierwszy w dniu twoich urodzin. Pamiętasz przebój Kylie Minogue *Blue-Eyed Blonde Beauty*, który był wykonany w dniu twoich dwunastych urodzin?

- A potem tamta piosenka Eminema w twoje dwudzieste pierwsze urodziny - dorzuciła Marbie. - Uwielbiałam ją. O studentce pedagogiki, która miała ulubionego kota? Ale Eminem dodał brzydkie słowa, które naprawdę zirytowały Nikolai'a. Zawsze zastanawiałam się, czy dostrzegłaś podobieństwa do twojego życia.

- Raczej nie - wyszeptała Cath. - Nie słuchałam słów.

- Phi - prychnął Vernon.

- 1 mieliśmy projekty - wtrącił Radcliffe - w wielu ważnych sprawach. Pamiętam, jak kiedyś doszliśmy do

wniosku, że dobrze byłoby poszerzyć twoje horyzonty, i próbowaliśmy podsunąć ci podróże lub pracę w egzotycznych krajach, takich jak Mongolia czy Nepal! To był Projekt 53, prawda?

- Projekt 55 - poprawiła go pani Zing.

- Zabawne w tym wszystkim było - mówił dalej Radcliffe - że twoje przyjaciółki wciąż bezczelnie podbierały ci oferty! Okazuje się, że...

- Szpiedzy mieli za zadanie dowiedzieć się, z jakiego powodu jesteś nieszczęśliwa - przerwał mu Vernon. - Albo o czym naprawdę marzysz. A następnie obmyśliliśmy sposoby, żeby zdobyć to dla ciebie.

- Również Nikolaiowi ogromnie zależało, by odpowiednio tobą pokierować - dodała pani Zing. - Nie tylko nam. Od czasu do czasu przysyłał rozporządzenie - specjalną prośbę, byśmy skoncentrowali się na jakimś aspekcie twojego życia. Na przykład pragnął, żebyś była wytworna - i zaradna. To był jego pomysł, abyś brała lekcje jazdy konnej, a później, kiedy byłaś starsza, uczestniczyła w kursie oceny wina. Pamiętasz?

- Ach, tak! - powiedział Radcliffe. - I zależało mu też na tym, byś została prawnikiem! Jego ambicją było, żebyś w końcu została głównym doradcą prawnym imperium Valerio! Próbowaliśmy wszelkich sposobów, by...

- Tak czy owak - ucięła jego wynurzenia Marbie - stanęliśmy przed wyzwaniem, jak ofiarować ci to wszystko, nie wzbudzając twoich podejrzeń.

- To była największa frajda - przyznała Fancy.

- Wykorzystywaliśmy stypendia, nagrody, loterie, upominki reklamowe - rzeczy, które pojawiały się na twoim progu - co tylko udało nam się wymyślić.

- Czasopisma były genialnym pomysłem - uśmiechnęła się pani Zing.

- Ich treść była dziełem Fancy - oznajmiła Marbie - a Radcliffe zajmował się małą poligrafią komputerową. Konkursy wymyślaliśmy wszyscy.

-Staraliśmy się podrzucać ci rozmaite rzeczy w taksówkach - rzekł Vernon.

-Ale ty ich nie zauważałaś! - wykrzyknął Radcliffe.

- A jeśli zauważyłaś - dodała pani Zing - oddawałaś kierowcy. Byłaś taka uczciwa.

Cath wciągnęła głęboko w płuca powietrze, szykując się do ostrej reprimendy, gdy zdała sobie sprawę, że przestali na nią patrzeć. Rozmawiali ze sobą z ożywieniem, pochłonięci wspomnieniami.

urywki z ogrodowej szopy Zingów (ocalałe z pożaru fragmenty)

(Z protokołu Poufnej Narady Rodziny Zingów)

F i M stanowczo uważają, że C powinna czytać raczej „Cosmo Girl” niż „Dolly”, jeśli chce być „szpanerska”.

F zauważyła, że C ma wypryski, i jest zdania, że powinna codziennie stosować do mycia twarzy tonik Clearasil.

R proponuje, by konsultantka zajmująca się akwizycyjną sprzedażą kosmetyków zaoferowała bezpłatne próbki, jak również bezpłatną poradę.

Podjęto decyzję, że zostanie powołana podkomisja w składzie

(Z protokołu Poufnej Narady Rodziny Zingów)

M sądzi, że powinniśmy powołać Projekt, dzięki któremu C zaczęłaby nosić więcej niebieskich rzeczy, ponieważ niebieski podkreśla kolor jej oczu i jest jej w nim świetnie.

**F rzuciła pomysł powołania Projektu, by nakłonić
C do spróbowania Pilates, sama nigdy nie miała na
to czasu, ale**

SPRZĘT DO INWIGILACJI - PRZESYŁKA

**Okulary przeciwsłoneczne z ukrytą kamerą, nadaj-
nikiem i odbiornikiem.**

Cena detaliczna: 450 \$

Cena dla stałego klienta: 435 \$

kawa i truskawki w czekoladzie

Cath była blada jak ściana.

Siedziała lekko odsunięta z krzesłem od stołu, z zardartą brodą, poparzone ręce piekły ją, widziała wszystko jak przez mgłę, a wyjaśnienia rodziny Zingów krążyły bezładnie wokół niej.

- Proszę - łagodnie powiedziała Fancy, podsuwając w jej stronę dzbanuszek z mlekiem. - Kawa dłużej utrzymuje ciepło, jeśli natychmiast doda się do niej mleka.

- Doprawdy? - spytała Cath, dziwnie uszczęśliwiona tą przelotną chwilą zwykłej życiowej prawdy.

Fancy pokiwała głową.

- Mleko jest jak mała biała kołderka.

- Och! - zawołała pani Zing siedząca przy drugim końcu stołu. - Zapomniałam o truskawkach w czekoladzie! Zaczekajcie chwilę, zaraz je przyniosę.

Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem, gdy szła przez trawnik. Po chwili rozległ się cichy stuk, gdy zatrzasnęła za sobą kuchenne drzwi.

Członkowie rodziny Zingów odstawili filiżanki z kawą na stół i przyglądali się Cath.

- Nie wierzę w to, co mi tu naopowiadaliście - oświadczyła Cath. - Nie uwierzyłabym w ogóle, gdy-

bym nie widziała tamtej szopy. Ale dobrze, załóżmy, że to prawda, nawet jeśli postanowiliście mieć oko na dziecko, które oddaliście do adopcji, dlaczego wszyscy to ciągnęliście? Dlaczego żadne z was tego nie przerwało? Jestem już dorosła. Mam pracę. Dlaczego trwało to tyle czasu?

- Cóż - serdecznie odparł Radcliffe - nie miałaś o niczym pojęcia, czy więc mogło ci to sprawić przykrość? Właściwie nie było w tym nic niedozwolonego. I jeśli mam być absolutnie szczery, sprawiało nam to wielką frajdę! Wszystkie te emocjonujące podstępny, szpiegowanie i tak dalej.

- Poza tym robiliśmy to, mając na względzie twoje dobro - dodała Marbie. - Po to, by cię chronić, bo chyba rozumiesz, że gdyby wydało się, iż jesteś córką Valerio, nigdy nie miałabyś normalnego życia. Media wzięłyby cię pod lupę bardziej niż my kiedykolwiek, opisano by całą historię w gazetach. My trzymaliśmy ją zamkniętą w ogrodowej szopie.

- Może to ja powinnam była podjąć decyzję - powiedziała Cath.

- Dostałaś od nas mnóstwo prezentów - zauważył Radcliffe.

- Może wcale ich nie chciałam.

- Poza tym - wtrąciła Marbie - to była część naszego życia. To właśnie robiliśmy w piątkowe wieczory.

- Właśnie - zgodziła się Fancy. - Kiedy już stworzy się system przechowywania dokumentów, trudno przeważać pracę nad kartoteką.

Pan Zing odchrząknął. Wszyscy odwrócili się do niego, trochę zaskoczeni. Prawie się nie odzywał podczas całego posiłku.

- To wygląda tak - rzekł, wyciągając dłonie. - Niektórzy ludzie świetnie potrafią zmieniać rzeczy, po prostu widząc je we właściwym świetle. Powiedzmy, że na przykład mężczyzna przeżywa kryzys wieku średniego.

Uważa, że jest przeznaczony do wyższych celów niż tylko rodzina, i ucieka do kawalerki w West Ryde. Powiedzmy, że jego żona przekształca to zdarzenie w coś innego. Powiedzmy, że nazywa je „artystyczną misją”, podróżą do Irlandii w celu pisania powieści. Spójrzcie na to z tej strony! On nie jest już samolubnym głupcem, lecz marzyicielem. Rozumiecie, o co mi chodzi? Nazwijcie coś inaczej, a zmienicie to.

Nawet kukabura umilkła ze zdumienia.

- Dobrze - mówił dalej pan Zing, odkaszlnawszy.
- Teraz powiedzmy, że ta kobieta oddaje swoje dziecko. Och, czyni to ze słusznych powodów - uważa, że dziecko będzie miało lepsze życie, uważa, że ratuje swoją rodzinę. Ale faktem pozostaje, że oddała dziecko. Powiedzmy więc, że nazywa to zdarzenie inaczej - Rodzinnym Sekretem Zingów. Skomplikowanym sekretem, obfitującym w podstępny i szpiegów, ale przede wszystkim sekretem, który ma na celu opiekę nad dzieckiem. Powiedzmy, że kiedyś położylibyśmy temu kres. Wtedy może musielibyśmy spojrzeć prawdzie w oczy i zobaczyć, czym to było. - Ostatnie słowa wymówił bardzo cicho: - To była łapówka, Cath. Oddała dziecko, a oni jej za to zapłacili. Oto czym to było.

Gdzieś w zaroślach za płotem trzaskacz wydał z siebie długi, pełen napięcia gwizd zakończony ostrym trzaskiem. Następnie rozległ się stuk zamykanych drzwi i pojawiła się pani Zing z truskawkami.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Mimo że Maude postanowiła być absolutnie szczerą i uczciwą, opowiadając o Rodzinnym Sekrecie Zingów, nie wyjawiała Cath wszystkiego. Na przykład nie powiedziała, że gdy Cath zabrali ludzie Valerio - po powrocie Zingów znad morza do domu - ona przez wiele tygodni nie brała pod uwagę ogrodowej szopy.

Leżała apatycznie w łóżku, wstawała tylko po to, by wyprasować uprane rzeczy. W owym czasie David sypiał na kanapie w salonie. Co wieczór przygotowywał kiełbaski z pomidorami na kolację dla dziewczynek i odrabiał za nie lekcje.

W sypialni Maude przez cały czas leżała z szeroko otwartymi oczami i torturowała swoją wyobraźnię, zmuszając ją do tego, by trzymała mocno na jej piersi obraz, ciężar, zapach i ciepło jej maleńkiej córeczki. Nawet miękkie mały kociak przytulał się mocniej.

Kiedy wreszcie zasypiała, śniło jej się, że stoi w gondoli balonu wypełnionego gorącym powietrzem. Za nią znajdowało się jej maleńkie dziecko w koszyku dla noworodka. Maude, bez chwili namysłu, podniosła koszyk i wyrzuciła go z gondoli. Nad spadającym koszykiem otworzył się spadochron i Maude odetchnęła z ulgą

- dziecko jest uratowane! - w tym momencie jednak dostrzegła, że spadochron jest odwrócony *czaszą* do dołu. Koszyk roztrzaskał się o ziemię.

Dzień w dzień Maude leżała, przeżywając w kółko ten sam koszmarny sen: balon, koszyk, dziecko spadające na ziemię. Za każdym razem budziła się z przerażeniem, słysząc trzask rozbijającego się koszyka, płakała w poduszkę i potępiała siebie za to, że wyrzuciła dziecko za burtę. Potem zaczynała tęsknie wyobrażać sobie: gdyby tylko w jednym z tych snów koszyk złapał prąd wstępujący! Gdyby ów prąd poniósł go wysoko pod błękitne niebo, nad wzgórzem z bitej śmietany i stawem z syropu klonowego. I w końcu łagodnie złożył na łóżku z racuchów na maślanec.

Aż pewnej nocy, obudzwszy się z takiego snu, Maude popatrzyła przez okno sypialni na tarczę księżyca - miała tak ostre krawędzie, że poprzecinałaby ścięgną w dłoniach każdemu, kto by po nią sięgnął - i pomyślała: „Dam go jej”.

Tamtej nocy Maude napisała całą Magiczną Księgę, siedząc na podłodze w swojej sypialni.

Najpierw oprawiła czyste kartki papieru w żółta-wozieloną kartonową okładkę, zagięta brzegi, by zrobić w okładce skrzydełka, i wykaligrafowała drukowanymi literami tytuł: MAGICZNA KSIĘGA. Następnie przykleiła, rozważając tę kwestię. Znała język magicznych ksiąg, przeczytała ich bardzo wiele w okresie, kiedy interesowała się zielarstwem, i w razie potrzeby mogła sięgnąć do języka swoich ksiąg kucharskich. Ale czego miała nadzieję dokazać?

Gdy tylko zadała sobie to pytanie, odwróciła księgę i napisała na skrzydełku na tylnej stronie okładki:

Ta Księga sprawi, że będziesz fruwać, uczyni cię silną, przyniesie ci zadowolenie. Co więcej, ta Księga zagoi twoje złamane serce.

Wyrzuciła Cath za burtę i jej córeczka zawsze będzie upadała na ziemię. Skoro nie mogę zrobić nic innego, postanowiła Maude, ta księga zapewni jej miękkie lądowanie.

Otwierając pierwszą czystą kartkę, stwierdziła, że musi odtworzyć ważne wydarzenia - swój romans z Nikolaiem, swoje złamane serce i porzucenie - a potem znajdzie wyjście i je opisz.

Wszystko zaczęło się tego dnia, przypomniała sobie, tego dnia, gdy jej mąż David wezwał taksówkę i opuścił ją (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby ktoś pojechał taksówką*). Następnie znalazła pracę cukierniczki w „Trading Post”, szukając nowego odkurzacza (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby zepsuł się odkurzacz*). Zdobyła rolę w scenie na łodzi w filmie *Niebiańskie ciasto*, kiedy doszło do sprzeczki między odtwórczynią głównej roli a reżyserem (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby dwoje szczęśliwych ludzi OKROPNIE się pokłóciło o ABSOLUTNE GŁUPSTWO*), i w ten sposób rozpoczął się ich romans. A zakończył się, gdy główny scenograf przysłał jej sztuczną różę (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby ktoś podarował drugiej osobie różę*).

Teraz odważnie zastanowiła się nad swoim złamanym sercem. Poddała je dokładnej analizie: pragnienie, by Nikolai wrócił; złość na niego; nienawiść do żony Nikolaiia za to, że pierwsza miała Nikolaiia i trzymała go z dala od niej. Stąd włączyła też swoją fantazję, że ktoś mógł znaleźć jakiś dowód ich romansu - może list w kieszeni jego spodni - i małżeństwo się skończyło (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby ktoś znalazł w pralce coś niespodziewanego*). Wyobrażała sobie również, jak Nikolai je tort czekoladowy przybrany orzechami włoskimi, a że ma na nie alergię, wargi puchną

mu jak balony (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby ktoś zjadł kawałek czekoladowego tortu*). W chwilach najgorszego upadku ducha myślała o słynnym zdjęciu ślubnym, na którym Nikolai i Rebekka tańczą bosą na łące (*Zakłęcie: Jak sprawić, aby użądliła kogoś pszczoła*).

W jej głowie koniec romansu został przypieczętowany, gdy jej mąż wrócił ze swojego mieszkania. Przeziębził się, w rezultacie dostał wysokiej gorączki i w macjzeniach pojął wreszcie prawdę: nigdy nie zostanie wynalazcą i podążając tą bezowocną drogą, traci jedyne rzeczy, które się w życiu liczą. Gdy tylko odzyskał głos, zatelefonował do Maude, przeprosił ją i błagał, by go przyjęła z powrotem. Wiedząc, że romans z Nikolaiem był tylko bajką, myśląc o córeczkach i pamiętając, że kiedyś go kochała, Maude zgodziła się. Wrócił do domu dwa tygodnie później, a gdy jego pociąg wypadł z rozkładu, zadzwonił ze stacji Strathfield, udając, że samolot jest spóźniony. A zatem: *Jak sprawić, aby ktoś się przeziębził*.

Teraz Maude zastanowiła się przez chwilę. Dotarła do ostatniego Zakłęcia. Jakie ma wyjście? Jest za późno, by odzyskać dziecko. Jedyne, co może zrobić dla Cath, myślała powoli, to potajemnie nad nią czuwać, znajdować sposoby rozwiązywania jej problemów i pokierować nią w życiu. W tym celu miała dostęp do funduszy Nikolai Valerio, ale w jaki sposób może je wykorzystać?

Będzie potrzebowała do tego swojego męża. David potrafi zmodyfikować kamery i mikrofony, by można je było ukryć w rękawach koszuli i kołnierzykach. Zna się na obiektywach o zmiennej ogniskowej i urządzeniach podsłuchowych. Ona weźmie na siebie rekrutację szpiegów, a on ich wyposaży w te urządzenia. On będzie zbierał informacje, ona zaś będzie je studiowała i składała zamówienia. On może zająć się ochroną szpopy, ona systemem przechowywania dokumentów.

Będą blisko ze sobą współpracowali. Fancy i Marbie będą miały z powrotem rodziców. Rodzina Zingów wyjdzie z całej tej historii bez szwanku. Przynajmniej w jakimś stopniu poświęcenie Cath nie pójdzie na marne.

Drżała na całym ciele, pisząc ostatnie zaklęcie, (*Jak sprawić, aby dwoje ludzi znowu się w sobie zakochało*). Zamknęła Księgę, położyła się na łóżku i zapadła w głęboki sen, w którym nic się jej nie śniło.

Zamierzała wysłać Magiczną Księgę Cath na osiemnaste urodziny, ale wkrótce po jej napisaniu zabrała się energicznie do prac związanych z Sekretem: malowania szopy i rekrutowania pierwszych szpiegów. Wśród wielu emocji związanych z organizacją praktycznych spraw Maude zaczęła rozumieć, że to Sekret jest realnym sposobem roztoczenia opieki nad Cath. Księgę tak naprawdę napisała dla siebie, było to coś w rodzaju desperackiej, gorączkowej terapii.

W rzeczywistości, kartkując pewnego dnia Księgę, uświadomiła sobie, że przypomina jej poradnik, który kiedyś czytała. Zalecano w nim nucenie dla rozładowania stresu. Zajrzała do niego i uśmiechnęła się, pamiętając inspirujące słowa na odwrocie, które skłoniły ją do kupna. „To naprawdę działa - napisała Elinor Daisy Weaver z Jacksonville w Alabamie. - Rzecz jasna, musisz wykonać wszystkie ćwiczenia, ale o kurczę! Zanim je wykonałam, byłam najniezszczęśliwszą dziewczyną w całym stanie”.

Pod wpływem kaprysu Maude przepisała tę reklamę słowo w słowo (z małymi przeróbkami, na przykład, zastępując słowo „ćwiczenia” słowem „czary”) na skrzydełku Magicznej Księgi.

Później Księga gdzieś się zagubiła, prawdopodobnie zaplątała się ze szkolnymi podręcznikami Fancy i Marbie, i Maude całkiem o niej zapomniała. Sama wiedziała kiedyś tylko jedno z Zaklęć.

Cath Murphy

Wieczór po „wyjaśniającym lunchu” był spokojny i ciepły. Gdy Cath energicznie otworzyła drzwi wejściowe, mieszkanie zamrugało z niepokojem. Obrzuciła swój salon tak pogardliwym spojrzeniem, że zadarł brodę obronnym gestem.

Trzymała w ramionach pojemnik Tupperware z bezami pani Zing i torebkę cytryn z drzewa wyhodowanego przez pana Zinga. Wyglądało na to, że zauważyła je dopiero w tej chwili, z zaskoczeniem i z irytacją, i pozwoliła, by potoczyły się jej do stóp. Następnie pomaszerowała prosto do okna w jadalni i powiodła palcami w górę i w dół framugi. Załedwie po chwili znalazła kamerę, mimo że była mniejsza od jej najmniejszego paznokcia.

Podczas „wyjaśniającego lunchu” celowo uspokajała sama siebie i starała się zachować dystans. W jej ocenie rodzina Zingów była zwariowana. Nie wierzę w ani jedno słowo, powtarzała sobie co jakiś czas zdecydowanie, ale to bardzo zabawne! Jednakże nawet wówczas, gdy się tak pocieszała, miała wciąż przed oczami zawartość ogrodowej szopy Zingów i serce znowu zaczynało walić jak szalone w jej piersi (skoro to jest nonsens, to jak wyjaśnić szopę?).

A teraz zaciskała w prawej pięści mikroskopijną kamerę.

Czy to wszystko prawda? Czy ten maleńki przedmiot obserwował ją przez cały czas? Czy coś tak niewielkiego mogło kształtować jej życie? Czy pulchna pani Zing przyglądała się, jak Cath je obiad, i robiła notatki, czego ona ewentualnie potrzebuje? Czy te dziwne, uśmiechnięte siostry Zing naprawdę wślizgiwały się do jej domu i wymieniały lub naprawiały kamerę, pod jej nieobecność? Ścisnęła kamerę w palcach, niszcząc ją. Gdy je z powrotem rozwarła, spodziewała się niemal zobaczyć kroplę krwi, jak gdyby zabiła komara.

Zaczęła gorączkowo przeszukiwać mieszkanie, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Oczywiście, kolejnych kamer wielkości małego paznokcia, ale też innych elektronicznych urządzeń lub dziwnych przedmiotów, jakie mogła widzieć w szpiegowskich filmach. Zingowie zapewnili ją, że jedynym takim sprzętem była kamera w jadalni, pomyślała jednak, że tego samego dnia czyniono również od czasu do czasu aluzje na temat dodatkowej kamery, za pomocą której zrobiono kiedyś zdjęcia wyłączenie jej kostek. Przesuwała więc nożem wzdłuż listew podłogowych, wrywała gniazdka elektryczne, a nawet wywracała skarpetki na lewą stronę. Jej kot Violin przyglądał się temu.

W końcu opadła na kanapę w salonie, ale złapała się na tym, że bezwiednie kręci głową z niedowierzaniem. Jej włosy zaczepiały się o obicie.

Usiadła i powiodła spojrzeniem po pokoju, od niskiej półki z książkami, do stojącej lampy i plazmowego telewizora na chromowanym stoliku. W tym momencie jej wzrok padł na małe zielone „V” na pilocie telewizora. Podobna litera „V”, dopiero teraz to dostrzegła, znajdowała się na bocznej ścianie skórzanego pudełka, stojącego obok odtwarzacza DVD. To była jej kolekcja klasyki Yalerio.

Valerio! Niemal o tym zapomniała. Imperium Valerio sponsorowało całe przedsięwzięcie!

No, to już z pewnością można włożyć między bajki, pomyślała z pogardą.

Imperium Valerio związane z jej zwyczajnym życiem? Wystarczająco absurdalna była myśl o tym, że rodzina Zingów kontroluje każdy jej dzień, ale Valerio! W szkole średniej przerabiała na zajęciach z nauk społecznych filmy Nikolaia Valerio! Miała elektryczną szczoteczkę do zębów Valerio, używała do pielęgnacji włosów szamponów i odżywek Valerio! Uwielbiała pierniczki Valerio i ostatnio zapisała się do klubu fitness Valerio. Małe zielone „V” wypełniało jej życie!

Sięgnęła po oprawną w skórę kolekcję klasyki Valerio i wyjęła pierwszy od góry film. Ze zdjęcia na okładce uśmiechał się do niej Nikolai Valerio. Miał na twarzy swój znak firmowy, smugę smaru. I wydatne kości policzkowe. Podświadomie przesunęła palcami po własnych policzkach. Jestem córką Nikolaia Valerio, pomyślała z powątpiewaniem. To zupełnie tak, jak gdyby myślała: jestem księżniczką.

To nieprawda, przypomniała sobie, gdy Violin ocierał się o jej kostki. Ale na wszelki wypadek wzięła kolekcję i ukryła ją w bielizniarce w przedpokoju. Nawet gdy zamykała drzwi szafy, jej uwagę zwróciła mała zielona literka „V” na wieszaku. Zaczęła drgać jej powieka.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Kiedy Maude leżała przez kilka tygodni w łóżku, wstawała tylko po to, by uprasować wyprane rzeczy i pisać Magiczną Księgę. David, który w owym czasie nocował na kanapie w salonie, oglądał wyłącznie zamknięte drzwi jej sypialni. Stawiał pod nimi tace z różnymi zestawami jedzenia - na przykład butelkę soku pomarańczowego i miseczkę śliwek - lecz poza tym zostawiał ją w spokoju.

Nazajutrz po napisaniu Magicznej Księgi Maude wstała z łóżka. David, kiedy zobaczył ją przy stole podczas śniadania, udawał, że to zwykła rzecz, że była tam codziennie, i zaproponował jej kawę. Fancy i Marbie, w szkolnych mundurkach, poszły za jego przykładem.

Maude i David prawie się nie znali. Przeszło rok spędzili z dala od siebie i David wrócił, dowiedziawszy się o romansie i ciąży Maude. Godząc się z faktem, że przynajmniej częściowo ponosi za to winę, starał się zachować spokój i być wyrozumiały. Raz sprzeciwił się postanowieniu Maude, by zaakceptować ofertę Nikolaia Valerio, i zaproponował, że będzie wychowywał dziecko jak swoje własne, lecz Maude, dziwnie obojętna i zdeterminowana, oświadczyła, że dokonała już wyboru. Oboje

byli zdenerwowani - dom nad morzem, wizyty przedstawicieli Valerio, dokumenty prawne i duże sumy pieniędzy, okropny dzień przekazania dziecka, a potem powrót do domu i kilka tygodni spędzone przez Maude w sypialni.

Teraz, kiedy znowu wstała z łóżka, pracowali wspólnie nad Sekretem. Wybrali kolor ogrodowej szopy i kupili notatniki, mapy i kamery. Zbierali informacje o dziecinnych wózkach, a ich pierwszym większym prezydentem dla Cath, w ramach „badania rynku”, była nowoczesna spacerówka. Zachowywali się wobec siebie uprzejmie i przyjaźnie, lecz David nadal sypiał na kanapie.

W końcu, po upływie kilku miesięcy, zapukał do sypialni i wszedł do środka. Było późno i dziewczynki spały. Zamknął za sobą cicho drzwi, zaciskając wciąż prawą dłoń na klamce.

Noc była bezksiężycowa i pokój tonął w ciemnościach. Stał nieruchomo, czując kompletną bezradność.

- Zapalę nocną lampkę - rozległ się głos z łóżka, a potem ciche strykanie.

Przyćmione światło wydobyło z mroku włosy Maude i skrawek jej ręki. Uniosła się, opierając się o wezłowie.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - powiedział David.

Usiadł w cieniu, w nogach łóżka. Ich głosy brzmiały pogodnie, choć mówili wyważonym tonem.

David przesuwał się ostrożnie wzdłuż łóżka, aż wreszcie znalazł się na tyle blisko, że mógł spojrzeć Maude prosto w twarz. Ona również bacznie mu się przyglądała. Oboje milczeli, świadomi, że teraz muszą coś powiedzieć. Ich słowa będą przypominały dialog z opery mydlanej.

Maude powie: „Zostawiłeś mnie na cały rok!”

David odpowie: „To prawda, ale podczas mojej nieobecności zakochałaś się w kimś innym”.

Maude wybuchnie płaczem: „Skąd miałam wiedzieć, że wrócisz?”.

David będzie milczał, rozdarty.

Maude przyzna z drżeniem w głosie: „Nie jestem pewna, czy jeszcze cię Kocham”.

David wyszepta: „Jak mam cię przekonać, że tak jest?”

Maude odrzeknie równie cicho: „Ktoś inny złamał mi serce”.

David stwierdzi bez ogródek: „To gwiazdor filmowy. Otrząsniesz się”.

Maude znowu się rozpłacz: „Oddałam moje dziecko”.

Końcowa prawda zepchnie na drugi plan inne prawdy. W operze mydlanej nastąpiłaby w tym momencie przerwa na reklamy.

Zamiast coś mówić, nadal wpatrywali się w siebie. David rozwarł zaciśniętą pięść, rozległ się cichy szelest. Okazało się, że trzyma w dłoni złożony prostokąt lśniącego błękitnego papieru. Podał go Maude, która przysunęła kartkę do światła.

- To jest w następny weekend - oznajmił David, a jego słowa zabrzmiały jak wyzwanie.

Była to ulotka reklamująca Święto Balonów w Berrowra.

- Ale przecież ciebie w ogóle nie interesuje baloniarstwo - zauważyła Maude, po czym dodała z naciskiem: - Cierpiasz na lęk wysokości.

Popatrzyli sobie w oczy, milcząco przyznając, że jest to jedyna prawda, o której mogą rozmawiać.

- Rzeczywiście - zgodził się. - Ale to nie znaczy, że nie interesowały mnie twoje balony, Maude.

- Nie słuchałeś nawet moich opowieści - poskarżyła się płaczliwym, lecz jednocześnie przekornym i żartobliwym tonem.

- Och, nie słuchałem, czyżby? - Wybrał żartobliwy ton. - Połóż się - polecił. - I zamknij oczy.

Wsunęła się z powrotem pod kołdrę, tak że leżała płasko na plecach, z głową pośrodku poduszki, obserwując go.

- Nie zamknę oczu - odparła.

- Ale ja postanowiłem opowiedzieć ci pewną historię. I w przyszłym tygodniu zabiorę cię na pokazy balonów. Spójrz na to. - Wyjął jej z rąk ulotkę. - Mają balony we wszystkich kształtach, jakie tylko możesz sobie wyobrazić. Króliki, koty, samochody, puszki z pepsicola. I będą sprzedawali rozmaite wyroby rękodzieła artystycznego, te ozdobne papierowe serwetki o koronkowym wzorze, które tak lubisz. Założę się, że można tam będzie kupić kanapki ze stekiem i cebulą oraz watę cukrową.

Maude patrzyła nie na ulotkę, lecz na jego twarz.

- Jaka historię? - spytała.

Minał przeszło rok od tamtego dnia, gdy Maude po raz ostatni opowiedziała Davidowi historię monsieur Blancharda, pierwszego człowieka, który przefrunął nad kanałem La Manche. Ale tej nocy, siedząc na brzegu jej łóżka, David powtórzył jej tę właśnie historię niemal słowo w słowo, w taki sposób, jak ona lubiła ją opowiadać:

-A więc Jean-Pierre Blanchard postanowił być pierwszym człowiekiem, który przefrunie nad kanałem La Manche - zaczął. - I chciał dokonać tego sam. Nie pozwolił nawet przyjechać amerykańskiemu lekarzowi, który finansował całe przedsięwzięcie, choć w rzeczy samej doktorowi ogromnie podobał się ten pomysł i prawdę mówiąc, bardzo nalegał. Zamknij oczy - poprosił jeszcze raz David, przerywając opowieść.

- Denerwujesz się przeze mnie?

- Nie denerwuję się. To miała być po prostu bajka do poduszki.

Przesunął palcami po jej powiekach, zamykając je, ale gdy zabrał rękę, natychmiast otworzyła oczy.

-Jean-Pierre próbował najrozmaitszych sztuczek, by odwieść doktora od przyjazdu. Pewnego dnia włożył do spodni pas obciążony ołowiem, tak by wydawało się, że balon opada pod ciężarem ich obu. „Jesteśmy za ciężcy! - wykrzyknął ze smutkiem do doktora. - Niestety, będziesz musiał wsiąść!” Ale doktor wyczuł, że coś tu śmierdzi, i kazał mu odwinąć spodnie. Spójrz tylko - David znowu przerwał opowiadanie - prześcieradło z gumką wyciągnęło się spod materaca. Nic dziwnego, że nie możesz spać. Przesuń się odrobinę.

Maude posłusznie przesunęła się na drugą stronę łóżka, a David naciągnął i wygładził prześcieradło, podkładając je pod róg materaca, po czym wyrównał kołdrę i otulił nią ramiona Maude. Następnie usiadł na jej miejscu, kładąc nogi na łóżku. Maude zamknęła oczy.

- W końcu wyjaśnili sobie nieporozumienia i Jean-Pierre zgodził się, by doktor z nim poleciał. Był siódmy stycznia 1785 roku, gdy wyruszyli z klifów w Dover, zabierając ze sobą:

barometr
kompas
piętnaście kilo balastu
flagi
kotwice
kamizelki korkowe...

W tym miejscu David przerwał, powtarzając pod nosem:

- ...flagi, kotwice, korkowe kamizelki...
- Paczkę broszur, butelkę brandy - podpowiedziała Maude.
- Paczkę broszur, butelkę brandy, trochę herbatników, trochę jabłek, dwa pokryte jedwabiem powietrzne

wiosła... - Ujął jej rękę w nadgarstku, jak gdyby wspomagająco to jego pamięć, i wyliczając po kolei wszystkie przedmioty, stukał weń palcem.

- Ster... - podsunęła znowu Maude.

- Cicho - przerwał jej David i znowu postukał palcem w jej nadgarstek. - I bezużyteczny, ręcznie obracany wiatrak.

- Który później... - zaczęła.

- Który później - dokończył z wyrzutem, podnosząc palec, by ją uciszyć - który później zostanie wykorzystany jako śmigło samolotu.

Maude skinęła głową, zadowolona, i przekreśliła się na bok, wtulając głowę w poduszkę.

- Lot przebiegał naprawdę fatalnie. Balon śmigał to w górę, to w dół, niczym jo-jo, i zaczęli wyrzucać, najpierw spokojnie, rozmaite rzeczy. Tak, musieli pozbyć się brandy i jabłek! Zanim dotarli nad francuskie wybrzeże, gorączkowo wyrzucali za burtę coraz więcej i więcej przedmiotów i Jean-Pierre najprawdopodobniej spoglądał pożądliwie na doktora! Jednak tylko zdjął spodnie i cisnął je za burtę.

David owinął wokół palca kosmyk włosów Maude, potem puścił go i spytał:

- I co, nie służyłem twoich opowieści?

Maude uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. David przez cały czas siedział na łóżku z podciągniętymi pod brodę kolanami. Teraz położył się blisko niej i mówił dalej:

- Ta historia ma szczęśliwe zakończenie. - Te słowa tchnął w jej włosy i pocałował ją w głowę. - Wylądowali szczęśliwie w lesie w Guines. Przez wiele tygodni podejmowano ich we Francji jak bohaterów.

Święto Balonów Wypełnionych Gorącym Powietrzem w Berowra było pierwszym z wielu, w których przez całe lata uczestniczyli Maude i David. Później zabierali ze sobą jedną lub obie córki, ale tego pierwszego razu wyjechali sami. Maude zapakowała torbę podróżną, w której znalazły się cztery świece, kwiaty, butelka wina, chleb, ser, oliwki i orzechowe ciasteczka w czekoladzie. Nie wiedziała właściwie, po co to robi, lecz chyba poskutkowało.

Cath Murphy

Cath spędziła rano festynu sportowego Redwood, trzymając jeden koniec wstęgi wyznaczającej metę, a po południu nadzorowała nowe konkurencje. Te nowe konkurencje były bez ładu i składu. Są raczej bezsensowne, pomyślała Cath, to głupota biegać ze skrzepowanymi nogami lub z workami kartofli przywiązanymi do pasa albo trzymając przed sobą jajko na łyżeczce. Nie nadzorowała uważnie tych wyścigów, lecz pozwalała wybuchać i uciuchać małym aktom chaosu, zastanawiając się tymczasem nad swoim życiem.

Był to pierwszy tydzień nowego roku szkolnego. Warren i Breanna Woodfordowie złożyli w lecie wymówienie, a Lenny D'Souza wróciła jako pełnoetatowy psycholog szkolny. Lenny i Billson znowu byli razem, raczej przesłodzeni. Cath nie chciała gadać z osobami, które kiedyś szpiegowały dla rodziny Zingów, takimi jak Suzanne Barker czy Katie Toby, lecz również z innymi rozmawiała niewiele.

O czym miała mówić? Nie miała tożsamości. Patrzyła, jak zapis całego jej życia obraca się w popiół w ogrodowej szopie. W altanie, pod powykrzywianym eukaliptusem o poczerniałej korze, poznała wyjaśnienie praktycznie każdego ważnego wydarzenia czy życiowe-

go sukcesu. Była niczym. Zmyśloną postacią. Wyszukanym wymysłem rodziny Zingów, pokazywanym w twojej telewizji (lubiła dodawać z gorzkim humorem), bohaterką mydlanej opery Valerio.

Wszystko to jest prawdziwe, myślała Cath, te blizny po oparzeniach na jej przedramionach i to nieustanne uczucie pieczenia policzków. Uczucie bycia obserwowaną.

Przeniosła się do nowego mieszkania, wybierając je przez sprawdzonego pośrednika. Pozbyła się całego umeblowania i kupiła wszystko nowe w Ikea. Umyła ściany i okna, zabezpieczyła kłódkami drzwi. Zagroziła też Zingom podjęciem kroków prawnych, gdyby znowu ją śledzili. Nadal jednak mrużyła oczy, gdy ekspedientka pytała ją, jak się miewa, i wzdrygała się na widok kamery.

Mogła oczywiście powiadomić o wszystkim policję lub media, ale po co? Nawet gdyby jej uwierzyli, jej życie po raz kolejny stałoby się teatrem.

Z roztargnieniem cofnęła się o krok i rozdeptała jajko. Widząc to, stojące nieopodal dzieci zaczęły piszczeć i podskakiwać.

Ale sprawa nie była prosta: czasami w ciemności, w samym środku nocy, żałowała, że Sekret nie trwa dalej. Choć policzki paliły ją z gniewu i upokorzenia z powodu tej inwigilacji, w głębi serca miała chłodną świadomość, że teraz jest naprawdę sama. Było to niemal tak, jak gdyby przez całe swoje życie intuicyjnie wiedziała, że ją podglądają, i pławiła się w światłach rampy.

Wiedziała, że dzieci wyobrażają sobie, iż są artystami. Pamiętała, jak kiedyś, w wieku pięciu lub sześciu lat, robiła gwiazdę na bocznej linii boiska podczas meczu krykietowego. Wierzyła, że gracze ukradkiem przyglądają się jej akrobatycznym wyczynom, o wiele bardziej zain-

teresowani nimi niż własną grą. Ale w końcu dzieci zdają sobie sprawę, że są tylko częścią tłumu.

Teraz niemal panikowała, budząc się w nocy sama, ze złamanym sercem, i uświadamiała sobie, że nikogo to nie obchodzi. Być może nigdy nie przeboleje Warrena. Być może nigdy więcej się nie zakocha. I musi sama stawić temu czoło - tęsknocie, którą czuła, witając się na galeryjce z tegoroczną drugą klasą, surowości pokoju nauczycielskiego bez Warrena, urywkowym wspomnieniem o nim, o jego ciele widocznym przez dziurkę w T-shircie wygryzioną przez mola, o stepowaniu na ciemnej podłodze w klubie jazzowym.

Złamane serce to mało, dokładały się do tego wyrzuty sumienia, pogarda do samej siebie i świadomość, że zaangażowała się w to od samego początku. Nienawidziła go, ale ogromnie pragnęła go odzyskać i każdej nocy modliła się: „Wróć do mnie. Zostaw swoją żonę. Znajdź sobie kogoś innego, Breanno. Pozwól mi go mieć”.

Odniosła wrażenie, że Zingowie nie mieli pojęcia o jej romansie. Zastanawiała się jednak, czy w końcu nie dowiedzieliby się o nim. Czy zebraliby się w ogrodowej szopie, zmartwieni, i czy przesłaliby jej kwiaty z bilecikiem: „Rozchmurz się”? (To oni je wysłali w zeszłym roku, a nie jej poprzedni chłopak z Nowego Orleanu).

Wyścig na trzech nogach wcale nie jest bezsensowny. Wykorzystujesz te umiejętności, biegnąc w deszczu i oplatając ramieniem kochanka w pasie.

Zdała sobie sprawę, że festyn się kończy, tłum się przerzedził. Napotkała spojrzenie Fancy Zing, która otwierała drzwi samochodu. Fancy uśmiechnęła się do niej i pomachała ręką, po czym nachyliła się do córki.

Cath nie odwzajemniła gestu. Przez chwilę patrzyła na Fancy, po czym odwróciła się. Ale nawet z tej odległości miała wrażenie, że uśmiech Fancy był serdeczny.

Fancy Zing

Fancy przeszła na drugą stronę bieżni na boisku szkoły podstawowej Redwood, płosząc niewielkie stado gołębi, które wzbiło się w powietrze. Uśmiechnęła się lekko do siebie.

Dziwne, jak wszystko się ułożyło - Cassie biegła ku niej. Mimo że nadal miała astmę, doszła do siebie po zatruciu dymem, którego się nawdychała, i obecnie jej oddech, gdy okrążyła boisko, był czysty i niemal niedosłyszalny.

Marbie wzięła dzień wolnego, by popatrzeć, jak Cassie zwycięża w wyścigu.

- Okazuje się - wyznała siostrze - że Vernon nie potrzebuje rewanżować się romansem, ponieważ już na swój sposób się zemścił.

- Jak? - zdziwiła się Fancy.

- Popchnął mnie pod sportowy samochód! - rozpromieniła się Marbie.

Być może matce Fancy uda się udobruchać Cath. Dzwoniła do niej od czasu do czasu, a Cath odkładała słuchawkę. Ale teraz pani Zing miała plan: zaproponuje Cath, by sama kontynuowała Sekret. Nikolai w dalszym ciągu będzie oczekiwał sprawozdań, gotowy do zatwierdzenia funduszy. Dlaczego Cath nie miałyby pisać roboczych wersji sprawozdań?

- Myślisz, że faktycznie zechciałaby donosić na siebie? - spytała z powątpiewaniem Fancy.

- A kto powiedział, że musiałyby pisać prawdę? - odparła jej matka.

Fancy dotarła do samochodu, otworzyła drzwi i przypadkowo zobaczyła Cath po przeciwnej stronie bieżni. Patrzyła na nią. Fancy pomachała jej i uśmiechnęła się, lecz wtedy podbiegła Cassie, rozsypując dookoła wstążki i trofea.

Przyjaciółka Cassie, Lucinda, biegła kilka kroków za nią, sapiąc i próbując ją dogonić.

- Dobra - powiedziała Cassie siedząca na tylnym siedzeniu i polerująca T-shirtem swoją nagrodę, gdyjechały do domu. - Dobra, Lucindo. Nigdy nie jedz jabłka, a potem nie podskakuj.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lucinda.

- Jabłko wyjdzie ci nosem.

- Spróbuję zaraz, gdy dojedziemy do twojego domu, Cass.

- Nigdy! Słyszałaś, Lucindo? NIGDY. Co ci właśnie powiedziałam?

- Spokojnie, Cassie - zwróciła jej uwagę Fancy, spoglądając we wsteczne lusterko.

- Możesz po prostu wziąć kawałek jabłka i wsadzić go sobie do nosa, jeśli chcesz - zauważyła Lucinda. - Nie będziesz musiała podskakiwać.

- Lucindo - syknęła Cassie, potrząsając głową.

Fancy skreśliła w podjazd i otworzyła pilotem drzwi garażu.

Gdy dziewczynki biegły w stronę domu, podeszła do skrzynki na listy. Na trawniku gwarek dziobał w poszukiwaniu pożywienia, zboczyła więc lekko, podchodząc bliżej i obserwując z przyjemnością ptaka, który ustąpił jej z drogi, trzepocząc skrzydełkami. To był nowy zwyczaj Fancy. Sprawiać, że coś się zdarzało.

Odwiedzała centra handlowe tak często, jak tylko mogła, żeby maszerować ku automatycznym drzwiom i suszyć dłonie w toaletach. Zatrzymywała taksówki, podnosząc prawą rękę. Kiedy spotykała na ulicy ludzi wyprowadzających na spacer psy, pytała: „Mogę?”, po czym trzymając w górze jeden palec, wydawała komendę: „Siad!” Zwykle pies posłusznie siadał.

Zmusiła też męża do odejścia, mówiąc po prostu: „Chcę rozwodu”.

Takie drobne gesty poskutkowały takimi wspaniałymi rezultatami!

Ponieważ Sekret doszczętnie spłonął, Radcliffe zachował się zadziwiająco uległe. (Obecnie mieszkał w przyczepie kempingowej na tyłach baru Banana, ale Fancy myślała o tym, by nakłonić go do przeprowadzki. Nie było to odpowiednie miejsce do wizyt Cassie).

Całe jej życie było tak ograniczone regułami, że brakowało w nim miejsca na to, by żyć. Nosiła w sypialni marynarkę z odznaką szkoły, ponieważ szkolne przepisy mówiły, że należy ją nosić „wszędzie poza szkołą”. Kiedyś na siłowni poczuła nagły lęk, gdy reflektory policyjnego radiowozu zaświeciły przez okno, a ona uświadomiła sobie, że nie robi wymachów rękami. Jak gdyby policja mogła ją aresztować za to, że nie stara się wykonywać sumiennie ćwiczeń aerobiku.

Zdała sobie sprawę, że jedyną wolność w jej życiu stanowiła jej niemądra pisanina.

Zerknęła na dom Kanadyjczyka i zganiła sama siebie. Ależ zgłupiała na jego punkcie! Nie wie nawet, jak ma na imię! Jest wytworem wyobraźni, fantazją, zbudowaną z czekoladowych *terrines* i damskiej bielizny!

Z czułością i smutkiem przypomniała sobie pewną fantazję, którą stworzyła na podstawie czegoś, co powiedział. Przyszedł do niej z ciastem na przeprosiny za coś wulgarnego, co palnął jego przyjaciela. Ona sama zbagate-

lizowała sprawę, mówiąc, że to nie ma znaczenia, że ona pisze powieści erotyczne, a jedynym mężczyzną, z którym spała, jest jej mąż. W tym momencie drzwi zaskrzypiały, a Kanadyjczyk powiedział: „Mogę to naprawić”.

Po kilku dniach zaczęła wierzyć, że była to zakamuflowana wiadomość, że miał na myśli nie drzwi, lecz jej ponure życie seksualne! Marzycielka! Idiotka!

Roześmiała się cicho i otworzyła skrzynkę na listy. Drzwiczki obluzowały się na zawiasach i Fancy zastanawiała się z roztargnieniem, czy mogłaby zastąpić je takimi na pilota. Wtedy mogłaby s p r a w i a ć, by się otwierały.

W pobliżu rozległ się metaliczny szczęk. To był Kanadyjczyk. Stał przy swojej skrzynce na listy i właśnie zamykał drzwiczki.

- Pusta - zawołał.

Przynajmniej, stwierdziła w duchu, nie wymyśliła sobie jego opalanej na brąz skóry ani błyszczących oczu za szklami okularów.

- A u ciebie? - zainteresował się, idąc w jej kierunku z sympatycznym uśmiechem. Stopy miał bose, nogawki dżinsów wystrzępione na dole.

- Cóż - zerknęła w dół - spodziewałam się egzemplarza mojej ostatniej książki.

- Powieści erotycznej? - spytał uprzejmie.

Stał tuż obok niej i Fancy mimo woli zaczęła nerwowo trajkotać.

- Tak! To będzie moja powieść erotyczna! Wiem, to taki banał! Ja, kura domowa z przedmieścia, pisząca ten rodzaj chłamu! Ta jest pełna wielokrotnych orgazmów, wiesz, a ja nigdy w życiu nie miałam wielokrotnego orgazmu... - Puściła drzwiczki skrzynki, które zwisły krzywo.

- Mogę to naprawić - zaproponował Kanadyjczyk.

Wskazywał na jej skrzynkę, lecz kiedy Fancy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, dostrzegła, że tańczą w nich figlarne iskierki.

Marbie Zing

Marbie i Vernon siedzieli na werandzie swego mieszkania, pijąc mrożoną herbatę i czekając na Listen, która miała wrócić do domu po pierwszym dniu w szkole. Popołudnie było upalne i dzieci z sąsiedztwa bawiły się węzłem ogrodowym.

W lecie Marbie wzięła kilka dni urlopu, by spędzić trochę czasu z Listen. Wspólnie odmalowały mieszkanie i pojechały nad morze.

Pewnego dnia, gdy leżały obok siebie na plażowych ręcznikach, Marbie opowiedziała Listen o tamtym dniu, kiedy omal nie zabił jej plażowy parasol.

- Widzisz moją bliznę? - rzekła dumnie.

Listen słyszała już kiedyś tę historię, lecz tym razem Marbie opowiedziała ją inaczej.

- Nie skupiłam się - oznajmiła. - Wszyscy dookoła krzyczeli, mając się na baczności przed tym parasolem. A ja po prostu siedziałam, gapiąc się na morze. Dlaczego się nie uchyliłam? I o to właśnie chodzi, Listen, można uniknąć najgorszego, jeśli tylko się uważa.

- A co, jeśli ktoś naprawdę bardzo się koncentruje, a mimo to nic mu nie wychodzi? - spytała Listen. Zanim Marbie zdążyła odpowiedzieć, Listen dodała: - Na przykład jeśli nie ma nikogo, z kim mógłby siedzieć w szkole, choć ogromnie stara się z kimś zaprzyjaźnić.

- Cóż - odparła Marbie, powoli rysując piętami wzory na piasku - chyba wiesz, że ten ktoś będzie musiał wrócić jesienią do szkoły i spróbować jeszcze raz. Jeśli nadal będzie się starał, z pewnością znajdzie gdzieś w tej szkole przyjaciół.

- Dobrze - spiesznie przytaknęła Listen. - Wiem.

-A zatem ty wiesz tyle - powiedziała Marbie - a teraz posłuchaj, co ja myślę. Otóż myślę, że gimnazjum St Carmel miało już swoją szansę, jeśli idzie o tego kogoś. Myślę, że ów ktoś jest zbyt wartościowy, by wracać do tej szkoły. Nie pozwolę, by znalazła się ona kiedykolwiek i gdziekolwiek w jego pobliżu.

- Nie pozwolisz?

-Nie ma mowy! Znajdziemy dla tej osoby inną szkołę.

- Hm - zauważyła od niechcienia Listen - Bellbird jest chyba rodzajem szkoły, w której ta osoba mogłaby spróbować.

- No to niech próbuje - zgodziła się Marbie.

I tak się stało.

festyn sportowy

Cath Murphy (nauczycielka w drugiej B) stoi przy stole, na którym ustawiono w równych rzędkach papierowe kubki, niczym chór szykujący się do występu, a każdy już napełniony. Jak długo już kawa wystawiona jest na powiewy wiatru?

-Z mlekiem? - pyta pani Nestle (sprzedawczyni z przyszkolnego sklepiku).

Za późno, myśli Cath.

Bieżnia jest prawie pusta. Ostatnie dzieci wsiadają do autobusów. Pani Nestle zaczyna wylewać kawę na trawnik.

Cath rusza w stronę pokoju nauczycielskiego, który jest pusty i cichy. Spogląda na wnękę kuchenną - opiekacz do chleba, który kupili na spótkę z Warrenem, ekspres do kawy, przy którym Warren przekomarzał się z Breanna i wyśmiewał się z jej zakłopotania.

Bierze swoją korespondencję z przegródki i torebkę, zamyka okna w pokoju nauczycielskim i przez moment wyobraża sobie swój wieczór w nowym mieszkaniu z gołym linoleum i lodówką, której drzwi piszcza, gdy Cath je otwiera; swoje stopy na nowym niskim stoliku; Violina, który owija się jak szal wokół jej ramion, po to by za chwilę ułożyć się na oparciu kanapy.

Na dworze panna Waratah woła śpiewnie z parkingu: „Żegnaj, Cath!” Pan Bel Castro wsiada okrakiem na motorower i odpycha kopnięciem stojak.

Cath jedzie w stronę bramy, lecz przyhamowuje lekko, albowiem jakiś przedmiot w ogrodzie obok podjazdu przyciąga jej wzrok. Jest to róg żółtawozielonej okładki jakiejś książki, ukrytej pod głazem. Cath zaciąga hamulec i zostawia samochód na luzie, otwiera drzwi i wyciąga książkę spod głazu. Macha nią w powietrzu i uśmiecha się z zakłopotaniem do pana Bel Castro, który cierpliwie czeka za nią, warcząc swoim motorowerem.

Cath rzuca książkę na fotel pasażera i rusza w kierunku domu.

balon wypełniony gorącym powietrzem

Dawno, dawno temu żył sobie cukiernik, który odbył lot balonem wypełnionym wodorem.

Działo się to w 1810 roku. Zaprosił przyjaciela z Bristolu. Lot rozpoczął się całkiem pomyślnie - lecieli nad Kanałem Brytolskim w kierunku Cardiff.

Jednakże mniej więcej w odległości siedmiu kilometrów od Combę Martin runęli do morza.

Nie połamali sobie jednak nóg ani nie utonęli; balon nie zapalił się i nie spłonęli żywcem.

Zdarzyło się natomiast coś niebywałego: gondola kołysała się na falach, balon wydymał się na wietrze z tyłu za nimi i - hokus-pokus! - uratowali się. Przez godzinę unosili się w ten sposób na wodzie, po czym wydobyl ich z morza statek z Lynmouth.

Maude Zing zawsze wolała opowieść o cukierniku od historii malarza akwarelisty, który wymyślił spadochron spadający czaszą w dół.

Lubi wyobrazić sobie, jak musiał wyglądać balon unoszący się na powierzchni morza. Malutka gondola, ogromna kula z kolorowej tkaniny, małe figurki mężczyzn pełnych nadziei, bezmiar wód i nieba. Było to: takie dziw-

ne, takie piękne, takie tajemnicze jak te wszystkie niezwykłe, bajeczne rzeczy: wieloryby, latające ryby, beżowe babeczki z bitą śmietaną i niespodziewane opady śniegu.

Ale historia cukiernika była czymś więcej. Katastrofa uległa transformacji. Z ocalałego balonu został wyczarowany żaglowiec.

urywki z ogrodowej szopy ZingÓW (ocalałe z pożaru fragmenty)

SPRZĘT DO INWIGILACJI - PRZESYŁKA

Ukryta kamera w obroży: dopasować obrożę do psa/kota/myszy itp. W obroży znajduje się kamera o doskonałej rozdzielczości i superczułym odbiorniku. Otwór, w którym została zainstalowana, ma szerokość pół milimetra. Jest to zwykły model obroży. Są również dostępne w różnych KOŁORACH oraz z DZWONECZKIEM.